



MITCHELL  
HOGAN

THE  
KREW  
NIEWINNYCH

# Spis treści

Karta tytułowa

Hierarchia magii

Postacie

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Epilog

Mapa Cesarstwa

Mapa miasta Anasoma

Do czytelnika

Podziękowania

O autorze

Cykl Benjamin Ashwood

Karta redakcyjna

Okładka

MITCHELL  
HOGAN

KREW  
NIEWINNYCH

---

HIERARCHIA MAGII  
TOM II

PRZEŁOŻYŁ  
MACIEJ PAWLAK

ILUSTRACJE  
PAWEŁ ZARĘBA

fabryka słów®  
LUBLIN - WARSZAWA

# HIERARCHIA MAGII



TYGIEL DUSZ  
KREW NIEWINNYCH  
ROZBITE IMPERIUM

# POSTACIE

CALDAN – sierota i początkujący czarodziej  
w szeregach Protektorów

MIRANDA – przedsiębiorczyni, niegdyś wilczyca morska

AMERDAN LEPHAR – sklepikarz z Anasomy

VASIL LAURIS – sędzia, były śledczy Gwardii Ministerskiej

ELPIDIA – uzdrowicielka

IZAK FOURIE – szlachcic

LADY FELICIENNE (FELICE) SHYRISE – Trzecia Arbiter

SIR AVIGDOR – asystent lady Felicienne

RENNEN – handlarz informacji

## PROTEKTORZY I CZŁONKOWIE GILDII CZARODZIEJÓW

SIMMON – mistrz w gildii, mentor Caldana

JAZINTHA – mistrzyni w gildii

## KOMPANIA HANDLOWA PIĘCIU OCEANÓW

GAZIJA – Pierwszy Wybawiciel

LUPHILDERN QUISS – główny kupiec

MAZOET MIANGLINE – czarodziej

REBECCI WALRAFFEN – czarodziejka

## DRUŻYNA LADY CAITLYN

LADY CAITLYN – szlachetna inkwizytorka

AIDAN – dowódca, podwładny lady Caitlyn

CHALAYAN – plemienny czarodziej

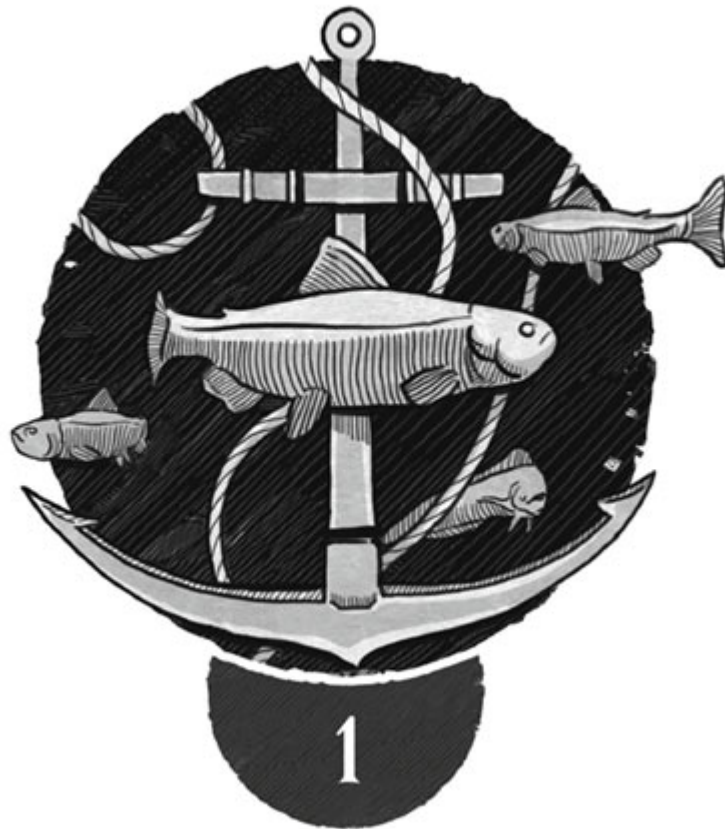
ANSHUL CEL RAU – fechtmistrz ze Stepów

## INDRYALLANIE

KELHAK – Bóg-Imperator Indryalli

DZWONKI – czarodziejka

KLUCZ – czarodziej



**C**aldan delikatnie ułożył Dzwonki na ziemi. Głowa kobiety opadła na bok, a ona sama drgnęła, nim zupełnie umilkła. Od Anasomy dzieliło ich zaledwie kilka godzin drogi, a czarodziejka była nieprzytomna od początku podróży.

Caldan przeciągnął się i zmełł w ustach przekleństwo. Ciemne chmury gromadziły się na horyzoncie, a jemu nie w smak była wędrówka w deszczu.

Widział przed sobą Amerdana, który wiódł naprzód Elpidię i Mirandę połą ścieżką, wijącą się między świeżo obsianymi polami. Za jego plecami stał nieruchomo Rennen z twarzą zwróconą tam, skąd przyszli. Amerdan obejrzał się i dał znak ręką, nim podbiegł w kierunku chaty. Caldan nie był pewien, czy mogą odpuścić pośpiech i zatrzymać się na wypoczynek w obcym miejscu, lecz potrzebowali zapasów, a jeśli gdzieś je znajdą, to właśnie tam.



Zdusił jęk, dźwignął Dzwonki na ramię i ruszył przed siebie. Kobieta wierciła się w jego objęciach tak, że ledwie mógł ją utrzymać. Wymamrotała coś, czego nie zrozumiał, a potem otworzyła oczy.

Caldan opuścił jej nogi na ziemię i zakrył jej usta dłonią.

– Sza – polecił. – Nie zrobimy ci krzywdy.

Bynajmniej nie zrewanżowała się podobną obietnicą.

Chciała wydrapać mu oczy. Caldan targnął głową w tył, uniemożliwiając jej działanie. Puścił kobietę i wykręcił jej rękę, jednocześnie wciąż zakrywając jej usta drugą dłonią. Dzwonki stęknęła tylko. Caldan przyszpilił ją ciałem do ziemi, czując, że wbija mu paznokcie w nadgarstek. Obnażył zaciśnięte zęby, ale nie puszczał. Wcisnął twarz czarodziejki w trawę i wtłoczył kolano między jej łopatki.

Najchętniej skopałby jej tyłek za to, co zrobiła Mirandzie. Ta potrzeba była tak silna, że bezwiednie zacisnął rękę na karku kobiety, nim zorientował się, co właściwie robi.

Dzwonki dyszała mozolnie, aż świszczało jej w nosie wydychane powietrze. Skuliła się, usiłując się wysmyknąć, ale Caldan ani myślał puścić. Zdusiwszy szloch, w końcu odjął dłonie. Nie mógł jej zabić, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Najpierw musiał znaleźć sposób na uleczenie Mirandy. Ale potem... Czekaj no tylko.

– Słuchaj mnie! – ryknął na Dzwonki. – Nie uciekniesz. Zabraliśmy ci wszystkie talizmany. Nas jest pięcioro, ty jesteś jedna. Jeśli przestaniesz się rzucać, będzie ci łatwiej.

Kobieta się uspokoiła.

– Tak lepiej – powiedział. – A teraz wstaniesz i zaczniesz iść. Rozumiemy się?

Jeszcze przez chwilę myślał, że Dzwonki ponowi walkę, ale w końcu skapitulowała i skinęła głową.

– Teraz cię puszczę. Nikogo tu nie ma, więc krzykiem nic nie wskórasz.

Znowu przytaknęła. Caldan powoli zabrał rękę i okręcił kobietę przodem do siebie, łapiąc za ramiona. Wpiła się w niego jadowitym

spojrzeniem.

– Twardziel z ciebie, co? – wysyczała.

– Kiedy trzeba – skwitował. Przy odrobinie szczęścia uzna, że Caldan wie, co robi, i nie będzie próbowała uciekać.

– Bez znaczenia. Pozabijam was wszystkich.

Gdy mówiła, podbiegł do nich Rennen.

– Śledzi nas siedmiu żołnierzy.

Caldan zacisnął usta w coś na kształt uśmiechu.

– Możemy zrobić dwie rzeczy: albo uciekać, albo się bronić. – Zerknął na Mirandę, a potem na Dzwonki. – Ale jeśli będziemy uciekać, w mig nas dogonią.

– Przecież nie możemy walczyć z siedmioma uzbrojonymi po zęby żołnierzami.

– Na przodków!

Wiedział, że Rennen ma rację, lecz to w niczym nie ułatwiało mu wyboru. Ale rzemyślnicza bransoleta Caldana już długo nie pociągnie, a i on sam był już wykończony.

– Wszyscy zginiecie – wycedziła Dzwonki.

Amerdan zamachnął się na nią, wówczas Caldan wszedł między nich.

– Nie – powiedział. – Nie skrzywdzimy jej.

Amerdan wymierzył w Dzwonki spojrzenie, spodziewając się jakiejś reakcji, ale czarodziejka milczała.

– A co z magią? – spytał.

– Ona tak nie działa – rzucił Caldan z irytacją. – Musi mieć dostęp do talizmanów, a nie ma. Tak długo, jak mamy ją na oku, a ona ma związane ręce, nic nam nie grozi. – Zamyślił się i podjął decyzję. – Dzwonki jest naszą kartą przetargową. I moją nadzieją na uzdrowienie Mirandy. A więc uciekamy. Bo nie mamy wyboru. Z tego, co widzę, w okolicy powinno być mnóstwo gospodarstw. Nie będą ryzykować, że gdzieś się przed nimi schowamy i nas miną, więc będą musieli przeszukać wszystkie. To da nam nieco czasu. No, w drogę.

Godzinę później nad ich głowami otworzyło się niebo i lunął zimny deszcz. Wędrówka zmieniła się w udrękę. Z początku słońce jedynie zepsuła im humor, szybko jednak ulewa przybrała na sile do tego stopnia, że zaczęła tłumić odgłosy kroków zdążających za Caldanem towarzyszy. Nieustannie ocierał wodę z oczu, a ścieżka przed nim zmieniła się w jedną wielką błotnistą kałużę. Strumyk toczący swoje wody wzdłuż szlaku stał się rwącą, spienioną rzeką. Caldan jedną dłonią ścisnął nadgarstek Dzwonków, prawie wlokąc czarodziejkę za sobą przez błoto. Miała skrępowane z przodu ręce, a ramiona obwiązane w taki sposób, że przylegały ciasno do ciała, mogła więc poruszać tylko nogami.

– Caldan!

Odwrócił się, słysząc głos Elpidii. Choć była zaraz za nim, musiała wrzasnąć, żeby usłyszał ją w tej ulewie.

– Musimy się gdzieś schronić – powiedziała. – Miranda zaraz zamarznie, i ja też.

– Amerdan poszedł przodem – odparł Caldan. – Szuka jakiegoś dogodnego miejsca. Rennen mówił o jakichś opuszczonych domach. Zaraz coś znajdziemy.

– Im szybciej, tym lepiej.

Caldan kiwnął głową. Dopiero teraz dotarło do niego, jak jest zimno. A gdy to nastąpiło, zaraz zaczął się trząść. Rozejrzał się, mając nadzieję, że znajdzie jakieś schronienie w zasięgu wzroku. Jakby w odpowiedzi na jego myśli z deszczu wynurzył się Amerdan.

– Dobrze wieści – oznajmił sprzedawca. – Dalej przy strumieniu stoi jakaś rudera. I to dość przestronna, otoczona mniejszymi budynkami. Stary młyn? Nie jestem pewien.

– Przodkom dzięki – westchnęła Elpidia, mijając Caldana mozolnym krokiem i holując za sobą Mirandę.

Ścisnęło go w sercu, gdy dziewczyna przeszła obok, nawet go nie rozpoznając.

Wszyscy bez trudu nadążyli za Elpidią. Amerdan wysforował się naprzód, człapiąc w rozmiękłym błocie, aż dotarli do młyna. Wielkie drzwi stojącej nieopodal obory wydawały się nietknięte, lecz te

prowadzące do budynku obok wisiały smętnie na wyłamanych zawiasach. Połowę frontowej ściany porastała gęsta winorośl, a z wnętrza docierał zapach pleśni i zwierząt. Kamienne schodki prowadziły na piętro, ale z miejsca, gdzie stali, widać było, że dach zapadł się dawno temu. Za to drewniana podłoga piętra dobrze chroniła przed deszczem i nie licząc kilku zbłąkanych kropeł, które kapnęły im za kołnierz, nie mieli na co narzekać. Do części mieszkalnej i samego młyna przyłączona była spiżarnia, gdzie musiano kiedyś składować ziarno i mąkę. Również i tam dach się osunął. Zgromadzone w pomieszczeniu zapasy przegniły na wskroś, co nie poprawiło im nastrojów, ale przynajmniej znaleźli schronienie.

Zawsze to coś, pomyślał Caldan, zahaczając wzrokiem o Mirandę.

Elpidia zakrzętnęła się wokół dziewczyny; posadziła ją w suchym miejscu i zaczęła rozcierać jej zziębnięte dłonie. Nic na twarzy Mirandy nie mówiło, żeby zauważyła te zabiegi.

Westchnąwszy, Caldan wspiął się po schodach, ale wystarczył rzut okiem na porośnięte chwastami i trawą piętro, by zrezygnował z rozłożenia się na górze. Gdy schodził na parter, Rennen złapał go za ramię.

– Na ile jesteśmy tu bezpieczni? Doprowadziłem was tutaj, ale zaraz będę musiał wracać. Od teraz musicie sami troszczyć się o siebie.

Caldan wysunął mu się spod ręki.

– Jeśli musisz, idź. Jeśli wracasz do Anasomy, poproszę cię o dostarczenie wiadomości.

Rennen ważył ryzyko, patrząc na Caldana spod zmrużonych powiek.

– Jaką wiadomość? I do kogo?

Caldan pokręcił głową.

– Później. Jak będziesz ruszał. Ta informacja przyda się i tobie. Nie bój się, stratny nie będziesz.

Rennen kiwnął głową i pozwolił mu wrócić do Elpidii.

– Nie ma tu za wielu rzeczy na ognisko – powiedział Caldan do Amerdana. – Sprawdzę w najbliższych budynkach.

– Ja zobaczę w pozostałych.

Caldan obrzucił nerwowym spojrzeniem Mirandę, choć wiedział, że nie może zrobić dla niej nic, czego nie zrobiłaby już Elpidia. Stał w drzwiach, patrząc na gęstą kaskadę lejącego się z nieba deszczu. Zmrużył oczy i dostrzegł trzy rozmazane kształty. Był całkiem pewien, że to pozostałe budynki gospodarcze, stanowiące część obejścia młyna.

Caldan zebrał się w sobie, a potem przebił się przez ścianę wody do najbliższego z nich. Dał nura przez drzwi, otrząsnął się z wody i przetarł twarz.

Na podłodze rozsypane były zmurszałe od wilgoci szczątki stołu i krzeseł. Przez wyrwy w dachu lały się strumienie wody, choć i tak był w lepszym stanie niż ten w młynie. Po prawej stronie Caldan zobaczył wyjście, a za nim rozległą połąć udeptanej ziemi. Pod ścianą stało wciąż całe koryto, a więc to tutaj musiano zaganiać zwierzęta na noc. Rozejrzał się po pomieszczeniu i zebrał kilka względnie niepołamanych nóg od krzeseł. W kolejnym pokoju znalazł rozpadające się łóżko, gdzie z drewnem na ognisko było nieco gorzej, ale i tak udało mu się znaleźć kilka suchych kawałków.

Zebrał, co się dało, i włożył pod ramię, a potem pobiegł do kolejnego budynku, który okazał się pusty. Nie zostały się nawet gnijące meble. Caldan żywił nadzieję, że ostatni budynek wynagrodzi mu tę pustkę, bo inaczej zapowiadała się zimna noc. Zresztą nie zanosilo się na inną, nawet jeśli uda im się rozpalić ognisko.

W szarudze poruszył się jakiś cień i Caldan znieruchomiał, przesywając to miejsce wzrokiem. Nikogo nie powinno tu być. Zadzwonil metal. Uszu Caldana dobiegł jakiś męski głos, a potem kolejny.

Na przodków!

Skrył się za rogiem i wstrzymał oddech. Żołnierze. Albo ich znaleźli, albo natknęli się przypadkiem na ich kryjówkę i zaraz

znajdą. Pokręcił głową. Od opuszczenia Anasomy nie mieli szczęścia.

Tak cicho, jak tylko potrafił, zrobił kilka kroków w głąb budynku. Znalazł suche miejsce, żeby odłożyć chrust. Deszcz łomotał o dach, tłumiąc wszelkie dźwięki. Wszystkie rzemyśliwa i surowce zostały w młynie, wyjąwszy nadniszczoną bransoletę oraz miecz mistrza Simmona. Caldan wciąż nie miał pojęcia, jak ten talizman działał, na dziś był więc prawie bezużyteczny. No chyba że jako miecz. Z miecza potrafił zrobić użytek. Tylko że żołnierzy jest wielu, i każdy ma swój...

Caldan zakradł się do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Żołnierze zniknęli mu z oczu... a potem przez szum deszczu przebił się krzyk. Elpidia! Odpowiedzią był chrapliwy męski rechot. Caldan sięgnął do miecza i wyrwał go z pochwy. Broń zaśniła mętnym światłem.

Dwaj żołdacy – Indryallanie, jak podejrzewał – wyszli z młyna głównymi drzwiami. Jeden z nich oświetlał sobie drogę czarodziejską kulą, pancerz i oręż żołnierzy lśniły, mokre od deszczu. Przez ulewę widoczność była ograniczona, a szum tłumił wszystkie inne dźwięki. Lepsza okazja do przerzedzenia ich szeregów może się już nie nadarzyć. Pytanie brzmiało: czy będzie potrafił odebrać komuś życie?

Chyba nie miał wyboru.

Patrzył, jak Indryallanie biegną pochyleni do pierwszego budynku. Zatrzymali się przed samym wejściem i z dobytymi mieczami zajęli pozycje po obu stronach drzwi. Jeden z nich wrzucił do środka świecącą kulę i zerknął szybko. Caldan ujrzał, że męczyzna rozluźnił się i skinął na swoich towarzyszy. Weszli do środka.

Caldan wziął głęboki wdech i ruszył ku żołnierzom. Zatrzymał się przy wejściu, dokładnie tam, gdzie chwilę temu stał żołdak. Woda ściekała mu z twarzy i trzęsły mu się ręce. Było mu gorąco, ale to nie było to ciepło, które zwykle towarzyszyło jego niecodziennym zdolnościom. Nie, nie skorzysta tutaj ze swoich talentów. Będzie musiał polegać wyłącznie na umiejętnościach szermierczych. Raz jeszcze poczuł się udręczony już samą myślą o tym, że ma kogoś

zabić. A potem pomyślał o Mirandzie i to wystarczyło, by zebrał się w sobie.

Zrobi to dla Mirandy.

Caldan przeszedł przez próg. Jeden Indryallanin stał plecami do niego, drugiego nigdzie nie było widać. W sypialni, rzuciło mu się na myśl. Zerknął w tamtą stronę i dostrzegł, że w pokoju świeci się światło.

Zrobił krok w kierunku żołnierza i uniósł miecz. Zawahał się, nie chciał bowiem zabijać człowieka ciosem w plecy. Lecz niestety, poświata wydobywająca się z miecza poruszyła zalegającymi w pomieszczeniu cieniami i żołdak pojął, co się święci, a potem z krzykiem odskoczył od Caldana.

Ten rzucił się za nim, a w tej samej chwili z pomieszczenia po jego prawej dał się słyszeć okrzyk bojowy. Mężczyzna przed Caldaniem zawirował w miejscu i uniósł miecz. Był młody, dzieciak, który jeszcze się nie golił. Caldan zbił jego miecz cięciem od góry. Klinga żołnierza wryła się w podłogę, a Caldan wyrznął go w twarz lewą pięścią. Krew trysnęła ze złamanego nosa, gdy młodzieniec zatoczył się i padł. Miecz wysunął się z jego dłoni.

Coś zaszurało za plecami Caldana, ale on, pamiętając o tym drugim żołnierzu, błyskawicznie okręcił się na pięcie i sparował cios. Ten Indryallanin był starszym, zaprawionym w bojach weteranem o krzaczastej brodzie. Odskoczył od Caldana i zaczął zachodzić go po półokręgu. Caldan powiódł za nim czubkiem miecza, czekając na dogodny moment. Dał nura naprzód, a żołnierz uskoczył przed atakiem. Caldan podbiegł do wciąż rozłożonego na podłodze rekruta, który szukał po omacku swojego miecza. Odnalazł go pierwszy, odsunął nogą poza zasięg młodego żołnierza i stanął nad nim. Następnie wczepił dłoń w jego włosy i szarpnął, odsłaniając szyję. Przyłożył ostrze do delikatnej skóry na jego gardle.

Życie tego dzieciaka jest w moich rękach, pomyślał.

Stary żołnierz stanął jak wryty. Spomiędzy palców zaciśniętych na czarodziejskiej kuli sączyło się światło.

– Ani kroku – ostrzegł go Caldán.

– Jeśli jeszcze go nie zabiłeś, to pewnie nie zabijesz.

– Założysz się?

Wojak oblizwał wargi. Zmełł w ustach przekleństwo... a potem odwrócił się i uciekł.

Na przodków! Takiego obrotu spraw Caldan się nie spodziewał. Słyszał niktące w oddali plaśnięcia butów wiarusa na błotnistym gruncie. Zaraz zacznie zwoływać swoich ludzi i cała z trudem wypracowana przewaga zacznie topnieć. Caldan nie mógł na to pozwolić. Wyciągnął ze swojej studni strumień energii i poszukał nim czarodziejskiej kuli żołnierza. Znajdowała się już w połowie drogi do młyna. Wyczuł runę połączenia, znalazł ją i wepchnął do kuli moc zaczerpniętą ze studni. A potem zerwał kotwicę.

Kula wybuchła z głośnym trzaskiem, na krótką chwilę opromieniając całą okolicę. Odgłos kroków ustał i dał się słyszeć stłumiony łomot, gdy bezwładne ciało żołnierza zważyło się na rozmiękną ziemię.

Niszczenie nie powinno być takie łatwe, pomyślał Caldan. A jednak było i nic tego nie zmieni. W tej chwili mógł tylko żywić nadzieję, że nikt nie usłyszał wybuchu ani nie zauważył, że ktoś skorzystał z magii.

Młody Indryallanin obrzucił go trwożliwym spojrzeniem. Z górnej wargi kapala mu krew. Caldan uderzył młodzika ręką tak mocno, jak tylko się odważył. Rekrut jęknął, usiłując wysupłać się z jego uścisku. Dostał ponownie, tym razem mocniej, i dopiero wtedy stracił przytomność.

Caldan miał nadzieję, że gdy chłopak się ocknie, będzie już po wszystkim, ale znając jego szczęście...

Wtedy wszystkie myśli Caldana utonęły w czarnej mazi. Drżenie wzbudziło się w jego dłoniach, a skóra zapłonęła żywym ogniem. Kapiąca z dachu woda mroziła ją jak lód. I spłynął na niego spokój. Właśnie po raz wtóry zabił człowieka za pomocą magii. Nie żałował, że to zrobił, tylko tego, jakim sposobem. W kogo on się zmieniał?

Wypadł z budynku i przebiegł przez błotniste podwórze. Teraz deszcz ospale sączył się z nieba, jakby krople nie chciały lądować na



ziemi. Wszystko poruszało się, jakby brodzili w smole.

Minął zwłoki zabitego żołnierza. Zwęglone, nierozpoznawalne. Naokoło tonęły w błocie odpryski rozbitej czaszki.

Caldan przełknął ślinę. Dla Mirandy, przypomniał sobie. Czuł, że pomimo chłodu oblewa go pot. Krew w jego żyłach paliła jak roztopione żelazo. Szumiący łomot w uszach budził skojarzenie z trzepotem wielkich skrzydeł. Metalowy pierścień kłuł go w palce, jakby obrósł cierniami. Nie wiedział, skąd tu tyle żołnierzy, ale nie miało to teraz żadnego znaczenia. Musiał pozabijać ich co do jednego albo wszystko stracone.

W młynie Elpidia, Rennen i Amerdan skupili się przy jednej ścianie. Za nimi stały wtulone w nią Miranda i Dzwonki. Czarodziejka szczyrzyła się jak wariatka. Wiedziała, że niebawem będzie wolna. Zarówno Amerdan, jak i Rennen odgradzili się od Indryallan wyciągniętymi w ich stronę nożami.

Dwaj żołnierze stali przodem do Caldana, szukając wzrokiem kogoś, kto mógłby przybyć otoczonym z pomocą, oraz tego, kto spowodował eksplozję. Caldán nie chciał patrzeć na ich twarze. Przybrał pozycję obronną, wznosząc ujęty oburącz miecz nad prawe ramię. Wyostrzył swoje zmysły. Czuł zapach ziemi oraz deszczu, woń potu bijącą od żołnierzy. Słyszał bicie ich serc.

Jeden z żołdaków prychnął i ruszył naprzód.

– Odłóż miecz, chłopcze, bo się skaleczysz. Pożałujesz, jeśli będziemy musieli ci go odebrać.

Jego słowa dopłynęły do Caldana spowolnione, a Indryallanin poruszał się ospale, jakby wstawał z łóżka po długiej chorobie. Caldán puścił jego słowa mimo uszu. Nie mieli o czym rozmawiać. Umrze albo on, albo Caldán. Dreszcz zbiegł mu po plecach. Pierścień stawał się coraz cięższy, wgryzał się w skórę.

– Przepraszam – powiedział Caldán pod nosem.

Jego miecz błysnął, rozświetlił noc magiczną smugą. Caldán rzucił się naprzód, rozmazując się w pędzie, i ciął potężnie od ramienia do biodra. Potem skok w prawo i cięcie od dołu. I obrót. Zaatakował z oszalamiającą prędkością, a miecz śmigał, jakby nic nie ważył.

Żołnierze ledwo zdążyli się poruszyć, jakby oblepiał ich ciepły miód. Skok naprzód. Obrót, cięcie. I finisz.

Caldan zatrzymał się w pozycji wyjściowej, ale tym razem wzniesiony ponad ramieniem miecz był zbryzgany czerwienią. Przed nim leżało rozrzuconych pięć ciał, a w mokrą ziemię wsiąkała krew. Krople deszczu spływające mu po twarzy mieszały się z potem. Stojący po drugiej stronie pomieszczenia Amerdan parsknął niedowierzającym śmiechem.

– Pięciu – powiedział pod nosem.

– A niech mnie! – wykrzyknął Rennen.

Caldan dopiero teraz spostrzegł, że wszyscy wpijają się w niego wzrokiem. Dzwonki obserwowała go w zamyśleniu i tylko Elpidia wpatrywała się w trupy u jego stóp. Nagle odeszły go siły i miecz zaczął mu ciążyć. Opuścił go, ciężko łapiąc powietrze. W gardle rosła mu gęsia skóra, a przed oczami zaczęły latać mroczki. Opadł na kolana.

Mdłości odeszły go po kilku chwilach. Poczul na ramieniu czyjąś rękę. Amerdan.

– Nie miałeś wyboru – powiedział sklepikarz. – Lepiej tak niż w drugą stronę.

Caldan spuścił wzrok na zbryzganą posoką podłogę. Żołnierze nie mieli z nim szans, gdy brała go gorączka, a przedtem jeszcze skorzystał z destruktywnej magii, żeby zabić starego wojaka. Znowu czuł się jak ostatni zatracony morderca. Drżały mu ręce i zdusił szloch, gdy ogarnęła go trwoga na myśl, co zrobił... oraz poczucie winy i pogarda dla samego siebie, uczucie siły sprawiło mu bowiem radość.

Amerdan niepewnie przeniósł dłoń na jego głowę.

– W porządku. Wywlecziemy ich na zewnątrz i z samego rana ruszymy dalej. Wkrótce zostawimy to miejsce daleko za sobą.

Caldan dźwignął się na nogi i wysunął spod ręki sklepikarza. Wytarł miecz o płaszcz jednego z żołnierzy, nie chcąc patrzeć na jego martwych towarzyszy. Wsunął ostrze do pochwy i zrobił krok w stronę wyjścia, a potem przystanął.

– Został jeszcze jeden. W tamtym budynku. Przyprowadzę go tutaj. Może dowiemy się, czy idą po nas kolejni.

Ogłuszony rekrut gdzieś przepadł. Nie było go w budynku. Najwidoczniej ocknął się i uciekł. Caldan westchnął i postanowił, że nie będzie go gonił. Dość już śmierci na dzisiaj. Dość już krwi na jego rękach. Puszczony wolno żołnierz może odbić mu się czkawką, ale miał już dosyć zabijania.



**C**aldan połamał bochenek chleba na kilka kawałków i wrzucił je do wodnistej zupy gotującej się na małym ogniu, uważając, żeby się nie poparzyć. Ogień zawsze przywoływał złe wspomnienia o jego rodzinie, która zginęła w pożarze domu. Chleb był czerstwy, a zupa bez smaku, ale nie przejmował się tym. Zjadł kolację byle szybciej. Był wycieńczony, tak jak reszta. Ostatnie kilka dni spędzili, próbując oddzielić się od Anasomy jak największą połacią ziemi. Zatrzymywali się tylko nocą, aby złapać choć kilka godzin snu. Caldan sypiał godzinę lub dwie, nie więcej. Nie mógł oderwać myśli od pozabijanych żołnierzy.

Zbłąkany powiew wiatru cisnął mu dym do oczu. Przetarł powieki, a potem nalał kolejną porcję zupy do drewnianej miski i zaniósł skulonej pod drzewem Mirandzie. Zaczął ją karmić, łyżka po łyżce, dmuchając, żeby dziewczyna się nie poparzyła. Wycierał

ściekającą jej z kącików ust zupę, gdy przełykała metodycznie, z nieruchomym wzrokiem wlepionym w ogień.

Gdy miska opróżniła się do połowy, Miranda zamknęła usta i kolejnej łyżki już nie przyjęła. Caldan westchnął, otarł dziewczynie usta szmatką i wrócił do garnka z niedojedzoną zupą.

Dzwonki, przywiązana do drzewa, siedziała po drugiej stronie ogniska. Caldan zerknął na nią, a potem postawił miskę na ziemi.

– A ja nie dostanę kolacji? – spytała czarodziejka z nutą rozbawienia w głosie. – Od rana nie miałam nic w ustach.

Caldan zagryzł zęby.

– Ktoś inny cię potem nakarmi.

Dzwonki zachichotała.

– Ale ty tak dobrze to robisz. Tak delikatnie.

Przymknął oczy na kilka chwil i wziął głęboki wdech. Lekarstwo dla Mirandy wciąż najchętniej wytłukłby z czarodziejki pięścią. Ale wiedział, że nie należy pokładać wiary w informacje pozyskane siłą.

A jednak...

Raptem zdumiała go siła nienawiści, jaką darzył Dzwonki. Odpowiadała także za śmierć mistrza Simmona oraz wszystkich, których zostawił w Anasomie. Mógłby się z nią rozprawić w try miga i byłoby to tak proste, że aż skręcił mu się żołądek. Skupiając się usilnie na każdym kolejnym kroku, ruszył do miejsca, gdzie złożyli plecaki i worki. Caldan wyjął swój miecz-talizman i opuścił obóz, by poszukać Elpidii.

– Wyślą po mnie kolejnych – zawołała zza jego pleców Dzwonki. – I następnym razem nie pójdzie ci tak łatwo.

Puścił jej słowa mimo uszu.

Uzdrowicielka siedziała na niskim wzniesieniu. Patrzyła na chowające się za horyzontem słońce. Nie poruszyła się, gdy podszedł. Wysypka na jej szyi zaogniła się. Tam, gdzie się drapała, widniały czerwone bruzdy. Usiadł przy niej z mieczem na kolanach.

Elpidia usadowiła się wygodniej.

– Nie poprawia jej się, prawda? – spytała. – Znaczy... – Machnęła ręką. – Spodziewałam się jakiejś zmiany po kilku dniach, ale...

Caldan pokręcił głową.

– Myślałem, że drgawki ustaną, ale nie. Wciąż nie może jeść sama, wciąż nic nie mówi, tak więc... Chyba potrzebuje więcej czasu.

– Jeśli nie działają na nią te leki, które jej podałam, to nie wiem, co więcej mogę zrobić. Gdybyśmy byli w Anasomie albo jakimś innym mieście, zaleciłabym wizytę u uzdrowiciela dysponującego wiedzą większą od mojej. – Wbiła wzrok w Caldana. – Czy jest szansa, że trafimy niebawem do jakiejś miejscowości z medykiem z prawdziwego zdarzenia?

– Możliwe. Jeśli będziemy musieli, zatrzymamy się gdzieś. Nie znam geografii cesarstwa na zachód od Anasomy, ale Amerdan i Rennen wiedzą, gdzie znajduje się większość miast i miasteczek. Ale im dalej na zachód się zapuścimy, tym mniej pewnie będą się czuć. – Caldán popatrzył na Elpidię, drapiącą się po szyi, a potem po ramieniu, nim podjął: – To nie jest choroba ciała, tylko umysłu. Myślę, że... że coś uszkodzili, gdy próbowali ją zawładnąć. Zwykły medyk jej nie pomoże. Nie wiem, czy ktokolwiek zdoła jej pomóc. Moim zdaniem możemy tylko czekać, aż sama wróci do siebie.

Elpidia osadziła na nim wzrok.

– Nie poddawaj się jeszcze. Są uzdrowiciele, którzy badają choroby umysłu. Może oni będą wiedzieli, co z nią zrobić? Ja nie przywykłam do czekania, aż komuś się poprawi. Odkryłam, że im więcej robię dla pacjenta, tym szybciej wraca do zdrowia. No, przeważnie. Bo nie wszystkie choroby są uleczalne. Gdybym chciała pomóc komuś, czyj umysł został zraniony za pomocą magii, to poszukałabym jakiegoś specjalisty od czarownictwa...

– Nie – warknął Caldán. – Nie ma mowy, żebym pozwolił jej znowu zaczarować Mirandę.

Elpidia uspokoiła Caldana uniesieniem dłoni.

– Nie to miałam na myśli. Chodzi o to, że Dzwonki ma wiedzę, która może okazać się przydatna. Wiedzę, której ty nie posiadasz. Gdyby ją przesłuchać...

– Nie – nie ustępował Caldán, kręcąc głową. – Nie wolno jej ufać. Gdyby zastawiła na mnie pułapkę, nie byłbym w stanie jej ominąć.

Po prostu za mało wiem, a skrzywdzenie nas przyszłoby jej zbyt łatwo.

– A czy sam mógłbyś spróbować?

– W tej chwili nie mam nawet bladego pojęcia, jak działa magia zniewalająca. Wiem tylko tyle, że z całą pewnością różni się od znanego mi rzemyślenia. Z tego, co widziałem, taka magia nie potrzebuje żadnego fizycznego przedmiotu, żeby działać, a z tego, co wiem, to niemożliwe.

– A skąd wiesz?

– Słucham?

– Skąd wiesz, że to nie działa dokładnie tak samo jak rzemyślenie? Zarówno Dzwonki, jak i jej partner mieli przy sobie całą masę rzemyśliw. Może któreś z nich wspomagało działanie magii zniewalającej?

– Chyba... chyba nie przyszło mi to do głowy. Tak mało jeszcze wiem.

Spojrzała na niego z czułością.

– Słuchaj, nie musisz robić wszystkiego sam. I nie chodzi mi o to, że pomoc ci mogą tylko Amerdan i Rennen. Masz pod ręką źródło bezcennych informacji... Pozostaje zadać sobie pytanie: czy odważysz się z niego zaczerpnąć?

– Pomyślę o tym.

– Bardzo mnie to cieszy.

– A tobie trzeba czegoś? – spytał Caldan, omiatając wzrokiem jej wysypkę. – Na twoją dolegliwość?

Elpidia odwróciła twarz.

– Wiesz, czego mi trzeba.

– Ale co ci z tego przyjdzie, skoro nie masz pracowni?

Uzdrowicielka zawahała się, a potem powiedziała:

– Nie wiesz o alchemii aż tyle, ile ci się wydaje. Zresztą najbardziej na świecie potrzeba mi czasu. Bezczyenne siedzenie na jakimś pustkowiu rzuca mi się na mózg. Niemal czuję, jak życie przelatuje mi przez palce.

Caldan wyprostował się na te słowa i przesunął dłonią po pochwie miecza. Zwyczajna, pozbawiona ozdób skóra, w niczym nieprzypominająca niezwyklej broni, którą okrywała.

Przemknęły mu przez głowę ostatnie wybory i wążące się priorytety – jak działało się to często od kilku dni. Podobnie jak poprzednio, tak i teraz był w kłopotach, bo nie potrafił dokonać wyboru. Wśród spraw, nad którymi się głowił, była również choroba siedzącej obok kobiety. Elpidia była zdesperowana, a desperaci częściej poważają się na rozpaczliwe czyny. Caldan mógł tylko ufać, że uzdrowicielka zrobi dla samej siebie to, co będzie dla niej najlepsze, oraz że w chwili zwątpienia udzieli mu rady, kierując się dobrem Caldana i całej grupy.

Co więcej, dla samego Caldana priorytetem powinno być teraz wysłanie wiadomości do Protektorów poza murami Anasomy, a nie zamartwianie się chorobą Elpidii. Czy w ogóle wiedzieli o napaści i o zakazanej magii, której używają Indryallanie? Czy wiedzieli o śmierci Simmona i o tym, że – choć z całą pewnością niegodny tego zaszczytu – to Caldan dzierżył teraz mistrzowski miecz? Poczł ukłucie żalu i zamknął oczy na myśl o Simmonie. I Jazincie. I Senirze. Wszyscy martwi. Zacisnął pięści, aż zbieleły mu kostki.

Myślał, że w Gildii Czarodziejów, a dokładnie: wśród Protektorów, znajdzie wreszcie prawdziwy dom. Lecz ten świat został zniszczony przez coś więcej niż tylko indryallańską inwazję. A mianowicie przez to, że Protektorzy, którzy bronili całemu światu korzystania z magii destruktywnej, sami na porządku dziennym używali jej do walki ze zbuntowanymi czarnoksiężnikami. I choć wiedza o tym ciążyła mu na sercu, o wiele bardziej druzgoczącym ciężarem było nasuwające się teraz pytanie: czy używali też magii zniewalającej? I czy on sam poważy się na to, choćby tylko po to, żeby kogoś uratować?

Pokręcił głową. Było zbyt wiele rzeczy, o których nie miał pojęcia. Przede wszystkim musi myśleć o Mirandzie. Pragnął zrobić, co tylko w jego mocy, by przywrócić jej zmysły. To było teraz najważniejsze.



Zerknął na czekającą cierpliwie u jego boku Elpidię, a potem obejrzał się na obóz. Rennen oraz sklepikarz Amerdan wracali właśnie z lasu z naręczami chrustu. Z ogniska uniósł się dym, gdy wysypali do niego kilka gałęzi, a resztę rzucili na stos.

Zbyt wiele zmartwień, zwłaszcza że jeszcze całkiem niedawno musiał troszczyć się tylko o naukę rzemyślenia i o to, dokąd zabrać Mirandę na kolację. Jego dłoń popęzła do pierścienia na palcu drugiej, do metalowego talizmanu, a potem do tego kościanego, który miał zawieszony na szyi. Ależ się wszystko pogmatwało przez te zaledwie kilka miesięcy.

Słońce schowało się za horyzont. Dobiegł końca kolejny dzień uciezki i strachu. To była treść ich życia od opuszczenia Anasomy: ciągła uciezka, nieustanne oglądanie się przez ramię, wypruwanie sobie żył, by zanim dzień zacznie szarzeć, przejść jeszcze milę, jeszcze dwie. Caldan uznał, że skoro Indryallanie stracili dwoje swoich czarodziejów – tak jak i sześciu zabitych przez Caldana żołnierzy – to ktoś ruszy za nim w pogoń. I wtedy wszystkie wybory i priorytety podporządkowały się w jego głowie jednemu, najwyższemu celowi: przetrwać.

Przejechał palcami po brudnych włosach, a potem rozmasował spięte mięśnie karku. Znowu bolała go głowa, jak codziennie, odkąd zaczęli uciekać.

– Zdenerwowany? Zbyt wiele ciąży ci na barkach? – spytała Elpidia. – Teraz wiesz, jak ja się czuję.

Caldan wyrzucił westchnienie z płuc i przetarł oczy. Nie po raz pierwszy usiłowała wzbudzić w nim poczucie winy. Ale przynajmniej z jej docinkami mógł uporać się od razu.

– No, miejmy to już z głowy.

– Co?

– Weź jakieś buteleczki, igły. Ile tam potrzebujesz.

– O! – Elpidia wybałuszyła na niego oczy i wstała. – Nawet nie wiesz, jaka jestem ci wdzięczna. Po prostu... – Wykręciła palce, ciągnąc łamiącym się głosem: – Po prostu chcę mieć jakąś szansę, trochę nadziei.

– Wciąż nie wiem, jak ci to pomoże, skoro nie masz swojej pracowni.

– Och, nie męcz duszy. Sam zobaczysz.

Kiwnął głową.

– Jeśli ci to pomoże, to proszę.

Troska to jedno, ale gdy uzdrowicielka przestanie wreszcie się dąsać i wwiercać w niego łakomym wzrokiem, w końcu nieco mu ulży.

Popędziła do miejsca w obozie, gdzie złożyła swoje rzeczy, a potem wróciła z dwiema małymi fiolkami, szmatką i dużą rurkowatą igłą. Kucnęła i gestem kazała Caldanowi zakasać rękaw, co też uczynił, odsłaniając podrażnioną skórę przedramienia i nadgarstka. Jego rzemyślnicza bransoleta leżała w torbie w obozie. Została uszkodzona podczas pierwszego starcia z Dzwonkami i Kluczem. Nie miał pewności, czy dalej działała. Dopóki nie znajdzie chwili, aby to sprawdzić, nie będzie jej używał. To była jedna z kilku spraw, które nie dawały mu spokoju. A wciąż miał jeszcze do zbadania rzemyśliwa odebrane Dzwonkom.

Elpidia cmoknęła ustami na widok jego nadgarstka.

– Jeszcze nie zagojony. Długo mu schodzi, chociaż z drugiej strony oparzenie było poważne. Leczyłam już wcześniej rzemyślnicze oparzenia, ale większość czarodziejów wie, kiedy ich rzemyśliwa zawiodą, i się zabezpieczają.

– Ja akurat niewiele mogłem zrobić. Dobrze, że w ogóle przeżyłem.

– A jak twoja druga rana? Tam, gdzie Miranda... – Elpidia zawiesiła głos.

Caldan dotknął miejsca na boku owiniętym bandażem.

– Goi się. Z jakiegoś powodu lepiej niż oparzenie.

– Jeśli chcesz, to potem zdejmę ci szwy. Znaczy jeśli... Zakładam, że niebawem będzie trzeba.

– Pewnie tak. Jutro rano.

Elpidia zrosiła igłą przezroczystym płynem z jednej ze swoich buteleczek, a potem przetała ją szmatką. Druga fiołka była pusta.

– Mogę dać ci jeszcze trochę maści, ale zapasy mam skąpe. – Wymacała żyłę po wewnętrznej stronie łokcia i przyłożyła igłę do skóry. – Daleko mamy do najbliższego miasta?

– Nie wiem. Trzeba spytać Ren... Auć! Nie mogłaś mnie ostrzec?

– Nie bądź dzieckiem.

Caldan warknął coś i patrzył na krople krwi gromadzące się w pustej fiolce, która szybko się zapełniła. Wtedy Elpidia wyjęła igłę i ścisnęła ranę kciukiem. Wolne miejsce w buteleczce wypełniła tym samym przezroczystym płynem, a potem zatkała ją i ścisnęła mocno w drugiej ręce.

– Rozumiem, że tylko tyle potrzebujesz? – Było coś niepokojącego w zapale Elpidii do eksperymentowania z jego krwią.

– Powinno wystarczyć, najwyżej zgłoszę się po więcej. To zależy od wyników badań. Tutaj... niewiele zdziałam. Dobrze by było znaleźć jakieś miasto lub nawet miasteczko. Tam mogłabym...

– Najpierw musimy zatroszczyć się o Mirandę. Zresztą nie mam zamiaru siedzieć na tyłku, gdy ty będziesz przeprowadzać swoje eksperymenty. Sam mam sporo do zrobienia.

– A dla mnie właśnie to jest teraz najważniejsze. Może nie wyraziłam się jasno, pozwól więc, że powtórzę. Tu nie chodzi tylko o mnie. Jeśli znajdę lekarstwo, to istnieje możliwość, że będę mogła leczyć i inne choroby. Te, które dotąd były śmiertelne lub trwale uszkadzały organizm chorego. Zastanów się. Czy to nie jest ważne? Wyniki moich badań mogą pomóc uniknąć tak wielkiego cierpienia...

– Wiem – powiedział z westchnieniem. – Rozumiem. Ale od inwazji mogę myśleć tylko o tym, żeby ostrzec Protektorów i uzdrowić Mirandę. Mam nadzieję, że Protektorzy będą wiedzieli, co robić.

– Dlaczego? Przecież nikt tej magii wcześniej nie widział na oczy. Caldan przeklął się w duchu. Wypaplał za dużo.

– Prawda – skłamał – ale może wpadną na pomysł, jak jej pomóc. Elpidia wbiła wzrok w wypełnioną krwią Caldana fiolkę.

– Dobrze zrobimy, ruszając o świcie. Wypocznijmy tej nocy. Za bardzo się forsujemy.

– Ruszymy z samego rana. Jeśli chcesz, idź w swoją stronę, a ja tu zadbam o resztę.

Elpidia wzruszyła ramionami.

– Nie mam zamiaru przeproszać za to, że boję się śmierci. Tak, najważniejszą sprawą dla mnie jest znalezienie lekarstwa na moją chorobę. Ale nie zapominaj, że jeśli to zadziała, to uratuje nie tylko mnie, ale i wielu innych chorych na to samo co ja. To niewielka cena za ludzkie życie, Caldanie.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale ja też robię, co mogę, żeby ratować innych – odwarknął. Podążył spojrzeniem do Mirandy, która siedziała ze wzrokiem wpatrzonym w pustkę.

– Ale to nie twoja odpowiedzialność – odparła uzdrowicielka ciszej. – Po prostu znajźmy Mirandzie medyka. To wszystko, co możemy zrobić.

– Może masz rację... Ale to nie znaczy, że nie będę próbować.

Z tymi słowy wstał i powłókł się do ogniska, a Elpidia wkrótce po nim. Amerdan siedział zapatrzony w płomień, a kawałek dalej stał z rękami w kieszeniach Rennen. Tylko on podniósł wzrok, gdy podeszli.

– Dukaty – rzekł.

Amerdan uśmiechnął się półgębkiem, lecz nic nie powiedział, tylko wbił w Rennena takie spojrzenie, jakby patrzył na głupka. Elpidia potrząsnęła głową i zaczęła gmerać w swoim ekwipunku, dbając zapewne o należyte zabezpieczenie bezcennej fiołki.

– Co z nimi? – dopytał Caldan.

– Zostawiłem w mieście interes. Prawdopodobnie zgubiliśmy pogoń, a żołnierze nie wiedzą, że byłem z wami. Ktokolwiek potrafiłby mnie rozpoznać, albo nie żyje, albo... – Rennen spojrział na Dzwonki.

– Ja wszędzie cię rozpoznam. – Głos czarodziejki poniósł się echem. – Nie zapomnę na pewno.

Rennen przełknął ślinę i odwrócił wzrok.

– W dziczy jestem do niczego. Miasto to wszystko, co znam. Rano wrócę do Anasomy i jakoś przekradnę się przez mury. Inwazja stworzy nowe możliwości. Ruszę kawałek na południe, do leżącego tam miasteczka, a potem zawrócę na wschód. Dziewczyna nie będzie mnie już spowalniać, więc... – Zawiesił głos, celowo nie patrząc na Mirandę. – Długo mi nie zejdzie.

Caldan wolno kiwał głową.

– Tak, to ma sens. Ale jak już wspomniałem, chciałbym, żebyś dostarczył dla mnie wiadomość. Chcę, żebyś znalazł mojego znajomego, Izaka Fourie, i jego znajomego imieniem Avigdor.

Rennen podrapał policzek.

– Słyszałem o nich. Muszę przyznać, że jestem z lekka zaskoczony, że w ogóle wiesz, kim jest Avigdor.

– Pracujecie w tej samej branży. Handlujecie czymś, czego zdarza mi się potrzebować.

– Informacją.

– Otóż to.

Rennen wzruszył ramionami.

– Byłem ciekaw, ot co. Zakładając, że nie zaszył się gdzieś i rzeczywiście go znajdę, co mam mu przekazać? Od razu mówię, że za darmo nie robię.

Caldan namyślał się chwilę. Z tego, co Avigdor mówił podczas ich pierwszego spotkania, wywnioskował, że sporo wie o Protektorach.

– Nie wiem, ile on wie o napaści, a więc nie wiem też, czy posiadane przez nas informacje przedstawiają dla niego jakąś wartość, ale... przekaz mu, że wszyscy Protektorzy w Anasomie nie żyją. – Caldán miał nadzieję, że Avigdor będzie wiedział, co to znaczy. – I powiedz mu, że będziemy próbować ostrzec Protektorów w innych miastach. I jeszcze jedno: Indryallanie szukają czegoś w Anasomie. Jeśli zamknęli miasto, to znaczy, że nie chcą, żeby ktoś lub coś je opuściło.

– Takiś pewny? – przerwała Dzwonki. – Przecież wasz cesarz wysysa krew z waszych żył. Nie przyszło ci do łba, że przybyliśmy was oswobodzić?

– Milcz – warknął na nią Caldan. Wskazał palcem Mirandę, a potem sam zamilkł. Musiał uważać na słowa, żeby czasem nie wypaplać za dużo. Ledwie skończył tę myśl, a dotarło do niego, że może już wypaplał. – Zaraz wracam.

– Dokąd idziesz? – spytał zdezorientowany Rennen. – To już cała wiadomość?

– Mówię przecież, że zaraz wracam – wysyczał, dyskretnie wskazując Dzwonki ruchem głowy. – Nie mam zamiaru omawiać naszych planów w zasięgu jej słuchu, więc zaraz ją gdzieś przestawię.

– Nie dość, że pewny swego, to jeszcze bystry – szydziła Dzwonki.

– Zamknij się. – Odwiązał czarodziejkę od drzewa, nie oswobadzając rąk i nóg.

Patrzyli, jak wlecze kobietę kawałek dalej i przywiązuje do innego drzewa. Daleko od ognia, choć noce były zimne, ale nic go to nie obchodziło.

– Skoro już jesteśmy sami, to mnie rozwiąż. – Dzwonki oblizła usta, wijąc się, przyciśnięta do drzewa. Caldan złapał wzrokiem gołą skórę, gdy materiał koszuli opiął jej piersi. – Robi się ciemno, nie widzą nas. Nie pożałujesz.

Skrzywił się i kucnął przy czarodziejce.

– Nie pożałuję? Mdli mnie na samą myśl.

Dzwonki przestała się wić i pokręciła głową.

– Twoja strata. Chyba nie jestem tak apetyczna jak to ciche dziewczę przy ogniu. Nigdy nie odmawia, co? Na pewno robi wszystko, czego tylko zapragniesz.

Wziął zamach i tylko ta ostatnia drobina przyzwoitości powstrzymała go przed uderzeniem jej w twarz. Zaśmiała się.

– Biedna smarkula, nie wytrzymała odrzutu. Kiedy już umrze, to będzie za Klucza. – Z oczu Dzwonków odpłynęła wesołość. – Wtedy pozostanie do zabicia już tylko czworo.

– Nie obwiniaj nas za jego śmierć. Sami sprowadziliście to na siebie. Gdybyście nas nie gonili, wciąż by żył.

– Gdybyście nie uciekli i nie pozwolili tamtemu mistrzowi się zabić, tobyśmy was nie gonili.

A więc Simmon to zrobił. Caldan zamknął oczy, gdy naparła na niego fala smutku. Miał nadzieję, że jego mentor zginął w walce. Cokolwiek Dzwonki mu zrobiła, zmieniło go w strzęp człowieka. Kolejna kreska na jej koncie.

Rozwarł powieki i wbił w nią spojrzenie.

– Dlaczego zabiliście czarodziejów i Protektorów? Czarodzieje nie stanowili dla was zagrożenia, a Protektorów nie musieliście masakrować bez litości. Mogliście po prostu zniewolić ich czarami.

– Biedny mały Caldanek, grzebie się w rzeczach, o których nie ma bladego pojęcia.

– Przestań kręcić i po prostu odpowiedz jak człowiek.

Skrzyżowała z nim spojrzenie czarnych oczu. Przez długą chwilę żadne nic nie mówiło, a potem czarodziejka pokręciła głową.

– A niby czemu?

– Bo jeśli mi pomożesz, może ja zdołam pomóc tobie.

Zmierzyła go ostrożnym wzrokiem. Wreszcie odrzekła:

– Zabawne, ale właściwie ci wierzę. Naprawdę jesteś niewinny jak dziecko.

– Tak niewinny, że wciąż szkoda mi Klucza, którego zabiłem.

Splunęła mu w twarz.

Starł plwocinę wierzchem dłoni i na powrót utkwiał w jej oczach nieustępliwe spojrzenie.

– I zrobiłbym to jeszcze raz, ale nie z nienawiści, tylko z konieczności. Zrozum, że ja po prostu nie miałem wyboru. Rozumiem cię i uwierz, że przykro mi, że cierpisz po nim. Słuchaj, może uda nam się jakoś to naprawić. Ale to ty musisz wyciągnąć do mnie pomocną dłoń. Spytam więc znowu: dlaczego zabiliście wszystkich Protektorów?

Dzwonki wwiercała w niego wściekłe spojrzenie, ale on nie odwracał wzroku. I choć owo spojrzenie nie łagodniało, to coś w jej oczach powiedziało Caldanowi, że przystała na jego warunek.

– Działaliśmy na rozkaz – wyznała.

- Zabroniono wam brać jeńców? Dlaczego? Kto wydał ten rozkaz?
- Bóg-Imperator uznał czarodziejów i Protektorów za zagrożenie.
- I już? Po prostu wykonaliście tak nieludzki rozkaz?

Dzwonki wzruszyła ramionami.

– Niezupełnie. Miałam opory. Wielu z nas miało opory. Ale on nigdy się nie myli, a ponieważ jest Bogiem-Imperatorem, każdy jego rozkaz należy wykonać co do joty.

Caldan wstał i zaczął chodzić w kółko.

– Coś mi się widzi, że nie zdradzisz mi, dlaczego najechaliście Anasome...

– Dobrze ci się widzi. Słowo daję, bystry z ciebie mały Protektor.

Caldan zmarszczył się na kolejny docinek, choć wiedział, że Dzwonki tylko próbuje go zdenerwować.

– Zaledwie praktykant.

– Ale zobacz, ile udało ci się osiągnąć! Oni najwyraźniej nie rozpoznałoby prawdziwej magii, gdyby wyszła z krzaków i kopnęła ich w dupę. Nie poznali się na twoim talencie, ot co.

– Teraz nigdy się już nie poznają.

Czarodziejka zbyła pretensje Caldana wzruszeniem ramion.

– Śmierć dla wszystkich jednakowa. A po waszą piątkę upomni się wkrótce.

Puścił te słowa mimo uszu.

– Nie mówiłaś czasem, że przyjechaliście nas wyzwolić?

– Mówiłam.

– Ale przed chwilą dodałaś, że prawdziwego powodu mi nie podasz.

Dzwonki zaśmiała się na granicy słyszalności.

– Jak łatwo namieszać ci w głowie. Nie rozumiesz, że naprawdę przyjechaliśmy was wyzwolić, ale jakie dokładnie plany ma dla was Bóg-Imperator, tego nie wiem. Jego dążenia w tej mierze są tak niepojęte dla mnie jak twoje dla mrówki.

– Aż tak? – zdziwił się Caldan.

Czarodziejka ponownie przeszła go spojrzeniem.



– Bóg-Imperator jest... no cóż, nie dość, że bogiem, to jeszcze imperatorem. Nic nie umyka jego uwadze i nic nie jest w stanie oprzeć się jego magii. Przewodzi nam od ponad stu lat. Mądrze byś zrobił, lękając się go.

Caldan zbył jej przestrozę prychnięciem.

– Od stu lat? Masz mnie za głupca? Nikt tak długo nie żyje.

– Bóg-Imperator owszem. Jak już wspomniałam: jego magia jest znacznie potężniejsza od naszej.

– Ale sto lat? – powtórzył Caldan. – Nie mówisz poważnie.

– Jestem śmiertelnie poważna. – Dzwonki wwiercała się w niego wzrokiem. – Nikt nie wie, skąd ta nadzwyczajna długowieczność. Sądzę, że wielu próbowało tego dociec. Wszyscy nie żyją. – Znowu wzruszyła ramionami. – Jest tym, kim jest. Dorastamy, ucząc się, że nie ma sobie równych i że poprowadził nas ku wielkości, że opiekuje się nami od pokoleń.

– I wy w to wierzycie?

– Dowody są niepodważalne. Ochronił nas wszystkich. Nasz lud prosperuje pod jego rządami.

– W tym musi być jakiś kant.

– Czemu? Ile dowiedziałaś się przez ostatnie kilka dni, czego nie podejrzewałaś nigdy wcześniej?

Caldan potrząsnął głową.

– Może ma sobowtórów?

– Nie. – Westchnęła. – Był tą samą osobą, gdy urodziła się moja matka, wcześniej moja babka, a jeszcze wcześniej prababka. Wszystkie one mówiły o nim to samo.

Wypierała jego racje, lecz Caldan nie potrafił zrozumieć dlaczego. Czy ona naprawdę jest tak zaślepiona, by wierzyć, że ktoś taki jak Bóg-Imperator rzeczywiście może istnieć? Zrozumiał, że logiczny dialog na ten temat jest niemożliwy. Był zdumiony, że wyciągnął z niej nawet tyle, choć kobieta wciąż była rozdarta żalobą po Kluczu i pałała pragnieniem zemsty. Oczywiście musiał liczyć się z tym, że uknuła jakiś plan i powiedziała mu dokładnie to, co chciała, ale

z jakiegoś powodu nie sądził, żeby tak było. W każdym razie miał jej już dość na dzisiaj. Jutro podejmie rozmowę z czarodziejką.

– Niebawem przyjdzie Elpidia, więc korzystając z okazji, możesz... sobie ulżyć. Choć, jak zwykle, zadbamy o to, żebyś nie mogła uciec.

– Ale mam fart. Tylu roślących chłopów pilnuje mnie, gdy kucam.

Caldan poczerwieniał.

– Przecież nie będziemy podglądać, ale musimy cię pilnować – rzucił na odchodnym.

Zza pleców usłyszał jeszcze jej głos:

– Podglądasz czy nie, dla mnie to bez różnicy. Bo nie kłamałam, mały Protektorku... Pozabijam was wszystkich.



Caldan i Elpidia patrzyli na Rennena odchodzącego w kierunku małej osady. W dali płynęły w niebo smugi dymu z rozpalonych tam rano palenisk. Choć Caldán chciał powiedzieć towarzyszowi więcej o najeźdźcach i ich magii, ku swojej rozpaczycy odkrył, że zasób posiadanych przez niego informacji jest mocno ograniczony. Przy odrobinie szczęścia Rennen znajdzie Avigdora, który przekaże wiadomość lady Felicienne, a ona wtedy będzie mogła porównać rewelacje Caldana z innymi doniesieniami, jakie niewątpliwie spływają do niej wartkim strumieniem.

Amerdan także rozmówił się z Rennemem, wręczając mu garść dukatów, co wzbudziło ciekawość Caldana. Może miał w mieście jakąś rodzinę lub kogoś bliskiego i chciał się jakoś o tę osobę zatroszczyć na czas swojej nieobecności? Caldán nie zawracał sobie tym głowy za długo.

Gdy Rennena nie było już widać, wrócili do obozu. Zobaczył, że Dzwonki i Amerdan rozmawiają o czymś przyciszonymi głosami. Miranda siedziała po lewej stronie sklepikarza, wpatrzona w ogień. Nie poruszyła się przez całą noc.

Caldan gestem kazał Amerdanowi odsunąć się od Dzwonków, krzywiąc się na niego. Ten wstał i podszedł doń ze zwyczajowym uśmiechem na ustach.

– Ona jest niebezpieczna. Wolałbym, żebyś z nią nie rozmawiał. Prawdopodobnie będzie próbowała przekonać cię, żebyś ją wypuścił. A kiedy już będzie wolna, na pewno zaatakuje.

Amerdan wzruszył ramionami.

– Chce nas zabić?

– Tak.

Amerdan wskazał gestem Mirandę.

– Ona jest bezużyteczna. Wolałbym, żebyśmy ją zostawili.

– Co? Nie. Nie zostawię jej.

– W takim razie zostanie złapana i zginie tak czy inaczej. Nie ma talentu. Mówię ci, zostaw ją. Nawet Elpidia nas spowalnia.

Caldan zmarszczył brwi. Nie ma talentu? Co to znaczy?

– Nikogo nie zostawimy i koniec. A poza tym skąd mieliby wiedzieć, w którym kierunku poszliśmy?

– Optymista z ciebie. – Amerdan wskazał Dzwonki podbródkiem. – Ona ma zęby. Inni ludzie z zębami przyjdą po nią. – Zrobił pauzę, jakby się namyślał.

Zęby? Sklepikarz dziwnie dziś formułował wypowiedzi.

Ale ważniejsze było to, co mówił. A mówił same wariactwa.

– Nie mogę ich zostawić. Nie ma mowy. Jeśli chcesz odejść, szerokiej drogi. Pewnie i tak lepiej poradzisz sobie bez nas, choć szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś został.

– Nie chcę. Pewnie, że tak. Chciałbyś?

Caldan podrapał się w głowę, usiłując doszukać się sensu w odpowiedzi Amerdana. W końcu dotarło do niego, że Amerdan odpowiedział na jego pytanie i że sam również uważa, że lepiej by mu było bez drużyny.

Tylko że na chwilę obecną Amerdan był jedynym jej członkiem, który mógł się Caldanowi na coś przydać.

– Pewnie, że chciałbym – odpowiedział Caldan. – Powinniśmy trzymać się razem. Elpidia jest uzdrowicielką, a Dzwonki, jak mi się

wydaje, może pomóc nam z Mirandą. Muszę tylko wydobyć z niej informacje. Pomijam już, że w razie czego to jedyna potencjalna karta przetargowa w negocjacjach ze ścigającymi nas Indryallanami.

– Wydaje ci się... A więc jest ci potrzebna. No cóż, w takim razie lepiej pakujemy się i ruszajmy. – Amerdan zatarł ręce i rozpromienił się. Zagwizdał nie do rytmu jakąś wesołą melodię i zaczął gasić ognisko wodą z garnka.

Caldan otrząsnął się byle szybciej z tej dziwnej konwersacji, a potem zaczął zbierać ekwipunek. Przypasał miecz i zebrał torby siodłowe Mirandy i swoją. Elpidia była już gotowa do drogi. Caldan widział, jak sprawdza buteleczkę z jego krwią, czy dobrze zabezpieczona, i ostrożnie chowa ją w plecaku. Amerdan starł brud ze swoich dłoni i stanął obok towarzyszy.

Wszyscy powiedli wzrokiem do wciąż przywiązanej do drzewa czarodziejki. Caldan wiedział, że Elpidia za nią nie przepada. Przodkowie mu świadkiem – żadnemu z towarzyszy nie była szczególnie bliska. Czuli się niepewnie w pobliżu krnąbrnej Indryallanki.

– Ja będę ją prowadził – zadeklarował Caldan. Odwiązał Dzwonki i zdjął więzy z jej nóg, nadgarstki pozostawiając skrępowane, po czym puścił więźniarkę przodem.

– Dalej na zachód? – spytała Elpidia.

Dwaj mężczyźni potwierdzili skinieniem.

– Pieszo poruszamy się zbyt wolno. Musimy znaleźć jakieś konie albo chociaż wóz dla Mirandy i Dzwonków – dodał Amerdan.

– Rennen powiedział, że o kilka dni drogi stąd jest jakaś wioska – przypomniał sobie Caldan. – Kawalek na zachód od tego miejsca na południu, dokąd sam się udał. Chyba najlepiej zrobimy, kierując się właśnie tam.

Pchnął Dzwonki, a ona zaczęła przebierać nogami. Amerdan osłonił oczy od słońca i wskazał na południe.

– Wydaje mi się, że nie pójdzie nam tak łatwo. – Na horyzoncie podniósł się ku niebu kłęb czarnego dymu. – Zdaje się, że Rennen napotkał po drodze jakieś kłopoty.

Śmiech Dzwonków ściał krew w żyłach Caldana.



Słońce wspięło się wyżej na niebo, a potem opadło w stronę widnokręgu. Drużyna zatrzymała się u brzegu błotnistej strumienia. Amerdan krzątał się wokół nich, klepiąc Caldana po ramieniu i w serdecznych słowach zapewniając go, że na pewno, ale to na pewno zgubili już pogoń – choć przecież wcześniej sam kpił z optymizmu Caldana – jednocześnie przygotowując ognisko i rozdzielając dla wszystkich czerstwy chleb oraz ser na kolację. Nad ogniem pyrkała już owsianka dla Mirandy. Półpłynny kleik to wszystko, czym mogli ją karmić.

Pochłonawszy własną kolację, Caldan siadł obok dziewczyny. Ból, który dawał mu się we znaki, gdy znajdował się blisko niej, przybierał niemal fizyczną formę. Gdyby Miranda go nie spotkała, nie byłaby teraz taka, i choć istniała możliwość, że zdołają uleczyć ją za pomocą magii, to teraz był wobec jej przypadłości całkowicie bezradny. Ale to nie oznaczało, że nie ma zamiaru zrobić wszystkiego, co w jego mocy, by tego dokonać.

Zaczerpnął ze swojej studni i sięgnął do Mirandy, by wysondować jej umysł. I, jak każdej innej nocy, nic w nim nie znalazł. Żadnych strzępów dawnej Mirandy, którymi mógłby się podbudować w tej beznadziei. Nie znalazł też żadnego śladu, który nakierowałby go na to, jak może działać magia zniewalająca i jak odczynić spustoszenie, którego dokonała.

Wyrzucił powietrze z płuc, z trudem dając odpór fali rozpacz, a potem wyjął bransoletę, aby sprawdzić, czy nada się jeszcze do czegoś po uszkodzeniu. Po drugiej stronie ogniska Elpidia pilnie skrobała coś w notatniku, a Amerdan przechadzał się po obozowisku. Dobrze, że chociaż tym razem trzyma się blisko, pomyślał Caldan. Czasem w nocy ten człowiek nie mógł usiedzieć

w miejscu i zniknął na długie spacery, zostawiając cały obóz na jego głowie.

Ponownie zacisnął powieki, czując na sobie uważne spojrzenie Dzwonków.

Powiódł myślą po runach połączenia bransolety, przebiegł nią po buforach, kotwicach i zasłonach, orientując się od razu, że działają bez zarzutu i że jeśli gdzieś napotka problem, to w samym metalu. Wreszcie sięgnął zmysłami i spenetrował tworzywo, wlewając odrobinę ze swojej studni do ogniw. Tarcza otoczyła go błękitną poświatą, stabilna i mocna, przynajmniej z wierzchu.

Ale wewnątrz – to już zupełnie co innego. Rzemyśliwo zaczęło grzać go w palce, gdy uszkodzony metal usiłował przyswoić wlewającą się do niego moc. No i jasne – po wszystkich trudach bransoleta była niemal bezużyteczna. Uszkodzona metalowa powłoka ledwie znosiła nawet tę niewielką ilość sączonej oszczędnie energii. Ta tarcza przed niczym Caldana nie osłoni. Odciął dopływ energii ze studni i osłona zniknęła.

Dbając o to, by nie zdradzić się z emocjami, przysunął się bliżej do Mirandy. Robiło się chłodno i choć siedziała przy ogniu, jej skóra była zimna. Przytulił ją mocno i jej ciało delikatnie zadrżało.

– Jak słodziutko. Ja też mogę dostać przytulasa? – Dzwonki uśmiechnęła się, że sama dygocze. – Brrr, jak mi zimno, a... no cóż... Obawiam się, że przynajmniej przez jakiś czas ta mała nie odpowie na twoje pieszczoty. Jeśli w ogóle.

Caldan zamknął oczy, z całych sił starając się ignorować czarodziejkę, choć czuł, że twarz piecze go jak oparzona, a szczęki zaciskają się samoistnie.

– A właśnie, jak tam twoja tarcza? Nieco się zużyła, co? Biedny malutki Protektorek.

– Twój czar odbiła.

– Doprawdy? Widziałam oparzenia na twojej ręce. Odbiła czy nie?

Caldan wzruszył ramionami, nie zamierzał wdawać się w pyskówkę.

– Mogę jej pomóc – podjęła Dzwonki nieco ciszej. – Wystarczy, że mnie uwolnisz. Masz moje słowo. – Błysnęła w uśmiechu białymi zębami.

– Przodkowie raczą wiedzieć, czemu ci nie wierzę. W końcu tylko poprzysięgłaś nam wszystkim śmierć.

– Oj tam – zachnęła się czarodziejka. – Tak tylko mi się powiedziało. Jestem w niewoli już od kilku dni. Co niby miałam zrobić? Błagać o wybaczenie? – Poruszyła się w więzach. – Powtarzam: mogę pomóc i jej, i tobie. Tylko mnie rozwiąż.

Przetarł zmęczone oczy. Nieustanne zmartwienie i niedobór snu odbierały mu jasność myśli. Ale jednego był pewien: jedyną obietnicą, jakiej z całą pewnością Dzwonki dotrzyma, była obietnica zabicia ich wszystkich. Mimo to musiał trzymać się nadziei. Nadziei, że ta drżąca dziewczyna obok niego poprosi go kiedyś o koc, zamiast siedzieć w ciszy, nie rozumiejąc nawet, że jej chłodno.

– Jak niby mogłabyś jej pomóc? Gdybym wiedział, co robić, sam bym jej pomógł.

Dzwonki skrzywiła usta w uśmieszku i pokręciła głową.

– Może ją uleczyć tylko magia zniewalająca, a władanie nią nie jest tak łatwe jak władanie magią destruktywną. Poznanie wszystkich jej tajników zajmuje lata. A i to tylko wtedy, jeśli masz do tego smykałkę. Niektórzy po prostu jej nie mają i... – Spojrzała w niebo, jakby się nad czymś zastanawiała. – Rozbiłeś kiedyś jajko? Z jej umysłem mogło stać się coś podobnego.

– Rozumiem. Niestety, nie mogę cię uwolnić. Ale może zdołam przekonać cię jakoś inaczej?

– Kto wie. Chociaż właściwie to Klucz... – Przerwała i przełknęła ślinę, a potem podjęła łamiącym się głosem: – To Klucz władał taką magią i tworzył rzemyśliwa. Możliwe więc, że zabijając jego, zabiłeś i ją.

Caldan zaczął coś mówić, ale Dzwonki nie pozwoliła sobie przerwać.

– Lecz i ja rozumiem pryncypia tej magii i może uda mi się ją wyleczyć. Na pewno mam większą szansę niż ty, nawet gdybyś miał

za sobą lata szkolenia.

Caldan zastanawiał się nad słowami czarodziejki, ale myśli ospale przewalały mu się w głowie. Jeśli rzemyśliwa przeznaczone do magii zniewalającej miał przy sobie Klucz, to jakim sposobem Mirandzie miałyby pomóc pozbawiona artefaktów Dzwonki? A tutaj, w dziczy, nie mieli materiałów potrzebnych do rzemyślenia. Albo kłamała i wcale tego nie potrafiła, albo... Nowa myśl rozbłysła mu w głowie. Zaśmiał się pod nosem.

Wypuścił Mirandę z objęć i wstał.

– A ty dokąd? – spytała spłoszona Dzwonki.

Nie odpowiadając, Caldan obszedł ognisko i znalazł się przy rzuconym na kupę ekwipunku. Przeszukał własny, aż odnalazł to, czego szukał: rzemyślnicze dzwoneczki, które odebrali czarodziejce, gdy ją pojмали. Wrócił do kobiety i rozłożył je na ziemi przed nią. Patrzyła w ciszy.

Jedenaście dzwoneczków rozmaitych kształtów i rozmiarów, wykonanych z różnych metali, a do tego amulet i bransoleta. Caldan przyjrzał się dzwoneczkom, kilka obrócił w palcach, aby popatrzeć na glify i runy wyryte na ich powierzchni. Wewnętrzne ścianki niektórych były puste, inne także zawierały symbole. Po bliższych oględzinach jeden szczególnie go zainteresował.

Talizman.

Czy to oznaczało, że wszystkie pozostałe to duplikaty? Nie – znaki różniły się od siebie, więc to nie kopie. A jednak nie były nawet w połowie tak silne jak talizman, przez co Caldan zrozumiał, że pozostałe dzwoneczki to tylko zasłona dymna, mająca ukryć przed wzrokiem ciekawskich ten jeden rzadki i potężny talizman. Wiedział też, że bez pomocy Dzwonków nigdy nie odkryje jego przeznaczenia. Zakładając, że w ogóle wiedziała, do czego on służy. Ale inne rzemyśliwa... to zupełnie co innego. Te mógł sprawdzić i odkryć ich zastosowanie. W dodatku był przekonany, że jeden z nich to tarcza.

– Naprawdę nie powinieneś tego robić – przestrzegła go Dzwonki.

– Robić czego?



– Gmerać w nie swoich rzeczach, nie wiedząc, jakie pułapki mogą się kryć między nimi. Chcesz mieć usmażony mózg, jak twoja dziewczyna?

Pozwolił, żeby spłynęło to po nim jak po kaczce.

– Który z nich to tarcza?

– Żaden – odparła Dzwonki, zdecydowanie zbyt szybko. – Klucz mnie osłaniał.

– Wątpliwe, bo wówczas wasze tarcze zawiodłyby w tym samym momencie.

Dzwonki uniosła brwi.

– No proszę, w końcu zaczął myśleć.

Poirytowany Caldan skrzywił wargi.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale miałem trochę spraw na głowie.

– Jak my wszyscy.

– Prawda, ale niestety, nie mogę nic poradzić na twoje problemy. Klucz nie żyje. Jest mi przykro z tego powodu. Naprawdę. – Mówił szczerze, ale było jasne, że Dzwonki mu nie wierzy. Zresztą co go to obchodziło. – Mogę za to pomóc kilku żyjącym. Więc albo się zamknij, albo powiedz mi, co muszę wiedzieć.

Jej cisza była szczególnie wymowna i oznaczała: nie. Gdyby wzrok mógł zabijać, padłby martwy pod spojrzeniem czarodziejki. Trudno.

Wrócił do rozsypanych przed kobietą przedmiotów. Wątpił, by rzemyśliwa były zabezpieczone pułapkami. Niby po co? Zerknął na Dzwonki, która teraz przyglądała mu się wypranym z emocji wzrokiem. Wiedział o wiele za mało. Nie miał pojęcia o niej, o Indryallanach, o destruktywnej i zniewalającej magii. Przygnieciony zmęczeniem, siadł oddzielony od czarodziejki rzemyśliwami.

Wzruszył ramionami, wziął głęboki wdech i zaczął je badać.

Otworzył studnię i powoli podnosił dzwoneczki, szukając na nich znajomych glifów i run. Większości tych zagadkowych znaków i wzorów nie rozpoznawał. Wariacje innych budziły jakieś odległe skojarzenia, jednak nie wiedział, co oznaczały wprowadzone w nich zmiany. Długo tak siedział, całą uwagę poświęcając swojemu

zadaniu, podczas gdy Dzwonki tylko na niego patrzyła. Od czasu do czasu odkładał wybrany drobiazg na bok. Usypał w ten sposób kupkę artefaktów, których przeznaczenia postanowił nawet nie próbować się domyślać, i był prawie pewny, że znajdą się wśród nich także rzemyśliwa do magii zniewalającej oraz destruktywnej. Wiedział, że Dzwonki kłamie, wmawiając mu, że tylko Klucz władał magią zniewalającą – nie wiedziała, że pierwszy raz usłyszał o takiej magii od Simmona, gdy siedzieli razem w lochu gildii, rozmawiając właśnie o niej.

Teraz poczuł, że spowijająca jego myśli chmura nieco się rozproszyła. Z wyrysowanym na ustach krzywym uśmiechem złapał za kolejny dzwoneczek. Ten miał glify i runy podobne do jego rzemyślniczej tarczy, ale o nieco odmiennych strukturach.

– Ostrożnie – powiedziała Dzwonki. – Pamiętaj o tym rozbitym jajku.

Caldan mruknął coś z goryczą i podrapał się po brodzie.

Położył dzwoneczki na jednej ręce i utkwilił spojrzenie w nocnym niebie. Przez chwilę przyglądał się gwiazdom, a potem rzucił okiem w kierunku Mirandy.

Otworzył studnię i zbadał artefakt, uważając, by nie natknąć się na runy połączenia. Delikatnie podążył za wzorem, od ogniw do kotwic, przez bufory i runy pomostowe aż do zasłon i run transferencji. Jedynie kilku nie zdołał odczytać, ale ogólny wzór i struktura były zbliżone do jego tarczy, pomijając wiele par run połączenia.

Niewiele tu działałam, dopóki ich nie sprawdzę, westchnął w duchu. Wybrał wzór podobny do tego we własnej bransolecie, zaczerpnął tchu, a potem wydzielił ze studni dwa strumienie i podłączył się do pary run połączenia.

Nic się nie stało.

Dzwonki obserwowała go z ledwie widocznym na ustach uśmiechem. Wyczuł, że aktywowała swoją studnię, żeby zbadać, co on robi. To kolejna sprawa, która przysparzała mu zmartwień. Nie

miał jak uniemożliwić jej czerpania mocy. A gdyby jeszcze zbliżyła się z nadto do rzemyśliw, które nie są pod jego kontrolą...

Wydał usta i zmarszczył brwi. Gdy praktykantów uczono czarów osłonowych, wpajano im, że trzeba wyprowadzić ze studni dwa strumienie i choć to męczące, za wszelką cenę podtrzymać połączenie. Logika podpowiadała, że im ktoś jest lepszy w magii i im dalej zajdzie w swoich studiach, tym więcej strumieni będzie umiał wyprowadzić z jednej studni, dzięki czemu będzie mógł osłonić barierą tych obdarzonych mniejszą dozą talentu lub władających mniejszą mocą.

Ta zależność mogła tłumaczyć, dlaczego Caldan nie potrafił skorzystać z tego rzemyśliwa: podchodził do niego jak praktykant, podczas gdy Dzwonki była już mistrzynią.

Caldan zebrał się w sobie, skoncentrował i podzielił studnię na cztery strumienie. Z początku nie mógł ich dobrze złapać, ślizgały się w jego uchwycie i trudno mu było skupić się w równej mierze na czterech osobnych strumieniach. O mało nie stracił nad nimi panowania. Ale okiełznał je jakoś, a potem zaczekał na dogodny moment, żeby podłączyć się do drugiej pary run połączenia.

Gdy otoczyła go tarcza, świat zamazał mu się przed oczami, a Caldan poczuł, jak skóra zaciska się mocniej na jego ciele. Do nozdrzy wdarł się znajomy zapach cytryn i rozgrzanego metalu. Caldan wstał, okryty wielokolorową powłoką, która połyskiwała niczym rybie łuski. Czuł się w niej jakoś inaczej, jakby była gęściej upakowana niż jego własna osłona. Czerpała też z jego studni o wiele więcej mocy. Lecz niezaprzeczalnie była to tarcza. Udało mu się.

Zwrócił się ku Dzwonkom, która wpatrywała się w niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Jaki zdolny ten nasz mały Protektorek – powiedziała. – Może jednak nie jesteś taki zupełnie do niczego?

Caldan uśmiechnął się i zamknął studnię, odcinając poczwórny dopływ mocy, a potem schował dzwoneczek do kieszeni. To chyba najlepsze miejsce dla artefaktu, w końcu we włosy go sobie nie

wepnie. Nie urosły zanadto, odkąd opuścił klasztor. Za każdym razem, gdy ich dotykał, przypominał sobie, co mówiła mu Miranda: „Zapuść je. Chyba będzie ci ładnie”.

Może teraz zapuści.

Nie zważając na prośby Dzwonków, żeby chwilę został – niewątpliwie chciała jeszcze raz spróbować go wykiwać – schował pozostałe dzwoneczki w swoich rzeczach, a potem poszedł ogrzać się przy ogniu, przysuwając się bliżej do nieruchomej Mirandy. Do nocnej aury zakradł się chłód, musiał zadbać, by dziewczyna nie zmarzła.

Amerdan skinął na niego, a potem znowu zaczął chodzić w kółko po obozie. Odciął z drzewa pęk liściastych gałązek, pomachał nimi kilka razy na próbę, a potem zaczął wymiatać z obozu liście.

Elpidia wrzuciła do ognia jeszcze kilka patyków i zamieszała w kociołku.

– Znowu owsianka – westchnęła. – Jeśli mamy zostać w dziczy na dłużej, to trzeba nam prawdziwego jedzenia. Najlepiej by było uzupełnić zapasy w jakimś mieście lub miasteczku.

– Rennen powiedział, że powinniśmy natknąć się na jakieś w ciągu tygodnia – przypomniał Caldan. Przecież rozmawiali o tym minionej nocy i rano...

– Tak. Starorzecze. Ja tylko... – Westchnęła z wysiłkiem. – Chciałabym już zacząć eksperymentować z próbką.

Wiem, że byś chciała, odburknął w myślach. W kółko o tym gadała. Ale też rozumiał zniecierpliwienie uzdrowicielki. Pewnie sam też by się denerwował, gdyby wiedział, że umiera.

– Wkrótce – zapewnił ją po raz trzeci tego dnia. – Kiedy już dotrzemy do miasta, na pewno szybko znajdziesz pracę i się urządzisz, a potem będziesz mogła zacząć eksperymenty, czego by tam nie wymagały.

– Mam nadzieję – odparła, ucinając dyskusję.

Amerdan przestał w końcu zamiatać i podszedł do nich. Zamrugał oczami i podrapał się w głowę, odkaszlnął głośno, wyraźnie chcąc zwrócić na siebie ich uwagę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale tam coś przed chwilą było. Obserwowało nas.

Caldan zamarł. Elpidia zerwała się na nogi i wpatrzyła w noc.

– Postarajcie się nie pokazać po sobie, że wiemy, że tam są – poradził Amerdan.

Elpidia cofnęła się bliżej ogniska.

– Co my teraz zrobimy? – spytała przyciszonym głosem.

Amerdan wzruszył ramionami.

– Bylebyśmy tylko nie pokazali, że wiemy o ich obecności. – Dyskretnym gestem nakazał jej usiąść, co też uczyniła, szeleszcząc wygładzaną szatą i kuląc się, jakby chciała sprawić wrażenie niższej.

– Skąd wiesz, że ktoś tam jest? – wyszeptał Caldan, panując nad wyrazem twarzy.

– Noc nie brzmi jak zwykle. To mój talent. Gdy byłem mały, trochę polowałem. – Amerdan wyszczerzył się w uśmiechu. – Wciąż czasem poluję. I jestem pewien, że ktoś tam siedział.

Caldan zerknął na Dzwonki, która odpoczywała z zamkniętymi oczami. Miał pewność, że ich nie słyszy. Rozmawiali przyciszonymi głosami, a ona siedziała po drugiej stronie trzeszczącego ogniska. Nie był pewien, czy podniosłaby alarm, wyczuwając czyjąś obecność. Gdyby wyczuła swoich, raczej by tego nie zrobiła, żeby nie krzyżować im planów jej uwolnienia. Była jak Wędrowiec na dominionowej planszy – nie miał pojęcia, jak wpłynie na rozgrywaną przez Caldana partię.

– Powiedziałaś: było – zreflektował się Caldan. – Znaczy już sobie poszło?

– Tak mi się zdaje. Dobrzy są. Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby się zorientować, że już ich nie ma.

– Co robimy? – spytała ponownie Elpidia. – Myślisz, że wrócą?

– To prawie pewne. Przez jakiś czas ograniczali się tylko do obserwacji, zapewne szacowali nasze mocne... i słabe strony. Myślę, że będą to robić dalej. To, że jeszcze nam się nie pokazali, świadczy o ich ostrożności i cierpliwości. Wiedzą, co się stało, gdy uciekliśmy

z Anasomy. Obawiają się nas, bo udało nam się porwać ich czarodziejkę. Wątpię, żeby zaatakowali nas tej nocy.

Caldan nigdy jeszcze nie słyszał od Amerdana takiego potoku słów. Wymienili z Elpidią spojrzenia.

– Ale nie możemy być tego pewni – stwierdził. – Na przodków, nie wiemy nawet, czy aby na pewno trzymają z Dzwonkami.

Elpidia rozejrzała się.

– Powinniśmy wszyscy objąć wartę? – spytała drżącym głosem.

Amerdan skwitował jej obawy wzruszeniem ramion.

– Jeśli tu zostaniemy, to rano będziemy dokładnie tam, gdzie nas chcą. Nie wiemy, ilu ich jest, choć strzelam, że najwyżej dwóch lub dwoje.

Sklepikarz wyjął z kieszeni długi pas materiału, który wyglądał, jakby został oddarty z jakiegoś ubrania. Gestem przywołał do siebie Caldana i Elpidię. Caldan podejrzewał, że wie, co Amerdan zaraz powie.

– Tę sukę trzeba zakneblować – wycedził, potwierdzając jego przypuszczenia, nawet jeśli Caldan sam użyłby innych słów. – Następnie dorzucić do ogniska, żeby długo się dopalało. A potem uciekać stąd.

Elpidia zaczęła protestować, ale Amerdan przerwał jej uniesieniem ręki.

– Kierujemy się do miasta, prawda? Dotąd szliśmy bezdrożami, żeby zgubić ewentualną pogoń, co mocno nas spowalniało. Ale teraz... skoro zostaliśmy odkryci, nie ma sensu dłużej się kryć. Więc moim zdaniem trzeba wyjść na trakt, aby pokonać do rana jak największy dystans. Tak, będziemy szli w nocy. Przy odrobinie szczęścia dobrze wykorzystamy te kilka godzin przewagi i zostawimy w tyle tego, kto nas wytropił. Może nawet uda się dotrzeć do Starorzecza przed nimi. Tam prędzej ich zgubimy. – Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. – Oto co myślę na ten temat.

Caldan pokiwał głową. Elpidia także, choć z oporem. Sklepikarz mówił z sensem. Mylił się tylko co do zwiększenia tempa – ze związaną czarodziejką i otępiałą Mirandą nie pokonają zbyt długiej

drogi. Reszta też była już zmęczona i potrzebowała porządnego wypoczynku, ale rzeczywiście lepiej było ruszyć nocą, niż czekać na napaść o wschodzie słońca.

Wyciągnął rękę po materiał.

– Zgoda – powiedział, a Amerdan opromienił go uśmiechem.

– Ja to zrobię. Zbierzcie swoje rzeczy, byle po cichu.



**V**asil Lauris sączył wodę z kubka i przyglądał się siedzącym przy stole drabom. W głowie ukorzeniło mu się przekonanie, że są nieelastyczni, choć prawda była taka, że prawdziwie twardogłowym był tylko jeden z nich: ten imieniem Aidan. Czarodziej Chalayan i wojownik Anshul okazali się zupełnie do rzeczy, gdy już się z nimi pogadało.

Statek kołysał się na falach, trzeszczało drewno. Maleńka kajuta była upchana ludźmi i przez to budziła klaustrofobiczny lęk. Powietrza nie dało się odświeżyć nawet przez otwarcie bulaja i z każdym niechętnym oddechem do płuc Vasila napływały wilgoć i stęchlizna.

Popatrzył na trzymane przez mężczyzn kufle z piwem i oblizał usta. Z jakiegoś powodu od kilku dni drżały mu dłonie. Schował je pod stołem. Siedzący po jego lewej stronie Mazoet dopił haustem



resztę trunku. Czarodziej pił jak ryba i z obserwacji Vasila wynikało, że pochłania tyle jedzenia, co trzech roślących chłopów. I za każdym razem, gdy Vasil chciał porozmawiać z Aidanem, niczym cień podążał za nim albo Mazoet, albo Lumphildern Quiss.

Od upadku Anasomy czas spędzali na statku przycumowanym bezpiecznie w schowanej jaskini.

Gazija, niech będzie przeklęty, przykazał im cierpliwość. Słowa starca nieustannie brzmiały Vasilowi w uszach. Starzec tłumaczył mu, że musi skłonić Aidana i jego ludzi, by się do niego przyłączyli. Vasil bardzo nie lubił być wykorzystywany w ten sposób. Gazija i Lumphildern może i przypadkiem odkryli prawdę o jego talencie, ale to nie dawało im prawa, żeby manipulować Vasilem.

Zgadywał, że Aidan i jego ludzie nie dadzą się przekonać do niczego, co jest wbrew ich kodeksowi, i choć ludzie Pierwszego Wybawiciela jak dotąd nie zrobili niczego złego, to z całą pewnością magia starca nie pozwalała mu rozmówić się z Aidanem bezpośrednio. Prawdopodobnie Gazija rozumiał, że był to temat, który budził w grupie sprzeczne opinie, bo mimo że Chalayan wyraźnie podziwiał Mazoeta, Aidan podchodził do czarodzieja z pewną ostrożnością, jeśli w ogóle darzył go choć odrobiną zaufania.

Vasil prychnął w kufel i rozkaszał się. Na przodków, nie w tę dziurkę.

Czterej mężczyźni roześmiali się.

– Za mocna ta woda? – zakpił Chalayan.

Anshul cel Rau dolał sobie piwa, nic nie mówiąc, a Aidan się uśmiechnął. Mimo że początkowo traktowali Vasila z rezerwą i kazali Mazoetowi go śledzić, teraz pili wszyscy razem od kilku godzin i zachowywali się znacznie bardziej swobodnie, z biegiem nocy coraz swobodniej.

I Vasil pomyślał, że byli podejrzliwi nie bez powodu. To, że Mazoet był tu teraz, oznaczało, że szpieguje dla Pierwszego Wybawiciela. A jednak wszyscy pili i bawili się wspólnie. Olbrzym skrzyżował

ramiona na piersi i rozparł się na krześle, które zatrzeszczało ostrzegawczo pod jego ciężarem.

– No, Vasilu – powiedział głośno i z przesadną wesołością, która zabrzmiała w uszach Vasila jak fałsz. – Jak my mamy ufać komuś, kto nie pije?

Vasil uśmiechnął się niewyraźnie. Mazoet powinien mu pomagać, nie? Tymczasem przeszkadza.

– Swoje już w życiu wypilem. A potem przysiągłem, że więcej nie tknę alkoholu. Nie uważam, żeby czyniło mnie to niegodnym zaufania. Raczej dowodzi to siły, na którą mało kogo stać.

– Siły? – Mazoet był sceptyczny. – Czy słabości?

Vasil skrzywił się.

– Siły, siły. I to więcej, niż masz jej ty.

– Nie masz pojęcia, do czego jestem zdolny.

– O, na pewno jedną ręką zmasakrowałbyś sześć kurczaków z rusztu, popijając baryłką piwa.

Anshul i Chalayan buchnęli śmiechem.

– No już, już – przerwał im Aidan. – Wystarczy tego. Wartości człowieka nie ocenia się po pozorach.

– Ale niektórzy stwarzają pozory, żeby zamaskować nimi prawdę – dodał Chalayan.

Anshul zachichotał.

– Czyżby Mazoet był najszlachetniejszy z nas wszystkich?

– Może i tak, w końcu ocaliłem wam wszystkim życie – zaripostował Mazoet z godnością. – Uważam więc, że zasługuję na nieco więcej uprzejmości.

– Pić można z każdym – powiedział Aidan – ale dopiero wspólne żarty świadczą o zaufaniu. Wierz mi, nic bardziej nie świadczy o zażyłości. Jesteś teraz jednym z nas.

Mazoet pozdrowił go uniesieniem kufła.

– Za zaufanie.

Pozostałe kufle uniosły się pod sufit, również ten z wodą w rękę Vasila. Wypił i zawiercił się na krześle. Aidan ładnie to ujął, ale to nie zmieniało faktu, że zachowanie jego drużyny raczej budziło

wątpliwości, niż tłumaczyło cokolwiek. Nawet najlojalniejszego popiecznika Pierwszego Wybawiciela można przecież oszukać, by jak kto głupi wpuścił do kurnika stado lisów.

Chyba czas zarobić na sobie, pomyślał Vasil.

– Pięknie mówisz o zaufaniu, a jednak nie dałeś mi żadnego powodu, żebym uwierzył, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

– Prawda – odpowiedział za Mazoeta Aidan. – Ale z drugiej strony zaprosił nas na ten statek, więc może zaufanie powinno wyjść od naszego gospodarza, a nie od kogoś, kogo dopiero co poznaliśmy.

– Ależ tak właśnie jest. On mi ufa. Dlatego właśnie poprosił mnie, żebym z tobą porozmawiał. Więc pytam raz jeszcze: kim naprawdę jesteś?

Aidan zachichotał, a Chalayan wbił spojrzenie w Vasila, nieudolnie maskując pogardę. Cel Rau tylko wziął łyk piwa. Wreszcie przemówił Aidan.

– Jak już mówiłem, sam cesarz polecił nam szukać po świecie zła i niszczyć je. Dał Cait... Dał nam pisemny nakaz, co oznacza, że odpowiadamy jedynie przed samym cesarzem. – Pochylił się naprzód, przytrzymując wzrokiem spojrzenie Vasila. – Widzieliśmy rzeczy, które opróżniłyby ci żołądek.

Chalayan strzelił do Vasila szyderczym uśmiechem i pokiwał głową. Vasil mógł tylko wywrócić oczami na ten widok.

– Zachowaj te uśmieшки dla kogoś, na kim zrobią wrażenie.

Mazoet nagroził te słowa śmiechem, wzbudzając rumieniec na twarzy Chalayana.

– Aidanie, kontynuuj – powiedział Vasil. – Jak sam się wyraziłeś... opróżnij mój żołądek.

– Zła magia – podjął Aidan tonem sugerującym, że również i docinki Vasila nie trafiły na podatny grunt. – Taka, która każe wątpić w to, że jest w człowieku jakieś dobro. Jukarowie i wszystkie inne istoty, które ostały się na świecie po Zdruzgotaniu, i wszystko to, do czego są zdolne... Lepiej miej nadzieję, że nigdy nie zobaczysz tego na własne oczy. Tego okrucieństwa, całkowitej degeneracji, przed jaką wzdrygają się nawet weterani wielu kampanii. Nie chcę

mówić tu szerzej o tych sprawach, bo sam staram się o nich zapomnieć. Ale mówisz, że chcesz wiedzieć, kim jesteśmy, tak? Jesteśmy umbem puklerza, który osłania cesarstwo.

W jego słowach brzmiała prawda. Vasil zaczął się nad tym zastanawiać. Aidan wygłosił tę małą przemowę z całkowitym przekonaniem, ale to jeszcze nie znaczy, że to prawda. Wyglądało na to, że Aidan dowodzi gromadą wędrownych najemników, którzy nie znają prawa ni pana, a wszelkie swoje występki usprawiedliwiają cesarskim pismem. Nie mieli w swoich szeregach sędziego, takiego jak Vasil, i mordowali każdego, kogo uznali za poplecznika zła. W mniemaniu Vasila nie byli więc lepsi od krążących po gościńcach rozbójników, których niegdyś osądzał.

Masz rację, młodzieńcze, pomyślał. Na samą myśl o tym, co robicie, mam ochotę rzygnąć.

To stawiało go w trudnej pozycji, ponieważ jakkolwiek Vasil by na to patrzył, grupa Aidana przypominała po prostu bandę fanatyków. To z kolei oznaczało, że jeśli Vasil popełni błąd, Aidan może pomyśleć, że próbuje nim manipulować. Ten żołnierz był zbyt bystry, żeby coś podobnego puścić Vasilowi płazem, i – jeśli podejrzenia Vasila są słuszne – Aidan nie zawaha się zabić ich wszystkich, jeśli tylko uzna motywy Pierwszego Wybawiciela za złe.

Zagryzł wargę. Myśl, na przodków, myśl!

Mazoet z westchnieniem stuknął pustym kuflem o blat.

– Taki talent, a nie wie, od czego zacząć. Żal bierze, co, chłopaki?

Po czyjej stronie był ten gruby drań?

– A co to za talent, jeśli wolno spytać? – zaciekawiał się Aidan. – I w czym problem? Może zdołamy pomóc?

– O, to na pewno – mruknął Mazoet.

Vasil wymierzył w niego złowróżbne spojrzenie. Latami ukrywał swój talent, a teraz ot tak ma go wyjawić?

– A czy naprawdę muszą wiedzieć?

– O twoim talencie? Ma się rozumieć! To bardzo zabawne.

– Zabawne?

– Tak. To jak sztuczka kuglarza.

Vasil zerknął na kufel z piwem i znowu oblizał usta. Wzdrygnął się, otarł czoło wierzchem dłoni.

– No, słuchamy. Co to za talent, mieszczechu? – drążył Chalayan.

– Na pewno nie picie piwa – zażartował Anshul, a jego kamraci zaśmiali się w głos.

Vasil pokręcił głową. To on powinien pytać ich o talenty, skoro Gazija tak bardzo zabiegał o ich poparcie. Z jego dotychczasowych obserwacji wynikało, że brylowali w dwóch rzeczach: chlaniu i awanturowaniu się. Ale obiecał Pierwszemu Wybawicielowi, że spróbuje ich przekonać, a co ważniejsze, Vasil przyrzekł samemu sobie, że w końcu wykorzysta swój talent w słusznej i ważnej sprawie. Nigdy dotąd nie potrzebował – nie, nie musiał – odkryć się w taki sposób przed innymi, ale może zdoła jakoś ich zbyć, nie urażając.

Odchrząknął. W Anasomie pracował przecież jako sędzia. Rozstrzygał spory i osądzał oskarżonych, a czasem nawet samych świadków. Był specjalistą w swojej dziedzinie. Poradzi sobie z nimi. Złożył dłonie w koszyczek i przemówił:

– Zwykle sędzia pokoju rozpatruje tygodniowo od dwudziestu do trzydziestu spraw. Ja zbliżałem się do setki. Jak myślicie, co to może oznaczać?

– Że chałturzyłeś? – błysnął Chalayan.

Aidan i Anshul roześmiali się.

Vasil spokojnie pokręcił głową.

– Bynajmniej. Rozpatrywałem tyle spraw, bo... bardzo łatwo mi stwierdzić, czy ktoś kłamie, mówi prawdę, czy może coś pomiędzy.

Zrobił pauzę, by dotarło. Mazoet skupił na nim spojrzenie. Siedzący naprzeciwko Aidan wzruszył ramionami.

– Ja też dobrze rozpoznaję, czy ktoś kłamie, czy nie. No i co z tego?

– Przede wszystkim nie mówię wcale, że potrafię rozpoznać, czy ktoś kłamie, czy nie. Ja po prostu to wiem. Od razu, natychmiast. Gdy orzekłem, że ktoś kłamie, zawsze była to najprawdziwsza prawda i nikt nigdy nie wątpił w moje słowa.

– Niezła sztuczka – skwitował Chalayan, najwyraźniej dzieląc odczucia Mazoeta.

– Wciąż nie rozumiecie, co? To znaczy, że wiem, co naprawdę dzieje się w ludzkich głowach. Wiem, co ukrywają lub co próbują ukryć. Wiem to natychmiast, czy chcę czy nie. Każdy skrywa przed światem jakąś tajemnicę i pilnuje, żeby nie wyszła ona na światło dzienne, lub dozuje rozmówcy prawdę, jeśli tylko może coś na tym ugrać. – Vasil drżał. Mówienie tak otwarcie o tym, co skrywał przez lata, wyprowadzało go z równowagi. – Ale ja wiem o wszystkim. Nikt nie jest w stanie tego przede mną ukryć.

Przerwał, aby łyknąć wody. Cel Rau pociągnął po towarzyszach niedowierzającym wzrokiem, ale Chalayan tylko wzruszył ramionami.

– Strzelam, że wielu ludziom się to nie podoba – rzekł w końcu czarodziej.

– To prawda, nie podoba. Za to podobało im się wykorzystywanie mnie, gdy moje zdolności były im na rękę i gdy zamierzali skorzystać na czyjejsz krzywdzie.

Mówiąc to, sędzia wycelował spojrzenie w Mazoeta. Wielki mężczyzna odpowiedział uśmiechem, a Vasil przymknął oczy. Skoro o prawdzie mowa: nie lubię tego typu, westchnął w duchu.

– No cóż – odezwał się Aidan, rozsiadając się wygodniej na krześle i zaglądając do kufła. – Przydałaby mi się dolewka.

– Nie – zabronił Vasil, wciąż nie otwierając oczu, a zdziwiony Aidan uniósł brwi. Na ustach Mazoeta pojawił się uśmiech.

– A to czemu? – spytał Aidan.

– Bo twój kufel jest jeszcze pełen?

– No proszę, rzeczywiście.

Chalayan i cel Rau prychnęli śmiechem.

– Pewnie widział, jak dopełniasz go jakiś czas temu, i zapamiętał, ile wypijeś! – wykrzyknął czarodziej.

Vasil zaprzeczył ruchem głowy, a potem otworzył oczy i popatrzył na każdego po kolei.

– Założmy się. Jeden z was wypowie dziesięć twierdzeń, o których prawdziwości nie mogę mieć pojęcia. Ja zaś powiem, czy to prawda, czy kłamstwo. Jeden srebrny dukat za jedną odpowiedź. Ale jeśli odpowiem błędnie, za każdą moją błędną odpowiedź będę dłużny o jednego dukata więcej. A więc jeśli dwa razy odgadnę źle, wiszę wam dwa srebrniki, jak trzy razy, cztery, i tak dalej. Zgoda?

Aidan łypnął na Chalayana, który szczerzył się od ucha do ucha. Czarodziej zatarł ręce.

– Zgłaszam się. Nic o mnie nie wiesz, a w mojej sakwie zawsze znajdzie się miejsce dla nowych dukatów.

– W mojej także.

Mazoet usiłował przysłonić dłonią cisnący się na usta uśmiech.

– Biorę wszystkich was na świadków – oświadczył Chalayan. – Słyszeliście, jakie są reguły gry.

Rozległ się twierdzący pomruk zebranych. Aidan wwiercił w Vasila uważny wzrok. W końcu ten drugi uniósł rękę.

– Uwaga: muszą to być rzeczy, o których ktoś z zebranych będzie mógł zaświadczyć, że są prawdziwe. Inaczej nie będziemy mieć pewności, że nie oszukujesz.

Chalayan z namysłem wpatrywał się w sufit.

– Imię mojej matki brzmi Wiosenny Kwiat – rzekł i utkwiał w Vasilu wyczekujące spojrzenie.



– Pięćdziesiąt pięć srebrników? – wrzasnął Chalayan, aż się zapłuł. Aidan wstał z miejsca i wszedł między czarodzieja i Vasila. Śmiech lał się z jego ust, a obok niego rechotał zgięty wpół Anshul. Mazoet chichotał, kręcąc głową.

– Przystąłeś na jego warunki – przypomniał mu Aidan.

– Ale... on mnie oszukał! To przecież ponad pięć złotych dukatów! Nie zapłacę, nie ma mowy.

– Ależ zapłacisz, zapłacisz – zaproponował Aidan. – Masz uszanować wynik zakładu – dodał z ostrzeżeniem w głosie.

– Nie trzeba – ogłosił pojednawczym tonem Vasil. – Nie chodziło mi o pieniądze, musiałem tylko coś udowodnić.

– Widzicie? Sam przyznaje, że mnie oszukał!

Aidan pokręcił głową.

– Wcale nie. Przyznaje, że w odróżnieniu od ciebie jest człowiekiem honoru. Odgadł dziesięć razy, czy mówisz prawdę, czy kłamiesz. To nie oszustwo.

Chalayan zapienił się ze złości i uderzył w Vasila morderczym spojrzeniem, a potem wymierzył w niego oskarżycielski palec.

– Powtarzam: nie zapłacę.

– Ja też powtarzam: nie musisz – odparł Vasil. – Ważne jest to, że teraz mi wierzysz.

– Kto wie, może to jakieś kolejne szachrajstwo? – wybełkotał Chalayan.

Aidan zatrzymał na Vasilu zamyślane spojrzenie.

– Nie, nie sędzę. W każdym razie najlepiej będzie, jak skończymy na dzisiaj. Wrócimy do tego jutro.

Za ich plecami Mazoet nagroził Vasila bezgłośnymi brawami, a potem chwiejnie dźwignął się na nogi.

– O, chyba za dużo mi się wypilo. – Przepchnął się obok stołu i stanął przy drzwiach. – Zastanówcie się wszyscy, co to oznacza – rzucił do towarzyszy. – To rzadki talent, a mimo to wcale nie przyniósł Vasilowi bogactwa. Tylko Gazija należycie go docenił.

Teraz postanowiłeś pomóc? – zaperzył się w duchu Vasil. Serdeczne dzięki za nic.

Mazoet posłał mu uśmiech, jakby odczytał jego myśli, a potem opuścił kajutę. Chalayan wysunął się Aidanowi spod ręki i również wyszedł. Anshul pewnie wstał z miejsca, stabilny na nogach pomimo pochłoniętego alkoholu.

– Pięćdziesiąt pięć – powiedział, wciąż się śmiejąc, i wskazał Vasila głową. – Dawno się tak nie ubawiłem.

To już koniec żartów, pomyślał Vasil. Jutro bierzemy się do roboty.





**S**zli drogą na południe, Caldan pod rękę z potykającą się o kamienie Mirandą, za nimi Amerdan z Dzwonkami na powrozie oraz zamykająca pochód, zagubiona w myślach Elpidia ze wzrokiem wbitym w przemykający pod stopami bruk. Miecz Caldana – co rusz musiał sam sobie przypominać, że nie jego, tylko Protektorów – plątał mu się między nogami, gdy podtrzymywał słaniającą się Mirandę. Znowu poprawił pas i teraz broń spoczęła ukośnie na plecach, z wystającą ponad bark rękojeścią, do której łatwo i szybko będzie mógł sięgnąć. Całe jego doświadczenie z drewnianymi mieczami nie przygotowało go na prawdziwy.

Szli dalej. Cesarscy dbali o swoje drogi, za co Caldan był im wdzięczny. Odkąd poprzedniej nocy natknęli się na brukowany gościniec, ich szybkość znacznie wzrosła. A gdy cesarz w końcu

wyśle do Anasomy żołnierzy, by uporali się z inwazją, umożliwi drużynie szybki powrót do stolicy.

Caldan zmarszczył brwi. Przecież Indryallanie musieli o tym wiedzieć, inaczej nie zamknęliby miasta... Im dłużej cesarz zwleka z odpowiedzią na napaść, tym lepiej Indryallanie będą przygotowani, gdy wreszcie pofatyguje się do nich z Kołczanami, czarodziejami i Protektorami. Ale zaraz, to przecież nie miało sensu. Po co zajmować miasto tak ważne jak Anasoma, a potem czekać na oblężenie? Jeśli wrogowie chcieli tylko pozabijać czarodziejów i Protektorów, to cel został przecież osiągnięty. Co oni jeszcze robili w murach?

Nie, ewidentnie mieli tam jeszcze coś do zrobienia. Caldan wciąż wracał myślami do rozmowy z Dzwonkami, która unikała odpowiedzi na jego pytania o motywy najeźdźców. Caldan nie mógł oprzeć się wrażeniu, że nie znaleźli jeszcze albo nie dokończyli owego czegoś, co kazało im przybyć do Anasomy. Tok jego myśli zmienił kierunek, gdy Caldan poczuł, że pochwa miecza znowu zsunęła mu się aż do biodra. Simmonowi udało się złamać zaklęcie zniewalające, a pierwszą rzeczą, którą zrobił zaraz potem, było ukrycie miecza. Czy talizman był aż tak ważny, czy może ukrycie go było wszystkim, co zdążył zrobić w tej krótkiej chwili?

I czy może to jakoś pomóc Mirandzie?

Caldan zorientował się, że zza jego pleców nie dobiega już odgłos kroków. Delikatnie ujął Mirandę za ramiona i wstrzymał ją w miejscu. Mrugnęła kilka razy, a gdy podskoczyła jej głowa, Caldan zorientował się, że spazmatycznie przełknęła ślinę. Głaskał ją, dopóki się nie uspokoiła. Zdecydował, że poczekają chwilę.

W ostatnich dniach jest stan się pogorszył. Caldan długo myślał, że istnieje szansa, że się jej polepszy, że jej umysł jakoś zaadaptuje się do uszkodzenia, nauczy się omijać niesprawności. Teraz jednak widział, że z Mirandą jest coraz gorzej.

– Zostań tutaj – wymruczał, klepiąc ją po ramieniu. – Zaraz wracam.

Jak zawsze, gdy do niej mówił, starał się zachować serdeczny ton głosu, nie dopuszczając do niego rozpaczy, która kiełkowała w sercu.

Zostawił dziewczynę, gdzie stała, a sam odwrócił się do Amerdana, Dzwonków i Elpidii, którzy wpatrywali się w miejsce, skąd przyszli. Caldan podążył za ich wzrokiem i dostrzegł kolumnę czarnego dymu, która wznosiła się w niebo tam, gdzie znajdował się ich porzucony obóz. Sygnał? Czy ostrzeżenie? Nie miał pojęcia.

Nie zdążył oderwać wzroku od dymu, gdy Elpidia skróciła dystans i minęła go, ocierając się o jego ramię, po czym ujęła Mirandę za rękę i ruszyła naprzód. Amerdan zwrócił się ku Caldanowi z uśmiechem na ustach.

– To z miejsca, w którym obozowaliśmy. Ktokolwiek nas śledził, właśnie zorientował się, że nie spędziliśmy tam nocy. Ten sygnał jest dla nas. Wiedzą, co zrobiliśmy. Chcą nas przestraszyć. Chcą, żebyśmy ze strachu zrobili jakąś głupotę. Jeśli dalej będziemy wlec za sobą Mirandę i Elpidię... – zawiesił głos.

– Nie zostawimy ich – powiedział Caldan z naciskiem.

Amerdan tylko wzruszył ramionami.

– W takim razie musimy znaleźć jakieś skupisko ludzkie, wmieszać się w tłum. Tutaj – wskazał ciągnące się pod niebem pola i łąki – jesteśmy jak na widelcu. Widać nas z daleka i nie ma gdzie się schować.

– A jak myślisz, gdzie znajdziemy takie skupisko?

– Miejmy nadzieję, że w miasteczku przed nami jest jakaś karczma, że zdołamy kupić konie lub dołączyć do jakiejś większej grupy zdążającej na zachód.

Caldan gestem nakazał wznowienie marszu, prowadząc naprzód zakneblowaną Dzwonki.

– Jak my kupimy konie, Amerdanie? Nie mamy zbyt wielu dukatów, a ja nie mogę sprzedać żadnego jej rzemyśliwa.

Czarodziejka zaprotestowała na samą wzmiankę o kupczeniu jej własnością, miotając zza knebla jakieś wściekłe słowa. Caldan nie zwracał na nią uwagi. Amerdan uśmiechnął się zaciśniętymi ustami.

– Konie zostaw mnie.

Wkrótce potem ujrzeni przed sobą skrzyżowanie. Zmierzali ku niemu z drżącym sercem. Wokoło stały stłoczone blisko budynki, a wzdłuż biegnącej w dal drogi rozłożył się mały targ. Miejscowi rolnicy na rozchwierutanych straganach wystawili swój towar w koszach i skrzynkach: owoce, warzywa i jaja. W klatkach gdakały kurczaki.

To miejsce na przestrzeni lat musiało urosnąć do rangi stacji pośredniej. Drewnianych budynków nie zdobiły żadne ornamenty, ale sądząc z wyglądu, przynajmniej dwa z nich były gospodami. Inny zbudowano z kamienia i wsparto o niego drewnianą stajnię.

Caldan wypatrzył kilka Kołczanów patrolujących prowizoryczne miasteczko. Dwaj żołnierze zniknęli w kamiennym budynku, który Caldan uznał za ich garnizon.

Silna ręka złapała go za ramię.

– Upewnij się, że wiesz, co robisz – poradził mu Amerdan.

– O czym ty mówisz? Tu są żołnierze. Musimy tylko powiedzieć im o napaści na Anasomę.

Zaraz, Amerdan może mieć rację. Caldan nie chciał oddać Dzwonków Kołczanom, ale musiał się przecież z nimi rozmówić.

– Potrzebujesz ich pomocy – przekonywał sklepikarz – i choć niezbyt mi się to podoba, to nie bardzo mamy wybór, bo ktoś nas śledzi. I ten ktoś chce najpierw odbić czarodziejkę, a zaraz potem nas pozabijać. Na tę chwilę jesteśmy prawie bezbronni. – Amerdan wskazał gestem Mirandę i Elpidię. – Czy spróbujesz przekonać Kołczany, że Dzwonki jest zbyt niebezpieczna, żeby im ją powierzyć? A gdyby tak udało się ich przekonać, żeby dali nam obstawę? Wtedy będziemy bezpieczniejsi.

Caldan zawahał się. Nie mógł pokazać Kołczanom magii destruktywnej, ale może istniał sposób, aby przekonać ich, że bez nadzoru Caldana indryallańska czarodziejka będzie stanowić zagrożenie również dla nich.

– Tak, chyba mi się to uda – powiedział, coraz szybciej kiwając głową. – Pewnie nie wiedzą za wiele o magii, więc będą musieli uwierzyć mi na słowo.

Amerdan machnął ręką.

– Jak to zrobisz, to bez znaczenia. Kłam, jeśli musisz. Zrób, co tylko się da. – Położył dłoń na jego barku. – Im szybciej znajdziemy się w Starorzeczu, tym lepiej. Wtedy Elpidia będzie mogła tam zostać i zająć się swoimi sprawami. A my ruszymy dalej.

– Ruszymy dalej? Ależ nie, ja muszę się tam skontaktować z Protektorami, którzy powinni być w Gildii Czarodziejów.

– Ale nie obawiasz się, że przełożeni gildii odbiorą ci Dzwonki? Zamkną ją i przesłuchają, a ty nie będziesz miał do niej dostępu.

Kłamanie Protektorom nie było w smak Caldanowi. Przecież byli dla niego tacy dobrzy. Ale z drugiej strony... bliższa ciału koszula.

– Przyznaję, sam o tym myślałem. Pewnie to właśnie zrobią. Uznaliby ją za zbyt ważną, a ja nie mam żadnej poważnej rangi, żeby oponować. Nie jestem nawet czeladnikiem, więc na pewno jej ze mną nie zostawią. Przy dobrych wiatrach mógłbym ją odwiedzać... ale nawet w to wątpię.

– Wątpisz? Przecież to jasne jak słońce, że więcej jej nie zobaczysz. Wiesz o tym doskonale. Wiesz też, że Dzwonki to twoja jedyna nadzieja na uleczenie Mirandy. Skoro obie są takie ważne, że nie porzuciłeś żadnej po drodze, a przecież bez nich poruszałibyśmy się szybciej, to chyba nie po to, żeby utracić obie w Starorzeczu? Więc nie, nie możesz pozwolić Kołczanom odebrać ci Dzwonków, gdy dotrzemy do miasta.

– A więc co mam zrobić? Nie mogę przecież udawać, że im ją oddaję, żeby zaraz z nią uciec.

Amerdan uniósł brwi.

– A dlaczego nie?

– To przecież... – wydukał Caldan. – No, po prostu nie mogę! Ona wiele wie o Indryallanach i inwazji.

– Jak wiele? Zresztą nieważne, wszystko sprowadza się do tego: musisz zdecydować, co jest ważniejsze, Miranda czy strzępy informacji, które Protektorzy może wydobędą, a może nie wydobędą z Dzwonków torturami. Przy czym nie wiadomo przecież, czy w ogóle uwierzą w to, co im powie. No, decyduj.

Chaotyczne myśli wirowały Caldanowi w głowie. Wątpił, by czarodziejka zdradziła śledczym jakieś szczegóły dotyczące inwazji. Amerdan miał rację: jeśli Kołczany zorientują się, że Caldan jest tylko praktykantem, nigdy już więcej nie zobaczy Dzwonków. Mistrz Simmon nie zdążył podnieść go do rangi czeladnika, ale nawet gdyby to zrobił, pewnie i tak zabraliby mu czarodziejkę.

Popatrzył na Elpidię, Dzwonki i Mirandę. Wszystkie spoglądały na niego pustymi oczami, ale Caldan wpił się wzrokiem tylko w czarodziejkę, myśląc intensywnie. Do miasta dotrą najwyżej za kilka dni, a on musiał do tego czasu skłonić ją do gadania, bo jak nie... to może w przypiływie desperacji Caldan posunie się do zrobienia czegoś, czego będzie później żałował. Bardzo mu się nie podobała ta perspektywa, ale skoro Dzwonki nie reaguje na groźby, to czy ma jakiś wybór? Tylko czy rzeczywiście odważy się użyć siły?

– Elpidia dostarczy wiadomość Kołczanom – powiedział w końcu.

Amerdan pokiwał głową i cienki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– Cokolwiek zdecydujesz, ja jestem po twojej stronie. – Rzucił okiem w kierunku targu. – Trzeba nam zapasów, a mnie objają się jeszcze w kieszeni jakieś dukaty. Postaraj się nie rzucać w oczy. Kupię coś i zaraz wracam.

Caldan mruknął przyzwalająco i odwrócił się do pozostałych, gdy tymczasem Amerdan ruszył po sprawunki.

– Co tu się dzieje? – rozległ się głos po jego prawej.

Okręcił się na pięcie, sięgając po miecz, i raptem stanął twarzą w twarz z dwoma Kołczanami. Elpidia zachłysnęła się powietrzem. Caldan wodził po mężczyznach ostrożnym spojrzeniem. Obaj musieli niedawno przekroczyć dwudziestkę, mieli na sobie czyste mundury, a ich ręce nie były poznaczone odciskami zaprawionych wojaków. Zapewne mieli sporo wolnego czasu, którego woleli nie marnować na ćwiczenia. Jeden miał wąskie wargi i cofnięty podbródek, który usiłował zasłonić brodą. Na ustach drugiego wisiał pogardliwy uśmieszek człowieka przekonanego, że jest lepszy od innych. Nie mieli przy sobie łuków ani kołczanów, tylko krótkie

miecze. Podejrzliwym spojrzeniem mierzyli Caldana, Dzwonki, Mirandę i Elpidię. Musieli wyjść z pobliskiego budynku, gdy nie patrzył. Ze środka ktoś zawołał, a potem poniósł się rubaszny śmiech i stukot uniesionych do toastu kufli. Czy oni pili? Tak czy owak, możliwości Caldana mocno stopniały.

– Idziemy właśnie do dowódcy garnizonu – rzucił pośpiesznie do żołnierzy. – Czy wy jesteście teraz na służbie?

– Ja tu będę zadawał pytania – warknął brodaty Kołczan. – Dlaczego ta kobieta jest związana? I kim w ogóle jesteście?

Z ust Dzwonków wydobył się dźwięk. Pracowała nimi, jakby usiłowała wypluć knebel.

– To czarodziejka. Anasoma została zaatakowana przez Indryallan, a ona była z nimi.

Kołczany wymieniły spojrzenia.

Oni wiedzą, domyślił się Caldan. Albo podejrzewają.

Dzwonki nie przestawała mamrotać.

– Jest niebezpieczna. Musicie...

– Milczeć! My nic nie musimy. Idziemy do dowódcy. To może być jakaś sztuczka.

– Ależ, panowie – powiedział Caldan. – My nie...

Ten brodaty chwycił wiszący na szyi gwizdek.

– Dmuchnę i zaraz zbiegną się Kołczany. Ani słowa, koleżko. Ręce trzymaj z dala od broni. A teraz wszyscy grzecznie idziemy do tamtego budynku. Powolutku.

Caldan zawahał się. Czy powinien zaryzykować i skorzystać z magii, by uciec? Nie chciał poturbować tych żołnierzy, jeśli nie musiał, ale...

Elpidia odetchnęła głęboko i położyła Mirandzie rękę na ramieniu. Dziewczyna ruszyła w kierunku garnizonu. Caldan stłumił westchnienie. Mógłby przysiąc, że Dzwonki uśmiecha się pod kneblem. Złapał ją i pchnął przed siebie.

W budynku garnizonu kilku Kołczanów grało w karty przy stole za drewnianym kontuarem, który dzielił pomieszczenie na pół. Tylko jeden z obecnych w środku żołnierzy wyglądał jak

doświadczony wojak – na oko czterdziestoletni mężczyzna siedzący nieco dalej na bujanym krześle. To musiał być dowódca. Pozostałe Kołczany były na tyle młode, że chyba nie musiały się jeszcze golić. Na jednej ścianie wisiała broń i żelazne kajdany.

Widząc, że Caldan i pozostali wchodzą do środka, Kołczany podniosły wzrok, a zaraz potem ponownie utkwili go w kartach i wznowiły przerwane rozmowy. Tylko jeden z młodych westchnął z wysiłkiem i dźwignął się z krzesła, podchodząc do kontuaru. Taksował wzrokiem przybyłych, zauważając złachane po wędrówce odzienie i umazane twarze. Uniósł brwi na widok związanej i zakneblowanej czarodziejki. Zmrużył podejrzliwie oczy, widząc dwóch wchodzących za nimi żołnierzy.

– Co jest, Ettmo?

Brodaty Kołczan wystąpił naprzód.

– Wyobraź sobie, Barnardzie, że schwytaliśmy ich, gdy próbowali zakraść się do miasta. Zachowywali się podejrzanie i była z nimi ta związana i zakneblowana kobieta, uznaliśmy więc, że najlepiej zrobimy, przyprowadzając ich na komendę.

Młody żołnierz nazwany Barnardem umilkł i posłał towarzyszowi uważne spojrzenie.

– Bardzo dobrze – powiedział w końcu, a potem zawołał przez ramię: – Dowódco, proszę przyjść.

Caldan rzucił na ziemię swoją zakurzoną sakwę.

– Jeśli wolno, panowie. Przybyliśmy prosto z Anasomy. Miasto zostało napadnięte.

Barnard podrapał się w brodę.

– Napadnięte, mówisz. Zaraz do tego wrócimy, ale najpierw odpowiedz: czemu ta kobieta jest związana? – Wskazał na Dzwonki.  
– Na pierwszy rzut oka widać, że nie jest tutejsza.

Caldan przeniósł spojrzenie na dowódcę, który wstał z fotela i wygładził ubranie.

– Dowódco – powiedział, podnosząc głos – błagam, proszę nas wysłuchać. Ona była z najeźdźcami. A my...



– Na pomoc! – zaskrzeczała Dzwonki, która jakimś sposobem zdołała zdjąć knebel samymi ustami. Odskoczyła od Caldana i Elpidii, strzelając dookoła zdziczałym wzrokiem, z miną utrapionej cierpiętnicy. – Ja nie wiem, o co mu chodzi, ale błagam, pomocy!

– Co ty...

– Kłamca!

– Chwila, to ona kłamie. Nie wiercie w ani jedno jej słowo. – Caldan utkwiał wzrok w Barnardzie i dowódcy. – Mówię wam, ona była wśród najeźdźców.

Barnard skrzywił się i uniósł ręce. Za jego plecami pozostali żołnierze obserwowali scenę z wymalowanym na twarzach rozbawieniem. Tymczasem dowódca niestrudzenie sunął do kontuaru.

– Błagam, panie, nie zostawiajcie mnie z nimi. On mnie... dotykał... Caldana zgromiły osądzające spojrzenia.

– Ależ... – wybełkotał. – Ależ nigdy w życiu...

Zrobił krok w stronę czarodziejki.

– Do tyłu, ale już! – ostrzegł go Barnard. – Nie zbliżaj się do niej. Dobrze. Ty! – Wskazał Dzwonki. – Pod tamtą ścianę.

– Dziękuję. – Dzwonki opromieniła żołnierza uśmiechem, a ten zarumienił się jak dziewczę.

Elpidia spojrzała na Caldana i pokręciła głową z dezaprobatą.

– Musicie mnie wysłuchać – prosił Caldan.

– Cisza – warknął na niego Barnard.

Uzdrowicielka zaklęła i powiedziała:

– On mówi prawdę. Ona jest niebezpieczna.

– Pozwolicie, że ja to ocenię – włączył się dowódca. – A nie wygląda mi na niebezpieczną. Barnard, Etmó, trzymajcie ich osobno. Przesłuchamy ich po kolei.

Dzwonki z zapalem pokiwała głową, a do Caldana dotarło, że nie wystarczy po prostu podejść i powiedzieć prawdę. Istniało realne zagrożenie, że Dzwonki obróci sytuację na swoją korzyść, może nawet wpakuje ich do aresztu.

– Ale... pomyślcie tylko: po co mielibyśmy defilować po mieście w biały dzień z dopiero co obrabowaną kobietą na powrozie? – nie ustępował Caldan. – To przecież nie ma sensu.

– Ettmo mówi, że się wkradaliście – skorygował dowódca. – Wątpię, żebyście mieli w planach złożyć nam wizytę. A teraz ty też zawrzyj gębę.

Caldan gromił wzrokiem Dzwonki, która szlochała cichutko i jak umiała najlepiej odgrywała rolę przerażonego dziewczątka. Ignorowała go teraz, skupiona na Kołczanach. Sytuacja szybko wymykała mu się z rąk.

– Mam ją rozwiązać? – spytał Ettmo oficera.

– Tak, proszę – zajęczała Dzwonki. – Ręk już nie czuję.

Dowódca przyzwolił skinieniem.

– Zrób to – warknął i wskazał palcem Caldana. – Lepiej, żeby się okazało, że miałeś dobry powód, żeby ją związać. Mów. Natychmiast.

– Kiedy wszystko już powiedziałem. Oni napadli Anasomę – podjął Caldan, patrząc na żołnierza, który obchodził kontuar, łapiąc za nóż. – Ta kobieta była jedną z dowódczyń ataku. Udało nam się uciec po tym, jak ją schwytaliśmy, a potem jak najszybciej przybyliśmy tutaj. Proszę was, nie wolno wam jej rozwiązać...

Żołnierz przeciął sznur krępujący jej ręce. Resztki opadły na podłogę. Dzwonki roztarła nadgarstki ze zbolalym wyrazem twarzy.

– Dziękuję, dobrzy panowie – zamruczała. – Wreszcie czuję, że wraca mi krążenie. Czy mogłabym poprosić o kubek wina lub piwa? Oni źle mnie traktowali i usycham z pragnienia.

– Oczywiście, pani. – Żołnierz skinął kobiecie i zza kontuaru nalał jej wina.

Elpidia wskazała Caldana.

– Zaświadczam, że on mówi prawdę. Musicie mu uwierzyć.

– Czyli chcecie, żebyśmy uwierzyli – odezwał się dowódca – że Anasoma została napadnięta przez wrogą armię, a wy pojмалиście jedną z dowódczyń tej armii i ot, tak sobie z nią uciekliście? – Pokręcił głową. – Przyznaję, że jestem sceptyczny, ale zaraz wyślemy kogoś, żeby to potwierdził.

Dzwonki przyjęła kubek od żołnierza i zaczęła sączyć.

– On kłamie – rzuciła jak gdyby nigdy nic. – To złodziej, ukradł moje rzemyśliwa. Są w jego torbie i w kieszeniach.

– One nie są twoje – skontrował Caldan z rozpaczliwą nutą w głosie.

Oficer wybałuszył oczy, usłyszawszy o rzemyśliwach. Uciszył Caldana machnięciem ręki i otaksował wzrokiem Dzwonki.

– Jesteś czarodziejką?

Spojrzała mu w oczy. Odstawiła kufel na ladę i oparła się o nią.

– Owszem. Protektorką. I mogę opisać wszystkie swoje rzemyśliwa. Runy i glify na każdym jednym, rozmiary, surowce. – Posłała Caldanowi szeroki uśmiech. – A ty?

O przodkowie...

– Żle to wygląda – szepnęła Elpidia. – Musisz coś zrobić, i to szybko.

– Nie mogę opisać tych przedmiotów tak szczegółowo – przyznał Caldan – ale mogę udowodnić, że jestem czarodziejem.

– Ja także – odparła Dzwonki.

Dowódca popatrzył na jedno, później na drugie, a potem westchnął z rezygnacją.

– Niestety, chłopaki. Jednak kroi nam się pracowity poranek. Zajmiemy się tą sprawą. Tymczasem zamknąć oboje.

– Nie! – wykrzyknęli Caldan i Dzwonki jednocześnie i zmierzyli się groźnym wzrokiem.

Dowódca odkaszlnął w pięść.

– Muszę was tu zatrzymać, dopóki nie rozwikłamy tej zagadki.

Sytuacja stawała się coraz gorsza. Caldan rozpaczliwie usiłował wymyślić, co tu powiedzieć, żeby przekonać Kołczany, że mówi prawdę. Nie miał przy sobie nic, co pomogłoby przekonać żołnierzy, że jest czarodziejem lub Protektorem. Miałby, gdyby potwierdzono jego awans na czeladnika. Cokolwiek planowała Dzwonki, na pewno miało to związek ze śmiercią jego samego oraz wszystkich tutejszych Kołczanów, odzyskaniem rzemyśliw i szybkim powrotem do Anasomy.

Żołnierze podeszli do nich i Caldan poczuł, że łapią go za ramiona. Kątem oka zobaczył, że Dzwonki unosi palec i moczy go w kuflu, a potem przykłada opuszkę do powierzchni lady. Skreśliła dwie runy przed dowódcą i szybko się cofnęła.

– Nie! – wrzasnął Caldan głosem, który wypełnił całe pomieszczenie.

Elpidia wzdrygnęła się, zaskoczona nagłym hałasem, a Caldan, zmagając się z żołdakami, wcisnął rękę do kieszeni i otworzył swoją studnię, by zasilić dzwoneczek-tarczę. Natychmiast poczuł, jak po drugiej stronie pomieszczenia Dzwonki otwiera swoją, a izba wypełniła się cytrynową wonią.

Caldana momentalnie otoczyła wielokolorowa osłona. Trzymające go ręce cofnęły się poza jej obręb. Od razu rzucił się przez pomieszczenie i przypadł do kontuaru, zamazując połyskujące runy, naniesione na drewno mieszaniną śliny i wina.

Zbyt późno. W pomieszczeniu wybuchł chaos. Huknął grom, a Caldan poczuł, że coś skręca się w powietrzu. Serce w nim zamarło. Pomarańczowe iskry tryskały z drewnianej lady. Miał wrażenie, że koń kopnął go prosto w pierś, gdy nagła erupcja wyrzuciła go w powietrze. Z tarczy posypały się fioletowe odpryski, gdy jej moc zmagала się z napierającymi na nią siłami. Obok niego dwaj żołnierze upadli, jakby ktoś obalił ich jednym uderzeniem. Inni również popadali jak muchy i wili się spazmatycznie na ziemi.

Elpidia, która zauważyła, że zanim Caldan krzyknął, czarodziejka cofnęła się od kontuaru, zareagowała błyskawicznie i skoczyła do Mirandy, biorąc ją w objęcia. Gdy uderzyła je fala energii, zatoczyły się, ale nie upadły. Dowódca syknął z bólu i zachwiał się naprzód.

Caldan grzmotnął o sufit, a potem upadł ciężko na ladę. Obsypał go deszcz tynku i strzaskanego drewna. Zacharczał z bólu. Obrócił głowę i zobaczył pełznącą po podłodze Dzwonki. Wpadające przez okna słońce podświetliło kłębiący się w budynku dym.

Dzwonki rzuciła się po sakwę Caldana, która wciąż leżała na ziemi. Uklękawszy, ucapiła ją chciwie, a potem skierowała się do

otwartych drzwi. Caldan próbował się poruszyć, ale ciało nie chciało go słuchać.

– Zatrzymać ją – wyskrzeczwał do Elpidii, która spojrzała na niego, a potem prędko pokręciła głową.

Dzwonki poświęciła chwilę, żeby błysnąć jadowitym uśmiechem. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, i wtedy pięść Amerdana trafiła ją w potylicę. Poleciała naprzód, wpatrzona w podłogę nieprzytomnym wzrokiem. Padła i znieruchomiała.

Amerdan odstąpił na bok, usiłując machaniem rozpędzić dym. Potoczył po pomieszczeniu spokojnym spojrzeniem. Nie przejmując się znieruchomiałymi ciałami, skrępował Dzwonki skrawkiem liny. Następnie oderwał strzęp własnej koszuli, by dokładnie związać jej palce.

– No, tak chyba będzie dobrze. – Wyłapał wzrokiem Caldana i uniósł pytająco brwi.

Caldan kiwnął głową i z wysiłkiem usiadł, przerzuciwszy nogi przez krawędź lady. Zamknął studnię i poczekał, aż przejaśni mu się przed oczami.

– Prawie uciekła – wydusił. Na przodków, ależ go wszystko bolało.

– Dobrze, że w porę ją zauważyłem. Mamy szczęście, że jednak jej się nie udało.

Rozłożeni na podłodze żołnierze zaczęli wracać do zmysłów. Dwaj lżej ranni pomogli kompanom dźwignąć się do siadu. Caldan wytarł ręce o spodnie i zsunął się z lady, niepewnie stając na rozdygotanych nogach. Miranda nie zmieniła wyrazu twarzy przez całe zajście. Oparł się fali emocji i wziął głęboki wdech.

Nie wszystko stracone. Na szczęście w porę zjawił się Amerdan, a Dzwonki wyglądała, jakby nieprędko miała się obudzić. W dodatku jej czyny powinny dobitnie przekonać Kołczany o prawdziwości słów Caldana.

Kilku żołnierzy pomogło dowódcy wstać. Gdy już tego dokonał, skierował na Dzwonki gniewne spojrzenie. Caldan postanowił zainterweniować, zanim żołnierza poniosą emocje.

– Czy teraz mi wierzysz, panie? Ona próbowała nas pozabijać i uciec. – Wypowiedział to, miał nadzieję, pewnym głosem, ale wewnątrz trzął się jak galareta. Mimo to nie miał zamiaru przerywać. – To ja, a nie ona, jestem członkiem Gildii Czarodziejów.

Dowódca zmarszczył brwi.

– Czy to była magia? Nigdy takiej nie widziałem. Co ona właściwie zrobiła?

Myśli Caldana zerwały się do biegu. W końcu postanowił odpowiedzieć po prostu:

– Coś poszło nie tak. Rzemyśliwo, które wykorzystaliśmy, jest przeznaczone dla o wiele mocniejszych materiałów. Nie wytrzymało przepływu mocy. Ale nie wiem, dlaczego zareagowało w ten właśnie sposób. – Stłumił kasznięcie dłonią. – Ale to dowodzi jednego: jest gotowa posunąć się do wszystkiego, byle tylko uciec. Więc pytam ponownie: czy teraz mi wierzysz, panie?

Dowódca zmrużył oczy, namyślając się. Rozejrzał się po zasnutej dymem kwaterze.

– Może. Wciąż mam kilka wątpliwości, muszę też potwierdzić to, co powiedziałaś o Anasomie. Ale... chętnie posłucham, co masz do powiedzenia.



Kilka godzin później, gdy przygotowywali się do drogi, Caldan złapał wzrokiem kręcącego się po targu Amerdana. Towarzysz nie kupował zapasów, bo dowódca sownie obdarował ich na drogę – rozdawał dukaty biegającym boso po ulicy dzieciom.

Odgłosy oraz dym nad budynkiem garnizonu, a także ich pospieszne przygotowania przyciągnęły uwagę gapiów, którzy jednak, choć zgromadzeni wokół, nie śmieli podejść bliżej. Wiedzieli, że lepiej nie wtykać nosa w sprawy Kołczanów.

Przed stajniami przyłączonymi do gmachu garnizonu stał darowany im wóz. Dowódca postanowił zdobyć się na ten hojny

gest, gdy powiedzieli mu, że ktoś ich śledzi. Ów ktoś tropił pieszych i było mało prawdopodobne, by miał się dowiedzieć, że teraz podróżują wozem, a w dodatku zakryty pojazd pomoże osłonić drużynę przed wścibskimi oczami. Dwaj konni żołnierze jechali przed nimi, a dwaj kolejni pilnowali tyłów. Dowódca, który okazał się mieć na imię Jarmund, szybko przedstawił swoich ludzi. Dowódcą eskorty uczynił kaprała Lavasa, przysadzystego mężczyznę o siwiejącej brodzie. Pozostali trzej nazywali się Breyton, Boyas i Ettmo. Na oko wyglądali Caldanowi na nieco zbyt młodych... żeby nie powiedzieć całkiem zielonych. Tylko Ettmo, ten brodaty, który ich znalazł, wydawał się zainteresowany eskortowaniem drużyny Caldana. Pozostali wyglądali raczej, jakby ekscytowała ich sama podróż, stanowiąca zapewne miłą odmianę od codziennej monotonii. Jarmund powiedział im, że powinni dojechać do Starorzecza w ciągu tygodnia.

Caldan i Elpidia pomogli Mirandzie wejść na wóz. Amerdan popchnął lekko oprzytomniałą już Dzwonki, która wgramoliła się niezgrabnie do pojazdu, obciążona łańcuchami. Wtedy wóz potoczył się naprzód.

Caldan złapał się ławeczki, żeby nie spaść. Reszta zajęła dogodne miejsca, lecz najpierw zadbano o to, by Dzwonki solidnie przymocowano do metalowego pierścienia wprawionego w podporę dachu. Elpidia siedziała z Mirandą, a Amerdan przycupnął na tyłach, wyglądając przez wąską szczelinę w płóciennym okryciu wozu na niknące w dali rozdroża.

Caldan sięgnął do sakwy i wyłowił z niej rzemyślnicze dzwoneczki. Trzymał je w rękach przez kilka chwil, zastanawiając się, czy odkąd Miranda została ranna, podjął świadomie jakąkolwiek decyzję, czy też do wszystkich przymusiła go wyższa konieczność. Wyczuwał pod dzwoneczkami pierścień na swoim palcu. Wciąż nie czuł się komfortowo, nosząc talizman na widoku, ale teraz, gdy władał tarczą Dzwonków, miał zamiar nosić go jak najczęściej, żywiąc nadzieję, że nasunie mu się jakaś zasada jego

funkcjonowania. Potrząsnął głową i przysunął się do czarodziejki, balansując na kołyszącej mu się pod nogami podłodze wozu.

Kobieta zmroziła go wzrokiem, gdy się zbliżył. Jej czoło znaczył napuchnięty czerwony ślad, pamiątka po bolesnym zetknięciu z podłogą. Poruszyła się, dzwoniąc łańcuchami, a potem skrzywiła się i wlepiła spojrzenie w płócienne okrycie wozu, ignorując Caldana.

Przez jakiś czas klęczał przy niej, ogrzewając dzwoneczki dłońmi. A potem jeden po drugim wyłożył je przed czarodziejką na nieheblowanych dechach podłogi. Ich podzwanianie zwróciło uwagę Dzwonków oraz Elpidii.

Caldan wiedział, że aby uzdrowić Mirandę, musi dowiedzieć się więcej o magii zniewalającej. Ale czy nie było to coś, czego nie wolno mu było robić jako Protektorowi? Czy jeśli zgłębi tę zakazaną dziedzinę wiedzy, Protektorzy się go wyrzekną?

Wyciągnął rękę, żeby wyjąć knebel z ust Dzwonków.

– Powiedz mi – wyszeptał jej na ucho – powiedz mi wszystko, co wiesz o magii zniewalającej.

Wbiła w niego intensywne spojrzenie.

– Biedny mały praktykancik. O tylu rzeczach nie masz pojęcia.

– To mnie naucz.

Dzwonki pokręciła głową.

– A czemu bym miała? Wolałabym raczej urwać ci łeb.

Caldan zacisnął pięści tak mocno, że zbieleły mu kłykcie. Zastygł, klęcząc, cały roztrzęsiony. Uniósł rękę, otworzył dłoń i uderzył Dzwonki w policzek, aż głowa odskoczyła jej na bok.

– Caldán! – krzyknęła Elpidia. – Co ty robisz? Odejdź od niej!

– Ona musi zrozumieć, że ja nie żartuję – powiedział Caldán, nie odrywając oczu od czarodziejki.

Dzwonki gapiła się na niego, a na jej policzku czerwieniły się ślady jego palców. Elpidia złapała Caldana za ramię, szarpnęła byle dalej od czarodziejki, ale on ani drgnął. Dopiero po chwili udało jej się odciągnąć go na dwa kroki.



Dzwonki zlizala krew z kącika ust. Śmiała się, dopóki Amerdan ponownie nie założył jej knebla.

Caldan odwrócił się od niej i usiadł przy Elpidii. Wsparł łokcie na kolanach i zatopił twarz w ramionach, podczas kiedy uzdrowicielka gromiła go złym spojrzeniem.



Ze swojej kryjówki na dachu gospody Mahsonn bacznie obserwował budynki i targ. To była dobra pozycja do obserwacji, którą uskutecznił od dłuższej chwili. Cesarscy żołnierze – nazywani Kołczanami – biegali po okolicy, wchodząc i wychodząc z garnizonu jak mrówki z rozdeptanego mrowiska.

Lejący się z nieba żar grzał go w plecy, ale Mahsonn nie miał zamiaru opuszczać swojego stanowiska. Otoczony czarodziejskim całunem, był niewidoczny dla oczu, mając jednocześnie baczenie na całą stację. Skupił wzrok na kilku grupach ludzi gromadzących się na targu. Niektórzy gestykulowali w kierunku garnizonu, inni wzruszali ramionami lub kręcili głowami.

Wiedział, jak się czują, i nie podobało mu się to uczucie. Mahsonn nienawidził „nie wiedzieć”. W czasie gdy siedział na dachu, trzy zakryte wozy wjechały do garnizonowej stajni, a zaraz potem wyjechały, kierując się w trzy różne strony. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie popędzić na dół i nie zajrzeć pod płótno, ale zaraz odrzucił tę myśl. To byłoby głupie. Zaraz dowiedzieliby się, że ktoś śledzi Dzwonki, i choć Mahsonn był całkiem pewien, że by sobie z nimi poradził, to jednak nigdy nie sposób było przewidzieć, jak potoczy się otwarta walka, nawet walka ze słabszym przeciwnikiem. Jedna pomyłka, małe potknięcie i po nim. No i samo to, że był tam na dole ktoś na tyle silny, żeby zabić Klucza i pojmać Dzwonki...

Nie, tylko głupiec by tam teraz schodził, człowiek przedkładający chwilową ekscytację nad powodzenie misji. Siedział więc nieruchomo, zatopiony w myślach. Najwyżej wypyta później ludzi

na targu, może nawet uda się złapać gdzieś na boku odosobnionego żołnierza.

Trzy wozy, prychnął w duchu. Oczywista próba zmylenia pogoni, lecz niestety, skuteczna, co nie poprawiło mu nastroju. Mógł zmarnować całe dnie, szukając tego z Dzwonkami na pokładzie, albo mogło dopisać mu szczęście i wtedy nie zmarnowałby ani jednego. Ale Mahsonn nie miał natury hazardzisty. Od ryzyka wolał pewność.

Od południa sunął masyw złowróżbnych chmur, a gdy zerwał się wiatr, przyniósł ze sobą zapach deszczu. Mahsonn zaklął pod nosem. Tylko deszczu brakowało. Nienawidził deszczu. Czynił jego robotę znacznie trudniejszą, nawet jeśli Mahsonn doprowadził swoje umiejętności do perfekcji.

Gdzieś obok niego uderzył o dach kamyk. Zamarł. Pod nim na ulicy stało małe dziecko i patrzyło na dach. Dziewczynka schyliła się i podniosła z ziemi kolejny pocisk. Odbił się od ściany budynku kawałek pod Mahsonnem i spadł z powrotem na ulicę. Dziewczynka podbiegła, żeby go podnieść, i znowu rzuciła. Tym razem odbił nieco na lewo. Odczekała, a potem wzruszyła ramionami i pobiegła w stronę targu.

Mahsonn przerzucił nogi przez krawędź dachu, odbił się i zsunął, lądując bezgłośnie na ulicy. Rozejrzał się, by mieć pewność, że jest sam, a potem zamknął studnię. W odróżnieniu od zwykłej tarczy, która wydawała dźwięk, tracąc zasilanie, jego całun rozmył się bezgłośnie i Mahsonn stał się widzialny.

Ruszył zważym krokiem, minął róg budynku i skierował się ku targowisku, idąc jak najszybciej i nie ściągając na siebie uwagi. Zatrzymał się na chwilę, by podnieść z ziemi kamyk rzucony przez dziewczynkę. Splunął w dłonie i przeczesał włosy, chcąc jakoś wyglądać przed spotkaniem. Skinął mijającej go kobiecie, która dźwigała w rękach kosz grzybów.

Tam. Dziewczynka, która ciskała w niego kamykami, dołączyła do grupki brudnych dzieci biegających po targu. Mahsonn pokręcił głową. Gdzie byli ich rodzice?

Zbliżył się do grupy, przepchnął między dziećmi i stanął przed dziewczynką. Zmarszczyła brwi, gdy podsunął jej kamyk.

– To chyba twoje? – powiedział.

Wlepiała wzrok w przedmiot na jego dłoni, a potem w niego. Otworzyła szeroko usta.

– Prawdziwy duch! – wykrzyknęła.

Mahsonn przekrzywił głowę.

– Że co proszę?

– Tamten pan powiedział, że z dachu patrzy duch. Dał mi dukata i kazał rzucać w niego kamykami.

– Co ty nie powiesz? No cóż, malutka... – Pochylił się do niej. – Nie mów nikomu, dobrze?

Dzieci wokół niej wpatrywały się w nieznanego przerażonym wzrokiem. Drżąc, dziewczynka pokręciła głową i cofnęła się o krok. Zawahała się, a potem wyciągnęła dłoń wnętrzem do góry.

– O co chodzi? – spytał Mahsonn.

– Tamten pan powiedział, że jak cię znajdę, to musisz dać mi złotego dukata.

Mahsonn z uśmiechem sięgnął do kieszeni i wyłowił z niej monetę. Złapał ją w dwa palce. Sześć par oczu natychmiast przykleiło się do dukata.

– A czy ten pan powiedział coś jeszcze?

Dziewczynka pokiwała głową, sama nie odejmując wzroku od pieniądza.

– A co takiego, jeśli wolno spytać?

Jej otwarta dłoń podskoczyła raz i drugi.

– Najpierw złoto – zażądała.

Mahsonn zmarszczył nos, taksując wzrokiem dziewczynkę i pozostałych uliczników. Za dużo ludzi. Za dużo par oczu. Położył monetę na małej rączce.

– No to powiedział, żebym do czasu pojawienia się ducha trzymała się z kolegami. Bo wtedy nie będzie mógł mnie skrzywdzić.

Pokiwała z przekonaniem głową, a reszta wraz z nią.

– Coś jeszcze?

– Zachód. Powiedział: zachód.

Mahsonn warknął pod nosem, odwrócił się i szybko odszedł, zostawiając dzieci, które zaczęły spierać się o monetę.



**P**rzez drewniane ściany niósł się czyjś wrzask. Dało się też słyszeć jęki, a po nich falę krzyków i huk pędzących po pokładzie stóp, jedne w kierunku źródła hałasu, drugie w przeciwnym.

Lady Felicienne zawierciła się w swoim hamaku, a potem okręciła, by podrapać po plecach. Nocne wrzaski już jej nie przeszkadzały. Karaluchy w jej kajucie również nie, podobnież szczury, które zauważała czasem przez przymrużone do snu powieki, składając głowę na poduszce. Grunt, że znalazła znakomitą kryjówkę. Te drobne niedogodności jakoś zniesie.

Znalezione przez jej ludzi na Cmentarzu statki służyły Felicienne teraz za bazę. Umknąwszy ze swoich komnat w twierdzy przy pierwszej oznace kłopotów, zgromadziła kilku godnych zaufania żołnierzy i urzędników, po czym zorganizowała taktyczny odwrót.

Nie bała się, po prostu rozpoznała rysujące się wokół niej wzory i wiedziała, że wróg szybko zawładnie miastem. Wysłała swojego człowieka, Avigdora, by szybko przeszukał biurka i szafy, gromadząc rzeczy mogące przydać się w czasie ucieczki – głównie wypełnione dukatami sakwy i listy zawierające nazwiska, w tym nazwiska ważnych informatorów. Avigdor jak zwykle bezbłędnie wykonał powierzone mu zadanie.

Miasto pogrążyło się w chaosie, choć – co zaskakujące – doszło do niewielu potyczek. Napaść przebiegła osobliwie, gdyż żołnierze, których uznała za całkowicie lojalnych wobec cesarza, rozkazali jej ludziom złożyć broń. Wkrótce wszystkich zdrajców znaleziono martwych. Zginęli z własnych rąk, co tylko przydało sprawie osobliwości.

Drzwi do jej kajuty skrzyknęły i otworzyły się. Przecisnął się nimi jakiś mężczyzna, wymijający napotykaną w kajucie przeszkodę w drodze do lady Felicienne. Kobieta przetarła oczy i usiadła, przerzucając nogi przez krawędź hamaka. Jej ubranie było pogniecione i poplamione potem, cuchnęła jak marynarz, który zbyt długo nie schodził na ląd. Przez ostatnie dni miała sporo na głowie i zaspokajanie pewnych potrzeb musiała odkładać na później. Przebiegła językiem po dawno nieszczotkowanych zębach, przysięgając samej sobie, że odświeży się, gdy tylko upora się z kilkoma sprawami. Westchnęła i przesunęła dłonią po przetłuszczonych włosach. Jej zwyczajowe warkocze dawno się już rozplotły, a nie miała okazji zapleść ich ponownie. Tyle dobrego, że nie zgubiła swoich kolczyków.

Mężczyzną okazał się Avigdor. Przyboczny wyłonił się zza sterty skrzynek. Wyglądał niemal tak źle jak ona sama. Uśmiechnął się do niej – przelotnym, niewyraźnym uśmiechem człowieka, który nie ma wielu powodów do radości. Kropelki potu opadły mu z pozlepianych włosów, gdy zatrzymał się przed nią, a jego uśmiech przerodził się w grymas.

– No, mówże – ponagliła go.

– Mój przyjaciel Izak dostarczył mi pewne wieści.

Zmrużyła oczy.

– Pamiętam go. Kontynuuj.

– Jeden z jego informatorów, mężczyzna imieniem Rennen, twierdzi, że po napaści opuścił miasto z pewną grupą ludzi. Jednego z tych ludzi oboje znamy: to przyszły Protektor imieniem Caldan. Ów Caldan poprosił go, by przekazał nam kilka informacji.

Felice strzeliła do niego ostrym spojrzeniem, spodziewając się, że to żart. Caldan – młodzieniec, który pokonał ją w dominionie i który odrzucił propozycję Avigdora, by do nich dołączyć. I choć miał ku temu dobry powód, Caldan pozostawał dla lady Felicienne kimś, kogo wolała trzymać przy sobie, był on bowiem właścicielem pewnego szczególnego talizmanu. Uciekł z miasta w wyniku napaści... albo dlatego, że miał coś do ukrycia. Ale sam fakt, że teraz się do niej odezwał, sprawił, że gotowa była uwierzyć we wszelkie podawane przez niego informacje. Coś w wypowiedzi Avigdora zwróciło jej szczególną uwagę.

– Mówisz, że ten Rennen uciekł z miasta, a potem wrócił? – spytała.

Przyboczny potwierdził skinieniem.

– To znaczy, że musi znać jakieś ukryte przejście przez mury.

– Albo odpowiednich ludzi.

– Może jest w tym dla nas jakaś korzyść?

– Sam o tym pomyślałem.

Skinęła na niego ręką, by mówił dalej, gdy tymczasem sto myśli mknęło przez jej głowę.

– Caldan twierdzi, że najeźdźcy, Indryallanie, to magowie o wielkiej mocy, i że korzystając z nieznannej magii, zniszczyli Gildię Czarodziejów oraz Protektorów.

– Nieznanej?

– Jego słowa. Izak powiedział, że Rennen był bardzo konkretny.

Felice prychnęła.

– Nieznanej magii – powtórzyła. – Żadnych teorii, żadnych domysłów ze strony tak bystrego młodzieńca?

Avigdor wzruszył ramionami, nie odwracając spojrzenia.

– Dziwne, prawda?

– Więcej niż dziwne. Podejrzane. Czarodzieje, którzy przeżyli, wyprodukowali już sto różnych teorii o tym, jak Indryallanie okryli mury całunem płomieni, ale żaden nie ma pewności, czy potrafią wzbudzić je na zawołanie. A co się tyczy Protektorów... Nie znaleźliśmy dotąd ani jednego.

– Tak. Wyjaśnienia Caldana są ogólnikowe i, ośmielam się twierdzić... niepełne.

Caldan musiał wiedzieć, co to za „nieznana” magia, ale nie kwapił się z wyjaśnieniami. Z oceny Felicienne tego młodzieńca wynikało, że gdyby nie wiedział, miałby w zanadrzu jakieś własne teorie i nie kryłby się z własną niewiedzą. A więc użyli magii destruktywnej. Spojrzała na Avigdora. On nie może się o tym dowiedzieć. Już sama wiedza jest zbyt niebezpieczna. Jeśli ta informacja dotrze do cesarza i jego arcymagów... Jako Trzecia Arbiter miała pewne pojęcie o tym, czego można dokonać za pomocą takiej magii, lecz dostępu do pewnej wiedzy nie udzielono nawet jej.

– Co oznacza – pociągnął Avigdor – że zdobył jakąś wiedzę, którą nie chce się dzielić.

– Powiedziałabym, że to drugie.

– Szczerze mówiąc, ja również. – Avigdor się zawahał. – Wspomniałem ci już, że szkolił się na Protektora, co zwróciło moją uwagę.

– W rzeczy samej. Chyba rozumiesz tak jak ja, Avigdorze, dokąd to zmierza. – Wzięła głęboki wdech. – Protektorzy wiedzieli o istnieniu tej magii od dawna. Wiem, że liczne pytania cisną ci się na usta, ale wierz mi, gdy mówię, że powinieneś zachować tę wiedzę dla siebie.

Avigdor milczał kilka chwil, obracając w myślach słowa swojej chlebodawczyni, a potem pokiwał głową na znak, że pojmuje.

Felice uśmiechnęła się przelotnie. Nie lubiła utrzymywać przed nim niczego w tajemnicy, ale to dla jego własnego dobra.

– Istnieje oczywiście możliwość, że dowiedzieli się o niej niedawno, choć bardzo w to wątpię. Indryallanie wzięli na cel Protektorów, wiedząc, że tylko oni będą w stanie stawić im opór,



a gdy już się z nimi uporali, dla świętego spokoju pozbyli się także i czarodziejów.

– Na wypadek gdyby oni też coś wiedzieli lub Protektorzy wezwali nieprzewidziane posiłki.

– Ja na pewno bym tak zrobiła. Ostatecznie magia najeźdźców przeważała i Protektorzy oraz czarodzieje zostali unicestwieni. Coś musiało też pójść nie tak na innych frontach, bo cesarscy żołnierze w ogóle nie podjęli walki.

– Nad tym wciąż pracujemy – powiadomił ją Avigdor. – Jak wiesz, niełatwo teraz dowiedzieć się czegoś na pewno. Wciąż wygląda to tak, jakby większość ich dowódców miała mylne informacje o ataku lub z miejsca się poddała.

– Myślisz, że może to mieć związek z tym, czego nie chce powiedzieć nam Caldan?

– Trudno mi rzec... ale ta hipoteza wydaje mi się naciągana.

Felice przyznała mu rację, choć ta sprawa wciąż nie dawała jej spokoju.

– Co jeszcze wykawił ten Rennen?

– Tylko tyle, że wszyscy Protektorzy nie żyją i że jeśli tylko zdołamy, powinniśmy spróbować ostrzec Protektorów z innych miast, a także to, że najeźdźcy mają jakieś swoje ukryte cele w samej Anasomie.

– Ukryte cele... No cóż, to raczej oczywiste – odparła oschle. – Może popełniliśmy błąd, chcąc zrekrutować tego chłopaka.

– Nie wydaje mi się, pani. Wśród licznych jego zalet jest wszakże prawdomówność. Jest z tych uczciwych, a wiemy przecież, że mają swoje zastosowania.

– Pewnie masz rację. A więc cóż... mamy uznać te rewelacje za prawdę? A jeśli tak, to co z nią zrobimy, uwięzieni w mieście wytrzebionym z Protektorów?

– Caldan wysłał wszak Rennena, żeby dostarczył nam wiadomość. A Rennen najwyraźniej zna sposób na przebycie blokady.

Twarz Felice rozpogodził uśmiech.

– Święta racja, Avigdorze. Coś mi się zdaje, że pobyt na statku przytępił moje zmysły. A więc Caldan pomyślał co najmniej kilka kroków naprzód, wiedząc, że dostrzeżesz wynikające z tych informacji możliwości.

– Albo ty, moja pani – odparł przyboczny. Był dla niej łaskawy, a ją samą zdziwiło, że niezasłużony komplement nie wzbudził w niej irytacji. Avigdor mówił dalej: – Możemy więc wykorzystać Rennena, żeby rozesłać wieści do innych miast i pobliskich posterunków. Choć strzelam, że im bliżej Anasomy, tym więcej ludzi wie o zabarykadowaniu miasta, przecież kupcy i rolnicy od dłuższego czasu przyjeżdżają tu tylko po to, żeby pocałować kłamkę.

– Ale nie wiedzą, co dokładnie tu zaszło, a tę ciemność możemy już nieco rozświetlić. Zbierz dwadzieścioro naszych mężczyzn i kobiet, podziel ich w pary, a potem zdecyduj, które z dziesięciu pobliskich miast i posterunków powinniśmy powiadomić. Gdy już tego dokonają, niech rozproszą się dalej i rozgłoszą wieści jak najszerzej. Ale to tyle, nie zapominaj bowiem, że mamy inne priorytety.

Avigdor zmarszczył brwi.

– Inne, pani?

– Musimy podjąć walkę z najeźdźcą. Uderzyć w nich jak tylko zdołamy najmocniej. Nie mam zamiaru beczynnie czekać na pomoc. Spotkajmy się z Izakiem i zobaczmy, co jeszcze wyciągnął z posłańca... ale nie tutaj. To miejsce musi pozostać ukryte. Jeśli wróg z taką łatwością przetoczył się po czarodziejach i Protektorach, to w obecnej chwili nie mamy z nim szans. Umów spotkanie gdzieś w dokach. I zadbaj o to, żeby Izak przyszedł sam.

– Oczywiście. Postaram się też dowiedzieć czegoś więcej o tej „nieznanej” magii. Może oświeci nas pojmany więzień, gdy zaprosimy go na przesłuchanie?

– Świetna myśl. Musimy wiedzieć dokładnie, do czego są zdolni. Ale miej się na baczności. Nasi ludzie giną, lub może tylko znikają, w zastraszającym tempie.

Avigdor ponuro pokiwał głową.

– Doskonale. Umów więc spotkanie, a jeśli w twoje ręce wpadną jacyś przedstawiciele najeźdźców, zrób, co będziesz musiał – podsumowała Felice. – Gardzę torturami, ale jest rzeczą najwyższej wagi, żebyśmy dowiedzieli się, z czym właściwie mamy do czynienia. – Wstała z hamaka, który zakołysał się swobodnie, pozbawiony obciążenia. – Ruszajmy.



Felice usiadła na miękkiej pościeli, opierając się o wezglowie z przymkniętymi oczami. Pomieszczenie skrzyło się od bogactwa i kiczu, zapewne jak pokoje wszystkich drogich zamtuzów w mieście. Ściany zdobiły murale przedstawiające sceny erotyczne. Meble były dobrej jakości, choć przeważnie w czerwonym kolorze, od którego bolała ją już głowa. Ta czerwień kojarzyła jej się z krwią i przesłuchaniem dwóch Indryallan, których złapali poprzedniego dnia, wkrótce po tym, kiedy Avigdor wprowadził jej plan w życie. Nie były to przyjemne wspomnienia i miała nadzieję, że zetrą się z czasem. Na domiar złego nie dowiedziała się wiele od pochwyconych najeźdźców. Szkoda. Uroili sobie, że wyzwalają mieszkańców cesarstwa, ale żaden z nich nie wiedział nic o magii. Może powinna była schwytać któregoś z ich czarodziejów?

Odetchnęła głęboko, usiłując się rozluźnić. Avigdor powinien zaraz wrócić z Izakiem. Wybrał to miejsce, bo mogli tu liczyć na odrobinę dyskrecji – tylko w lupanarze potajemne spotkanie kobiety z dwoma mężczyznami nie zwróci niczyjej uwagi – i Felice musiała przyznać, że to był dobry pomysł, choć mogła tylko mieć nadzieję, że nikt z bywalców tego przybytku jej nie rozpozna. Gdy już to wszystko się skończy, wciąż będzie potrzebować swojej reputacji.

Rozległo się pukanie do drzwi. Oderwała ramiona od wezglowia i usiadła, krzyżując nogi. W zamku przekręcił się klucz i w drzwiach ukazał się Avigdor, a zaraz po nim Izak.

Jak zwykle nieskazitelnie ubrany: w kosztowny kaftan zapięty pod szyję na srebrne guziki oraz ze świeżo przystrzyżoną bródką. W porównaniu z nim poczuła się jeszcze bardziej brudna i niechlujna. Przebiegła dłonią po włosach, przyklepując luźne kosmyki.

Dwaj mężczyźni konwersowali przyjaźnie, gdy Avigdor zamykał drzwi. Zrobił gest w kierunku Izaka i wskazał mu wyściełane krzesło. Szlachcic obejrzał się i zamarł, gdy ujrzał Felice.

– Pani! – wykrzyknął i skłonił się wpół. Podbiegł i nim zdążyła zaprotestować, ujął jej rękę i pocałował na powitanie. – Piękna jak zawsze.

Kłamczuch, pomyślała, chyląc z godnością głowę.

– Siadaj, proszę.

Izak usiadł, depcząc butami zaścielające podłogę dywany. Zawczasu Felice ustawiła w pokoju krzesła przodem do stojącego pośrodku łóżka. Izak uparcie unikał jej spojrzenia i wiercił się niespokojnie na siedzisku. Wystrój pokoju, sam fakt, że spotkanie miało miejsce w zamtuzie, powodowały jego nerwowość. Dlatego też Avigdor wybrał właśnie lupanar.

– Wybacz miejsce spotkania – przeprosiła Izaka Felice. – Po prostu uznaliśmy, że najlepiej będzie zobaczyć się w tajemnicy, a ten leżący na uboczu przybytek nadaje się do tego doskonale, choć może niełatwo go znaleźć.

– Ale tam, przecież dobrze go znam... – Izak urwał, a potem zbladł, gdy dotarło do niego, co powiedział.

Avigdor zakrył dłonią cisnący się na usta uśmiech.

– Znaczy... – podjął szlachcic i zaraz przerwał, by odkaszląć. – Pani, jeśli wolno...

– Nie, nie wolno – weszła mu w zdanie.

Izak natychmiast zamilkł, zaskoczony tak obcesowymi słowami z ust Felice. Kobieta przymknęła oczy i westchnęła. Nie chciała tak na niego naskoczyć, ale była już tym wszystkim potwornie zmęczona. Może zdoła jakoś obrócić tę nieuprzejmość na swoją korzyść.

– Proszę, wybacz mi – rzekła przepraszającym tonem. – Chyba wszyscy czujemy się podenerwowani w związku z ostatnimi wydarzeniami. Ale niestety, nie mamy czasu do stracenia. Zwołałam to spotkanie, żebyśmy doszli do porozumienia, co zrobić z inwazją.

– Zrobić? – spytał Izak. Popatrzył na Avigdora, który wzruszył ramionami.

– Otóż to: zrobić. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale toczymy wojnę i musimy coś w związku z tym przedsięwziąć. Wiemy, że masz koneksje. Potrzebujemy, żebyś je wykorzystał. A więc od dziś czuj się oficjalnie wcielony do ruchu oporu.

Izak zabełkotał coś niezrozumiale i zerwał się na nogi. Łypnął na Avigdora.

– Wybacz – rzekł przyboczny, ale bez specjalnego przekonania.

Izak przeniósł spojrzenie na Felice.

– Jaki znowu ruch oporu? I cóż ja mógłbym do niego wniesić? Kto wie czy nie podpisałem na siebie wyroku śmierci, już tylko spotykając się z wami.

– Powściągnij nerwy – nakazała mu Felice. – I usiądź. Proszę – dodała, widząc, że szlachcic z wysiłkiem tłumii złość. Ostatecznie klapnął z powrotem na krzesło. – Dziękuję. Wracając, chyba wszyscy jesteśmy zgodni, że Kołczany okazały się... powiedzmy, niezbyt skuteczne.

– Co do tego, zgoda – przyznał Izak, ochłonawszy już nieco. – Trudno mieć inne zdanie, przecież prawie nie stawiali oporu, gdy niebieskie płomienie otoczyły miasto.

Felice uśmiechnęła się wątle.

– Oto dlaczego trzeba zaangażować w sprawę więcej ludzi. Zwłaszcza takich, którzy wiedzą, jak i gdzie zasięgnąć języka.

– O nie, na pewno nie mnie! – wykrzyknął Izak. – Ja nie mam zamiaru się wychylać, dopóki to wszystko nie minie. Mój plan jest prosty: trzymać się z dala od kłopotów, dopóki sprawy jakoś się nie poukładają.

– Obawiam się, że takie podejście zupełnie nie wpasowuje się w mój plan, a ponieważ moje działania autoryzuje sam cesarz, to

niestety, zmuszona jestem zmodyfikować twoje zamiary.

Izak zebrał się, by zaprotestować, lecz Felice powstrzymała go uniesieniem ręki.

– Ale mam dobre wieści, mianowicie nie poproszę cię o więcej, niż i tak już robisz. Raczej chcę, żebyś wykorzystał swoją pozycję, aby gromadzić dla nas informacje. Jesteś popularny wśród możliwych i znasz wielu biurokratów.

– Skoro są dobre, to podejrzewam, że są też i złe?

– Nie da się tego robić, trzymając się z dala od kłopotów. Potrzebny mi szpieg. Indryallanie korzystają z rzeszy urzędników, żeby utrzymać sprawne działanie swojej sieci wywiadowczej. Musisz więc dalej robić to, co zwykle robisz... czyli po prostu mieć oczy i uszy szeroko otwarte.

Izak zmarszczył brwi i poprawił się na krześle.

– To nie brzmi tak źle. Będziemy potrzebować słów kluczy, tajnych skrytek, gdzie będę zostawiał wiadomości, czegoś w tym guście?

Westchnęła. Nowicjusze zawsze bzdurzą o tajnych kodach i kryjówkach. Jak to jest, że nikt nie wie, jak wygląda prawdziwa szpiegowska robota?

– Otóż nie. Po prostu będziesz przekazywał zdobyte informacje Avigdorowi.

– A. Myślałem, że będziemy... Nieważne. Dobrze, zgadzam się. Ale tylko dlatego, że Rennen powiedział mi, co tamci zrobili Mirandzie, przyjaciółce Caldana.

Felice usiadła prosto i zerknęła na Avigdora, który odpowiedział równie skonfundowanym spojrzeniem.

– To znaczy co?

– No wiecie, tą ich magią. – Izak machnął ręką. – Zburzyli tunel, którym przeszli pod murami, a potem jakimś sposobem pomieszali dziewczynie zmysły.

– Zaczynaj od początku – powiedziała Felice. – Co dokładnie powiedział Rennen o tym, co tam zaszło?

– Chyba wiecie już, jaką magią się posługują? Znaczą... Założyłem, że wiecie.

– Udawaj, proszę, że nie mamy pojęcia, o czym do nas mówisz.  
– Gdy Caldan, Elpidia i inni uciekali z miasta, czarodzieje popędzili za nimi.

– Czarodzieje?

– Tak. Dokładnie: dwoje Indryallan.

– Naprawdę? – Felice zmrużyła oczy, przenosząc spojrzenie na Avigdora.

– Nie drążyłem tego tematu – przyznał przyboczny. – Gdy powiedział mi o Caldanie i o tym, co chłopak miał do powiedzenia, natychmiast dostarczyłem informację tobie, pani. Jak sama zauważyłaś: od tej beczynności rdzewieje głowa.

Felice obdarzyła go więdnącym uśmiechem, a potem wróciła wzrokiem do Izaka.

– Mów dalej.

– Caldan obronił się przed czarodziejskim atakiem. Magowie zburzyli budynek, żeby zagrozić wejście do tuneli, ale Caldan spowolnił ich na tyle, żeby jego grupa zdołała przejść na drugą stronę. Z tego, co wiem, widok budził przestraszonych. Wszędzie strzelały błyskawice, wznosiły się chmury pyłu – Izak zaczął zamazywać gestykulować – huczały pioruny, aż w uszach dzwoniło. Rennen był pod wrażeniem tego, co zobaczył. Caldan ocalał, ale jego dziewczyna Miranda nie miała tyle szczęścia. Wrogowie zrobili coś z jej umysłem. Po wszystkim ledwie mogła mówić i chodzić.

To pachniało na milę zakazanymi czarami. Felice utrzymywała wyraz twarzy w stanie całkowitej obojętności, a Avigdor chciwym wzrokiem usiłował złowić na niej jakąś reakcję na słowa Izaka.

– Udało mu się zabić jednego czarodzieja i pojmać drugiego – mówił dalej szpieg – a właściwie drugą, bo chodzi o kobietę. Ten, który zginął, nazywał się Klucz... a przynajmniej tak twierdzi Rennen. Byli chyba... kochankami. Może rodzeństwem. W każdym razie czarodziejka gorzko opłakała śmierć Klucza.

Felice zgromiła Avigdora karcącym spojrzeniem. Przyboczny spuścił wzrok.

– Wygląda na to, że wiesz o wiele więcej, niż mi powiedziano. Czy mógłbyś dokładniej opisać tę walkę i powiedzieć, kim jest ta pojmana czarodziejka?

– Rennen mówił, że każe się wołać: Dzwonki. To dlatego, że ma wplecione we włosy rzemyśliwa w kształcie dzwoneczków. Powiedział też, że jest śmiertelnie niebezpieczna. Wywnioskował to z tego, jak się zachowywała i co mówiła po pojmaniu. Była niezwykle pewna siebie i arogancka. Zresztą kto by nie był, władając tak potężną magią? – Izak strzepnął palcami. – Gromy, błyskawice. Strach człowieka bierze. To przecież nie powinno być możliwe. – Ściągnął brwi i skrzyżował ramiona na piersi.

Felice zbyła jego słowa machnięciem dłoni, jakby nic nie znaczyły, choć tak naprawdę znaczyły bardzo wiele. Potrzebowali Izaka, oczywiście, ale musieli też wzbudzić w nim przekonanie, że jego informacje nie są takie znowu ważne. Tak więc gdy powoli wszystkie kawałki układanki trafiały na swoje miejsce, Felice utrzymywała beznamiętny wyraz twarzy, choć widziała po minie siedzącego za szpiegiem Avigdora, że i on z powodzeniem łączy fakty.

Dotąd miała tylko strzępy informacji, na które natknęła się przypadkiem, oraz pewne wieści, które przekazał jej stary mistrz. Znała też kilku arcymagów, ale tym zwykle kleiły się usta. Gdy nazbyt drążyła jakiś temat, przeważnie źle się to dla niej kończyło. Jeśli cesarz lub jego magowie kazali przestać zadawać pytania, człowiek rozumny postępował wedle reguły: nie wnikaj, bo wsiąkniesz. Ale to, co mówił Izak, powiedziało jej wiele zarówno o najeźdźcach, jak i o Protektorach.

Felice podniosła się z łóżka i podeszła do Izaka. Klękła przed nim na jedno kolano i zajrzała głęboko w oczy.

– Dziękuję – wyrzekła. – Wszystko to bardzo ciekawe i doceniam, że nam o tym powiedziałaś. Będę z tobą szczerą: jesteś nam potrzebny. Potrzebujemy twoich informatorów. Twoja sieć kontaktów uzupełni naszą i bardzo pomoże nam w walce



z najeżdżcą. Ale miej się na baczności, Izaku: to jest wojna, i to wojna z wrogiem, o którym prawie nic nie wiemy.

Choć po prawdzie wiedziała teraz mniej więcej, do czego ten wróg jest zdolny. Ale jakie są jego prawdziwe cele?

Izak pokraśniał na twarzy, nie wiedzieć, czy z dumy, czy przez tę niespodziewaną poufałość. Nie pierwszy raz używała zarówno pochwał, jak i bliskości, by osiągnąć zamierzony efekt. Izak przełknął ślinę.

– Pomogę, jeśli tylko nie zginę, próbując.

– O, martwy na pewno na nic mi się nie przydasz – odpowiedziała z uśmiechem. Poklepała go po kolanie, podniosła się i ponownie usiadła na łóżku. – Musimy walczyć ramię w ramię. Ale jeśli chodzi o ciebie, Izaku, tylko metaforycznie. Istnieje wiele sposobów na stawianie oporu najeżdźcom, a my mamy w swoich szeregach dość wojowników. Informacja to także broń, i to równie użyteczna co miecz. A teraz powiedz mi coś więcej o tym tunelu...

Mile połączony uznaniem Izak wyprostował się na krześle.

– Rennen może znać kogoś, kto wie o innym tunelu. Indryallanie pewnie już obstawili ten, z którego Rennen skorzystał ostatnio.

– Może znać? Zakładam, że chciałeś powiedzieć, że zna, ale trudno będzie umożliwić nam skorzystanie z tunelu?

– W sensie... tak. Ci ludzie... dość powiedzieć, że nie zarabiają legalnie. Gdyby ktoś o twojej pozycji miał się nimi zainteresować, niezależnie od przyczyny... nie byłoby skorzy do współpracy.

– Ale za pośrednictwem Rennena możesz umówić nam spotkanie. Mamy dwudziestu ludzi, których trzeba przeprowadzić na drugą stronę murów.

– Dwudziestu! To będzie kosztować.

– Pani – włączył się Avigdor – dukatów nie mamy za wiele.

– Wiem. Musimy opracować jakiś plan. – Felice jęknęła, zła na całą tę sytuację. Zdołała ostrzec większość swoich ludzi i rozlokować ich w bezpiecznych kryjówkach, nawet jeśli mieściły się one w gnijących statkach Cmentarza, gdzie zagnieździła się sama, ale przecież ci ludzie nie byli żołnierzami. Byli świetni w tym, co robili,

prawda, ale nie byli tym, czego potrzebowała, aby rozpętać efektywną kampanię przeciwko najeźdźcom. I tak jak powiedział Avigdor, ich finanse były w opłakanym stanie. Tę garść dukatów, którą zabrała z miasta, już prawie wydała. Ich zasoby zaczęły topnieć, a właściwie już się kończyły. Utkwiła wzrok w suficie pokrytym zbereźnymi freskami. – Jakież sugestie? – rzuciła w przestrzeń.

Avigdor wrócił na miejsce i splótł palce, niespiesznie zastanawiając się nad ich pozycją, jak to miał w zwyczaju. Siedzący dwa kroki dalej Izak wyjął z kieszeni chustkę i wydmuchał nos, a potem podniósł rękę.

– Jeśli wolno – powiedział.

Felice przyzwoliła machnięciem dłoni.

– Dziękuję. No cóż, to jasne jak słońce, że nie możemy poprosić moźnych o wsparcie. A przynajmniej o wsparcie finansowe. Dopóki nie zobaczą, skąd wieje, a gdzie powiewa, niestety, nie możemy na nich polegać. Kupcy także odprawią nas z kwitkiem. – Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. – Będą oglądać każdego dukata z obu stron, zanim go wydadzą. I trudno im się dziwić, chcą mieć zapas, na wypadek gdyby sytuacja się pogorszyła. Zasoby, jedzenie, pieniądze lub dobra, które łatwo spieniężyć. Nie sposób będzie wyciągnąć od nich cokolwiek, a wielu z nich sprzedałoby nas wrogowi, gdyby ten obiecał im nagrodę. Nie... Musimy znaleźć kogoś majątnego i odwołać się do jego wewnętrznej chciwości, przekonać go, że to wojenka przelotna jak deszcz, bo zaraz przybędzie z posiłkami cesarz, który wynagrodzi go dziesięciokrotnie za to, co zainwestuje w naszą sprawę, i to z pocałowaniem ręki. To powinno wystarczyć, żeby przeciągnąć kogoś na naszą stronę. Wraz z jego dukatami oczywiście.

– Ale jak słusznie zauważyłeś, możni i kupcy się na to nie nabiorą, więc w niczym nie zmienia to naszej sytuacji – powiedział Avigdor.

Felice potwierdziła skinieniem. W zasięgu jej ręki musi być coś, co może wykorzystać na swoją korzyść. Nie wolno jej się ot tak poddać.

– Co jeszcze słyszałeś?

– A! – wykrzyknął Izak, przybierając szelmowski uśmiech. – Od pewnego znajomka usłyszałem ciekawą plotkę. Jedna z największych kompanii na kilka dni przed inwazją zaczęła opróżniać wszystkie swoje magazyny w Anasomie, włącznie z rezerwami pieniężnymi.

– Kim dokładnie są ci kupcy? Musieli wiedzieć, co się kroi. Jak wiele wiedziała ta kompania? I skąd?

– Chodzi o Kompanię Handlową Pięciu Oceanów – wyjawiał Izak. – Kilka ich biur wciąż jest otwartych, obsługuje je okrojony personel.

Felice przeczesła dłonią przetłuszczone włosy. Naprawdę powinna je umyć.

– Ale to podejrzane. Ciekawe, skąd wiedzieli... i dlaczego nie uciekli wszyscy z całym majdanem, gdy już się dowiedzieli?

Oparła się o wezglowie, zamyślona. Izak otworzył usta, ale Avigdor dał mu znak, by milczał. Przeanalizowała sytuację z każdej możliwej perspektywy, ale wszystko sprowadzało się do tego, że po prostu potrzebowała więcej informacji. Gdyby ci kupcy działali ręką w rękę z Indryallanami, zostaliby w mieście. To było jasne. Chyba że opuszczenie przez nich miasta i opróżnienie składów to przypadek... Tyle że Felice nie wierzyła w takie przypadki. Zdobyli skądś informacje, do których ona nie miała dostępu, i to uwierało ją jak cierń pod paznokciem. Izak wspomniał o niebezpiecznej, tajemniczej magii, z której korzystali Indryallanie... A co, jeśli wydarzyło się oczywiste i ci kupcy faktycznie wiedzieli o nadchodzącej inwazji? Czy to w ogóle możliwe?

Musiała ich przesłuchać. Dowiedzieć się tego samego, co wiedzieli oni.

– Musimy się z nimi skontaktować – powiedziała na głos. – Z tymi kupcami z kompanii. I musimy być przy tym ostrożni.

– Chciałbym zauważyć – powiedział Izak – że tak naprawdę nie wiemy, dlaczego wyjechali z miasta i czy rzeczywiście ma to coś wspólnego z inwazją.

– Fakty wskazują na to, że wiedzieli o mającej nastąpić napaści – odparła Felice.

– Tylko te fakty, które znamy – skorygował Avigdor. – Ale owszem: sprawa wydaje się prosta. Izaku, będziesz nam musiał zaufać. Ci kupcy wiedzieli o tym, że nadchodzi wróg, i woleli być gdzieś indziej, gdy już nadejdzie.

– Ale... – zająknął się Izak. – Skąd by o tym wiedzieli, gdyby nie byli sprzymierzeni z Indryallanami? Znaczący ty przecież, pani, nie wiedziałaś. – Umilkł, a na jego twarzy znów pojawiły się czerwone plamy. – Bez urazy.

Felice westchnęła.

– Istnieje możliwość, że nie są z nimi sprzymierzeni. Co oznacza, że mieli lepszych informatorów niż my, ale w to wątpię. Być może zobaczyli, jak układa się wzór pewnych wypadków, i wydedukowali z niego, że dojdzie do agresji. Ale to też wydaje mi się wątpliwe. Wywiad to jedyna rzecz, w której jesteśmy naprawdę dobrzy, a z jakiegoś powodu myśmy się tego nie domyślili. Więc nasuwa się wniosek, że mieli jakiegoś nieznanego nam informatora.

– Tylko kogo? – wymamrotał Izak.

– Bez rzetelnej informacji nasze dywagacje są stratą czasu. – Avigdor powiedział to z dozą nietypowej dla niego nonszalancji, stykając się z Felice spojrzeniem i wskazując głową siedzącego przed nim Izaka.

Felice wiedziała, że uważnie jej słuchał i doszedł do podobnych co ona wniosków. To, że koncern wyniósł się z miasta przed inwazją, kazało przypuszczać, że działał w pośrednim lub bezpośrednim porozumieniu z wrogiem. Warto by przesłuchać ich pod tym kątem.

– Nie mamy wyboru. Izaku, będziesz musiał nawiązać z nimi kontakt w naszym imieniu. – Zaprawiła polecenie uroczym uśmiechem.

– Co? Ja? Ale...

– Obracasz się w podobnych kręgach i niewątpliwie ktoś z twoich znajomych miał jakieś układy z Pięcioma Oceanami. Sporo już wiemy o ich działalności handlowej, ale najwidoczniej przeoczyliśmy coś istotnego. Dowiedz się więcej, a potem sformułujemy list polecający, który wzmoże ich ciekawość. – Ale

wszystkiego tego należało dokonać z dużą dozą ostrożności. Bo jeśli kompania rzeczywiście bratała się z Indryallanami, mogło się to źle dla niej skończyć. Igrała z ogniem.

– Ale ja... na przodków... – Cała krew odpłynęła Izakowi z twarzy. – Co, jeśli to jakieś zbiry?

– Możemy zaaranżować spotkanie w miejscu, gdzie zdołamy zatroszczyć się o twoje bezpieczeństwo, a jednocześnie podsłuchać, o czym będziecie mówić. Będziesz pod naszą opieką. Masz na to moje słowo.

– Jak możesz mi to obiecać? Jeśli pomyślą, że wiem o nich coś, co woleliby zachować w tajemnicy, to po mnie!

Felice prychnęła śmiechem.

– Dobrze napisany list, w którym zawrzemy to, co wiemy, i zasugerujemy to, co podejrzewamy, i nie będziesz się mógł od nich opędzić. Zwłaszcza jeśli rzeczywiście uciekli przed Indryallanami z jakiegoś powodu.

– Jak to: jeśli? Myślałem, że jesteś tego pewna, pani?

– Tak pewna, jak tylko mogę być pewna.

– Ale...

– Izaku, dość. Proszę. To przecież łatwe zadanie. Dowiedz się więcej na ten temat, a potem wyślij im list, żeby ściągnąć kogoś ważnego na spotkanie w cztery oczy. My go przesłuchamy i wtedy będziemy wiedzieć o wiele więcej, niż wiemy teraz. Widzisz, jakie to proste?

Izak przełknął gulę w gardle i wolniutko pokiwał głową.

– No to świetnie – podjęła Felice, pocierając policzek. – Avigdor spotka się z tobą o tej porze jutro, wówczas będziesz mógł powierzyć mu wszystkie zdobyte informacje. Ja do tego momentu będę już miała gotowy list. Musimy działać szybko.

Świeżo upieczony szpieg skłonił się Felice.

– A więc do zobaczenia. Choć stoję w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa, robię to z własnej woli. Dla ciebie, pani. – Wyciągnął rękę, którą zignorowała. Oczyszczył gardło i niespieszonym, teatralnym gestem przygładził bródkę. – A zatem do jutra.

Avigdor wstał i uściskał mu dłoń, uśmiechając się serdecznie. Wymienili kilka cichych słów i Izak wyszedł. Przyboczny zamknął za nim drzwi, a potem wrócił do Felice.

– A więc tak – odezwał się – jutro po południu polecę Rennenowi wyszmuglować z miasta dwadzieścioro naszych ludzi, a potem spotkam się z Izakiem. A co z dukatami, których będzie potrzebował Rennen? Ludzie, z którymi będzie się układał, na pewno spodziewają się zapłaty z góry.

– Zostaw to mnie. Do jutra coś wysupłam. – Ocaliła z miasta kilka osobistych drobiazgów, które mogła sprzedać. Przez jakiś czas utrzymają się dzięki nim na powierzchni.

Avigdor obrzucił ją zatroskanym spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

Felice po raz ostatni przemknęła wzrokiem po kiczowatych ozdobach.

– Avigdorze, uregulujesz rachunek za pokój? Muszę zająć się tymi dukatami i napisać list.

– Oczywiście. Obyczaj nakazuje chyba, żeby w takich okolicznościach to mężczyzna płacił.

Wymierzyła w niego znużone spojrzenie.

– To nie jest śmieszne.



**A**merdan jeszcze nigdy w życiu tak się nie męczył. Byli tak blisko, Dzwonki i Caldan, a jednak coś niemal fizycznego powstrzymywało go przed sięgnięciem po nóż. Nie miał pojęcia, co to jest i skąd się wzięło. Lalka Kropka szamotała się jak uwięziony pod koszulą kot za każdym razem, gdy powstrzymywał dłoń przed zaciśnięciem się na rękojęści. Dwaj czarodzieje w zasięgu jego ręki, a on nie mógł zebrać się, by ich zabić... a przynajmniej na razie.

Dzwoniło mu w głowie na samą myśl. Oblizął wargi, czując, że ślina napływa mu do ust. Zbyt niebezpieczne – uznał. Czy to właśnie to go powstrzymuje? Strach? Zachichotał pod nosem.

„Niebezpieczne”. Obracał to słowo w głowie. Był całkiem pewien, że poradziłby sobie z nimi wszystkimi. W pierwszej kolejności musiał zająć się Caldanem, ale szybkie i celne pchnięcie powali

nawet jego. Potem żołnierze, następnie Elpidia. I wtedy zostanie sam z Dzwonkami.

Ale wtedy będzie miał do dyspozycji tylko jedno naczynie, a przecież są dwa, i oba ponadprzeciętnie utalentowane...

Nie. Źle się do tego zabiera. Czemu zadowolić się jednym, skoro może mieć oba? A więc pozostaje czekać. Cierpliwie czekać. No to czekał cierpliwie, noc w noc, dzień w dzień.

Amerdan zamknął oczy i oparł się o drzewo, wsłuchując się w odgłosy nocy, pozwalając im omywać się jak chłodna, kojąca fala. Śpiewały świerszcze. W zaroślach szeleściły małe nocne stworzenia. Od strony obozu niosły się głosy, przeważnie szorstkie przekomarzanki Kołczanów, ale też fragmenty rozmowy Caldana i Elpidii. Odłączył się od nich, gdy zatrzymali się na noc. Potrzebował kilku chwil sam na sam ze sobą.

Gdy w końcu został sam, mógł wreszcie zrzucić skórę, w której gniótł się w obecności towarzyszy. Uwierała go, wiecznie ciążyła mu na barkach. W sklepie przynajmniej zdarzały się chwile, gdy nie zawracali mu głowy natrętni klienci, i wówczas mógł się odprężyć. A tutaj, gdzie nieustannie był na widoku, miał tych chwil jak na lekarstwo. Nie mógł być w pełni sobą.

Raptownie zerwał się na nogi i odszedł jeszcze dalej od obozu. Długa trawa zostawiała na jego nogawkach wilgotne plamy wieczornej rosy. Zwierzęta i owady słyszały, że idzie. Nieruchomiały albo umykały przed nim, ale on widział je wszystkie. Od lat dobrze widział w nocy. Jedno z naczyń, które pochłonął, oddało mu swoje zaskakujące dary. A może wcześniej był już na krawędzi i talenty tej kobiety tylko przepchnęły go na drugą stronę? Nieistotne.

Zauważył słabe światło i skierował się w tamtą stronę. Było daleko, ale... nie, zbyt jednolite, jak na ognisko.

Czy tego właśnie szukasz? – spytał sam siebie. Czy tego potrzebujesz?

Przyspieszył kroku, przedzierając się przez krzewy i obchodząc drzewa. Jego drogę przeciął szeroki strumień. Ledwie zdążył się zatrzymać, a potem przebrodził na drugą stronę, trzymając buty nad



głową. Stał pośrodku nurtu, zanurzony do pasa, i pił garściami zimną wodę. Smakowała słodko, ale nie ugasiła pragnienia. Potrzebował czegoś innego.

Po drugiej stronie zaczął wyzymać spodnie, przypatrując się spływającym po kamieniach strużkom wody. Wiatr się wzmógł i zawył w koronach rozkołysanych drzew. Pył i suche liście przelatowały obok Amerdana, który zamrugał oczami i obrócił się twarzą od wichru. Wyszedł na wąski trakt, przetarty, wiodący do albo od strumienia. Jego obute stopy prawie nie wydawały dźwięku na ziemistej ścieżce, którą ruszył w kierunku światła. Las rzedł naokoło, przechodząc płynnie w obsiane pola. Gdy Amerdan podszedł bliżej, zauważył, że światło w dali podzieliło się na dwa osobne, również jednostajne źródła. Kilka chwil później dostrzegł, że oba są kwadratowe, i wtedy na jego twarzy pojawił się uśmiech. Okna.

Nie umknął ze ścieżki. Wątpił, by ktoś zauważył go w nocy. Siedzą pewnie w swojej chacie, za zaryglowanymi drzwiami i zamkniętymi oknami, schronieni w kręgu światła przed ciemnością i chłodem.

Przed nim zarysowała się w mroku brama i Amerdan stanął. Solidnie wykonana, stanowiąca część ogrodzenia, otaczającego dobrze utrzymane gospodarstwo. Na dachu nie brakowało gontów, a w szczelinach nie rosły chwasty. Ktoś zbudował tutaj domostwo i dbał o nie... z miłością. Pewnie trudziła się przy tym cała rodzina.

Wstrzymał go chrapliwy warkot, a chwilę potem rzucił się na niego pies. Zapiszczał, gdy Amerdan, przycisnąwszy go za kark do ziemi, zatopił nóż pod jego pachą, szukając serca. Sklepikarz puścił broń i zacisnął palce na psim pysku, tłumiąc wycie i skamlenie umierającego zwierzęcia. Wkrótce znieruchomiało. Ciekawe, pomyślał Amerdan, widząc czerwoną wstążkę na jego skórzanej obroży.

Jeszcze chwilę przyduszało do ziemi martwe zwierzę, sam również znieruchomiały i milczący. Gdy nabrał pewności, że wiatr zagłuszył odgłosy szamotaniny, wstał i otrzepał spodnie i koszulę.

Nieuprzejmie by było wparować komuś do domu w brudnym ubraniu. Oczywiście na plamy krwi nic teraz nie poradzi.

Wrota stodoły po jego prawej otworzyły się z hukiem. Wichura musiała zaskoczyć farmera, który nie zdążył zamknąć wszystkiego jak należy. Amerdan zostawił psa na drodze i podszedł do drzwi stodoły, po czym kopnął je z mocą. Znowu głośno uderzyły o ścianę.

No chodź, miłujący swoje domostwo zwykły człowieku. Ten huk musiałeś usłyszeć.

Jedno okno pociemniało na moment, gdy ktoś przeszedł między nim a źródłem światła. Amerdan kopnął w wierzeje raz jeszcze, a one ponownie huknęły o ścianę, aż zadrżały na zawiasach. Odszedł dwa kroki na bok i schował się za beczką deszczówki.

Pionowa linia światła oddzieliła od framugi skrzydło otwieranych na zewnątrz drzwi. Ze szczeliny wyjrzała głowa i Amerdan usłyszał chrapliwe przekleństwo. Drzwi otworzyły się do końca i na werandę wyszedł krzepki kmieć, osłaniając oczy od wiatru. Gwizdnął i zaczął czekać. Widzący w ciemności Amerdan zauważył skrzywioną brew mężczyzny, który nie doczekał się psa. Głupie bydlę nie było daleko, ale wątpił, by farmer zauważył jego truchło. Dopiero co wyszedł w ciemność z jasno oświetlonego pomieszczenia.

Wywrócił oczami, gdy mężczyzna gwizdnął ponownie. Kolejne przekleństwo i jeszcze jeden gwizd. Następnie farmer pokręcił głową i ruszył ku stodole. Gdy wyciągnął rękę, by zasunąć rygiel, Amerdan wstał i bezszelestnie zaszedł go od tyłu.

Chwilę później kmieć leżał na plecach w stodole z rozrzuconymi rękami i nogami, z dłonią Amerdana zaciśniętą na gardle. Jego oczy musiały już przyzwyczaić się do mroku, bo wybałuszył je, widząc unoszące się nad jego głową ostrze.

Zaszamotał się, jak oni wszyscy. Ale gdy nadeszła jego ostatnia chwila, rozpoznał, że to ona. Jego użyteczność, tak jak użyteczność ich wszystkich, miała się niebawem skończyć. Gdy mężczyzna zaczął błagać, Amerdan rozciągnął usta w uśmiechu. Dobrze, że nie błagał o ocalenie swojego życia, tylko życia żony i dzieci. Amerdan zamknął oczy i wsłuchał się w skamlenie tego bydlątka pod swoją dłonią.



Miranda ścisnęła rękę Caldana, a potem znowu. Siedziała tam, gdzie posadzili ją kilka godzin wcześniej – dość blisko ognia, żeby było jej ciepło, ale i dość daleko, by przypadkiem nie wpadła do niego, nim ktoś zdoła podbiec. Mówił do niej od wieczornego posiłku. O przeróżnych rzeczach. O swoim życiu w klasztorze, o rejsie do Anasomy, w czasie którego się poznali, oraz o próbach, jakie przeszedł w Gildii Czarodziejów. Cały czas trzymał ją za rękę, chcąc jakoś ją pokrzepić, pocieszyć, pomóc się rozluźnić po długiej jeździe na wozie.

Zatrzymawszy się na popas, odeszli kawałek od głównej drogi ziemistym traktem prowadzącym do trawiastego obszaru, który żołnierze znali ze swoich innych eskapad, i tam rozbili prowizoryczny obóz. Dzwonki zostawili w wozie, związawszy jej palce paskami materiału, a ręce łańcuchami, by nie mogła rzemyśleć. Wcześniej Elpidia wyprowadziła ją na dwór, by rozprostowała nogi, ale zaraz potem ponownie przykuła ją do belki w wozie.

Gdy się zatrzymali, uzdrowicielka rozłożyła swoje rzeczy na trawie – małe fiolki i buteleczki, papierowe pakunki oraz wąskie drewniane pudełka. Grzebała w nich nerwowo w całkowitym skupieniu. Na którymś etapie tego szperania wylała kilka kropel krwi Caldana na szmatkę. Następnie przecięła materiał na dwie części i włożyła każdą do buteleczki z przezroczystym płynem, który szybko zabarwił się na różowo. Podejrzewał, że to jakiś specyfik, który miał zapobiec krzepnięciu krwi. Wywnioskował, że była dobrze przygotowana.

Caldan przeciągnął się i ziewnął. Amerdan długo nie wracał. Mówił, że idzie tylko się przejść. Był dzisiaj jakiś nieswój. Caldán nie dziwił się, że po całym dniu siedzenia na wozie towarzysz potrzebuje nieco czasu dla siebie.

Kończany rozmawiały między sobą, czyszcząc oprzyrządowanie i przyglądając się broni. Każdy poza łukiem miał na wyposażeniu miecz i sztylet.

Caldan ujął miecz i podszedł do zwałonego pnia zaraz za kręgiem bijącego z ogniska światła. Uciekali z Anasomy w wielkim pośpiechu, a później gnali na złamanie karku przez dzicz, nie miał więc czasu, by się zastanowić nad pewną sprawą, i nie chciał, aby ktoś się zorientował, że ma w posiadaniu tak cenny talizman. Trzymał więc miecz w pochwie i pilnował go jak oka w głowie. Ale teraz, gdy wszyscy byli zajęci, nadarzała się doskonała okazja, żeby mu się przyjrzeć. Jemu oraz kościanemu pierścieniowi – kolejnej tajemnicy, nad którą nie miał dotąd czasu porządnie się zastanowić.

Pierścienia nie uformowano z surowca zwykle wykorzystywanego w tym celu i prawdopodobnie to czyniło go cenniejszym od wielu talizmanów, z którymi miał dotąd styczność. Na pewno był znacznie cenniejszy niż dziesięć jego rzemysłniczych pierścieni. Jego istnienie stawiało na głowie całe współczesne talizmanoznawstwo. Jego rodzice najprawdopodobniej zginęli, nie chcąc pozwolić, by ten pierścień trafił w niepowołane ręce.

Usiadł i wysunął miecz z pochwy na długość dłoni. A potem – nie mogąc się powstrzymać – na drugie tyle. Nigdy nie widział czegoś tak pięknie wykonanego. Nawet gdyby ten miecz nie był talizmanem, wciąż stanowiłby dzieło sztuki. Tak jak w przypadku Caldanych pierścieni, tworzywem dla klingi był jakiś nieznan stop. Formuła zapewne zaginęła w czasie Zdruzgotania.

Caldan otworzył swoją studnię i przebiegł zmysłami po mieczu. Tak jak w przypadku jego pierścienia, nie wprowadzono weń żadnych run połączenia, na których mógłby się zaczepić, nic, co mogłoby zasilić talizman. A jednak coś go zasilало, w dodatku nie potrzebowało zwyczajowej studni ani run kształtujących. Caldany nie miał pojęcia, jak stworzono ten artefakt, wiedział tylko, że czarodzieje znacznie potężniejsi od niego również nie potrafiliby rozwikłać tej zagadki. Przesunął palcem po głównej. Gładka, twarda, zimna. Srebrzysty metal lśnił w mroku nocy przyćmionym blaskiem.

Caldan pokręcił głową, schował miecz do pochwy i przeniósł myśli na jeden z rzemysłniczych dzwoneczków w swojej kieszeni. Ten był mały i srebrny, nie większy od paznokcia kciuka. Metalu, z którego go utworzono, także nie rozpoznał, ale założył, że w skład stopu wchodzi wiele ziem rzadkich. Runy i glify po obu stronach wyryła ręka mistrza. Poziom ich wykonania wykluczał użycie woskowej formy, podobnie jak w przypadku jego bransolety. Żałował, że nie będzie już miał okazji uczyć się w gildii, żeby móc dowiedzieć się o dzwoneczku czegoś więcej.

Mógł chociaż czerpać jakąś satysfakcję z tego, że wiedział o nim znacznie więcej niż dziesięć dni temu, gdy zaczął go badać. Choć wciąż żałował, że uderzył Dzwonki, jego pogroźki przyniosły skutek, bo po długiej rozmowie zdradziła mu w końcu, że to tego rzemysłliwa potrzebuje do uzdrowienia Mirandy. Oczywiście, wyznawszy mu to, kategorycznie odmówiła wyjaśnienia mu w większym szczególe, jak rzemysłliwo działa – ale zawsze to jakiś początek. Nie wiedział tylko, dlaczego czarodziejka wyjawiała mu tę informację. Czyżby miała nadzieję, że próbując skorzystać z dzwoneczka, zrobi sobie krzywdę?

Wrócił do Mirandy, by sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku, a potem odsunął się od ognia i obszedł obóz, pogrążony w myślach.

– Caldanie! – z mijanego pojazdu dobiegł go szept. – Tutaj.

Potrząsnął głową i wznowił marsz po okręgu. Gdy po raz drugi mijał wóz, znowu dobiegł go szept Dzwonków:

– Mały Protektorku, podejdź na chwilę.

Zatrzymał się, bawiąc się trzymanym w kieszeni dzwoneczkiem, ale zaraz znowu ruszył przed siebie.

Pogadamy, Dzwonki, pogadamy. Ale nie dlatego, że ty masz taki kaprys.

Caldan wrócił do swoich rzeczy i znalazł trzy małe czarodziejskie kule, te same, których użył w tunelach. Otworzył studnię i podłączył się do dwóch z nich, a wtedy szklane sfery rozblęły białym światłem. Podszedł do żołnierzy i wręczył im obie z uśmiechem na twarzy.

– Mogą się dzisiaj przydać – powiedział.

Przyjęli je z wyrazem lekkiego zdumienia. Czarodziejskie kule były bardzo drogie i pewnie widzieli je pierwszy raz w życiu.

– Dziękujemy – wybąkał jeden z Kołczanów.

Caldan skinął im głową.

– Nie śmiem pouczać was, jak macie wykonywać swoją robotę, ale... Znaczą zakładam, że jeden z was będzie pełnił wartę przez całą noc, tak?

Trzej żołnierze skupili spojrzenia na czwartym, najstarszym, o imieniu Lavas. Caldan pamiętał, że ma rangę kaprała, ale nosił też na sercu odznakę Złamanego Miecza. Uznał, że przyznaje się ją wojakom, którzy swoje już w życiu powalczyli.

– Zgadza się, z tym że podzielimy się wartami. Ten tutaj Breyton – kapral wskazał jednego z żołnierzy – wartuje pierwszy. – Zmrużył oczy na kamrata. – I najlepiej by zrobił, gdyby już zaczął.

Breyton wstał ze skruszoną miną, przyjmując od kaprała magiczną lampę, a potem odszedł w noc. Starszy żołnierz wpatrzył się w drugą sferę.

– Jeśli wolno spytać, jesteś, panie, czarodziejem?

– Zaledwie praktykantem – odpowiedział Caldan, kręcąc głową. – Miałem zostać czeladnikiem, ale... no cóż, najechali nas.

– Nie ma się co martwić. Gdy wieści dotrą do cesarza, da Indryallanom do wiwatu.

– Nie wątpię. No, pójdę już – powiedział Caldan, wznawiając kurs po okręgu. Gdy wcisnął rękę w kieszenie, zadzwoniły dzwoneczki.

Na ten dźwięk Elpidia poderwała głowę, ale zaraz wróciła do pracy. Zapisywała coś piórem na kartce, co rusz zanurzając stalówkę w garnuszku z tuszem. Amerdan wciąż nie wracał.

Mijając Mirandę, Caldan ścisnął pokrępiąco jej ramię, a potem skierował się do wozu i dźwignął się do środka. Choć było ciemno, wypatrzył Dzwonki opartą o tylną ścianę wozu, ale, tak jak w tunelach, upomniał siebie, żeby nie zdradzić się przed nią z tym talentem. Więc raz jeszcze otworzył studnię i czyste światło wysnuło się z czarodziejskiej kuli w jego rękę. Opromieniło Dzwonki owiniętą

kocem, który rzucił jej na noc któryś żołnierz. Poruszyła się, gdy usłyszała skrzypienie drewna, i zobaczyła Caldana, gdy wchodził na wóz. Odbiegła wzrokiem, gdy w ciemności błysnęła kula.

Jak robił to zawsze, gdy zbliżał się do czarodziejki, Caldan wyprowadził ze studni dwa strumienie i podłączył się do rzemyślniczej tarczy, ale na razie jej nie aktywował. Choć wiedział, że rzemyśliwo musi znajdować się przy aktywującej je osobie, żeby zadziałało, to jednak nie był pewny, czy czasem Dzwonki nie ma jakiegoś asa w rękawie. Postanowił mieć się na baczności.

– Dobry mały Protektorek – zamruczała po kocie.

– Nie jestem żadnym „Protektorkiem”.

– Masz rację, nie jesteś. Daleko ci do Protektora. – Wbiła w niego sugestywne spojrzenie i przeciągnęła się pod kocem, który zsunął się z jej ramienia. – Wiedziałam, że w końcu przyjdiesz. Skrojono nas z tej samej tkaniny, ciebie i mnie.

– Śmiesz wątpić – odbił Caldan. – Jesteśmy tak różni, jak to tylko możliwe.

– Ach – westchnęła, przeciągając się znowu tak, że koc zsunął się niżej na kolana. – Coś mi się widzi, że jednak nie aż tak bardzo. Ludzie tacy jak my... utalentowani... powiedzmy, bardziej niż inni... zawsze czują się wśród nich obco.

– Nie, Dzwonki, nie jestem taki jak ty – odrzekł z nutą gniewu. – Ja nie zabijam niewinnych ludzi.

– Zabiłeś szukających mnie żołnierzy.

– Bo oni zabiliby nas. Albo ty byś to zrobiła, gdybyś była wolna.

– To prawda, ale mnie chodzi o coś innego. Mianowicie ty widzisz świat w czerni i bieli, a on wcale taki nie jest. Nie ma żadnej czerni i bieli, tylko wiele odcieni szarości. I nie ma kogoś takiego jak całkiem niewinny człowiek. Dobro i zło nie istnieją, istnieją tylko ludzie próbujący coś ugrać kartami, które rozdał im przypadek.

– A więc ty, mordując czarodziejów i Protektorów, nie popełniłaś zbrodni, a jedynie próbowałaś poradzić sobie jakoś w szerokim, nieprzyjaznym świecie, tak? – odparł. – Na przodków, oszczędź mi tych swoich naciąganych wyjaśnień.

Dzwonki wzruszyła ramionami.

– Wcale nie chcieliśmy ich zabijać. Myśleliśmy, że da się ich jakoś obezwładnić, to Bóg-Imperator uznał ich za zbyt niebezpiecznych. A kiedy on wyda rozkaz, ty go wykonujesz i koniec.

– Czyli to, że tylko wykonywałaś rozkazy, zmywa krew z twoich rąk?

– Tak szybko mnie osądzasz? Nic innego nie mogliśmy zrobić. Ty nie znasz Boga-Imperatora. – Potrząsnęła głową. – Kelhak jest naszym wodzem od bardzo dawna. Ma absolutną moc. Jego magia i przenikliwość nie mają sobie równych. Kiedy wydaje polecenie... No cóż, powiedzmy tylko, że jeśli nie chcesz go wykonać, zawsze znajdą się tłumy ludzi chętnych wskoczyć na twoje miejsce.

Caldan wbił w Dzwonki zdumiony wzrok. Czy on się czasem nie przesłyszał?

– Coś ty powiedziała? Kelhak? Niemożliwe...

– Co?

– Sto lat temu w klasztorze, w którym dorastałem, mieszkał człowiek imieniem Kelhak. Został wygnany, pojechał do Anasomy, tam wygrał turniej dominionowy, a potem zniknął.

– Bóg-Imperator nigdy nie przegrał partii dominionu. Nigdy.

– To musi być zbieg okoliczności – wymamrotał Caldan.

To nie mógł być ten sam Kelhak. Musiałby mieć ze sto lat. Ale czy ona nie powiedziała, że Bóg-Imperator ma właśnie tyle?

Nie. To jakieś bzdury. Caldan wyrzucił te myśli z głowy.

– Nieistotne – uciął obcesowo. – Przyszedłem, bo potrzebna mi twoja pomoc.

Dzwonki przechyliła głowę i zmierzyła go zaciekawionym spojrzeniem.

– A ja pomyślałam, że chciałeś pogadać, jak zwykle. Czy ty naprawdę wierzysz, że ja ci pomogę? Po tym, co zrobiłeś? – Splunęła na podłogę.

– Miranda jest niewinna. Ona przecież nic ci...

– Nie ma ludzi niewinnych – przypomniała mu z naciskiem. – Każdy ma coś na sumieniu.



– Nie Miranda. Ona tylko chciała ułożyć sobie jakoś życie, żeby nie musieć codziennie wypruwać sobie żył. Chciała spokojnego życia, bez zgiełku i zamętu. Tylko tego, niczego więcej.

– Bardzo w to wątpię.

– Kiedy to prawda. – Caldan sięgnął do kieszeni i wyjął dzwoneczek. Podsunął Dzwonkom otwartą dłoń z umieszczonym na niej rzemyśliwem. Światło z jego czarodziejskiej kuli zasłało refleksami obłą powierzchnię artefaktu. Wzrok Dzwonków spoczął na przedmiocie, a potem odbiegł na bok. Wydawała się niezainteresowana, ale Caldan wiedział, że tylko udaje.

– Czy jest sposób, żeby ją uleczyć? – spytał cichym głosem.

– Ryzykujesz, podtykając mi to tak blisko. – Na usta Dzwonków wystąpił uśmiech, dzikie skrzywienie warg, które nijak nie odbiło się w jej zimnych oczach.

– Nie sędzę. Myślę, że abyś mogła z niego skorzystać, musi dotykać twojego ciała, tak jak w przypadku rzemyślniczej tarczy.

– A co, jeśli się mylisz?

– Wtedy nie toczylibyśmy tej rozmowy. – Klęknął przed nią. – Naucz mnie, jak z tego korzystać.

Te słowa zawisły w powietrzu między nimi. Caldan wiedział, że Dzwonki czuje bijącą od niego desperację. Może i była w jego niewoli, ale w tej sprawie to jej było na wierzchu.

– Czemu? – odpowiedziała.

– Żebym mógł uleczyć Mirandę. Ona... Ja nie mogę patrzeć na nią w tym stanie.

– Nie zrozumiałeś mnie. Nie: po co ci to, tylko: niby dlaczego miałabym cię uczyć? Czekają mnie tortury i powolna śmierć. To ma być moja zapłata za korepetycje?

– Kończany nie zrobiłyby czegoś takiego. Wiedzą, jaką przedstawiasz dla nich wartość.

– Wartość, powiadasz? Gdy tylko Protektorzy wydobędą ze mnie wszystko, co ich ciekawi, stanę się dla nich bezużyteczna. Będę jedynie przypomnieniem o tym, jak bardzo się wygłupili. Od stuleci usiłowali ukryć przed światem wiedzę o destruktywnej

i zniewalającej magii, zatrzeć po niej wszelki ślad, a jednak oto jestem. Ich najgorszy koszmar. O, niedługo pożyję u nich w gościnie. Więc pozwól, że spytam ponownie: co ja będę z tego miała?

Caldan wziął głęboki wdech.

– Zwrócę ci wolność.

Zdusił niepewność, bijąc się z myślami. Nie był przekonany, czy postępuje słusznie, ale jak inaczej miałby skłonić Dzwonki do uzdrowienia Mirandy? Dotarło do niego, że wykręca sobie palce, więc napomniął się, by przestać. Jego desperacja, poczucie winy i uczucie do Mirandy nakłaniały go do odrzucenia wszystkiego, co podpowiadał rozum. Ryzykował, zawierając Dzwonkom, ale nie miał innego wyjścia. Ona musi mu zdradzić, jak uzdrowić Mirandę... po prostu musi.

– Zanim dotrzemy do Starorzecza – podjął – upozoruję twoją ucieczkę. Znikniesz gdzieś w mieście albo wrócisz do Anasomy, jak zechcesz. Zanim wrócisz, cesarz zdąży już pewnie wysłać do miasta dość wojsk, żeby je odbić, i całkiem możliwe, że Anasoma będzie otoczona. Nie uda ci się uniknąć żołnierzy, przedostając się do miasta, więc cokolwiek się wydarzy, pewnie zakończy się, zanim znajdziesz jakąś drogę do miasta lub wrócisz do swoich.

Dzwonki wpijała się w niego ciemnymi oczami.

– I oddasz mi moje rzemyśliwa.

– Nie. Nie oddam. One nie są częścią umowy. Będziesz musiała poradzić sobie bez nich.

Dzwonki pociągnęła nosem i wskazała głową ponad jego ramieniem.

– A twoi kolesie? Mniemam, że nie zechcą mnie puścić. Będziesz musiał ich okłamać i obmyślić plan, który pozwoli mi uciec niepostrzeżenie.

– Potem będę się o to martwił. Ale teraz chciałbym, żebyś pomogła Mirandzie.

– Dobrze, pomogę. Daj mi dzwoneczek.

– Masz mnie za głupca? Nie. Będziesz musiała mnie nauczyć.

– Obawiam się, że nie zdążę. Za mało czasu. Poza tym czy nie jest to wiedza zakazana przez Protektorów? Czy jeśli zacznę cię uczyć, nie odsądzą cię od czci i wiary?

Owszem, odsądziliby, ale nie miał zamiaru zwierzać się z tego Dzwonkom.

– Nie sędzę, zresztą gra i tak jest warta świeczki. A poza tym przecież i tak nie mogę spytać o to swoich mistrzów. Wszystkich zabiłaś, pamiętasz?

Skwitowała to prychnięciem, jakby przyznawała mu rację.

– Ale to nie zmienia nic w kwestii naszych lekcji. Magia zniewalająca to nie taka prosta sprawa, jest znacznie bardziej przewrotna od innych typów magii, ja zaś nie jestem specjalistką. Gdyby mi się chciało, to najlepszym, co mogłabym zrobić, byłoby wyłożenie ci podstawowej wiedzy, którą przyswajamy na samym początku. Dotyczy ona tego, jak działa mózg i jak naprawia uszkodzenia. Ale to naprawdę podstawy podstaw. Ta dziedzina magii jest tak niebezpieczna, że sprawy mogą się źle potoczyć nawet wtedy, gdy myślisz, że masz wszystko pod kontrolą. Bardzo niewielu adeptów uczy się czegoś więcej niż tych podstaw, a i tę wiedzę powierza się jedynie uczniom o szczególnie rozwiniętych umysłach. Tym, którzy przeżyli pierwszy etap szkolenia.

Caldan pokiwał głową, milcząc. Nie chciał jej przerywać, aby czasem nie zmieniła zdania i nie zamilkła. Sprawiała wrażenie, że jest o wiele bliżej niego, niż rzeczywiście była... Poprawiła się i wyciągnęła szyję, zaciskając usta w wąską linię.

– Jeśli pokażę ci kilka rzeczy, będziesz musiał mnie wypuścić. Gdzieś z dala od żołnierzy, gdzie będę miała kilka dni, nim w końcu ktoś się zorientuje i puści za mną pogoń. A co do tego, czy ukryję się w mieście, czy wrócę do Anasomy, sama zadecyduję. Musisz też obiecać, że nie będziesz mnie ścigał.

Caldan zawahał się. Nie spodziewał się, że Dzwonki przyjmie jego propozycję, a teraz zastanawiał się, czy ona czasem nie wyciągnie z ich układu czegoś więcej niż tylko wolność.

– Daj mi się nad tym zastanowić.

– Tylko nie zastanawiaj się zbyt długo, mały Protektorku. Kto wie co dzieje się z twoją ukochaną Mirandą, gdy ty się zastanawiasz. Mogę tylko mieć nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

Caldan stęzał, słysząc te słowa. Dzwonki wbiła w niego gadzie spojrzenie. Wiedział, że najprawdopodobniej pogrywa z nim, chcąc go skłonić do pochopnej decyzji, ale to nie stłumiło poczucia winy, którym obciążał się za to, że wciągnął Mirandę w tę kabałę. Westchnął, a potem rozluźnił się i pokręcił głową.

– A jak mi zagwarantujesz, że nie pozabijasz nas, jak obiecałaś?

– No cóż... nijak. Ale wszystko sprowadza się do tego, czy chcesz, żeby Miranda ozdrowiała, czy nie. Więc po mojemu nie masz zbyt wielkiego wyboru. Nikt ci nie pomoże, tylko ja.

Caldan warknął coś pod nosem i skupił wzrok na dzwoneczku w swojej dłoni. Miała rację. On to wiedział i ona to wiedziała. Nie miał innego wyboru, jak tylko pójść z nią na układ i żywić nadzieję, że nie wywiedzie go w pole.

Przecież czarodziejka nie może winić Mirandy za śmierć Klucza... Dziewczyna nie była niczemu winna. Jeśli puści Dzwonki wolno bez jej rzemyśliw, to co ona będzie w stanie mu zrobić, przed czym nie będzie mógł się obronić? Siedział długą chwilę, kontemplując słowa Indryallanki. Gruntownie przemyślał jej czyny i wszystko, co mówiła na przestrzeni ostatnich dni, usiłując zdecydować, czy może jej zaufać choćby w tej jednej sprawie.

Raptem noc rozdarł przenikliwy wrzask. Elpidia. Gdzieś blisko, przy wozie. Caldan zerwał się na nogi. Zaraz podniósł się raban, gdy do jej głosu dołączyły wołania żołnierzy.

– Coś ty zrobiła? – warknął do czarodziejki.

Odpowiedział mu olśniewający, biały uśmiech.

– Nic, ale coś mi się widzi, że już nie muszę cię niczego uczyć.

Caldan wycofał się i zeskoczył z wozu. Wszyscy żołnierze w obozie dobyli mieczy i zbliżali się do Amerdana, u którego stóp leżał martwy Breyton. Żołnierz leżał na brzuchu, cały utyłany we krwi, poznaczony cienkimi, precyzyjnymi cięciami, jakby ktoś ciachał go mnóstwem małych noży. Amerdan skrzywił się na

postępujących żołnierzy i uniósł rękę w pojedynczym geście. Elpidia wpatrzyła się w niego przerażonym wzrokiem, tłumiąc szloch przyciśniętymi do ust rękami.

Caldan rozglądał się rozpaczliwie, szukając Mirandy. Znalazł ją na skraju obozu, owiniętą kocem. Elpidia musiała zadbać o nią, gdy on rozmawiał z Dzwonkami.

– Coś ty zrobił? – zawołał do Amerdana Etmio.

Sklepikarz pokazał, że nie ma przy sobie broni.

– Nic – odpowiedział ze spokojem. – Wracalem do obozu ze spaceru i prawie potknalem się o niego w ciemności. Znalazłem go w tym stanie.

Zapadła grobowa cisza, gdy Kołczany rozważały słowa Amerdana. W gałęziach nad ich głowami hulał wiatr, który przyniósł Caldaniowi ulotny zapach cytryn.

Raptem Elpidia zaburzyła bezruch, łapiąc za swoją torbę i biegnąc do rannego żołnierza. Amerdan spojrział na nią z góry.

– Schowajcie miecze i pomóżcie jej – rzucił do żołnierzy. – Chyba przyda mu się każda pomoc.

– To ty musiałeś to zrobić – powiedział Boyas, a inni pokiwali głowami.

Amerdan zaśmiał się.

– Nie wiem, czyście się zorientowali, głupcy, ale jesteście nam potrzebni. Dlatego w ogóle do was przyszliśmy.

Caldan pojął, że sytuacja może w każdej chwili eskalować ponad miarę.

– Dość! – zawołał, idąc do środka obozu. – Uspokójcie się wszyscy. Amerdan nie miał żadnego powodu, żeby mordować kogoś z przydzielonej nam eskorty. Musiało się stać coś innego.

Amerdan potwierdził jego słowa skinieniem, a Kołczany zaczęły szeptać między sobą. Klęcząca nad Breytonem Elpidia przysiadła na piętach i otarła spocone czoło zakrwawioną dłonią, zostawiając czerwoną smugę.

– On... – Popatrzyła po żołnierzach. – Nie żyje. Stracił zbyt wiele krwi. – Potrząsnęła głową. – Nic byśmy dla niego nie zrobili, nawet

gdybyśmy znaleźli go wcześniej. Ma zbyt wiele... ran. – Wstała i odeszła od trupa.

Pozostali trzej żołnierze zaklęli i zbliżyli się do zwłok, strzelając wzrokiem od nich do Amerdana, który cofnął się o krok, żeby zrobić im miejsce.

– Widzicie? – powiedział sklepikarz. – Nie mogłem mu tego zrobić. Na jego ciele są setki cięć. Zaalarmowałyby wszystkich krzykiem po pierwszym. Zresztą kiedy w ogóle miałbym tego dokonać?

– Tak, zawołałby – podjął jego słowa Lavas – ale tego nie zrobił, prawda? A sam się przecież nie podziurawił. Skąd pewność, że to jednak nie ty? – Lavas wwiercał się wzrokiem w Amerdana, a potem gestem rozkazał dwóm towarzyszom nakryć ciało kocem.

– Ja jestem tylko prostym sklepikarzem – odrzekł Amerdan i przeniósł spojrzenie na Caldana. – Czy dokonano tego... za pomocą magii?

Żołnierze podążyli za jego wzrokiem i również wpatrzyli się w Caldana.

– Myślę, że tak – odpowiedział Caldan, przypominając sobie cytrynową woń.

Jednak jego odpowiedź nie usatysfakcjonowała Kołczanów. Boyas odwrócił się z wymalowaną na twarzy pogardą. Ettmo skrzywił się, wciąż świdrując Caldana oczami.

– To po co ty tu jesteś? Chyba miałeś nas bronić przed magią!

– Nie mogę bronić was przed magią, na której się nie znam!

– A więc nie możesz nas obronić w ogóle – skwitował Lavas i wsunął miecz do pochwy. – Zostawcie Breytona – rozkazał swoim podkomendnym.

– Nie możemy go tak po prostu zostawić – zaprotestował Ettmo.

– Na chwilę, Ettmo. Musicie obaj przeczesać okolice obozu, upewnić się, że nikt się tam na nas nie czai. Nie rozdzielajcie się. Potem zbierzcie ekwipunek i przygotujcie wóz. Wynosimy się stąd.

Dwaj żołnierze skinęli głowami i wyszli z kręgu światła między najbliższe drzewa.

– Co? Odjeżdżamy? Czemu? – pytał Caldan.

Elpidia objęła się mocno rękami, a Amerdan wzruszył ramionami i zaczął ogrzewać przy ogniu zziębnięte dłonie.

– Bo nie jest tu bezpiecznie. Cokolwiek spotkało Breytona, może spotkać resztę. – Machnął ręką w kierunku Caldana. – A ty nie możesz nas obronić. Najbezpieczniej będzie, jak będziemy trzymać się razem, a ponieważ zakładam, że nikt tej nocy nie zaśnie, równie dobrze możemy po prostu wsiąść na wóz i odjechać. Włożymy ciało Breytona do środka i odjedziemy stąd byle szybciej.

– Zaraz – powiedział Caldan, próbując okiełznać kłębiące się w głowie myśli. – Chwila! A jeśli oni właśnie tego chcą?

– Oni? – prychnął Lavas. – Skąd wiesz, że jest ich więcej niż jeden? Zgadujesz na oślep, sam się boisz. Rozumiem to, ale nie wciskaj mi, że wiesz, co się stało z Breytonem i co w tej sprawie przedsięwziąć. Nie mam na to czasu.

Caldan nie mógł wymyślić na to przekonującej odpowiedzi. Lavas mruknął coś i rozejrzał się po obozie. Jego żołnierze wrócili, nikogo nie znalazłszy. Zaraz wzięli się do zwijania obozu. Elpidia patrzyła na nich przez chwilę, a potem poszła spakować resztę swoich rzeczy.

– Odjeżdżamy. Bez dyskusji. – Kaprał oznajmił to wypranym z emocji tonem. – Bierzcie swoje rzeczy i do wozu. Do wschodu słońca mam zamiar być daleko stąd.

Caldan zostawił Lavasa stojącego nad ciałem Breytona i dołączył do szykujących się do odjazdu Elpidii i Amerdana. Uzdrowicielka wymamrotała coś pod nosem, wbijając w niego spojrzenie, choć Caldan zachodził w głowę, jakim cudem to jego wina. Amerdan obserwował ich obu przy pracy. Jak zwykle nie miał zbyt wiele do spakowania. Każdej nocy przed snem po prostu odpinał z bioder pas z sakwami i nożami.

Szperający w swoich rzeczach Caldan wyciągnął w końcu jeden z kilku arkuszy, które jeszcze mu zostały, oraz pióro i kałamarz, a potem rozprostował papier na kolanie. Szybko pokrył arkusz symbolami. Nic szczególnie trudnego, bo nie chciał komplikować rzemyśliwa na siłę. Podmuchał na atrament, by go osuszyć, a potem złożył arkusz na cztery i w widocznym miejscu nakreślił symbol.

Następnie podszedł do najbliższego drzewa i wybrał gałąź. Naciął nożem korę i wsunął kartkę między nią a gołe drewno. Jeśli dopisze mu szczęście, wypatrzy napastnika i dowie się, z kim ma do czynienia.

Gdy się obrócił, niespodziewanie stanął twarzą w twarz z Amerdanem.

– A to po co?

– Może rzeczywiście powinienem zrobić coś wcześniej... a to jest wariacja atrybutu, który wykorzystałem w moim metalowym konstrukcie. Przez pewien czas będę widział z odległości, co tu się dzieje, ale niedługo, bo papier szybko się zużywa.

– Ciekawe. Musisz powiedzieć mi kiedyś więcej o magii.

Caldan skinął mu głową.

– Kiedyś, jak znajdzie się czas.

Sklepiarz odwzajemnił skinienie i wrócił do wozu. Żołnierze umieścili już tam swój ekwipunek, a teraz pomagali wejść Elpidii i Mirandzie. Amerdan zręcznie wskoczył na wóz. Zostawili niezagaszone ognisko i odjechali w noc. Caldán ignorował Dzwonki, która uśmiechała się pod nosem, popatrując na niego.

Otworzył swoją studnię i wyłonił z niej strumień, który podłączył do zostawionego w drzewie papierowego rzemyśliwa. A potem zamknął oczy i przygotował się do zdalnej warty.

Wsunął poobijaną bransoletę na lewy nadgarstek i włożył rękę do kieszeni, gdzie zacisnął palce na dzwoneczkowej tarczy. Wiedział, że jego własne rzemyśliwo nie wytrzyma długo, jeśli je nadwyręży, ale dodatkowa osłona potrafiła stanowić różnicę między życiem a śmiercią, gdyby miało dojść do walki.





**C**oś ty taki skwaszony, Vasil? Coś cię gryzie?

– Co? A nie, nic. Znaczy... Myślę o inwazji i o wszystkim, co się stało od tamtego czasu.

Wyjaśnienie Vasila brzmiało naciąganie nawet w jego własnych uszach, lecz Aidan tylko się uśmiechnął i odwrócił wzrok. Dopiero wstało słońce. Poranny wiatr nasilił się, a statek płynął teraz obrócony do lądu burzą, przy której stali. Nad ich głowami kołowały mewy, które najwyraźniej pomyliły jednostkę z kutrem rybackim. Skrzeczenie raziło Vasila w uszy.

Na powrót skupił się na przerwanej przez Aidana czynności, to jest sikaniu wprost do morza. Prawie przeszła mu ochota na opróżnienie pęcherza, gdy dowódca odezwał się do niego, stając oczywiście zaraz obok, by również sobie ulżyć. Pewnie o to Aidanowi właśnie chodziło, by wytrącić Vasila z równowagi.

Skończył pospiesznie, wsunął koszulę w spodnie i zawiązał troczki, nim Aidan skończył. Obrócił się na pięcie, żeby czym prędzej odejść, i o mało nie wpadł na Chalayana.

– Przepraszam – wymamrotał i chciał wyminąć czarodzieja, ten jednak zrobił krok w bok i zagroził mu drogę. Za magiem pojawił się jak zwykle obojętny na twarzy Anshul, odcinając Vasilowi alternatywą drogę ucieczki. Sędzia skrzywił się na Chalayana. – Co to ma znaczyć?

Czarodziej złapał go za ramię i przyjrzał mu się z nieskrywaną niechęcią.

– Nie zapłacę – wygłosił, wymawiając każde słowo wolno i wyraźnie. – Nie zapłacę ci pięćdziesięciu pięciu srebrników. Zabijałem za mniejsze pieniądze.

Vasil przełknął ślinę, boleśnie świadomy stojącego za jego plecami Aidana. Przenosił wzrok to na jednego mężczyznę, to na drugiego, a oni ani myśleli usunąć mu się z drogi. Wątpił, by przywódca tych zbirów był skłonny do mordy z zimną krwią, ale ci dwaj? Zresztą wiedział przecież, że Chalayan nie kłamał z tym zabijaniem za mniej.

– Mówiłem ci już: nie chcę twoich pieniędzy. Nie spodziewam się, że mi zapłacisz – powtórzył, żywiąc nadzieję na załagodzenie konfliktu.

– Kiedy tu nie chodzi o dukaty – rzekł z za jego pleców Aidan.

Vasil obrócił się do niego i zobaczył, że Aidan skończył już sikać i stał teraz wsparty o nadburcie z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Gdy wrócił spojrzeniem do maga i wojownika, przekonał się, że ci cofają się, rozstępując na kilka kroków, by zrobić mu miejsce. Pokręcił głową.

– W co wy gracie? O co wam chodzi?

Aidan podrapał się w skroń.

– Pomyślałem, że powinniśmy się rozmówić tak, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

– A dotąd ktoś nam przeszkadzał? Chyba nie Mazoet, co?

– Nie, zupełnie nie. Właściwie ci rzekomi kupcy przyjęli nas tu po królewsku. Tylko zastanawiam się: czemu?

– Czemu co? – Vasil otarł perlący się na czole pot. Odkąd przestał pić, zaczął się strasznie pocić, a ból głowy zawsze czał się gdzieś w okolicach potylicy.

– Kupców obchodzą wyłącznie dukaty, taka już ich natura. Cokolwiek by mówili, wiadomo, że pieniądze są dla nich wszystkim. To jakby... powszechna reguła. Wyjątków nie ma. Z wyjątkiem naszych gospodarzy.

Vasil przełknął ślinę i jakoś udało mu się nonszalancko wzruszyć ramionami.

– Może ci akurat mają jeszcze resztki sumienia? – podsunął. – Tak trudno w to uwierzyć?

– Szczerze mówiąc, tak. Zwłaszcza gdy owi kupcy władają magicznymi mocami i w sposób oczywisty wiedzą więcej, niż mówią. Starzec, co przemawia zagadkami. I ten Mazoet, który ocalił nas przed pewną śmiercią i troszczy się o nas, jakbyśmy potrzebowali opieki. No i jesteś jeszcze ty...

– Ja? – zachnął się Vasil. – Ależ zapewniam...

– Że co? – przerwał mu Aidan. – O czym chcesz mnie zapewnić? Nie jesteś jednym z nich, to jasne jak słońce. Ale niewątpliwie grasz z nimi w jednej drużynie. – Odbiegł wzrokiem i zaraz wrócił. – Gadaj: co oni knują?

– Myślisz, że coś knują?

– To nie są żadni kupcy. Całkiem nieźle udają, ale to tyle. Nie ma innej możliwości. Sposób, w jaki wypowiada się Gazija, w jaki rozkazuje innym, każe przypuszczać, że to nie tyle szef spółki handlowej, ile dowódca. Jest pewna różnica. Oni zachowują się, jakby go czcili.

– Nawet jeśli tak, skąd mnie o tym wiedzieć? Sam dopiero ich poznałem. – Vasil rozłożył ramiona.

– A jednak oni z jakiegoś powodu powierzyli ci zadanie przekonania nas o czymś.

– Owszem – przyznał Vasil – ale o czym, tego sam właściwie nie wiem. No, poza tym, że chcą, żebyście się z nimi sprzymierzyli. Ale w jakim celu? Pojęcia nie mam.

– Błagam... – prychnął Chalayan.

– Klnę się! Ale zgadzam się z wami co do jednego – powiedział już do Aidana. – Coś jest z nimi nie tak, z Gaziją i jego ludźmi. To tylko przeczucie, którego nie mam czym poprzeć, wyjąwszy moje doświadczenie i to, jak wykręcają się od odpowiedzi na pewne pytania i rozmowy na pewne tematy. Ale pomijając to wszystko, ja im ufam. Cokolwiek robią, a wolę nie wiedzieć, co dokładnie, powinno zostać zrobione. Jak dowiodłem minionej nocy, oni nie są w stanie mnie oszukać. Jeśli więc nie jesteście gotowi zaufać im, zaufajcie mnie.

Aidan potakiwał, jakby te słowa do niego trafiły. Vasil skinął głową całej trójce, a potem przeszedł między Chalayanem i cel Rauem.



Vasil siedział sam, ze skrzyżowanymi nogami, na podłodze swojej kajuty, oparty plecami o drewnianą ścianę, a przed nim stała zielona butelka z gorzałką, akurat poza zasięgiem ręki. Powietrze było chłodne. Na półce płonęła jedna świeca, rzucając ruchliwe cienie. Było późno. Większość załogantów spała od kilku godzin. Kabina była odosobniona. Vasil nie przyniósł ze sobą żadnych rzeczy. Nic go już nie łączyło z jego starym domem. Tamto życie, jedno z wielu, które miał, było teraz ścieżką bez powrotu. Nie potrzebował swojego talentu, by stwierdzić, że to prawda. Tamto już skończone. Miał szansę obrócić swój los na pięcie i nadać mu jakiś sens. Jednak to by oznaczało powrót do dawnego siebie, a to nie miało prawa się dobrze skończyć.

Potarł zziębnięte ramiona i zakołysał się w przód i w tył. Czuł chybotanie statku, słyszał jęk i trzask drewna. Jeden z palców krwawił w miejscu, gdzie obgryzł paznokiec aż do żywego mięsa.

Wytarł krew z palca o podłogę, a potem rękawem starł czerwone ślady, mamrocząc pod nosem przekleństwo. Długo patrzył na krwawe plamy na koszuli, a potem sięgnął po butelkę, którą ukradł wcześniej z kajuty Pierwszego Wybawiciela, gdy starzec był akurat na pokładzie. Solidna marka, lepszej gorzałki nie pił od lat.

W świetle świecy butelka wydawała się natchniona jakimś duchem, jakby wydzielala wewnętrzne światło. Złapał za szyjkę, złamał pieczęć na gwincie i wyjął korek z pyknięciem.

– Ach... – Zapach alkoholu zakręcił mu w nozdrzach, ostry, zachęcający, wręcz uwodzicielski.

Przechylił butelkę i wylał złotawy płyn na swój obgryziony i krwawiący palec, zaciskając zęby z bólu. Ale wytrzymał i nie przestawał łać, dopóki nie opróżnił butelki, a przed nim nie rozlała się na podłodze kałuża.

Palec bolał go, jakby ktoś przytrzasnął go drzwiami, i pulsował w rytmie serca. Vasil odtoczył butelkę ku przeciwległej ścianie, w którą uderzyła i znieruchomiała.



– Posłuchajcie... – Vasil zwrócił się po raz nie wiedzieć który do Aidana i jego ludzi. – Nie twierdzę, że znam ich i ich cele, ale wiem, że walczą z tymi, którzy zaatakowali was, którzy, pozwólcie, że przypomnę, są bardzo złymi ludźmi. Sami widzieliście, do czego są zdolni.

– Zgoda, uratowali nas – przystał Chalayan. – Ale przecież to nie byłby pierwszy raz, gdy ktoś udaje, że trzyma z nami, tylko po to, by wbić nam nóż w plecy, gdy tylko zdobędzie nasze zaufanie.

Potoczył wzrokiem po swoich kamratakach. Zarówno cel Rau, jak i Aidan milczeli.

– Interesują ich tylko ci czarodzieje, którzy was zaatakowali. To oni są ich wrogami. – Vasil wzruszył bezradnie ramionami.

– A ich wrogowie są naszymi wrogami, tak? – spytał Aidan. – Tylko dlatego, że są czarodziejami?

– Są, bo ja mówię, że są. Po to tu jestem. Żeby mówić, co jest prawdą, a co nie.

– Ale przecież nie możemy tego wiedzieć.

– Jak to nie możecie?

– Nie wiemy, czy ty mówisz nam prawdę. – Aidan powstrzymał protesty Vasila uniesieniem ręki. – O, nie mam wątpliwości, że potrafisz stwierdzić, czy ktoś kłamie. Ale skąd my mamy wiedzieć, że ty nie kłamiesz nam?

Vasil musiał przyznać, że strzał był celny.

– Cóż by mi przyszło z okłamywania was?

– No właśnie: co? Gdybyśmy znali cię lepiej, może moglibyśmy ci zaufać, ale zaufanie to w dzisiejszych czasach rzadki luksus.

– Niezmiernie rzadki – mruknął Chalayan.

– Ponieważ łąbski z ciebie facet – podjął dowódca, posyłając czarodziejowi karcące spojrzenie – na pewno pojmujesz, że nie możemy wziąć twoich słów na wiarę. – Skrzywił się z niesmakiem. – Czasy są ciężkie, cięższe, niż myślałem.

Twarz Vasila pokraśniała.

– Gazija i jego ludzie uratowali was przed niechybną śmiercią.

– Wcale nie niechybną – wciął się Chalayan. – Nie wiemy, co... – Uciszyła go uniesiona dłoń Aidana.

– Zgoda – powiedział dowódca do Vasila. – Uratowali nas.

– Mało tego, potem sprowadzili was tu – argumentował dalej Vasil – żeby, jak sam powiedziałeś, ugościć po królewsku.

– To również prawda – zgodził się Aidan. – Rzecz w tym, że ja nie znoszę tajemnic, bo mają brzydki zwyczaj obracania się przeciwko tobie.

Wwiercił się wzrokiem w Vasila, który przełknął ślinę. Przez długi czas mierzyli się nawzajem spojrzeniem.

– Wiesz przecież, że Gazija jest przeciwny czarodziejom i praktykom, których dopuścili się w... miasteczku, na które się

natknęliście. – Vasil mówił wolno i dobitnie. – A jego ludzie, osoby obdarzone znaczną mocą, pracują ku ich unicestwieniu.

– Albo tak tylko mówią.

– Nie tylko mówią, zademonstrowali to przecież.

Aidan przystał na tę wersję i gestem poprosił Vasila, by kontynuował.

– Dlaczego więc nie mielibyście wesprzeć ich w tym przedsięwzięciu? Są gotowi zapewnić wam wszelkie potrzebne zasoby. A jeśli zwątpicie w ich intencje, będziecie mogli odejść wolno.

Aidan rozejrzał się po kajucie i zawahał.

– Ot tak?

– Ot tak. Potrzebni im twoi ludzie. I ty także – dołożył. – Ale nie jesteście więźniami.

Przynajmniej tak mi się wydaje, dodał w myślach.

Zaległa przedłużająca się cisza. Aidan drążył spojrzeniem Vasila, a na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

– Nie sądzę, żeby Gazija potrzebował pomocy takiego zuczka jak ja.

– Nie wiem, po co on ciebie potrzebuje. Ale niezależnie od tego, co się teraz dzieje, uważa, że możesz mu pomóc to powstrzymać.

– Doceniam szczerą – rzekł cicho Aidan. – Ale człowiek taki jak Gazija z całą pewnością dysponuje odpowiednimi środkami, żeby osiągnąć wszelkie swoje cele. Jakie by one nie były.

– Najwyraźniej nie. Bo jak wtedy wytłumaczyć waszą obecność na tym statku? Po co by was prosił, po co by was w to wciągał?

– Żeby uniemożliwić nam odejście – powiedział Chalayan.

– Przecież przed chwilą wam powiedziałem: nie jesteście więźniami!

– Skoro tak, to idziemy. – Aidan wstał i gestem nakazał swoim ludziom, by zrobili to samo.

Chalayan i cel Rau podnieśli się i ruszyli z nim do drzwi.

– I co, już? Po prostu sobie pójdziecie?

Aidan wzruszył ramionami.

– Nie usłyszałem nic, co by mnie przekonało, że warto tu zostać.

Więc owszem, przy pierwszej okazji opuścimy statek.

Vasil rozważył taki obrót spraw. I podjął decyzję.

– Weźcie mnie ze sobą.

– Aaa... No i teraz czuję, że dokądś zmierzamy.





**C**aldan, Elpidia, Miranda i Amerdan siedzieli w turkoczącym się po drodze wozie, oddzieleni od siebie nieruchomymi zwłokami Breytona. Z twarzy wciąż skutej czarodziejki nie spęłzał uśmiech, gdy wodziła wzrokiem od jednego do drugiego, nie pomijając nawet Mirandy.

Drażni mnie, skrzywił się w myślach Caldan.

Toczyli się naprzód, kołysząc na wybojach, zmierzając niezmiennie w kierunku zachodnim. Tak późno w nocy droga była pusta. Podróżnicy spali już pewnie wokół ognisk lub w łózkach w przydrożnych gospodach. Tylko oni wpadli na pomysł, by o tej porze jechać wozem z trupem i skutą awanturnicą. Caldan podrapał się w brodę. Odkąd opuścił Anasomę, jego twarz systematycznie pokrywała się zarostem, który zaczynał już swędzieć. Mnisi gładko się golili, a on zawsze brał z nich przykład. Nie był przyzwyczajony

do zapuszczania włosów i brody na dłużej niż kilka dni i zaczynało go to irytować.

Jedną ze swoich czarodziejskich kul zawiesił na drewnianej ramie podpierającej płócienne okrycie wozu, upewniwszy się, że będzie dawać jedynie dość światła, by odpędzić najgłębsze cienie w środku, nie zdradzając jednocześnie ich pozycji komuś, kto mógłby obserwować pojazd z zewnątrz. Chciał dać swoim towarzyszom jakieś poczucie komfortu, choć zwłoki na podłodze raczej nie wspierały go w tym dążeniu.

Jak robił to co kilka chwil od ucieczki z miasta, tak i teraz zamknął oczy i podłączył się do studni, a potem przez strumień dotarł do rzemyśliwa, które zostawił w drzewie. Wizja po raz kolejny szarpnęła mu się przed oczami, wzbudzając zawrót głowy.

Przed sobą widział teraz opuszczony obóz opromieniony blaskiem gasnącego ogniska. W nocne niebo pięła się łądyga dymu. Caldan skupił się i utrzymywał połączenie mocą umysłu jak długo potrafił, przyglądając się uważnie obrazowi w poszukiwaniu czegoś nietypowego. Znowu nic. Głowa już zaczynała go boleć. Rozmasował skronie. Im dalej się znajdowali, tym trudniej mu było odszukać i utrzymać połączenie i tym bardziej zamazywał się obraz. Warknął przez zaciśnięte usta i już miał zerwać połączenie, gdy jego uwagę zwrócił jakiś ruch. Tam. Kilka kroków za kurczącym się kołem światła. Coś poruszyło się na obrzeżach obozu, celowo i miarowo, zupełnie nie jak ruchliwe nocne cienie wzbudzane przez dogasający ogień.

Caldan patrzył, siłą woli tłumiąc potężniejący ból w skroniach, zdecydowany utrzymać połączenie. Cień rozmył się w mroku. Chłopak wstrzymał oddech. Coś było... nie tak... Jego wizja zadrżała i zamazała się jeszcze bardziej niż poprzednio. Nie, tylko jedna plama krążąca wokół ogniska. To musiał być ów ktoś, kto ich śledził, ukryty mocą swoich własnych czarów.

Caldan zassał powietrze, gdy maleńkie białe iskierki błysnęły wokół tej zamazanej łąty unoszącej się nad ziemią, a z niej wyłonił się mężczyzna w brązowych spodniach i pogniecionej koszuli.

Caldan nie wiedział, co za tarczy używał, ale najwyraźniej miała działanie kamuflujące. Mężczyzna zrzucił ją i stanął na widoku przy ogniu, ale nawet tutaj Caldanowi trudno już było zobaczyć szczegóły. Przybyły okrążył ognisko, przyglądając się zostawionym na ziemi śladom w miejscach, gdzie złożyli ekwipunek i gdzie zgromadzili się żołnierze. Następnie podszedł tam, gdzie w ziemi utrwały się odciski po czterech kołach wozu. Caldan zauważył, że mężczyzna nosił na obu nadgarstkach metalowe bransolety, a na jego szyi wisiał medalion w kształcie rogatego zwierzęcia o szmaragdowych oczach.

Caldan oparł głowę na rękach i mocno ścisnął skronie. Ból stale narastał i zrobił się nieznośny. Caldan wiedział, że zaraz będzie musiał zerwać połączenie i wtedy jego rzemyśliwo stanie się bezużyteczne. Nim odnowi połączenie, tego człowieka już tam nie będzie.

Ale nie miał już siły.

Wziął głęboki wdech i zerwał kotwicę, a moce z jego studni pochłonęły prowizoryczne rzemyśliwo. Ból zniknął tak nagle, że Caldanem aż zarzuciło. Złapał się ławeczki, by nie upaść na podłogę. Dłuższą chwilę musiał walczyć ze sobą, żeby nie zwymiotować.

Dobiegł go śmiech Dzwonków.

– I czego niby dokonałeś w ten sposób? – spytała.

Otarł usta dłonią i przetrął oczy, które również rwały bólem, jakby miały zaraz wypełznąć z orbit.

– Nie wiem – odparł. Mało nie podskoczył, uświadomiwszy sobie, że czarodziejka trzyma otwartą studnię. Podglądała, co robił Caldan.

– Co? Coś nie tak?

Poderwał wzrok i zaraz tego pożałował, bo wróciły mdłości. Przełknął ślinę i odetchnął ciężko przez nos, znowu starając się uspokoić rozszalały żołądek. Elpidia i Amerdan obserwowali zarówno jego, jak i Dzwonki – uzdrowicielka z wypisanym na twarzy strachem, Amerdan ze swoim zwyczajowym zblazowaniem. Caldan uspokoił ich uniesieniem dłoni.

– Wszystko dobrze. Chciałem tylko rzucić okiem na tego, kto nas śledzi.

– Naprawdę? – zainteresowała się Dzwonki. – Wyjaw mi więc, praktykanciku, kto nas śledzi?

– Przestań mnie tak nazywać – charknął Caldan.

– A więc już nie chcesz, żebym cię uczyła?

– Oczywiście, że chcę.

– A więc teoretycznie jesteś moim praktykantem. – Dzwonki posłała mu szyderczy uśmiezek. – A ponieważ czego się człowiek nauczył, tego już się nie oduczy, uczyni cię to jednym z nas.

– Jeśli rojenie sobie podobnych bzdur pomaga ci zabić czas, gdy gniesz sobie w łańcuchach, to proszę bardzo – skontrował Caldan.

Dzwonki skwitowała to śmiechem.

– Kto nas śledzi? – włączyła się Elpidia.

Czarodziejka wzruszyła ramionami, dzwoniąc łańcuchem.

– A skąd ja mogę wiedzieć? Może mój tatuś pędzi mi na ratunek? – Zarechotała. – Niestety, obawiam się, że to jednak nie on. Pewnie ma teraz pełne ręce roboty w związku z inwazją.

– Twój ojciec jest wśród atakujących? – spytał Amerdan. – Co dokładnie robi? Znaczy jest czarodziejem, jak ty?

Caldan był w równej mierze zdumiony jego ciekawością, jak i tym, że Dzwonki zrobiła się taka rozmowna.

– Oczywiście, że jest czarodziejem, i to niezrównanym. Talent jest u nas rodzinny.

W głowie Caldana element układanki wskoczył na miejsce.

– Niezrównanym? Czy ty chcesz powiedzieć, że...

Dzwonki milczała, ale na jej twarzy pojawił się dziwny uśmiech.

– Że Bóg-Imperator jest twoim ojcem? – dokończył Caldan.

– Winszuję przenikliwości. Możliwe, że jest – przyznała. – Lub raczej krewnym po mieczu. Nikt nie wie na pewno. Jest nas wielu, jego synów i córek, prawnuków i prawnuczek. Dlatego też raczej nie popędzi mi na ratunek osobiście. – Przybrała minę zasmuconej dziewczynki.

– Kłamiesz.

– Wierz, w co chcesz – rzuciła beznamiętnie. – Czemu miałabym kłamać? Jego krew prężnie krąży w moich żyłach. Spodziewają się

po mnie, że w sytuacjach takich jak ta poradzę sobie sama. Tak to już jest: przeżywają silni, a słabi giną.

– Czyli ten, kto nas śledzi, nie ma z tobą nic wspólnego? W to nie uwierzę. Spytałem raz jeszcze: kto to jest?

– Biedny mały Protektorek, tak się trzyma, szukając odpowiedzi na swoje liczne pytania. Gdy zaczniemy twoją naukę, nie zabraknie ci odpowiedzi... ani mocy.

Usłyszał, że uzdrowicielka z sykiem wciąga powietrze, i pokręcił głową.

– Nie słuchaj jej, Elpidio. – Wrócił spojrzeniem do Dzwonków. – Owszem, teraz potrzebne mi są odpowiedzi i mam zamiar je uzyskać. Kim jest człowiek, który nas śledzi?

– A jak wygląda?

– Chyba... Nie wiem. Nie miał żadnych cech wyróżniających, pewnie specjalnie o to zadbał. Ale to z całą pewnością mag, to wiem na pewno. Jego tarcza czyniła go częściowo niewidzialnym. Zakrywała wszystko poza...

– Czym?

– Przez chwilę zdawało mi się, że ma coś na szyi. Medalion przedstawiający jakieś rogate zwierzę.

Dzwonki zamilkła na długo. Wreszcie zagwizdała z aprobatą.

– Jestem pod wrażeniem, Caldanie. To zdumiewające, że w ogóle zdołałeś spenetrować jego tarczę.

– A więc wiesz, kto to jest.

– Miałam pewne podejrzenia, a ty je właśnie potwierdziłeś.

– Więc kto? – popędziła ją Elpidia.

– To mój brat. Człowiek, który przyniesie wam śmierć. – Poczęstowała każdego spojrzeniem i nawet Amerdan wzdrygnął się pod naporem jej wzroku.

– A ma jakieś imię? – spytał Caldan.

Dzwonki wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, że ma, ale to bez znaczenia. Ważne jest tylko to, że jest blisko i że jest specjalistą od zabijania. I że niedługo zabije. W zwykłych okolicznościach Bóg-Imperator nie przejąłby się moim

porwaniem lub śmiercią, więc fakt, że wysłał kogoś po mnie, oznacza, że zainteresował się sprawą osobiście. A lepiej, żeby Bóg-Imperator się tobą nie zainteresował, Caldanie.

Groźba zawisła w powietrzu i choć chłopak wyczuł w tonie Dzwonków melodramatyczną nutę, nie uszła też jego uwadze obawa, z jaką wymówiła ostatnie zdanie.

Jeśli tak bardzo boi się tego człowieka, to powinniśmy zrobić wszystko, żeby nie osiągnął swojego celu, postanowił.

– A wiesz – podjęła czarodziejka – jestem o wiele bardziej przydatna, kiedy nie jestem skuta.

– Bujaj, bujaj. Nie wypuszczę cię, dopóki Miranda nie wyzdrowieje. Zapamiętaj to sobie. Wiesz, do czego jestem zdolny, i na pewno zdajesz sobie sprawę, że ten, kogo po ciebie wysłali, nie będzie w stanie cię uwolnić. Albo go odpędzimy, albo pokonamy. A będzie musiał wkroczyć do akcji, zanim dotrzemy do celu podróży, co oznacza, że możemy spodziewać się, że zaatakuje niebawem. Teraz ja władam twoją tarczą, a ty wiesz lepiej ode mnie, ile ona może znieść. Jestem gotów założyć, że w razie czego zdołam go spowolnić do momentu, aż dojedziemy do miasta, a wtedy będzie już za późno. Za późno dla ciebie, bo nie uwolni cię przecież, gdy znajdziesz się wśród setek cesarskich żołnierzy.

– Ale dla ciebie też będzie wtedy za późno. Bo jeśli tak bardzo skupisz się na nim, ja nie będę mogła nauczyć cię, jak uleczyć twoją ukochaną Mirandę.

– Ma rację – zanucił Amerdan. – Gdy dotrzemy do miasta, zabiorą ją i kto wie co się z nią stanie.

– O, dobrze gada – pochwaliła Dzwonki. – Sam widzisz, Caldanie, musisz przede wszystkim myśleć o dobru Mirandy.

– O niczym innym nie myślę – wycedził Caldan.

Elpidia wstała i zgromiła Amerdana wzrokiem.

– A ty czemu gadasz, jakbyś chciał ją wypuścić? Przecież obiecała, że nas pozabija!

– Ciszej, proszę cię. – Caldan wyrzucił ramiona przed siebie i opuścił je gwałtownie. – Ona tego właśnie chce: żebyśmy się

spierali, zamiast planować, więc proszę... porozmawiajmy spokojnie.

Elpidia zmroziła spojrzeniem Amerdana i Dzwonki, a potem klapnęła na ławeczkę i założyła ramiona.

– Co powinniśmy zrobić? – spytała.

– Przede wszystkim muszę powiedzieć Kołczanom, co widziałem.

Wy dwoje pilnujcie Dzwonków.

Caldan zostawił ich i przeszedł na czoło wozu, gdzie na koźle siedział powożący żołnierz. Pozostali jechali konno, rozstawieni dookoła pojazdu. Gdy usłyszeli, że ściga ich czarodziej, nachmurzyli się nie na żarty. Caldán poradził im, by zachowali czujność i zawołali go, gdy tylko zobaczą coś niezwykłego. Lavas zrewanżował się poradą, żeby schował sobie swoje oczywistości tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Wróciwszy do Elpidii i Amerdana, Caldán odczuł w pełni ciężką na nim odpowiedzialność. W przypadku magicznego starcia Kołczany będą mogły liczyć wyłącznie na niego, Elpidia i Amerdan też, a ochrona Mirandy i Dzwonków to także jego zadanie. Potrzebował wyrzucić z głowy wszystkie rozpraszające myśli, żeby nie załamać się pod ich ciężarem.

Najpierw rzeczy pierwsze.

– Zacznijmy od tego, że dotąd myślałem, że moglibyśmy przekazać Dzwonki żołnierzom, gdy dotrzemy do miasta, ale teraz nie jestem taki pewien.

Amerdan przyznał mu rację skinieniem, a Dzwonki się uśmiechnęła. Caldán nie zareagował. Widział kątem oka, że Elpidia kręci głową.

– Nie mamy zbyt wiele czasu – podjął. – I musimy jakoś pozbyć się żołnierzy. Najlepiej w taki sposób, żeby oni nie zaczęli ścigać także nas.

– Zobacz tutaj. – Amerdan trącił butem leżące między nimi ciało. – Człowiek o takich umiejętnościach jak ten, który nas śledzi, mógłby rozwiązać ten problem za nas.

Słowa sklepiarza zawisły w powietrzu. Caldán miał wrażenie, że się przesłyszał, lecz zerknięcie na Elpidię wyprowadziło go z błędu.

Na twarzy uzdrowicielki widniało przerażenie.

– Nie możemy zostawić ich na pastwę losu ani posłużyć się nimi, żeby odwrócić uwagę zabójcy – powiedział z naciskiem.

Amerdan zaśmiał się cicho.

– Ależ nic podobnego nie sugeruję.

Caldan zmarszczył brwi, pewien, że właśnie to Amerdan sugerował.

– Ja tylko chcę gdzieś popracować... Niepotrzebne mi to wszystko... – biadoliła Elpidia.

– Jak już mówiłem – kontynuował Amerdan – oni i tak odwrócą jego uwagę samą swoją obecnością. Ten, kto nas goni, będzie musiał jakoś wyrównać szanse, prawda? Dlatego właśnie zabił tego nieszczęśnika i dlatego najprawdopodobniej będzie próbował zabić pozostałych. Na pierwszy rzut oka widać, że to zwykli żołnierze, nie to, co my. Tak naprawdę to my eskortujemy Dzwonki, a jeśli ten ktoś nas obserwował, to pewnie już się tego domyślił. Jesteśmy niewiadomymi w jego równaniu, a ponieważ jest sam, musi wystrzegać się niewiadomych. W końcu wie, że pojмалиśmy Dzwonki i... pokonaliśmy Klucza. Z całą pewnością nie zaatakuje nas, nie poznawszy naszych słabości.

Słowa sklepikarza brzmiały sensownie.

– Ale wśród nas jest tylko jeden czarodziej: ja – odpowiedział Caldan.

Amerdan wskazał palcem Dzwonki.

– Jest jeszcze ona. Ale skąd ten ktoś miałby wiedzieć, jakie posiadamy talenty? Z tego, co musi założyć, przyjdzie mu się zmierzyć z trzema czarodziejami. – Pokazał palcem także Elpidię.

– Jeśli zbliży się na pewną odległość, może się zorientować, kto czaruje, a kto nie – skorygował Caldan. – Jeśli ma ten talent, wyczuje, kto ma studnię.

– Są różne talenty? – spytał Amerdan. – Czy to znaczy, że wszyscy czarodzieje różnią się od siebie?

– Niezupełnie. Wszyscy potrafimy pewne rzeczy, ale istnieje cała rozpiętość różnorodnych talentów. Niektórzy z nas są w pewnych



aspektach lepsi od innych. Ja mogę wykrywać studnie innych czarodziejów. Dzwonki także. – Magiczka przechyliła głowę, absorbując jego słowa. – Ale niewielu to potrafi. Strzelam, że jeden na dziesięciu.

– Jeden na trzynastu – poprawiła Dzwonki, a Caldan obrzucił ją zdumionym spojrzeniem. – Coś się tak dziwił? Talenty zostały gruntownie zbadane i skatalogowane. Gdybyś dochrapał się czeladnika, sam byś się o tym uczył. – Wzruszyła ramionami. – Albo tak mi się wydaje. Wasi magowie... no cóż, powiedzmy, że nie są tak dobrzy, jak nam się zdawało.

– Mimo wszystko istnieje możliwość, że jeśli ma talent i zakradnie się do nas niepostrzeżenie, a wiemy już, że to potrafi, zaraz się zorientuje, że tylko jeden z nas jest czarodziejem.

– Jeden na trzynastu – powtórzył Amerdan. – To niezłe szanse, ale wciąż jest prawdopodobne, że nas rozgryzie. Ja umiem zadbać o siebie, ale Elpidia czy Miranda nie mają z nim szans.

Dzwonki prychnęła na te słowa.

– Nie wytrzymasz długo, stając do walki z czarodziejem z prawdziwego zdarzenia.

– Może tak, może nie – odpowiedział cicho sklepikarz.

– Noże ci nie pomogą.

Amerdan zbył uwagę wzruszeniem ramion.

– Potrzebny nam plan – przerwał im Caldan. Odruchowo wstał, żeby pochodzić w kółko, ale przeszkadzało mu chybotanie, o złożonych na środku zwłokach nie wspominając. Utkwił spojrzenie w Dzwonkach. – Co dokładnie potrafi ten człowiek? Jak zabił Breytona?

– A skąd mam wiedzieć? Ja nawet nie wiem, kto to jest.

– Przecież przed chwilą powiedziałaś, że go znasz!

– Powiedziałam, że to mój brat. Czy ty wiesz, ile dzieci ma Bóg-Imperator?

– Nie, ale nie o to mi chodzi. Rozpoznałaś go, gdy wspomniałem o medalionie z rogami.

– Możliwe. Ale pozwól, że spytam po raz setny: dlaczego niby powinnam ci pomóc?

– Bo on może nas pozabijać, a ty chcesz zrobić to sama – odpowiedział Caldan, a potem zaległa cisza. Amerdan pokiwał głową, a Elpidia zakryła usta dłonią.

Dzwonki wpatrywała się w niego z namysłem.

– Pomyślę o tym.

– Dobrze. Tylko...

Przerwał, gdy gdzieś za wozem rozległo się bzyczenie owadów i zaraz ucichło, jakby obok przemknął rój os. Zaraz potem dało się słyszeć stłumiony krzyk, a następnie głucho uderzenie. Wtedy żołnierze podnieśli alarm.

Caldan złapał za miecz i jednym susem przeskoczył nad trupem Breytona, a potem wypadł na zewnątrz przez płachtę zakrywającą wyjście na tyłach wozu. Na wpół upadł, na wpół wylądował na ziemi, jednocześnie otwierając studnię i łącząc się strumieniem z tarczą Dzwonków. Gdy otoczyło go pole siłowe, rozrzucił zmysły wokół, usiłując wykryć indryallańskiego czarodzieja. Natknął się na coś po swojej lewej, choć była to raczej nieobecność niż obecność. Tak czy inaczej, nie powinno tam tego być, pomyślał, skupiając uwagę na tym kierunku, ale niczego nie dostrzegł. Skrytobójca albo szybko się przemieszczał, albo aktywował kamuflaż.

Za plecami Caldana leżał z boku drogi pokryty drobnymi rankami Boyas. Obrażenia były łudząco podobne do tych, które odniósł Breyton. Z ran ciekła krew, a mężczyzna drapał grunt, wijąc się, dręczony agonialnym bólem. Z jego ust sączył się miaukliwy jęk. Boyas wbijał w Caldana błagalne spojrzenie. Wóz toczył się jeszcze przez kilka chwil, a potem stanął.

Amerdan wylądował obok Caldana z nożami w dłoniach, przepatrując ciemność. Caldan słyszał dobiegający z wozu szloch uzdrowicielki.

– Błagam, ja nie chcę umierać... litości.

Gdzieś nad ich głowami zamrugał ognik. Caldan dotknął Amerdana i rannego Boyasa i ich także osłonił tarczą. Światło

wybuchło z pełną mocą i po tarczy spłynęła fala, gdy rozbiło się o nią sto drobnych pocisków. Fioletowe skry przysłoniły Caldanowi wzrok, gdy magiczne pole roztoczone przez rzemyśliwo Dzwonków rozproszyło ładunki morderczej energii. Caldan zdziwił się, że przeciwnik włożył w atak tak mało mocy.

– Zabierz Boyasa do Elpidii – zawołał do Amerdana, który zaskoczony wpatrywał się w wielokolorową osłonę na swojej ręce. – Każ Kołczanom jechać dalej. Ja spróbuję znaleźć tego drania.

Sklepikarz pokiwał głową, a Caldan na powrót ściągnął tarczę na siebie.

– Szybko – popędził towarzysza, słysząc, że dwaj żołnierze zeskakują z siodła i pędzą na pomoc rannemu towarzyszowi. Gdy dobiegli, wbili w niego spojrzenia wybałuszonych oczu.

Caldan złapał kaprała Lavasa za ramię.

– Słuchaj mnie, musicie jechać dalej. Jego zanieście do Elpidii. Pomoże mu. Jazda!

– Nie. – Lavas krótko pokręcił głową. – Ktokolwiek to jest, słono za to zapłaci.

– Wybacz, ale to nie jest przeciwnik dla ciebie. Idziesz na pewną śmierć.

Lavas zaklął i wwiercił się w Caldana gniewnym spojrzeniem.

– Nie rozkazuj mi. Dorwę gnoja, a ty mnie nie powstrzymasz.

Ty dumny idioto, pomyślał Caldan, nie miał jednak czasu, by przekonywać starego żołnierza, że właśnie popełnia samobójstwo. Boyasa zanieśli do wozu Amerdan i Ettmo. Kropelki krwi ściekały na drogę, zostawiając ciemny ślad.

– Tam – powiedział Caldan do kaprała, wskazując mu kierunek, w którym wyczuł tę samą osobliwą nieobecność, i ruszył przodem, mając nadzieję, że Lavas pójdzie za nim.

Gdy zszedł z drogi, skupił się na swojej studni i rzemyśliwie, przesyłając do tarczy tyle mocy, na ile tylko mógł sobie pozwolić. Lavas nie zdradził się z zaskoczeniem, a Caldan odgadł, że kapral w swoim czasie niejedno widział.

– Nie wiemy, gdzie on jest, a on potrafi szybko zabijać. Muszę utrzymać tarczę.

Lavas pokiwał głową z nachmurzoną miną.

– Trzymamy się razem. Zakładam, że jeśli będziesz mógł, osłonisz mnie?

– Tak, jeśli tylko zdążę.

– Dobrze, no to naprzód. – Zerwał się do biegu, ale Caldan go powstrzymał.

– Nie tam, tutaj – powiedział, wskazując w lewo. Jeśli czarodziej był łowcą, planującym zdjąć ich pojedynczo, pewnie dawno już opuścił swoją pierwotną pozycję. To wydawało się sensowne: miejsc, gdzie można się skryć, było mnóstwo, a tam drzewa rosły najgęściej.

Szli naprzód bok przy boku, rozglądając się uważnie i omijając kamienie i drzewa, zawsze oddzielając się pniami od miejsca, ku któremu zdążali. Wiatr zamiatał grunt falami suchych liści, wzbudzając szelest, który dobrze głuszył ich kroki. Gdzieś z oddali dobiegło ich skrzypienie odjeżdżającego wozu. Żelazne okucie koła stukotało na brukowanej drodze.

Caldan skupił zmysły na swojej studni i wzmógł koncentrację. Stał nieruchomo, bacznie sprawdzając otoczenie.

– Co robisz? – domagał się odpowiedzi kapral.

Caldan zdjął rękę Lavasa ze swojego ramienia i przyciągnął go do siebie.

– Powinienem być w stanie wyczuć czarodzieja, a dokładniej: jego studnię – wyjaśnił ściszym głosem.

– Jego co?

– Nieważne. Niektórzy z nas potrafią wyczuć innych magów, jeśli są dość blisko, a to jeden z moich talentów. Ale... nic nie wyczuwam.

– Caldan skrzywił się i potrząsnął głową.

– No to idziemy. On może uciekać.

– Nie sądzę. To typ, który atakuje z bliska. Niechętnie to mówię, ale najpierw dwóch twoich ludzi zostało unieszkodliwionych, a teraz my oddzieliliśmy się od reszty. Możliwe, że ma nas dokładnie tam,

gdzie chciał. Ale przecież musimy go znaleźć, bo inaczej będzie nas zabijał jednego po drugim.

– Dobra – zgodził się Lavas warknięciem. – Znajdź tego przeklętego magika.

– Kiedy nic nie wyczuwam, a powinienem, jeśli otworzył studnię.

– Więc może ją zamknął, cokolwiek to jest.

– To by nie miało sensu. Jeśli chce się bronić lub atakować nas, to musi ją mieć otwartą. A przecież ma na sobie kamuflaż. On zużywa moc.

A co, jeśli...

– Na przodków! – wykrzyknął Caldan szeptem. Zaczepnął więcej energii ze studni, żeby wzmocnić tarczę. – Trzymaj się blisko.

Zrobili kilka kroków w lewo, a potem kucnęli za drzewem. Caldan złapał za pochwę i wydobyl miecz. W świetle dnia ostrze było białe i przywodziło na myśl wstęgę księżycowego światła, ale w ciemności było prawie niewidoczne, jakby wchłaniało mrok.

Lavas przyłożył jedną rękę do pnia i wychylił się lekko zza niego, by rzucić okiem w ciemny las. Przez kilka chwil słyszeli tylko wiatr i własne oddechy.

– I jak? – spytał Caldan.

– Nic. – Lavas zaklął pod nosem. – Poczaruj coś, nie wiem...

Tłumiąc westchnienie, Caldan ścisnął rękojęść miecza. Czuł ogarniającą go frustrację.

– Nie widzę go. Nie wiem, gdzie jest.

– Nie pomogę ci, ty tu jesteś czarodziejem.

Caldan wgapił się w Lavasa, uświadomiwszy sobie, że kapral ma rację, i zły na siebie, że nie wie, co robić. Wciąż chciał się tłumaczyć: jestem tylko praktykantem, ale teraz nie miało to znaczenia. Na przodków, nie był pewien, czy w ogóle ma to jeszcze jakieś znaczenie. Liczyło się tylko to, że był jedynym członkiem grupy, który miał jakieś szanse w walce z tym indryallańskim skrytobójcą, i to właśnie on musiał wymyślić, jak go pokonać.

Powęszył w powietrzu. Potem znowu.

– Co ty robisz?

– Cicho. Proszę cię – dodał, pokrzepiająco ściskając ramię kaprała. W powietrzu niosła się woń cytryn, ale Caldan nie wiedział, skąd ani od jak dawna. Ale zawsze to już jakiś trop. Plan krystalizował się w jego głowie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął wygaszoną czarodziejską kulę. Zebrał się w sobie i skupił na magii, na czarach, które miał do rzucenia, i na kolejności, w której musiał je rzucić. Analizował rozpisującą mu się w głowie sekwencję, aż uznał, że może wykonać ją bezbłędnie, byle szybciej zamknąć swoją otwartą studnię.

Oszczędnym ruchem odrzucił kulę na jakieś dwadzieścia kroków. Odgłos lądowania na suchych liściach zagłuszył wiatr.

– Nie przyda nam się już? – powiedział Lavas. – Myślałem, że one są cenne.

– Nie tak cenne jak nasze życie – odparł Caldan. – Zawsze mogę wykonać kolejne.

Kaprał znowu musiał przyznać mu rację.

– Zamknij oczy – polecił mu Caldan. – I cokolwiek by się działo, nic już nie mów.

Sam też zamknął oczy i zebrał myśli. A potem otworzył studnię tak szybko, jak potrafił, i podłączył się do kuli.

Mrok nocy rozświetliła eksplozja światła, odpędzając ciemność głęboko między drzewa. Wtedy Caldan otworzył oczy i zobaczył, że jak przewidywał, zostali zasłonięci przez długi cień drzewa, za którym się skryli. Wyrzął zza pnia. Wtem poczuł, że gdzieś po jego lewej ręce kumuluje się energia. Błyskawicznie zamknął swoją studnię, a gdy to zrobił, wyczuł natychmiastowy spadek mocy przeciwnika. Czarodziej zamknął własną, gdy pojął, że to tylko czarodziejska kula, a nie przeciwnik. Caldan zmarszczył brwi, niezupełnie rozumiejąc, co właściwie wyczuł. Studnia przeciwnika była wąska i nierówna. Zupełnie nie tak silna, jak Caldan się spodziewał. Czarownik mający taką studnię nie potrafiłby zaczerpnąć zbyt wiele energii, a już na pewno nie wyprowadziłby z niej zbyt wielu strumieni. Dwa, najwyżej trzy, nawet gdyby

zatrenował się prawie na śmierć. Chyba że maskował swoją prawdziwą potęgę, tak jak robił to Simmon...

Na przodków, pomyślał Caldan z przerażeniem, jeśli to właśnie robi, to nie mamy z nim szans.

I znowu poczuł, jak jego skóra robi się gorąca, a ciało spływa potem, który zmył z niego cały strach i zmęczenie. Czuł spokój i gotowość.

– Zostań tu – polecił kapralowi, który z ociąganiem pokiwał głową. Wypełniwszy płuca powietrzem, Caldan wypadł z kryjówki i otworzył studnię, a potem puścił się biegiem do leżącej w liściach kuli.

Gdy dotarł do rzemyśliwa, wyczuł kolejny przyływ mocy, tym razem gdzieś po prawej. W czasie gdy się wahał, mag prędko zmienił pozycję. Wtedy Caldan rzucił się w ściółkę i wypuścił ze studni dwa strumienie. Zamknął dłonie na czarodziejskiej kuli, tłumiąc światło, i podłączył się do bransolety, osłaniając tarczą.

Gdy otoczyło go pole siłowe, głośny trzask rozdarł powietrze i na krótką chwilę jego słuch wypełniło bzyczenie, a potem tarcza buchnęła iskrami, gdy ze stu różnych kierunków spadły na nią pociski.

Choć była poważnie uszkodzona, tarcza wytrzymała – tak jak przewidywał. Z jego szacunków wynikało, że wróg nie zdoła zebrać dość destruktywnej mocy, by spenetrować jego osłonę. Zaryzykował, ale dzięki temu potwierdził, że nie musi podtrzymywać tarczy tak wielką ilością energii.

Gdzieś wśród drzew moc rozmyła się, a potem rozpierzchła. Caldan rzucił czarodziejską kulę w kierunku maga. Pocisk zatoczył łuk i wylądował na ziemi, na kilka chwil wzbudzając pośród drzew tłum tańczących cieni.

Gdy kula zetknęła się z ziemią, Caldan zamknął oczy i zerwał kotwicę. Nagły huk gromu niemal przygniótł go do ziemi. Rozbłysk był tak jasny, że dostrzegł go przez zaciśnięte powieki. W ciemności dało się słyszeć dwa krzyki. Jeden padł z ust Lavasa, który

najwyraźniej zapomniał, że miał siedzieć cicho, a drugi z ust nieznanego maga.

Caldan dźwignął się na nogi z wciąż otwartą studnią. Wokół niewielkiej dziury w ziemi płonęła roślinność.

Między drzewami skakał dymiący cień. Mignął mu przed oczami, a potem zniknął. Caldan uniósł miecz, a potem zaszarżował tam, gdzie kształt rozpląnął się w powietrzu. Błyskawicznie pokonawszy odległość, ujrzał przed sobą człowieka w nadpalonym odzieniu i z wymalowanym na twarzy zdumieniem. Z jego studni napłynęła energia i czarownik zafalował w powietrzu, a potem zniknął.

Caldan rzucił się za pobliskie drzewo, czując spływający mu po ciele pot. Na przodków, miał wrażenie, że płonie żywym ogniem! Ręce mu się trzęsły, ale zmusił się do zachowania spokoju.

Znowu usłyszał to dziwne bzyczenie, a jego tarcza zadrżała od impaktu kolejnej serii pocisków. Tym razem zafalowała pod naporem wrogiej magii; trysnęły iskry, a zanim zgasły, część błysnęła ostrzegawczą czerwienią. Rzemyśliwo na nadgarstku Caldana nie ochłonęło jeszcze po poprzednim starciu i teraz zaczęło palić go w rękę. Zacisnął zęby z bólu.

Gdzieś po jego lewej ktoś się roześmiał. I znowu mrowie pocisków uderzyło o tarczę, a tym razem poczuł, że nadwyrężone rzemyśliwo zaczyna się sypać. Zerwał połączenie i zsunął je z nadgarstka, parząc palce prawej ręki.

Pewien, że wróg nie widzi go w ciemności, Caldan podłączył się do tarczy Dzwonków i po raz kolejny otoczyła go magiczna bariera. Ale tym razem przymknął studnię, wysączaając z niej tylko cienki strumyczek. Przy tak obniżonym zasilaniu tarcza lśniła błękitem miast jak zwykle mozaiką wielokolorowych plam. Nabrał tchu i upuścił zużytą bransoletę, zawahał się, a potem wyszedł zza drzewa, podnosząc ręce w poddańczym geście.

– O, a to zabawne – powiedział czarodziej z lekkim uśmiechem na ustach. – Albo twoje rzemyśliwo było kiepskie, albo masz płytszą studnię.



Markując rozczarowanie, Caldan wzruszył ramionami, wciąż słabiutko zasilając tarczę, ale w każdej chwili będąc gotowym do zaczerpnięcia większej ilości mocy. Nie widział wrogiego maga, który zapewne zamierzał się ukrywać, dopóki nie rozbroi lub nie zabije Caldana. Nagle powietrze przed nim zamigotało i czarodziej ujawnił się, również otaczając się tarczą. Ona też była niebieska, a nie wielokolorowa. Indryallanin spojrzał ponad ramieniem Caldana, gdzie dostrzegł za jego plecami wychodzącego zza drzewa Lavasa.

Caldan zagroził kapralowi drogę ramieniem.

– Nie – powiedział. – Nic tu nie wskórasz.

Lavas naparł na jego rękę, lecz w końcu odpuścił, warcząc pod nosem.

– Zabiję drania.

– Później – obiecał Caldan, a czarodziej znowu się zaśmiał.

– Wątpliwe. Twoja tarcza jest na wykończeniu, a wnioskując z twojego nieudolnego ataku, zniszczyłeś czarodziejską kulę. Winszuję, nie stanowisz już dla mnie wyzwania.

Caldan spojrzał w dół, na swoją prawą rękę, w której trzymał miecz. Palce bolały go od ściskania rękojeści.

– To ty tak twierdzisz.

– Chwilę temu twoja tarcza prawie się posypała, więc tak, tak twierdzę. – Przeniósł wzrok na Lavasa. – Przykro mi, ale muszę cię zabić. Nie żebym coś do ciebie miał.

Caldan wyczuł, że czarodziej zaczerpnął ze swojej studni więcej energii, złapał więc kaprała za ramię, jego również otaczając tarczą. Zaskoczony żołnierz wzdrygnął się. Z tarczy znowu prysnęły iskry, by zaraz zgasnąć.

Usta Caldana wykrzywił uśmiech. Pokręcił głową, widząc malujący się na twarzy maga zmieszany grymas, i uniósł miecz, stając między nim a kapralem.

– Wyczuwam, że twoja studnia nie jest zbyt silna. A ponieważ z trudem otwierasz ją tylko wtedy, gdy energia jest ci absolutnie

niezbędna, wnioskuję, że ty też zdajesz sobie z tego sprawę. A czy ty wyczuwasz moją?

– Nie – odparł mag. – A moja powinna poradzić sobie z twoją uszkodzoną tarczą. – Umilkł na moment, domyślając się, że coś tu nie gra. – Ach, już łapię. Dobrze to rozegrałeś. Masz przy sobie drugie rzemyśliwo.

Caldan kiwnął głową, już nie musząc się z tym kryć.

– Co oznacza, że nas nie dosięgniesz.

– Ale inni nie będą mieli tego szczęścia.

Liście i drobinki ziemi uniosły się w powietrze, gdy czarodziej otworzył studnię. Otoczyła ich chmura pyłu, ograniczając Caldanowi pole widzenia.

– Przeklęty bydlak! – wycedził kapral. – Ucieka!

Caldan zassał energię ze studni i wtłoczył ją w tarczę, która odzyskała pełnię mocy. Pchnął Lavasa w kierunku drogi.

– Tam! – zawołał.

Pomknęli przez zbitą chmurę, potykając się o kamienie i kępy trawy, obijając o drzewa. Tyle dobrego, że tarcza ochroniła ich przed kurzem. Biegli naprzód, chcąc dotrzeć do wozu przed przeciwnikiem.

Wyłoniwszy się z pyłu, Caldan potknął się o coś i puścił Lavasa. Znajome bzyczenie rozbrzmiało znowu gdzieś za jego plecami i kapral zacharczał boleśnie. Caldan usłyszał, jak mężczyzna upada na ziemię i jęczy. Zatrzymał się i warknął z wściekłości, choć przecież wybór między powalonym kapralem a ludźmi na wozie nie był żadnym wyborem.

Ruszył pędem ku drodze. I w tym pędzie wpadł na niewidzialną ścianę energii rozpiętą między dwoma drzewami. Padł na ziemię, oszołomiony. Nieudolnie spróbował dźwignąć się na nogi. Miecz wysliznął się z jego zeszywniałych palców i świat zawirował mu przed oczami. Pierś rwała bólem od uderzenia, a żołądek zawiązał mu się na supeł. Upadł z kolan na bok, nie mogąc otrząsnąć się z otumanienia.

Iskry opadały kaskadą wokoło, gdy jego tarcza zbierała kolejne serie pocisków. Był tak zdezorientowany, że nawet nie poczuł odpalenia czaru. Walczył o oddech, ryjąc w ściółce rozcapierzonymi palcami. W jego uszach brzmiał ryk, a całe ciało miał mokre od potu.

Miał mętne wrażenie, że w oddali ktoś krzyczy. Kobieta. Elpidia? Wrzask przebił się przez bzyczenie w jego uszach.

– ...nie! – wykrzyczał głos, a potem odpowiedział mu inny, głębszy, męski.

– ...chroń... muszę...

Elpidia wrzasnęła żalonym, pozbawionym nadziei głosem, a potem rozległ się huk i przeciągły pomruk.

– Na przodków... – Caldan usłyszał własne słowa i złapał za miecz. Z mozołem dzwignął się na kolana, a potem na nogi. Zaczął biec do wozu. Jego myśli grzęzły w mule, ale zachowały na tyle jasności, by podtrzymać tarczę.

Przed sobą widział już wagon oświetlony jedną z jego czarodziejskich kul, którą trzymała w górze wychylona przez płachtę Elpidia. Pojazd stał na drodze. Na koźle nie było żołnierza. Nigdzie nie dostrzegł też Amerdana.

Indryallański czarodziej stał oparty o drzewo, wodząc wokoło zdziczałym wzrokiem. Krew ściekała na ziemię z wielu drobnych ran, którymi naznaczone było jego ciało. Szlak czarnych kropek prowadził do wozu i dookoła niego. Czerwone plamy rozlewały się po płóciennym okryciu. Jedną rękę mag przyciskał do ran, a drugą zamknął na medalionie na szyi. Na widok Caldana zachwiał się i na jego twarzy zajaśniała panika.

Zafalował i zniknął. Caldan zaklął, wciąż prac naprzód, boleśnie rozumiejąc, że nie ma teraz pojęcia, gdzie znajduje się czarodziej.

Dotarł do wozu i złapał w garść płótno, żeby się nie przewrócić. Elpidia spojrzała na niego z góry; jej siwe włosy były rozwichrzone, a oczy czerwone i mokre od łez, które ściekały jej po policzkach.

– On tu jest! – wrzasnęła do niego. – Gdzieś tutaj! Zrób coś!

– Gdzie Miranda? – odkrzyknął. – Ranna?

– Nie. Jest tu ze mną. Znajdź maga!

Gdzieś blisko zaszurały po ziemi stopy. Obrócił się... i spojrzał w oczy Amerdana. Były beznamienne, całkowicie spokojne. Uśmiech przemknął przez twarz sklepikarza, gdy uniósł palec do ust Caldana.

– Sza – wyszeptał, wskazując wzrokiem drzewa naokoło. – Słuchaj.

Elpidia zniknęła w wozie. Caldán słyszał, jak płacze i mamrocze pod nosem.

– Słuchaj – powtórzył Amerdan. Uniósł jeden ze swoich noży. Klinga była mokra od krwi.

Caldán oderwał uwagę od wozu i rozejrzał się po okolicy, potrząsając głową, by w końcu przejaśniło mu się przed oczami. Z miejsca, gdzie pierwszy raz starł się ze skrytobójcą, dobiegły go jęki. To pewnie kapral. Amerdan wskazał tamto miejsce.

– Stary żołnierz. Ranny. Umiera. Nie zwracaj uwagi. – Przesunął rękę i wskazał w lewo. Caldán słyszał, jak ktoś szamocze się w trawie, jęcząc z bólu. – Ten drugi żołnierz. Też umiera. – Amerdan wskazał wewnątrz wozu. – Elpidia, Miranda i Dzwonki: nie zwracaj uwagi. – Znowu przesunął rękę i wskazał ciemność. Tym razem rozcapierzył palce i poruszył dłonią w przód i w tył. – Co zostało?

Caldán wyteńczył słuch, choć ciągle dzwoniło mu w uszach.

– Wiatr – powiedział. – Liście, trawa.

– Dobrze... I?

– Nic... Znaczy...

– Jest jeszcze coś. Słuchaj.

Słuchał intensywnie. Dzwonienie zaczęło z wolna przechodzić. Caldán uspokoił oddech, choć starcie jeszcze nie dobiegło końca, a przeciwnik zniknął mu z oczu. Odepchnął na bok zidentyfikowane już dźwięki, starając się znaleźć ten, na który chciał go nakierować Amerdan.

Znowu wiatr... cichy szelest trawy, liści... drzew... kropla...

– O właśnie – powiedział cicho Amerdan. – Kap, kap. To on. To jego krew. – Kolejna kropla rozprysła się na liściu niczym drobina deszczu. Caldán wyraźnie słyszał teraz odgłos spadających kropelek i zastanawiał się, jakim cudem. Czy to nieodkryta dotąd część jego

specjalnych zdolności? Jak to możliwe, że Amerdan też to słyszy? To nie miało sensu.

Caldan czekał. Kap. Tym razem nieco dalej na prawo, kropelka rozprysła się o suchą ziemię. Czuł przy uchu gorący oddech Amerdana.

– Słyszysz go? Pociąłem go tak, jak on pociął innych. A teraz... krwawi jak oni i nie może zatamować krwawienia, bo musiałby się ujawnić. – Kolejne kapnięcie, gdzieś na prawo. Sklepikarz zachichotał pod nosem. – Słyszę cię – wyszeptał w noc.

Caldan przełknął ślinę, otworzył studnię i rozpostarł zmysły na prawo. Niemal nieuchwytny odgłos na granicy słyszalności, a jednak tam był. Czarodziej. Blisko. Bardzo blisko. Co zamierza?

Tak wolno, jak tylko potrafił, Caldan uniósł prawą rękę i oddzielił się mieczem od niewidzialnego czarodzieja. Nie wiedział, co innego mógłby zrobić; nie miał już czarodziejskich kul ani rzemyśliw, które mógłby napełnić magią. Skończyły mu się pomysły i możliwości. Pozostała tylko walka wręcz.

Ale nie toczył jej sam.

Amerdan w jednej chwili stał przy nim, a w drugiej już go nie było. Sklepikarz odskoczył w lewo i niespodziewanie zwinął się w prawo, tam, gdzie zdaniem Caldana stał czarownik. Nigdy jeszcze nie widział, by ktoś poruszał się tak prędko... poza nim samym, gdy aktywowały się jego zdolności.

Z rozdziawionymi ustami patrzył, jak Amerdan wyprowadza cios lewą ręką. Ostrze jego noża zniknęło. Zanurzyło się w czymś aż po jelec. Sklepikarz podskoczył i okręcił się w powietrzu, prawą ręką zadając cios z góry. Drugi nóż wbił się w niewidoczne ciało.

Gdy przeraźliwy wyszczerz uformował się na jego twarzy, Amerdan wylądował miękko na nogach, a powietrze przed nim rozmazało się i pojawił się czarodziej z wybałuszonymi ze zdziwienia oczami. Jedna jego ręka ścisnęła nóż zagłębiony w ramieniu, a palce drugiej plątały się, chcąc złapać za rękojęść tego, który wystawał z jego szyi.

Zabulgotał i zwałił się na ziemię, gdzie zadrżał raz i drugi, a potem znieruchomiał. Krew ciekła z obu ran, a pierś, ramiona i nogi maga pokrywało wiele długich cięć. Martwe, szare oczy wpatrywały się w połyskujące na niebie gwiazdy.

Caldan podszedł do trupa na chwiejnych nogach, patrząc na stojącego nieruchomo Amerdana, który spokojnie odwzajemniał jego spojrzenie. Klęknął przy magu, który wydał mu się teraz do bólu zwyczajny, jeśli nie liczyć kilku rzemyśliw, które dało się wyczuć przez studnię. Parę amuletów, dwa pierścienie, do tego dwie metalowe bransolety – do wyrzucenia, źle wykonane i wadliwe. Nic więcej. Żadnej broni, żadnych innych przedmiotów codziennego użytku. Zupełnie nic, jakby miał dwa kroki do domu, a nie polował na nich od kilku dni.

– Nic ci nie jest? – spytał Amerdana roztrzęsionym głosem.

– Wszystko gra. – Sklepikarz wskazał trupa. – Miał się za łowcę... ale nim nie był.

Caldan wolno pokiwał głową, a potem wytarł o spodnie spocone dłonie. Amerdan nie odrywał od niego oczu.

Caldan oczyścił gardło.

– Szybki jesteś – wymówił jakoś od rzeczy.

Amerdan odpowiedział, skinąwszy mu głową:

– Czasem. Kiedy chcę. Widziałem raz, jak ty to zrobiłeś, wkrótce po tym, jak opuściliśmy Anasomę. Wtedy, gdy zabiłeś żołnierzy.

Caldan zauważył, że Amerdan nigdy nie mówił „uciekliśmy”, „zbiegliśmy”, tylko zawsze „opuściliśmy”, „wyjechaliśmy”. Odpowiedział skinieniem, nie chcąc wymówić na głos tego, co właśnie nasunęło mu się na myśl.

Amerdan powiedział, że jeśli chce, potrafi się szybko poruszać. Potrafił kontrolować swoje umiejętności, choć Caldán tego nie umiał. To w ogóle było zdumiewające, że miał podobne zdolności do niego.

– Ja nie mogę tego kontrolować – przyznał Caldán. – Nigdy nie wiem, kiedy mnie to najdzie. Zwykle aktywuje się w obliczu kłopotów.

– Jesteśmy bardziej podobni, niż ci się wydaje. Mógłbym... cię tego nauczyć. A ty mógłbyś w zamian nauczyć mnie czegoś o magii.

Kuszące, musiał przyznać Caldan. Ale też propozycja Amerdana rodziła kilka poważnych pytań, na przykład: po co ta maska sklepikarza? Caldan chętnie nauczyłby się tego, co najwyraźniej bez trudu przychodziło Amerdanowi, choć wciąż nie był pewien, czy może mu ufać.

Wszyscy żołnierze – martwi. Tak jak chciał, pomyślał. Co to może oznaczać? Amerdan przyglądał mu się, nie kwapiąc się rozwiać jego wątpliwości. Spojrzał na wóz.

– Chodźmy – powiedział Caldan. – Sprawdźmy, jak się mają nasi.



**U**party jak osioł, cuchnie jak świnia, a kozy to on pewnie...  
– Zakładam, że coś nie tak? – przerwał Avigdor.  
Felice odjęła od oka teleskopowy cylinder, a potem kilka razy zamknęła i otworzyła oczy, żeby jej wzrok wrócił do normy. Wręczyła mu lunetę, a potem przystawiła do nosa naperfumowaną chusteczkę.

– On się do tego nie nadaje – skomentowała. Żadne z nich się nie nadawało.

Avigdor przyłożył lunetę do oka i poszukał na ulicy poniżej Izaka.

– Wiemy to od samego początku, dlatego nie powiedzieliśmy mu wszystkiego.

Felice siedziała na dachu budynku, skąd rozciągał się widok na okolicę na dole. Wspinanie się po brudnych, a czasem obluzowanych dachówkach mogło źle się dla niej skończyć, ale umościła się na



względnie bezpiecznej pozycji na skrzyżowaniu dwóch dachów. Nawet zwalisty Avigdor zdołał żwawo wdrapać się na górę jej śladem, choć zawsze rezygnował z treningu szermierki oraz innych ćwiczeń, na które uczęszczała Felice trzy razy w tygodniu. Uważała, że należy być gotowym na wszelkie okoliczności, podczas gdy on sam wychodził z założenia, że jest w stanie wykaraskać się z tychże okoliczności dzięki bystrości umysłu. Poranne słońce nie miało dla nich litości, ale przynajmniej od strony pobliskich doków sunęła znad morza chłodna bryza, nieco łagodząca spiekotę. Szkoda, że po drodze zbierała smród portowej dzielnicy, cokolwiek nieprzyjemny.

Ulice poniżej zbudziły się już do życia, z wolna wypełniał je poranny zgiełk, niemal zbliżony do normalności po niedawnych wypadkach. To dziwne, jak w zaledwie kilka dni zmienił się stosunek najechnych do najeźdźców. Początkowy strach i złość przeszły w rezygnację, a ta w... co? W rutynę? Gdyby nie indryallańskie patrole na ulicach, które zastąpiły straż portową oraz Kołczany, wielu mieszczan w ogóle nie odczułoby zmiany. Jeden pan zastąpił drugiego, a sługa, jaki był, taki został.

Indryallanie utworzyli z cesarskich więźniów zakontraktowanych robotników, którym wypłacali za pracę godziwe pensje. Efektywne grupy robotnicze szybko i sprawnie usunęły wszelkie ślady po ataku i pogrzebały zwłoki ofiar po obu stronach barykady. Całymi dniami droga wiodąca na cmentarz na Popielnym Wzgórzu była zakorkowana przez wozy transportujące zwłoki oraz jeżdżące za nimi piaskarki, zasypujące ulice żwirem, w który wsiąkały wszelkie zalegające na bruku płyny ustrojowe.

Avigdor pociągnął zakatarzonym nosem, a potem o mało nie zwymiotował. Łzy nabiegły mu do oczu.

– Uch, zepsuta ryba.

– Przestań, bo robię się głodna.

Avigdor prychnął i wznowił obserwację ulicy, kierując lunetę na fronton siedziby Kompanii Handlowej Pięciu Oceanów.

– Więc mówisz, że Izak jest w środku?

– Tak, ale ktoś go śledził. Pewnie od samego domu i być może przez całą noc. – Felice warknęła pod nosem. – Rebecci Walraffen wie, co robi.

Na jej prośbę Izak podczas branżowego przyjęcia „przypadkowo” wpadł na jedną z głównych członkiń kompanii. Dostarczył jej napisany przez Felice list, ostrożnie sformułowaną wiadomość, która miała za zadanie wzbudzić ciekawość Rebecci – sugerowała ona bowiem, że autor listu wiedział o sprawach, o których nikt nie miał wiedzieć. Izak szedł właśnie po odpowiedź na ten list.

– To mnie właśnie martwi. Izak był ostrożny, ale nie dość, że nie zgubił ogona, to na dodatek w ogóle nie domyślił się, że jest śledzony. Zwykła kompania handlowa nie powinna chyba tak się wyznawać w szpiegostwie.

– Oczywiście, że powinna! Gdybym to ja miała firmę, tak właśnie prowadziłabym interesy.

– Gdybyś miała, tobym kupił udziały.

Nagrodziła komplement uśmiechem. Avigdor podrapał się w głowę.

– Wychodzi – powiedział nagle.

– Miej go na oku. Wciąż go śledzą?

Po chwili Avigdor kiwnął głową.

– Tak.

– Idzie prosto na Cmentarz?

– Na to wygląda. W każdym razie kieruje się na północ.

Felice zakłęła. Wzięła głęboki wdech i wsparła na biodrach zaciśnięte pięści.

– Źle zrobiłeś, żeś mu o tym powiedział. Musimy go powstrzymać. Nie możemy pozwolić, żeby doprowadził ich do naszej kryjówki.

– Zgoda. Tylko jak to zrobić?

Felicienne odwróciła się do niego, przerzuciła nogi przez szczyt dachu i zaczęła zsuwać się do wyjścia, cały czas intensywnie myśląc.



Felice opuściła mosiężną lunetę, szybkim ruchem złożyła ją w mały cylinder, który schowała do sakwy przy pasie.

– Uciekł – wydyszała.

Avigdor zachichotał.

– Spłoszył się, biedny. I tak mieliśmy szczęście, że w ogóle dostarczył twój list, choć jego treść nie należała do subtelnych. Ludzie Rebeci pewnie będą go pilnować, ale stara się jak może. Chodź, zaniemiemy list do burdelmamy, a potem ona przekaze nam wiadomość od Izaka. Dostarczy go jeden z naszych ludzi.

– Rzeczywiście, teraz nic chyba na to nie poradzimy – odpowiedziała Felice, gryząc dolną wargę. Musiała dać Izakowi pewną swobodę, mimo że wcale nie podobała jej się jego reakcja. Gra szła o znacznie większą stawkę niż ta, do której Felice była przyzwyczajona, i odkryła, że pomimo niebezpieczeństwa czerpała z tego przyjemność.

Gdy dotarli do kryjówki na Cmentarzu, było już prawie południe. Felice musiała zatrzymać się po drodze, by wydać rozkazy rozmaitym komórkom ruchu oporu.

Ich potencjalny sojusz z Rebeci i jej kompanią stanowił zaledwie część ich planu, a wszystkie one wydawały się potrzebować nieustannych poprawek i doglądania.

Po zakończeniu konsultacji i wydaniu nowych rozkazów zostawili grupę mężczyzn w jednym z wraków. Następnie Felice i Avigdor przemknęli po przerzuconych między kadłubami trapach, służących za prowizoryczne mosty, aż w końcu dotarli do rozsypującego się statku, który wybrali na swoją siedzibę.

Szczury i karaluchy umykały im spod nóg, wnikając w dziury i szczeliny w poszarzałych, zużytych podłogach – jak często żartowali, był to ich system wczesnego ostrzegania. Tak więc bez strachu odsunęli metalową zasuwkę, którą sami założyli, i weszli do pomieszczeń Felice. Avigdor stanął z boku, a ona znalazła zapalnik i zapaliła lampę.

Światło wydobyło z mroku siedzącą w fotelu postać. Była to kobieta, szczupła i o splątanych siwych włosach. Miała na sobie

proste ubranie – luźną czarną spódnicę i tunikę w kolorze burgunda – ale krój i materiał świadczyły o wysokiej jakości.

Oboje znieruchomieli na jej widok, Avigdor – zamykając drzwi, Felice – z ręką wciąż przy lampie.

– Już się bałam, że nie przyjdziecie. Ten fotel nie jest zbyt wygodny, ale i tak prawie zasnęłam.

Rebecci, przedstawicielka Kompanii Handlowej Pięciu Oceanów, stłumiła ziewnięcie, delikatnie przysuwając dłoń do otwartych ust. Wyprostowała się w fotelu i obrzuciła ich wyczekującym wzrokiem.

Felice poruszyła się pierwsza. Odstawiła lampę z cichym stukotem, a potem skłoniła się krótko kobiecie.

– Widzę, że się u nas rozgościłaś. Może wina?

– Świetna myśl.

Felice zerknęła przelotnie na Avigdora, a potem podeszła do barku i wyjęła trzy szklanki, które postawiła na stole. Wybrała butelkę i spojrzała na etykietę, następnie odstawiła ją z powrotem i wybrała inną. Przyjrząwszy się tej drugiej, skinęła głową i podała ją Avigdorowi.

– Mógłbyś otworzyć?

– Jak? Zębami?

Felice wyjęła z szuflady korkociąg i podała. Avigdor przyjął go drżącą nieznacznie ręką, a drugą zaczął zdrapywać woskową pieczęć na korku.

Felice przysunęła sobie stojące pod ścianą krzesło i postawiła je przed Rebecci, a potem drugie dla Avigdora, który już napełniał szklanki tak ciemnym, że prawie czarnym płynem, w którym połyskiwały złote drobinki.

– Proszę – powiedziała Felice, biorąc szklankę i patrząc, jak Avigdor i Rebecci łapią za swoje.

Wzniosła milczący toast w kierunku gościa, skinęła głową i upiła łyk. Bogaty bukiet zakręcił jej w nosie. Czarna porzeczka i wiśnie z pieprzową nutą.

– Rzemyślnicze wino – zauważyła Rebecci. – Drogie. A po ostatnich wydarzeniach chyba jeszcze droższe.

– Trzeba było jakoś nadrobić niedostatki w kwaterunku. – Felice wskazała gestem odrapane ściany i wyblakłe ornamenty. Nędzę i sromotę kontrapunktował jedynie lśniący mosiężny zegar, wypełniający plamy ciszy mechanicznym tykaniem.

– W rzeczy samej.

Felice przyjrzała się kobiecie. Z bliska wydawała się chudsza, niż jej powiedziano. Dłoń ściskająca szklankę była niemalże wysuszona, jakby należała do trupa, a skóra nieledwie przezroczysta.

Obecność Rebecci tutaj po zaledwie przelotnym kontakcie z Izakiem minionej nocy świadczyła o niebezpiecznie wysokim poziomie poinformowania i zasobach przekraczających ich własne. Ale to, że była tu sama – a oni nie tkwili w łańcuchach lub w przydrożnym rowie – mówiło, że darzy ich sprawę jakąś dozą poparcia. Lub przynajmniej że była gotowa poważyc się na osobiste ryzyko, by dowiedziec się więcej.

Felice wzięła łyk i przytrzymała wino w ustach, chcąc nacieszyc się smakiem. Postanowiła rznac głupa, choc wiedziala, ze to pewnie nie zadziala. Mimo wszystko ostrozność nie zawadzi, zwlaszcza kiedy ma sie do czynienia z osoba, ktora moze byc przywódczynią ruchu oporu.

– Rebecci, jak mniemam?

Starsza kobieta uniosła brew i rozparła się na fotelu. Posłała Felice spojrzenie spod półprzymkniętych powiek.

– Owszem – odparła krótko.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Przyjemność...?

– Chodzi mi o twoją wizytę.

Felice poprawiła się na krześle, krzyżując nogi i opuszczając jedną rękę tak, by znalazła się blisko cholewy buta, gdzie ukryła nóż. Coś w postawie kobiety budziło jej obawy. Jak dotąd jej zachowanie wskazywało na to, że chce ich wesprzeć, lecz jeśli tak prędko znalazła ich kryjówkę, to kto wie czy najeźdźcy również ich nie wytropili. Izak nie dał się złapać, więc to nie on zdradził jej położenie, ale ktoś musiał puścić farbę. Zdrajca czy głupiec?

Ostateczny rezultat będzie ten sam. Schowała tę nieprzyjemną myśl gdzieś z tyłu głowy.

– Nie martw się tak – powiedziała Rebeci. – Nie ma potrzeby sięgać po nóż. Od inwazji świetnie sobie radzisz. Wraz z tą osobą, która zatroszczyła się o dwóch wrogich dowódców. Czy jest ona gdzieś tutaj? Chciałabym osobiście jej pogratulować.

– Nie. Ta osoba jest... zajęta.

– Wielka szkoda. Bardzo chciałabym ją poznać. Opowieść o tym starciu odbiła się echem w moich kręgach.

Felice posłała spojrzenie Avigdorowi, który złapał je i wzruszył ramionami.

– Cóż mamy do stracenia? – spytał.

– Wszystko – odparła cicho Felice.

Rebeci zachichotała, słysząc te słowa. Osobliwy, nieledwie dziecięcy śmiech.

– Ależ, mili państwo – zachnęła się – powinniśmy przynajmniej nawiązać jakąś współpracę. Moglibyśmy stać się kolaborantami. Wspólnikami. Kto wie, może nawet przyjaciółmi. Byłoby miło, nie mam zbyt wielu przyjaciół.

Felice skrzywiła usta.

– Przykro mi to słyszeć. I wybaczyć, jeśli nie od razu uwierzę ci na słowo.

– Wybaczam. Ale pozwolę sobie wyrazić swoją skromną opinię, że zrobiłabyś mądrze, wysłuchawszy mnie.

– Doprawdy? – powiedziała Felice, przeciągając sylaby, powstrzymała się jednak przed komentarzem. – Słucham więc.

– Będę z wami tak szczerą, jak tylko mogę. Gdybym była z Indryallanami w zмовie, już bylibyście martwi lub siedzieli w lochu. Gdyby kolaborował z nimi ktoś z moich ludzi, również bylibyście martwi lub siedzieli w lochu. Jeśli Indryallanie was znajdą, co nastąpi wkrótce, lada moment będziecie martwi lub traficie do lochu. A gdy przybędzie tu Bóg-Imperator, będziecie błagać o szybką śmierć. – Zrobiła pauzę i zwilżyła usta winem. – Moi ludzie są podzieleni. Niektórzy już zbratali się z najeźdźcą.

Niektórzy, a wśród nich ja, uważają to za bardzo zły pomysł. Jestem tu, żeby wam pomóc.

Felice milczała.

– Znajdą was tak łatwo jak ja, a gdy to zrobią, nie dacie im rady.

Magia, domyśliła się Felice. Nikt nie wiedział, gdzie przebywają, nikt ich nie śledził, a ta kobieta wiedziała zdecydowanie zbyt wiele o możliwościach najeźdźców. Ta cała Rebeci była czarodziejką. Nie istniało inne wytłumaczenie.

– Więc dlaczego jeszcze tego nie zrobili? – spytała Felice.

Rebeci odpowiedziała ze wzruszeniem ramion:

– Bo jak dotąd nie zrobiliście nic, żeby ściągnąć na siebie ich uwagę.

– To się wkrótce zmieni.

– Dlatego właśnie tu jestem: żeby powiedzieć wam, że to zły pomysł – odparła Rebeci. – Musicie uciec z miasta. My również.

– Ale wtedy niewiele zdołamy zdziałać. Wolałabym zostać.

– Zastanówcie się: w tej chwili Indryallanie są uwięzieni w mieście w tej samej mierze, co cała reszta. Ale poza jego murami będziemy mieć więcej możliwości, żeby zgromadzić surowce i rzeczywiście stawić im czoła. Czy to nie na to potrzebujecie pieniędzy? Żeby wydostać ludzi z miasta i jakoś ostrzec cesarza?

– Skąd ty... – zaczęła Felice. – Zresztą nieważne. Ale co właściwie planujesz zrobić? Wynieść nas wszystkich w kieszeni?

– Poniekąd, wydostać was z miasta. Tak jak powiedziałam, Anasoma jest skończona. Mamy plan, żeby przebyć mury i przegrupować się dalej na wybrzeżu. Od inwazji działaliśmy tutaj, ile się dało. A na zewnątrz na pewno dołączą do nas inni.

– Inni? Wasi? Zakładam, że masz na myśli członków kompanii?

Rebeci przyozdobiła twarz uśmiechem.

– Oczywiście.

– Ale co mogą zwykli kupcy?

– Przecież wiesz już, że nie jesteśmy zwykłymi kupcami – sparowała Rebeci. – W każdym razie pozwólcie, że złożę wam propozycję. Wysłuchacie, zdecydujecie.

Wstała, ukazując dwie leżące na krześle za nią skórzane sakwy, dotąd skryte za rozłożystą spódnicą. Podniosła jedną i położyła na stole, wydobywając z niej dzwoniące jednoznacznie kojarzące się z pieniędzmi.

– Złoto – oznajmiła.

Zaraz do pierwszej sakwy dołączyła druga, z której wydobył się podobny dźwięk.

– Srebro.

Rebeci ostrożnie odstawiała szklankę.

– Indryallański Bóg-Imperator przybędzie tu za trzy dni. Zalecam zgromadzić jak najwięcej lojalnych sojuszników i czym prędzej opuścić stolicę. Wiem, że są sposoby na przedostanie się za mury, i po to właśnie są te dukaty. Gdy już to zrobicie, ruszajcie w drogę wzdłuż wybrzeża. Zatrzymajcie się po tygodniu i czekajcie. Znajdziemy was i wtedy wyjaśnimy, co i jak. – Spojrzała na Avigdora, a potem zwróciła chłodne spojrzenie na Felice. – Jeśli tego nie zrobicie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa umrzecie.

Felice ogarnęła wzrokiem dwie ciężkie sakwy pieniędzy, a potem wróciła nim do Rebeci.

– Nie boję się śmierci.

– Nie? Mądrze. Nie należy się jej bać. Ale należy się bać tego, co ją poprzedza.

Felice wiedziała, że nie pokona czarodziejki uzbrojona tylko w nóż. Nie miała więc wielkiego wyboru, tylko pozwolić jej odejść. Mówi w kółko to samo, pomyślała. A ja chciałabym tylko uzyskać jedną prostą odpowiedź.

– Zanim zgodzę się na cokolwiek, muszę wiedzieć, o co tu chodzi. Jesteś nam winna wyjaśnienie.

Rebeci pokręciła głową, najwyraźniej niezrażona oporem Felice.

– W swoim czasie.

– Kiedy lepiej niż teraz? Jak mam ci zaufać, jeśli nie mogę wyciągnąć z ciebie nic więcej?

– Po to te dukaty, Felicienne. Czy to nie wystarczająca rękojmia za twoje zaufanie? Ale widzę, że wciąż pozostajesz sceptyczna. To



dobra cecha... ale tylko wtedy, gdy występuje w umiarze. Może powinnam zademonstrować swoje umiejętności lub to, z jaką śmiertelną powagą podchodzę do sprawy. To mogłabym zrobić. Ale pamiętaj: zbierz ludzi i uciekaj. Masz tylko trzy dni.

Felice mogłaby przysiąc, że coś błysnęło w jej oczach. Natychmiast sięgnęła po nóż. Lecz zanim choć musnęła palcem rękojeść, ból ostry jak sto igieł rozbłysnął w jej głowie, aż krzyknęła. Szklanka wypadła jej z palców i roztrzaskała się o podłogę. Felice zwinęła się na krześle, obezwładniona, słysząc tylko wrzask Avigdora. Czuła w głowie potężne ciśnienie i była pewna, że zaraz rozsądzi jej czaszkę. Nim to jednak nastąpiło, spłynęła na nią ciemność.



Obudziła się na drewnianej podłodze. Jej głowa pulsowała wspomnieniem bólu. Usiadła. Rebeci zniknęła. Drzwi były otwarte na oścież.

Strużka krwi pociekła jej z nosa prosto do rozwartych ust. Otarła górną wargę wierzchem dłoni, a potem zmasała ślinę stygnącą na podbródku.

– Avigdor... – zaskrzeczała wątłym głosem.

Wstała z trudem i poszła na chwiejnych nogach tam, gdzie wisiał bezwładnie na krześle jej przyboczny. Żył, jego puls był wyraźny, ale on sam nieprzytomny.

Odetchnęła z ulgą, ruszyła do stołu i łyknęła z porzuconej szklanki Rebeci. Niedługo poczuła się lepiej, ból głowy zelżał na tyle, że była w stanie myśleć. Dowłokła się do krzesła, opadła na nie i wsparła obolałą głowę na dłoniach.

Na przodków, o co tu chodzi?



**P**ochowali żołnierzy w płytkich grobach kawałek od drogi, nie chcąc rzucać się w oczy podróżnym, którzy mogliby zacząć zadawać kłopotliwe pytania. Wkrótce wsiedli na wóz i ruszyli przed siebie drogą wiodącą na zachód. Resztę poranka spędzili w milczeniu.

Gdy nadeszła noc, Caldan spędził nieco czasu, starając się nakłonić Mirandę do jedzenia, a potem usiadł przy Dzwonkach. Miranda przełknęła tylko kilka łyżek strawy, a potem nie chciała już otwierać ust. Caldan widział, że schudła. Jej skóra straciła sprężystość i poszarzała, a twarz stała się obojętną, pozbawioną życia maską.

– Jak się do tego zabrać? – spytał Caldan, pokazując czarodziejce podsunięty do światła dzwoneczek. Jego powierzchnia po obu

stronach była pokryta cieniutkim rysunkiem run. Przedmiot zadzwonił cicho w pograżonym w milczeniu wozie.

Od walki ze skrytobójcą Dzwonki była niezwykle skora do współpracy. Zupełnie jakby pałała wdzięcznością za jego zabicie.

Wywróciła oczami i warknęła pod nosem.

– A pomyślisz czasem sam? Masz przed sobą cud nowoczesnej myśli rzemysłniczej. I to ja go wykonałam. Ja.

Caldan odwrócił dzwoneczek i zajrzał do środka.

– Wciąż nie wiem, od czego zacząć. Nie wiem nawet, do czego służy połowa tych run.

– Oczywiście, że nie wiesz. Wcale mnie to nie dziwi, wzięwszy pod uwagę, kto cię uczył. Myślałam, że może Protektorzy mieli lepszych nauczycieli, ale oni najwyraźniej też wieki temu popadli w stagnację i tak sobie wszyscy razem gnili w tej Anasomie.

– Pamiętaj, że byłem tylko praktykantem.

Dzwonki westchnieniem dała upust frustracji.

– Uczę cię jak umiem najszybciej, ale nie mam do tego drygu. Najlepiej by było, gdybyś pojechał na studia do Indryalli. – Uśmiechnęła się do niego.

– To się nigdy nie stanie. Muszę tylko dowiedzieć się, jak uleczyć Mirandę. Cała reszta może poczekać.

– Dobra. Ale tak jak mówiłam, żyją na świecie ludzie, którzy są w tym o wiele lepsi ode mnie. Znam podstawy, jednak zaawansowana magia zniewalająca to nie moja działka.

– Czy chcesz powiedzieć, że nie wiesz, jak uleczyć umysł Mirandy?

– Nie, tego nie powiedziałam. Po prostu to może zająć dłużej, niż sądziłam.

– Czy ty grasz na czas?

– Nie, głupku jeden! Obiecałeś, że mnie uwolnisz, gdy będzie zdrowa. Po co bym miała grać na czas? To by nie miało sensu.

– Przecież nic z tego, co robisz ostatnio, nie ma sensu.

– Dla mnie ma.

Caldan nie miał na to odpowiedzi. Już zaczynała go boleć głowa, jak zawsze, gdy ślęczał nad zaawansowaną magią. Wziął głęboki

wdech.

– No dobra, powtórzmy.

Dzwonki pokręciła głową, nie dowierzając.

– Znowu chcesz powtarzać?

– Po prostu powtórzmy – powiedział, nie dodając: i może choć raz bez komentarzy z twojej strony.

Dzwonki znowu wywróciła oczami.

– Jak sobie życzysz. A potem może rozkujesz mnie na noc. Noce bywają chłodne.

– Nie – rzekł Caldan zdecydowanie.

Dała za wygraną i wzruszyła ramionami.

– W magii zniewalającej nie chodzi o to, żeby wedrzeć się z butami do czyjejś głowy, nawet jeśli tak się czasem wydaje – powiedziała, patrząc Caldanowi w oczy. – To skomplikowana operacja wymagająca pewnej finezji. Żonglowanie wieloma strumieniami wytoczonymi ze studni nie jest łatwe. Większość czarodziejów gubi się przy więcej niż pięciu. Bardzo niewielu radzi sobie z siedmioma, jeszcze mniej z ośmioma lub więcej. I im więcej strumieni kontrolujesz, tym każdy z nich jest słabszy, co oczywiście zależy także od siły twojej studni, ma się rozumieć. Magia zniewalająca wymaga od czarodzieja wyprowadzenia ze studni przynajmniej siedmiu strumieni, przy czym każdy musi w pełni kontrolować. – Przerwała wywód. – Mogę dostać trochę wody?

Caldan wydobył bukłak i wlał jej do ust kilka łyków.

– Dobry mały Protektorek.

– Kontynuuj.

– Dwa strumienie są dla ciebie: jeden utrzymuje podłączenie do studni, drugi do twojej świadomości.

Caldan kiwnął głową na znak, że pojmuje.

– Nie zdążyliśmy tego przerobić na zajęciach w gildii. Zbliżyliśmy się dopiero do tego etapu, przymierzając się do nauki generowania tarczy.

– Więc mamy te dwa – ciągnęła dalej Dzwonki. – Kolejny strumień służy do tego, żeby utrzymać pozostałe cztery, którymi wchodzisz do

umysłu swojego celu. Jak już wspomniałam, ten strumień trudno opisać. Potrzeba sporo praktyki w zniewalaniu, aby opanować tę technikę.

Nie spodobało mu się to, z jaką łatwością posłużyła się słowem „zniewalanie”. Zwrócił na nie uwagę już wcześniej, ale pozwolił jej kontynuować.

– Ten strumień osłania pozostałe, które splecione w jedną linię są w stanie wejść do umysłu celu, nie ulegając zniszczeniu. Dopiero kiedy te pozostałe zostają osłonięte, mogą wykonać przeznaczone im zadania, czyli stłumić wolę danej osoby, wpłynąć na jej wspomnienia, zaimplementować sugestie lub wręcz roztoczyć nad nią kontrolę.

– Powtórz mi jeszcze raz, co twoim zdaniem zrobiono Mirandzie.

– Nie żadnym „twoim zdaniem”, tylko co się rzeczywiście stało. Ja to wiem. A mianowicie miał miejsce odrzut. Klucz... – Głos uwiązał jej w gardle. Umilkła i spuściła wzrok.

Caldan wiedział, że przez dłuższą chwilę nic z niej nie wydobydzie. Już kilka razy milkła na wspomnienie swojego towarzysza. A więc czekając, rozmyślał o tym, co już mu powiedziała, starając się spojrzeć na świeżo pozyskaną wiedzę z różnych perspektyw, usiłując wydobyć z niej jakiś sens.

Mówiła mu o tym odrzucie, gdy rozmawiał z nią ostatnim razem. To zjawisko zachodziło, gdy magiczne połączenie z umysłem zniewalanej osoby zostało raptownie zerwane. Przecięte strumienie uderzały wówczas w umysł, do którego były podłączone, i powodowały obrażenia. Strumienie zachowywały się wówczas jak naprężona lina, którą ktoś przerywa jednym cięciem – zwijała się ona w losową stronę, uderzając w to, co się tam akurat znajdowało. Następnie mogła rozplątać się lub złączyć ze świadomością zniewalanej osoby w jakiejś formie symbiozy. Obrażenia mogły być permanentne lub tymczasowe, lecz regeneracja uszkodzonego umysłu mogła trwać całe lata. Dzwonki powiedziała, że uszkodzenie Mirandy było permanentne, ale mogła zrobić to tylko po to, żeby

Caldan chciał zatrzymać czarodziejkę przy sobie, zamiast oddać ją w ręce pierwszych napotkanych Protektorów.

Jednak z niedawnych rozmów z czarodziejką wynikało, że umysł Mirandy był nie tyle uszkodzony, co zmieszany. Jej myśli, zarówno świadome, jak i podświadome, splątały się jak kłębek wełny.

Caldan nie miał wielkiego wyboru, musiał ze wszystkich sił próbować je rozplątać, nawet jeśli szansa powodzenia była niewielka. Nie mógł znieść myśli, że Miranda miałaby pozostać w tym stanie do końca życia.

Gula narosła mu w gardle. Uświadomił sobie, że dziewczyna stała się dla niego bardzo ważna, o wiele ważniejsza, niż zdawała sobie sprawę.

Caldan postanowił zmienić temat, żeby wyrwać Dzwonki z żałobnego marazmu po utraconym towarzyszu.

– Powiedziałaś, że ten człowiek, który nas zaatakował, na pewno nie będzie jedynym. Dlaczego śledził nas w pojedynkę?

Dzwonki uniosła głowę i otarła oczy skutymi, drżącymi rękami. Poruszała się w łańcuchach i Caldan widział, że nadgarstki ma czerwone i obolałe. W kilku miejscach dostrzegł nawet zaschniętą krew. Nie podobało mu się to, co jej robili, ale było to konieczne, powtarzał sobie.

– Nie powinni byli wysyłać za mną Mahsonna – wypowiedziała wątlým głosem. – Powinni byli domyślić się, że skoro ja zostałam pojmana, to on sobie nie... – Jej słowa zawisły w powietrzu.

Nie poradzi, dokończył za nią Caldan w myślach. To oznaczało, że wysłali za Dzwonkami pierwszego lepszego żołnierza i że tak naprawdę nie zależało im na jej powrocie. Czy to był element jakiejś szerszej zakrojonej walki o władzę? Czy może coś jeszcze innego?

Dzwonki odbiegła wzrokiem i podjęła:

– Gdy już będzie po wszystkim, zapłacą za to. Był tylko posokowcem, ale...

– Posokowcem? – spytał Caldan, choć już się domyślał, wnioskując po stanie żołnierzy zabitych przez czarodzieja.

– Ciągłe o coś pytasz... Umówmy się: odpowiedź za odpowiedź. – Znowu uciekła wzrokiem, widocznie przygnębiona.

– Kto to jest posokowiec? – powtórzył.

– Czarodziej. – Westchnęła i potrząsnęła głową. – Rzadki. Obdarzony niezbyt potężnym talentem, za to nieczęsto spotykanym. Użyteczny tylko do zabijania. Czarodziej, który urodził się ze słabą studnią, wąską i dziką, potrafi czasem skupić moc w maleńkie strumyki. Ta umiejętność połączona z umiejętnością kontrolowania wielu takich strumyków czyni z czarodzieja posokowca. I chodzi o naprawdę dużą liczbę strumyków. Większą, niż jest w stanie opanować większość czarodziejów. Tak naprawdę prawie żaden. – Prychnęła krótkim ironicznym śmiechem. – Talent, za który każdy mag byłby gotowy zabić, uwięziony w czarodzieju o znikomej mocy. Los potrafi być okrutny. Posokowcy są zwykle zgorzkniali i zwyrodniali, Mahsonn taki właśnie był.

– To stąd to bzyczenie? Wiele drobnych strumyków?

– Mądry Protektorek.

W obraźliwych słowach Dzwonków nie było już jadu. Caldan uznał, że nie jest już taka zła jak wtedy, gdy ją pojmał. Żaloba po utracie Klucza wciąż była żywa, ale czarodziejka chyba zaczynała się z nią godzić. Lub może tylko udawała. Caldan zamknął oczy, zmęczony biegnącymi w kółko myślami.

Raptownie dźwignął się na nogi, szurając głową po płótnie.

Dzwonki posłała mu uśmiech, w którym była dzikość, ale i zrozumienie.

– Masz dryg do magii, Caldanie. Widzę to w tobie. Mogłabym nauczyć cię więcej...

– Tak, na pewno. Ale czego zażyczyłabyś sobie w zamian?

– Żebyś oczyścił swój umysł z uprzedzeń. Nie jesteśmy wrogiem, za którego nas masz.

Caldan obawiał się, że to prawda.



Przez dwa kolejne dni wokół drogi namnożyło się farm i gospodarstw, gospód i małych miasteczek, aż wreszcie wóz wjechał na przestwór ziemi pokryty polami i łąkami, domami i budynkami gospodarczymi, które nieomylnie świadczyły o tym, że zbliżali się do dużego miasta.

Zwiększył się również ruch na drodze, gdy z północy i południa zaczęły dopływać do niej mniejsze trakty i ścieżki, aż wreszcie nie było godziny, gdy nie widzieli kogoś przed i za sobą. Taka liczba podróżnych wzbiła ponad drogę nierozwiewający się tuman kurzu, który ciągle wchodził do nosa, i cały czas cuchnęło końmi oraz nawozem, który piekł się w słońcu na polach, aż łzy ciekły po policzkach.

Gdy Elpidia zakryła twarz chustką, Dzwonki również poprosiła o szmatkę, a chwilę później Caldan i Amerdan poszli w ich ślady. Miranda zdenerwowała się, gdy próbowali zawiązać jej nos i usta. Ciągle zsuwała chustkę, aż w końcu dali za wygraną i zostawili ją w spokoju.

Jej wzburzenie mocno odbiło się na Caldanie. Czuł się jeszcze bardziej bezradny niż zwykle.

Lekcje z Dzwonkami szły dobrze i notował pewne postępy, ale wciąż czuł, że do uleczenia Mirandy jeszcze daleka droga, a czas naglił. Gdy usiłował przyspieszyć, Dzwonki powiedziała mu, że każdy uczy się magii w swoim tempie.

Frustrowało go to do tego stopnia, że miał ochotę krzyczeć.

Rozpacz Caldana wzmagił Amerdan, który uparcie ignorował wszystkie pytania o swoją nadludzką szybkość i inne umiejętności. Sklepiarz miał swoje tajemnice – to było jasne jak słońce i rzucało cień na podjętą przez Caldana decyzję o dołączeniu do nich podczas ucieczki z Anasomy. Łatwość, z jaką Amerdan zaszlachtował czarodzieja, wypełniła Caldana obawą. Poprzysiął sobie, że złapie go na rozmowę w cztery oczy i wtedy przycisnie, ale sklepiarz trzymał go na dystans.

Caldan wypytał grupę rolników, których minęli na drodze, a Elpidia, która akurat powoziła, popędziła konie w nadziei, że może



uda się dotrzeć do miasta przed zmierzchem. Poczul ulgę, gdy mimo to postanowili zatrzymać się jeszcze na noc, zanim następnego dnia rano wjadą do miasta.

Ze szczytu wzgórza patrzyli na świecące w dole światła, tak wiele, że nie zdołaliby ich policzyć, i barwiącą ciemniejące niebo łunę. Gwiazdy były tu bledsze od tych, które świeciły nad nimi na pustkowiu. Wijąca się wstęga odbitego światła księżyca opływała ten rozmigotany przestwór – rzeka, na której brzegu wzniesiono miasto. Caldan szacował, że miasto było przynajmniej tak wielkie jak Anasoma, choć o wiele bardziej płaskie, gdyż wzniesione na równinie.

Obejrzał się na Dzwonki, która stała za Elpidią, a linę na jej szyi trzymał w rękach Amerdan.

Otrząsnął się ze swoich myśli i zwrócił twarzą do pozostałych.

– Jutro pójde do miasta – oznajmił. – Jest wiele spraw, o których muszą się dowiedzieć Protektorzy, a my nie możemy dłużej czekać. Kto wie co się wydarzyło w trakcie naszej podróży.

Elpidia wbiła wzrok w ziemię i potrząsnęła głową. Amerdan patrzył na Caldana obojętnym spojrzeniem. A potem zrobił krok naprzód.

– My zostaniemy tu z Mirandą i Dzwonkami. Zakładam, że nie będzie cię kilka dni?

– Możliwe. Znaczy... tak, pewnie tak. Nie uwierzą mi od razu, każą mi czekać, podczas gdy sami będą weryfikować moje rewelacje.

– Ale to może zająć całe dni, nawet tygodnie! – wykrzyknęła Elpidia. – Tak długo podróżowaliśmy. Nie mogę dłużej odkładać swoich eksperymentów. Po prostu nie mogę!

Caldan usiłował ją uspokoić uniesieniem dłoni.

– Masz moje słowo, że uwinę się szybko. Po prostu wyjdę. Wrócę najpóźniej pojutrze.

– A jeśli cię nie puszczą?

– Nie mają żadnego powodu, żeby mi nie wierzyć. A nawet jeśli spróbują mnie zatrzymać, często wymykałem się z klasztoru, żeby dorabiać na boku, i nikt nigdy mnie nie złapał. Najeżdżcom w gildii

też się wymknąłem. Jeśli przyjdzie co do czego, na pewno coś wymyślę.

Elpidia nie wydawała się przekonana. Twarz Amerdana wciąż była wyprana z emocji.

– Słuchajcie – zanuciła Dzwonki – a może przestaniemy zaglądać sobie w pępki i weźmiemy się za kolację? Nie wiem, jak wy, ale ja konam z głodu.

Amerdan szarpnięciem sznura rzucił czarodziejkę na kolana.

– Cisza – wysyczał.

Elpidia skrzywiła się na niego, a Caldan podszedł, by odebrać mu postronek.

– Ja się nią zajmę.

Amerdan czasem zachowywał się dziwnie, a Caldanowi nie podobało się to, jak potrafił odnieść się do Dzwonków. Potrzebował jej, i to skorej do współpracy.

Sklepikarz bez znaku sprzeciwu odstąpił mu sznur, wzruszeniem ramion sugerując, że zupełnie go nie obchodzi, kto pilnuje czarodziejki. Dzwonki zgromiła go pogardliwym wzrokiem, ale nic nie powiedziała.

– Dziś w nocy będziesz dalej mnie uczyć – powiedział Caldan do Dzwonków tak, by wszyscy słyszeli. Spojrzał jej w oczy. – Jeśli o jakichś sztuczkach postanowiłaś mi dotąd nie mówić, tym razem lepiej bądź ze mną szczerą. Bo jutro idę do miasta na spotkanie z Protektorami i jeszcze nie zdecydowałem, co z tobą zrobić. Jeśli pomyślę, że dotąd mnie zwodziłaś, to po prostu im cię oddam. Nie wątp, że to zrobię. Jeśli nie chcesz wpaść w ich ręce, to dzisiaj masz szansę mnie przekonać.

– Caldanie – wtrąciła się Elpidia – może powinieneś po prostu im ją oddać. Znaczący, chcę powiedzieć... – Zamachała rękami, pogubiona we własnych myślach. – Może Protektorzy będą umieli uleczyć Mirandę.

– Nie będą – warknęła Dzwonki.

– Nie możesz tego wiedzieć – nie ustępowała Elpidia. – Ile może być warte twoje słowo?

– Jeśli im mnie oddasz, nigdy mnie już nie zobaczysz. Zabiją mnie, a Miranda zostanie taka jak teraz. Chcesz karmić ją owsianką do końca życia? Wycierać ślinę, która spływa jej z ust? Sprzątać po niej i wokół niej?

Ręce Caldana mocniej zacisnęły się na linie. Zbielały mu kostki.

– To jedna z tych rzeczy, o które ich zapytam. Jeśli powiedzą, że mogą mi pomóc, oddam im Dzwonki. Ale jeśli mi dziś pomoże, dotrzymam obietnicy.

Gdy nikt nie zaproponował, Caldan powiedział:

– A więc postanowione. Jutro oboje zostanieie tu z Dzwonkami i Mirandą, gdy ja pójdę do miasta. Poza murami jest niebezpiecznie i nie mam zamiaru udawać, że jest inaczej. Niewykluczone, że ktoś jeszcze nas śledzi, lecz dopóki nie dowiemy się, jak wygląda sytuacja w mieście, tutaj będziecie bezpieczniejsi.

– Przyznaję to z trudem, ale pewnie masz rację. A poza tym nie wysłaliby pogoni osobno – powiedziała Elpidia. – Wysłaliby ich razem.

– Może tak, może nie. Posokowiec mógł być tylko jednym z wielu.  
– Caldan obrócił się plecami do feerii świateł na równinie i zaczął schodzić skarpą ku wozowi. – Rozbijamy obóz.



Caldanowi burczało w brzuchu. Zagryzł zęby, ignorując domagający się swoich praw żołądek. Umierał z głodu od kilku dni, ale ich mikre racje nie pozwalały najeść się do syta. Jutro Protektorzy zafundują mu posiłek z prawdziwego zdarzenia, będzie bezpieczny pod ich dachem i wśród przyjaciół. Przyjaciół, których być może będzie musiał okłamać.

Przez całun chmur przebiły się migotliwe gwiazdy, a po zachodniej stronie nieba chylił się ku linii horyzontu jasny księżyc. Stanęli daleko od drogi, gdzie powietrze było czystsze, choć wciąż czuło się w nim raczej pobliskie gospodarstwa niż zieloną dziczą.

Caldan zdjął ramię z barków Mirandy i odgarnął jej włosy z twarzy. W oczach dziewczyny odbijały się pomarańczowe płomyki ogniska. Nic nie wskazywało na to, że w ogóle poczuła jego dotyk. Pomyślał chwilę, a potem pocałował ją lekko w policzek. Brak odpowiedzi sprawił, że poczuł się niezręcznie.

Wstał, otrzepał brud ze spodni, wziął bukłak z wodą i przeszedł się po obozie. Elpidia siedziała z głową w swojej skórzanej torbie, dzwoniąc butelkami i mamrocząc pod nosem. Podniosła wzrok, gdy ją mijał, spojrzała na niego ponuro, a potem wróciła do swojego zajęcia. Dziwna kobieta, zmagająca się z okrutnym losem.

Amerdan siedział z dala od ogniska, ostrząc swoje noże. Zgrzyt osełki działał Caldanowi na nerwy, ale chciał przepyttać Amerdana, nim ten ruszy na swój wieczorny spacer. Nie miał pojęcia, co na nich robił, ale Caldan czuł się bezpieczniej, gdy sklepikarz opuszczał obóz.

– Musimy pogadać – rzucił, podchodząc bliżej.

Amerdan potrząsnął głową i wskazał Dzwonki i Elpidię.

– Lepiej nie tutaj, gdzie słyszą nas pozostali. A może najlepiej w ogóle.

– Co to znaczy: najlepiej w ogóle? Stale mnie unikasz!

– Uspokój się i ucisz.

Caldan uświadomił sobie, że zrobił kilka kroków w jego kierunku, podczas gdy Amerdan przestał ostrzyć noże i skierował teraz jeden wprost na niego. Uniósł więc ręce i cofnął się o krok.

Czy on naprawdę użyłby go na mnie? – Caldan zastanowił się nad tym. Obawiał się, że znał odpowiedź.

– Wybacz, po prostu... Muszę się dowiedzieć, czym my jesteśmy. To ważne.

– W swoim czasie.

– Kiedy muszę wiedzieć teraz.

– A czy mogę ci ufać? Kiedy nie udało ci się wydobyć z Dzwonków tego, co chciałeś, to ją pobiłeś. – Amerdan uniósł brwi. – Ledwie sam się kontrolujesz. A moje sekrety... nie są dla wszystkich. Słono

zapłaciłem za wiedzę, którą posiadam. Zresztą nie tylko ja. Myślisz, że podzielę się nią ot tak, bo mnie prosisz?

Rozzłoszczony Caldan ściągnął brwi.

– A więc jaka jest cena tej wiedzy? Uratowałem wszystkich wtedy w jaskiniach. Pokonałem żołnierzy na farmie. To mało?

– Tak, to mało – odpowiedział po prostu Amerdan.

Caldan o mało się nie zapienił. Lekko się mówiło Amerdanowi o zaufaniu, a co Caldan właściwie wiedział o tym człowieku? Może to on powinien zażądać od sklepikarza dowodów lojalności. Lecz nawet gdy uderzyła go ta myśl, dotarło do niego, że nie ma zamiaru poróżnić się z kimś, kto może mu pomóc – kto już im pomógł uciec z Anasomy. Ten człowiek pracował w handlu, a przynajmniej tak twierdził, Caldan postanowił więc porozmawiać z nim w języku, który zrozumie.

– Jakiej żądasz zapłaty?

– O, tak lepiej. Każdy czegoś chce. A czegoż ja mógłbym chcieć? – Słowa Amerdana zawisły w powietrzu, a on sam się zamyślił. Wstał i pochował noże do pochew, a osełkę włożył do kieszeni. – Idę się przejść. Może wrócimy do tego rano. Przekonaj mnie, że jesteś godzien zaufania, a ja powiem ci, czego chcę w zamian.

Z tymi słowy Amerdan odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemności. Frustracja Caldana była niemal namacalna. Boleśnie przekonywał się, na jak niewiele spraw ma realny wpływ. Zaczepił wzrokiem Elpidię, toczoną nie tylko przez śmiertelną chorobę, ale i chorobliwe pragnienie jego krwi. Mirandę z jej wygaszonym umysłem. I Dzwonki...

Przysunął się do niej. Obserwowała go spod półprzymkniętych powiek. Caldan uśmiechnął się. Kucnął przy czarodziejce i dobył noża. Wokół nich śpiewały świerszcze.

Dzwonki wbiła spojrzenie w nóż, który uniósł się w jego ręce. W rozrzedzonym świetle był ledwie widoczny, niemal nieistniejący, przezroczysty. Czarodziejka wpijała się wzrokiem w Caldana, napierając plecami na drzewo.

Wsunął ostrze między jej dłonie i zaczął piłować.

Pisnęła, gdy gruby sznur podrażnił jej otarte nadgarstki, a potem westchnęła z ukojeniem, gdy jej więzy opadły na ziemię. Nogi wciąż miała związane, tak jak każdej nocy, więc Caldan nie obawiał się, że ucieknie.

Odłożył nóż i uniósł bukłak z wodą.

– Wystaw ręce – polecił.

Dzwonki zwlekała chwilę, ale usłuchała. Palce wciąż miała związane paskami materiału. Polał wodą jej obolałe nadgarstki. Syknęła z bólu, ale zaraz umilkła, zdjeta ulgą. Najdelikatniej jak potrafił osuszył jej ręce.

– Potem poproszę Elpidię, żeby nasmarowała otarcia jakąś maścią. Na pewno ma coś w swojej torbie.

Dzwonki obróciła dłonie, zacisnęła pięści i rozwarła je. Milczała.

Caldan siedział przed nią ze skrzyżowanymi nogami. Położył bukłak z boku i przeczesał palcami włosy. Zapatrzył się w ciemność.

– O tej porze jutro będziesz albo w łańcuchach u Protektorów, albo tutaj z Amerdanem i Elpidią.

Dzwonki oblizwała usta, strzelając dookoła wzrokiem.

– Ona pije twoją krew. Ukradkiem, małymi łyčzkami – powiedziała i zacisnęła usta w uśmiechu. Z ciekawością przyglądała się jego reakcji.

– Nie, nie zrobiłaby czegoś takiego. Przecież ona... – urwał. Żołądek ścisnął mu się na tę myśl, ale nie mógł powiedzieć, że nie wierzy czarodziejce. Schorowana kobieta nie miała możliwości przeprowadzenia swoich eksperymentów, a na pewno była gotowa spróbować wszystkiego, jeśli upatrywała w tym nadzieję na wyleczenie.

– Obserwuję ją. Wpatruje się w buteleczkę, zastanawiając się, czy to rzeczywiście ją uratuje. A potem... chciwie wysysa ją z fiolki, jak głodne niemowlę przystawione do piersi. – Zachichotała, a potem nagle spoważniała. – To to samo, co podobno robi wasz cesarz tym, którzy są obdarzeni talentem.

Caldan skrzywił się z niesmakiem. Nie wiedział, po co Dzwonki miesza w to cesarza, ale jeśli Elpidia pije jego krew, to znaczy, że jest

coraz bardziej zdesperowana. Zepchnął tę myśl na tył głowy i zebrał się w sobie.

– Jeśli do rana nie nauczysz mnie czegoś konkretnego – powiedział zdecydowanym tonem – oddam cię Protektorom. Zaryzykuję, że zdołają pomóc Mirandzie.

Dzwonki milczała, taksując go chłodnym spojrzeniem. Jedynie połysk spoconego czoła zdradzał jej zdenerwowanie.

– Nie będę już wiązał ci ręk i zostawię cię na chwilę, żebyś to przemyślała.

– Zostaw mi też wodę – poprosiła.

Caldan posunął bukłak po trawie, a potem wstał. Obrócił się i poszedł do Mirandy.



– Proszę, proszę – rozległ się gdzieś nad Dzwonkami cichy głos przeznaczony tylko dla jej uszu. Ktoś poruszył się w liściach. Amerdan. – Trochę mu to zajęło. To się nazywa odłożyć coś na ostatnią chwilę.

Dzwonki milczała. Sięgnęła i przyciągnęła do siebie bukłak. Moment, w którym była pochylona do ziemi w cieniu, wykorzystała, żeby odpowiedzieć mu, ledwie poruszając ustami:

– Nie jest otrzaskany w tej grze.

Wiatr zaszeleścił koroną drzewa, a potem Amerdan podjął:

– Jeszcze nie. Ale otrzaska się. Szybciej, niż myślisz.

Dzwonki odwarknęła coś w odpowiedzi.

– Nie zapominaj o naszej umowie – przypomniał jej. – On jest mój. Nie dotykaj go nawet. Jeśli chcesz, możesz dostać kobietę, Elpidię. Jest dla mnie bezwartościowa.

Dzwonki lekko pokręciła głową.

– A, ty też jej nie chcesz. No tak, właściwie po co ci ona? To kula u nogi, nic więcej. Nic ani nikt. – Amerdan urwał, a potem zsunął się konar niżej, bliżej czarodziejki.

Nawet gdy znalazł się tak blisko, Dzwonki panowała nad potrzebą poderwania wzroku, a on nie wydawał najmniejszego dźwięku. Zaciśnęła drżące dłonie. Skrzyżowała je na piersi, by nie zdradzić się ze słabością.

Ledwie słyszalny szelest powiedział jej, że Amerdan kucnął teraz gdzieś blisko niej, za drzewem, skryty przed oczami ludzi w obozie. Słyszała jego oddech. Bliskość sklepikarza sprawiała, że dreszcz biegł jej po kręgosłupie. Włoski na przedramionach stanęły dęba.

– Nauczysz go czegoś? – spytał z zaciekawieniem.

– Może – odszepnęła. – Nie wiem.

– Daj spokój, na pewno wiesz chociaż, od czego mogłabyś zacząć.

– Tak, chyba wiem.

– Żeby zdobyć jego zaufanie? Rozumiem. Jeśli odda cię Protektorom, źle się to skończy dla nas obojga. – Sięgnął zza pnia i pogłaskał lok jej włosów. Zamarła. – Na twoim miejscu pokazałbym mu coś konkretnego. Nie potrzebujemy, żeby wmieszali się w to Protektorzy.

Dzwonki wolno pokiwała głową.

– Rozumiem. Mogłabym łatwo ułożyć się z Protektorami, gdybym miała swoje rzemyśliwa, ale to ściągnęłoby na mnie ich uwagę, a tego nie chcę.

Ręka Amerdana poklepała ją po ramieniu, a potem wróciła w cień.

– Dobrze. Cieszę się, że się rozumiemy. Nie ma sensu komplikować.

Raczej poczuła, niż usłyszała, jak odchodzi od drzewa.

– Pozostawię cię twoim myślom. Do jutrzejszego ranka.

Dzwonki czekała, nasłuchując, czy Amerdan już sobie poszedł. Nie dosłyszała nic poza odgłosami nocy, świerszczami i trzaskami ogniska.

Odetchnęła głęboko, chcąc uspokoić skołatane serce. Amerdan był skomplikowanym człowiekiem i zademonstrował już wiele swoich talentów. Intrygował ją. I gdyby miała być ze sobą szczerą,



powiedziałyby, że choć się go bała, był wcale przystojnym mężczyzną.



– O rety – powiedział Caldan zmęczonym głosem, zmordowany nie na żarty wysiłkiem ostatnich kilku godzin. Ścisnął dłońmi kark, wbijając palce w popspinane boleśnie mięśnie. – Zaraz mi głowa wybuchnie.

W złączonych dłoniach trzymał trzy srebrne dzwoneczki. Znowu siedział przed Dzwonkami, która uczyła go technik rozdzielania strumieni ze studni.

– Potężniejesz – pochwaliła go.

Caldan skrzywił się.

– Nie chcę być potężny. Chcę uleczyć Mirandę.

– Nie zrobisz tego, jeśli będziesz słaby. Masz potencjał, ale potrzeba ci prawdziwego szkolenia. To zaawansowana magia. Jak już mówiłam wielokrotnie, zanim nauczysz się biegać, musisz opanować chodzenie.

Caldan westchnął i zacisnął ręce na rzemyslniczych dzwoneczkach.

– To nie stanie się dzisiaj, prawda?

– Oczywiście, że nie! – wykrzyknęła czarodziejka. Wydęła usta i przechyliła się do niego. – Opanowałeś pięć osobnych strumieni. Niewielu pełnoprawnych magów to potrafi.

– Ale tylko na moment – zaproponował Caldan.

– Teraz na moment, jutro na kilka, a potem na dłużej. Tak to działa. Zdolności to jedno, reszta to ciężka praca. Z czasem robisz się coraz lepszy. Pewnego dnia, i to już niedługo, będziesz to robił odruchowo.

– Ale nie dzisiaj.

– Jasne, że nie dzisiaj. Nikt nie zdołałby opanować tego w jeden wieczór.

– Nie jestem pewien, czy ja w ogóle chcę to opanować.

Dzwonki prychnęła śmiechem.

– Jeśli zamierzasz uzdrowić Mirandę, to chcesz. Inaczej się nie da.

– Wiem. Po prostu... – Pokręcił głową. – Wolałbym nie musieć w ogóle kroczyć tą ścieżką.

– Nie martw się, co o tym pomyślą twoi kochani Protektorzy. W ogóle nie musisz im o tym mówić.

– Oczywiście, że muszę.

– Nie, oczywiście, że nie musisz. To nie są twoi przyjaciele. To ludzie, którzy bronią innym dostępu do wiedzy.

– I nie bez powodu, bo to niebezpieczna wiedza.

– Czy ty naprawdę myślisz, że oni sami nie używają magii destruktywnej i zniewalającej?

– Myślę... Znaczą widziałem, jak używają destruktywnej, ale w dobrej sprawie.

– W takiej, którą oni uznają za dobrą. A kto ocenia, co jest dobre, a co złe? A jeśli używają magii destruktywnej, mówiąc ci, że jest zła, to skąd pewność, że nie używają też zniewalającej?

Caldan zorientował się, że bezwiednie potwierdza jej słowa kiwaniem głowy, i natychmiast przestał.

– Bo nie zrobiliby tego. Na pewno nie... – Umilkł, powiedziawszy to zupełnie bez przekonania.

– Tylko głupiec odrzuca narzędzie, które może mu się przydać. Sam mówisz, że gra idzie o wysoką stawkę. Masz ich za głupców?

– Nie. Bynajmniej. Ale mam ich za bardziej godnych zaufania od ciebie.

– Ledwo mnie znasz.

– Wiem o tobie dosyć – sparował Caldán.

– Wiesz więc, że to nie moja wina, że Miranda jest w tym stanie. To był wypadek, kiedy... – Dzwonki przełknęła kulę w gardle. – Po prostu wypadek. I sam widzisz, że w tym czasie, który mamy, robię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

– Być może. Sam już nie wiem.

– To pozwól, że rozwieję twoje wątpliwości. – Dzwonki poprawiła się na miejscu i spojrzała mu głęboko w oczy. – Jest coś, czego mogę nauczyć cię dzisiaj. Drobnny czar. I to na pewno pomoże ci podjąć jutro właściwą decyzję.

– No to pokaż – rzucił Caldan tonem wyzwania.

– Do tego potrzebny mi jeden z moich dzwoneków.

Caldan uniósł brwi.

– A właściwie tobie – poprawiła się. – Nawet bym nie pomyślała, że pozwolisz mi któregoś dotknąć.

Dzwonki opisała dokładnie, którego rzemyśliwa jej potrzeba, a Caldan szybko przyniósł właściwe. Istne rzemyślnicze cacko z wprawionymi po wewnętrznej stronie dzwoneczka półszlachetnymi kamieniami, prążkowanym pomarańczowym jaspisem, jeśli się nie mylił, oraz pokryte obcymi mu runami.

– Ale czemu wewnątrz dzwoneczków? – zdziwił się.

Czarodziejka błysnęła uśmiechem.

– To nie ma nic wspólnego z działaniem samego rzemyślenia, chodziło raczej o to, żeby ukryć je przed okiem patrzącego. Wszystkie te kamienie przydają się w podstawowej magii zniewalającej. – Spoważniała na twarzy i powiedziała spokojnym tonem: – Dotknij dzwoneczka myślami. Co wyczuwasz?

Sięgnął do studni, ale nie po to, aby ją otworzyć, tylko po to, aby się z nią połączyć. Sięgnął zmysłami do przedmiotu na swojej dłoni, powoli, delikatnie.

Dzwoneczek zawibrował w zetknięciu z nimi i do nozdrzy Caldana dotarł ledwie wyczuwalny zapach cytryny.

Powęszył w powietrzu. Siedząca przed nim Dzwonki zeszywniała na moment, a potem się rozluźniła. Zamrugowała.

– Czujesz coś?

– Nie. – Nie miał zamiaru zdradzić jej więcej, niż było to absolutnie konieczne.

– Powiedz mi, co wyczuwasz! – zażądała zmienionym głosem. – Co wyłapałeś, Caldanie?

– Nic.

– A więc się nie starasz. Otwórz się na rzemyśliwo w twojej ręce. No dalej, ono cię nie skrzywdzi.

Jasne, bo powiedziałaabyś mi, gdyby mogło, pomyślał z przekąsem. Mimo wątpliwości otworzył studnię i podłączył się do kotwicy Dzwonków.

A noc wokół niego wyblakła. Siedzieli daleko od ognia, więc głosy dochodzące z obozu były przytłumione, lecz teraz Caldanowi wydawało się, że ktoś narzucił na świat wokoło jakiś woal, tłumiący wszelkie objawy życia.

Wszystkie poza Mirandą.

Jej głowa była mieszaniną kolorów, barwnych plam ścierających się ze sobą na jego oczach, niczym stos wijących się, opalizujących węży lub splątany kłębek wełny, którego nie sposób rozplątać. Rozedrgane, ruchliwe kolory przyprawiały go o mdłości.

Syknął, jakby coś go zabolalo, i zatrzasnął studnię. Był zlany potem. Otarł brwi i wyrzucił z siebie długie, powolne westchnienie.

– Już rozumiem.

Dzwonki pokiwała głową.

– Gdyby była pod wpływem magii zniewalającej, kolory nie byłyby chaotyczne, miałyby klarowną formę i strukturę. Gdy zabierzesz się do rozplątywania tego bałaganu, jeden fałszywy ruch może skończyć się tragedią.

Caldan zaklął pod nosem.

– Więc to z tym przyjdzie mi się mierzyć? Mam uporządkować ten chaos?

Na ustach Dzwonków zagrał niewyraźny uśmiech.

– Tak, nie niszcząc jednocześnie jej umysłu.

Caldan ścisnął w dłoni rzemyśliwa, a potem wstał i bez słowa odszedł.



**F**elice patrzyła, jak ostatni członkowie jej ruchu oporu znikali jeden po drugim w małym domku dwie ulice od murów Anasomy, który wciąż płonął jasnoniebieskim płomieniem. Przy tak potężnej barierze Indryallanie nie zawracali sobie głowy patrolowaniem murów. Jedynie kilku żołnierzy pilnowało machin oblężniczych.

Zastanawiała się, jak to możliwe, że taki niepozorny budynek pomieścił kilkudziesięciu jej ludzi. Stojący u jej boku Avigdor wgramolił się i usiadł na beczce, do której zbierano deszczówkę. Osobliwy widok, zważywszy na jego tuszę. Zapisał coś na rozłożonej na kolanie kartce.

– To już wszyscy – oświadczył.

Kiwnęła głową. Trzy godziny wcześniej wybiła dwunasta, a większość nocy poświęcili na organizację oddziałów. Zadbali też,

by wszyscy obsadzili swoje pozycje. Natrudzili się, żeby nie natknąć się na któryś z indryallańskich patroli, ale dzięki temu, że podzieliła ludzi na małe grupki wspierane rozstawionymi strategicznie czatownikami, udało się przeprowadzić całą operację bez potknięć.

Ostatnie dni były wypełnione intensywnym główkowaniem, ożywionymi dyskusjami z Avigdorem, żmudnym dochodzeniem do porozumienia oraz sformułowaniem planu. Początkowo żadnemu z nich nie spodobał się ten pomysł, lecz spotkanie z Rebecci otworzyło im oczy na kwestie Anasomy i obecnych w jej murach Indryallan, ale też wskazało im to, co powinno być nadrzędnym celem wszystkich ich działań.

Felice zamieni z czarodziejką kilka specjalnie dobranych słów, gdy tylko się zobaczą, jednak nie mogła zaprzeczyć, że Rebecci miała całkowitą rację. Od początku inwazji w przystani w Anasomie regularnie cumowały załadowane po zręby indryallańskie okręty. Gdy tylko rozładowano je z zapasów i żołnierzy, natychmiast opuszczały port, a ulice Anasomy czopowały się na kilka godzin przez nagromadzenie wozów.

Jej ludzie nie mogli liczyć na zwycięstwo w bezpośredniej konfrontacji, do której doszłoby w zabarykadowanym mieście. Ta konkluzja boleśnie rzucała się teraz w oczy, ale debata nad nią pochłonęła wiele godzin. Małe grupy awanturników również okazałyby się nieskuteczne, gdyż zasoby ruchu oporu były już na wyczerpaniu.

Tak więc jedynym sensownym wyjściem pozostało połączenie sił, nawet jeśli tajemniczość Rebecci budziła wątpliwości, a Felice nie podobało się, że w drodze do umówionego punktu jej ludzie będą osamotnieni i wystawieni na atak. Wiedziała jednak, że nade wszystko dalej chce stawiać opór najeźdźcy i że przynajmniej na dziś sprzymierzenie się z Rebecci pomoże jej dotkliwiej dać się we znaki Indryallanom.

Ale Rebecci nie wiedziała, że Felice zmodyfikowała oryginalny plan. I ten nowy element mógł sprawić, że wszystkie te machinacje okażą się niepotrzebne.

– Idziemy? – Głos Avigdora sprowadził ją na ziemię.

– Tak. Lepiej już idźmy.

Wspólnie ruszyli aleją, trzymając się ściany, żeby nie rzucać się w oczy i nie brodzić w ohydnej brei zalegającej w bocznych uliczkach. Nie sposób całkowicie uodpornić się na ten smród.

– Wóz powinien już czekać – rzekł Avigdor.

– Lepiej, żeby czekał. Nie mamy za wiele czasu.

Avigdor wyjął zegarek kieszonkowy w mosiężnej kopercie i zmarszczył się, usiłując dostrzec ułożenie wskazówek w mętnym świetle zaułka.

– Mamy jednak nieco czasu – orzekł. – Zdążymy nawet zjeść coś ciepłego i odpocząć chwilę przed zajęciem pozycji.

– Brzmi świetnie – odpowiedziała pustym głosem, bo od inwazji w ogóle nie miała apetytu. Zdawała sobie jednak sprawę, że Avigdor niczego tak nie potrzebuje jak sutego posiłku.



Godzinę później zjawili się przy pewnym magazynie w południowej części doków. Avigdor, człowiek rozlicznych i zaskakujących talentów, otworzył zamek bocznych drzwi wytrychem i wpuścili się do środka. Asystowali im dwaj przysadziści mężczyźni, którzy sami zgłosili się do tej misji. Bliźniacy Nilas i Nolar. Dwaj inni ochotnicy mieli oko na miejsce, gdzie dowódczyni z przybocznym powinni zjawić się rano, a dwaj kolejni czatowali przy trasie ucieczki, żeby upewnić się, że żaden patrol nie przypałęta się nie w porę.

Omyła ich fala alchemicznych woni, kwasowych i gorzkich, wyciskających łzy z oczu. Nic dziwnego, że w ciągu dnia tak dobrze wentylowali te składy. Felice i jej grupa poruszali się szybko i cicho, mijając część magazynową budynku i kierując się ku biurom. Beczki, skrzynie i worki leżały w rzędach, wypełniając okazałą halę, niektóre dwukrotnie większe od Felice.

Avigdor kaszlnął w przyłożoną do ust chustkę i wyjął z kieszeni kolejny kawałek papieru. Było zbyt ciemno, podszedł więc do okna.

– Rząd szósty, worek piętnasty.

Nilas i Nolar bez słowa poszli po przedmiot, który znajdował się w samym rogu pomieszczenia, oddzielony od reszty prowizorycznym ogrodzeniem z pustych skrzyń. Za nim znajdowało się kwadratowe pudło o boku długości jarda.

– Potrzeba nam dziesięciu – powiedział Avigdor, a bliźniacy wykonali polecenie, sięgając po inne skrzynie.

– Po jednej naraz – wysyczała Felice – i nie upuśćcie żadnej, jeśli cenicie swoje życie.

Ich alchemiczna zawartość była niestabilna i choć transport nie powinien nastręczyć problemów, to przy upuszczeniu...

Bliźniacy wzruszyli ramionami i dźwignęli wspólnie kufer, mocno trzymając za metalowe uchwyty z boków. Wkrótce na wozie wylądował ostatni, a cały ładunek przykryto płótnem.

Jak dotąd wszystko szło jak z płatka, ale najważniejszy etap planu dopiero nadchodził. Transport skradzionych dóbr ulicami miasta w środku nocy był proszeniem się o kłopoty. Nie mogli ryzykować, że ktoś ich złapie. Felice wyraźnie poleciła swoim ludziom uciekać przy pierwszej oznace wpadki. Każda z trzech drużyn знаła tylko część planu, więc nawet gdyby zostały pochwycone, nie mogłyby zdradzić wrogowi całego zamysłu Felice.

Ich konie potrzebowały ciągłego i cichego poganiania. W końcu zatrzymali się za kolejnym domem, opuszczonym, ale jeśli wierzyć tabliczce na drzwiach, gotowym do wynajęcia. Zatrzymają się w nim tylko na jedną noc, nie przysporzą więc kłopotów właścicielowi. Dom odpowiadał ich potrzebom. Osiem osób mogło wygodnie w nim odpocząć. Pojutrze mieli już zamiar być daleko od miasta.

Kryjówka znajdowała się kilkaset jardów od ostatniego kamiennego pomostu, wybiegającego w morze. Zaprojektowano go, by cumowały przy nim cesarskie okręty, ale teraz był zastawiony indryallańskimi jednostkami – tymi największymi i najlepszymi.



Felice i Avigdor przeszli furtką na tyłach i przecięli brukowane podwórze, a następnie pomogli podwładnym rozładować wóz. Schowawszy skrzynki w melinie, skryli się w środku i zabarykadowali wszystkie drzwi i okna.

Felice osobiście nadzorowała rozdzielanie obfitych racji żywnościowych. Błyskawicznie uporali się z posiłkiem. Rozmowy toczono szeptem, ale nawet w przyciszonych głosach dało się słyszeć ekscytację. Jej ludzie wiedzieli, że dowódczyni planuje coś wielkiego.

Chrapanie Avigdora sprawiło, że jej usta same rozciągnęły się w uśmiechu. Rozłożył się na kanapie po posiłku i zaraz zapadł w sen. Felice tymczasem po raz setny analizowała swój plan, rozkładając go na części pierwsze i doszukując się skaz. Lecz skaz nie było, a sam plan nie wydawał się taki znowu skomplikowany. Tylko nie dać się złapać, myślała. Nade wszystko nie dać się złapać.

Indryallański Bóg-Imperator kierował się do Anasomy, przez co najeźdźcy robili pod siebie ze strachu i jeden przez drugiego kończyli przygotowania do wizyty. Zasięgnawszy języka tak dalece, jak tylko się dało, Felice dowiedziała się, że porę przybycia władcy szacowało się na dzień jutrzejszy, niedługo po wschodzie słońca.

Łyknęła z prawie już pustej butelki. Jej ludzie zostawili trochę dla niej, gdy dała im flaszkę do podziału. Nilas kończył zmywać po posiłku. Rozglądał się, najwyraźniej zadowolony z wykonanego zadania. Spozstrzegł, że na niego patrzy. Skłonił się uprzejmie i posłał Felice przelotny uśmiech.

Dobrzy ludzie, wszyscy co do jednego.

Mury Anasomy były potężne i rozległe, obsypane wieżyczkami i basztami oraz obstawione machinami obronnymi. Panowało powszechne przekonanie, że przystań, która w czasie pokoju czyniła stolicę ważnym ośrodkiem handlowym, była jednocześnie jej najsłabszym odcinkiem obronnym.

Wieki temu cesarz w swej niezmierzonej mądrości rozkazał wyznaczonym władcykom miejskim wznieść nieopodal doków oraz na wiszących ponad zatoką klifach liczne platformy obserwacyjne. Zbudowano je na solidnej kamiennej podstawie i były dość wielkie,

by pomieścić broń artyleryjską – od balist po trebusze – a wszystkie umiejscowiono tak, by broniły stolicy w razie napaści od strony morza. Kolejni władarze utrzymywali platformy w należyтым porządku i modernizowali maszyny w oparciu o najnowsze zdobycze wojskowej technologii. Bogata Anasoma nie szczędziła dukatów, by godnie reprezentować Cesarstwo Mahruzańskie, którego była stolicą.

Jednakże w czasie niedawnej inwazji maszyny zachowały podejrzaną ciszę, a ich załóg albo nie znaleziono na posterunkach, albo znaleziono pogrążone w stuporze, podczas gdy na ulicach poniżej rozgrywała się rzeź.

Felice skierowała wzrok na wschód, gdzie słońce wyglądało właśnie ponad linię horyzontu, rażąc ją w oczy. Nie widziała żadnych okrętów, ale to mogło zmienić się w każdym momencie. Musieli mieć się na baczności.

Z miejsca na tyłach wozu machnęła na swoich ludzi. Na ten znak czterech dobyło długich noży, a jeden otworzył kluczem bramę prowadzącą do otoczonego murami obszaru. Znalazłszy się za bramą, popędzili po kamiennych stopniach tam, gdzie prężył się na murze wielki trebusz. Dwaj kolejni podwładni zanieśli tam wiadra.

Dwóch indryallańskich żołnierzy pilnujących maszyny szybko i po cichu wyeliminowano. Oba ciała zrzucano z platformy do obwarowanego dziedzińca otaczającego budowlę.

Następnie mężczyźni szybko wysypali z wiader trociny, by zamaskować kałuże krwi. Ostatnie, czego teraz potrzebowali, to żeby się któryś pośliznął. Felice lubiła być gotowa na każdą ewentualność.

Wkrótce potem Felice, Avigdor i jej ludzie siedzieli na szczycie platformy otoczeni dziesięcioma skrzyniami, które ukradli minionej nocy. Wóz wprowadzili do środka i zamknęli bramę, wiedząc, że porzucony pojazd wraz z końmi na pewno wzbudzi podejrzenia.

Otworzyła jedną ze skrzyń. Wewnątrz znalazła dwie szklane kule, każdą rozmiarów ludzkiej głowy, spakowane razem ciasną siatką. Obie zawierały alchemiczną miksturę w formie płynnej, jedna bezbarwną, druga jaskrawozieloną.

Wyszczерzyła się, usłyszawszy syk, który dobył się spomiędzy zaciśniętych zębów Nilasa.

– Ostrożnie – przestrzegła go. – Musimy otworzyć i przygotować do załadunku wszystkie skrzynie. Avigdorze?

– Tak?

– Czy mógłbyś poinstruować ludzi, gdzie skierować trebusz?

– Oczywiście. – Rozejrzał się po platformie. W okalającym murku dostrzegł wiele kresek, oznaczeń i symboli. Odpowiadały one znakom na jednej z belek maszyny.

– Kierunek i zasięg – mruknął Nilas.

– W rzeczy samej – odpowiedział Avigdor. Klepnął jeden z rysunków na murku i wskazał taki sam na maszynie. – Widzicie te dwa znaczniki? Ustawcie trebusz tak, żeby były zgodne ze sobą. A potem zastanowimy się, czym pokręcić, żeby ustawić pożądany zasięg.

Nolar wskazał usypaną z boku stertę kamieni.

– Mamy załadować?

Felice uśmiechnęła się.

– Czemu nie?

Wkrótce maszyna została ustawiona w odpowiedniej pozycji i załadowana. Gdy Felice patrzyła na nią z dołu, miała wrażenie, że sam trebusz nie może się doczekać ataku. Avigdor stał przed nim z mosięzną lunetą, szerokim łukiem obserwując przystań. Grunt opadał stromo ku doku, a w dole pod nimi rozciągało się miasto.

Za Felice majaczyła potężna przeciwwaga trebusza.

– A teraz sobie zaczekamy – powiedziała.

Słońce powoli, lecz niestrudzenie wspinało się na niebo.

– Okręt! – zawołał Avigdor.

Felice zerwała się na nogi.

– Zająć pozycje – rzuciła spokojnym tonem. Uniosła rękę, by osłonić oczy od słońca, i spojrzała tam, gdzie wskazywał palec Avigdora.

Nie jeden okręt. Przynajmniej dziesięć. Zakłęła. Skąd mają wiedzieć, w który celować? Podzielający jej frustrację Avigdor

usiłował jakoś ją pocieszyć.

– Ustawiliśmy trebusz tak, żeby trafić okręt cumujący najbliżej miasta. Większość dowódców to właśnie miejsce by wybrała, żeby mieć bliżej.

– Miejmy nadzieję, że ten dowódca należy do większości.

Felice czekała niecierpliwie, gdy tymczasem pierwsze okręty zbliżały się do brzegu, stając się coraz bardziej widocznymi. Ich charakterystyczny kształt i rozmiar zdradzały indryallańskie pochodzenie, ale niczym nie różniły się między sobą. Mogli tylko mieć nadzieję, że Bóg-Imperator będzie na tym, w który trafią.

W najgorszym wypadku będą po prostu mieli z głowy jeden okręt. W kieszeni trebusza spoczywał jeden kamień i cztery szklane kule. Zdążą oddać tylko kilka strzałów, zanim zostaną odkryci i zjawią się po nich żołnierze.

Jeden z jej ludzi, mężczyzna imieniem Monrad, podszedł do maszyny.

– Przygotuj się – poleciła mu Felice. – Poczekaj, aż okręt stanie w doku.

Monrad kiwnął głową. Cała ósemka ciągnęła losy, aby ustalić, kto odda poszczególne strzały. Chociaż tyle mogła dla nich zrobić, choć dzisiaj rano zaczęli z nudów grać w kości na pieniądze, a wkrótce potem stawiali swoje kolejki przy trebuszu. Przerwała grę, zanim ktokolwiek przegrał swoją słomkę. Chciała, żeby w miarę możliwości każdy oddał strzał, nie mieli bowiem okazji przekonać się, kto sprawi się najlepiej.

Patrzyli na wpływające do portu statki, które wlokły się niemilosiernie. Gdy jednostki były już blisko doków, część z nich oddzieliła się i ruszyła ku pomniejszym, drewnianym nabrzeżom – łącznie siedem. Felice odetchnęła z ulgą. Na tych siedmiu okrętach raczej nie będzie osoby, którą chciała ustrzelić, co oznacza, że teraz jej szanse wynoszą jeden do trzech – bo właśnie trzy jednostki podpływały do ekskluzywnego kamiennego doku. Avigdor wyszczerzył się i zatańczył z radości ku uciesze podwładnych.

Potężne okręty jeden po drugim wsuwały się w puste miejsca przy pomoście. Felice powoli traciła cierpliwość, ale wiedziała, że nie wolno im się pospieszyć. Wiedziała, że cumowanie i zejście na ląd musi trochę potrwać. Avigdor obserwował okręty przez lunetę, tym razem bacznie i bez pośpiechu. Po chwili pokręcił głową.

– Nie widzę na pokładzie nikogo ważnego. Najprawdopodobniej wszyscy wciąż są pod pokładem.

Felice warknęła pod nosem. Szansa była niewielka, a jednak liczyła na to, że któryś ze znamienitszych dowódców zapragnie przyjrzeć się miastu przed cumowaniem. Trudno, pomyślała, wzruszając ramionami, i zwróciła się ku swoim ludziom.

Oczekiwali na jej rozkazy przy korbie do podnoszenia przeciwwagi, podczas gdy szczęśliwy zwycięzca ich małej loterii stał przy mechanizmie zwalniającym z wielkim drewnianym młotem w garści.

Felice wspięła się na kamienny murek otaczający platformę. Zachwiała się, ogarnięta zawrotami głowy, gdy nieopatrznie spojrzała na ulice poniżej. Zwróciła się ku przystani, czując na twarzy przyjemny powiew zimnego, czystego wiatru.

– Za cesarza! – wzniosła okrzyk.

– Niechaj żyje wiecznie! – odkrzyknęli jej ludzie.

Stojący przy trebuszu Monrad wstrzymał oddech.

– Niespodzianka – rzekł ze spokojem, zwalniając mechanizm uderzeniem młota.

Zaskrzypiało drewno i zadzwoniła stal. Przeciwwaga opadła, a długie drewniane ramię świsnęło w powietrzu i wyrzuciło ładunek. Wszyscy stanęli jak wryci z twarzami zwróconymi ku słońcu. Głaz oraz szklane kule pofrunęły po łuku ponad miastem. Dotarwszy do zenitu, zaczęły opadać ku przystani, nabierając prędkości. Na kamiennym nabrzeżu już gromadzili się ludzie, schodzący trapem z pokładu i formujący porządne szeregi, zupełnie nieświadomi zagrożenia.

Avigdor zaśmiał się z lubością. Ludzie wokół trebusza wznieśli wiwat.

– Kręcić tą korbą! – krzyknęła Felice. – Nie mamy czasu na świętowanie.

Mężczyźni rzucili się wykonać rozkaz; sześciu napało na korbę unoszącą przeciwwagę, a dwaj kolejni z mazołem ładowali do kieszeni następny głaz. Felice ponownie osłoniła oczy przed bezlitosnym słońcem i zmrużyła je, wpatrując się w cel.

Kamień przefrunął nad nabrzeżem i okrętami, po czym wpadł do zatoki, wzbijając pióropusz wody ładny kawałek od celu.

– Niech to szlag – syknęła. – Avigdorze...

– Wiem, wiem – odpowiedział przyboczny, już wydając rozkazy. Tym razem ustawili przeciwwagę niżej.

Felice wiedziała, że będą potrzebowali kilku strzałów na próbę, ale ze względu na czytelne oznaczenia liczyła też na większą precyzję. Wiedziała jednak, że nic teraz na to nie poradzi, zresztą plan uwzględniał taką ewentualność. W dokach nie podniósł się jeszcze alarm. Większość nie zdawała sobie sprawy, co spowodowało erupcję w wodzie. A jeśli bardziej doświadczeni wojacy odgadli jej przyczynę, to nie dostrzegłszy lecącego głazu, nie mogli zgadnąć, skąd nadleciał.

Drugi zestaw pocisków wzbił się w niebo wśród jęku drewna i naprężonej do granic liny.

– No dalej, dalej... – mamrotała Felice.

Drugi głaz z druzgoczącą siłą uderzył w dok obok pierwszego okrętu. Wstrząs sięgnął chyba samych fundamentów portu. Pocisk roztrzaskał się na tysiąc kawałków, a wraz z nim szklane kule. Alchemiczne substancje jeszcze w powietrzu weszły w agresywną reakcję. Z miejsca, gdzie kule zetknęły się z gruntem, poniósł się po niebie ogłuszający huk, gdy niepowstrzymana siła zmiotła z nabrzeża żołnierzy i marynarzy. Wybuch rozdarł ciała i strzaskał kości. Z tej odległości masakra spowodowana wybuchem wydawała się nierealna, jak namalowana pędzlem jakiegoś zwyrodniałego malarza.

Żołnierze zakotłowali się niczym mrówki w zdeptanym mrowisku.

Z ust Felicienne wydarł się dziki wrzask, który brzmiał jak wyzwanie rzucone najeźdźcom, a była w tym krzyku cała rozpacz i wściekłość, które nosiła w sobie od ataku. Wciąż jednak nie osiągnęła jeszcze tego, co sobie umyśliła. Musieli trafić w okręt.

– Avigdorze! – wrzasnęła. – Pocisk nie trafił czysto! Natychmiast skoryguj maszynę!

– Siła ta sama – polecił Avigdor ze spokojem. – Tylko lekko na prawo. Dość! Tyle wystarczy.

Zapędził ludzi do korby i chwilę później rozległo się satysfakcjonujące kliknięcie gotowego do wystrzału mechanizmu.

– Prędko – popędziła ich Felice. Złapała swój warkocz i ścisnęła, aż pobielały jej kostki.

Kolejny z jej podwładnych chwycił za młot i uzyskawszy pozwolenie od Felice, uruchomił mechanizm zwalniający.

– Na co czekacie? – powiedziała Felice, gdy wszyscy wczepili się wzrokiem w sunący po niebie głaz. – Kręcić, kręcić korbą, jakby wasze życie od tego zależało! Bo i może zależeć. – Avigdor cofnął się od maszyny i uniósł do oka lunetę. Skupił uwagę na pierwszym okręcie.

– Lada moment – szepnął.

Pocisk trafił jednostkę w samą burłę, penetrując kadłub i przebijając się aż do kilu i dalej, w głębinę zatoki.

Buchnęło połamane drewno, wzbijając w niebo chmurę drzazg. Pokład stanął w ogniu, pochłaniając wszystkich, którzy mieli nieszczęście się na nim znaleźć. Płomienie liznęły żagle, które natychmiast zaczęły się palić. Wokół okrętu zabulgotała gotująca się woda.

– Chyba... Chyba przeszło na wylot!

Felice krzyczała z radości, podskakując jak mała dziewczynka.

– Dalejże! – wołała. – Brać mi na cel drugi okręt! Zobaczmy, czy uda nam się rozwalić wszystkie trzy!

Zakrzętnęli się przy maszynie, korygując ustawienie zgodnie z zaleceniami Avigdora, a potem załadowali kieszeń.

– Nie czekajcie na mój rozkaz! – zawołała Felice. – Walić w nich!

Zostawiła trebusz w rękach swoich ludzi, uznawszy, że na tym etapie są już dostatecznie zaznajomieni z jego prawidłami.

– Proszę o lunetę – rzuciła do Avigdora, wyciągając rękę. Luneta natychmiast znalazła się w jej dłoni, a Felice przystawiła ją do oka, by przyjrzeć się celom.

Na okrętach i w dokach szalał chaos. Dym bił w niebo, a kamienne nabrzeże oraz drewno pokładu pokrywała krew. Spojrzała na drugi okręt, słysząc za sobą jęk trebusza, który właśnie posłał w niebo kolejny głąz.

Zasyczała przez zęby; coś było nie tak. Tam, na drugim okręcie. Na pokładzie stał mężczyzna, patrząc w ich kierunku, najwidoczniej niezbyt przejmujący się perspektywą stania się kolejną ofiarą. Uniósł ramiona.

Fioletowy promień wystrzelił z jego rąk ku najwyższemu maszтови jednostki. Gdy zetknął się z wierzchołkiem, rozprzestrzenił się, aż cały okręt nakryła połyskliwa kopuła. A ta rozrosła się i na oczach Felice okryła dok, a potem całe nabrzeże i dwa kolejne okręty. Pocisk z przeszywającym łoskotem uderzył w magiczną barierę. Z miejsca kolizji trysnęły olbrzymie fioletowe iskry, które posypały się po całej tarczy niczym połyskliwa fala. Błysk światła zostawił powidoki pod powiekami, a ogień i dym pokryły cały obszar. Tarcza wytrzymała. Do wody wpadały z sykiem bryły płonącej skały.

– A niech... Aaa! – Felice wrzasnęła na czarodzieja. Nie widziała jeszcze dotąd takiej demonstracji mocy, choć niebieskie płomienie spowijające mury Anasomy powinny dać jej pojęcie o umiejętnościach indryallańskich magów. Felicienne wiedziała, kiedy mierzy się z przeciwnikiem przewyższającym ją o kilka klas.

Raptem z jasnego nieba spadł grom.

Błysnęło rażące światło i jakaś siła obróciła w pył dom po jej prawej stronie, wysadziła na zewnątrz murowane ściany i wzbiła w powietrze chmurę pyłu.

Felice popatrzyła na pozostałe siedem skrzyń wypełnionych alchemicznymi materiałami wybuchowymi.



– Uciekać, ale już! – zawołała. – Skaczcie!

Jej ludzie poszli w rozsypkę, zorientowawszy się, w jak wielkim są niebezpieczeństwie. Przesadzali niski murek i skakali na znajdujący się poniżej bruk. Jeden Avigdor pognał w kierunku schodów.

– Nie ma czasu! – wrzasnęła Felice. – Skacz!

Nie odwracając się, żeby sprawdzić, czy jej posłucha, sama rzuciła się z platformy. Kolejny huk, kolejna błyskawica zdruzgotała odcinek ściany nad jej głową. Swąd nadtopionego metalu wypełnił powietrze i obsypał ją płonący pył. Osłoniła oczy, by nie wpadły do nich gorejące drobinki.

Avigdor wylądował dziesięć jardów dalej; stęknął głośno w zetknięciu z gruntem. Przerazający trzask odbił się echem od ścian, gdy kostka jego stopy złamała się jak sucha gałązka. Zawył i padł na ziemię, trzymając się za bezużyteczną nogę.

Felice wskoczyła na wóz.

– Otwórzcie bramę! Ale już!

Jej ludzie wykonali polecenie, nim przebrzmiał rozkaz. Zachrzącał zamek i otworzyły się odrzwia, zgrzytając o kamień metalowymi okuciami. Pobiegli do wozu i wskoczyli na niego. Jeden z nich chwycił za wodze, inny podsunął Felice ramię, by pomóc jej wsiąść.

TRZASK! Grom uderzył w kamienie za nimi, a siła uderzenia rzuciła Felicienne na podłogę wozu. Wóz szarpnął się naprzód i ruszył.

– Szybciej! Jazda! – wrzasnęła. – Głowy nisko!

Wóz wypadł bramą na ulicę. Przechodnie, którzy chowali się przed piorunami pod okapami dachów, oderwali wzrok od rozwścieczonego nieba i wybałuszyli oczy na rozpędzony pojazd. Felice stała na wozie i wrzeszczała do nich.

– Uciekajcie! Jeśli wam życie miłe, uciekajcie stąd!

Na te słowa ludzie rozpierzchli się we wszystkie strony, krzycząc wniebogłosy. Rodzice łapali dzieci lub brali je na ręce, gnali przed siebie na złamanie karku. Niebo przepołowiła kolejna błyskawica i na krótką chwilę świat stał się biały. Od tyłu buchnęła w wóz

ściana gęstego powietrza. Ciśnienie naparło na Felice i przemieszało jej wnętrzności.

Powozący Nilas tylko cudem zachował kontrolę nad wozem. Chlasnął konie wodzami.

– Wio! Jazda!

Felice obejrzała się za siebie. Trebusz przestał istnieć. W miejscu, gdzie stał, wznosiła się w niebo chmura kurzu i dymu. Zniszczona kamienna platforma obsypywała się na ulicę. Obszar pokryty był czarną sadzą, płonęły rozrzucone chaotycznie drewniane elementy maszyny. Wszystkie zabudowania otaczające posterunek stały w ogniu.

Avigdor wrzasnął z bólu, gdy wóz podskoczył na kocich łbach. Cała krew odeszła mu z zaciśniętej w grymasie bólu twarzy. Felice obróciła się, chcąc mu jakoś pomóc, a w tej samej chwili z alei za nimi wyskoczył indryallański żołnierz i zatrzymał się na ulicy. Chwilę później było ich już sześciu. Rozejrzeli się nerwowo, a potem jeden z nich wskazał uciekający wóz. Kilku rzuciło się w pogoń, a reszta cofnęła się do zniszczonej platformy.

Felice spuściła wzrok na kostkę Avigdora. Okrywająca ją nogawka była przesiąknięta krwią. Uniosła ją, odsłaniając wyrzynającą się z ciała nagą kość. Delikatnie zakryła ranę.

Poczuła, jak jakaś silna dłoń zaciska się na jej ramieniu.

– Jesteśmy! – Nolar przekrzyczał turkot rozpędzonego wozu. – Tutaj się rozdzielamy. – Zmierzył wzrokiem Avigdora z ponurym grymasem na twarzy. – Nic nie możemy dla niego zrobić. Jeśli będziemy próbowali go nieść, złapią nas.

Avigdor zaśmiał się słabo.

– Nie mogę biec – wymówił ponuro. – Nie zdołam uciec.

Felice zacisnęła zęby i pokiwała głową.

– Powodzenia, pani – powiedział Nilas. – Widzimy się na Cmentarzu.

Avigdor zajęczał. Złapał Felice za rękę.

– Daj mi... Daj mi lejce.

Pomyślała szybko i podjęła decyzję.

– Posadźcie go na koźle – rozkazała. – A potem wszyscy w nogi.

W pół chwili Avigdor siedział na pozycji woźnicy. Krzyknął tylko raz. Wcisnęli mu lejce w dłonie. Zacisnąwszy z bólu szczęki, gestem kazał im uciekać. Jego twarz spływała potem.

– Idźcie – wycedził. – Spowolnię ich.

Felice szarpnęła wodze i skierowała wóz w prawo, na główną ulicę. Pogoń na kilka chwil straci ich z oczu. Jej ludzie jeden po drugim zeskakiwali z wozu i rozbiegali się każdy w swoją stronę. Ostatni raz spojrzała na Avigdora. Uśmiechnął się do niej, na ile zdołał.

– Idź – powiedział.

– Przyjdę po ciebie.

– Nie bądź głupia. Idź.

Bez słowa zeskoczyła na ulicę, a Avigdor pomknął naprzód, żeby odciągnąć od nich pogoń. Wytarła ręce w spodnie. Były czerwone od jego krwi.



– No dalej, jeszcze trochę... – wydyszała do siebie Felice. – Już tylko kawałek.

Wyjrzała ostrożnie zza węgła budynku, za którym się chowała. Na przodków... Sześciu indryallańskich żołnierzy stało nie dalej niż dziesięć kroków od niej. Powolnymi, ostrożnymi krokami odeszła od rogu, przywarłszy plecami do ściany, i dopiero wtedy odetchnęła pełną piersią, nie obawiając się, że ją usłyszą. Jej warkocz rozplótł się do połowy, a ubranie cuchnęło potem i brudem. Nogi bolały ją od ciągłego biegu, a serce rwało się z piersi. Nawet przyzwyczajone do ćwiczeń płuca odmawiały posłuszeństwa, doprowadzone do ostateczności wydarzeniami ostatnich kilku godzin.

Indryallanie byli wszędzie, wyroili się na ulice jak plaga owadów. Widziała ich na każdej mijanej ulicy, na każdym placu i skwerze stacjonował przynajmniej jeden oddział. Miała nadzieję, że jej ludzie

mają więcej szczęścia, ale rozsądek kazał jej wątpić. A Avigdor... Wierzyła, że nie zrobił niczego głupiego. Bo jeśli zrobił, to kiedy go znowu zobaczy, nakładzie mu po twarzy.

Otarła oczy i pociągnęła nosem. Jakie ma możliwości? Odetchnęła głęboko, usiłując spowolnić skołatane serce.

Po jej prawej, zaraz za rogiem, stali żołnierze, a po lewej znajdował się zatłoczony plac, który w końcu będzie musiała przebyć, choć nie był to dobry pomysł. Naprzeciwko ciągnęła się wąska alejka, w którą zmieści się, jeśli będzie szła bokiem. Była to uliczka z rodzaju tych, których w normalnych okolicznościach w dzielnicy takiej jak ta unikałaby jak ognia. Sęk w tym, że nie miała zbyt wielu możliwości.

Ruszyła do wlotu, gdy nagle dotarło do niej, że nie może się ruszać. Coś zacisnęło się wokół niej, przyszpilając do ciała ramiona i nogi. Pisnęła, opadając na ziemię. Jej głowa boleśnie zderzyła się z brukiem i Felice zaszamotała się w niewidocznych więzach.

Usłyszała pomruk, a potem nieokreślone pyknięcie. Obok pojawił się mężczyzna, którego przed chwilą jeszcze tam nie było. Dobrze zbudowany i przystojny, o jasnozielonych oczach. Natychmiast zapalała do niego nieufnością. Musiał być czarodziejem, niech go zaraza weźmie. Nietrudno kogoś obezwładnić, gdy można to zrobić na odległość. Albo z ukrycia. Zmrużyła oczy. Nigdy dotąd nie słyszała o czymś podobnym.

– Proszę, proszę – zamruczał nieznajomy głosem, którego w innych okolicznościach chętnie słuchałaby całą noc. – A cóż my tu mamy?

– Szłam na rynek – warknęła Felice, udając oburzenie. – Puszczaj mnie natychmiast albo twoi przełożeni dowiedzą się, że napastujesz niewinne kobiety na ulicy.

Mężczyzna zachichotał pod nosem, niefrasobliwie tupiąc nogą.

– Moich przełożonych spotkasz szybciej, niż myślisz, lady Felicienne.

Przestała się więc i podniosła się do siadu, klnąc przez zaciśnięte zęby. Gra skończona. Nie wykręci się sianem.

– Długo kazałaś się gonić. Głowę dam, że jesteś zmęczona.

Felice przytaknęła, nie chcąc zaszczycać go odpowiedzią.

– Pozwól, znajdę ci jakieś miejsce, gdzie będziesz mogła odpocząć.

U indryallańskich gospodarzy.

Nie rozpoznawała jego akcentu. Zupełnie nie brzmiał jak jeden z najeźdźców, głos nieznanego dźwięczał w uszach Felice jak muzyka. Ubranie zaś było tak bardzo nie w modzie, że niemal budziło śmiech. Zupełnie jakby wybierał rzeczy z szafy swoich dziadków. Jakiś dziwny ten czarodziej. Na jego palcach dostrzegła wiele rzemyslniczych pierścieni, a na szyi osobliwy, płaski torque.

– Kim ty jesteś? – spytała. – Na pewno nie jednym z nich.

Skłonił się nisko.

– Nazywam się Savin Khedevis. Zgadłaś, nie jestem jednym z nich, ale pomagam im znaleźć członków ruchu oporu, którzy ostatnimi czasy niewiele robią poza kręceniem się tu i tam. Aż do dziś.

Felice posłała mu znaczący uśmiech.

– Na pewno się zdziwili.

– To prawda. A potem rozzłościłi. A potem zaczęli myśleć o zemście.

– Oby się nią udławili.

Savin wzruszył ramionami.

– Zgaduję, że część tej złości skierują na mnie, jeśli nie dostarczę cię im jak najszybciej. Ale jakoś przeżyję. Zawsze jakoś mi się to udaje. – Podeszedł bliżej i stanął nad nią. – A teraz przygotuj się – rzekł radośnie Savin Khedevis. – Bo to zaboli.

Felice wrzasnęła, gdy igły bólu wbiły się głęboko w jej czaszkę. Fale agonii przetoczyły się przez jej ciało, emanując od głowy aż po czubki palców. Czowała, że jej skóra płonie. Opadła z powrotem na ziemię i zwinęła się w kłębek, drapiąc palcami bruk.

Minęło kilka chwil, nim straciła przytomność.



**P**rzy odrobinie szczęścia wrócę w nocy. Chcę uwinąć się z tym jak najszybciej – powiedział Caldan.

Nie chciał na długo zostawiać Dzwonków i Mirandy z Elpidią i Amerdanem, zwłaszcza że nie był już taki pewien, czy w ogóle ufa sklepikarzowi. Mimo to musiał przecież dostarczyć komu trzeba wieści o inwazji, a poza tym miał zamiar dotrzymać słowa danego Simmonowi i oddać miecz Protektorom. Miał nadzieję, że gdy już to zrobi, ci zechcą okazać wdzięczność i pomogą mu z Mirandą. A wtedy zdecyduje, co zrobić z Dzwonkami.

Przypasał miecz i przerzucił sakwę przez ramię. Sprawdził, czy dwa dzwoneczki dalej ma w kieszeni, a potem dotknął przez koszulę kościanego pierścienia na łańcuszku na szyi. W sakwie miał rzemyśliwa odebrane czarodziejowi, którego Dzwonki nazwała

Mahsonnem. Uznał, że warto przyjrzeć im się bliżej, gdy tylko nadarzy się sposobność.

Gdy się przygotowywał, nachmurzona Elpidia stała nieruchomo kilka kroków od nich. Amerdan znowu gdzieś przepadł. Powiedział, że idzie na zwiad. Wyruszył krótko przed świtem, nie czekając na śniadanie.

Caldan spojrział na Mirandę, ale zaraz odwrócił wzrok. Czasami wręcz nie mógł na nią patrzeć.

– Pośpiesz się – powiedziała Elpidia, wskazując głową drogę do miasta. Podrapała wysypkę na szyi, a potem przebiegła palcami po guzie, który formował się pod skórą. – Im szybciej się z tym uwiniesz, tym szybciej skończy się ta żałosna historia, a ja będę mogła w końcu zająć się badaniami. Pamiętaj, tu nie chodzi tylko o mnie. Jeśli wynajdziemy uniwersalne lekarstwo...

– Moim priorytetem jest Miranda, a potem Dzwonki. Ale tak – dodał, zanim zdążyła zaprotestować – zrobię, jak obiecałem. Wiem, że nie ma czasu do stracenia, ale to moja krew. Doprowadziłem nas tak daleko, więc proszę, zaufaj mi. Skoro złożyłem ci obietnicę, to słowa dotrzymam.

Nie wydawała się zadowolona, lecz przecież nie widział jej zadowolonej od bardzo dawna. No cóż, przynajmniej pominęli zwyczajowy – i jedyny ostatnimi czasy – temat ich rozmów. Caldan spojrział tam, gdzie w dali widniało miasto. Stale wisiała nad nim nierozwiewająca się chmura dymu i pyłu.

– Mały Protektorku – zawołała Dzwonki, przywiązana do swojego drzewa.

Obrócił twarz, przełykając przekleństwo. Oczywiście, że chce go wkurzyć przed samym wyruszeniem w drogę.

– Czego? – spytał z westchnieniem.

– Chodź no tu.

Podszedł do niej, ale stanął kilka kroków dalej, na wpół zwrócony ku drodze, niecierpliwiąc się.

– Szybko, muszę iść.

– Chciałam ci tylko coś powiedzieć. Na znak zaufania. – Caldan milczał. – Bo wiesz, Dzwonki to nie jest moje prawdziwe imię. – Parsknęła śmiechem. – To przezwisko, które nadano mi, gdy zaczęłam tworzyć swoje rzemyśliwa. Przyczepiło się i tak już zostało.

– Po co mi to mówisz? – Nie miał czasu na jej gierki.

Uciekła wzrokiem i utkwiała go w drzewach.

– Bo jeśli wyjdę z tego cała, i ty też, to nie odnajdziesz mnie, szukając „Dzwonków”.

– A niby dlaczego miałbym cię szukać?

– Bo byłabym zaszczyczona, mogąc dalej cię uczyć. A kiedy już zrozumiesz, jacy naprawdę są Protektorzy, to czuję, że jednak zechcesz mnie odszukać.

– Marne szanse.

Czarodziejka uśmiechnęła się krzywo.

– Dziwne rzeczy dzieją się cały czas. Nawet te nieprawdopodobne. To właśnie sprawia, że życie jest takie ciekawe.

– Dobrze, a więc jak brzmi twoje prawdziwe imię?

– Sorche. Zapamiętaj.

Caldan wyrzucił powietrze z płuc. Odwrócił się plecami do Dzwonków – czy też Sorche – i podszedł do Elpidii.

– Wrócę jak najszybciej – powtórzył, zaglądając uzdrowicielce w oczy. – Weź to, na wypadek gdybyś musiała mnie znaleźć. – Wręczył jej rzemyślniczy kompas, który wykonał. Po raz pierwszy od złożenia jej przysięgi dotyczącej swojej krwi wydawała się szczerze docenić coś, co przedsięwziął.

Małe rzeczy, a cieszą, pomyślał z cieniem wątpliwości.

Spojrząwszy ostatni raz na Mirandę i Dzwonki, w końcu opuścił obóz i wyszedł na drogę, wzbijając z każdym krokiem chmurkę pyłu.





Amerdan obserwował ich spomiędzy drzew. Po odejściu Caldana Dzwonki uśmiechnęła się promiennie do Elpidii, która odpowiedziała ponurą miną.

– Przepraszam – zawołała za nią czarodziejka. – Te liny strasznie cisną. Mogłabyś je poluzować, proszę? Nie czuję własnych stóp.

Elpidia sprawdziła więzy.

– Wszystko z nimi w porządku – stwierdziła, mierząc więźniarkę podejrzliwym spojrzeniem.

– Aaa, od razu lepiej – wykrzyknęła Dzwonki mimo to, a Elpidia wywróciła oczami. Musiałaby być głupia, żeby się nie zorientować, że Indryallanka pogrywa sobie z nią, ale i o wiele mądrzejsza, by zorientować się, co oznacza to pogrywanie.

– Byłaś dla mnie taka dobra – podjęła Dzwonki, a Elpidia skrzywiła się na nią, ale promienny uśmiech nie schodził z ust czarodziejki. – Dlatego właśnie pozwolę ci żyć. – To było umówione hasło.

W ułamku chwili Amerdan znalazł się przy uzdrowicielce i zanim ta zdążyła się obrócić, trafił ją w skroń rękojeścią noża. Nieprzytomna kobieta zwała się na ziemię.



Caldan szedł w kierunku bramy z obawą w sercu. Otaczały go tłumy ludzi usiłujących z samego rana dostać się do miasta, przeważnie chłopci na furach załadowanych płodami rolnymi, handlarze bydłem wiodący za sobą rzędy zwierząt oraz sprzedawcy drobiu z wagonami pełnymi klatek, z których dobiegało nagłące gdakanie. Z południa toczyły się po niebie chmury, gnane przez wiatr, którego zapach zwiastował deszcz.

Caldan wdepnął w łajno, o mało się nie przewracając. Małe dziecko siedzące na wozie przed nim zachichotało z uciechy. Odwzajemnił uśmiech, po czym przeszedł na bok kolejki i jak gdyby nigdy nic skierował się ku bramie.

Słyszał za sobą krzyki i przekleństwa, jakimi zwykle obrzuca się tych, co wpychają się do kolejki. Nie zważał na nie, prac w stronę wrót, póki drogi nie zastawili mu dwaj wartownicy. Byli ubrani podobnie do straży portowej w Anasomie, choć ich skórzane pancerze zdobiły brązowe tabardy przedstawiające sowę z żółtym kluczem nad głową. W rękach trzymali długie drewniane pałki.

– Stać! – rozkazał jeden z nich. – Co sprowadza cię do Starorzecza? Próbujesz ominąć kolejkę, więc lepiej, żebyś miał dobry powód.

Nie miał jak dowieść swojej tożsamości, był jednak przygotowany na spotkanie ze strażą. Włożył rękę do kieszeni i dotknął tarczy. Potrafił już rozróżnić dzwoneczki po dotyku. Otworzył studnię, podłączył się do kotwicy i aktywował ją.

Zobaczymy, czy się uda, pomyślał.

Otoczyło go światło i strażnicy cofnęli się o krok, zachłyśnięci powietrzem. Zdumiony tłum odskoczył od Caldana jak oparzony.

– Jestem Protektorem z Anasomy. Muszę jak najszybciej rozmówić się z tutejszymi. – Wskazał jednego ze strażników. – Zaprowadzisz mnie do nich. Natychmiast.

Strażnik przełknął ślinę i kiwnął głową, a potem rzucił do towarzysza:

– Uwinę się raz-dwa.

Caldan zerwał połączenie ze studnią i tarcza się rozpląnęła.

– Idziemy – powiedział po prostu.

Wkrótce strażnik wskazał mu sypiącą się trzypiętrową budowlę, nieprzylegającą z żadnej strony do innych budynków, wykrojoną czterema ulicami z tłocznej materii śródmieścia. Okute żelazem drewniane wrota stały otwarte. Nie widział nigdzie strażników.

Wziął wdech i przeszedł przez bramę na ubitą ziemię dziedzińca. Rozejrzał się. Plac zasłany był liśćmi, a przy murach pleniły się chwasty. Ku swojemu zaskoczeniu ujrzał przywiązane do żelaznego pierścienia w kącie dziedzińca dwie krowy, żujące wesoło siano z usypanego obok stogu. Tamta część placu usiana była krowimi plackami.

Nie tego się spodziewał. Czarodzieje i Protektorzy w Anasomie byli uosobieniem dyscypliny i organizacji. Kontrast ze Starorzeczem był zatrważający.

Drzwi budynku otworzyły się i na plac wybiegła gromadka bawiących się w berka dzieci. Caldan skrzywił się na ich świdrujące krzyki. Jeden z dzieciaków, chłopiec, który mógł mieć około dwunastu lat, zatrzymał się, zauważywszy stojącego w bramie nieznanego. Obejrzał się na swoich kolegów, a potem podszedł do niego.

Caldan sięgnął do kieszeni i rzucił mu miedziaka, którego dzieciak pochwycił z podziwu godną zręcznością.

– Może pomogę? – spytał chłopiec z szacunkiem.

– Muszę zobaczyć się z dowódcą Protektorów.

– Z mistrzem Moldem?

– Jeśli to właśnie on tu dowodzi, to owszem. Zabierz mnie do niego.

– Proszę za mną. – Ulicznik skłonił się niczym stary majordomus.

Przecucie kazało Caldanowi powściągnąć entuzjazm i zostać tam, gdzie stał. Coś tu było nie tak. Tutejsi Protektorzy zdawali się nieco mniej rygorystyczni od tych w Anasomie. Brama otwarta na oścież, strażników ani widu, ani słyhu... ot tak, bez przeszkód wszedł sobie z ulicy do ich twierdzy. Zupełnie nie tego się spodziewał.

Widząc, że Caldan się waha, chłopiec przystanął. Zerknął na rząd zaciemnionych okien po lewej.

Caldan natychmiast otworzył swoją studnię. Otoczyła go tarcza, a on sięgnął do rękojeści miecza na prawym ramieniu.

– Żadnych gwałtownych ruchów – rozkazał głos z jednego z okien. Głęboki, męski, rzeczowy ton.

Caldan zobaczył, że chłopak się wycofuje. Zogromniały mu oczy na widok tarczy, a teraz, zrobiwszy kilka kroków, odwrócił się i puścił biegiem za bramę. Inne dzieci musiały ulotnić się wcześniej, bo Caldan nigdzie ich nie widział.

Zobaczył za to cienie poruszające się za oknami. Wyłoniły się z nich trzy wycelowane w niego kusze. Nawet z tej odległości

wyczuł, że to rzemyśliwa.

Powoli i ostrożnie odjął rękę od rękojeści. Wziął głęboki wdech. Strużka potu pociekła mu po policzku. Wystawił ramiona przed siebie, dłońmi do góry.

– Muszę porozmawiać z dowódcą – powiedział, pilnując, by głos mu nie zadrżał.

Zza linii kusz dało się słyszeć przyciszone szepty. Jakiś ruch, szelest ubrań, a chwilę później drzwi po prawej otworzyły się i na dziedziniec wyszedł dryblas o siwiejących, przystrzyżonych po żołniersku włosach. Miał na sobie znoszone skórzane spodnie i kremową koszulę. Zrobił kilka kroków w kierunku Caldana, taksując go zimnymi, szarymi oczami, spoglądającymi spod krzaczastych brwi. Zwrócił uwagę na brudne podróżne odzienie gościa oraz kurz pokrywający jego buty i spodnie. Na moment zatrzymał wzrok na pierścieniu Caldana.

– A więc ze mną – odezwał się tym samym głosem, którym wcześniej rozkazywał. – Przynajmniej na ten moment. Jestem mistrz Mold.

Caldan kiwnął głową. Nie wiedział, czy bełty przebiją się przez jego tarczę, ale wolał się tego nie dowiadywać. Zresztą nie chciał przecież od razu psuć sobie stosunków z Protektorami... jeśli rzeczywiście nimi byli.

Mold miał przy sobie wiele rzemyśliw i amuletów. Caldán ostrożnie sięgnął do niego zmysłami i zbadał jego studnię. Tak jak u Simmona, także i jego była obkurczona, a jej prawdziwa siła zamaskowana. Caldán zdecydował, że musi się nauczyć, jak to się robi.

Wolno opuścił ręce.

– Przybyłem do was aż z Anasomy. Inwazja... tamtejsi Protektorzy... wszyscy nie żyją.

Jego słowa wzbudziły chór zdumionych okrzyków. Twarz stojącego przed nim Molda ściągnęła się w chmurny grymas.

– Żywiliśmy nadzieję, że ominęło ich najgorsze – warknął. Przejechał dłonią po twarzy. – Ale zdaje się, że jest gorzej, niż

podejrzewaliśmy.

Caldan się zawahał. Najlepiej będzie szybko uporać się z wszystkimi złymi wiadomościami.

– Gildia Czarodziejów także została zniszczona. Może ktoś przeżył, ale trudno mi powiedzieć.

– A ty kim jesteś?

– Mistrz Simmon wziął mnie na praktykanta.

Poczuł lekkie muśnięcie swojej studni i uświadomił sobie, że sam także był badany. Mold obrzucił Caldana spojrzeniem jednocześnie ponurym i zaciekawionym.

– Dobrze znam mistrza Simmona, ale my nie przyjmujemy nikogo na praktyki. Tutejsi młodzi szkolą się pod okiem czarodziejów.

– Tak też słyszałem, ale mówię prawdę. Odbyłem już wcześniej szkolenie i mistrz Simmon zrobił dla mnie wyjątek. Niestety... nie przeżył.

Z Molda uszło powietrze, jego twarz nic nie wyrażała.

– Tylko nie Simmon...

– Przykro mi, mistrzu.

Mold długo milczał.

– Więc Simmon uczynił cię swoim praktykantem.

Caldan wyczytał z tonu głosu mistrza, że wciąż mu nie wierzy.

– Tak – odparł, choć był całkiem pewien, że to nie było pytanie.

Mold potarł podbródek i kiwnął głową, podjąwszy jakąś decyzję.

– Co zawsze stało na jego biurku?

Caldan rzucił się w wir własnych myśli, cofając się w czasie do chwili, gdy gościł w gabinecie mistrza Simmona. Pamiętał pokój, skrzynie... Ale co stało na biurku? Ach, no tak...

– Kwiaty – odparł Caldan z naciskiem. – W wazonie. Od żony.

Mistrz uśmiechnął się smutno.

– Opuścić kusze. To nie wróg.

Caldan odetchnął z ulgą i zerwał połączenie ze studnią. Mold podszedł do niego i wyciągnął rękę.

– Całkiem mocna ta twoja tarcza. Czy to twoje dzieło?

Caldan zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, moja własna spaliła się podczas inwazji. Tę znalazłem, uciekając z miasta.

– Mam do ciebie sporo pytań. Przede wszystkim: gdzieś ty znalazł taką mocną tarczę? Głowę dam, że inni mistrzowie również zechcą wziąć cię na spytki, ale to potem, bo widzę, że wyglądasz, jakbyś przeszedł przez piekło. Chodź ze mną.

Caldan skinął głową i razem opuścili dziedziniec.

– Potrzebujemy twardych danych o tym, co dzieje się w Anasomie – powiedział Mold. – Niestety, sami wiemy niewiele. Dobrze widzieć kogoś ze stolicy, pomimo złych wieści, które przynosi.

– Pomogę, jak tylko zdołam. Ale po prawdzie to sam nie wiem za wiele o najeźdźcach.

A tego, co wiem, nie chcę ci mówić od razu, dodał w myślach.

– Zaczniemy od łatwego zestawu pytań. Jak ci na imię?

– Caldan.

Zrównał rytm kroków z mistrzem, wchodząc za nim do budynku. Znaleźli się w korytarzu, z którego rozchodziły się na lewo i prawo drzwi. Czarodziejskie kule oświeślały wnętrze, każda osadzona w metalowej klatce przykręconej do ściany śrubami. Pewnie żeby zniechęcić ewentualnych złodziei.

Mistrz Mold położył rękę na ramieniu Caldana i skierował go w górę po trzeszczących drewnianych schodach. Przybite do belek policzkowych dechy, czasem odstające od nich na grubość palca, wzmagały tylko wrażenie, że twierdza zaraz się rozsypie.

Mold zauważył, że Caldan zwrócił na to uwagę.

– Niektórzy Protektorzy i czarodzieje z gildii zdumiewają się na widok tego miejsca – rzekł tonem wyjaśnienia. – Ale wielu Protektorów i czarodziejów, którzy większość życia spędzają w miastach takich jak Anasoma, nie zdaje sobie sprawy, że my tutaj nie mamy czasu na przyjemności. Ten budynek – zatoczył koło ramieniem, zbliżając się do kolejnych drzwi – to jedno z miejsc, gdzie odwalamy znaczną większość protektorskiej roboty. – Zrobił pauzę i łypnął na Caldana spod krzaczastych brwi. – Wiesz, o czym mówię, prawda?

Kolejny sprawdzian, domyślił się. Kiwnął głową w odpowiedzi.

– Szukacie zbuntowanych czarnoksiężników, którzy używają magii destruktywnej.

– Właśnie. Jak również, ma się rozumieć, zajmujemy się popłuczynami po Zdruzgotaniu. Na świecie pleni się wielkie zło.

A to ciekawe. Simmon słowem o tym nie wspomniał.

– Na przykład? – pociągnął ten wątek, ściągając na siebie pytające spojrzenie.

– Stwory zrodzone z magii przed i podczas Zdruzgotania. Okrutne, dzikie bestie. Na przykład jukarowie. Znajdujemy też zapomniane czarodziejskie laboratoria i tym podobne rzeczy. Wątpię, żebyśmy kiedyś znaleźli wszystkie. Wciąż krąży po świecie zakazana wiedza.

Caldan skrzywił się, zbity z tropu.

– A więc oni istnieją naprawdę? Znaczą jukarowie. Myślałem, że to tylko legendy.

– Żadne legendy, chłopcze. Są tak rzeczywisci jak ty czy ja, i o wiele straszniejsi. Większość Protektorów w Anasomie pewnie nigdy nie widziała żadnego na oczy, o walce z nimi nie wspominając. Mury Anasomy działają jak klosz. Stołeczni Protektorzy spędzali za dużo czasu na rzemyśleniu i badaniu talizmanów, a za mało w prawdziwym świecie. Ale dość o tym, nie mam zamiaru im umniejszać. Większość z nich to równe chłopy. Mimo to coś mi się widzi, że odkryjesz u nas, że większość z tego, co dawno włożyłeś między bajki, to zupełnie rzeczywiste zagrożenia, którym my tutaj na co dzień stawiamy czoła.

Dowiedziałbym się pewnie o wielu innych sprawach, gdyby Indryallanie nie wymordowali mojej gildii. Ta myśl zmąciła spokój Caldana, a jednak dobrze było w końcu porozmawiać z kimś poinformowanym. Po trudach wycieńczającej podróży z wątpliwymi towarzyszami takimi jak Dzwonki czy Amerdan miło było w końcu otrzymać jakieś odpowiedzi.

Mold gestem kazał Caldanowi zatrzymać się przed niewyróżniającymi się drzwiami po lewej stronie korytarza. Zza nich niosły się głosy.

– Mistrzowie zebrali się na zwyczajowe poranne spotkanie, więc masz szczęście. Nie będziesz musiał specjalnie czekać, aż wszystkich zgromadzimy. Gdy się pojawiłeś, wyciągnięto mnie z narady. Ale pozwól się ostrzec: niełatwo będzie ci przekonać pozostałych mistrzów, że byłeś praktykantem Simmona. Nie pamiętam już, kiedy ostatnim razem wziął kogoś na szkolenie. – Rzucił Caldanowi przenikliwe spojrzenie. – Choć sądząc po twojej studni, chyba rozumiem, co w tobie zobaczył. To ciekawe, że czarodzieje pozwolili ci do nas dołączyć. Choć jesteśmy uznawani za pełnoprawny oddział gildii, między czarodziejami dochodzi czasem do rywalizacji.

– Chyba byłem już za stary. – Choć właściwie gildia wcale nie oddała go Protektorom, to Simmon wykorzystał swoją pozycję, by mu go powierzyła. – Nie bardzo wiedzieli, co ze mną począć. Przybyłem do Anasomy zaledwie kilka miesięcy temu.

– A Simmon zgarnął cię im sprzed nosa? Zawsze był zmyślny, szelma jeden. Będzie nam go brakować. No, gotów?

Caldan przełknął ślinę i kiwnął głową. Mistrz Mold otworzył mu drzwi i wprowadził do środka.

Gdy tylko wszedł, wbiło się w niego sześć par oczu. Potoczył wzrokiem po siedzących przed nim czterech mężczyznach i dwóch kobietach, natychmiast wyczuwając ich rzemyśliwa, a nawet garść talizmanów. Już miał otworzyć studnię, by wyczuć ich własne, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. Zdecydował, że lepiej, by nie zainteresowali się zbyt jego zdolnościami. Przyszedł tu, by powiedzieć im jak najwięcej o tym, co się stało w Anasomie, i czym prędzej stąd odejść.

Mistrzowie i mistrzynie zasiadali na wygodnych krzesłach. Trzy pozostały puste. Przy jednej ścianie stał regał dźwigający księgi w skórzanych oprawach oraz spiętrzone pokłady zwojów. Powietrze wpływało do komnaty przez wielkie otwarte okno, pod którym siedział jeden z mistrzów. Z trzymanej w palcach fajki wysnuwała się falująca łądyga tytoniowego dymu.

– Mold! – wykrzyknęła jedna z kobiet, szczupła i w średnim wieku, z długimi jasnymi włosami. – Przecież wiesz, że na to



spotkanie wstęp mają tylko mistrzowie. Jeśli to nic pilnego, radzę wyprowadzić stąd tego młodzieńca.

– Mówisz, jakbym nigdy w żadnym nie uczestniczył, Annelie – zachnął się mistrz. – Spokojnie, szanowne koleżanki i koledzy, będziecie zadowoleni, że wam przerwałem. Ten chłopak przybył tu z Anasomy specjalnie po to, żeby się z nami zobaczyć. Mówi, że był praktykantem u nikogo innego jak tylko samego mistrza Simmona.

Na te słowa zebrani zassali głośniej powietrze, a potem roześmiali się jak na komendę, wymieniając między sobą przyciszone komentarze.

– To żart?

– Molda w końcu dopadła demencja!

– Doprawdy, mój Moldzie, takie cudaczne rewelacje trzeba weryfikować, zanim przedstawi się je poważnym ludziom.

– Co za bzdury!

Mold uniósł rękę i mistrzowie umilkli.

– Wysłuchajcie mnie – powiedział na tyle głośno, by zdusić szepty.

– Wiecie przecież, że nie zawracałbym wam głowy bez powodu.

Caldan rozejrzał się po pokoju. Kilku mistrzów taksowało go krytycznym wzrokiem, a po jego studni prześliznęło się kilka zaciekawionych zmysłów. Co ciekawe, jedne wydały mu się surowsze, bardziej nieporadne od innych. Jednego o mało nie wyczuł, taki był ulotny, lekki jak piórko.

Teraz musi przekonać kolejnych sześcioro mistrzów, że znał Simmona i że praktykował u Protektorów, a nie miał pojęcia, ilu z nich rzeczywiście spotkało jego byłego mistrza i wiedziało, że na biurku Simmona stały kwiaty od żony. Był gotów się założyć, że żaden z nich. Pewnie będą go przepytywać godzinami i nie dojdą do żadnych konkluzji, nawet jeśli poręczy za niego mistrz Mold. Te głupoty potrważą wieki, a on ma przecież pilne sprawy do załatwienia. Im szybciej się tu uwinie, tym szybciej wróci do Mirandy. Wymyślił tylko jeden sposób, by ich przekonać, że jest tym, za kogo się podaje, i zdobyć ich zaufanie, a jednocześnie spełnić przyrzeczenie dane Simmonowi.

Wyszedł na środek pomieszczenia i klasnął w dłonie. Wszystkie głosy ucichły jak ucięte nożem.

– Nazywam się Caldan. Gdy tylko trafiłem do Protektorów, mistrz Simmon przyjął mnie na szkolenie. Nie wiedziałem, że zwykle nie przyjmujecie praktykantów, ale to bez znaczenia. Możecie mi uwierzyć albo nie, ale ważne jest jedno: Anasoma upadła, Protektorzy zostali rozbici, a większość, pewnie wszyscy nie żyją. I mistrz Simmon też nie żyje.

Mistrzowie zaczęli mówić jeden przez drugiego. Caldan przekrzyczał ich bez ceregieli.

– Rozumiem, że macie pytania, ale pozwólcie mi skończyć. Zanim zginął, mistrz Simmon kazał mi uciec z miasta i poszukać pomocy. Chciał, żebym ostrzegł was przed magią, której przeciw nam użyto: destruktywną i zniewalającą.

Kilkoro mistrzów syknęło przez zęby, jeden wykrzyknął coś bez słów.

– Skąd on...

– To zakazana wiedza...

– Cisza! – wrzasnął Caldan.

Mistrzowie, Molda nie wyłączając, obrzucili go zdumionym spojrzeniem.

– Prosiłem przecież: dajcie mi skończyć. Wysłano mnie, żebym was ostrzegł, ale mistrz Simmon powierzył mi jeszcze jedno zadanie.

– Caldan ujął rękojeść miecza i wysunął go z pochwy. – Kazał mi przynieść wam to.

Klinga załśniła nawet w przyćmionym świetle komnaty. Mistrzowie i mistrzynie wpili się wzrokiem w obnażoną broń. Jak jeden mąż zachłysnęli się powietrzem, a potem ich twarze straciły wyraz i zastygły w ponure maski.

Caldan poczuł na ramieniu ciężką dłoń Molda.

– Dzięki, chłopcze – rzekł grobowym tonem. – To jest... przedmiot, który mistrz Simmon cenił nade wszystko. I o istnieniu którego wie tylko garstka. Uznał pewnie, że miecz dowiedzie, że mówisz prawdę. Mógłbym...?

Mistrz sięgnął po miecz, a Caldan mu pozwolił. Choć mistrzowie usiłowali kryć się z emocjami, Caldan dostrzegł, że napięcie w pomieszczeniu opadło w momencie, gdy Mold wziął talizman do ręki.

Udając obojętność, Caldan odpiął pas z pochwą i ją również wręczył staremu Protektorowi, który schował miecz, zostawiając na widoku tylko poobijany jelec, rękojeść i głownię.

Caldan znowu odczuł, że atmosfera się przejaśniła, gdy tylko pochwa okryła ostrze. Zapisał to sobie z tyłu głowy. Niezależnie od prawdziwej wagi tej broni, niezależnie od tego, czy należała do Simmona, czy jej prawowitymi właścicielami są Protektorzy – ta sprawa już go nie dotyczyła. Grunt, że pokazanie im broni dowiodło, że mówi prawdę i że wolno mu ufać. Co z kolei oznaczało, że zrobił tu, co miał do zrobienia, i może teraz wrócić do Mirandy.

Przygotował się na serię pytań. Mistrzynie Annelie wstała i podeszła do niego. Sięgała mu tylko do ramienia i nigdy nie widział kogoś o podobnie zielonych oczach. Cześć, z jaką do mistrzyni odnosili się pozostali, zdradziła Caldanowi, że zajmuje wśród nich ważną pozycję.

– Na pewno i ty chciałbyś nas o coś spytać – powiedziała życzliwym głosem. – Niestety, twoje pytania muszą poczekać. Dziękujemy, że przyniosłeś nam miecz mistrza Simmona.

– Talizman – poprawił ją Caldan.

Annelie zmrużyła oczy.

– Tak. W rzeczy samej jest to talizman. Jak już wspomniałam, na pewno przyda ci się chwila odpoczynku.

– Jest wczesnie rano i jestem wypoczęty. Jeśli nie macie nic przeciwko, chciałbym uzyskać kilka odpowiedzi od razu. Przyznaję, że jestem zdumiony, że wy nie macie żadnych pytań do mnie.

– Owszem, mamy. – Potrząsnęła głową. – Ale możemy zachować je na później, gdy już się odświeżysz. Nie skończyliśmy jeszcze narady, a mamy wiele do omówienia.

– Kiedy...

– Tak – dodał mistrz Mold, nie zwracając uwagi na jego protest. – Mamy sprawy do załatwienia, zwyczajowe sprawy organizacyjne, którymi nie będziemy cię zanudzać.

Caldan pilnował, by nie zdradzić się z emocjami. Cokolwiek mieli do omówienia, z całą pewnością miało wiele wspólnego albo z nim, albo z talizmanem. Najprawdopodobniej z talizmanem. Widział malujące się na ich twarzach zaskoczenie i ulgę, gdy pokazał im miecz.

Annelie ujęła Caldana za ramię i skierowała go ku drzwiom. Powędrował spojrzeniem do Molda.

– Pójdź z nią – polecił mistrz. – Znajdzie ci kwaterę. Zaczekaj tam, aż cię wezwiemy.

Caldan pozwolił wyprowadzić się na korytarz.

– Za mną – poleciła Annelie i ruszyła przed siebie żwawym krokiem. – Mamy tu kilka wolnych pokoi. Na pewno chętnie wyśpisz się w łóżku po tak długiej drodze. Pewnie zechcesz się też wykąpać. Słyszałeś chyba o tutejszych łaźniach? Na pewno, w końcu Starorzecze z nich słynie...

Caldan dał jej mówić, zastanawiając się w duchu, co teraz zrobić. Dopełnił przysięgi złożonej Simmonowi, ale Protektorzy pokazali mu już, że niechętnie dzielą się swoimi tajemnicami. I niech je sobie zachowają. Jasne, zaciekała go ich reakcja na miecz, ale teraz najważniejsze było co innego, a mianowicie: czy Protektorzy rzeczywiście praktykują magię zniewalającą i czy zdołają pomóc Mirandzie. Nie wiedział tylko, jak wydobyć z nich tę informację.

Mistrzyni poprowadziła go schodami na parter i ruszyła korytarzem zasłanym wytartymi i wypłowiałymi dywanami.

– No, jesteśmy.

Korytarz kończył się nagą ścianą. Małe, zakryte kotarą przejście prowadziło do kolejnej części budynku. Annelie zaprosiła Caldana gestem i przeszedł do pokoju o kamiennej podłodze. Kamień był ciepły. Caldan poczuł, jak omywa go fala wilgotnego powietrza. Za rogiem rozciągało się wielkie, wypełnione parą pomieszczenie. W podłogę wprawiona była olbrzymia wanna, tak wielka, że

komnata wyglądała, jakby wzniesiono ją wokół dymiącego stawu. Wzdłuż ścian biegły ławy, a z boku sali stały wiadra, małe stołki i szczotki.

Annelie otworzyła kredens i wyjęła dla niego ręcznik.

– Proszę – powiedziała z uśmiechem i wskazała mu wiadra. – Wytrzyj się szczotkami, a potem wymocz się porządnie. Niech gorąca woda zmyje z ciebie wszystkie troski. Jesteś u nas bezpieczny.

Caldan podziękował jej, a ona zwróciła się do wyjścia, po czym zastygła.

– A, prawie bym zapomniała. Nie chodź po budynku sam. Każę komuś czekać tu na ciebie. Zaprowadzi cię do pokoju. Nie chcielibyśmy, żebyś się zgubił.

To powiedziawszy, wyszła.

Nie wiedział, jakie motywy ma ona i reszta mistrzów, ale co prawda, to prawda – przyda mu się porządne szorowanie. Zdjął ubranie i schował wszystkie swoje rzemysliwa na dnie sakwy. Wkrótce był już czysty i rozkoszował się gorącą wodą, która przynosiła ulgę obolałym mięśniom.

Po kąpieli będzie się martwił Protektorami i ich zasobem wiedzy o magii zniewalającej.

Caldan zanurkował. Gorąca woda działała na niego jak balsam. Czuł się tak, jakby opuścił Anasomę nie kilka dni, ale pół roku temu. Zastanawiał się, jak pod jego nieobecność radzą sobie z Dzwonkami Amerdan i Elpidia.



**G**azija obudził ich jeszcze przed świtem, rozkazując przygotować się do lądowania. Vasil potrząsnął głową i zmełł przekleństwo. Rozkaz! Ten dziad ośmiela się mu rozkazywać! Ale wykona polecenie, przynajmniej to jedno.

Na brzeg popłynęli szalupami, następnie podążyli za Gaziją do poszarzałych, obrośniętych chwastami ruin starej wieży. Po przybyciu na miejsce ludzie starca rozpalili trzy wielkie ogniska i zaczęli budować rozciągającą się od stojącej jeszcze ściany wieży wiatę. Vasil ogrzewał się przy jednym z ognisk, aż przepędzili go, by zawiesić nad płomieniami kotły ze smakowicie pachnącą potrawką. Pod wiatą umieszczono stół, który wkrótce zastawiono koszami z chlebem. Drewno na opał, kotły i chleb – wszystko to przywieziono

tu dwoma wozami wkrótce po ich przybyciu. Gazija sposobił się do nakarmienia wielu ludzi, ale kogo? Tego Vasil nie wiedział.

Jego zdaniem Pierwszy Wybawiciel wybrał okropne miejsce na tak ważne spotkanie. Nie pomagała mżawka, opadająca na nich z zasmucająco ciemnego nieba. Woda kapiała Vasilowi z nosa i włosów, bezbłędnie znajdując drogę za koszulę. Ścisnęli się w grupkach wokół i wewnątrz rozpadającej się budowli. Nie miał wielkiej ochoty z nikim rozmawiać, krążył więc po niskim wzniesieniu, na którym zbudowano wieżę. Aidan, cel Rau i Chalayan siedzieli na kamieniach, które wykruszyły się z muru. Zamienili ledwie kilka zdań. Vasil zgadywał, że jeśli spędza się z kimś tyle czasu w drodze, tematy rozmów w końcu muszą się wyczerpać.

Uczepiony ramienia jakiejś kobiety Gazija stał ze wzrokiem cierpliwie utkwionym w kierunku północnym, jakby spodziewał się, że lada moment nadejdzie stamtąd wyczekiwany gość. Sterczał tak od pół godziny.

Vasil westchnął, zaczepiwszy nogawką o kolczasty krzew. Wyplątał się z gałązek i wściekle kopnął natarczywą roślinę. Nigdy nie lubił opuszczać miasta. Świat poza jego murami był zbyt chaotyczny. Ale zwierzęta i rośliny przynajmniej nie potrafiły sobie kłamać. Prychnął śmiechem na tę myśl, ściągając na siebie krytyczne spojrzenie Quissa. Chudzielec stał kawalek dalej i rozmawiał z Mazoetem przyciszonym głosem. Vasil zwrócił uwagę na rażący kontrast między dwoma mężczyznami.

Już od kilku dni sam nie miał okazji zamienić słowa ani z Gaziją, ani z Mazoetem. Obaj byli zbyt zajęci knuciem, co tam mieli do uknucia. I dobrze, wcale mu to nie przeszkadzało. Miał dzięki temu więcej czasu na rozmowę z Aidanem i jego ludźmi i na ułożenie planu dalszego działania.

Niestety, żołnierze jak dotąd nie robili nic poza czekaniem i patrzeniem.

Gazija i jego ludzie mogli roić sobie, że walczą z większym złem, nawet święcie wierzyć, że to prawda, ale to nie oznaczało przecież, że to właśnie robili w istocie, a jedynie to, że żywili przekonanie,

którego Vasil nie potrafił spenetrować swoim talentem. Często przekonywał się o tym, że ta jego umiejętność wywodzi go w pole, gdy stykał się z osobami żywiącymi żarliwe przekonanie odnośnie do jakiejś sprawy, a to dlatego, że ludzkie przekonania często nie miały wiele wspólnego z prawdą. Prawda jednego człowieka nie musi być prawdą dla drugiego. Dlatego właśnie wolał wyrokować w oparciu o dowody i zdrowy rozsądek, zwracając się do swojego talentu jedynie po potwierdzenie, jeśli tylko było to możliwe.

Na dziś miał jedynie słowo Pierwszego Wybawiciela i jego ludzi, żadnego potwierdzenia, żadnej pewności. Czy mógł usprawiedliwić mniejsze zło chęcią zwalczania większego zła? I czy to właśnie robił?

Zadrzał, wcale nie będąc pewnym, czy to tylko przez deszcz i chłód. Co za żalosne położenie.

Tok jego myśli przerwało rzenie. Podniósł głowę i ujrzał grupę ludzi wspinającą się na wzniesienie. Było ich pięciu i prowadzili ze sobą jednego konia. Aidan, cel Rau i Chalayan wstali, a kilku podwładnych starca zacisnęło ciaśniejszy krąg wokół swojego dowódcy.

Przybysze byli zmęczeni podróżą i mokrzy od deszczu, ale biła od nich groźba, jakaś nagła pilność i stłumiona pozorami gotowość. Gazija wyszedł do nich, machając im na powitanie. Vasil podbiegł do niego, gdy grupa mozolnie wlewała się na wzgórze.

– Czołem! – zawołał Gazija i rozkaszał się. Zgarbiony, zrobił gest w kierunku Lumphilderna, prosząc, by przejął obowiązki gospodarza.

Quiss pokonał dzielącą ich odległość długimi susami swoich pajęczych nóg. Vasil postanowił podczepić się pod niego, ściągając na siebie przepełnione dezaprobatą spojrzenie Pierwszego Wybawiciela. Minął go, z rozmysłem ignorując jego pretensje.

Grupa stanęła kilka jardów od Quissa. Trzej mężczyźni, dwie kobiety, każde w innym ubraniu, Vasil założył więc, że nie mogą być żołnierzami ani niczym w tym rodzaju. A jednak było w ich spojrzeniu jakieś okrucieństwo, które zmroziło go do kości. Albo dopuścili się w przeszłości okropnych czynów, albo byli ich świadkami, albo życie po prostu się na nich uwzięło – a może



wszystko naraz. Czasy były, jakie były, i wielu ludzi można by było opisać w ten sposób.

Koń nie niósł jeźdźca, ale był obładowany pakunkami, sakwami i torbami, obwiązany liną i nakryty pledem.

– Uroczy dzień na przechadzkę, czyż nie? – wyszczebiotał Quiss.

Vasil posłał mu nierozumiejące spojrzenie i pokręcił głową. Lumphildernowi odpowiedziała cisza. Quiss odkaszlnął w pięść.

– Ach, wybaczcie. Błogi nastrój dopada mnie czasem w najmniej spodziewanych momentach.

Jeden z przybyszów – gładko ogolony dryblas o starannie przystrzyżonych włosach – wyszedł naprzód i przemówił:

– Tylko tędy przejeżdżamy. Nie szukamy kłopotów.

– Ach, rety, zapewniam, że my również wolimy trzymać się od nich z dala. – Lumphildern przeniósł spojrzenie na dwie kobiety. – Czy któraś z was, drogie panie, nie nosi imienia Felicienne?

Ogolony mężczyzna obejrzał się na towarzyszy podróży. Ich twarze nie wyrażały zupełnie nic. Wrócił spojrzeniem do Lumphilderna.

– Pierwsze słyszę.

Quiss gestem zaprosił do siebie Vasila.

– Co myślisz? – szepnął. – Można mu wierzyć?

– Obawiam się, że nie. Dobrze wiedzą, kim ona jest.

– Doskonale! – Lumphildern zatarł ręce i przemówił głośniej: – Powiedziano mi, że będzie was więcej. Czy reszta jest już w drodze? Nie, nie odpowiadaj. Wiemy o lady Felicienne, która odbyła spotkanie z naszą... powiedzmy, przedstawicielką, kobietą imieniem Rebeci. To ona zaaranżowała ucieczkę wielu waszych ludzi z oblężonej Anasomy. Powiedziała wam też, że w drodze wzdłuż wybrzeża napotkacie sprzymierzeńców. No cóż... – Lumphildern zatoczył krąg ramieniem. – To my jesteśmy tymi sprzymierzeńcami i spodziewamy się rychłego przybycia Rebeci. Pytam więc raz jeszcze: która z was to lady Felicienne?

Przybysze wymienili ponure spojrzenia. Wreszcie zabrał głos dryblas na przedzie.

– Miała dołączyć do nas kilka dni temu, dokładnie jeden dzień po opuszczeniu Anasomy, ale nie dotarła do umówionego miejsca. Czekaliśmy długo... ale nie pojawiła się. Uważamy, że nie udało jej się wydostać z miasta.

– A więc albo została pojmana, albo jakieś nieprzewidziane wypadki uniemożliwiły jej ucieczkę – wywnioskował Quiss.

Mężczyzna przetarł wymęczoną twarz dłonią i wzruszył bezradnie ramionami.

– Nie wiemy.

– Na pewno dołączy do nas niebawem – rzekł pokrzepiająco Lumphildern. – Z tego, co słyszałem, lady Felicienne jest osobą zaradną i bystrą. Co myślisz, Vasil?

– O lady Felicienne? Słyszałem o niej. Jej reputacja potwierdza, co powiedziałeś. Inteligentna, wielorako uzdolniona kobieta.

– No proszę! A zatem wszystko się ułoży. Może Rebeci będzie miała jakieś wieści. Zapraszamy dalej. Na pewno nie pogardzicie gorącym posiłkiem. – Wskazał gestem ogniska i stół pod wiatą.

Wszyscy poszli tam, skąd dobiegał zapach potrawki, zostawiając Vasila z wieloma pytaniami i ani jedną odpowiedzią.



Przez cały ranek pod wieżą zbierali się ludzie. W południe Vasil zjadł obiad z Aidanem i jego towarzyszami. Złapał wzrokiem Lumphilderna, który kręcił nosem na jedzenie, ale przełknął kilka kęsów za zachętą Gazii. Nie dziwota, że takie z niego chuchro.

Późnym popołudniem napływ uciekinierów ustał zupełnie. Ludzie Pierwszego Wybawiciela podsycali ogień i na bieżąco dopełniali bulgocące kotły. Chleb nieco nawilgł, gdy zmienił się kierunek wiatru i stół zrosiła nieprzystająca siąpić mżawka. Dzień potoczył się dalej.

Głowa opadła Vasilowi na pierś i mało brakowało, a by się zdrzemnął pomimo chłodu i deszczu, gdyby nie nagłe poruszenie

w obozie. Warknął, gdy Aidan trącił go pod żebra.

– Kolejna niespodzianka.

Aidan w skupieniu przeżuwał nagarniętą do ust potrawkę. Na skraju drogi do wieży pojawił się koń, tym razem z jeźdźcem na grzbiecie – chudą i bladą kobietą, za którą powiewały długie i jasne włosy.

– Ta też wygląda... – skomentował Aidan, a Chalayan skinął głową.

Vasil zmrużył oczy, by baczniej przyjrzeć się kobiecie.

– Wygląda? – powtórzył skonfundowany. – Jak niby wygląda?

– Chuda. Wyniszczona. Jakby od tygodni nie jadła – wyjaśnił Aidan.

– Jak Lughildern – zauważył Vasil.

– Właśnie. Nie wiemy czemu, ale niektórzy z nich nie lubią jeść.

Chalayan zachichotał i wszyscy spojrzeli na niego.

– Może tylko piją krew – wyszeptał czarodziej, tocząc dookoła spojrzeniem.

– Jak jukarowie – dopowiedział cel Rau.

Aidan zbył to prychnięciem.

– I tak mało o nich wiemy, nie zatykajcie tych dziur bajkami. Zresztą jukarowie nie tylko piją krew. Zzerają też ciało.

I to niby lepiej? – pomyślał Vasil.

Chalayan wzruszył na to ramionami i wczepił się wzrokiem w kobietę, która spowolniła konia i zatrzymała się przy Lughildernie. Zgrabnie zsiadła z konia i szybko uścisnęła mężczyznę.

– Ma przy sobie całe mnóstwo rzemyśliw – powiedział Chalayan. – Może nawet jakieś talizmany, ale z tej odległości nie jestem pewien.

Mazoet wyrósł przy boku Vasila. Wielki mężczyzna sam jeden wtrząchnął cały bochen chleba i kilka misek potrawki. Lughildern gapił się na niego z odrazą przez cały czas, którego potrzebował, by tego dokonać.

– Przejdźmy się – zaproponował Mazoet i ruszył w dół wzniesienia.

Vasil wzruszył ramionami, patrząc na Aidana, a potem potruchtał za czarodziejem. Jak na tak zwalistego mężczyznę, Mazoet szybko się przemieszczał.

– Gazija ma dla nas zadanie – poinformował mag, gdy Vasil już znalazł się przy jego boku. Były sędzia zauważył, że mag niesie skórzany plecak, który wydawał się jednak prawie pusty.

– Jakie zadanie? I jaka w nim moja rola?

– Wkrótce się dowiesz, ale ponieważ wskazał do niego ciebie, wątpię, żeby chodziło o kopanie rowów, nie sądzisz? Do każdej roboty wybiera się odpowiednie narzędzie. – Objął Vasilą mrocznym spojrzeniem. – Czy jesteś narzędziem, Vasilu?

– Co? Co to znaczy?

– Czy jesteś narzędziem? Czy raczej rzemieślnikiem, który narzędzi używa?

Vasil poczuł, że krew nabiega mu do twarzy.

– Nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.

– O, rozumiesz. Czy jesteś rzemieślnikiem, który używa własnych narzędzi do swoich celów, czy może nawet dla dobra całego świata?

– Dotąd raczej sam czułem się jak czyjeś narzędzie.

– A więc czas, żebyś przemyślał swoje położenie.

– Wierz mi, przemyśliwam na bieżąco – zapewnił go Vasil.

Mazoet zmierzył go wzrokiem.

– Wątpię, żebyś robił coś poza rozczulaniem się nad sobą. Nie jesteś już tym, kim byłeś kiedyś.

Vasil zjeżył się na jego słowa i ton, ale zaraz oklapł, wiedział bowiem, że czarodziej ma rację. Cenił prawdę nade wszystko, okłamywanie się było poniżej jego godności.

– Masz mi jeszcze coś mądrego do powiedzenia?

– Rób to, w czym jesteś dobry. Używaj rozsądku, żeby rozwiązywać problemy wokół. Unikaj emocji, analizuj dowody. Dochodź do konkluzji, a potem je sprawdzaj. Upewnij się, czy twoja dedukcja nie wiedzie cię na manowce. Tylko tą drogą dotrzesz do prawdy.

– Ale jakie problemy? Twoje? Czy raczej Pierwszego Wybawiciela?  
– Vasil nie łąpał się na lep jego słów.

Kłopot w tym, że nie bardzo wiedział, co właściwie tu robi, a drobne polecenia – przepytaj tego, przepytaj tamtego – nie zespajały się w jego głowie w żaden większy obraz. Ale czy miał inne wyjście, jak tylko robić dobrą minę do złej gry? Nie dowie się niczego, siedząc na krypie albo w ruinach jakiejś starej wieży.

Prawda. O to tak naprawdę w tym chodzi. Musi dojść do prawdy.

Dobrze więc, pomyślał. Pomogę Mazoetowi, a w toku tej pomocy może prawda wypłynie na powierzchnię jak oliwa.

Mazoet milczał. Ścieżka wiodła ich na południe, równoległe do drogi i głębiej w ląd, tak że nie widzieli już oceanu. Czarodziej rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikogo nie ma.

– Chodź, szybko.

Wielki mężczyzna zszedł ze ścieżki i ruszył do widocznego w oddali lasu. Prędko ominął jezioro, ciągnąc za sobą w ogonie zdyszanego Vasila. Przedarli się przez wiszące nisko gałęzie, które rzedły, im głębiej zapuszczali się w las. Niebawem dotarli do miejsca nad brzegiem jeziora, osłoniętego ścianą gęsto skupionych drzew, oddzielonych od wody tylko wąskim pasem ciemnego piachu.

Znalazłszy nieosłonięty spłachetek gruntu, Mazoet gestem kazał Vasilowi się zatrzymać.

– Co tu robimy? – spytał sędzie.

Czarodziej bez słowa wygrzebał ze ściółki suchy patyk i wyrysował w piachu krąg o średnicy kilku jardów. Następnie pogłębił linię obcasem buta.

– Zaraz powiem – obiecał. Zwrócił się twarzą tam, skąd przyszli. – Najpierw daj mi sprawdzić, czy idzie za nami.

Vasil schylił się i uprzytomnił sobie, że nawet gdyby ktoś obserwował ich od strony wieży, nie zauważyłby ich teraz z za gęstej zasłony drzew.

– Ten czarodziej – dopowiedział Mazoet. – Ten nieszkolony.

– Chalayan? Nie powiedziałbym, że jest nieszkolony.

– Ty byś nie powiedział. Bo niby skąd miałbyś wiedzieć? Wierz mi, to, czym on czaruje, to mieszanka magii plemiennej i akademickiego czarodziejstwa. Z tego, co widzę, sam sklecił to wszystko do kupy. Od momentu gdy odkrył, że ma talent, pchał go naprzód głód wiedzy, ale brakowało mu mistrza.

– Tak jak twoim mistrzem jest Gazija?

Mazoet nie odpowiedział, ale sędzia poznał po jego minie, że nie czuje się komfortowo wypytywany o takie rzeczy. Osobliwe, pomyślał Vasil. Nie lubi odpowiadać na pytania o Gaziję, czy może o łączącą go ze starcem relację?

Czasem przychodziło mu na myśl, że chętnie oddałby swój dar rozróżniania prawdy i kłamstwa za dar czytania w myślach. Ale teraz postanowił skupić się na Chalayanie.

– On nas szpieguje?

– Nas, ciebie, wszystko jedno. On wszędzie węszy. Choć podejrzewam, że w tym konkretnym przypadku Aidan kazał mu mieć na ciebie oko.

– Na mnie? – Vasil zdradził się ze sceptycyzmem.

– Tak. Z Aidana jest spryciarz. W dodatku idealista. Jesteś narzędziem w jego rękach.

Vasil utkwiał w Mazoecie wędnące spojrzenie.

– Nie wydaje mi się.

– Żebyś się nie zdziwił. – Czarodziej umilkł. – Nie widzę, żeby nas śledził, a zdziwiłbym się, gdyby zdołał się ukryć przede mną. Ale niedaleko jest jakieś rzemysliwo... – Skrzywił się i rozejrzał, jakby coś zgubił. Jego wzrok zatrzymał się na Vasilu. – Podejdz tu.

– Czemu? Co się dzieje?

Mazoet zrobił krok ku Vasilowi, wzdychając.

– Opróżnij kieszenie.

– Kiedy ja nic nie ukradłem.

Mazoet wyciągnął do niego mięsistą dłoń, a w jego oczach błysnął gniew.

– Daj mi wszystko, co masz w kieszeniach. Natychmiast.

Vasil potrząsnął głową, lecz usłuchał. Kilka miedziaków, kłak nazbieranego w kieszeni kurzu, kawałek sznurka i mały czarny kamień, który spodobał mu się, gdy spacerował rano wokół wieży.

– E tam! – zirytował się Mazoet. – Tu nic nie ma. Zabieraj to. Co jeszcze masz przy sobie? Czy czarodziej coś ci dał?

– Tylko sakiewkę z pieniędzmi. – Vasil poklepał przywiązany u pasa mieszek. – Założyliśmy się i wygrałem. Wcisnął mi go, choć powiedziałem, że nie chcę zapłaty.

– Pokaż.

Vasil wyłowił z sakiewki złotą monetę. Mazoet wyrwał mu ją z ręki.

– Ejże!

Czarodziej zignorował go i wpatrzył się w ściśniętego dwoma palcami dukata. Zmrużył oczy. Przesunął rękę tak, by przyjrzeć mu się na tle plamy jasnego piasku.

– Ha! Wiedziałem.

– Co to?

Mazoet wskazał coś na powierzchni monety.

Vasil wytężył wzrok. Jakieś zadrapania pokrywały cały profil cesarza.

– To jakieś... pismo?

– Runy, symbole, glify. Zwał, jak zwał. To magia. Tak długo, jak masz to przy sobie, Chalayan wie, gdzie jesteś. Może nawet cię podsłuchuje. Ale rzemysliwo jest teraz nieaktywne.

Vasil zrobił się czerwony ze złości.

– Niby dlaczego to zrobił? – domagał się odpowiedzi.

– Bo jesteś narzędziem, instrumentem, który chcą wykorzystać. Środkiem do osiągnięcia celu.

– A dla ciebie nie?

Mazoet odczekał chwilę, nim odpowiedział. Uśmiechnął się cierpko, a potem przechylił głowę w geście szacunku, kołysząc podgardlem.

– Nie. Ale możesz się okazać naszym wybawieniem.

Tego Vasil nie spodziewał się usłyszeć, a już na pewno nie wypowiedzianego z takim przekonaniem.

– Nie rozumiem. Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć?

Mazoet milczał. Zamiast tego wrzucił dukat do jeziora. Moneta plusnęła o taflę i przepadła, zostawiając po sobie tylko rozchodzące się po wodzie koła. Oburzony Vasil gapił się na wodę i niknące na tafli fale. Zwrócił się twarzą do Mazoeta, który wzruszył ramionami, jakby to wszystko tłumaczyło.

– To tylko moneta.

– Nie, to moja moneta.

Vasil nie lubił być śledzony, ale nie w smak mu była utrata jedynej złotej monety, jaką miał. Sfrustrowany zagryzł zęby.

Obserwując go, mag wyjął z plecaka złożony materiał. Rozwinął go i pokazał mu długi i cienki złoty łańcuch. Na każdym ogniwie zawieszono były fasetowane klejnoty rozmiarów gołębih jaj, przezroczyście kamienie przetykane czerwonymi i zielonymi, a między nimi małe i płaskie dyski z kutego srebra, pokryte runami.

Vasil wlepił wzrok w łańcuch i rozdziawił usta.

– To są... – powiedział i przełknął ślinę. – Diamenty?

Za jeden taki klejnot mógłby kupić całą flotę okrętów albo małe miasto. Nawet talizman... albo trzy.

– Złoto, diamenty i inne precjoza – potwierdził Mazoet. – Magiczne rzemysliwo najwyższej jakości, śmiem twierdzić. Ale w gruncie rzeczy to wciąż tylko kamienie. Wciąż tylko przedmiot. – Mówiąc, Mazoet rozwijał łańcuch, a potem przerwał na moment, by rozplątać szczególnie zagmatwany fragment. Następnie zaczął ostrożnie układać go w wyrysowanym na ziemi okręgu. – Twój świat stoi nad przepaścią, choć niewiele osób zdaje sobie z tego sprawę. Nie możemy pozwolić, żeby to, co przydarzyło się nam, wydarzyło się i wam. To jest... nie do pomyślenia. Nie możemy... nie dopuścimy do tego po raz kolejny. Sama myśl o ucieczce jest dla większości z nas nie do przyjęcia. – Wbił wzrok w Vasila i patrzył, aż ten odbiegł spojrzeniem. – Prawdopodobnie jesteśmy dla waszego świata jedyną



nadzieją, tak jak wy naszą. Ale musimy stąpać ostrożnie, gdyż wasza interwencja może doprowadzić do naszego unicestwienia.

– Jaki mój świat? – nie zrozumiał Vasil.

– Tak to po prostu ująłem.

Prawda, pomyślał Vasil. A jednak podejrzewał, że jakimś tajemniczym sposobem Mazoet ukrył w swoich słowach głębszą prawdę. Dreszcz zbiegł mu po plecach.

Mag wszedł do drugiego, mniejszego kręgu zakreślonego złotym łańcuchem, a potem wskazał Vasila palcem.

– Całe to... złoto, drogie kamienie, czy co tam jeszcze uważacie za wartościowe... to wszystko nie będzie warte funta kłaków, jeśli dojdzie do drugiego Zdruzgotania. Próbujemy do niego nie dopuścić, nie przebieramy w środkach. – Umilkł, aby wypełnić płuca powietrzem, a potem wyciągnął do Vasila rękę. – Podejdź. Dołącz do mnie w kręgu.

Sędzia z obawą przestąpił nad łańcuchem i stanął u boku czarodzieja.

– Złap mnie za rękę – rozkazał Mazoet. – Musimy mieć kontakt fizyczny.

– Co się zaraz stanie? – zaniepokoił się Vasil, ale złapał podsuniętą dłoń.

Mazoet przymknął oczy.

– Przyspieszymy realizację naszego planu. Indryallańska inwazja nastąpiła szybciej, niż myśleliśmy. Nie udało nam się zakończyć przygotowań.

– Wy wiedzieliście, że dojdzie do inwazji?

– „Wiedzieliście” to za dużo powiedziane. Raczej podejrzewaliśmy. Uznaliśmy, że musi wydarzyć się coś doniosłego. A teraz proszę, bądź cicho. Muszę się skoncentrować.

Bez ostrzeżenia łańcuch buchnął gorącem i błysnął pomarańczowym światłem, niby wrzucony do paleniska kowala. Piasek pod nim zaskwierczał i zasyczał. Para uniosła się w górę i zawirowała na wietrze.

– Co się dzieje?

– Musimy się szybko gdzieś dostać – odrzekł Mazoet, nie otwierając oczu. – Podróż konno trwałaby zbyt długo, więc lepiej skorzystać z innej formy transportu.

Vasilowi skręcił się żołądek i złapały go mdłości.

– Teraz jesteśmy tutaj, ale za chwilę będziemy tam – dodał Mazoet tonem wyjaśnienia, jakby to miało jakiś sens.

– Co się dzieje z rzemyśliwem?

– Jak to co? Ulega zniszczeniu. Uznaj to za dowód na prawdziwość naszych intencji i naszego oddania sprawie. Musimy być gotowi na poświęcenie i choć to tylko dobra materialne, może da ci pojęcie o tym, że jesteśmy w tym na poważnie. Gdyż słowa łatwo ugnieść tak, by sprawiały pozory prawdziwych, wcale prawdziwymi nie będąc.

Zanim Vasil zdołał coś na to powiedzieć, zawirowało mu w głowie, a żołądek przyrósł do kręgosłupa, gdy jakaś potężna siła złożyła go na pół jak kartkę, zarówno ciało, jak i umysł, a potem wyżeła niczym mokry ręcznik. Jeden z kamieni trzasnął i eksplodował. Jasne, lśniące odpryski posypały się na piach wokół ich stóp.

Świat zamazał się Vasilowi przed oczami. Zakręciło mu się w głowie i padłby na ziemię, gdyby miał jeszcze pod nogami jakąś ziemię. Kolejny trzask, a potem jeszcze dwa. Iskry zajaśniały mu w oczach, a potem zgasły.

Nagle z głuchym odgłosem twarzą wbił się w piach. Szaleńczy pęd wysłał mu z płuc całe powietrze. Dysząc jak ryba wyrzucona z wody, uświadomił sobie, że wciąż zaciska powieki. Rozwarł je wolno, jakby były zalepione klejem.

Siedział na piasku, ale piasku w innym kolorze. Białym. Mazoet siedział obok, przyglądając mu się z nonszalanckim błyskiem w oku. Drzewa, jezioro – to wszystko zniknęło, a z bezchmurnego nieba biło w niego jasne słońce. O piaszczysty brzeg po jego lewej stronie uderzały morskie fale.

Z prawego buta Vasila unosiła się smużka dymu, zaczął ją więc zduszać obcasem drugiego. Od skóry odpadł kawałek

jasnozielonego szmaragdu i spadł w piasek, wciąż dymiąc. Prawie wypalił mu dziurę w bucie.



– Wydaje mi się – powiedział Aidan, ostrożnie dobierając słowa – że kilka setek ludzi to jeszcze nie armia.

Gazija zachichotał i zatarł swoje pomarszczone dłonie. Stary był dzisiaj w dobrym nastroju. Odkąd do obozu dotarli już wszyscy uciekinierzy z Anasomy, szeroki uśmiech nie schodził z jego twarzy.

– To prawda, trudno nazwać to armią. Ale małe rzeczy prowadzą czasem do wielkich. Zwłaszcza jeśli ma się głowę na karku i umie się myśleć kilka kroków naprzód.

– Co ty planujesz, starcze?

– Pomagam cesarzowi obronić jego cesarstwo, młodzieńcze. Robimy, ile tylko się da, znalazłszy się w takich, a nie innych okolicznościach. I, ośmielę się dodać, o wiele więcej, niż ty zrobiłeś kiedykolwiek.

– To nie moja walka.

– Ha! Po prostu jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Aidan pociągnął nosem. Kropelka wody wisiała mu z czubka. Otarł ją.

– Nie czuję się przekonany. Jak dotąd nie słyszałem, żeby najeźdźcy zrobili komuś coś złego. Pomijając, że w ogóle najechali Anasomę. Ktoś zginął w trakcie walk, ale z tego, co udało mi się ustalić, miasto wcale nieźle stoi.

Nie tracił czasu, musiał przepytac ludzi, którzy napłynęli do obozu. Choć wszyscy byli lojalni cesarzowi i zarzekali się, że Indryallanie to zło wcielone, jedynym dowodem na to było zniszczenie Gildii Czarodziejów wraz z Protektorami.

Aidan uważał, że im mniej czarodziejów na świecie, tym lepiej dla świata. Choć czasem się przydawali. Tak wielka moc w rękach tak słabych umysłów to gotowy przepis na tragedię, ale dopóki byli na

świecie ludzie tacy jak on i Caitlyn, zło doczeka się rychłej kary. Tylko musi mieć oko na Chalayana. Czarodziej od kilku dni węszył wokół popleczników Pierwszego Wybawiciela, usiłując podpatrzeć jakieś ich sekrety. Od bitwy, w której Caitlyn... rozstała się z życiem, a czarodziej doświadczył próbki ich mocy, Chalayan był rozstrojony, choć dobrze to ukrywał. Aidan widział, że mag pragnął uszczknąć tej mocy dla siebie. To właśnie pragnienie wiedzy i mocy pchnęło go na ścieżkę magii, a Aidan był całkiem pewien, że jeśli Chalayan jeszcze zwiększy swoją potęgę, będzie już mógł rozkazywać samym żywiołom. Znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie oprze się takiej pokusie. Już ja go przypilnuję, pomyślał.

– A więc uważasz, że ten niebieski płomień, który nie pozwala nikomu wejść i wyjść z miasta, to nic takiego? – spytał Gazija, ale zaraz zmienił zdanie i pokręcił głową. – Zresztą nieważne, nie chce mi się o to spierać. Wolę pogadać o tych twoich ludziach w lesie. Jest ich więcej, niż kiedy znalazł cię Mazoet. To niedobitki twojej bandy.

– Zdumiewasz mnie, starcze. Wiesz o rzeczach, o których wiedzieć nie powinienes.

– Taki mój fach, że muszę wiedzieć to i owo. – Gazija zakaszła, zdzierając gardło, i zasłonił usta chusteczką. Gdy odjął ją od ust, była brudna od krwi. Aidan zauważył to, ale przemilczał. Gazija machnął ręką i jeden ze służących przyniósł mu laski, którymi podpierał się przy chodzeniu. – Nazywasz mnie starcem, i owszem, jestem starcem, ale bynajmniej nie głupcem, Aidanie. Jak już mówiłem, im więcej wiesz, tym lepsze podejmujesz decyzje.

– I tym jesteś potężniejszy.

– Ktokolwiek wmówił ci, że wiedza jest równoznaczna z potęgą, powinien rzucić się z klifu. Potęga ma wiele twarzy. Jedna z nich to wiedza, owszem. Ale są i inne: na przykład pieniądze albo wpływy. Cesarz jest potężniejszy od chłopca, prawda? Dlaczego? Ze względu na swoją pozycję. Możliwość nagradzania innych to także potęga, tak jak charyzma, umiejętność zjednywania sobie ludzi. Tylko głupiec ogranicza się do wiedzy.

– Skoro tak twierdzisz.

– Tak właśnie twierdzą. Żyję długo i wiele się dowiedziałem, a najważniejsze jest właśnie to. – Gazija znowu zakaszła, ale zaraz podjął: – A teraz przejdźmy do interesów. Jeśli mamy odbić Anasomę, potrzebna nam wasza pomoc. Część roboty wykonamy sami, ale nie wszystko.

– Ilu was tam jest?

Gazija omiół go uważnym wzrokiem.

– Dość dużo.

– Ja jeszcze nie wiem, czy chcę ci pomóc, starcze.

– Zechcesz. Wierz mi, nie zdołasz się powstrzymać.

– Dlaczego?

– Bo taka już twoja natura.

– W mojej naturze jest tropienie zła i zwalczanie go. – Tę część ideałów Caitlyn podzielał. To właśnie one ich połączyły. Lecz ideały potrafiły zrobić z człowieka potwora. Caitlyn padła ich ofiarą, Aidan poprzysiągł, że do tego nie dopuści.

– Właśnie. I to właśnie ta natura sprawia, że jesteś nam tak przydatny. Ty i twoi ludzie. Słynna jednostka tropicieli zła, znana wielkim i maluczkim. Powiem szczerze: cieszę się, że to ty nią dowodzisz, a nie lady Caitlyn. Gdyby wciąż z tobą była, obawiam się, że już dawno targnęłaby się na moje życie.

Aidan łypnął na niego spode łba.

– Nie mów o niej.

Gazija pochylił głowę.

– Wiem, że jej pamięć sprawia ci ból. Musiała wiele dla ciebie znaczyć.

– Co ty możesz o tym wiedzieć?

– Wiem dosyć. – Gazija westchnął, wyrzucił z płuc powietrze jak człowiek przygnieciony do ziemi zbyt wielkim ciężarem. Zgarbił się zauważalnie. – Wręcz za dużo, w tym cały szkopuł. Przeszłość kładzie się nam na barkach ciężarem bolesnego jarzma, czy człek stary czy młody. – Poprawił się, wsparty na laskach, i wyprostował. – Ale wystarczy tych dygresji. Naradzaliśmy się odnośnie do tego, jak mógłbyś nam pomóc.

– Po prostu powiedz, czego chcesz – powiedział Aidan. Krew ścinała mu się w żyłach na myśl o przymierzu z Gaziją, którego motywów nie potrafił przeniknąć, ale zdawał sobie sprawę, że musi zrobić, co ma do zrobienia. Brutalna siła na nic mu się tutaj nie przyda. Musi uciec się do subtelniejszych metod. Łatwiej znajdzie ich słaby punkt, jeśli rozpocznie poszukiwania od środka. Caitlyn wybrała inną drogę, ale ta doprowadziła ją do szaleństwa i rozpacz.

– Chcę, żebyście nas zostawili. – Gazija zachichotał pod ostrym spojrzeniem Aidana. – Wiem, że po tym, jak was ugościliśmy, niechętnie zrezygnujecie z naszego towarzystwa, ale niestety, obawiam się, że to nieuniknione. Indryallanie posuwają swoje plany naprzód. My realizujemy nasze, które mają za zadanie udaremnić ich zamysły, a gdzieś tam, któż wie gdzie, imperium również nie próżnuje. A mnie trzęsie, bo nie wiem, co to za plany, co to za zamysły.

– Nie masz jakichś szpiegów, którzy by ci o tym donieśli?

– Świat zna nas jako kupców, nie szpiegów. Ależ oczywiście, że mamy pewne źródła informacji: zaprzyjaźnionych kupców i handlarzy, ludzi u nas zadłużonych, którzy z ochotą i oddaniem regulują długi tą właśnie walutą.

Gazija zacharczał w poznaczoną wątrobianymi plamami dłoń. Odgłos budził skojarzenie z awarią w tartaku. Jego ludzie przestąpili nerwowo z nogi na nogę, wbijając w niego zatroskane spojrzenia. Aidan również patrzył, ale bez troski. Gazija to chyba zauważył i znowu westchnął. Dowódca nie miał pewności, zdawało mu się jednak, że starzec nie roztkliwiał się nad sobą, lecz nad nim.

Zachowaj litość dla siebie, ty stary dziadzie, pomyślał. Mnie ona niepotrzebna.

– Oczywiście, tak naprawdę nie jesteśmy żadnymi kupcami – podjął Gazija – ale ta maska zapewnia nam pewną swobodę działania. Nie żeby wynagradzała nam ponoszone przez nas ofiary – podjął po chwili namysłu. – To żadne życie. Byliśmy kiedyś dumnym ludem, a teraz popatrz tylko na nas. Parszywiejemy w oczach. Jesteśmy cieniem tego, czym byliśmy kiedyś. Zbyt długo uciekamy.

Uciekliśmy wcześniej i ja wciąż uważam, że to była dobra decyzja. Ale oto stajemy przed podobnym wyborem, choć bogatsi o doświadczenie. Czas, żebyśmy przestali uciekać, niezależnie od konsekwencji.

O czym on mówił? Co to za „dumny lud”? Na przodków, co to wszystko znaczyło?

– Spytam raz jeszcze – odrzekł Aidan, maskując emocje. – Czego od nas chcesz?

– Vasil otrzymał dwa zadania. Jedno ze względu na swój dar, z którym powinien sobie poradzić, oraz drugie, gdzie szanse powodzenia są nieznaczące. – Gazija łypnął na Aidana z cieniem obawy i zaraz odwrócił wzrok. – Chcemy, żebyście pomogli mu z tym drugim.

– A cóż to za zadanie?

– Dziś całe cesarstwo wie już o inwazji na Anasomę. Ludzie widzieli barykadujące stolicę płomienie. Ci, którzy chcieli się do niej dostać, zostali zawróceni. Posłańców rozesłano we wszystkie strony świata, a ci nie szczędzili koni i własnych nóg. Nawet wasi czarodzieje komunikują się między sobą. Wiemy, że cesarza poinformowano i że zareagował. I wierz mi, że nie bawi się w subtelności. Cesarskie wojsko jest już w drodze.

– A więc powinniśmy zostawić to żołnierzom. Odbiją miasto i oczyszczą je z Indryallan, a jednocześnie wyślą klarowne ostrzeżenie wszystkim, którzy roją sobie, że mogą bezkarnie rzucić wyzwanie cesarskiej potędze.

– Może...

– Co? Mówże, Gazija.

– Podejrzewamy, że coś jest nie tak.

– Co takiego?

– Gdybyśmy wiedzieli, tobyśmy ci powiedzieli.

– Doprawdy?

Gazija wzruszył ramionami.

– Masz rację, pewnie nie.

– To czemu miałbym ci zaufać?

– Osądzisz nas po czynach.

– Jak, skoro mnie tu nie będzie?

– Słusznie. Ale byłeś dotąd. Musiałeś coś wywnioskować choćby z tego, że uratował cię Mazoet. Fakty są takie: czy tu jesteś czy cię nie ma, nasze czyny będą takie same. – Gazija machnął ręką na północ, zamykając w tym geście, podejrzewał Aidan, Anasome i to, co za nią. – Ta sprawa nie rozstrzygnie się na polu małych kroczków i konwersacji takich jak ta, choć są one elementem większej całości. Zresztą kto to wie... Nie jestem jasnowidzem. Chcę powiedzieć, że donioślejsze wydarzenia namalują ci wyraźniejszy obraz tego, co się naprawdę dzieje.

Aidan wysłuchał, ile zdołał, i miał już dość słuchania. Obrócił głowę i splunął. Czuł niesmak po rozmowie z Gaziją. Stare, rozkochane w brzmieniu własnego głosu dziady i ich bajdurzenie o pryncypiach i doniosłościach tego świata. Właśnie po to dołączył do lady Caitlyn – by uciec od człowieka takiego samego jak Gazija – od swojego ojca.

– Do konkluzji, starcze. Twoje gędzenie działa mi na nerwy.

Gazija przekrzywił głowę.

– Jak sobie życzysz. Chcę, żebyś eskortował Vasila w drodze na zachód, dalej od Anasomy.

– Dlaczego?

– Bo cesarz wysłał tu żołnierzy jako odpowiedź na inwazję. Najprawdopodobniej całe mnóstwo, a wśród nich są pewnie Protektorzy i jego arcymagowie. Ktoś rzucił wyzwanie jego władzy, a tego on nie może tolerować. Wedle moich informacji przybędzie do miasta osobiście, choć na tyłach swojej armii, i zapewne uczyni w ten sposób wbrew zaleceniom swoich doradców. Ale okazja do ujżenia na własne oczy tak wielkiego zwycięstwa jest dla niego zbyt ponętna. Chce tryumfalnie wparować do stolicy na czele defilady zwycięskiej armii, dokonawszy zatrważającego pokazu potęgi... Tak, cesarz przybędzie do Anasomy. Jestem tego pewien.

– Ale co to ma wspólnego z Vasilem? I ze mną?



– Kiedyś, dawno temu i przelotnie, Vasil spotkał cesarza. Uważamy, że cesarz może mu nawet do pewnego stopnia ufać. Poleciliśmy Vasilowi, żeby poprosił go o audiencję i wyjaśnił mu, co zrobiliśmy, żeby pomóc. Vasil będzie nas reprezentował. Jego zadaniem jest przekonać cesarza, że jesteśmy godni zaufania. Nie mogę ci jeszcze wszystkiego wyjawić, ale jest rzeczą najwyższej wagi, żeby cesarz dostrzegł w nas cennych sojuszników. Żywimy nadzieję, że Vasil okaże się przekonującym orędownikiem naszej sprawy.

– Nie chciałbym szczać do twojego ogniska – powiedział Aidan najzupełniej szczerze – ale to brzmi, jakbyś stawiał wszystko na jedną, bardzo słabą kartę.

– Do odważnych świat należy, Aidanie. Weźmy na przykład tę twoją misję. Próbujesz wyplenić zło, ale co wyplenisz, to wyrasta nowe, prawda? Czy to cię zniechęca? Jasne, że nie. Robisz, co możesz, bo gra jest warta świeczki. Jasne, w tym przedsięwzięciu jest cała masa niewiadomych i poważamy się na wielkie ryzyko. Ale jeśli cała moja wiedza czegoś mnie nauczyła, to tego: cesarstwa to skomplikowane układy, a cesarze to skomplikowani ludzie. Jak się zachowa cesarz? Tego nie wiesz ani ty, ani ja, ani nikt. Jednak warto spróbować, warto podjąć próbę wytłumaczenia cesarzowi, jak wielkie posiadamy wpływy i że jesteśmy gotowi wykorzystać je, żeby mu pomóc... choć na naszych warunkach.

Piękna przemowa, pomyślał Aidan. A jednak choć drażnił go patos Pierwszego Wybawiciela, słuchając go, poczuł, że oto – być może – ma przed sobą człowieka godnego zaufania. Nie sądził, by starzec wyjawiał mu wszystko, ale przynajmniej widział, że jego idealizm jest utemperowany pragmatyzmem.

Czego nie dało się powiedzieć o Caitlyn... Ta myśl sprawiła, że głębiej zaczerpnął tchu.

– Rozważę twoją prośbę, Gazijo – powiedział w końcu. – Poczekamy sobie w tym czasie na powrót Vasila. Wiesz może, kiedy wróci?

– Niedługo. Poszli, żeby ponaglić naszą armię. Między innymi.

Aidan rozdziawił usta. To oni mają armię?  
Gazija odpowiedział uśmiechem.



**N**iektóre były jaskrawe i klarowne, inne przygaszone i zatarte. Lubił myśleć o tych wyrazistych, że to one w największym stopniu kształtują życie człowieka. Było tak, jakby jego umysł zapisał wszystko, co Amerdan w życiu zobaczył, powąchał, dotknął i usłyszał, a potem wszył to w materię swojej duszy jak kolorowe łąty. I w odróżnieniu od tego, co mówiła większość ludzi, wspomnienia Amerdana z czasem stawały się coraz ostrzejsze. Uważał, że produktem ubocznym jego przepoczwarzenia, transformacji popychającej go naprzód na drodze do pełnego odrodzenia, była ciekawość.

Najwyraźniejsze wspomnienia często wracały do niego znienacka, kiedy był skupiony na zwyczajnych, codziennych czynnościach, jakby chciały mu o czymś przypomnieć, podtrzymać go w stanie skupienia.

Chyba najsilniejszym ze wszystkich było to związane z jego rodziną, odcisnięte w jego pamięci twarze matki, ojca i sióstr. Przytulnego domu, który znajdował się kilka dni drogi od wioski. Ojca, który zawsze pachniał ziemią i potem po całym dniu pracy na farmie, i matki, której ten zapach nie przeszkadzał.

Przez otwarte na oścież okna wpadały do ich domu snopy letniego światła, a w nich polśniewały dryfujące w powietrzu drobinki kurzu. Tego dnia zginął jego ojciec. I matka. Dzień, w którym przyszedł czarodziej wraz z tymi swoimi potworami. Szukając dzieci do swoich eksperymentów. Sądząc po świetle, które wpadało do środka przez żelazną kratę wprawioną w kamienną ścianę, spędzili w klatce kilka miesięcy.

Zimno, brudno i głodno, bo czarodziej karmił tylko na tyle, by utrzymać ich przy życiu. Siostry Amerdana błagały sługi czarodzieja o jakieś jedzenie... które oddawały Amerdanowi, by zachował siły. W końcu był z nich najstarszy. Miały nadzieję, że je uratuje.

Amerdan zacisnął powieki, zmagając się z tym wspomnieniem – najboleśniej z wszystkich, nawet tych, które zrodziły się w momencie śmierci jego rodziców. Poniósł porażkę, nie zdołał ocalić sióstr. Siła i sposobność na pokonanie maga przyszły zbyt późno. Nawet jego gorąca krew nie zmyła z Amerdana wstydu.

Czy nienawidził czarodziejów? Często się nad tym zastanawiał, a odpowiedź zawsze brzmiała: tak. Nienawiść to jedyna emocja, jaką odczuwał. Szczerze mówiąc, poza nią i tym, czego pragnął, nie obchodziło go już zupełnie nic.

Ujął srebrny łańcuch na swojej szyi i wydobył z za koszuli talizman, drugą wartościową rzecz, którą dał mu mag. Podniósł kulisty wisiołek i ucałował go delikatnie, a potem włożył do ust i obtoczył językiem, by zwilżyć powierzchnię. Gdybym tylko mógł cię wchłonąć, pomyślał. Uczynić cię częścią mnie. Stać się z tobą jednością.

Schowana za koszulą Kropka poruszyła się. Czuł się bezpieczny, gdy tam siedziała, ale nie mogła mu w niczym pomóc, jeśli nic nie widziała. Nie wiedział, czemu ożyła po tym, gdy wszystkie poza

jedną jego siostrą zostały zabite, ale cieszył się, że to zrobiła. Lubił myśleć, że jakaś część jego sióstr zamieszkała w lalce.

Gdy Caldan wyruszył rano do miasta, Amerdan postanowił, że nie będzie już dłużej czekał. Dzwonki nie dawała Caldanowi dość informacji, by opłacało mu się trzymać ją przy życiu. I czekał już dość długo, by móc ocenić, czy Caldana warto pochłonąć, czy nie. W porównaniu z Dzwonkami chłopak był jak dziecko w lesie, nawet jeśli pokonał ją w tunelach pod Anasomą, gdzie dopisało im szczęście podczas ucieczki. Nie, Dzwonki była... jedyna w swoim rodzaju.

Ssał talizman, jakby to był cukierek, rozkoszując się rozlewającym się po ustach surowym, metalicznym smakiem. Chciał – i potrzebował – żeby Dzwonki zabrała go na spotkanie z Bogiem-Imperatorem. Wtedy spełniłaby swoją funkcję i mogłaby mu się przydać już tylko w jeden sposób.

Caldan przejrzał jej rzemyśliwa i zostawił pięć dzwonek, a Amerdan wiedział, że to znak. Gdy wracał do obozu z myszami, o które poprosiła Elpidia, wrona zakrakala pięć razy i wtedy wiedział na pewno, że czas nadszedł.

Skrył się poza obozem i wyjął lalkę zza koszuli. Chętnie trzymał ją tam w czasie podróży, przy ciele, zaraz przy swoim bijącym sercu. Spytał ją, czy słusznie oszacował porę dnia, a ona potwierdziła, że owszem – a więc postanowione.

Niech Dzwonki myśli sobie, że przekupiła go dukatami. Że to był jej pomysł, by wykiwać Elpidię. To przecież bez znaczenia. W końcu dotrze do niej nieuchronność jej losu i wtedy będzie błagać go o litość. Ostatecznie wszyscy błagali – i wszyscy bezskutecznie.

– Nie pomożesz mi z ogniem?

Poirytowany głos Dzwonek poniósł się tam, gdzie Amerdan siedział w ciemności. Między drzewami widział słaby pomarańczowy blask. Wypluł talizman i schował go za koszulę. Podniósł z ziemi uzbierane patyki i wyszedł na otwartą przestrzeń.

Dzwonki wykopała dół w miękkiej ziemi pod drzewami i roznieciła małe ognisko – wystarczające, by nieco się ogrzać,

a może nawet ugotować posiłek. Niech sobie ugotuje, co chce. Po okresie niewoli w dzieciństwie Amerdan już zawsze wolał jeść na surowo.

Ale doły były przydatne. Na przykład można było rozpalić w nich niewidoczne z daleka ogniska. Lub coś w nich zakopać.

Podszedł bliżej.

– Proszę – powiedział, posyłając tej czarodziejkiej wywłóce przelotny uśmiech, bo tak zachowywali się w podobnych sytuacjach zwykli ludzie.

– Dzięki. Zostaw tam.

Amerdan położył chrust obok dołu. Pomyślał, że dobrze zrobi, utwierdzając ją w jej opinii na jego temat.

– No to... kiedy dostanę pieniądze?

Znużona czarodziejka wzruszyła ramionami.

– Kiedy wrócimy. – Spojrzała na niego bacznie, jakby podejmowała jakąś decyzję. – Ale to może zająć dłużej, niż myślisz. Najpierw musimy udać się na zachód.

– W jakim celu?

– I tak muszę dołączyć do cesarskiej armii. Z powodu... – Zawahała się. – Z kilku powodów. Muszę wykonać moją misję. Możesz wrócić do Anasomy i poczekać na mnie albo możesz mi pomóc.

Amerdan stał nieruchomo. Na zachodzie gromadziły się wojska cesarstwa, a wiedział, że ta czarodziejka nie rozgromi tej armii sama. Co oznaczało...

– Idziesz tam na spotkanie z cesarzem. Żeby go zabić czy żeby negocjować?

Zmrużyła powieki i domyślił się, że trafił blisko dziesiątki. Dzwonki spuściła wzrok, a na jej ustach zagrał uśmiech.

– Żeby z nim porozmawiać. Między innymi. Gwarantuję, że dostaniesz swoje złoto. Oni nie będą ryzykować starcia ze mną.

Kłamstwo na kłamstwie i kłamstwem pogania.

– A co z Caldanem? Nie zapominaj, uzgodniliśmy, że jest mój. Ale ponieważ zabił Klucza, przysięgłaś ich wszystkich zabić. Poza mną, ma się rozumieć.

Amerdan chichotał w duchu, ilekroć mówił Dzwonkom w oczy o śmierci Klucza.

– Caldan jest twój, ale Elpidia będzie musiała poczekać, dopóki nie skończę.

Amerdan kiwnął na to głową. Nie wierzę jej ani trochę, pomyślał, kryjąc rozbawienie. Ta mała suka próbuje mnie zwieść. Chce Caldana dla siebie. I jakimś sposobem chce zabić cesarza. Chyba że ja zabiję go pierwszy. Jakież talenty może mieć cesarz, których nie mają zwykli ludzie?

Rozkoszował się tą myślą. Ten czy tamten cesarz – to bez różnicy. A najlepiej dorwać obu.



– To twój pokój – powiedział czeladnik, wskazując otwarte drzwi prowadzące do surowo umeblowanego pomieszczenia. Pod ścianą stała drewniana ława, obok wąska prycza zarzucona szarym wełnianym kocem. Jedyne okno było zasłonięte okiennicą.

Choć wysoki mężczyzna o prostych, przetłuszczonych włosach przerwał mu kąpiel, by czym prędzej zagnać do kwatery, Caldan podziękował mu uprzejmie i rzucił swój dobytek na ławę. Zawartość torby zabrzączała metalicznie. Po wizycie w łaźni czuł, że wracają mu siły. Postanowił wykorzystać wolny czas na badanie rzemyśliw Dzwonków.

– Zawołaj, jeśli będziesz czegoś potrzebował – dodał czeladnik z uśmiechem. – Ktoś będzie stał na zewnątrz. Powiedziano nam, że mamy cię traktować jak jednego z nas, ale jeszcze nie możemy oprowadzić cię po budynku.

– Rozumiem – odpowiedział Caldan, a mężczyzna wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Rzeczywiście rozumiał, to nie była tylko pusta uprzejmość. Mistrzowie mieli wiele do przemyślenia i przedyskutowania w związku z jego nagłym pojawieniem się wraz z talizmanem mistrza Simmona.

Ale to nie oznaczało, że zostanie tu tylko dlatego, że mistrzowie sobie tego życzą.

Zrobił, co miał do zrobienia, teraz musiał więc ulotnić się stąd bez wzbudzania podejrzeń. Nie taka prosta sprawa. Jego przedwczesny wyjazd mistrzowie mogliby uznać za zagadkowy, może nawet podejrzany. Ale musiał wracać do Mirandy.

Przyjrzał się bliżej oknu i stwierdził, że okiennice są zamknięte. Tędy nie ucieknie. Wyjściem też nie może, bo pilnuje go jakiś czeladnik. Wachlarz możliwości szybko się kurczył. Nie był głupcem, nie zamierzał więc wyłamywać okna surową destruktywną magią. To wyjawiliby Protektorom o wiele więcej, niżby sobie życzył, a poza tym i tak nie zyskałby tą drogą wielkiej przewagi. Jest wielce możliwe, że złapaliby go, zanim zdołałby opuścić budynek. Nie, musi uciec w taki sposób, aby odkryli jego nieobecność po dobrych kilku godzinach.

Musiał po prostu odkleić myśli od tej sprawy i pozwolić, by rozwiązanie samo do niego przyszło, jak to zwykle następowało, gdy grał w dominion.

Caldan poderwał głowę, gdy kropelka deszczu prysnęła o okiennicę. I następna. Przez szczelinę błysnął piorun, a chwilę potem huknął grom. Natychmiast zapukały kolejne krople, ich rytm narósł i zmienił się w ciągły szum. Caldan miał nadzieję, że Elpidia zaprowadziła Mirandę do wozu, nim przemokła na tej ulewie.

Wyjął odebrane Mahsonnowi rzemyśliwa i usiadł na pryczy. Nie wiedział, na czym dokładnie polegały zdolności skrytobójcy, ale z całą pewnością, jak wszystkie inne, służyły do czarowania.

Posokowiec miał kilka asów w rękawie, a Caldan chciał się im przyjrzeć. Kto wie, może przydadzą się i jemu. Rzemyśliwa Dzwonków były dla niego zbyt skomplikowane i na pewno nie rozgryzie ich w tak krótkim czasie, ale zgadywał, że Mahsonn nie był tak zaawansowanym rzemyślnikiem.

Bransoleta i medalion. Niewiele, jak na czarodzieja, który niby miał rzadki talent. Kiepskie wykonanie – ocenił z niesmakiem,



przyglądając się bransolecie, a potem jego wzrok spoczął na medalionie w kształcie rogatego zwierzęcia.

Caldan odsunął pozostałe przedmioty na bok i wziął go do ręki. To za jego pomocą Mahsonn stawał się niewidzialny. Pozostałe rzemysliwa ledwie zasługiwały na to miano. Choć metale były czyste, łączenia między surowcami i runami wisiały na włosku. Zapewne rękodzielo Mahsonna, ale ten medalion to zupełnie co innego. Musiał zostać wykonany przez wprawionego kowalotwórcę.

Caldan otworzył studnię i skupił się na nim. Wyłapał zbyt wiele łączeń i kotwic, aby przypisać autorstwo rzemysliwa prostemu czeladnikowi. Nawet mistrz nie podłączyłby strumieni pod wszystkie. Zaczął je liczyć i doszedł do... trzynastu! To przecież... niemożliwe. Ale przypomniało mu się, co mówiła Dzwonki: posokowcy potrafili rozdzielić moc na wiele wąskich strumieni i wszystkie kontrolować.

Rzucił medalion na pryczę i westchnął z odrazą. Bezużyteczny. Pomyślany specjalnie tak, by tylko posokowiec mógł się do niego podłączyć. Nie rozgryzie tego rzemysliwa, chyba że sam nauczy się rozdzielać studnię na wiele strumieni.

Przyjrzał się trzem innym przedmiotom i je także zakwalifikował jako szmelc. Jeden był tarczą, ale tak mizernej jakości, że ledwie spełniał swoją funkcję. Praktycznie wygaszona studnia była wielką wadą magów takich jak Mahsonn. Znacznie ograniczała spektrum ich możliwości.

Załomotał w drzwi i chwilę później stanął w nich czeladnik.

– Muszę zobaczyć się z mistrzynią Annelie – rzekł z naciskiem Caldan. – Albo z mistrzem Moldem. Ktokolwiek jest wolny.

– Są na zamkniętym spotkaniu. Nie sądzę, żeby...

– Pukaj, dopóki ktoś nie otworzy. Zrób raban, jeśli będzie trzeba. Nie obchodzi mnie to. Po prostu wyciągnij któregoś i przyślij do mnie. To ważne. Zapomniałem im czegoś powiedzieć.

Czeladnik łypnął na niego wilkiem, ale ostatecznie skinął głową na znak zgody.



Mistrzynie Annelie ledwie musnęła Caldana wzrokiem, gdy weszła do pokoju i natychmiast podeszła do okna. Sprawdziła, czy okiennice są zamknięte, a potem zwróciła się twarzą do niego, bawiąc się jasnym lukiem.

– Poinformowano mnie, że jest jeszcze coś, co musisz nam powiedzieć – rzekła. – Coś, o czym... zapomniałeś. Zgadza się?

Caldan przełknął ślinę i kiwnął głową. Wykręcił palce, chcąc sprawić wrażenie zdenerwowanego, choć nie musiał bardzo udawać. Nie potrafił przewidzieć, jaki tok działania podejmą mistrzowie, a wyjawiając im to, co wie, ryzykował zdrowie Mirandy, ale nie miał innego pomysłu, jak dowiedzieć się, na ile Protektorzy są biegli w magii zniewalającej.

– Zanim mistrz Simmon... zginął, wyznał mi, że nie kontroluje swoich czynów.

Caldan dostrzegł, że Annelie zmroziło. Spojrzeniem swoich zielonych oczu przewiercała go na wylot. Zdumienie zachmurzyło jej rysy, nim na powrót skryła twarz za maską obojętności.

– Jak to?

– Powiedział, że wyrządził krzywdę innym Protektorom. Że stał się więźniem własnego umysłu, że bezradnie spoglądał zza krat, podczas gdy ktoś inny kontrolował jego ciało.

Annelie uciekła wzrokiem.

– Mów dalej.

– Uważał, że Indryallanie objęli go działaniem magii zniewalającej, ale więcej zdradzić nie chciał.

Annelie zaczesła lok za ucho, odsłaniając kolczyk, który zaczęła bezwiednie obracać w palcach. Kolejne rzemyśliwo z wprawionym drobnym kamieniem. Jakiś prążkowany jaspis, jeśli się nie mylił, identyczny jak ten wprawiony w zniewalające rzemyśliwo Dzwonków.

A więc oni też korzystali z tej magii.

– Mówisz, że mistrz Simmon działał pod ich wpływem – powiedziała. – To mnie niepokoi. Nie chcę wierzyć, że wrogowie byliby w stanie przebić się przez osłony mistrza.

– Ale to pra...

– Ależ ja ci wierzę. Po prostu bardzo nie chcę. – Potrząsnęła głową. – Dziękuję ci. Powiadomię o tym pozostałych mistrzów. Czy Simmon powiedział coś jeszcze?

Jej taksujące spojrzenie przywarło do Caldana jak lep.

– Nie. Pokierował mnie tylko tam, gdzie ukrył miecz, i kazał ostrzec Protektorów i cesarza, co było jednym z powodów, dla których was odszukałem. Ale teraz czas mi ruszać w dalszą drogę, muszę jeszcze zobaczyć się z cesarzem. Obiecałem to mistrzowi.

Annelie roześmiała się na te słowa i zaraz zakryła usta dłonią, a śmiech szybko spelzł z jej warg.

– O rety. Ty nie żartujesz. Caldanie, przecież cesarz nigdy nie udzieli ci audiencji. Jesteś zbyt nisko w hierarchii, żeby w ogóle to rozważył.

– Ale... ja obiecałem. Simmon nie poprosiłby mnie o to, gdyby nie uważał, że to ważne.

Annelie zbyła jego słowa machnięciem ręki.

– Pewnie chodziło mu o to, żebyś powiedział nam, a my już zadbamy, żeby te niepokojące wieści dotarły do cesarza.

– Kto wie, może właśnie o to mu chodziło...

Pokrzepiająco dotknęła jego ramienia.

– Na pewno. Nie martw się, cesarz jest już w drodze. Wkrótce uporamy się z tym bałaganem.

– Cesarz tu jedzie?

– Tak. Zmobilizował kilka armii, które mają się tu przegrupować. Zmierzają do nas najlepsi żołnierze w cesarstwie, a wraz z nimi arcymagowie. Indryallanie nie dadzą im rady, zostaną zepchnięci z powrotem do morza, a Anasoma zostanie oswobodzona. My nie przystąpimy do bitwy, bo nie należy to do zadań Protektorów. A gdy już będzie po wszystkim, cesarz ruszy na samą Indryallę. Dokona

pokazu siły, który przypomni całemu światu o potędze cesarstwa i jego władcy, niechaj żyje wiecznie.

Myśli zawirowały w głowie Caldana. Oczywiście, że pokaz siły był niezbędny. Oczywiście, że cesarz zgromadzi wojsko, by ruszyć na Anasomę. Tylko czemu Indryallanie tego nie przewidzieli? Dlaczego napadli tylko na jedno miasto? Dlaczego nie rozwinęli inwazji na okoliczne wsie i miasteczka?

Z wolna wszystkie kawałki układanki wskoczyły na miejsce i Caldan poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

Dlatego, że chcieli, by cesarz zebrał wojska w jednym miejscu. Anasoma była przynętą. Indryallańska magia destruktywna była potężniejsza niż wszystko, co widziano na świecie od Zdruzgotania. Czy oni mogą za jej pomocą zniszczyć całą armię?

Caldan obawiał się, że zna odpowiedź na to pytanie. Na samą myśl żołądek zawiązał mu się w supeł. Zmiękł w kolanach i opadł, drżący, na pryczę.

– Posłuchaj mnie, mistrzyni. Musimy go powstrzymać. Mówię o cesarzu. Inaczej wszyscy zginą.

– Co takiego?

– Nie rozumiesz? – Caldan prawie krzyczał, zdumiony, że mistrzowie sami na to nie wpadli. – To od początku był ich zamysł. Zastanów się. Dlaczego mieliby najeżdżać samą Anasomę? Dlaczego nie uderzyli nigdzie indziej? Co to za strategia zdobyć miasto i nie robić nic, zupełnie nic, poza czekaniem, aż przyjdzie je odbić cesarz z całym wojskiem?

– Ale my nie wiemy, czy oni nie robią nic więcej. W Anasomie musi być coś, czego chcą.

– Może i tak, ale niby co takiego? Co jest warte takiego ryzyka? Przecież oni stoją w obliczu całkowitego unicestwienia. Nie. To nie ma żadnego sensu. Najechanie Anasomy to jak kopnięcie w mrowisko i czekanie na mrówki. Ale co oni mogą, okopani w mieście, nie wyściubiając nosa poza mury? Mogę się założyć, że ich destruktywna magia lepiej działa skupiona na niewielkiej

przestrzeni, więc odpowiednio potężny mag, zdolny ją tam skierować...

Jego słowa zawisły w powietrzu. Dzwonki.

Ona musiała od samego początku celowo kierować się na zachód, tam gdzie zmierzał cesarz. Co oznaczało, że Caldan pomaga Indryallanom w osiągnięciu ich celów. A jeśli to właśnie tutaj mają zgromadzić się cesarskie armie, to czarodziejka dotarła już dokładnie tam, gdzie chciała.

– Na cienie przodków! – zaklął Caldan. – Ależ ze mnie głupiec. Muszę iść. Moi przyjaciele są w niebezpieczeństwie.

– Jacy przyjaciele? To ty nie jesteś tu sam?

Przerwało im głośnie walenie do drzwi.

– Mistrzynie! – rozległ się głos. – Proszę szybko przyjść. Jakaś szalona kobieta właśnie zajechała wozem na podwórze. Woła Caldana.

Annelie wbiła w niego gniewne spojrzenie.

– Chodź ze mną – rozkazała.



**F**elice zbudziła się w jakimś miejscu wypełnionym zimnym, wilgotnym powietrzem. Było przesycone zapachem odchodów i... strachem. Pełny pęcherz dawał jej się we znaki, a w głowie pulsował tępy ból. Bolała ją szczeka, jakby całą noc zagryzała zęby. Uprzytomniła sobie, że minionego wieczoru nie tyle zasnęła, co straciła przytomność. Jęknęła, rozcierając ramiona, i przypomniała sobie o Savinie Khedevisie.

Podniosła się z podłogi i zobaczyła, że leży na kupie gnijącej słomy. Żółte źdźbła kleiły jej się do ubrania. Rozejrzała się w mętym świetle. Dobrze, że zostawili jej chociaż ubranie, mimo że pozbawili wszystkich innych przedmiotów, które miała przy sobie.

W zamian za to otrzymała bransoletę połączoną łańcuchem z żelaznym kółkiem wprawionym w ścianę. Zaśmiała się słabo przez zaschnięte gardło.

Obok Felice stał gliniany dzbanek. Trąciła go zeszywniałymi palcami, z trudem łapiąc za uchwyt. Wody. Pociągnęła głęboki łyk, uznając, że nie mają powodu odurzać jej narkotykami, a przynajmniej na razie. Opróżniła dzban w trzy hausty, ale wciąż chciało jej się pić.

Pomieszczenie, w którym ją osadzono, nie było typową celą z zamkniętymi drzwiami i metalowymi kratami. Wnikała wzrokiem w pogrążoną w półmroku komnatę, by dostrzec przejście po drugiej stronie pomieszczenia. Nie mogła wiedzieć na pewno, gdzie się znajduje, ale zgadywała, że to jakiś tymczasowy sztab Indryallan. A więc pewnie stołeczna twierdza, którą dobrze znała.

Nie dali jej żadnego wiadra, by mogła sobie ulżyć, powlokła się więc do najbliższego kąta, dzwoniąc łańcuchem o kamienną podłogę, i tam się załatwiła.

Felice częstokroć brała udział w przesłuchaniach więźniów, lecz sama nigdy jeszcze nie znalazła się w tej pozycji. Było to dla niej nowe doświadczenie, którego postanowiła nigdy nie powtarzać. Jej ludzie zapewne zdołali uciec, choć pewnie nie Avigdor. Musi być gdzieś tutaj, prawdopodobnie uwięzili go, tak jak ją. Może jej ludzie ich odbiją? Nie. Byli zbyt dobrze wyszkoleni, by nie rozpoznać, że sytuacja jest beznadziejna. Nie miała szans na ratunek, nikt po nią nie przyjdzie.

I tak być powinno.

Bezskutecznie dawała odpór ogarniającej ją frustracji. Taka była pewna, że wymknie się pogoni, a jednak ten cały Savin Khedevis wytropił ją i złapał. Jak tego dokonał? Nie miała na to odpowiedzi, ale i nie spodziewała się jej znaleźć. To proste: gdzieś popełniła błąd, a teraz będzie miała sporo czasu, by zastanowić się gdzie. Drugi raz go nie popełni.



– Wstawaj! Na nogi! Ale już!

Jakiś głos zacharczał nad jej głową, a potem poczuła ostry ból w boku. Ktoś ją kopnął.

Zajęczała i z trudem przetoczyła się na bok. Nie tak wyobrażała sobie obronę Anasomy.

Jakaś ręka wczepiła się we włosy i poderwała jej głowę. Stękając, podniosła się na kolana i rozwarła powieki, zamrugła w jasnym świetle. Uniosła rękę, by przysłonić oczy. Indryallański żołnierz trzymał jej przy twarzy latarnię. Nie wydawał się zadowolony, wręcz miał taką minę, jakby było mu niewygodnie. Podążyła wzrokiem do tego, który trzymał ją za włosy. Kolejny Indryallanin. Ten miał zepsute zęby, a z ust cuchnęło mu jak z rynsztoka.

– Puszczaj, świnię jedna! – odgryzła się Felice.

Kolano wbiło się w jej twarz i cela zawirowała jej przed oczami. Policzek zapłonął w miejscu, gdzie padł cios, ale uderzenie nie otumaniło Felice tak, jak się spodziewała. Zgadywała, że żołnierz nie użył całej siły. Czyżby bał się zrobić jej trwałą krzywdę? Wszystkie przemyślenia, jakie mogła spożytkować na swoją korzyść, rozpięchły się w jej głowie, gdy ujrzała w ciemności za żołnierzami jakąś postać.

Savin Khedervis.

Gdy spoczął na nim jej wzrok, ruszył naprzód.

– Lady Felicienne. Jak miło znów cię widzieć.

Uśmiechnął się do niej tak, że mimo swojego położenia prawie odpowiedziała uśmiechem. Był niespotykane atrakcyjnym mężczyzną – prawie zbyt atrakcyjnym. Ale było w nim też coś, co ją niepokoiło, choć nie umiała powiedzieć, co to właściwie jest. Przystojny, potężny czarodziej... lecz coś z nim było nie tak. Z powodu, którego nie umiała zgłębić, Savin sprawiał, że dreszcz zbiegał jej po kręgosłupie.

Wstała tak wdzięcznie, jak tylko mogła, jęcząc z wysiłku. Język zasechł jej w ustach i tęsknie spojrzała na pusty dzbanek.

– Mogłabym poprosić jeszcze wody?

– Ach tak, musisz być spragniona. Może później, bo teraz muszę zadać ci kilka pytań. Jeśli zadowolą mnie twoje odpowiedzi,



dostaniesz tyle wody, ile zechcesz. To chyba uczciwe, czyż nie?

Felice słabo pokręciła głową.

– Nie, niezupełnie.

– No cóż, niestety, nie bardzo masz wybór. Więc niniejszym orzekam, że owszem, tak będzie uczciwie, żebyśmy mogli w końcu przejść do rzeczy.

Skinął na żołnierzy, którzy ujęli ją za ramiona. Szarpała się, acz bezskutecznie. Nie sądziła, by miała coś wskórać w starciu z dwoma żołnierzami, ale nigdy nie była z tych, co cichutko drepczą, gdzie im się każe.

Ta sama ręka znów wczepiła się w jej włosy i Felice zakrztusiła się, gdy odciągnięto jej głowę w tył. W gardle eksplodował ból i nie mogła porządnie nabrać tchu. Wpiła palce w mundury trzymających ją żołnierzy. Zastanawiała się, co by zrobili, gdyby wbiła paznokcie w ich odsłonięte przedramiona. Zgadywała, że nic miłego. Rozluźniła się, na ile potrafiła, a gdy obwisła w ramionach dwóch żołdaków, Savin skinął jej głową.

– Czy wiesz, co się teraz stanie? – spytał.

– Będziecie mnie... – wydyszała – torturować...

Savin z obrzydzeniem pokręcił głową.

– Och nie, nic podobnie prostackiego. Po prostu powiesz mi wszystko o ruchu oporu, którym dowodzisz. O swoich ludziach, o waszych kryjówkach, o wszystkim, co wiecie o nas, i o Kompanii Handlowej Pięciu Oceanów.

– Nic ci nie powiem.

– Zobaczymy, potrafię być bardzo przekonujący.

– Nie krępuj się! – wypluła.

– Nie spodobałoby ci się to. Potrafię robić z ludzkim ciałem okropne rzeczy. Ale zamiast tego wyłowię myśli wprost z twojej małej, ślicznej główki. Ostrzegam, że będzie bolało.

Gdy powiedział coś podobnego ostatnim razem, zemdląła z bólu. Zebrała się w sobie.

Jej zacięcie wcale nie pomogło znieść cierpienia.

Savin śmiał się, gdy płonące igły wbiły się w mózg Felice. Wrzeszczała z bólu i choć chciała kląć i złorzeczyć, nie potrafiła sformować słów. Jej paznokcie wbiły się głęboko w skórę dłoni. Gdy uderzyła potężniejsza fala bólu, w końcu zstąpiła na nią litościwa ciemność.



Obudziła się znowu. Jej ciało pokrywał zimny pot, drżała, wychłodzona nie na żarty. Spodnie lepiły jej się do nóg i tym razem zapach odchodów bił od niej samej.

Obróciła się na plecy, podzwaniając łańcuchami, i jęknęła z bólu, gdy odezwało się łomotanie w jej głowie. Rozwarła powieki tylko po to, by zaraz je zamknąć. Nawet słabe światło raziło w oczy. Świerzbila ją górna warga – to z nozdrzy wypłynęły i zaschły dwie strużki krwi.

Ktoś przysunął się do niej, a ona próbowała się odturlać, raczej czując, niż widząc ruch gdzieś obok siebie. Zadzwoił drugi łańcuch. Ktoś zakaszłał słabo. Felice zacisnęła zęby, złapała swój i przyciągnęła do siebie leżący na ziemi odcinek, który następnie złożyła na pół z zamiarem posłużenia się nim jak bronią. Nabrała tchu, by się przygotować, i otworzyła oko, by rozejrzeć się po pomieszczeniu.

Do pierścienia w ścianie przyczepiono drugi łańcuch, a ten prowadził do leżącej na ziemi postaci.

Zamrugła. Avigdor.

Przeczołgała się po chropawej podłodze i ujęła głowę mężczyzny w ramiona, a ta przetoczyła się bezwładnie na drugi bark.

– Avigdorze. Jesteś ranny?

Brak odpowiedzi. Przypomniała sobie o jego kostce: o kości wystającej ze skóry. To było najgorsze złamanie, jakie w życiu widziała.

Zobaczyła, że noga Avigdora jest owinięta brudnym bandażem, który bynajmniej nie wskazywał na to, że opatrzył go lekarz z prawdziwego zdarzenia. Opatrunek zawiązano zbyt luźno, a noga powinna tkwić w szynie. Okropny widok, każący przypuszczać, że dla ciemieżców Avigdor był nieprzydatny.

Górną wargę mężczyzny także pokrywała zaschnięta krew, która wypłynęła z nosa. Felice mogła tylko żywić nadzieję, że to efekt uboczny przesłuchania, a nie oznaka trwałego uszkodzenia mózgu. Dręczyła ją niewiedza i niepewność, potrzebowała twardych danych, żeby wiedzieć, na czym stoi. Ale przede wszystkim chciała zacisnąć ręce na szyi Savina i wydusić mu z gardła ostatnie tchnienie.

Ta myśl sprawiła, że zrobiło jej się ciepłej na sercu. Delikatnie spuściła głowę Avigdora na zimną podłogę. Podpełzła do miejsca, gdzie spała, zebrała i podłożyła przyjacielowi pod kark naręcze słomy, żeby było mu choć trochę wygodniej. Zważywszy na okoliczności, lepsze to niż nic.

Odkryła, że dzban z wodą jest pełny. Wlała Avigdorowi trochę do ust, uważając, by się nie zakrztusił. Po kilku chwilach przełknął, a ona odetchnęła z ulgą. Napoiła go jeszcze, a potem sama wzięła łyk, chcąc ugasić płonące pragnienie, ale zostawiła dzbanek w połowie pełny. Lepiej na wszelki wypadek racjonować wodę.

Wychwyciła stłumione głosy dochodzące z przejścia po drugiej stronie pomieszczenia. Odgłos wojskowych buciorów na kamiennej posadzce. Dzwonienie broni i pancerza. Z ciemności wynurzyli się czterej indryallańscy żołnierze, a za nimi Savin. Twarz maga pojaśniała, gdy spostrzegł, że Felice gapi się na niego. Zauważyła, że jeden z żołnierzy niósł złachaną szatę.

– O, wspaniale! Nie byłem pewien, czy będziesz przytomna. Choć twoja reputacja każe przypuszczać, że masz odporny umysł.

Felice milczała.

Savin wskazał żołnierza z szatą, a ten rzucił ubranie u jej stóp. Inny podał Felice szmatę i posunął po podłodze wiadro z wodą.

– Umyj się i przebierz. Ktoś chce się z tobą spotkać. Człowiek, którego usiłowałaś zabić w porcie.

Spuściła wzrok na łańcuch na podłodze.

– Mam się przebrać tutaj? Przy ludziach?

– Tak, poproszę. Natychmiast.

Czterej żołdacy wyszczerzyli się, a Savin wzruszył ramionami.

– Zawsze mogę kazać im ci pomóc, ale to dłużej zajmie i będzie bardzo nieprzyjemne.

Felice przeskoczyła wzrokiem po żołnierzach i uniosła brwi, a potem schyliła się po szmatę i wiadro. Nie zdejmując oczu z Savina, rozebrała się i umyła, na ile było to możliwe. Następnie wsunęła szatę przez głowę. Drapała, ale przynajmniej była czysta. Stopą posunęła brudne spodnie i koszulę pod ścianę.

– No widzisz? Wiele hałasu o nic. Przygotowałem małą demonstrację, żeby pokazać ci, że nie mamy zamiaru się certolić. Powinna nieco otworzyć ci głowę.

Zadrżała, przypominając sobie agonálny ból, którego doświadczyła podczas przesłuchania.

– Magia?

– O nie, coś o wiele prostszego.

– Zanim przejdziesz do tej demonstracji, mogę o coś poprosić? Avigdor potrzebuje pomocy – powiedziała, wskazując przyjaciela. – Lekarz powinien nastawić mu złamaną kostkę i dać coś na ból.

Savin zachichotał.

– Lady Felicienne, czytasz w moich myślach. To właśnie jest ta demonstracja, o której myślałem. – Skinął na dwóch żołnierzy, by złapali ją za ramiona. Miała wrażenie, że oplótł ją żelazny bluszcz. Dwaj pozostali zbliżyli się do Avigdora. Jeden wyjął zza pasa topór.

Felice oblizwała usta.

– Co wy robicie?

– Oni bardzo nie lubią, gdy ktoś atakuje ich Boga-Imperatora. Nabierają wtedy chęci do brutalnego odwetu. Chcą w ten sposób pokazać innym o podobnych zakusach, co ich czeka.

Ustaliła już, że Savin nie był Indryallaninem. Kim więc był i skąd się tu wziął? I co oni chcieli zrobić Avigdorowi?

Jeden z żołnierzy złapał go za ranną nogę i wyprostował ją na podłodze. Avigdor zajęczał, ale się nie obudził. Żołdak uniósł topór.

– Nie dotykaj go! – krzyknęła Felice, uświadomiwszy sobie, co się zaraz stanie.

Z ohydym trzaskiem topór wbił się w goleń Avigdora. Kość pękła. Przyjaciel stęknął i poruszył się, ale nie odzyskał przytomności.

Musi być na skraju śmierci, pomyślała. Marna pociecha... Topór znowu się uniósł, a żołnierz trzymający nogę szarpnął się w tył, gdy ta oddzieliła się od reszty ciała.

Felice wrzeszczała na nich, na próżno usiłując wyrwać się z uścisku. Żołnierz cisnął odrąbaną kończynę na drugi koniec celi i złapał za drugą nogę Avigdora. Z kikuta lała się krew i zbierała w kałuży.

– Nie. Błagam, nie – zawodziła Felice. Żółć podeszła jej do gardła, niemal się zakrztusiła, zanim ją wypluła.

Zamknęła oczy i odwróciła głowę. Dźwięki, które dobiegły jej uszu, przyprawiały o mdłości. Obwisała w rękach żołnierzy, wstrząsana niekontrolowanym szlochem.

Głos Savina dobiegł ją z oddali.

– Masz szczęście, że Kelhak chce się z tobą spotkać. Inaczej zostawiłbym cię tu z tymi żołnierzami. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Zaraz obetną mu również ręce, a potem powieszą na zewnątrz na przestrozę innym wichrzycielom. Indryallanie dużo gadają o wyzwoleniu miasta, ale dzisiaj chyba wstali lewą nogą, nie sądzisz? Teraz dokładnie wiesz, do czego są zdolni.

Zdjęli Felice łańcuch i wywlekli z celi. Nie miała odwagi patrzeć na Avigdora.



Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Wbrew początkowym założeniom nie była to twierdza. Układ pomieszczeń się nie zgadzał, budulec, którego użyto do budowy, był o odcień za jasny. Miała wrażenie, że ciągną ją godzinami, ale to nie mogło trwać tak długo. Wspięli się po schodach, minęli korytarz, skręcili raz w lewo, raz w prawo, a potem znowu schody. W końcu zostawili ją w komnacie, która wyglądała dziwnie znajomo. Może ktoś jej o niej opowiadał, bo z całą pewnością nigdy tu nie była.

Zmrużyła oczy w jasno oświetlonym pomieszczeniu. Łzy ściekły jej po policzkach, a ona czekała cierpliwie, aż wzrok się przyzwyczai. Pomalowany sufit wisiał wysoko nad jej głową, a przez panoramiczne okna z drogiego, przejrzystego szkła wlewało się do komnaty oślepiające światło słońca. Wierzchołek każdego okna wieńczył witraż, zasypujący podłogę wielokolorowymi plamami. O zachodzie słońca przeciwległa ściana będzie wyglądała, jakby ktoś rzucił na nią magiczne światła.

Na suficie nieruchome armie toczyły boje o lśniące przedmioty, a pola bitew spływały krwią. Ranni żołnierze wołali pomocy, a od jednego człowieka rozchodziła się chmura nieprzeniknionej ciemności. Wśród powalonych wojowników dumnie kroczyli otoczeni światłem magowie. Była to scena ze Zdruzgotania, ukazująca stworzenie oczyszczonej ziemi, gdzie przestała działać magia.

W środku wypolerowanej posadzki stała duża plansza do dominionu, jedna z największych, jakie Felice miała okazję oglądać. Na niej rozsypane były sięgające kolan figury wyrzeźbione z brył drogich kamieni i kryształów: onyksów, turkusów, malachitów, ametystów, kwarców i lapis-lazuli, a nawet kilka złotych i srebrnych. Kwadratowe pola wykonano z różnych rodzajów drewna: żelaznego, czarnego, z ziarnipióra i sękodrzewa. I wtedy do Felice dotarło, na co patrzy. O tym zestawie do dominionu śpiewano pieśni, lecz teraz wiedziała, że poetycki opis nie dorównywał rzeczywistości. Plansza była kwadratem o boku równym dwadzieścia kroków, a na wyższe jej piętra wchodziło się po drabinach. Po obu stronach zbudowano

platformy obserwacyjne, które pozwalały graczom spojrzeć z perspektywy na całą planszę. Wzdłuż ściany biegł szeroki balkon, na który można było wejść po jednej z dwóch klatek schodowych umieszczonych po dwóch przeciwległych stronach.

Wiedziała już, gdzie się znajdowała. Nie miała co do tego wątpliwości. Był to dom rodu Luthais, niegdyś potężnego, który popadł w nędzę kilkaset lat temu. Stał w dzielnicy parkowej nad rzeką Wywarnicą i cały gmach wraz ze słynną planszą i figurami był wszystkim, co zostało z bogactwa i chwały znamienitego rodu.

Raz jeszcze zerknęła na mural na suficie. Dużo by dała, żeby znaleźć się z Savinem na oczyszczonej ziemi, gdzie jego magia nie miałaby efektu... Niezbyt ją pokrzepiła ta myśl, ale to więcej, niż miała jeszcze chwilę temu.

Zerknęła na dwóch wartowników przy drzwiach. Zwaliste chłopy, opancerzone po zęby i dzierżące dwa miecze niemal tak wielkie jak oni sami. I nie nosili ich na pokaz – bystre oczy i swobodna poza świadczyły o odbyciu licznych bitew. Trzeci mężczyzna, nieco większy od nich, stał przy środkowym oknie, przez które podziwiał panoramę miasta. Kolejny wyszkolony zabójca, uznała. Bezmózgi mięśniak, choć to dziwne – rzuciło jej się na myśl – że nieuzbrojony.

Jakby wyczuł na sobie jej wzrok, obrócił się i zmierzył ją uderzająco niebieskimi oczami. Zimnymi jak u drapieżnika.

Przełknęła ślinę i zmusiła się, by wytrzymać to spojrzenie. Ale ten wysiłek niemal natychmiast pozbawił ją sił. Mężczyzna uśmiechnął się i ruszył w stronę Felice, poruszając się z gracją kota mimo znacznej masy.

Niebezpieczny człowiek. Z gatunku tych, którym zabijanie przychodzi z łatwością.

– Lady Felicienne, jak mniemam? – Wskazał stół, którego dotąd nie zauważyła, a który uginał się pod stosami owoców, orzechów i innych drobnych przekąsek. Znalazły się też na nim kryształowe dzbany pełne wody i dwie szklanki. – Proszę, częstuj się. Na pewno jesteś głodna.

Jego miodowy głos opływał Felice ciepłą falą, mimo okoliczności przenikając ją spokojem.

O tak, bardzo niebezpieczny człowiek.

Nalała sobie szklankę rozwodnionego wina, nie chcąc przytłumić zmysłów bardziej, niż to konieczne. Choć najchętniej opróżniłaby od razu cały dzban i pominęła gierki, w jakie chcieli ją wciągnąć Indryallanie. Ale będzie silna tą siłą, która jeszcze jej została, zachowa umiar... przynajmniej na razie. Upiła łyk i podniosła wzrok na wciąż obserwującego ją mężczyznę.

Oderwała spojrzenie od jego chłodnego, wypranego z emocji wzroku i skupiła się na planszy.

– Kim jesteś?

– Nazywają mnie Kelhakiem, Bogiem-Imperatorem Indryalli.

Felice zaschło w ustach. Zadzwonila zębami o zrab szklanki i lęknela trunku. Smakowal czarna porzeczka i przyprawami. Moze nie powinna byla rozwadniac wina?

– Za Avigdora – wzniosła toast.

– Kogo?

– Przyjaciela. Dobrego człowieka.

Kelhak mrugnal i wzruszyl ramionami.

– Zjedz cos. Mowiono mi, ze umierasz z glodu. Nie chce, zeby zemdlala w trakcie gry.

– Myślisz, że to jest gra?

– Szczerze mówiąc, tak. Ale teraz miałem na myśli dominion.

Felice omiotla wzrokiem wielka plansze. Nie tego spodziewala sie po tym czlowieku. Wiele razy fantazjowala, ze gra na tym zestawie, ale okolicznosci, w jakich wreszcie tego dokona, nie wyobrazilaby sobie w najbardziej cudacznych snach. Wziela sliwke z patery i wgryzla sie w nia, chcac kupic sobie wiecej czasu, by moc pomyslec o tym, co sie dzieje.

– Chciałbym zobaczyć, jak grasz. Mówiono mi, że jesteś wprawną zawodniczką z licznymi sukcesami na koncie – mówił dalej Kelhak.

– Dlaczego miałabym z tobą grać? Co ja będę z tego miała?



– Jeśli nie zagrasz, zginiesz. Ale ten obrót spraw byłby nudny, bo mam nieco czasu do zabicia, zanim pewne plany wydadzą z dawna oczekiwane owoce, i wolałbym ocenić cię po twoich umiejętnościach.

Stanął i zamrugał kilka razy, jakby światło w pomieszczeniu nagle pojaśniało. Pokręcił głową i oczyścił gardło.

Po prostu wspaniale, pomyślała Felice. Nie dość, że bynajmniej nie jestem w formie, to na dodatek gram z degeneratem i mordercą o nieznaną stawkę.



Felice obudziła się, słysząc stukanie kamienia o drewno. Siedziała przygarbiona na fotelu obok stołu zastawionego jedzeniem i winem. Jej opróżniona szklanka stała na stole, choć Felice nie pamiętała, by ją tam odstawiała. Z dzbanka unosiła się para. Ktoś musiał postawić go na skraju blatu, gdy spała.

Potarła oczy i rozejrzała się. Kelhak siedział na szczycie planszy do dominionu z przerzuconymi przez krawędź nogami. Patrzył na nią tymi swoimi zimnymi, niebieskimi oczami, opromieniając ją zadowolonym uśmiechem.

– Twój ruch – rzekł.

Felice stęknęła ze zmęczenia. Bolało ją całe ciało, a przede wszystkim głowa. Z trudem wyprostowała się na fotelu. Od kilku godzin prowadzili długą i skomplikowaną partię. Bóg-Imperator miał postawę i wejrzenie wojownika, ale grał w dominion, jakby całe życie ślęczał nad planszami. Był niesłychanie groźnym przeciwnikiem i Felice od pierwszych ruchów strasznie się z nim męczyła.

– Kazałem przynieść herbaty dla ciebie. Wydajesz się zmęczona.

Złapała za dzbanek z herbatą i ogrzała zziębnięte dłonie. Z ociąganiem naląła sobie herbaty i sączyła gorący płyn, zbierając

myśli. Westchnąwszy, dźwignęła się z wygodnego fotela i wolno weszła po drabinie na najwyższą planszę.

Kelhak skłonił się krótko i zszedł, by dać Felice przestrzeń na przeanalizowanie kolejnego ruchu.

Nie wiedziała, czy ten człowiek rzeczywiście był indryallańskim Bogiem-Imperatorem, czy jednak wysoko postawionym żołnierzem. Człowiek o tak imponującej aparycji nie mógł być urzędnikiem ani nikim w tym rodzaju, a jednak był obdarzony znaczną inteligencją. Znakomicie się wypowiadał i miał nienaganne maniery.

– Żył kiedyś mężczyzna imieniem Kelhak, który dawno temu wygrał turniej dominionu na Święcie Jesieni. Czy twoi rodzice byli takimi zapalonymi graczami, że aż nadali ci po nim imię?

Kelhak wycelował w nią spojrzenie.

– Nie – odparł po prostu. – To byłem ja.

Felice prychnęła śmiechem, ale zaraz umilkła. Kelhak uniósł znacząco brwi.

On mówił poważnie.

I był poważnie, bardzo poważnie zaburzony.

– Rozumiem.

– Zmieniłem się od tamtych czasów. Wtedy byłem larwą, a teraz... teraz jestem motylem.

Felice panowała nad twarzą.

Spojrzała na planszę. Poziom jego umiejętności jak nic innego świadczył o tym, że rzeczywiście mógł być Kelhakiem. Tyle że wedle wszelkich źródeł owo Święto Jesieni miało miejsce tak dawno temu, że Kelhak już dawno zmarłby ze starości. To przecież niemożliwe, by ktoś żył tak długo. A jednak Felice sama widziała, co potrafi ten człowiek, gdy bronił okrętu przed trebuszem. Mówiło się, że przed Zdruzgotaniem niektórzy czarodzieje żyli dłużej od zwykłych ludzi, ale to było przecież tysiące lat temu. A więc albo był sobowtórem, albo czarodziejem na tyle potężnym, by móc przedłużyć swoje życie.

Co oznacza, że albo jest szalony, albo z jakiegoś powodu potrafi to, czego nikt nie potrafi od tysiący lat. Zadrżała, gdy uderzyła ją myśl, że może jedno i drugie.

Felice wyrzuciła te dywagacje z głowy i na powrót skupiła całą uwagę na planszy. Strategia tej rozgrywki opracowała jej się w głowie sama już na początku. Zrodziła się z potrzeby, aby zwycięstwem odrzeć tego człowieka z imienia legendarnego mistrza, za którego się podawał. Chciała wykorzystać taktykę, za pomocą której Caldan pokonał ją samą, a którą oparto na słynnym popisie Kelhaka. To właśnie sprawiło, że miała mętlik w głowie. Uznała, że to mało prawdopodobne, by oszust znał tę strategię – ona sama nie miała o niej pojęcia, dopóki sama nie padła jej ofiarą – ale jeśli ten człowiek rzeczywiście był Kelhakiem, to zaraz rozpozna własne zagrania i z łatwością je skonstruje.

Lecz dotąd reagował na jej posunięcia tak, jakby nigdy nie widział tej strategii, a co więcej, kontrował jej ruchy inteligentnie i z polotem. Niektóre z jego posunięć przyćmiewały jej własne odpowiedzi na posunięcia Caldana podczas turnieju. Więc nie potrafiła ocenić, czy to rzeczywiście legendarny Kelhak, czy jakiś szalbierz.

No cóż, nie miała wiele do stracenia. Oczyszczyła gardło i powiedziała głośno:

– Nie rozpoznałeś mojej strategii.

Kelhak przyspilił ją w miejscu przenikliwym wzrokiem.

– A powinienem?

– Tak. Jest twoja. Z dawien dawna, ale jednak. Zastanawiam się czemu.

Kelhak zmarszczył brwi, jakby zmieszany. Wtedy jego wzrok stał się nieobecny, a oddech przyspieszył. Długo świdrował ją wzrokiem, wcale jej nie widząc. Patrzył na wylot, jakby Felice tam nie było.

Jakby on sam był gdzieś indziej.

A potem nagle otrząsnął się i ponownie skupił na niej wzrok.

– To stara taktyka – powiedział, jakby nic się nie stało. – Opracowana dawno temu. Obawiam się, że brzydsko się zestarzała.

Felice przełknęła ślinę i pokiwała głową. Kelhak przed chwilą wydawał się skonfundowany, a potem na moment wyglądał, jakby jego duch opuścił ciało, by zaraz do niego powrócić.

Z tym człowiekiem było coś bardzo nie tak.

Postanowiła skupić się na grze. Przyjrzała się sytuacji na wszystkich poziomach planszy. Było tak jak poprzednim razem.

Nie wygra tej partii. Już po niej. Było to tak jasne jak słońce na niebie. Jest zgubiona, bo przegrana była nieuchronna. I zgubiona, bo pozostanie więźniem lub zostanie stracona. Zaczęła się zastanawiać: czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, czy ten człowiek jest, czy nie jest Kelhakiem? Z jakiegoś powodu czuła, że owszem, ma znaczenie – ale czemu? Nie potrafiła powiedzieć. Jeśli był, to było to ważne, tylko w tym momencie nie potrafiła połączyć kropek i dojść dłaczego.

Ten mętlik w głowie wydał jej się właściwie zabawny. Teraz gdy wiedziała, jak wyglądał ten człowiek, mogła po prostu przejrzeć ilustracje przedstawiające tamten festiwal. Każde podobne wydarzenie było dobrze udokumentowane, wynajmowano artystów, którzy rysowali graczy biorących udział w finałowych rozgrywkach.

To znaczy mogłaby, gdyby nie była tu uwięziona. Istniała niewielka szansa, że zdoła jeszcze kiedyś zapoznać się z tymi rysunkami. Zmrużyła oczy w jasnym świetle. Słońce chyliło się ku zachodowi. Witraże wprawione w szczyty wielkich okien rzucały wielokolorowe błyski na planszę, podłogę i ściany.

Mogę tylko odwlekać nieuniknione. Lecz choć rozumiała bezsensowność tego odwlekania, to właśnie postanowiła robić.

– Użyję moich pięciu dodatkowych ruchów teraz.

Przez twarz Kelhaka przemknęło zaskoczenie, co tym bardziej potwierdzało, że jest oszustem. Gdyby był tym, za kogo się podawał, domyśliłby się, że Felice w końcu to zrobi.

Wędrując po planszy, przesuając figury, schodząc po drabinie na drugi poziom i tam także wykonując dwa ruchy, Felice usiłowała przypomnieć sobie wszystko, co wie o tym budynku, rozkładzie pomieszczeń i jego położeniu. Wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że jego północna ściana wznosi się nad Wywarnicą. Ale jak wysoko ponad samym nurtem? Oszacowała, że jakieś pięćdziesiąt jardów. Zerknęła na okna. Raczej nie mogła liczyć, że gdzieś tu znajdzie linę, po której będzie mogła opuścić się na ziemię, nie sądziła też, by

udało jej się zejść po ścianie o własnych siłach. A poza tym był tutaj Kelhak i jego żołnierze, którzy nie pozwolą jej uciec zbyt daleko.

Stała. Skończyły jej się ruchy. W każdym możliwym znaczeniu.

Wycierając spotniałe dłonie o szorstką szatę, podeszła do stołu i złowiła kolejną śliwkę.

– Twój ruch – powiedziała do Kelhaka, który odpowiedział zmarszczeniem brwi, nim poszedł przyjrzeć się planszy.

Wie, że wygrał, pomyślała. Cokolwiek zrobię, nic tego nie zmieni. Ale mnie chodzi o jego reakcję.

– Czy mogę się trochę rozejrzeć? – Wskazała na pokryty murałem sufit. – Jestem tu pierwszy raz, a to malowidło jest nadzwyczajne. Chciałabym się bliżej przyjrzeć, zanim... ktoś wie co się stanie.

– Proszę – odpowiedział Kelhak pochłonięty grą.

Felice podeszła ze śliwką do najbliższej klatki schodowej i weszła na antresolę. Zerknęła na Kelhaka. Dalej bacznie analizowała rozstawienie figur, nie poświęcając jej uwagi. Przeanalizowała swój zamysł. Był nieco... powiedzmy, ryzykowny, ale czy miała inne wyjście?

Kelhak stał na najwyższym poziomie planszy. Siedem kroków od drabiny. Drabina miała czterdzieści jeden szczebli. Od niej do spiralnych schodów było pięćdziesiąt siedem kroków. Liczba stopni wynosiła trzydzieści dwa.

Stąpała bosymi stopami po wyścielonych dywanami podłogach. Wczepiła palce w szorstką tkaninę, zacisnęła pięści i wzięła głęboki wdech, a potem kolejny. Czy to wystarczy? Chyba tak.

Niedojeżdżona śliwka spadła na dywan, który stłumił odgłos. Kelhak nie spojrzał w górę. Zrobiła krok w kierunku okna na końcu balkonu. I następny. Głowa i zebra bolały ją w miejscach, gdzie została kopnięta, ale ignorowała ból.

Przyspieszyła kroku, bezgłośnie stawiając stopy na grubym dywanie. Zacisnęła zęby i zwiększyła prędkość. Te kilka szybszych kroków mogło oznaczać różnicę między życiem a śmiercią. Jeden ze strażników wrzasnął, pojawił się, co zamierza, ale było już za późno.

Felice zasłoniła twarz rękami i wyskoczyła przez okno. Strzaskane szkło poraniło jej przedramiona. Zdusiła krzyk i zaczęła spadać. Wieczorne powietrze mroziło jej ciało. Gdy odważyła się otworzyć oczy, ujrzała mknącą jej na spotkanie rzekę. Zwinęła się w kulkę i znowu zacisnęła powieki.

Uderzyła w wodę z taką siłą, że przez chwilę myślała, że trafiła w chodnik. Gdy poczuła dookoła zimną wodę, rozpaczliwymi ruchami nóg zaczęła odpychać się tam, gdzie zdawało jej się, że znajdzie powierzchnię. Nie odważyła się otworzyć oczu w tak brudnej rzece jak Wywarnica.

Po kilku chwilach, które w myślach Felice rozciągnęły się do wieczności, przebiła tafelę i wypluła ohydną, oleistą wodę. Smakowała jak ściek. Odkaslnęła i zassała powietrze, zatrzymując się tylko na moment, by odzyskać orientację. Tak szybko, jak tylko potrafiła, popłynęła w stronę przeciwległego brzegu.

Wdrapała się, cała obolała, na kamienne nabrzeże i poczłapała przed siebie, słysząc, jak odbija się echem dochodzący z wysoka śmiech.

Kelhak.

Smarknęła wodą i wydzieliną z nosa, po czym pomknęła do najbliższej alei, znacząc drogę ucieczki plamami mętnej rzecznej brei. Szczypały ją rozcięcia na ramionach i nogach. Wiedziała, że woda w rzece jest tak brudna, że może się wdać poważne zakażenie.

Przynajmniej była wolna.

Ale z jakiegoś powodu, nawet wnikając w ciemną uliczkę z dala od ścigającego ją, huczącego śmiechu Boga-Imperatora, Felice nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wcale nie uciekła, a tylko poluzowano jej łańcuch.



**P**okój szarpnął się Amerdanowi przed oczami. Zadrżał, najpierw delikatnie, a potem raptowniej, jak człowiek rażony chorobą. Kolejny atak migreny.

Nie teraz, nie na jej oczach, nakazał sobie.

Kropka poruszała się przy skórze, ponagłając go, żeby się schował, ale on nie mógł się ruszyć. Mózg znowu go swędział, a on znowu nie mógł ani się podrapać, ani znieść tego swędzenia. Z twarzy buchało mu gorąco, pot perlił się na czole. Zachwiał się jak pijany.

– Chory jesteś?

Głos Dzwonków dochodził jakby z daleka. Zdołał pokręcić głową i opuścić się na podłogę. Kątem oka widział, że przygląda mu się z ciekawością przenikliwym, kalkulującym spojrzeniem.

– Czasem... dopada mnie ból głowy. Ale nie ma się czym martwić. – Widziała go w tym stanie. To kolejny powód, by ją zabić. Ale jeszcze

nie teraz, najpierw musi się nią posłużyć.

Dzwonki podeszła bliżej i kucnęła przy nim.

– Cały drżysz.

Amerdan zacisnął zęby.

– Tak.

– Czyżby swędział cię mózg?

Znieruchomiał, nie mając pewności, czy się nie przesłyszał. Czy ona coś o nim wiedziała? Wziął głęboki wdech i sprężył się do skoku. Przystępując do walki z czarodziejką na jej poziomie, będzie musiał dobrze wykorzystać element zaskoczenia. Ale walczył już z przeciwnikami silniejszymi od niego i zawsze wychodził z tego cało.

– Czy co robi?

– Czy swędzi, czy masz wrażenie, jakby coś świerzbiło cię w głowie? Czy bezwiednie próbujesz podrapać niedostępne miejsce gdzieś w środku?

Skąd ona mogła o tym wiedzieć? To jakaś magia? Pokiwał wolno głową.

– Tak – odrzekł z ostrożnością, zawsze niechętnie dzieląc się informacjami o sobie.

– Ale sprawdzili cię jako dziecko?

– Czy kto mnie sprawdził?

– Czarodzieje. Czy sprawdzili, czy masz studnię? Myślałam, że wszystkie wasze dzieci bada się pod tym kątem w pewnym wieku.

Przytaknął. Dokładnie pamiętał dzień, w którym czarodzieje przyszli do jego domu. Ogłosili, że on i jego siostra nie mają studni, po czym odeszli, ale jeden z nich wrócił za parę dni, aby ich uwięzić.

– Nic nie znaleźli.

– Daj mi... – zaczęła Dzwonki.

Amerdan spał się, widząc, jak jej aura migocze i się rozprasza.

Pobladła i otworzyła szeroko oczy.

– To jest... to niemożliwe.

– Co widzisz? Powiedz mi.



Dzwonki pokręciła głową i zadrżała Amerdanowi głęboko w oczy. Drgawki mu ustały i podniósł się na nogi.

Dzwonki patrzyła na niego z dołu. Na jej twarzy ciekawość zmagala się z niezrozumieniem.

– Mów – rozkazał.

– Byli albo niekompetentni, albo... – Znowu pokręciła głową, wzbudzając metaliczny dźwięk wplecionych we włosy odzyskanych dzwoneczków. – Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Ty masz dwie studnie. W dodatku zatkane, jakby twój własny umysł ich nie rozpoznawał. – Jej głos był podszyty fascynacją. – Na przodków, dwie studnie w jednym ciele. Obie zablokowane, dlatego trudno je znaleźć, ale są. To nadzwyczajne.

Amerdan przyglądał się jej twarzy. Nie kłamała. W jednej chwili wszystko poukładało mu się w głowie w logiczną całość.

Jego talizman.

Pierwsza osoba, którą zabił i wchłonił, była czarodziejem, człowiekiem, który więził ich i zabił jego siostry. A drugim czarodziejem był młody praktykant. Zaabsorbował esencje dwóch czarodziejów, a wraz z nimi przyswoił dwie studnie. Jeśli jedna wystarczyła, żeby zostać czarodziejem, to kim czyniły go dwie?

Dwie czyniły go... Amerdanem.

Zachichotał krótko, a potem roześmiał się i śmiał się długo i głośno. Dzwonki obrzuciła go spojrzeniem.

– Bóg-Imperator z całą pewnością zechce cię poznać.

– Zanim do tego dojdzie, będziesz musiała nauczyć mnie wszystkiego, czego tylko zdołasz.

– Jeśli przedrę się przez twoje blokady, zrobię to, możesz być pewien.

– Wierzę, że zrobisz, co w twojej mocy. – Opromienił ją najwspanialszym ze swoich uśmiechów. – Tylko spraw się lepiej niż przy leczeniu Mirandy.

Dzwonki skrzywiła usta w szyderczym uśmiechu.

– Gdybym chciała, uleczyłabym ją w trzy miga. Ale ona i Caldan muszą cierpieć. Do czasu, aż znowu ich znajdę.

Jeśli ci na to pozwolę, odparł w myślach.



Caldan i mistrzyni Annelie wypadli na dziedziniec frontową bramą i ujrzeni Elpidię. Przedstawiała żalosny widok; jej wykrzywiona cierpieniem twarz była brudna i załamana. Nie zauważyła ich od razu i jeszcze chwilę chodziła w kółko przed wozem. Od budynku oddzielali ją trzej uzbrojeni Protektorzy. Dzwonków i Amerdana nie było.

Caldan ruszył w jej stronę, ale Annelie zatrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Znasz ją?

Pokiwał głową i wysunął się spod palców mistrzyni.

– Tak. Pozwól mi do niej iść.

Nie czekając na odpowiedź, skierował się do Elpidii. Gdy go zauważyła, jej twarz złożyła się w ponury grymas. Ku jego zdumieniu rzuciła mu się na szyję.

– Przepraszam – wyszłochała.

– Cicho, już dobrze – odszepnął Caldan. Spojrzał na wóz i jego serce znowu zabiło, gdy przekonał się, że Miranda jest bezpieczna. – A gdzie Dzwonki? I Amerdan?

Elpidia pokręciła głową.

– Zniknęli. Nie wiem, gdzie są. Ktoś zakradł się do mnie od tyłu i uderzył w głowę. – Uniosła rękę i ostrożnie dotknęła zasychającego strupa we włosach. – Gdy doszłam do siebie, już ich nie było. Może zjawił się po nią kolejny czarodziej...

– Ale nie sądzisz, żeby tak się stało, prawda?

– No, jeśli nie zabili mnie, to nie wiem, czemu mieliby zabić Amerdana. Gdy się ocknęłam, jego też nie było ani nie został po nim żaden ślad. Więc albo uciekli... albo to on mnie ogłuszył. – Jej ton mówił jasno, że skłania się do tej drugiej wersji.

– O przodkowie – zaklął Caldan półgębkiem. – A skąd wiesz, że Amerdan w ogóle wrócił do obozu?

– Myszy. Poprosiłam go, żeby złapał mi kilka do moich eksperymentów. Gdy się obudziłam, znalazłam dwie w swoich rzeczach. Więc musiał.

Chaotyczne myśli wirowały Caldanowi w głowie. Czy Dzwonki jakimś sposobem przeciągnęła go na swoją stronę? Czy Amerdan sprzymierzył się z czarodziejką? A co ważniejsze: dokąd razem poszli? Snując te myśli, objął Elpidię, mówiąc:

– Tak mi przykro, że cię uderzyli. – A potem przyciągnął uzdrowicielkę bliżej i szepnął na ucho: – Nie mogą się dowiedzieć o Dzwonkach.

Słyszając to, Elpidia zeszywniała w jego ramionach.

– Czemu? Przecież musimy im powiedzieć. Pomogą nam.

– Nie. Jeszcze nie miałem okazji wspomnieć im o Mirandzie. Wciąż planuję to zrobić, ale jeśli Protektorzy nie zdołają jej pomóc, to Dzwonki jest naszą jedyną szansą.

– Czy nie nużą cię gierki tej kobiety? Jest niebezpieczna, a do tego wolna.

Caldan przyjął tę bolesną prawdę ze skrzywieniem ust.

– Wiem – przyznał. – I przepraszam raz jeszcze. Ale nie mam innego pomysłu... – Usłyszał za sobą zbliżające się kroki Annelie. – Zaufaj mi, proszę – rzucił jeszcze do Elpidii. – Uleczymy Mirandę i ciebie.

Wypuścił uzdrowicielkę z objęć i zwrócił się do Annelie.

– Czy nic jej nie jest? – zatroszczyła się mistrzyni. – Co jej się przydarzyło? I kim jest ta osoba na wozie?

– Została napadnięta. Zbójcy na drodze. Kobieta na wozie jest z nami. Ona jest ciężko chora. Zapadła na chorobę umysłu, marnieje w oczach. Elpidia szuka dla niej lekarstwa.

Annelie obrzuciła go spojrzeniem.

– Zbójcy? Tak blisko miasta?

– Kazałem moim ludziom rozbić obóz głębiej w dziczy. Uznałem, że dopóki nie zorientuję się w sytuacji, tam będą bezpieczniejsi. To

tylko pokazuje, jak mało wiem o tych stronach. Chciałem ich tylko chronić, bo zostawiałem ich samych, a wcześniej zostaliśmy już napadnięci przez Indryallan.

Annelie wwierciała się w niego spojrzeniem.

– Jest tego więcej, prawda? Coś mi się widzi, że przyniosłeś ze sobą cały bagaż rewelacji.

– Tak... wybacz, mistrzyni – powiedział, przelewając w swoje słowa poczucie winy za porzucenie Elpidii i własne kłamstwa, żeby wiarygodniej odegrać rolę skruszonego praktykanta.

– No to słucham – ponagliła go Annelie.

Caldan chciał opowiedzieć o Dzwonkach, gdy raptem uprzytomnił sobie, że Protektorom może się nie spodobać fakt, że Elpidia wie o zniewalającej magii. Jego myśli pognały na złamanie karku. Ruchem głowy dał znak mistrzyni, by odeszła z nim na stronę, gdzie będą mogli porozmawiać w cztery oczy. Odeszła za nim poza zasięg słuchu pozostałych.

– Po co te tajemnice?

– Bo o tym, czego się dowiedziałem, powinni usłyszeć tylko Protektorzy. – Dyskretnym ruchem głowy wskazał Elpidię.

Annelie kiwnęła głową na znak, że rozumie.

– Słucham.

– Gdy uciekaliśmy z Anasomy, ścigali nas indryallańscy czarodzieje. Oni zrobili coś Mirandzie. To była podobna magia do tej, której użyli na Simmonie. Nie była sobą, rzuciła się na nas. Zdołaliśmy ją obezwładnić, chcieliśmy poczekać, aż odzyska nad sobą kontrolę, ale gdy to nastąpiło, była już taka. – Znowu rzucił okiem na Elpidię, mając nadzieję, że Annelie kupi te bajdy.

Kolejny raz kłamię tym, którym przyrzekłem posłuszeństwo i wierność, pomyślał, wzdychając w duchu, a potem brnął dalej:

– Jest tak, jakby magia zniewalająca uszkodziła jej umysł.

Annelie zmrużyła powieki.

– Teraz rozumiem. Tak, nie chcielibyśmy, żeby tamta kobieta się o tym dowiedziała. Później porozmawiamy o tym, dlaczego nie

wyjawiłeś nam tego od razu. Ale teraz nie mamy chwili do stracenia. Musimy ją zbadać i zobaczyć, czy możemy coś dla niej zrobić.

– Czy zdołacie ją uleczyć? – spytał Caldan, nie mogąc odsączyć z głosu wzbierającej nadziei.

– Możliwe. Nie dowiemy się tego, dopóki nie sprawdzimy rozległości jej obrażeń. – Annelie przywołała do siebie kilku Protektorów. – Wy dwaj, zabierzcie kobietę z wozu i znajdźcie jej kwaterę. Nie odstępujcie jej na krok. Zaraz przyjdę. – Wskazała Caldana. – Ty zabierz Elpidię do środka. Spotkamy się później.

– Proszę cię – jęknął Caldan. – To przeze mnie Miranda jest w tym stanie. Czy możesz powiedzieć mi, co się stało? Muszę wiedzieć, że nic jej nie będzie.

Annelie spojrzała na niego życzliwiej, ale lód w jej oczach nie stopniał zupełnie.

– Zostań z Elpidią. Gdy tylko się czegoś dowiem, dam ci znać.

Z tymi słowy Annelie odeszła, wydając po drodze rozkazy swoim Protektorom. Caldan mógł tylko patrzeć, jak dwóch czeladników zabiera Mirandę z wozu. Wiele go kosztowało, by nie pójść za nią.

Potem zabrał Elpidię do swojego pokoju i tam czekali na wieści. Nie miał pojęcia, ile zajmie mistrzom zbadanie Mirandy. Podejrzewał, że dowolny okres oczekiwania będzie się dłużył jak wieczność.

Elpidia usiadła na łóżku i zaczęła pisać w notesie. Okazjonalnie przerywała na moment, by wbić wzrok w ścianę, pogrążając się w myślach.

Caldan krążył po pokoju. Uzdrowicielka dwa razy strzeliła do niego poirytowanym spojrzeniem, ale pozostawiła go własnym przemyśleniom. Wreszcie uznał, że nie chce być z nimi sam na sam.

– Nie mogłem powiedzieć jej więcej – wypalił, gdy cisza stała się nieznośna. – Nie wiem, co mistrzyni by zrobiła, gdyby dowiedziała się, że wiesz o magii zniewalającej.

Elpidia przestała pisać i spojrzała na Caldana bystro.

– Domyśliłam się. Wiesz przecież, że ja też nie chcę, żeby wyrządzili nam jakąś krzywdę, ale uważam, że za bardzo obawiasz

się tego, co może się stać. A powinieneś raczej myśleć o tym, żeby robić to, co jest właściwe.

- Właściwe jest to, żeby pomóc Mirandzie – wyrzucił z naciskiem.
- Tak, ale kłamanie tym, którzy mogą jej pomóc, to głupota.
- A utrzymanie cię przy życiu to też głupota?

Na to nie miała odpowiedzi.

Raz jeszcze przeszedł się po pokoju. Bił się z myślami o tym, że nakłamał Protektorom w żywe oczy, ale kiedy wypomniała mu to Elpidia, zjeżył się na nią. Czy ona myśli, że dochowuje sekretów dla przyjemności? Chyba nie zdawała sobie sprawy, jak kardynalnym sekretem jest wiedza o zakazanej magii. Tajemnica tej wagi, pilnie strzeżona od stuleci i opłacona życiem i śmiercią wielu ludzi, to zbyt poważna sprawa, by lekkomyślnie nią szafować, i Caldan nie miał cienia wątpliwości, że Protektorzy odnieśliby się z całą surowością do tego, kto ośmielił się ją zdradzić komuś postronnemu. I trudno! Nie on jeden postępuje wbrew swoim przekonaniom w imię wyższego dobra. Te drobne kłamstwa nikogo nie krzywdzą, a wręcz przeciwnie. Co on wyczytał w „Listach Kalistyny”?

Dobrzy ludzie czynią zło tylko w słusznej sprawie. Nie wątpił, że Protektorzy uznają ich sprawę za słuszną. Tak jak on uznał, gdy Simmon pierwszy raz wytłumaczył mu, o co chodzi.

Ale pierwszy raz, odkąd dołączył do Protektorów, zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście sam wierzył w to, że jego dążenia są styczne z ich sprawą. Przysunął krzesło do okna, usiadł i zapatrzył się w dal. Miał nadzieję, że Annelie pomoże Mirandzie. Bał się myśleć, co zrobi, jeśli okaże się to niemożliwe.



Ktoś zapukał do drzwi, a potem otworzył je, nim Caldan zrobił dwa kroki od okna.

W szczelinie pojawiła się głowa starszej czeladniczki.

– Mistrzynie Annelie chce was widzieć. Oboje, natychmiast. Proszę za mną.

Nie czekając na odpowiedź, kobieta pchnięciem rozwarła drzwi na oścież i sama ruszyła korytarzem.

Caldan popatrzył na Elpidię, która spokojnie spakowała notatnik i przybory do pisania.

Minęły godziny, odkąd mistrzyni zabrała Mirandę. W sercu Caldana nadzieja walczyła ze strachem. Niewiedza o tym, co będzie dalej, drążyła mu dziurę w sercu.

Ruszyli za czeladniczką, która powiodła ich na przestrzał przez cały budynek, aż do kuchni. Mistrzynie Annelie siedziała na ławie, otaczając Mirandę ramieniem, w drugiej ręce ściskając ceramiczny kubek. Miranda odwracała się od naczynia w jej palcach. Na ten widok serce szarpnęło się w piersi Caldana. Miranda wyglądała tak jak przedtem.

Annelie podniosła wzrok na nowo przybyłych. Twarz miała wychudłą i zabiedzoną, jakby nie spała od wielu dni. Dłoń zamknięta na kubku drżała lekko.

Caldan podbiegł, by jej pomóc.

– Ja to zrobię. Mnie pozwala.

Wziął kubek od mistrzyni, podszedł do Mirandy od drugiej strony i przystawił jej do ust. Przełknęła kilka łyków. Pojedyncze krople wody spłynęły jej z kącików ust na podbródek, nim zdołała je domknąć. Otarł je rękawem.

Z Mirandą było coraz gorzej. Jeśli nie zacznie więcej pić, odwodni się. Caldán zaklął w duchu i potarł oczy. Choć Annelie nic nie powiedziała, było jasne, że zawiodła.

Żałobny grymas na twarzy Elpidii potwierdził jego obawy. Uzdrowicielka dotoczyła się do stołu i klapnęła ciężko na ławę, by zanurzyć twarz w dłoniach. Ona także opiekowała się Mirandą w czasie podróży i zbliżyła się do niej. Narósł w nim żal tak wielki, że Caldán by pękł, gdyby w porę nie zebrał się w sobie.

Podążył wzrokiem do Annelie, która wstała i nałożyła sobie potrawki z garnka na kuchni. W pomieszczeniu znajdowali się także

dwaj nieznani Caldanowi czeladnicy, pełniący wartę przy drzwiach. A więc strażnicy pilnujący mistrzyni, ocenili. To pokazywało, że Annelie wcale mu nie ufała, choć przecież poinformował ją o ważnych sprawach i przyniósł z Anasomy cenny talizman.

Zatem nie spodoba jej się to, co mam do powiedzenia, uzmysłowił sobie.

Ale najpierw potrzebne mi potwierdzenie.

– A więc nie udało się?

Annelie odchrząknęła, podchodząc do niego. Potwierdziła ciężkim skinieniem, siadając przy stole. Jadła powoli. Gdy przełknęła kęs, powiedziała:

– Przepraszam. Cokolwiek jej zrobiono, to ponad nasze siły. Nikt z moich Protektorów nie ma dość umiejętności, żeby to odkręcić. Mamy na stanie księgi, ale już sama teoria jest nie do przeniknięcia dla nikogo poza najznamienitszymi czarodziejami. Takimi, jakich ma przy sobie sam cesarz. Zatrzymamy ją u siebie na obserwację, a ja napiszę do stolicy. Może oni pomogą Mirandzie, jeśli zechcą.

Gdy uderzyły w niego te słowa, uświadomił sobie, że wcale nie był tak rozczarowany, jak przewidywał. Jakby od początku wiedział, że taka będzie odpowiedź Annelie. Był zrozpaczony tym, że Annelie nie zdołała pomóc Mirandzie, ale miał raczej wrażenie, że to boli stara rana, z którą jest już zaznajomiony, a nie nowa, którą dopiero trzeba odkazić i zszyć.

Caldan otworzył usta, by coś powiedzieć, kiedy ubiegła go Elpidia.

– Opowiedz jej o Dzwonkach! – wypaliła, a Caldan przymknął oczy.

Co ona zrobiła? Właśnie powiedziała Annelie, że wie o magii zniewalającej.

– Dzwonki? – powtórzyła Annelie. – Co za dzwonki?

Caldan obrzucił uzdrowicielkę wściekłym spojrzeniem, nim westchnął i pochwycił wzrok Annelie.

– Musimy porozmawiać na osobności. Każ wyjść czeladnikom. To nie jest przeznaczone dla nich.



Annelie wolno żuła potrawkę. Gestem odprawiła swoich Protektorów. Gdy wyszli, skierowała na Caldana kamienne spojrzenie.

– Mów. Może w końcu choć dwa słowa prawdy z rzędu. Coś kręcisz, twoja historia cuchnie kłamstwem.

– Nie ma żadnych zbójów w lasach za Starorzeczem. To znaczy Elpidii ukradziono notatki z jej badań i wyposażenie, zniknęły też moje rzemyśliwa, ale nie zabrali ich bandyci.

Annelie przetarła oczy i wyrzuciła powietrze z płuc.

– Zwolnij na chwilę. Weź głęboki wdech i zacznij od początku. Kto cię okradł?

Caldan zrobił, jak kazała. Chwilę trwało, nim uporządkował myśli. Nie mógł powiedzieć Annelie wszystkiego, co wiedział o magii zniewalającej, więc najlepiej będzie trzymać się na obrzeżach tej kwestii. Zresztą im mniej wiedziała o tym Elpidia, tym lepiej. Odsunął z twarzy Mirandy zbłąkany lok.

– Jak już wspomniałem, gdy uciekaliśmy z Anasomy, przyczepiło się do nas dwoje indryallańskich magów. Oni zrobili coś Mirandzie. Tą samą magią, której użyli na Simmonie. Czarodzieja zabiłem. Czarodziejkę pojmałem. Kobietę, która nazywa się Dzwonki.

Annelie zerwała się z miejsca. Jej blada przed chwilą twarz była teraz czerwona.

– Co zrobiłeś? – wychrypiała. – I dopiero teraz mi mówisz?

– Przepraszam. Myślałem, że uda mi się skłonić ją do wyleczenia Mirandy. Nauczyła mnie kilku rzeczy i sam potrafię już wyczuć skalę obrażeń, jeśli użyję jednego z rzemyśliw Dzwonków. – Złapał wzrokiem Elpidię. – Wiemy, że magia, której użyto, to magia zniewalająca.

– Na cienie przodków! Co cię opętało? Chcesz powiedzieć, że ona uciekła i biega sobie teraz na wolności? I próbowałeś uczyć się od niej magii zniewalającej?

– Tak. Chciałem wam o tym powiedzieć, ale...

– Milcz! – zasyczała mistrzyni. Rzuciła miskę na stół. – Za mną. Ale już. Nie mamy czasu na długie wyjaśnienia i na twoje wymówki. Ale

pozwól, że jedno powiem ci jasno: odpowiesz za wszystko, co ona zrobi na wolności.

Caldan wbił wzrok w podłogę, czerwony jak rak. Niemal niewidoczna blizna na jego policzku zaswędziała niczym ugryzienie owada i podrapał ją. Elpidia wpatrywała się w niego zatroskanym spojrzeniem, a potem przeniosła wzrok na Mirandę i wtedy na jej twarzy zajaśniało współczucie.

– Niemal rozumiem, dlaczego to zrobiłeś – zaczęła Annelie. – Twoja przyjaciółka... być może ktoś więcej... została poważnie ranna. Kto wie, może nawet odmieniona nieodwracalnie. Oczywiście, że chciałeś ją uleczyć. Ale żeby uczyć się magii zniewalającej od indryallańskiej czarodziejki? Czyś ty zwariował?

– Przyswoiłem bardzo niewiele – zaprotestował Caldan. – Chciałem tylko zobaczyć, czy będę mógł lepiej zrozumieć, co się z nią stało.

– I myślisz, że ona nie miała własnych powodów, żeby ci w tym pomóc?

– Z wolna zaczynała już ze mną współpracować. Zrozumiała, że jeśli pomoże mi z Mirandą, sama na tym skorzysta... – Zaciął się; nie mógł przecież powiedzieć mistrzyni, że po wszystkim planował ją wypuścić.

– A jednak uciekła. Jak to zrobiła? Czy nie sądzisz, że grała na czas, czekając tylko na właściwy moment, żeby dać nogę? Wiele pytań bez odpowiedzi, a poza tym uważam, że nie rozumiesz w pełni powagi sytuacji. Magia zniewalająca jest skomplikowana i niebezpieczna, pomijając już, że etycznie nie do obrony. Zbyt łatwo jest zabłądzić w umyśle innej osoby. A wątpię, że ona była z tobą ostrożna.

– Znaczy... Tak, to możliwe.

Słowa Annelie trafiały do niego, ale trzymał się swojej jedynej linii obrony: robił to, co w niełatwej sytuacji uważał za słuszne. Nie. Nie za słuszne. Robił to, czego chciał. Nade wszystko przedłożył Mirandę.

– Twoja naiwność graniczy z brawurą – wymówiła Annelie. – Gdybyś przekazał nam czarodziejkę razem z mieczem, jej ucieczka

nie doszłaby do skutku. No cóż, teraz pomożesz nam naprawić swój błąd, skoro cały ten bałagan to głównie twoja zasługa. I będziesz przy tym obserwowany na każdym kroku.



Caldan studiował twarze dwóch stojących przed nim czeladników. Annelie stała u jego boku. Przed chwilą przedstawiła mu obu mężczyzn. Obydwaj byli w wieku, w którym można już było zostać mistrzem, ale Caldan poznał, że ich talenty leżą w innych dziedzinach. Jeden z nich był szczupły i o surowym wejrzeniu, drugi muskularny i ponury. Obaj byli uzbrojeni po zęby; mieli przy sobie miecze i sztylety, kompozytowe łuki na plecach i kołczany przy pasach. Nosili ciężkie skórzane buty i pasujące do nich ubranie, a z każdej cholewy wystawała podejrzanie wyglądająca metalowa kula – głównie ukrytych noży, jeśli się nie mylił. Obaj mieli przy sobie rzemyśliwa, lecz nie wyczuł żadnych talizmanów. Choć niektóre pradawne talizmany opierały się wykryciu. Kościany pierścień na przykład początkowo w ogóle nie zdradził Caldanowi, że jest w nim coś magicznego.

Czeladnicy wyglądali na zaprawionych w bojach. Annelie nalegała, by obaj udali się z Caldanem tam, gdzie po raz ostatni widział czarodziejkę. Podejrzewał, że im rozkazała coś więcej, niż tylko upolować Dzwonki. Że gotowała jej o wiele gorszy los.

– Raz jeszcze pragnę podziękować ci za szansę, mistrzyni – odezwał się Caldan. – Pomogę Morkelowi i Keevowi jak tylko będę potrafił. – Osadził dłoń na rękojeści miecza, który miał przy pasie, prostej i solidnej broni. To oczywiste, że nie mógł się równać z talizmanem, który przywiózł tu z Anasomy. – Dziękuję też za oręż.

Annelie przekrzywiła głowę i łypnęła na czeladników.

– Chcę, żebyśmy mieli jasność. Gdybyś nie wykonał zadania, które powierzył ci Simmon, siedziałbyś teraz w lochu. Najpierw zadośćuczyniłeś zaufaniu, które pokładał w tobie twój mistrz,

a potem wszystko zaprzepaścieś. Jeden fałszywy ruch i osobiście dopilnuję, żebyś został uciszony. Jaśniej się chyba nie da. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Caldan przełknął ślinę.

– Tak, mistrzyni.

Morkel, ten chudy czeladnik, odkaszlnął w pięść.

– Nie możesz chodzić nieuzbrojony. Każdy Protektor, który nie wypadł sroce spod ogona, umie walczyć mieczem. Więc uważaj, nie potnij się.

Keev prychnął śmiechem, ale Annelie natychmiast uciszyła go mroźnym spojrzeniem, a potem wróciła do Caldana.

– Nie wszyscy Protektorzy muszą umieć walczyć mieczem, nie słuchaj ich.

Oni mają mnie za praktykanta, domyślił się Caldan. Dobrze. Annelie na pewno powiedziała im, że czeladnikiem nie jestem. Ale nie byłaby mistrzynią, gdyby nie była inteligentną kobietą. Na pewno przykazała im, żeby na mnie uważali.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli zaczniemy tam, gdzie znajdował się nasz obóz. Rozbiliśmy go z dala od traktu i nie minęło wiele czasu, więc pewnie wszystko zostało, jak było. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy tam ślady, które odpowiednio nas pokierują.

– To właśnie zrobimy – odrzekł Morkel. – Wytropię każdego, chyba że umie się ukrywać i zacierać ślady. Jeśli poszukiwani mieli trochę oleju w głowie, na pewno zaraz skierowali się ku drodze. Jeśli tak zrobili, pewnie ich już nie znajdziemy. – Wzruszył ramionami, poprawił pas na biodrach. – Miejmy nadzieję, że nie są zbyt mądrzy.

Keev znowu się zaśmiał, a Caldan zaczął myśleć, że on nic nie mówi, tylko prycha i chichocze.

– Uwińcie się szybko – poleciała mistrzyni. – Znajdźcie czarodziejkę, a jeśli będzie wam potrzebna pomoc, dajcie znać. I wracajcie jak najszybciej. Musimy się przygotować, zmierza ku nam cesarz ze swoim wojskiem.

Na pożegnanie wymierzyła w Morkela i Keeva surowe spojrzenie, a potem obróciła się na pięcie i zostawiła ich na dziedzińcu.

– No dobra – rzekł Morkel. – Na koń i w drogę.



Caldan kiwnął głową i zmrużył oczy, starając się wyglądać jak ktoś, kto intensywnie nad czymś główkuje. Morkel zadał bardzo dobre pytanie, ale nie mógł przecież wyjawić tym ludziom całej prawdy. Nie wiedział, na ile mieli pojęcie o magii zniewalającej, a nie był to pierwszy lepszy temat do rozmowy.

Stali na skraju byłego obozowiska, skąd pod nieobecność Caldana uciekła Dzwonki, a Amerdan prawdopodobnie zabrał się wraz z nią. Zarówno Morkel, jak i Keev gestem zabronili mu się zbliżyć, a sami ostrożnie trawersowali obrzeża obozu, szukając śladów. Caldan przestępował z nogi na nogę, dopóki do niego nie wrócili. Drażniły go te okresy bezczynności, ale nie bardzo mógł coś na to poradzić.

– No? – powtórzył pytanie Morkel. – Dlaczego czarodziejka nie ukradła wam wozu? Ślady wskazują na to, że dwie osoby odeszły stąd pieszo, kierując się w stronę rzeki. Porzucając konie i wóz, warte sporo pieniędzy i zapewniające wygodniejszą i szybszą podróż. To się nie trzyma kupy. Jeśli zamierzała wrócić do Anasomy, na pewno by je zabrała.

Caldan nie mógł nie zgodzić się z tokiem rozumowania czeladnika. Dzwonki po prostu nie potrzebowała wozu.

– Ona nie wróciła do Anasomy.

Morkel zerknął na Keeva, który mruknął coś pod nosem.

– Jeszcze raz: co dokładnie zabrali?

– Ekwipunek Elpidii, jej leki, zioła, alchemiczne odczynniki, sprzęt. Niektóre przedmioty przedstawiały znaczną wartość. Do tego moje rzemyśliwa, te, które tu zostawiłem.

– Właśnie miałem o nie pytać. Dlaczego zostawiłeś rzemyśliwa tutaj, zamiast zabrać je ze sobą?

– Opuściłem obóz przed świtem, żeby jak najszybciej dostarczyć Protektorom miecz-talizman. Nie chciałem tracić już ani chwili.

Myślałem, że zaraz wrócę.

Morkel gapił się na niego, ważąc jego słowa. Potem skinął na Keeva.

– Co odkryłeś?

– Wóz przyjechał na miejsce, stanął tam i stał całą noc. Potem jeden człowiek ruszył w kierunku traktu, zgaduję, że obecny tu Caldan. Wkrótce wóz ruszył za nim, a dwie kolejne osoby poszły w kierunku rzeki, ale czy razem, czy osobno, tego nie wiem.

To był pierwszy raz, gdy Caldan usłyszał głos drugiego Protektora. Jego brzmienie go zaskoczyło. Chrapliwy, zdarty ton, jakby przemawianie sprawiało Keevowi ból. Nic dziwnego, że był milczkiem.

– Zgadza się – ocenił Morkel. – Kontynuujmy.



**Z**arysowane cieniem na tle zachodzącego słońca postacie stały nieruchomo, gdy Vasil i Mazoet szli plażą w ich kierunku. Na morzu stało na kotwicy pięć okrętów, a w dali za nimi widać było, jak nadpływają kolejne cztery.

Szare morskie ptaki fruwały nad ich głowami, a kraby wielkości paznokci kryły się w swoich norkach, umykając przed ich ciężkimi, grzęznącymi w białym piasku butami. Smuga suchych wodorostów znaczyła miejsce, do którego sięgały fale przyływu.

Vasil osłonił oczy przed słońcem i spojrzał na Mazoeta, którego twarz pochmurniała z każdym krokiem uczynionym w kierunku przybyszów. Za ich plecami widzieli pięć wciągniętych na brzeg szalup, a przy każdej po dwóch marynarzy. Bardzo dziwne. Po co aż pięć łodzi, skoro pasażerów również było pięciu?

– Wciąż nie powiedziałaś mi, co tutaj robimy. Gdziekolwiek jest to tutaj.

– Negocjujemy. No, niezupełnie, bo negocjacje zakończyły się dawno temu. Teraz raczej... odświeżamy zawarte porozumienie.

– Kim są kontrahenci?

– Najemnikami. Sprzedajnymi mieczami. Najlepszymi, jakich mogliśmy znaleźć. Tani nie byli, ale po co komu dukaty, jeśli wisi nad nim śmierć?

W rzeczy samej, zgodził się Vasil. Mazoet wykazywał rażący brak szacunku dla pieniędzy. Dla Vasila również nie przedstawiały specjalnej wartości. Ci, dla których przedstawiały, często zmagali się z demonami, które zwykle zaciągały ich przed oblicze sądu.

W miarę zbliżania się do mężczyzn w oczy rzucało się coraz więcej detali. Twardziele w skórzniach, najeżeni mieczami, sztyletami i nożami. Jeden miał nawet łuskowy napierśnik.

– Rozumiem, co ty masz tu do roboty, ale dlaczego ja tu jestem?

– O, teraz zadajesz dobre pytania. Może powiedz mi: jak ci się wydaje? – Czarodziej wydmuchał powietrze z płuc, wydymając policzki jak trębacz. Ten krótki spacer wycisnął z niego siódme poty.

– Bo im nie ufasz.

Mazoet zaśmiał się.

– Powiedzmy, że nie chciałbym, żeby nasza ciężka praca poszła na marne. To dobry znak, że zjawili się tu w tyle okrętów. Nie było łatwo zadzierzgnąć porozumienie między tak wieloma kompaniami. I choć mamy w swoim posiadaniu podpisane przez nich kontrakty stanowiące, że podejmą dla nas pracę, to istnieją tacy ludzie na świecie, którzy robią z gęby cholewę lepiej od niejednego szewca. Na pewno sam natknąłeś się w życiu na takich.

– Tak – odparł Vasil. – Choć jak już człowiek zasłynie jako ktoś, kto nie wywiązuje się z umów, to mało kto chce mu płacić.

– Jeśli zarobią dość na tym jednym kontrakcie, mogą nie potrzebować pieniędzy przez dłuższy czas, a zmienić imię i wygląd nie jest trudno. Kto się domyśli, że to ta sama banda?



Vasil zgodził się z czarodziejem. Popatrzył w morze. Coś mu się nie zgadzało.

– Musiałeś spotkać się z tymi ludźmi miesiąc temu, żeby umówić ich wszystkich na spotkanie tutaj. – Zatoczył półokrąg ramieniem, zamykając w nim ludzi na plaży i okręty. – Pięć różnych kompanii, wszystkie tutaj o tej samej porze. Nie powiedziałeś mi jeszcze, skąd przypłynęli.

– Niektórzy z Sotharlańskiej Unii Miast, niektórzy skądinąd. To zresztą bez znaczenia. Znaczenie ma to, żeby wykonali robotę, za którą im zapłaciliśmy.

Vasil nic na to nie powiedział. Jeśli Gazija i jego ludzie zwerbowali najemników sporo czasu temu, to musieli wiedzieć od dawna o nadchodzącej inwazji na Anasomę. W dodatku byli zdania, że odwet cesarza, który poderwał do ataku całą swoją armię, nie wystarczy, by odeprzeć Indryallan. Nasuwało się pytanie: dlaczego nie powiadomili o tym cesarza?

Ta myśl sprawiła, że dreszcz zbiegł mu po kręgosłupie. Wymyślił kilka odpowiedzi na to pytanie i żadna nie wiązała się z niczym dobrym.

– Ja będę mówił – uprzedził Mazoet. – Ty masz tylko powiedzieć, czy kłamią lub kręcą.

– Jasne.

– Bardzo mnie to cieszy.

W milczeniu pokonali ostatni odcinek drogi do stojących na piasku mężczyzn. Zatrzymali się kilka kroków od nich. Z tak bliska Vasilowi rzuciła się w oczy ich gotowość do akcji, dostrzegł też w nich dyscyplinę, której się nie spodziewał. Ich pancerze i broń nosiły oznaki częstego używania, ale były też świetnie utrzymane. Mazoet lustrował najemników przenikliwym spojrzeniem. Vasil sam czuł na sobie taksujący wzrok całej piątki. Nie wątpił, że cokolwiek wywnioskowali z jego wyglądu i zachowania, ale dobrze sobie go zapamiętywali.

– Pozdrawiam was – rzekł Mazoet donośnym, przebijającym się przez szum fal głosem. – Widzę, że wszyscy dotarliście na miejsce.

Mężczyzna w łuskowym napierśniku wyszedł naprzód. Na plecach dźwigał olbrzymi miecz, a długą brodę zaplótł w warkocz.

– Myślałeś, że złamiemy dane słowo? Zapłaciłeś, no to jesteśmy.

– Zdarzają się przecież opóźnienia. Niekiedy, mój Selbourne, czas rzuca nam kłody pod nogi.

– Jak już mówiłem, i jak sam zresztą widzisz, dotarliśmy na umówione miejsce. – Brodacz imieniem Selbourne wskazał gestem kamratów.

– Wraz z waszymi ludźmi, zgodnie z umową.

– Czarne Słońca – rzekł Selbourne. Mężczyzna po jego lewej ręce, z krótko przyciętą kozią bródką, skłonił się w pas. – Złamane Klingi.

– Najniższy ze wszystkich pochylił głowę. – Diamentowa Gwardia – skinął głową kolejny, ze spłaszczonym, wielokrotnie złamanym nosem. – Czerwone Tarcze. – Czwarty, który miał na policzku dwie szramy, przytaknął. – Oraz moi ludzie, Zapomniana Kompania.

Mazoet wsunął rękę za tunikę i cała piątka natychmiast wpiła się w niego napiętym wzrokiem, ale rozluźniła się, gdy wyjął zza pazuchy złożony na pół plik dokumentów.

Złamany Nos oblizał usta.

– A więc to ciebie zrobili rzecznikiem? – domyślił się Mazoet.

Selbourne wzruszył ramionami i potwierdził skinieniem.

– Jak wszyscy wiecie – zaczął Mazoet – spotkaliśmy się dzisiaj z dwóch powodów. Po pierwsze, nasza strona chciała się upewnić, że wyruszyliście, a po drugie, żeby przekazać waszej stronie drugą ratę honorarium. – Machnął papierami. – Oto nakazy wypłaty możliwe do zrealizowania we wszystkich naszych biurach jak świat długi i szeroki. Zgodnie z umową.

Najemnicy popatrzyli po sobie.

– Spytaj go, Selbourne – rzekł Złamany Nos.

– Morda, Regnar – syknął rzecznik. – Od początku byłem temu przeciwny, ale wszyscy chcecie, żebym spytał, no to spytam. – Selbourne skrzyżował spojrzenie z Mazoetem. – Jest pewien problem. Ostatnie wypłaty nastąpiły bez przeszkód... ale skąd mamy wiedzieć, czy tak samo będzie tym razem? Te opiewają na o wiele

wyższe kwoty. Ponadto zostały wydane przez Pięć Oceanów. Jesteś w stanie unieważnić je jednym słowem. I gdzie my wtedy będziemy?

Może i byli najemnikami, ale na pewno nie byli głupi. Vasil ich nie docenił, lecz Mazoet był przygotowany.

– To żaden problem – odparł. – Choć wasz brak zaufania sprawia mi przykrość, to jednak przewidziałem wasze wątpliwości.

Czarodziej wsunął papiery z powrotem za tunikę, a w ich miejsce pojawiło się w jego ręce pięć skórzanych sakw. Rzucił po jednej każdemu z kapitanów. Gdy ci wysypali ich zawartość na dłonie, rozległy się okrzyki zachwytu. Każdy otrzymał od czarodzieja garść oszlifowanych drogocennych kamieni. Ze spojrzeń wybałuszonych oczu Vasil wyczytał, że to z naddatkiem wystarczyło na pokrycie umówionych kwot. Regnar, przywódca Diamentowej Gwardii, schował kilka kamieni do kieszeni, nim wsypał resztę do sakiewki.

Selbourne bez słowa schował swoją za pasem. Skinął Mazoetowi głową i cofnął się do pozostałych hersztów.

Czarodziej rozproszył tę aurę zachwytu:

– Pozwólcie, że teraz z kolei ja zdradzę się z wątpliwościami. Mam jedno pytanie, choć to pewnie jedynie formalność.

Dowódcy wymierzili w niego stalowy wzrok, ale Mazoet nie wyglądał, jakby się nimi przejął.

– Odpowiedzcie tak lub nie.

Kapitanowie wymienili zdezorientowane spojrzenia i mruknęli coś na znak zgody, a potem przemówił Selbourne:

– Jesteśmy związani kontraktem. Pytaj.

Mazoet taksował ich przez kilka chwil, nim powiedział:

– Czy zamierzacie wypełnić warunki umowy, w myśl której właśnie otrzymaliście zapłatę?

Selbourne prychnął, zanim obrócił się do kolegów. Dwóch mężczyzn wzruszyło ramionami, kiwając głową, dwaj odpowiedzieli, że owszem. Rzecznik zwrócił się z powrotem do Mazoeta.

– To pytanie jest puste jak suchy orzech. Oczywiście, że powiemy „tak”, nawet gdyby któryś z nas zamierzał zabrać zapłatę i dać nogę.

– Odpowiedzcie raz jeszcze mimo wszystko.

Selbourne obrócił się do swoich ludzi.

– Odpowiedzcie Mazoetowi, skoro prosi, i pływamy już stąd.

Jeden po drugim odpowiedzieli twierdząco. Żaden nie wydawał się Vasilowi nerwowy, ale widział już przecież mężczyzn i kobiety kłamiących z takim przekonaniem, jakby prawda ich słów była jasna jak słońce.

Vasil wskazał Regnara, dowódcę Diamentowej Gwardii, człowieka, który schował kilka klejnotów dla siebie.

– On – rzekł beznamiętnym głosem, obawiając się tego, co zaraz nastąpi. – On kłamie.

Zdumiony Regnar wybałuszył oczy i wydukał:

– Chwila moment. Co to ma znaczyć?

Dłonie pozostałych dowódców natychmiast powędrowały do rękojeści broni, ale nie wykonali żadnego innego ruchu. Niektórzy wczepili się wzrokiem w kamrata, inni wodzili spojrzeniem od Vasila do Mazoeta.

Moje słowo to za mało, żeby ich przekonać, pomyślał Vasil. Zresztą mnie też by nie przekonało, gdybym stał w ich butach.

Mazoet umilkł, jakby zastanawiał się, co z tym fantem zrobić.

– Właśnie wypłaciłem wam ostatnią ratę – rzekł. – Jesteście mi więc winni posłuszeństwo.

Selbourne oczyścił gardło.

– Niezupełnie. Nie możemy uwierzyć temu człowiekowi na słowo, że Regnar kłamie.

– Jestem z wami! – zarzekał się Złamany Nos. – Mówię prawdę!

– Ja twierdzę, że wasz kolega kłamie – powiedział Mazoet. – I to jest jedyna rzecz, która ma teraz znaczenie. I owszem, jesteście zobowiązani wykonywać moje rozkazy. Czy mimo to zamierzacie okazać nieposłuszeństwo w tak błahej sprawie?

Najemnicy kręcili nosami, dodał więc:

– Jeśli zabijecie go teraz, możecie podzielić między siebie jego działkę.

Dwaj najemnicy złapali Regnara, zanim ten zdążył zareagować. Selbourne wolno pokiwał głową.

– Zabić go – polecił Mazoet. – Rozdzielcie między siebie jego ludzi. Czy spełnicie tę małą prośbę, panowie?

Selbourne sięgnął na plecy po swój wielki miecz.

– Tak. Jego ludzie pójdą za pieniędzmi. I tak niezbyt go lubią.

Na jego znak pozostali rzucili Regnara na kolana i wykręcili mu ręce na plecy. Jeden nogą pochylił mu kark.

– Nie możecie! – wrzeszczał Złamany Nos. – Pozabijam was, dranie!

– Morda, Regnar – rzucił Selbourne. – Umrzyj z honorem, człowieku.

Uniósł miecz i jednym ciosem ściał mu głowę. Kończyny Regnara zadrgały i znieruchomiały, a jego krew wsiąkła w piasek.

Selbourne wytarł klingę o ubranie Złamanego Nosa.

– Załatwione.

Vasil zamknął oczy, nie chcąc patrzeć na bezgłowego trupa.

– Nieprzyjemna sprawa, ale niestety, konieczna – skomentował Mazoet. – A teraz wróćmy do przygotowań. Im szybciej dotrzecie do punktu zbornego, tym lepiej. Sytuacja w Anasomie się komplikuje i obawiamy się, że będziecie potrzebni raczej prędzej niż później. Chodźmy, Vasilu, tutaj już skończyliśmy.

Po kolejnym krótkim spacerze i następnej wywracającej flaki i umysł na drugą stronę magicznej teleportacji Vasil zorientował się, że znajduje się tam, gdzie niedawno rozpoczęła się jego podróż z Mazoetem. Przeskoczył na drugi koniec kraju i uczestniczył w zmarnowaniu fortuny w szlachetnych kamieniach, a wszystko to w zaledwie parę godzin. Nie mógł tego ogarnąć rozumem, choć przecież doświadczył tego wszystkiego z pierwszej ręki.

Mazoet wtajemniczył Vasila w szczegóły kolejnej misji: należy znaleźć cesarza i wykorzystać wszelkie koneksje i wpływy, aby się z nim spotkać, a potem wyjaśnić, co działali jak dotąd Gazija i jego ludzie oraz jak będą mogli pomóc władcy w przyszłości, cały czas korzystając z talentu Vasila, o którym cesarz zostanie

powiadomiony, żeby przekonać go o prawdziwości ich intencji. Władca z pewnością zaufa Vasilowi, bo ten wykonał dla niego w przeszłości dobrą robotę, i dlatego, że sam cesarz włada podobnym talentem. Korzystał już z usług Vasila, a potem go odprawił właśnie ze względu na talent do odkrywania tajemnic, które pleniły się jak chwasty wokół cesarza i wśród jego doradców.

Należała do nich wiedza o prawdziwej naturze magii, którą posiadali cesarscy arcymagowie.

Vasil spędził wieczór i większość nocy, blakając się po obozie. Gazija i jego ludzie nie zrobili nic, by ostrzec imperium lub choćby Anasomę, a teraz oferowali cesarzowi „pomoc”? Czuł, że jest jakieś logiczne połączenie między jednym a drugim, ale nie miał pojęcia jakie.

Gdy w końcu legł na posłaniu, długo nie mógł zasnąć. Jak on miał poświadczyć o prawdziwości intencji Pierwszego Wybawiciela, gdy sam nie był wcale pewien, że zna całą prawdę?



Wschód słońca Vasil powitał ze zmęczonym westchnieniem ulgi.

Przetarł oczy. Odkąd powiedzieli mu, czego od niego chcą, dopadł go ból głowy i jak dotąd nie odpuszczał. Na cienie przodków, chętnie by się napił czegoś mocniejszego.

Później tego dnia stał z Aidanem przy czterech skubiących trawę koniach, gdy tymczasem Chalayan i cel Rau oporzędzali je przed wyruszeniem w drogę. Gazija zapewnił im wierzchowce i siodła oraz wszelkie niezbędne zapasy. Aidan poprosił tylko o chleb i ser, suszone owoce i orzechy. Vasil wnioskował, że minie wiele czasu, nim się gdzieś zatrzymają, i skłamałby, mówiąc, że smuci go ta myśl. Gazija i Mazoet oraz ich ludzie działali mu na nerwy. To oni znaleźli go i wciągnęli w to swoje bagno, choć przecież miał świadomość, że nie brodzi nim wbrew własnej woli. Ale to przecież nie oznaczało, że nie wolno mu wątpić, prawda? I to te wątpliwości sprawiały, że

zapraǳnął spędzić jakiś czas sam ze sobą, by wszystko poukładać sobie w głowie.

No to spędzał i układał. Przekazano go Aidanowi i pozostawiono własnym rozbieganym myślom i zamysłom. Zaraz dosiądzie konia i podejmie próbę przekonania cesarza, że kierujący Kompanią Pięciu Oceanów przybyli mu na pomoc, a on powinien się z nimi sprzymierzyć. Całą noc dręczyły go wizje cesarza, który każe ściąć mu głowę, tak jak przywódcy najemników ścięli głowę dowódcy Czerwonych Tarcz. Na tę myśl żołądek Vasila zawiązał się na supeł, a do ust napłynęła mu ślina.

– Co z tobą? – spytał Aidan. – Będziesz rzygał? Nie płyniemy statkiem, nie martw się.

– To nie środek transportu mnie martwi. Tylko nasza misja.

– Wierzę w ciebie. Nie, to coś więcej niż wiara, bo wiara oznaczałaby, że nie mam żadnych dowodów, które potwierdzałyby twoje umiejętności. Jeśli jest na świecie ktoś, kto zdołałby przekonać cesarza o tym, że cały ten bałagan dzieje się na poważnie, to tylko ty. Mogę wykorzystać swoje koneksje i to, że go znasz, żeby zorganizować spotkanie. Reszta należy do ciebie.

– Spotkałem go tylko kilka razy... Wątpię, żeby pamiętał.

– Pamięta, pamięta. Nie jest cesarzem, bo ktoś mu narzucił na ramiona płaszcz z gronostajami.

– Mimo to...

– Przestań się zamartwiać. Rozchorujesz się z tej zgryzoty.

– Łatwo ci mówić. To nie ty musisz przekonać cesarza. – Vasil pomasaował brzuch. – Zresztą już choruję.

Aidan zachichotał.

– Nic ci nie będzie. Zaproponuj mu grę, jak Chalayanowi. Kto wie, może sam cesarz będzie ci krewny pięćdziesiąt pięć srebrników?

Pomimo parszywego nastroju na ustach Vasila wykwitł uśmiech.

– Nie, na niego to nie podziała. On zna moje zdolności.

– No to już jesteś w połowie drogi do przeciągnięcia go na naszą stronę.

– Może.

– Pogadamy w drodze. Nie wiem, jak ty, ale ja chcę już jechać. Wiem, bo mi powiedziałeś, że Gazija ma dobre intencje, ale nie mogę się przy nim rozluźnić.

Co do tego Vasil nie mógł się nie zgodzić.

Popatrzył na przydzielonego mu konia i westchnął. Stara brązowa klacz, której chyba wcale się nie chciało opuszczać wygodnego domu, by tułać się po drogach wiodących przodkowie wiedzą gdzie. Pogładził jej chrapy i powiedział w duchu: a myślisz, że mi się chce?





**M**orkel gestem zasygnalizował postój i przywołał do siebie Keeva.

Caldan szybko zeskokczył z siodła i podbiegł do nich. Morkel krzywił się na dwa młode drzewka przed nimi – smukłe pnie wyrastające z ziemi kilka kroków od siebie. Wydawał się zmartwiony, a gdy Caldan i Keev podeszli, kazał im się zatrzymać.

– Wydaje mi się, że zaraz dowiemy się nieco więcej o tym, z czym przyjdzie nam się zmierzyć – oświadczył tropiciel.

– Mówisz... o tych drzewach? – spytał Keev.

– Tak. Czarodziejka zostawiła za sobą ślady. Nieco zbyt wyraźne. A teraz to. Dlaczego ktoś miałby zboczyć z traktu, z najłatwiejszej drogi, i wspinać się pod górę, żeby przejść między dwoma drzewami?

– Na pewno nie zrobiłaby tego bez powodu – rzekł Caldan.

– A jeśli pomyślała, że ktoś może zechcieć ją śledzić, to jedynym powodem takiego zachowania byłoby zastawienie na tego kogoś pułapki. I to właśnie mamy teraz przed sobą: pułapkę.

Morkel rozejrzał się, a potem schylił po patyk. Zbliżył się do dwóch drzewek, ostrożnie stawiając stopy. Ukucnął i dźgnął kępy trawy wokół pni.

– O! – Nagłym zdecydowanym ruchem Morkel wbił patyk między drzewa.

Caldan poczuł, jak Keev sztywnieje u jego boku, ale... nic się nie wydarzyło. Tropiciel wstał i cofnął się od pni, a potem spojrział na nich.

– Przy korzeniach są rzemyśliwa. Prowizoryczne, złożone z gałęzi powiązanych suchą trawą, ale pewnie wcale nie mniej efektywne. Cokolwiek miały zrobić, nie wykonano ich z myślą o długowieczności.

– Ale kiedy włożyłeś patyk między drzewa – zauważył Caldan – nic się nie stało.

– Podejrzewam, że jest jakiś inny zapalnik, inaczej pułapkę mogłoby aktywować przebiegające tędy zwierzę. A niewiele odróżnia nas od zwierząt, wyjąwszy korzystanie z metalu. Masz przy sobie jakieś dukaty? – spytał Caldana.

– Jakie? Złote, srebrne czy miedziane?

– Najlepiej złote, jeśli jakieś posiadasz.

Caldan podał mu złotą monetę, a Morkel bez ceremonii cisnął ją między drzewa. I znowu, jak ostatnim razem, nic się nie stało.

– Hmm – zamyślił się Morkel, wycierając ręce o spodnie. – Jak na pułapkę wykonaną w pośpiechu, ta jest całkiem wyrefinowana. Ale nie możemy zostawić jej tutaj, gdzie ktoś niewinny mógłby się na nią natknąć.

– Może jest dostrojona do magów? – zasugerował Caldan. – I zadziała tylko na kogoś z otwartą studnią?

Keev cofnął się o krok.

– Ja jej nie sprawdzam.

– Przecież nikt z nas do niej nie wlezie – zirytował się Morkel. – Mam przy sobie stare rzemyśliwo, z którego skorzystamy. Już i tak najlepsze dni ma za sobą.

Protektor wyjął naszyjnik z za koszuli. Z łańcucha zwisało pięć rzemyślniczych medalionów. Zdjął jeden, a resztę schował z powrotem.

– No to zobaczymy.

Caldan poczuł, jak czeladnik otwiera studnię, i sam zrobił to samo, by ją zbadać.

Całkiem silna, ale... jakby chropowata. Rzemyśliwo Morkela przefrunęło między pniami. W powietrzu zaskwierczało i buchnęło światło. Wszyscy odskoczyli i odwrócili twarze. Caldan syknął, gdy zaszczypały go oczy i zaczęły łzawić. Jego nozdrza wypełnił zapach cytryn i gorącego metalu.

Z obu drzew unosił się dym, a miejsce po drugiej stronie, gdzie upadło rzemyśliwo, stało się plamą poczerniałej trawy. Morkel pospiesznie wygrzebał patykiem dwa przedmioty umieszczone przy korzeniach, małe wiązanki z drobnych gałązek przeplecionych wysuszoną trawą. Teraz były powykręcane i czarne, niby wyjęte z ogniska.

– Jak ona wyrzezała runy na tak cienkich patyczkach? – dziwował się Caldan. – Nie ma ani piór, ani atramentu.

– Same patyki tworzą runy. Zabójcze ustrojstwo. Prymitywne, ale dobrze zrobione. Rzekłbym nawet, że znakomicie. – Morkel zmrużył powieki, badając obracane w palcach resztki, a potem podążył wzrokiem do Caldana. – Ona chyba za tobą nie przepada. Ta pułapka nie mogła być przeznaczona dla nikogo innego. A jeśli potrafi czynić magię funkcjonalną z patyków i trawy, to mamy spory kłopot.

Morkel okrążył drzewka, naznaczone teraz czarną, biegnącą wzdłuż pni linią, i podniósł swój wisior, by im pokazać. Był w dwóch częściach.

– Przecięty na pół. Zachowam to ku pamięci. Kees, zdaje się, że tam leży w trawie czyjś zagubiony dukat. Bądź tak dobry i go przynieś. Kiedy wrócimy, to się za niego napijemy. Moglibyśmy

nawet zdobyć się na szczodrość i zakupić trunek także dla naszego kolegi praktykanta, jeśli nie ma nic przeciwko temu.

Caldan kiwnął głową na znak zgody. Uznał, że dobrze na tym wyjdzie, jeśli zjedna sobie dwóch czeladników. Dobre słowo podszeptnięte przez ludzi, którym Annelie ufała, może wiele zdziałać.

– Ruszajmy – powiedział. – Wykonanie tej pułapki musiało być czasochłonne, a zatem może niebawem ją dogonimy.

Morkel nie ruszał się z miejsca, przyglądając się drzewom. Keev stanął obok niego i obaj pomazali palcami wyrysowane na pniach linie.

– Co jest? – spytał Caldan.

– Podejdz, chłopcze – polecił Morkel.

Caldan zbliżył się, a czeladnik ustawił go po drugiej stronie drzewek, sam pozostając po przeciwnej. Caldan widział go zza drugiej strony pnia. Bo to nie były linie. Oba drzewa zostały rozszczepione.

Morkel i Keev popatrzyli po sobie.

– Teraz nie jestem taki pewien, czy naprawdę chcemy ją dogonić – wymamrotał Morkel, a drugi Protektor potwierdził ruchem głowy.

– Kiedyś schwytałem ją sam – powiedział cicho Caldan. – Miała wtedy przy sobie wszystkie swoje rzemyśliwa. Teraz jest nas trzech.

Morkel mruknął pod nosem.

– Skoro tak mówisz... Sprawdźmy więc, dokąd ona się kieruje, a potem zobaczymy, czy wystarczy nam sił, żeby ją złapać. Ale powiem wam, że źle mi to pachnie.

Wkrótce potem stanęli na szczycie wzgórza, z którego dobrze widzieli całą panoramę Starorzecza. Ślad Dzwonków otaczał miasto szerokim łukiem, a potem skręcał tu, gdzie teraz stali, i zmierzał prościutko do bramy.

Widzieli kłębiący się przy niej tłum ludzi z końmi, wozami i wózkami – zwyczajowy widok o tej porze dnia. Przedostanie się za mury niepostrzeżenie nie przedstawiało w tych warunkach większych trudności.

Morkel zaklął i zsiadł z konia.

– Współczynnik trudności naszego zadania właśnie wystrzelił w niebo. Ale przynajmniej wiemy już, dokąd poszła, a w mieście łatwiej będzie o posiłki. Chodźmy. Wrócimy i powiemy Annelie, czego się dowiedzieliśmy.

Jadąc po zboczach ku rozwartym wrotom, Caldan poczuł ścisk w piersi. Oddychał płytko krótkimi, raptownymi zrywami. Uspokój się, nakazał sobie. Odetchnij porządnie.

Ale nie było to łatwe. Zmarnował tyle czasu tylko po to, by wrócić do punktu wyjścia. A Dzwonki – najpotężniejsza czarodziejka, jaką kiedykolwiek widział – wciąż była na wolności. I to wszystko jego wina. Caldan nie mógł oprzeć się przecuciu, że jego chęć pomocy Mirandzie będzie Protektorów i całe cesarstwo drogo kosztować.



– Musimy znaleźć jakąś kryjówkę – powiedziała Dzwonki Amerdanowi. – Pokój w gospodzie albo mieszkanie do wynajęcia, jeśli się uda. Gdzieś na uboczu, żeby nie rzucało się w oczy. Gdy tylko dowiedzą się, że uciekłam, Kołczany zaczną przelewać się ulicami jak fala powodzi.

Amerdan pokiwał głową, choć nie podobała mu się myśl o tym, że miałby kryć się po kątach jak ścigany zbój. Zgrzytało mu to w duszy. Był przyzwyczajony do chowania się w świetle dnia, co pozwalało mu na pewną swobodę. Lecz na tę chwilę postanowił ulec zachciankom czarodziejki. Była jego przepustką do wielkich rzeczy, lepiej więc, żeby... jak najdłużej zachowała ważność.

– Mam trochę dukatów – rzekł. – Preferowałbym mieszkanie. W gospodzie jest za dużo ludzi. Ktoś mógłby zwrócić na nas uwagę, gdy wchodzimy i wychodzimy.

Dzwonki przyznała mu rację.

Minęli kolejnego chłopca z wozem zawalonym warzywami pod zręby. Przed nimi handlarz prowadził trzy załadowane pakami

muły, za którymi szedł strażnik. Amerdan zmarszczył nos na jego widok – niechluj o wylewającym się zza pasa brzuszysku.

Gdybym chciał, tobym cię okradł i nic byś na to nie poradził, pomyślał. Mężczyzna nawet go nie zauważył, co tylko wzmogło pogardę Amerdana. Jego humoru nie poprawiła też długa kolejka do wrót. Co prawda malała, ale o wiele za wolno, jak na jego gust. Tyle dobrego, że nie musieli czekać za chłopami i sprzedawcami, ciągnącymi za sobą stada koni i osłów, wypróżniających się wprost na drogę – ludzie bez zwierząt tworzyli osobny ogonek, który poruszał się znacznie zwawiej.

Gdy znaleźli się już blisko bramy, poczuł na ramieniu zaciśnięte palce Dzwonków. Wzdrygnął się na jej dotyk i zmarszczył, powstrzymując się przed wypatroszeniem czarodziejki na miejscu jak wieprzka w rzeźni. Zachichotał, wyobrażając sobie ten widok. Dystygowana kobieta za nimi zaskrzeczałaby jak ulicznica, gdyby wnętrzności Dzwonków wylały się na jej kosztowne trzewiki. Ale wtedy ją też musiałby uciszyć. A wówczas ktoś inny zobaczyłby... Gdzie by się to skończyło? Świetnie by się bawił, ale nie przybliżyłoby go to do realizacji planu.

– Co cię tak bawi?

Amerdan wzruszył ramionami, ale nie odpowiedział.

– Jeśli ktoś spyta, jesteśmy mężem i żoną.

Skinął głową. Znowu coś knuła. Wiedział to od chwili, gdy odzyskała przytomność po tym, jak ją pojмали. Nie oponowała, nie krzyczała, nie szamotała się, gdy związali ją i zaczęli ciągnąć na sznurku jak bydlę. Gdy dowiedziała się, że uciekają z Anasomy na zachód, spłynął na nią dziwny spokój. Wszyscy myśleli, że pogodziła się ze swoim losem, ale Amerdan znał ten typ. Człowiek ze skłonnością do popadania w rezygnację nie stawał się potężnym czarodziejem ani przywódcą. Nie, Dzwonki po prostu wiedziała, że w ten czy inny sposób zdoła obrócić tę sytuację na swoją korzyść. I w tym aspekcie byli do siebie z Amerdanem podobni.

Nie potwierdziła jeszcze, że zamierza zrobić to, czego domyślał się Amerdan, ale w końcu potwierdzi. Małe potknięcie, niedopatrzenie

i wtedy zaczną się układać znaki na niebie i ziemi – i wówczas będzie miał pewność.

Minęli bramę pod okiem Kołczanów, którzy ledwie musnęli ich wzrokiem. Żołnierze byli wychudli, mieli podkrążone oczy i poruszali się, jakby dopiero co wstali z łóżka, lub może dawno się nie kładli. Żalotne, to ma być straż? Szybka inspekcja mijanych na ulicy Kołczanów opowiedziała mu podobną historię. Wiedzą o inwazji, prowadzą przygotowania.

Ciężar i ciepło ramienia Dzwonków, które czuł na swoim, wytrącały go z równowagi. Pomimo początkowej reakcji odkrył, że niemal jest mu miło. Czarodziejka miała piękną powierzchowność, ale i wewnątrz niej płonął niebezpieczny płomień – nie wspominając już, że nęciła go jej esencja – i Amerdan odkrył, iż wcale nie chciał jej puszczać, choć wnikali coraz głębiej w ulice Starorzecza.

Utulona za jego koszulą Kropka poruszyła się przy jego piersi, jakby chciała mu przypomnieć, że wciąż tam jest. Wiem, odpowiedział w duchu.

Ryzykownie było się przywiązywać. Sam wiedział aż za dobrze, jacy zdradliwi potrafią być ludzie. Ale Dzwonki... Dzwonki była wyjątkowa.



Ku rozgoryczeniu czarodziejki Amerdan zawetował cztery pierwsze obejrzone mieszkania, decydując się dopiero na piąte, choć to nie spełniało jej warunków tak bardzo jak te poprzednie. Ale Amerdan nie mógł pozwolić jej zdecydować. I było rzeczą szczególnej wagi, żeby nie poznała żadnego z jego wzorców zachowania.

Zapłaciwszy bezzębnej staruszce kilka dukatów, wziął od niej klucz do drzwi. Otworzył je i przebiegł spojrzeniem po kwaterze. Wymagała gruntownych porządków, nim da się w niej zamieszkać.

Kamienica miała w środku dziedziniec, a przy studni zauważył kilka wiader.

– Przyniosę wodę i miotłę, jeśli jakąś znajdę – poinformował Dzwonki.

Wzruszyła ramionami i kopniakami zrzuciła buty. Amerdan powęszył w powietrzu, czując własny smród, pamiątkę po długiej drodze bez porządnej kąpieli.

– Gdy już posprzątam, znajdziemy łaźnię i pralnię.

Na to w końcu się uśmiechnęła.

Tak. Wyjątkowa.





**P**rzynajmniej już nie pada, pomyślała Felice. Choć szybki prysznic zmył z jej ciała większość odrażającego rzeczno szlamu, wciąż drżała i opadała ją mordercze zmęczenie.

Wcześniej przystanęła na moment przy fontannie, by przepłukać usta i łyknąć czystej wody, ale teraz miała wrażenie, że to było już wiele godzin temu, i znowu umierała z pragnienia.

Wąska ulica pięła się stromo w kierunku północnym. Felice wlokła się po bruku mozolnymi, rozchwianymi krokami. Niech przodkowie porwą to przekłete miasto, przeszło jej przez myśl. Czy ono musi być takie wielkie?

Znalazła się w części Anasomy zwanej Kurhanami. Znajdowały się tu miejsca pochówku, kopce gęsto znaczące kiedyś panoramę dzielnicy, ale teraz już dawno splądrowane i zrównane z ziemią,

pokryte warstwami ulic i budynków. Co za ironia, że znalazła się akurat tutaj, zważywszy na jej wcześniejsze postanowienie.

No cóż, przynajmniej jeśli wyzienie ducha na ulicy, nie będą mieli daleko na cmentarz.

Pot kapał jej z nosa i trzęsa się silnie. O przodkowie moi, jak zimno, pomyślała, choć jej głowa buchała gorącem, jakby miała zaraz eksplodować. Parła naprzód mimo to. Odpoczną, jak dotrę do celu, postanowiła. Czyli gdzieś tam przede mną, już niedaleko. Powrót do Cmentarza był zbyt ryzykowny i prawdopodobnie zostałaby schwytana jeszcze tego samego dnia. Niedługo myślała nad alternatywną kryjówką, gdzie mogłaby zaszyć się do chwili, gdy odzyska siły. I gdzie będzie mogła przemyśleć swoją partię z Kelhakiem oraz różne kwestie, które jej się nasunęły.

Wreszcie... – pomyślała, podnosząc wzrok na usytuowany na końcu ulicy przysadzisty budynek o ciężkich żelaznych drzwiach. Miejskie archiwum, miejsce, gdzie Avigdor szukał informacji o pierścieniu Caldana.

Avigdor... Felice zatrzymała się i oparła o framugę drzwi. Oddychała ciężko przez zaciśnięte zęby. Zapłacą za to, co mu zrobili, poprzysięgła w duchu. Kelhak, ten drań Savin, wszyscy co do jednego. Przyłożyła pięścią w ceglana ścianę i o mało nie zawyła z bólu i rozpacz, w porę zagryzając zęby.

Weź się w garść, Felice, nakazała sobie. Jesteś im potrzebna.

Otarła łzy i pot, a potem załomotała żelazną kołatką. A potem jeszcze raz na wszelki wypadek. Słyszała, jak wewnątrz dźwięk poniósł się echem po korytarzu.

Już miała spróbować ponownie, gdy z prawej strony otworzyło się okienko. Z otworu spojrzały na nią załzawione oczy osadzone w pomarszczonej twarzy.

– Czego? – zapytał obcesowo łysy mężczyzna. – Jeszcze słońce nie wstało.

Felice wyprostowała się i odgarnęła wilgotne włosy.

– Tak, wiem. Nazywam się Felicienne Shyrise, jestem Trzecią Arbitr. Żądam, żebyś otworzył mi drzwi.

– Poszła won! Pijana, to do domu i spać!

Felice przełknęła cisnące się na usta przekleństwo i wzięła głęboki wdech.

– Posłuchaj mnie uważnie. Los miasta może zależeć od tego, czy otworzysz te drzwi, czy nie. Jest rzeczą najwyższej wagi, żebyś to zrobił. Muszę przejrzeć zapiski ze Świąt Jesieni.

– Dziabnięta jesteś, nic nie musisz.

– Jestem trzeźwa, człowieku.

Stary archiwista zmrużył oczy i zmierzył ją wzrokiem.

– No nie wiem...

– Więzili mnie Indryallanie. Uciekłam. Jestem w posiadaniu ważnych informacji, ale muszę je potwierdzić. Możesz pomóc mi i otrzymać nagrodę albo mogę wrócić ze swoimi ludźmi i...

– Tylko bez gróźb, młoda damo.

Pomimo naglącej sytuacji Felice niemal się roześmiała. Minął już jakiś czas, kiedy ktoś nazwał ją młodą damą. Lub uznał za osobę w odpowiedniej pozycji, aby komuś grozić.

– Wybacz. Jak mam cię przekonać, że jestem osobą, za którą się podaję? Jak widzisz – wskazała swoją mokrą szatę – mój wygląd przeczy moim słowom.

Mężczyzna prychnął.

– Tylko głupiec ocenia ludzi po wyglądzie.

Felice uśmiechnęła się.

– Zgadza się.

– Niech pomyślę... – zadumał się archiwista. – Odpowiedz mi na pytanie: kto zajął drugie miejsce w turnieju dominionu w czasie Świąt Jesieni trzy lata temu? – Starzec zachichotał, jakby ucieszony własną przebiegłością, a potem ziewnął.

– Trzy lata temu? To przecież... ja. Ja byłam druga.

– W rzeczy samej. No cóż, wciąż nie jestem do końca przekonany, ale to dobry początek. Miałbym jeszcze kilka pytań, bo na pewno nie pozwolę ci kręcić się po archiwum bez nadzoru. Ale póki co...

Pomarszczona twarz zniknęła i okienko się zasunęło. A chwilę później zgrzytnęły rygle i drzwi się otworzyły.

Odetchnąwszy z ulgą, Felice weszła do środka, gdzie owionął ją znajomy zapach papierowej stęchlizny i ledwie wyczuwalna alchemiczna woń środka konserwującego, którym archiwiści pokrywali książki i zwoje. W jednej ręce odźwierny trzymał czarodziejską kulę zamkniętą w zawieszanej na kijku metalowej kratce.

– Dziękuję. Nie pożałujesz. Zadbam o to.

– Może. Ale najpierw zadbamy o ciebie. Wyglądasz na zziębniętą. Zaraz posadzimy cię przy kominka i damy coś ciepłego do picia. – Poniuchał wokół niej. – I balię z wodą, również ciepłą.

Nie czekając na jej odpowiedź, ruszył korytarzem w lewo.

Miał rację – musiała się ogrzać i uspokoić. Znowu zadrżała z zimna, choć twarz miała rumianą i była zlana potem. Swędziało ją całe ciało. Potarła ranki od szkła, które pokrywały jej przedramiona. Nie były głębokie i już nie krwawiły, ale brudna woda na pewno nie pomoże im się zaleczyć. Będzie musiała pójść z nimi do jakiegoś uzdrowiciela. Pewnie trzeba nałożyć maść. Wkrótce, obiecała sobie. Gdy tylko uzyska odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

Poszła za archiwistą do świetlicy. Pokój zalany był pomarańczowym światłem bijącym od kominka. Starzec rzucił na rozpalone węgle kilka sągów drewna ze sterty z boku.

– Siadaj tu – polecił, wskazując ją kulą.

Felice zmrużyła oczy przez jasne światło, a potem zajęła krzesło przed kominkiem. Z wdzięcznością wsunęła się w jego ciepłe objęcia.

– Po co ta nocna warta?

– Pilnujemy tajemnic, moja droga. Są tutaj, tylko trzeba umieć ich szukać.

– Tak przypuszczam.

– Słówko tu, pół zdania gdzie indziej, kilka liczb w odpowiedniej kolejności... Niektórzy umieją dodawać dwa do dwóch, a nie lubią odwiedzać nas za dnia. Z tego powodu któryś z nas zawsze jest na nogach. Ale interesanci zwykle wchodzą bocznym wejściem. Tak jest... powiedzmy, dyskretniej.

Charknął śmiechem, jakby powiedział coś śmiesznego, posłał jej zagadkowe spojrzenie, a potem poszedł, prawdopodobnie po ten gorący napitek, który obiecał. Jeśli rzeczywiście go przyniesie, Felice chyba rzuci mu się na szyję.

Wyciągnęła ręce do ognia i potarła je mocno. Jasna cholera, ależ ona się poci. Tylko skoro tak, to czemu tak jej zimno?

Starzec zaraz wrócił, niosąc w obu dłoniach wielki, parujący kubek. Felice przyjęła go z uśmiechem wdzięczności. Mocna herbata z miodem. Starzec zasłużył na uścisk wdzięczności.

Przełknęła kilka łyków, parząc się w usta, a potem oczyściła gardło.

– Błagam.

– Za momencik. Najpierw chcę o coś spytać.

– O co? – odpowiedziała, siorbiąc herbatę. Chciała jak najszybciej wziąć się do pracy.

– Powiedz mi, co robiłaś od inwazji. Jako Trzecia Arbiter i zdolna dominionistka na pewno miałaś pełne ręce roboty. A teraz uciekasz przed Indryallanami, to jasne jak słońce.

Felice pobieżnie streściła ostatnie wydarzenia, pomijając tylko zagadnienia magii destruktywnej i zniewalającej. Pod koniec opowieści archiwista patrzył na nią z niekłamanym podziwem.

– Tam, w porcie, to byłaś ty? Próbowowałaś zatopić ich okręty? – Gwizdnął przez zęby.

– Tak – potwierdziła. – Tylko że plan zawiódł. Ich władca uciekł bez szwanku.

Archiwista zamyślił się i podrapał łysą głowę.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego Indryallanie po zdobyciu Anasomy zabarykadowali się za murami.

Felice wzruszyła ramionami.

– Żeby coś udowodnić? Bo jest tu coś, czego chcą? Nie wiem. Sama staram się do tego dojść, ale jak dotąd idzie mi jak po grudzie.

– W takim razie myśl o tym dalej. Po co ktoś miałby ruszać gniazdo szerszeni? Zwłaszcza gdy wie, że nie może się mierzyć z potęgą Cesarstwa Mahruzańskiego.

Właśnie: czemu? Starzec słusznie prawił. Jakie motywy mogą mieć ci Indryallanie? Namalowali sobie tarcze na czołach i czekają na... na co? Na rozgromienie i zepchnięcie z powrotem do Indryalli? Cesarz nie jest głupi. Z całą pewnością zgromadził dość wojska, by uderzyć na Indryallę po tym, jak odbije Anasomę... A niech mnie!

Felice wstała raptownie, obalając krzesło i rozlewając herbatę.

– Muszę zobaczyć te zapiski. Jak najszybciej. Opisy Święta Jesieni, stare, sprzed stuleci. Nie wiem dokładnie, o który rok chodzi, więc będziesz musiał pomóc mi szukać.

– Chodźmy więc. Ale nie chcę mieszać się w twoje przedsięwzięcie. Naszą odpowiedzialnością jest biblioteka. Kto rządzi, to dla nas bez znaczenia. Wiedza jest dla wszystkich.

– Dobrze – powiedziała, a potem dodała w myślach: choć nie mogę zagwarantować, że wróg nie uzna twojej pomocy za pogwałcenie deklarowanej przez ciebie neutralności.



– Zobacz w tych.

Felice przyjęła kolejną stertę ksiąg oraz luźnych kartek zebranych w kilku skórzanych folderach. Jak dotąd nie znaleźli nawet roku, o który jej chodziło, a szukali od godziny...

Bibliotekarz co kilka minut narzekał na nią, na bibliotekę, na swoich współpracowników, na pogodę i na co tylko się dało. Lista irytujących go spraw liczyła wedle jej szacunków ponad dwadzieścia pozycji.

– Listy – powtórzyła po raz kolejny. – Przeszukuj tylko listy zwycięzców w turnieju dominionu i powiedz mi, kto zajął pierwsze miejsce.

– Jeśli chciałaś umówić się na lekcje, to chyba się zawiedziesz, bo ci wszyscy goście od dawna nie żyją.

– A co byś zrobił, gdybym ci powiedziała, że jeden żyje i cieszy się dobrym zdrowiem?

– Uznałbym, że zwariowałaś.

– Na twoim miejscu zrobiłabym to samo. Ale to niczego nie zmienia, potrzebny mi dowód.

Felice otworzyła kolejną księgę i kichnęła. W toku poszukiwań wzbili pokaźną chmurę kurzu. Na przodków, padała z nóg, ale przynajmniej przestała się trząść. W pokoju było ciepło, wręcz gorąco. Ranki na przedramionach swędziały coraz bardziej. Powinna zająć się nimi jak najszybciej. Stała, wertując stare księgi i foldery, ale teraz zaczęła coraz łakomiej spoglądać na pusty taboret obok starca. Usiądę, tylko na chwilę... Nie, później.

Felice przewróciła kilka stron, aż znalazła listy, o które jej chodziło. Święto Jesieni było rokrocznym, świetnie udokumentowanym wydarzeniem. Zachowały się programy imprez, listy zwycięzców, szczegółowe opisy rozmaitych atrakcji i konkurencji, a nawet recenzje wystawianych sztuk i koncertów oraz zleczone przez możnych rysunki przedstawiające scenki z poszczególnych edycji.

Tam. Wreszcie. W ostatecznej rozgrywce niejaki Kelhak pokonał faworyta, kanclerza Osmunda. Podała bibliotekarzowi plik luźnych papierów.

– Znalazłam coś. To, czego szukam, powinno być tutaj. Czy mógłbyś poszukać w tych papierach rysunków przedstawiających partie dominionu? Ja przejrzę pozostałe. – Otarła mokrą twarz rękawem szaty.

– Wybacz mi, Felicienne, nie wyglądasz za dobrze. Może powinnaś odpocząć?

– Nic mi nie jest. Po prostu... po prostu muszę to zrobić. Już prawie skończyliśmy. Potem odpocznę.

Przebiegła wzrokiem rysunki tak szybko, jak tylko mogła, szukając obrazków przedstawiających rozgrywki lub choćby drobnej wzmianki o finalistach i zwycięzcach.

I w końcu znalazła.

Rozpromieniony zwycięzca turnieju przyjmujący nagrodę z rąk przedstawiciela samego cesarza, brodzący w sakwach pełnych

złoty monet, które rzucają mu pod stopy zachwyceni bogacze. Rysunek został podpisany: „Kelhak, zwycięzca tegorocznego turnieju dominionowego zorganizowanego w ramach Święta Jesieni”. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o jasnoniebieskich oczach.

– Do kroćset... – wyszeptała Felice.

Pokój zatańczył jej przed oczami, obróciła się do taboretu. Złapały ją czyjeś dłonie i pomogły usiąść.

– Jesteś rozpalona. I masz rany na rękach. Co się stało?

Felice przymknęła oczy. Tylko na chwilę, pertraktowała ze swoim poczuciem obowiązku. To ten sam Kelhak. Ale nie rozpoznał strategii, którą obrała, grając z nim. Czy to efekt magii, za pomocą której przedłuża swoje życie, czy może coś zgoła innego? To musi coś oznaczać, tylko co? Nie miała pojęcia i to doprowadzało ją do białej gorączki.

Myśl, myśl, zaraza.

– Jak udało ci się uciec? Te ranki są zaognione. Nie wyglądają za dobrze.

– Wskoczyłam przez okno i wpadłam do Wywornicy.

Zaniepokojony starzec syknął przez zęby.

– Musisz iść do lekarza. Woda w tej rzece to trucizna. Każde dziecko wie, że nie wolno przemywać nią ran.

– Nie ma... czasu.

– Głupia dziewczucho, jak mi tu umrzesz, też nie będzie czasu.

Odburknęła coś pod nosem, a potem spadła ze stołka i znieruchomiała na podłodze.





**M**istrzynie Annelie czekała na nich, zanim jeszcze zdążyli zmyć z rąk i twarzy pył drogi, odświeżając się na zmianę w beczce z deszczówką.

– Wróciliście szybciej, niż myślałam – zawołała do nich przez dziedziniec, idąc żwawo w ich kierunku. – Zakładam, że nie znaleźliście tej czarodziejki?

Morkel pokręcił głową.

– Nie ruszyła prosto do Anasomy, jak przewidywaliśmy. Jest gdzieś w mieście.

– Tutaj? W Starorzeczu?

– Tak... ale to nie wszystko.

– Keev – powiedziała Annelie – zwołaj mistrzów. Kogo tylko zdołasz znaleźć. Szybko. Każ im czekać w mistrzowskiej jadalni. Jeśli zaczną marudzić, powiedz, że zaraz przyjdę z ważnymi wieściami.

– Tak jest, mistrzyni – odpowiedział Keev i pobiegł do budynku.

Annelie zacmokała zamyślona, a potem także ruszyła do budynku, gestem ciągnąc za sobą Caldana i Morkela. Gdy już byli wewnątrz, mistrzyni wskazała Caldanowi ławkę.

– Siadaj i ani pary z ust do nikogo, dopóki nie wrócę. Na pewno znajdą się ciekawscy praktykanci i czeladnicy. Ignoruj ich. Zdecydujemy, co z tobą zrobić, gdy już schwytamy Dzwonki. Przynajmniej wiemy, że jest gdzieś w mieście. Jeśli dopisze nam szczęście, wkrótce ją złapiemy. Ale ty... – Złowróźnie zawiesiła głos.

– Mistrzyni, czy mogę w czymś...

– Nie. Simmon ufał ci na tyle, żeby powierzyć ci... miecz. To działa na twoją korzyść. To wiele znaczy. Ale nie myśl, że wykręcisz się sianem po tym, co zrobiłeś. A teraz muszę poinformować mistrzów, co się dzieje, i zorganizować obławę na tę czarodziejkę.

Caldan pokiwał głową i odprowadził Protektorów wzrokiem do jadalni.

Potarł obolałe oczy i klapnął na ławę. Na przodków, ależ był zmęczony. Nie miał wpływu na to, co postanowią mistrzowie w jego sprawie, ale gdyby pozwolono mu do nich przemówić, na pewno przekonałby ich o tym, że jest z nimi absolutnie szczery.

Nieistotne. Jeśli zamkną go w jego pokoju, przynajmniej kłopoty z Indryallanami i Dzwonkami nie będą już jego kłopotami. Był to ciężar, bez którego będzie mu o wiele lepiej. A jednak znalazł się teraz w gorszej pozycji niż kilka dni temu. Miranda nie zdrowiała, a wręcz przeciwnie, pogarszało jej się, i to szybko. Jeśli Protektorzy złapią Dzwonki, to na pewno nie po to, by pomóc Mirandzie. Być może najpilniejszą sprawą była teraz reprimenda, jakiej udzielią mistrzowie praktykantowi, który tak dalece pogwałcił reguły Protektorów. Na pewno nie będzie to nic miłego.

Dlatego też uznał, że najlepiej będzie nie czekać na karę.

Podjął decyzję, wstał i ruszył w głąb budynku, zatrzymując pierwszą napotkaną praktykantkę.

– Przepraszam – powiedział do ciemnowłosej dziewczyny – niedawno przyjechały tu dwie moje przyjaciółki, starsza kobieta

opiekująca się młodszą. Wiesz może, gdzie są teraz?

– Tak. Ona jest bardzo chora, prawda? Znacząca ładna.

– Tak – odpowiedział, myśląc sobie, że dziewczyna trafiła w sedno. Miranda była bardzo chora... i bardzo ładna. – Powiesz mi, gdzie je zakwaterowano?

– Na górze, w części szpitalnej. Słyszałam, że potrzebuje ciągłej opieki.

Caldan potwierdził skinieniem.

– Niestety. Dzięki.

Idąc szybko, ale nie dość szybko, by zwrócić na siebie czyjąś uwagę, zostawił praktykantkę i wspinał się po najbliższych schodach. Wkrótce wetknął głowę do pokoju, którego wejście zasłonięto kotarą, i znalazł tam Elpidię. Zwrócił uwagę na ich rzeczy złożone w kącie. Uzdrowicielka stała plecami do niego i była zajęta stojącymi przed nią słoikami i butelkami. Potrząsała szklaną fiolką, przyglądając się różowej zawartości, całkowicie zaabsorbowana.

Caldan wsunął się do środka.

– Gdzie jest Miranda?

– Rety! – wykrzyknęła, podskakując. – Co mnie straszysz! Jest w pokoju obok. Dobrze tu o nią dbają. Znalazłeś Dzwonki?

Caldan zaprzeczył ruchem głowy i cofnął się z powrotem do wyjścia.

– Nie. Mistrzowie są na naradzie. Zdecydują, co robić dalej.

– Więc nie musimy się już o nią martwić?

– Tego nie powiedziałem. Słuchaj, muszę spróbować jakoś to wyprostować.

Elpidia zmrużyła na niego oczy.

– Upewnij się, że wiesz, co robisz.

– Dobrze – przyrzekł Caldan, a gdy uzdrowicielka omiotła go podejrzliwym spojrzeniem, dodał: – Nie mam zamiaru polować na Dzwonki w pojedynkę. Muszę myśleć przede wszystkim o Mirandzie.

– Dobrze. Tak zrób. Wcześniej nie byłam pewna, czy powinnam o tym mówić, ale... masz. Może to w czymś pomoże.

Dała nura do swojej skórzanej torby i podała mu złożoną chustkę.

– Co to?

– Kilka włosów Dzwonków. Zebrałam je z jej ubrań po opuszczeniu Anasomy. Na wszelki wypadek... No, teraz powinny się przydać, prawda?

Caldan uśmiechnął się szeroko i uściśnął uźdrowicielkę krótko.

– Jak najbardziej. Dziękuję. Nie myślałem, że...

– Nie, nie myślałeś.

Przyjął te słowa bez sprzeciwu, choć zaczynała go już drażnić ta jej nieuzasadniona wyniosłość. Ale ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, była kłótnia, pochylił więc głowę i przemilczał.

– Będę musiał zrobić kolejny kompas – pomyślał na głos. – Żałuję, że nie mam więcej czasu.

Schował włosy Dzwonków i zaczął przeszukiwać swoje rzeczy. A gdyby tak szybko wpadł na jakiś pomysł? Może istnieje sposób, by mistrzowie spojrzeli jeszcze na niego przyjaźniejszym okiem?

Pożegnał się prędko i poszedł do następnego pomieszczenia, by odwiedzić Mirandę. Siedziała na wąskim łóżku, z nogami owiniętymi kocem. Kapało jej z nosa, obojętne oczy nie rozpoznały Caldana. Przyglądał dziewczynie włosy i wytarł nos, a potem wziął świecę z pobliskiego okna i usiadł na podłodze. Wyjął papier, atrament i pióra, a świecę zapalił i odczekał, aż stopi się trochę wosku. Wyobraził sobie, co dokładnie chce zrobić za pomocą kompasu Elpidii. Niedoskonałe rzemyśliwo, ale i nie musiało być doskonałe.

Musiał szybko uwinąć się z robotą. Nic nadzwyczajnego, prostota była kluczem. Jeśli tylko spełni swoją funkcję, to wystarczy.

Annelie złapała Caldana, gdy schodził po stopniach. Stała przed nim z rękami na biodrach, gromiąc go wzrokiem mówiącym o dezaprobachie.

– Chyba kazałam ci siedzieć na ławie?

– Wybacz, mistrzyni, ale mam coś dla ciebie.

– Lepiej, żeby to było ważne. Zresztą później będziesz się tłumaczył. Właśnie po ciebie szłam. – Przechyliła głowę, każąc mu podążyć za sobą. – Chodź, mistrzowie czekają.

Popędziła korytarzem, a Caldan za nią, trzymając swoje nowe rzemysliwo – kompas z papieru i wosku.

Wprowadziła go do sali, gdzie natychmiast ściągnął na siebie badawcze spojrzenia dziesięciu mistrzów, w tym Molda. Odwzajemnienie ich bezpośrednich, taksujących spojrzeń nie było łatwe, ale zdołał jakoś ukryć emocje i utrzymał neutralny wyraz twarzy, gdy zaczęli mrużyć pod nosem i szeptać sobie na ucho.

Odczuł ulgę, gdy przemówiła Annelie.

– Oto Caldan, były praktykant mistrza Simmona, młodzieniec, który przyniósł nam jego talizman, dzięki czemu nie wpadł w ręce Indryallan.

– Jest zarazem osobą, która pozwoliła uciec wrogiej czarodziejce – uzupełnił inny mistrz, starszy mężczyzna o przerzedzonych włosach. – Ma na swoim koncie osiągnięcia, ale nie zapominajmy o przewinach. Zwłaszcza tak poważnych.

W sali rozległy się pomruki aprobaty.

Caldana zapiekła twarz, ale spoglądał na mistrza hardym spojrzeniem. Annelie uniosła rękę.

– Dość. Co by nie mówić o jego przewinach, fakt pozostaje faktem: dowiódł, ile jest wart, wydostając się z obłąkanej Anasomy i docierając do nas z talizmanem, który następnie oddał w nasze ręce. Wiedział doskonale, jak wielką wartość przedstawia ten przedmiot, a jednak nie zawahał się postąpić, jak trzeba. Dowiódł, że jest zaradny i lojalny. Jego zdolność osądu w innych sprawach może i pozostawia wiele do życzenia, lecz postąpił w sposób zrozumiały.

Nie ma to jak pogrążyć kogoś przesadną pochwałą.

– Najlepiej zrobimy, podejmując decyzję od razu – kontynuowała Annelie. – A zatem: kto z was podejmie się roli jego mistrza na czas praktyki, którą u nas odbędzie? Choć egzamin czeladnika powinien odbyć wkrótce, ta sprawa będzie musiała poczekać do chwili, aż schwytamy wrogą czarodziejkę.

Caldan zrobił grymas i wystąpił naprzód. Niewiele wiedzieli o Dzwonkach, czuł więc, że powinien ich ostrzec.

– Jeśli wolno – powiedział i wszystkie oczy zwróciły się na niego. Wyczytał z twarzy Annelie irytację, a jednak mistrzyni wspaniałomyślnie przyzwoliła, by kontynuował. Nabrał tchu: – Ona nie jest zbuntowaną czarnoksiężnicą. Wiem, że nazywacie tak wszystkich magów, którzy mieli nieszczęście natknąć się na zakazaną magię lub którzy z rozmysłem z nią eksperymentują, ale musicie zmienić swoje pojęcie o czarodziejce imieniem Dzwonki. Z tego, co udało mi się o niej dowiedzieć, wynika, że jest produktem rygorystycznego szkolenia, które rozpoczęła w młodym wieku, gdy tylko odkryto, że posiada studnię. Jest nie tylko biegłą w sztuce rzemyślenia, ale też włada magią, o której samym istnieniu nie miałem w ogóle wiedzieć. Uczyła się czarować całymi latami, pobierała lekcje u czarodziejów o wiele potężniejszych od siebie, przechodząc pomyślnie wszystkie próby, przed jakimi ją postawili. – Potoczył wzrokiem po pomieszczeniu, łapiąc spojrzenia kilku mistrzów. – Nie popełnijcie błędu, o mistrzowie, to nie jest pierwsza lepsza czarodziejka. Jest... zdecydowanie kimś więcej. Jej destruktywna moc jest w jakiś sposób skupiona, ulepszona. Dalece przekracza wszystko, co widziałem... kiedy czarował Simmon. Przykro mi, że uciekła. Nie doceniłem jej. Proszę więc, żebyście nie popełnili tego samego błędu. Albo ktoś zginie.

– A jednak twierdzisz, że ją pokonałeś – powiedziała młoda kobieta o rudych włosach i piegach zdobiących nos i policzki. – Mamy w to uwierzyć po tym, co nam właśnie powiedziałeś?

Caldan dał wyraz rezygnacji, wzruszając ramionami.

– Przyznaję, że miałem trochę szczęścia. Ale też nie zdawałem sobie jeszcze wtedy sprawy, z kim walczę. Nie musisz wierzyć mi na słowo. Sama przecież wiesz, do czego zdolni są Indryallanie. Że wznieśli nieprzebytą barierę wokół całej Anasomy. Osłabili pozycję możnych i przejęli dowództwo nad Kołczanami. Jeśli nic innego, to to właśnie powinno dać ci pojęcie o skali zagrożenia.

– Dziękujemy, Caldanie – powiedziała Annelie. – Myślę, że porozmawiamy o tym później już we własnym gronie. Wracając: czy jest ktoś, kto zechce przyjąć Caldana na praktykę?

Niektórzy mistrzowie popatrzyli po sobie, inni wbili wzrok w podłogę. Caldanowi ścisnęło się gardło, gdy dostrzegł, że nikt się nie kwapi.

– Ja go wezmę – powiedział ktoś za jego plecami głębokim, pewnym głosem. Caldan odwrócił się, by spojrzeć, do kogo należy, słysząc, że mistrzowie zachłysnęli się powietrzem.

Drzwi zamknęły się za bladym mężczyzną o krótko przyciętych włosach. Jego czarne spodnie i koszula były ozdobione srebrnymi guzikami w kształcie kwiatów. Miał przy sobie tyle rzemyśleń, że w świadomości Caldana dosłownie wibrował magiczną energią. Chłopak zwrócił się do Annelie z zapytaniem, kim jest ten człowiek, lecz słowa zamarły mu na ustach, gdy spostrzegł, że połowa mistrzów z szacunkiem pochyła przed przybyłym głowy, a kilku nawet przyklękło na jedno kolano. Caldan przestąpił z nogi na nogę, nie bardzo wiedząc, jak się zachować.

Annelie tylko skłoniła się lekko i opromieniła przybysza ciepłym uśmiechem. Gdy się do niego odezwała, w jej głosie brzmiał szacunek:

– Joachimie. Nie spodziewaliśmy się was jeszcze przez kilka dni, ale zawsze to miło powitać w naszych skromnych progach jednego z cesarskich arcymagów.

Mężczyzna nazwany Joachimem przelotnie odwzajemnił jej uśmiech.

– No pewnie. Przybyłem szybciej, nie biorąc wiele bagażu, jak widzisz. Ale miałem też inne powody.

– A jakie, jeśli wolno spytać?

– Obawiam się, że nie wolno. Tak się składa, że akurat byłem na zewnątrz i słyszałem waszą rozmowę o tej samowolnej.

Annelie kiwnęła głową.

– Organizujemy grupę poszukiwawczą.

– Jak chcecie ją znaleźć?

– Mamy jej opis, ale skupimy się na skanowaniu miasta pod kątem magicznej aktywności. Sprawdzimy także wszystkich ze studnią.

– Mam coś, co może pomóc w poszukiwaniach – przerwał Caldan.  
– Znacząco na pewno pomoże – poprawił się, pokazując im trzymany w dłoni przedmiot.

– Krew, skóra czy włosy? – spytał Joachim, natychmiast rozpoznając rzemyslniczy kompas.

– Włosy. Tylko to miałem.

– Nada się. Annelie, weź to i znajdź czarodziejkę. I uważaj na siebie. O Caldanie porozmawiamy później. Cała reszta wyjść.

Annelie posłała Caldanowi poirytowane spojrzenie, a potem wzięła kompas i wyszła, a za nią pozostali mistrzowie. Wkrótce pokój opustoszał, jeśli nie liczyć Caldana i Joachima.

Cesarski arcyomag przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Caldan poczuł, że czarodziej otwiera studnię. Caldan w odpowiedzi otworzył własną i dotknął tarczy Dzwonków, którą miał w kieszeni na wszelki wypadek.

– Nie bój się mnie, chłopcze. Przemierzyłem daleką drogę w krótkim czasie, żeby cię znaleźć.

Oddech uwiązał Caldanowi w gardle.

– Jak to?

– Czy myślałeś, że użyjesz talizmanu niepostrzeżenie? Szukaliśmy go od dawna. Szukaliśmy też spadkobiercy osoby, która pierwsza go otrzymała. Gdy kilka tygodni temu został uaktywniony, wysłano mnie na poszukiwania zarówno przedmiotu, jak i jego właściciela.

To było kilka tygodni temu? – zamyślił się Caldan. Dziwny kościany talizman aktywował się podczas walki z Dzwonkami, nie wcześniej. Co się niby stało te kilka tygodni temu? Przychodziło mu do głowy tylko jedno: moment, gdy zabił czarnoksiężnika, penetrując jego tarczę. Czy to wtedy cesarscy go wyczuli? Chyba tak. Caldan głowił się nad tym i doszedł do wniosku, że to nie może chodzić o kościany talizman. Był całkiem pewien, że niepozorny pierścień pierwszy raz odezwał się w podziemiach Anasomy. Czyli to musiał być ten drugi, talizman ze srebra.

– Masz coś, co należy do cesarza. – Joachim wskazał talizman na palcu Caldana, potwierdzając jego przypuszczenia. – Wątpię, żebyś



wiedział, do czego on służy, choć może czegoś się domyślasz. Aktywować go może tylko osoba o konkretnych predyspozycjach i zwykle następuje to po jakimś okresie zbliżenia z talizmanem. Wysłano mnie, żebym go odnalazł i ocenił sytuację. Jak widzisz, zaistniały pewne okoliczności, dzięki którym... mam pewną swobodę w podejmowaniu decyzji.

Serce łomotało Caldanowi w piersi, gdy podnosił rękę z talizmanem. Dopóki nie dowie się więcej o tym człowieku i jego motywach, najlepiej zrobi, zatajając przed nim drugi pierścień.

– Powiedziano mi, że otrzymał go w nagrodę jeden z moich przodków.

– To prawda. Ale tylko dożywotnio. Talizman pozostaje własnością cesarza.

– Jest w mojej rodzinie od pokoleń. Odziedziczyłem go. Nie masz prawa żądać go z powrotem.

– Mam, a jeśli go nie otrzymam, odbiorę go mimo wszystko. Należy do cesarza. To jest ważniejsze od rodzinnych sentymentów. Ale pozwól, że zadam ci pytanie: czy poprosiłem o niego?

– No cóż, nie. Zasugerowałeś jednak, że będę musiał go oddać. Co oznacza, że zapewne czegoś ode mnie chcesz.

– O, no proszę. Jesteś bystrzejszy, niż wyglądasz.

Caldan zjeżył się na jego słowa, ale język utrzymał na wodzy. Nie bardzo wiedział, kim tak naprawdę jest arcymag, jaką władą mocą i jakie ma wpływy, lecz wnioskuje z reakcji mistrzów – oraz mistrzyni Annelie – Joachim stanowił przedłużenie władzy cesarza i nie był człowiekiem, którego można lekceważyć. Skóra Caldana świerbiła od tych wszystkich rzemyśliw i talizmanów, które miał przy sobie arcymag. Jak on znosił tak wysokie magiczne natężenie?

Stłumił to pytanie i rzucił:

– Więc mam być twoim praktykantem? Co to w ogóle oznacza? Czy zostanę arcymagiem? Czy nie jestem już Protektorem? – Myśli przepływały przez jego rozogniony umysł, a pytania sypały się z ust: – Kim dokładnie jest arcymag?

Joachim roześmiał się i uniósł rękę.

– Rozumiem, rozumiem, masz wiele pytań. Zaczniemy od ostatniego, bo na nie chyba najłatwiej odpowiedzieć. Niektórzy mówią na nas: „cienie cesarza”, choć oficjalna nazwa naszego stanowiska brzmi po prostu: arcymag. Jesteśmy osobistymi czarodziejami cesarza, werbowanymi zarówno z Gildii Czarodziejów, jak i spośród Protektorów. Jeśli chodzi o nasze zadania... robimy, cokolwiek rozkaże nam cesarz. To na początek. Dość już pytań. Zresztą wkrótce wszystkiego się dowiesz. Przede wszystkim muszę poddać cię sprawdzianowi, żeby sprawdzić, czy nosisz na sobie dotyk przodków.

Caldan mrugnął oczami.

– Dotyk? Co to znaczy?

– Przed chwilą powiedziałem: dość pytań. Stań nieruchomo. To nie powinno boleć.

Joachim zamknął oczy, a Caldan poczuł, że arcymag podłącza się do czegoś.

Zmroziło go, jakby uderzył w niego zimny wicher i rozpełzł się po całym ciele, od stóp do głów. Włoski na przedramionach stanęły mu dęba i zadygotał. Joachim mruknął coś pod nosem, otworzył oczy i wydał usta.

– I jak? – spytał Caldan.

– Wynik nieczytelny. Ale to się zdarza. Nieistotne. Gdy już ruszymy w drogę, będę miał do ciebie parę pytań, które powinny wyprostować kilka spraw.

– W drodze? Przepraszam, ale ja nie mogę wyjechać. Moi ludzie... Jest ze mną kobieta zraniona przez indryallańską czarodziejkę. Użyła na niej magii zniewalającej. Gdy połączenie zostało zerwane, jej umysł... – Caldan umilkł i przełknął ślinę, czując ścisk w gardle.

– Pomieszał się – dokończył Joachim.

Caldan kiwnął głową.

– Nie mogę jej zostawić, a już zwłaszcza chorej.

– Mógłbym po prostu ci rozkazać, żebyś ze mną pojechał. Możesz mi wierzyć, że wyegzekwowanie tego polecenia to dla mnie drobnostka. Ale nie chcę ciągnąć cię nigdzie bez twojej zgody. –

Arcymag zrobił minę i zapatrzył się w sufit, rozważając możliwe posunięcia.

– Może Annelie i inni mistrzowie jednak zdołają jej pomóc... – ciągnął Caldan. – Nie odstąpię od niej na krok, póki to nie nastąpi.

Joachim pokręcił głową.

– Uważasz, że cesarz pozwala Protektorom szkolić się w magii zniewalającej? Wiedzą to i owo, dość, żeby rozpoznać jej działanie, i znają pewne podstawowe techniki obrony przed nią, ale wiedza wykraczająca poza ten skromny zakres jest już podejrzana.

– Więc kto może jej pomóc? Do kogo mam się zwrócić?

– No jak to? Do mnie, oczywiście. Choć to opóźni nasz wyjazd i zmęczy mnie bardziej, niżbym sobie życzył. Ale nie mam wyboru, prawda?

Caldan zdecydowanie pokręcił głową.

– Dobrze więc. Chodźmy – powiedział Joachim. – Pokaż mi tę kobietę, a ja zobaczę, co zdołam dla niej zrobić. Ale niczego nie obiecuję. Niewykluczone, że trzeba będzie zabrać ją do stolicy na leczenie. Choć możliwe też, że skoro cesarskie wojska przerzucane są do Anasomy, jej ozdrowienie właśnie zbliża się do nas wielkimi krokami.

Joachim opuścił jadalnię, co wskazywało, że Caldan ma podążyć za nim. Znów poczuł, że do jego serca zakrada się nadzieja, lecz tym razem brutalnie ją stłumił. Żadnej nadziei, dopóki Miranda mnie nie rozpozna.

Joachim przebadał dziewczynę. Siedziała na krześle przy oknie, nakryta kocem. Na stoliku obok niej stał nietknięty kubek wody. Arcymag wyjął z kieszeni kawałek materiału i ułożył na podłodze przed Mirandą. Następnie wydobył pęk rzemyśliw ściągniętych rzemieniem, rozwiązał je i rozłożył na szmatce. Caldan poczuł, że arcymag sięga do studni, ale sam obawiał się otworzyć swoją, nie chcąc zmącić koncentracji Joachima. Milczenie i bezruch ciągnęły się w nieskończoność.

– A może mógłbym otworzyć swoją studnię i popatrzeć? – spytał ostrożnie Caldan.

Joachim mrugnął.

– A dasz radę?

– Trochę się nauczyłem przez ostatnie dni. Dość, żeby dostrzec, jak splątany jest umysł Mirandy.

Czarodziej gestem udzielił pozwolenia, więc Caldan wyjął zniewalające rzemyśliwo Dzwonków. Joachim uniósł brwi na jego widok.

– Zakładam, że to tej czarodziejki?

– Tak. Odebrałem jej dzwoneczek.

– Na to wygląda. Miała inne podobne do tego?

– Nie wiem. Na pewno nie było żadnego z podobnymi runami ani pomarańczowymi jaspisami.

– Są inne kamienie, których można do tego użyć. Jaspis to tylko najbardziej popularny. Pokaż mi, czego cię nauczyła.

Tłumiąc obawy, Caldan dotknął palcem dzwoneczka i otworzył studnię, podłączając się do kotwicy. Po raz drugi całe jego otoczenie, nie licząc Mirandy, straciło kolor.

– Powiedz mi, co widzisz – polecił Joachim.

– Jej głowa... to splątany bałagan. Włókna, tak? Masa kolorów bez ładu i składu. Bez żadnej struktury. – Poczul ścisk w żołądku i dopadły go mdłości. Szybko zamknął studnię. Pot spływał mu po twarzy. Widok nieporządku w głowie dziewczyny dobijał go, ale tym razem poczuł, że gdyby zbadał ją dokładniej, doszukałby się w nim jakiegoś sensu. Powiedział wprawdzie Joachimowi, że nie ma ona struktury, ale co, jeśli istnieje w tym bezładzie jakaś prawidłowość? Coś kazało mu myśleć, że włókna formowały jakiś skomplikowany układ, którego po prostu jeszcze nie rozgryzł. Jednak im dłużej wpatrywał się w ten chaos, tym bardziej go mdliło.

Joachim pokiwał głową.

– Dobrze. Zawsze to jakiś początek. Lepszy, niż ma wielu. To niesamowite, że nie zemdląłeś.

– Czy to często się zdarza?

– Ja zemdląłem podczas pierwszego razu, wielu innych także. Jeśli tam wiedzie cię przeznaczenie, to z czasem będzie ci coraz łatwiej.

Słowa arcymaga zbudziły coś w Caldanie – jakąś ostrożność. Zaraz, czy Joachim nie powiedział czasem, że Caldan będzie mógł w przyszłości używać magii zniewalającej? Ale jak oduczyć się czegoś, czego już się nauczyło? Odpowiedź była prosta: to niemożliwe. Joachim sprawiał pozory, jakby rzeczywiście chciał odpowiedzieć na jego pytania i uleczyć Mirandę, ale Caldan nie mógł wyrzucić z głowy tego, co powiedział mu w jadalni: że przede wszystkim ma moc zmuszenia do posłuszeństwa.

Arcymag zerknął na niego.

– Jeśli wytrzymasz obserwację, podłącz się do rzemyśliwa. Mogę coś dla niej zrobić. Ale niewiele – ostrzegł.

– Cokolwiek. Błagam.

Joachim bez słowa skierował spojrzenie na dziewczynę. Caldan otarł twarz i przygotował się na falę mdłości, a potem podłączył się do rzemyśliwa. Wzdrygnął się na widok uszkodzonego umysłu Mirandy, ale zacisnąwszy pięści, zmusił się do wytrzymania odpychającego widoku. Mijały chwile i nic się nie działo.

– Co ty...?

– Cicho. Nie przeszkadzaj.

Caldan przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, otoczył się ramionami i czekał. I czekał. Mdłości napędziły mu śliny do ust. Przełknął z wysiłkiem.

Wtedy zauważył, jak coś rusza się na skraju jej umysłu: smukłe białe włókno, niewplecione w gęstwinę pozostałych. Jego koniec poruszał się w przód i w tył, niczym wąż. Delikatnie wysunęło się do przodu, prześliznęło pod kilkoma wielobarwnymi włóknami umysłu Mirandy i zaczepiło o jedno z nich, a potem szarpnęło. To drugie włókno napięło się, a pozostałe wokoło zafalowały lekko i później ułożyły się nieco regularniej, jakby coś, co zrobił Joachim, wprowadziło do układu jakiś porządek, choć wciąż pozostawały splątane. Białe włókno badało gmatwaninę przed sobą, pociągając za różne włókna niczym gracz w bierki. Znowu i znowu.

Caldan przyglądał się z fascynacją, jak powoli, kilkoma precyzyjnymi pociągnięciami umysł Mirandy zaczynał się

rozplątywać. I choć wciąż czuł mdłości, z powodzeniem udało mu się utrzymać je na wodzy. Czy to sam Joachim miał kojący wpływ na Mirandę, czy była w to zaangażowana magia zniewalająca, tego nie umiał stwierdzić.

Włókno Joachima zaczęło się w końcu wycofywać i Caldan zamknął swoją studnię, z impetem wracając z powrotem do pomieszczenia w budynku Protektorów, aż pociemniało mu przed oczami. Nogi ugięły się pod nim i padł na jedno kolano.

Jakaś ręka dotknęła jego ramienia.

– Wszystko dobrze? – spytał Joachim.

– Tak, daj mi chwilę. – Caldan przełknął ślinę, chcąc pozbyć się z ust żółci.

Potrzebował kilku głębokich wdechów, nim zdołał dźwignąć się do pionu.

– Czy Miranda...? – zaczął niepewnie.

– Czy jest zdrowa? Nie, daleko jej do ozdrowienia. Jak już wspomniałem, niewiele mogłem zrobić. Ale udało mi się nieco uładzić zamęt w jej umyśle. Może to zająć kilka dni, ale w końcu zaobserwujemy u niej oznaki poprawy.

– Jak wielkie? Kiedy możesz spróbować znowu?

Joachim westchnął i zaczął zbierać swoje rzemyśliwa, z powrotem zawijając je w materiał.

– Nie umiem powiedzieć z całą pewnością. Wiele zależy od siły woli skrzywdzonej osoby. Będzie potrzebowała ustawicznego leczenia. Terapii prowadzonej przez magów znacznie potężniejszych ode mnie.

– Gdzie mam ich szukać?

– Kilku z nich jedzie tu wraz z całą cesarską świtą. Można więc powiedzieć, że masz szczęście. Dałem Mirandzie szansę na poprawienie swojego stanu. Może to ją trochę uspokoi. Degeneracja jej umysłu została spowolniona, ale nie powstrzymana. Ma teraz więcej czasu, i ty też.

Caldan wbił w Joachima ostre spojrzenie.

– Więc to o to ci chodzi. Ciągniesz mnie tam, gdzie chcesz mnie mieć.

– Nie. Choć masz inne zdanie, nie jestem potworem. I tak spróbowałbym jej pomóc. Ale to, że mogę upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, jest dla mnie korzystne.

– Przybyłeś tu akurat teraz, gdy byłeś najbardziej potrzebny. To jest, delikatnie mówiąc, podejrzane.

– Możesz patrzeć na to, jak chcesz, ale tak czy inaczej, nie miałbyś racji. Cesarstwo jest zagrożone, Caldanie. To jeden z powodów, dla których tu jestem. I owszem, śledziłem twój talizman, ale zapewniam: nie mogłem wiedzieć o tym, że potrzebujesz mojej pomocy. Ani o tym, że – arcymag z naciskiem podkreślił następane słowa – staniesz się moim dłużnikiem. Tak jak wspomniałem, dwie pieczenie przy jednym ogniu, ale przypominam: potworem nie jestem.

– Czego ty dokładnie ode mnie chcesz?

Joachim uśmiechnął się.

– Czy zawsze w ten sposób rozmawiasz z kimś, kto właśnie ci pomógł? Protektorzy niewiele mogli zrobić poza poproszeniem o pomoc nas. Masz szczęście, że akurat byłem na miejscu. Wydaje mi się, że zasługuję na nieco więcej szacunku, niż mi okazujesz. Zmień swój stosunek do mnie, chłopcze.

Caldan zwrócił się ku Mirandzie, milcząc. Czy kolor wrócił jej na policzki? Czy dostrzegł przytomny błysk w jej oku? Przejechał dłonią po swoich krótkich, kłujących włosach.

– Powiedziałaś wcześniej, że chcesz mnie na praktykanta. Ale to nie była prawda, nie?

– Nie. Chciałem tylko, żeby Protektorzy przestali się mieszać. Nie mam czasu nikogo niańczyć.

– Sprawdzasz mnie? Szturchasz i popychasz, żeby sprawdzić, w którą stronę skoczę?

– Zawsze. Może nie jesteś moim praktykantem, ale wciąż jesteś niżej w hierarchii. Nie jestem jakimś wspaniałomyślnym starym

mentorem, który będzie cię prowadził za rączkę przez całą drogę. Zrozum to od razu.

– Nie wziąłem cię za nikogo takiego.

– I dobrze. Zapamiętaj to sobie. Cesarz dał mi wolną rękę w radzeniu sobie z takimi jak ty.

– Takimi jak ja? Znaczy z kim?

– Pomijając to, czym możesz się stać... Na przykład złodziejem talizmanów?

– Że co, proszę? – zapowietrzył się Caldan. – Wiesz przecież, że go nie ukradłem.

– Wiem? Bo co? Bo mi powiedziałaś? Powinieneś wiedzieć, że to żaden argument.

Caldan nie miał na to odpowiedzi. Wreszcie spytał znowu:

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Odpowiedzi. Gdy je uzyskam, zdecyduję, co z tobą zrobić.





**A**idan wrócił z krzaków, gdzie udał się za potrzebą, i znalazł Vasila kłócącego się z cel Rauem i Chalayanem. Przetarł oczy i zaklął pod nosem, nim utkwiał wzrok w nocnym niebie. Tysiące gwiazd puszczały do niego oko. Był pewien, że kpią sobie z niego.

Vasil i Chalayan żarli się od kilku dni, od chwili gdy opuścili Gaziję i jego dziwnych towarzyszy. Wszyscy byli osobliwi, co do jednego. Osobliwie się poruszali i mówili. Nie umiał dokładnie wskazać, co mu w nich nie pasowało, ale nie potrafiłby żadnemu zaufać, nawet jeśli Vasil zarzekał się, że są w porządku. Nie lubił czarodziejów, ale cel Rau i Chalayan wprost ich nienawidzili. Gdyby spędzili z Gaziją więcej czasu, Aidan bałby się, że wojownik zrobi coś pochopnego. Coś, co będzie wiązało się z dużą ilością krwi.

Wyszedł z cienia i skierował się do ich małego ogniska.

– Spokój mi tu – polecił.

– Pan sędzia coś wie, o czym nam nie mówi – wypalił Chalayan po raz dziesiąty na przestrzeni ostatnich kilku dni.

Vasil pokręcił głową, zmęczony już nieustannym zaprzeczaniem.

– Wiem tyle co i wy. Są dziwni, trudno się z nimi pracuje. I bardzo uważają, co mówią w mojej obecności.

– Już samo to powinno ci coś powiedzieć. Ukrywają coś przed nami, ot co. Magowie i ich tajemnice, tfu! – splunął Chalayan.

Aidan zwrócił się do cel Raua.

– Rozumiem, że on, ale ty?

Wojownik wzruszył ramionami i zajął się moszczeniem sobie posłania i układaniem plecaka w miejsce poduszki. Jak na plemieńca ze Stepów, był przywiązany do tych drobnych przyjemności. Aidan był pewien, że gdy cel Rau wróci między swoich, będzie spał jak oni, na gołej ziemi, i nabawi się okrutnego bólu karku.

I dobrze mu tak, bo wcale się nie kwapił, żeby ująć Aidanowi bólu głowy spowodowanego przez wieczne kłótnie tych dwóch.

Aidan zostawił wojownika i wpił się wzrokiem w Chalayana, który wciąż wżerał się spojrzeniem w Vasila – z głodem w oczach, uświadomił sobie nie po raz pierwszy. Niektóre z tych tajemnic były dla Chalayana szczególnie apetycznym kąskiem, niemoralne czy zgoła złowieszcze – to nie miało dla niego znaczenia. Widział na własne oczy czary Mazoeta i pojął, że jego własne nie wytrzymują porównania. Aidan za nic nie chciałby stracić Chalayana, ale cóż, czasem życie po prostu nie chciało się ułożyć, jak byśmy sobie tego życzyli. Lecz mimo to czarodziej był wart zatrzymania, jeśli tylko okaże się to możliwe.

Pomyśli o tym wszystkim jutro.

– Prześpijmy się – rozkazał Aidan. – I przestańcie się wreszcie zreć jak psy z wściekłą.

– Chalayan wciąż wisi Vasilowi pięćdziesiąt srebrnych dukatów – przypomniał cel Rau, pomocny jak zwykle.

– O, na litość przodków! – nie wytrzymał Aidan. – Dość! Jeśli pokażemy się tak cesarzowi i jego świcie, uznają nas za bandę

skretyniałych idiotów.

Vasil skrzywił się na dowódcę, gdy coś mu się przypomniało.

– Zaraz, przecież powiedziałaś, że wiedzą, kim jesteście i czym się zajmujecie. Że sam cesarz wystawił ci glejt, żebyście mogli... robić to, co robicie.

– Bo to prawda – odrzekł Aidan. – Ale to lady Caitlyn rozmawiała z cesarzem i jego ludźmi. Uważam, że wszystko pójdzie dobrze. W końcu mamy ten glejt, a nad to wieści z Anasomy i od naszych tajemniczych dobroczyńców.

Sędzia nie wydawał się przekonany, ale Aidan miał to gdzieś. Po tym, co widział i przeszedł, spotkanie z cesarzem powinno jawić mu się dziecinną igraszką. Głowił się raczej nad tym, jak przekonać go, że ta informacja jest prawdziwa... A był to zarówno kłopot Vasila, jak i jego samego.

– Spać! – warknął na nich i zawinął się w koc. Pomyślał, że przy odrobinie szczęścia zedrą sobie gardła od tych kłótni, nim dotrą do cesarza.



Zimny wiatr ciął bez litości, przebijając się przez warstwy odzieży Vasila. Rozciągające się wokół trawiaste równiny były z rzadka obsypane krzewami i karłowatymi drzewami, gdzieniegdzie monotonię terenu zaburzało gospodarstwo lub mała wioska.

Cel Rau sprowadził ich ze szlaku i powiódł po kamienistym, rozfalowanym gruncie nienadającym się pod uprawę. Twierdził, że tą drogą zyskają na czasie. Skaliste wykroty nieregularnie wybrzuszały się z ziemi, a pod nimi zalegały cienie. Cel Rau ostrzegł ich przed wilkami i innymi drapieżnikami, ale jak dotąd żadnych nie widzieli, choć jaskinia, w której się zatrzymali minionej nocy, cuchnęła zwierzęciem.

Vasil otulił się szczelniej płaszczem, owijając też ręce, nim złapał za wodze. Jego koń jak dotąd zachowywał niezmacony spokój,

wlokąc się za pozostałymi, ale Vasil o wiele bardziej ufał własnym nogom. Urodził się i wychował w mieście, czuł się pewniej, mając pod stopami uliczny bruk. Ale gdy sprawdzał ostatnim razem, owe brukowane ulice nie były zbyt bezpieczne, dlatego właśnie przedzierał się teraz przez dzicz wraz z trzema zbirami. No, ta łąka niezupełnie do nich pasowała. A jednak robili, co chcieli: mordowali, grabili... Tak się tylko składało, że w majestacie prawa.

Jakby to robiło jakąś różnicę.

Spodziewał się, że dotąd będzie miał tych ludzi serdecznie dość, a jednak większość podróży upłynęła wcale przyjemnie, nawet jeśli Chalayan ciągle skakał mu do gardła. Przy tym kłamali znacznie rzadziej niż większość ludzi, a ich dowódca, Aidan, jak dotąd mówił wyłącznie prawdę. To znaczy oczywiście, że pewne pytania zbywał milczeniem, ale Vasil podejrzewał, że to ze względu na bolesną naturę tych wspomnień, a nie z chęci zwodzenia go.

Jadący przed Vasilem Chalayan wstrzymał konia, a gdy sędzia zrównał się z nim, czarodziej trącił wierzchowca piętami i obaj ruszyli stępą. Aidan obejrzał się na nich i widząc zachowanie towarzysza, zwolnił i zaczekał, aż obaj do niego podjadą.

– Sędzio – zwrócił się do Vasila czarodziej – co wiesz o magii, której używają ci ludzie?

Wiadomo, do kogo się odnosił. Vasil pokręcił głową.

– Niewiele. Powiedziałem ci wszystko, co wiem.

– Powtórz.

Aidan milczał, wyraźnie zainteresowany tym, co ma do powiedzenia Vasil. Sędzia westchnął i poprawił się w siodle.

– Jak już powiedziałem, nie widziałem, żeby robili cokolwiek, ale pierwszy raz musieli użyć przy mnie magii wtedy, gdy przejechaliśmy przez barierę, którą Indryallanie otoczyli Anasome.

– Więc po prostu przez nią przejechaliście? Tak jak przejeżdża się – Chalayan wysunął głowę naprzód – przez wodospad?

– Nie, zrobili w niej dziurę i rozsunęli ją, jak rozsuwa się kotary.

Chalayan namyślił się. Jego ręka bezwiednie powędrowała do wisiora na szyi.

– A więc nie chcieli zaburzyć działania bariery i znają jakiś sposób na miejscowe kontrolowanie niebieskich płomieni. Czy najpierw zbliżyli do nich rzemyśliwo?

– Mówiłem już, nie widziałem, żeby robili cokolwiek. Łódź, którą płynęliśmy, zbliżyła się do bariery, w niej otworzyła się dziura i przepłynęliśmy.

– Ale jak otworzyli tę dziurę bez rzemyśliwa i bez dotykania? – zastanawiał się czarodziej. – To przecież niewykonalne, chyba że ktoś zna magię destruktywną.

– Jeśli tak to dla ciebie wygląda, to pewnie tak jest – odpowiedział Vasil, nie wiedząc, o czym właściwie mówi, ale chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę i odjechać nieco dalej od maga.

Chalayan wyprostował się i przeszył go spojrzeniem.

– W rzeczy samej – rzekł. – Innej możliwości nie ma, prawda? Myślałem, że Mazoet uratował nas przed tamtymi dwoma czarodziejami, używając rzemyśliw, tylko takich, o których nie słyszałem. Ale najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie jest takie, że znaleźli jakiś sposób na obejście ograniczeń, które wiążą się z korzystaniem z rzemyśliw, i odwalają ich robotę za pomocą magii destruktywnej.

Vasil nie wiedział o magii prawie nic, a choć wiele z tego, co mówił Chalayan, wlatywało mu jednym uchem tylko po to, żeby wylecieć drugim – co wiązało się także z tym, że po prostu nie trawił wiecznie nabzdyczonego czarodzieja – to jednak ciekawiły go pewne rzeczy, o których tamten mówił.

– Będziesz musiał mnie oświecić. O jakich ograniczeniach mówisz?

– Wynikających z tego, że aby korzystać z mocy zawartej w twojej studni, potrzebujesz twardego, materialnego przedmiotu. Że nie można z nich korzystać bez ryzykowania poważnych obrażeń lub wręcz śmierci. Znaczący można, ale tylko w małym natężeniu. – Chalayan umilkł i podrapał się w głowę. – Myśl – warknął pod nosem, jakby kłął. – Jak to zrobić, jak to zrobić?

Vasil zmarszczył brwi. W tej sprawie nie był partnerem do dyskusji dla praktykującego maga, ale wpadł mu do głowy pewien pomysł.

– Słyszałeś o czymś takim jak magnetyt? Nazywa się go też czasem kamieniem sterowym.

Odpowiedział Aidan:

– Coś obilo mi się o uszy. To nie te, których marynarze używają przy nawigacji? Przyciągają żelazo.

– Tak, ale nie tylko to robią. Przyłoż jeden do drugiego, a zaczną się odpychać. Tak działa pole, które wytwarzają. Pamiętam, że opowiadał mi o nich kolega z sądu.

– Ale nikt nie wie, dlaczego działają w ten sposób – powiedział Chalayan. – Używa się ich do wytyczania kursu na morzu, ale to tyle.

– Nieważne, jak działają, tylko że działają. Generują niewidzialne pole siłowe, które jest na tyle mocne, że przyciąga lub odpycha inny przedmiot. Czy czarodziej potrafiłby wykonać rzemysliwo wytwarzające podobne pole siłowe i za jego pomocą przekierować moc ze studni, bez konieczności uciekania się do zwykłego rzemysliwa? Lub może nie tylko przekierować, ale i zgromadzić tę moc.

Aidan mruknął coś, najwyraźniej niezupełnie przekonany, ale Chalayan spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– Muszę się nad tym zastanowić – rzekł po prostu i ściągnął wodze, puszczając dwóch mężczyzn przodem.

Gdy oddzielili się od niego pewną odległością, Aidan powiedział do Vasila:

– Nie chcę, żebyś dyskutował z Chalayanem o magii.

– Co? Dlaczego? On tylko zadaje pytania.

– Ma trudny okres. Ma przed sobą magię, którą zawsze chciał zawładnąć, a nie może.

To tylko pół prawdy, pomyślał Vasil. Drugą połową było usposobienie czarodzieja.

– To nie ten typ, który musi wiedzieć wszystko, inaczej chodzi jak struty? Nie spocznie, dopóki nie dowie się, jak ta magia działa

i dopóki sam nie nauczy się z niej korzystać.

– Tak. A od wiedzy można się uzależnić.

– Od mocy także.

Aidan potwierdził skinieniem, ale milczał.

– Martwisz się, że on pragnie mocy bardziej od wiedzy – stwierdził Vasil.

– Moje zmartwienia niech pozostaną moimi, ty się nimi nie kłopotuj.

– A jednak próbujesz ograniczać mi swobodę. Decydować, z kim i o czym wolno mi rozmawiać.

– Nie próbuję. Zakazuję ci rozmawiać z nim o magii. To nie prośba. Nie jesteśmy twoimi przyjaciółmi, Vasil. Eskortujemy cię tylko. Gdy dotrzemy do cesarza i pomożemy ci wcisnąć się na audiencję, reszta zależy już tylko od ciebie, a my wrócimy do swoich zadań.

– Tropienia i niszczenia zła?

– Do chronienia ludzi.

– A armia wrogich czarodziejów okupująca miasto już cię nie obchodzi?

– To nie na nasze możliwości. Gdy wrócimy do Pierwszego Wybawiciela, zbiorę swoich ludzi i uderzę na południe. Może wrócimy na Pustkowie. Cesarz na pewno sam poradzi sobie z Indryallanami.

– Gazija nie jest wcale taki pewien...

Aidan wbił w niego badawcze spojrzenie.

– Tak powiedział?

– Nie. Ale nie gromadziłby armii najemników, gdyby uważał, że odbicie miasta to kaszka z mleczkiem.

– No tak... ma to sens. Cóż, czas pokaże. Cesarz ma swoje wojska, Gazija najął całą armię. Nie wiem, co by się musiało stać, żeby zawiedli.

Vasil się domyślał. Ale postanowił nie pogarszać już i tak niewesołej rozmowy.

– Przynajmniej my znaleźliśmy się daleko od kotła. Jeszcze kilka dni nudy i chyba odetchnę z ulgą.



– Jukarowie – zasyczał cel Rau.

Kłęczał nad czymś, co Vasil mógłby opisać jako wielki szurczy bobek porośnięty włosem. Wzdrygnął się, gdy wojownik potarł odchody i powąchał palce.

– Świeże? – spytał Aidan.

Cel Rau skinął głową. Siedzieli za niskim kamiennym murkiem, zbudowanym przez licznych w tym rejonie podróżników, pełniącym rolę wiatrochronu. Otaczał on z dawna wygaszone ognisko, a dookoła wałały się skrawki materiału, kawałki pordzewiałych, połamanych klamer i innych dzieł rąk ludzkich. Musiano go używać od bardzo dawna.

Przy odchodach jukara Aidan dostrzegł ciemną plamę. Trącił ją butem.

– Krew – powiedział.

Cel Rau wskoczył na murek i ukucnął, przyglądając się ziemi.

– Cztery. Nie, pięć... Co najmniej. Ruszyli na południe po tym, jak... Chalayan zaszedł Vasila od tyłu.

– Po tym, jak zjedli nieszczęśnika, który tu się krył. Z kosteczkami, sędzio. Nic się nie zmarnowało.

Vasil nie wyczuł w głosie czarodzieja przesady ani sztucznej zjadliwości. Zadrżał.

– Pojęcia nie mam, jakim cudem takie stado uchowało się tak blisko cywilizacji – powiedział Aidan. – Nie możemy zostawić ich tu żywych. Są zbyt niebezpieczni.

Chalayan i cel Rau kiwnęli głową na znak zgody.

Vasil nie był przekonany.

– Nie możemy teraz uganiać się za jukarami – rzekł. – Każdy dzień zwłoki może mieć poważne konsekwencje dla Anasomy, dla



Pierwszego Wybawiciela i dla Kołczanów.

Aidan sięgnął do ramienia cel Raua, ale zwrócił się do Vasila:

– Możliwe, ale nie unikniemy tego. Od tego jesteśmy. Wypełniamy rozkazy cesarza, nie starca. Anasoma nie zając, nie ucieknie, a tutaj grasują jukarowie, którzy polują i mordują niewinnych ludzi.

– Czemu zachowujecie się, jakby to był jakiś rutynowy problem, który można rozwiązać ot tak?

– Bo tak właśnie jest, sędzio. Jak już mówiłem: od tego jesteśmy.

Aidan wydał rozkazy Chalayanowi i cel Rauowi. Nie minęło wiele czasu, a ruszyli na południe, ale konie prowadzili za uzdy. Vasil otrzymał kategoryczny zakaz dosiadanania wierzchowca. Miał mocno trzymać wodze, na wypadek gdyby nastąpił niespodziewany atak.

Cel Rau szedł na przedzie, prowadząc ich żwawym tempem, pewnie podążając po śladach jukarów, ale Vasil nie mógł ich dostrzec, bo zadeptywali je trzej mężczyźni i ich konie.

Chalayan mamrotał coś do siebie. Aidan milczał. Cel Rau nie odejmował dłoni od rękojeści miecza. Każdy przygotowywał się po swojemu na to, co miało nadejść. Tymczasem Vasilowi dokuczał pełny pęcherz. Szedł za innymi, wdychając wzbijany przez nich pył, aż cel Rau kazał im stanąć u stóp wzniesienia. Po ich lewej stronie znajdował się kolejny skalny wykrot.

Wojownik przywołał ich do siebie, a oni zbliżyli się, by posłuchać, co miał do powiedzenia. Vasil rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby sobie ulżyć, przeprosił kompanów i zostawił ich, by mogli się naradzić. I tak na nic się nie przyda, a oni wtajemniczą go w uradzony plan, gdy wróci.

W litą skałę wnikała kolejna jaskinia. Trzymał się z dala od wlotu, rozpinając spodnie, już czując nadchodzącą ulgę.

Słyszał, że narada przebiegała burzliwie. Jak zawsze zresztą. Rzucił okiem przez ramię i zobaczył, że wiążą konie razem i suną na szczyt pagórka, poruszając się przy samej ziemi, jakby kryli się przed wścibskimi oczami. Coś musiało wzbudzić obawy cel Raua, inaczej nie byłiby tacy ostrożni.

Stukot kamieni ściągnął wzrok Vasila do ziejącej czarnej jamy. Wbił wzrok w ciemność. Czy tam coś się poruszyło? Dało się słyszeć przytłumione węszenie, a potem z mroku spojrzały na niego dwa żółte ślepia. Coś warknęło.

Obrócił się i puścił pędem, ale nim zrobił trzy kroki, kostki zaplątały mu się w opuszczone spodnie i upadł na ziemię. Stukot kamieni za jego plecami wzmógł się i Vasil obejrzał się, by ujrzeć wyłaniający się z grotu zwalisty kształt. Stwór wyszedł na światło słoneczne i odwrócił pospiesznie głowę, mrużąc porażone oczy. Przewyższał o jard dorosłego mężczyznę. Jego skóra miała barwę popiołu, a czerep porastały krótkie, gęste, czarne włosy podobne do futra. Znad nosa przypominającego zakrzywiony dziób patrzyło na Vasila dwoje skośnych oczu.

Jukar. Pierwszy, jakiego sędziego zobaczył na własne oczy.

Vasil znieruchomiał, żywiąc nadzieję, że może potwór go nie zobaczy. I że Aidan, cel Rau oraz Chalayan spostrzegli już bestię i biegną mu na pomoc.

Kreatura miała na sobie grube, zszyte niedbale skórzane spodnie, a z jej szyi zwisał łańcuch z drobnych, chyba ludzkich kostek oraz prymitywny medalion. Stwór trzymał w jednej ręce miecz skropiony rdzą. Vasil nigdy nie widział większego.

Zaryzykował spojrzenie w stronę wzgórze i zgryzł w ustach przekleństwo. Aidan i pozostali kryli się na jego szczycie. Nie mieli pojęcia o tym, jakie niebezpieczeństwo mu grozi. Odpełził od potwora na kilka cali. Pot lał mu się do oczu, szczypiąc i drażniąc. Wycisnął go spod powiek mruganiem. Drapnął stopą o skałę.

Jukar stanął. Powęszył w powietrzu, poruszając wokół głową. Zdawał sobie sprawę, że coś zakłóciło jego odpoczynek, ale ponieważ szybko opuścił mroki pieczary, jego ślepia nie przyzwyczyły się jeszcze do światła.

Vasil wiedział, że to tylko kwestia czasu. Zerwał się na nogi i podciągnął spodnie do pasa, a potem rzucił się do koni. Może stwór zainteresuje się zwierzętami... jeśli Vasil zdąży do nich dobiec. Usłyszał za plecami głośne pohukiwanie, a potem ochrypy szczek.

Ku jego przerażeniu odpowiedziały im zza wzniesienia identyczne okrzyki.

Vasil biegł do koni. Spodziewał się, że lada moment ten wielki miecz jukara rozpląta go na dwoje.

Obszedł swojego wierzchowca i odważył się spojrzeć za siebie. Jukar szedł prosto na niego, ale się nie spieszył. Wiedział, że jego ofiara nie ma szans. Aidan, cel Rau i Chalayan zbiegali ze wzniesienia prosto na niego. Nie krzyczeli, by ściągnąć na siebie uwagę bestii. Dlaczego tego nie robią?! – rozbłysła Vasilowi w głowie bezradna myśl. Cel Rau dobył obu mieczy i wysforował się przed pozostałych, a Chalayan stanął i zaczął splatać czar.

A przynajmniej taką Vasil miał nadzieję.

Sędzia modlił się, by jukar zaraz stanął w płomieniach, a potem przypomniał sobie, że magia tak nie działa. Tylko po co komu taka magia, którą nie można spalić wroga na popiół? Był pewien, że Chalayan się z nim zgodzi.

Patrzył, jak cel Rau mknął na spotkanie bestii, która spostrzegła nowych przeciwników.

Przecież chyba nie... A właśnie że tak. Szaleństwo! – rzuciło mu się na myśl, ale był wdzięczny losowi, że nie jest już celem jukara.

Stwór uniósł miecz nad głowę, składając się do morderczego ciosu. Cel Rau pędził w stronę skalnego wykrotu, wbiegł na niego, wybił się potężnie i pomknął w powietrzu prosto na jukara.

Ten, zaskoczony, zawarczał i spuścił miecz. Zbyt późno. Pierwsze pchnięcie wojownika trafiło go w lewe oko, a drugie wbiło się w szyję. Potwór zaryczał z bólu. Cel Rau wbił się nogami w jego pierś i trzymając mocno rękojeści zatopionych w jego ciele broni, wykręcił się, schodząc z drogi olbrzymiej klindze potwora, która zatoczyła łuk w powietrzu, o grubość palca chybiając jego ramię.

Zataczający się jukar opadł na kolana, a wojownik mieczami docisnął go do ziemi, wpatrując się w jego zdrowe ślepię. Wrzasnął coś, ale Vasil nie rozróżnił słów.

Cofnął się zaraz od umierającego potwora i wyszarpnął klingi z jego ciała, a potem poprawił potężnym pchnięciem w samo serce.

Oparł but o jego pierś i wyszarpnął miecz, a wtedy jukar zwałił się na ziemię martwy.

Vasil gapił się na nich. Na przodków! Gdyby sprawy inaczej się potoczyły, już by nie żył. Naszła go fala mdłości.

Aidan podbiegł do niego.

– Ten to się lubi popisywać, co? Mamy fart, że w tej jaskini siedział tylko jeden. – W tej samej chwili rozległo się zza wzniesienia pohukiwanie i obmierzłe hałakowanie kolejnych potworów. Aidan spochmurniał. – Ale najwidoczniej miał sąsiadów. Chodź, musimy uciekać. Wyczuły nasz zapach.

Aidan pchnął Vasila w stronę jego konia, a w tym samym momencie dobiegli do nich cel Rau i Chalayan. Zdziczałe oczy czarodzieja przepełniał strach, a szermierz miał wypisany na twarzy nerwowy pośpiech. Po tym pokazie sprawności Vasil miał lepsze pojęcie o umiejętnościach cel Raua, więc widząc teraz jego minę, sam przeraził się nie na żarty. Najwidoczniej wpadli z deszczu pod rynnę.

Vasil wdrapał się na siodło i popędził konia tam, gdzie wskazywał Aidan. Chalayan w mgnieniu oka dogonił go i zaczął wyprzedzać.

– Żwawiej, sędzio – wysyczał do niego. – Jak się nie pospieszysz, trafisz do gara. Metaforycznie, rzecz jasna, bo jukarowie nie zawracają sobie głowy gotowaniem. – Prychnął wyzutym z wesołości śmiechem i nerwowo obejrzał się przez ramię, a potem pognał na złamanie karku.

Aidan podjechał do Vasila od tyłu i trzepnął jego klacz po zadzie, zmuszając ją do rozwinięcia większej prędkości.

– Nadrabiaj, Vasil. Lepiej, żebyś nie został z tyłu.

– Chalayan poradził mi to samo. Cel Rau zabił jednego, a powiedział, że jest ich najwyżej kilku. Pięciu, tak?

Aidan zaprzeczył ruchem głowy.

– Teraz jest ich więcej. Te, które wytropił, musiały być oddzielonym od większego stada pododdziałem lub może zwiadowcami.

– Ile osobników liczą te stada? – zaniepokoił się Vasil. Jukarowie nie łączyli się w wielkie gromady od Zdruzgotania.

– Obejrzyj się za siebie – rzekł Aidan. – A potem odłóż pytania na później.

Vasil poprawił się w siodle i obejrzał przez ramię. Za ich plecami kłębiła się wzbita przez końskie kopyta chmura pyłu, ale za nią widać było mknące między skalnymi wykrotami potężne postacie jukarów. Bynajmniej nie pięciu, skonstatował z trwogą Vasil, widząc, że do ścigającej ich gromady dołączają w wielkiej liczbie kolejne bestie. Roili się jak wielkie mrówki, oblazłszy całe wzniesienie, na które Aidan, cel Rau i Chalayan weszli dosłownie przed chwilą. Wśród nich Vasil wypatrzył mniejsze, ciemniejsze, człekopodobne kształty, choć nie tak liczne. Z tej odległości nie widział szczegółów, ale światło słońca łyssało w drobnych metalowych przedmiotach, którymi byli obwieszani.

– Dość tego gapienia się – wrzasnął do niego Aidan. – Mamy konie, a oni nie. Ale też przed nami mogą być kolejni. Obawiam się, że na tę chwilę nie mamy innego wyjścia, jak tylko pędzić przed siebie, jakby zależało od tego nasze życie.

Bo zależy, pomyślał Vasil.



Aidan zsunął się z końskiego grzbietu i znowu poprowadził zwierzę za wodze. Dwaj jego podkomendni poszli w jego ślady, Vasil, choć niechętnie, również.

Po lewej ręce gorzało pomarańczowe słońce, przecięte na pół ciemną linią horyzontu. Z każdą chwilą pogłębiała się szarówka. Vasil sam uważał, że teraz lepiej prowadzić konie, ale instynkt kazał mu przeć naprzód do zajechania wierzchowców na śmierć, ilekroć przypominał sobie, co pozostawili za sobą. Przez ostatnie kilka godzin jego towarzysze milczeli jak zakłęci, odzywając się tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne.

Był zmordowany. I spragniony. I głodny jak pies. Już jakiś czas temu opróżnił swój bukłak, a jak dotąd nie minęli żadnego strumienia, gdzie mógłby go napełnić. Vasil oczyścił gardło chrząknięciami, otarł pył z twarzy. Pożałował, że wcześniej obmył ją wodą. Jechanie jako ostatni w kawalkadzie miało swoje minusy, ale lepsze to, niż tarabanić się pieszo.

– Aidan! – wyskrzeczwał przez wysuszone gardło. – Potrzebuję łyknąć wody.

Aidan pokręcił głową, ale wyciągnął swój bukłak i choć nie bez wahania, podał go Vasilowi.

– Musisz oszczędzać wodę – poradził. – I napełniać bukłak przy każdej możliwej okazji, bo nigdy nie wiesz, kiedy nadarzy się kolejna.

Vasil przytaknął z wdzięcznością, wymył pył zalegający w ustach i splunął. Po kilku łykach odkaszlnął i powiedział:

– Będziemy iść całą noc, prawda?

– Tak. Nie ma rady. Uciekliśmy jukarom, ale lepiej zrobimy, uciekając dalej. I musimy jak najszybciej dotrzeć do Starorzecza.

– Chcesz powiadomić Kołczany, żeby wysłały tu patrol i zabiły te monstra?

Aidan twardo spojrział mu w oczy.

– Był patrol nie poradzi sobie z taką chmarą. Musimy ostrzec miasto, że nadchodzą. Żeby mogli się przygotować.

Vasil przełknął ślinę.

– Ilu ich tam było?

– Nie widziałem dokładnie, ale zdecydowanie zbyt wielu. Nie sądziłem, że w ogóle tylu jeszcze istnieje. A wśród nich byli też vormagowie. A o nich... nikt nie słyszał od dekad. – Aidan łyknął za siebie strapionym spojrzeniem i wytarł ręce o spodnie.

– Vormagowie? Żarty sobie stroisz? To stwory z bajek dla dzieci. – Vasil nie skończył zdania, nim dotarło do niego, że Aidan mówi prawdę.

Przywódca zaśmiał się ponuro.

– Tak sądzi większość ludzi. I to jest na rękę Kołczanom. Im mniej ludzi wie, im bezpieczniej się czują, tym lepiej. Wiesz, my też nie polowaliśmy tylko na jukarów. Po świecie pełza wiele odrażających stworów z czasów Zdruzgotania. Jedne gorsze od drugich.

Vasil zaczął przypominać sobie legendy, które opowiadano mu, gdy był dzieckiem. Vormagowie zostali stworzeni po jukarach i mieli stanowić ulepszoną wersję obdarzonych szczątkową inteligencją, niezdarnych potworów. W opowieściach wiedli do boju jukarskie wojska podczas Zdruzgotania i w hierarchii znajdowali się jedynie o stopień niżej niż magowie, którzy ich stworzyli. Na powierzchnię jego świadomości wypłynęła myśl.

– Są czarodziejami. Jak w starych opowieściach.

Aidan kiwnął głową, uśmiechając się ponuro.

– Niektórzy tak. Protektorzy wyróżnili, ilu się dało, ale wciąż nie ustają w poszukiwaniach. Rzecz w tym, że vormagowie są sprytni i o wiele mądrzejsi od jukarów.

– Skąd ich tutaj taka chmara?

– Pytaj się mnie, a ja ciebie. Ostatecznie to bez znaczenia. Ich myśli i motywy są niezgłębione, zanadto się rozplenili i... – urwał i znowu obejrzał się przez ramię. – I nadchodzą.



**C**aldan wszedł do pokoju, natychmiast znalazł wzrokiem Mirandę i podszedł do niej. Deski podłogi zaskrzypiały pod jego ciężarem.

– I co z nią? – spytał Elpidii.

– Lepiej – odpowiedziała uzdrowicielka, namaczając szmatkę w miednicy. – Cokolwiek zrobiliście, działa. Myślisz, że wkrótce dojdzie do siebie?

– Nie za prędko. Joachim zrobił, co mógł, ale żeby całkiem dojść do zdrowia, potrzebuje zabiegu przeprowadzonego przez kogoś bieglejszego od niego w magii zniewalającej. Dał tylko Mirandzie więcej czasu, powstrzymał rozpad jej umysłu, a jednak...

– Niech zgadnę. Jest haczyk? Jakże wygodnie dla niego, że pojawił się akurat w tym momencie.

Caldan pokiwał głową.



– W końcu i tak by się pojawił. Odszukałby mnie, nawet gdyby nie napadnięto Anasomy. Może to lepiej, że pojawił się szybciej. Na pewno dla Mirandy.

Elpidia pociągnęła nosem.

– Dobrze, że ci lżej. Przynajmniej ujęto ci choć części trosk. Co sprowadza mnie do moich.

Caldan odgarnął Mirandzie z twarzy kosmyk włosów.

– Czego ci trzeba? Alchemicznych odczynników? Protektorzy powinni ci pomóc, tyle że pewnie są teraz zajęci.

– Poproszę ich o potrzebne rzeczy, tym się nie kłopotcz. Ale... Potrzebuję też co nieco od ciebie. Chodzi mi o twoją krew.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak upiornie to brzmi?

– Dałeś mi trochę wcześniej i bardzo mi się przydała, naprawdę. Ale zapas się kończy.

Caldana rozsierdził roszczeniowy ton Elpidii. Miał wrażenie, że traktuje go przedmiotowo. Ale po raz kolejny doszedł do wniosku, że gdyby to on umierał i wierzył, że antidotum jest w zasięgu ręki, zachowałby się podobnie.

– Przygotuj igłę i fiolkę – odparł ku wyraźnemu zaskoczeniu Elpidii. – Złożyłem przysięgę i mam zamiar jej dotrzymać. Naprawdę mam nadzieję, że ci to pomoże.

– Musi.

Naglący ton w jej głosie nasilał się od początku podróży i Caldán niemal zawahał się, wyciągając do niej rękę. Tylko że ostatecznie nie miał przecież bladego pojęcia, przez co ona przeszła i z czym mierzy się każdego dnia, i nie miał zamiaru dłużej odkładać zrobienia czegoś, co może jej pomóc. A mimo to chciał być pewny, że Elpidia wie, co robi.

– Myślałaś może o tym, jak zweryfikować swoją hipotezę, zanim oprzesz na niej swoje eksperymenty?

– Nie znam nikogo, z kim mogłabym to skonsultować. Może jest ktoś w stolicy... ale nikt, kogo bym osobiście znała. Na pewno są tam mistrzowie alchemicy i uzdrowiciele. A jednak jestem pewna, że to zadziała.

Caldan westchnął. Myślała tylko o jednym i działało mu to na nerwy, choć nie powinno – w końcu on sam myślał o Mirandzie w taki sam sposób. Nie zwlekając, podszedł bliżej do uzdrowicielki i podwinął rękaw.

– Z całego serca życzę ci, żeby tak się stało. Żałuję, że tylko tak mogę ci pomóc. Indryallanie okupują Anasome, Miranda jest chora, Dzwonki jest na wolności, a teraz jeszcze napatoczył się ten cały Joachim... Wszystko się pokomplikowało.

Elpidia zdezynfekowała igłę.

– Zadbaj o siebie i o Mirandę. Ja nie potrzebuję opieki.

– Ja też nie, ale ty się upierasz, że tak.

Nie odpowiedziała na to, ale zaraz poczuł ostry ból po wewnętrznej stronie łokcia. Patrzył, jak jego krew wypełnia fiolki, i choć ten widok nie rozstroił go tak jak wcześniej, to dziwnie się czuł, widząc żarłoczny grymas na twarzy Elpidii.

Zostawili Mirandę, gdy zasnęła. Arcymag kazał Caldanowi iść ze sobą, gdy tylko młodzieniec pośpiesznie zjadł śniadanie i się obmył. Siedzieli teraz w kącie dziedzińca, przyglądając się organizowaniu przez Annelie i Molda oddziałów poszukiwawczych, które miały lada chwila wyruszyć do miasta na poszukiwanie Dzwonków. Caldanowi powiedziano, że choć jego kompas powinien działać bez zarzutu, to jednak nie wskaże dokładnego położenia czarodziejki, a tylko w przybliżeniu. Najwyraźniej jedno z odzyskanych rzemyśliw zaburzało działanie kompasu. Caldan nie spodziewał się, że coś takiego jest możliwe, ale Joachim tylko wzruszył ramionami, mówiąc, że sam ma przy sobie rzemyśliwo o podobnym działaniu. Kto wie czy Indryallanka nie wykonała już jakichś nowych. Przodkowie raczą wiedzieć do czego jest zdolna.

Arcymag oparł się o ścianę i przymknął zmęczone oczy. Najwyraźniej czuł się u Protektorów jak pan na włościach.

– Nie pomożemy im szukać Dzwonków?

Joachim gestem dał znać, że bynajmniej.

– Nie złapią jej przecież. Co najwyżej zajmą ją na jakiś czas, bo będzie musiała przed nimi uciekać. Są dość silni, aby nie chciała iść

z nimi na zwanie. Nic by na tym nie zyskała. Więc raczej będzie czekać. Pomożemy, jak chwilę odpoczne. Wolę nie walczyć z nią, kiedy jestem osłabiony, a jeśli chodzi o ciebie, to wątpię, żebyś zdołał drugi raz ją pokonać.

Krew napłynęła Caldanowi do twarzy, mimo iż wiedział, że arcymag ma rację. Uciekł wzrokiem, ciesząc się, że nikt nie słyszał niepocholebnej opinii Joachima o jego osobie.

– Kiedy wrócą ci siły? – spytał, zmieniając temat.

– Za kilka godzin, może nieco później. Zabieg mnie wycieńczył. Od lat nie używałem magii zniewalającej, a jak wiadomo, narząd nieużywany zanika.

– A był okres, że używałeś?

Joachim strzelił do niego spojrzeniem.

– Lepiej, żebyś na razie powściągnął ciekawość. Z czasem wszystkiego się dowiesz. Jak już wspomniałem, od twojej szczerości i zachowania zależy, co będzie dalej.

Caldan przejechał dłonią po włosach i pokiwał głową.

– Ciągłe mi przypominasz, żebym czasem nie zapomniał.

– Dość częściej gadaniny, przejdźmy do spraw istotnych. Co wiesz o swoim talizmanie? – spytał Joachim.

– Niewiele – musiał przyznać Caldan. – Choć teraz zaczynam podejrzewać, że to właśnie on umożliwił mojemu mieczowi spenetrowanie tarczy czarodzieja, co doprowadziło do tego, że mnie znalazłeś. – Joachim milczał, więc Caldan mówił dalej: – O samym jego istnieniu dowiedziałem się zaledwie kilka miesięcy temu. Moi rodzice zginęli, gdy byłem mały. Wychowywali mnie mnisi na wyspie Samotnicy. Dopiero gdy ją opuszczałem, opowiedzieli mi o rodzicach i dali mi pierścień.

Joachim mruknął coś, ale jego twarz pozostawała nieprzenikniona.

– A więc nie wiesz, kim naprawdę byli i dlaczego zaszyli się na jakiejś wyspie?

– To dla mnie tajemnica. A jeśli chodzi o talizman, zacząłem go nosić po wykonaniu bransolety-tarczy. Jeden z Protektorów, mistrz

Simmon, zabrał mnie ze sobą, gdy wyruszył na poszukiwania czarnoksiężnika. Zaatakowałem go, a mój miecz jakimś sposobem przebił się przez jego tarczę. Choć nie wiem, jak i dlaczego aktywował się akurat wtedy. Nie wiedziałem nawet, że jest talizmanem. Wydawał się potem taki sam, jak i przedtem.

– To dlatego, że talizmany zestrojone z Dotkniętymi nie błyskają i nie świecą.

– Talizmany? Mówisz, że istnieje więcej niż jeden ich typ?

– Ma się rozumieć – odparł Joachim, ale nie rozwijał tematu. Zamiast tego go zmienił: – Czy bywałeś czasem bardziej głodny niż zwykle? Czy przydarzało ci się regularnie coś nietypowego?

On wie, uświadomił sobie Caldan. Wie dokładnie, co się ze mną dzieje. I to ma coś wspólnego z moim talizmanem. A przecież gdy zranił Marlona, nie miał go przy sobie. Mistrzowie przekonywali go, że jego dziedzictwo powinno pozostać w ukryciu. Dobra rada. Ze słów arcymaga wynikało, że wszystko to, co się działo z Caldanem, wypływało z niego, a talizman był tylko dodatkiem.

– Tak, jem strasznie dużo. Więcej niż ktokolwiek mi znany. I czasem robi mi się gorąco, jakby krew gotowała mi się w żyłach, i wtedy zaczynam się pocić. – Caldan spojrzał na Joachima, a ten skinieniem kazał mu kontynuować. – Wtedy wszystko zwalnia, jakby świat tonął pod wodą, ale... mnie to spowolnienie nie dotyczy. Z perspektywy innych poruszam się wtedy szybciej niż normalnie. Pierwszy raz stało się to, gdy ćwiczyłem z Simmonem. Pokonałem go, choć nie byłem wcale dobrym szermierzem. Więc to dlatego, że po prostu byłem szybszy, nie? To przychodzi i odchodzi samo. Nie umiem tego kontrolować.

– To normalne. Z czasem zaczniesz to kontrolować za pomocą talizmanów i rzemyśliw.

– Ale co to dokładnie jest? Co się ze mną dzieje? I co to ma wspólnego z moimi rodzicami?

Joachim przeciągnął się, wyrzucając ramiona nad głowę, i ziewnął.

– Wzmożony apetyt jest zwykle pierwszym symptomem, jakiego szukamy. Twoje ciało zaczyna zużywać więcej energii, więc potrzebuje więcej jedzenia. Organizm wzmacnia kości i mięśnie, żeby były w stanie wytrzymać zwielokrotnione obciążenie. Na pewno zauważyłeś na przestrzeni ostatniego roku znaczny przyrost masy, nie myślę się?

– Tak. Ale myślałem, że to przez trening u mnichów.

– To na pewno pomogło, ale pewien aspekt twojego jestestwa powoduje w twoim ciele daleko idące mutacje. Spokojnie, nie zmienisz się w jakiegoś potwora – Joachim błysnął uśmiechem – ale staniesz się bardziej zbity, tkanki twojego ciała zyskają na gęstości. No i wspomniałeś o przyspieszeniu, które zwykle ma miejsce, gdy znajdujesz się w niebezpieczeństwie. W stanie, w którym jesteś teraz, nie potrafisz tego kontrolować, a więc i nie możesz na tym polegać.

– Tyle już wiem. Jak dotąd przysparzało mi to tylko kłopotów albo nie następowało w chwilach, gdy tego potrzebowałem.

– Jesteś tym, kogo nazywamy Dotkniętym. To zjawisko jest badane od stuleci, jednak mimo to nikt nie wie, czym tak naprawdę jest. Wiemy tylko tyle, że się to dziedziczy. Czasem owo coś przeskakuje jedno pokolenie, czasem zanika zupełnie. Tak czy inaczej, pilnujemy Dotkniętych. Cesarz bardzo ich... ciebie także... ceni. Twoja przodkini Karrin Wraythe była Dotknięta i służyła cesarzowi. Talizman otrzymała jako swoisty znak cechowy. Ma pewne właściwości, które wspomagały ją w jej... pracy. Ale miejmy jasność, to nigdy nie miała być nagroda, a jedynie narzędzie pomagające Karrin w wypełnianiu obowiązków.

Caldan już sobie wyobrażał, co to za praca. Przypomnił sobie żołnierzy, których z taką łatwością pozabijał. Joachim najwyraźniej nie chciał wyjaśnić mu, czym dokładnie się zajmowała, ale sam wyciągnął oczywiste wnioski.

– Była zabójczynią? – drążył z pewną dozą złośliwości.

Joachim wydał usta.

– Niwelowała pewne problemy, tak.

– Ja nie jestem taki – powiedział Caldan z mocą.

– To nie ode mnie zależy, co się z tobą stanie. I kto wie, może od ciebie też nie.

I w tym rzecz: Joachim nie uwięził Caldana, jednak Caldan mimo to czuł się zniewolony. Nic dziwnego, że niektórzy wolą utrzymywać swoje zdolności w tajemnicy – wywnioskował, wracając myślami do Amerdana.

– Wraz z nami uciekł z Anasomy pewien człowiek. Nazywa się Amerdan. Miał sklep w stolicy, poznałem go przypadkiem. On czasem... poruszał się tak jak ja. A potem powiedział mi, że umie to kontrolować. Czy jego też szukasz?

Joachim pokręcił głową i zamyślił się.

– Pierwsze słyszę. A obserwujemy z bliska tych, którzy mają potencjał. Jak on wygląda?

– Przystojny, średniego wzrostu i budowy, krótkie włosy. – Caldan usiłował wydobyć z pamięci jakieś znaki szczególne byłego towarzysza, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Tylko to, że Elpidia uznała go za atrakcyjnego. – Porusza się z wdziękiem i jak dotąd nic z tego, co wspólnie przeszliśmy, nie wytrąciło go z równowagi.

– I mówisz, że ma takie same zdolności jak ty? Skąd wiesz?

– Indryallanie wysłali za nami asasyna. Dzwonki nazwała go posokowcem. Pozabijał żołnierzy z naszej eskorty, zanim pokonał go Amerdan. Widziałem to na własne oczy. Poruszał się z zatrważającą prędkością... nigdy czegoś takiego nie widziałem. A potem powiedział, że jesteśmy tacy sami i że mógłby mnie uczyć.

Na te słowa Joachim stężał i ściągnął brwi.

– Dziwne. Możliwe, że kilku z was wymknęło nam się z rąk, ale to mało prawdopodobne. Coś mi tu nie gra z tym twoim Amerdanem. A nosi pierścienie-talizmany jak ty?

– Nie widziałem u niego nic podobnego.

– I mówisz, że był zbudowany normalnie?

– Tak. Wcześniej myślałem, że to po prostu sklepikarz, tyle że oryginał, ale parę dni później doszedłem do wniosku, że jest w nim

coś więcej, co skrzętnie ukrywa.

– Gdzie jest teraz? Chciałbym się z nim zobaczyć.

Caldan rozłożył ramiona.

– Tego nie wiem. Był z Dzwonkami i Elpidią, gdy poszedłem do miasta. Nie, zaraz... niezupełnie. Kiedy wychodziłem, nie było go w obozie. Polował czy coś w tym guście. W ogóle lubił znikać na dłuższy czas.

– A czy on czasem nie sprzymierzył się z Dzwonkami?

– Tak myślę... Ale nie wiem czemu.

– No właśnie: bo i czemu by miał? – rzekł Joachim przyciszonym głosem. – Musimy rozważyć wszystkie możliwości. Jeśli jest Dotkniętym i nie ma żadnych talizmanów, to nie kontroluje tego, co się z nim dzieje. A to niedobrze. Jeśli go zobaczysz albo skontaktuje się z tobą, natychmiast mi o tym powiedz.

– Więc to właśnie robi mój pierścień? Pomaga mi kontrolować moje zdolności?

– Dowiesz się w swoim czasie, jeśli cesarz pozwoli ci go zatrzymać. Powiedzmy tyle: bez niego naraziłbyś się na trwałe uszkodzenie ciała, a bez naszej pomocy najprawdopodobniej byś zginął.

Caldan śmiał wątpić, ale ugryzł się w język. Niezależnie od motywów arcymag wyraźnie próbował wzbudzić w Caldanie przekonanie, że Joachim jest mu niezbędny do szczęścia.

– A więc lepiej zrobię, trzymając się ciebie – wyrzekł z fałszywym uśmiechem. – Co teraz?

– Wciąż nie jestem pewien, w którą przegródkę cię włożyć. Nie spodziewałem się, że okażesz się czarodziejem. Nie sądzę, żeby kiedyś wydarzyło się coś podobnego. Żeby Dotknięty urodził się ze studnią. Możliwe, że cesarz i jego doradcy będą musieli ponownie przemyśleć plany, które mają wobec ciebie.

– Ach, a więc są jakieś plany?

– Każdy może służyć cesarzowi w ten czy inny sposób. Jak już mówiłem, wkrótce sam się o tym przekonasz. Na razie zachowaj talizman. Pamiętaj, że odnajdę cię, gdy tylko się aktywuje, a będzie to odtąd robił coraz częściej.

– A gdybym go sprzedał?

Joachim zaśmiał się krótko.

– Nie sędzę, żebyś chciał go sprzedać po tym, co ci właśnie powiedziałem. – Rozziewał się znowu i przetarł oczy. – Dobrze, na razie wystarczy. Muszę się położyć. Porozmawiamy znowu, gdy wstanę. – Arcymag umościł się wygodnie i złożył ramiona na piersi. Jego oczy zamknęły się i chwilę później zaczął głęboko i miarowo oddychać.

Caldan zerknął na niego. Nawet pogrążony we śnie i z zamkniętą studnią ten człowiek dobijał się do jego świadomości, tak jak skrzynie w gabinecie Simmona. Świerzbiła go skóra, dreszcz biegał mu po ciele, cierpły mięśnie ramion.

Musiał coś przedsięwziąć. Jego bransoleta i symulakrum zostały zniszczone i choć wciąż miał przy sobie tarczę Dzwonków, która świetnie je zastępowała, czuł potrzebę zajęcia czymś myśli. Nie ścierpi tego czekania, aż Joachim raczy się obudzić. Kto wie jak długo będzie odpoczywał?

Nie spytał mnie o kościany pierścień, zreflektował się Caldan. Może o nim nie wie? Ale nie, to nie miało sensu. Musiał wiedzieć. Ze słów Felicienne wynikało, że ten kościany był połączony z jego talizmanem. Dlatego właśnie takie dziwne wydało mu się to, że Joachim nie powiedział o nim ani słowa.

Potrząsnął głową, by pozbyć się tych myśli, i zostawił arcymaga samego, żeby udać się do protektorskiego warsztatu. Po raz pierwszy od kilku dni czuł, że w końcu zrobi coś pożytecznego.





**F**elice z ulgą wypełniła płuca powietrzem. Nigdy jeszcze tak jej nie bolała głowa. Była potwornie zmęczona... Zorientowawszy się, że nie może się ruszać, próbowała otworzyć oczy, ale uniesienie powiek przedstawiało podobną trudność jak uniesienie konia. Zakaszła słabo, a wtedy ból załomotał jej w głowie, jakby oberwała obuchem.

Przodkowie, jaki ziąb. Dlaczego jej tak zimno? Prze pocone ubranie lepiło się do ciała Felice, jakby ktoś oblał ją wodą. To by tłumaczyło, dlaczego tak zmarzła.

Avigdor? Załkała, gdy przypomniała sobie, co mu zrobili. Niech szlag trafi tego przekłętą Savina. I Kelhaka, czy kimkolwiek tam jest.

– Ach, wreszcie się obudziłaś.

Okręciła się, słysząc głos. Kosztowało ją to wszystkie siły. Jęcząc z wysiłku, zdołała wreszcie rozewrzeć powieki. Archiwista. Stał kilka kroków od niej, wykręcając palce i przenosząc ciężar z nogi na nogę. Zauważyła, że przykryto ją przynajmniej dwoma grubymi wełnianymi kocami, pod którymi i tak drżała z zimna.

– Masz – powiedział starzec. Podszedł i przysunął Felice kubek, a słomkę włożył do ust.

Felice piła, aż osuszyła naczynie. Starzec przełożył słomkę do innego kubka i Felice piła dalej. Tym razem podał jej jakąś gorzką ziołową herbatę posłodzoną miodem. To naczynie też zaraz opróżniła, a potem jej głowa opadła na poduszkę.

– Chyba... zemdlałam? – wyskrzeczwała z wysiłkiem. Słowa cięły jej gardło jak noże.

– Tak. To woda z rzeki tak cię urządziła. Słyszałem, że ludzie po niej chorują, głównie dzieci biedoty, ale żeby tak szybko? To pewnie przez rany choroba rozprzestrzeniła się z taką prędkością. Na twoje szczęście uzdrowiciele wiedzieli, co robić, a i mieli na stanie alchemiczne i ziołowe remedia.

– Tak. Szczęście.

– Tylko musieli... zmusić cię, żebyś je wypila. A rany porządnie przemyć.

– Czy to dlatego moje gardło...?

Bibliotekarz potwierdził skinieniem.

– Musieli ci siłą lekarstwo wtłaczać. Gdyby im się to nie udało i nie zatrzymaliby leków w twoim żołądku, to obawiam się, że długo byś nie pociągnęła. Jak się teraz czujesz?

– Wychłodzona. Spragniona. Obolała.

– Dobrze – powiedział z uśmiechem. – To znaczy, że żyjesz. Czasem, gdy choroba zainfekuje całe ciało, pacjenci... tracą czucie w członkach i wtedy... no cóż, konieczna jest amputacja.

Felice przymknęła oczy. W pokoju była tylko jedna lampa, ale jej płomyk raził ją w oczy.

– Jak długo...? – spytała.

– Obawiam się, że amputowane kończyny nie odrastają.

– Jak długo... byłam nieprzytomna?

– To będzie... niech pomyślę... prawie dwa dni.

Felice jęknęła. Nie mogła sobie pozwolić na taką stratę czasu. Powinna wstać... ale była skonana. Krótki odpoczynek, a potem do pracy.

Zamknęła oczy.



Z błogiej ciemności wyrwał ją jakiś stukot. Ziewnęła i przeciągnęła się, na ile pozwalało jej poobijane ciało – czyli w bardzo ograniczonym zakresie. Mięśnie miała sztywne i obolałe, a warstwy ciężkich koców przygniatały ją do materaca. Jej nozdrza pobudził intensywny zapach przypraw i otworzyła oczy. Bibliotekarz siedział na stołku obok, mieszając gęstą potrawkę wyszczerbioną łyżką. Musiał zauważyć, że ma otwarte oczy, bo przestał mieszać i podał jej miskę.

– Poczekaj, podciągnę cię – rzekł. – O, i jeszcze poduszka pod plecy. No, teraz zjesz po ludzku.

Zakręciło jej się w głowie i podparła się na łokciach. Zaraz jej przeszło, ale wciąż pociła się jak po forsownym biegu. Jej ubranie cuchnęło. Zaśmiała się niewyraźnie. Starzec wstydziłby się ją przebrać, ale jeśli była nieprzytomna przez kilka dni, ktoś musiał się nią zajmować, inaczej łóżko byłoby brudne. Spojrzała na pełną miskę i oblizwała usta.

– Kto jeszcze wie, że tu jestem?

– Nikt. Tylko ja.

Felice westchnęła. I uzdrowiciele, o których wspomniał, i każdy, komu o niej powiedział.

– Mógłbyś...? – Wskazała potrawkę. – Jestem jeszcze za słaba.

– Jasne, tylko...

Mężczyzna przerwał, by podmuchać na łyżkę. Łakomie wessała jej zawartość. Kawalki miękkiego mięsa i warzywa unosiły się

w słonym, gęstym bulionie. Po kilku łyżkach powiedziała:

– Dziękuję, że się mną zająłeś.

– Ależ proszę. Nie mogłem przecież zostawić cię na pastwę losu.

– Doceniam poświęcenie – powiedziała oschle. – Ale teraz muszę być z tobą szczerą.

– Co masz na myśli?

– Oboje wiemy, że ktoś jeszcze się mną opiekował. Muszę wiedzieć kto.

– To była... moja córka Lisbet. Nikomu nie powie, przyrzekam. Nie powiedziałem jej, kim jesteś. Obca osoba z ulicy.

– A twoi współpracownicy? Wiedzą, kim jestem?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Poprosiłem jednego chłopca, żeby pomógł mi zawlec... znaczy zanieść cię tutaj, a potem kazałem mu pójść po uzdrowiciela. Powtarzam, nikt nie wie, kim jesteś, i przypuszczam, że chcesz, żeby tak pozostało.

Tak. Ale najbardziej na świecie chciała jeść.

– Poproszę o kolejną łyżkę.

– Oczywiście. Tylko pójde napęlnić miskę. Wybacz na moment.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zanim skrzydło zetknęło się z framugą, ujrzała jeszcze wąski, słabo oświetlony korytarz za nimi.

Felice opadła na posłanie i zaczęła rozważać swoje możliwości. A raczej zaczęła próbować, bo przede wszystkim musiała teraz wrócić do zdrowia, przynajmniej na tyle, by móc samej chodzić. Kelhak i jego ludzie wciąż byli w Anasomie. To nie czas, żeby się wylegiwać.

Rysunki. Gdzie one są?

Nerwowo rozejrzała się po pomieszczeniu i wypatrzyła leżącą przy łóżku księgę. Tam. Westchnęła z ulgą. Starzec miał na tyle przytomności umysłu, by zachować odnalezione w archiwach dokumenty. Możliwe, że znajdowały się tam informacje o Kelhaku.

Stękając, sięgnęła po tomiszczę, ale choć wyciągnęła ramię i rozcapierzyła palce, zabrakło jej kilka cali. Zwaliła się na łóżko, wściekła na swoją bezradność.

Nieważne, nie znikną przecież. Znalazła już odpowiednie zapiski, musiała się tylko wczytać. Przypomniła sobie to, czego już się dowiedziała.

Kelhak pochodził z tego samego klasztoru, w którym wychował się młody Caldan, zapisał się na turniej dominionu w czasie Święta Jesieni, a potem ku zaskoczeniu wielu zwyciężył. To było jakieś sto lat temu. A teraz Kelhak, który – w to już nie wątpiła – był tym samym człowiekiem, którego widziała na rysunku, wrócił do Anasomy na czele wrażej armii, okrzyknąwszy się Bogiem-Imperatorem Indryalli.

Pytanie brzmiało: po co?

Jak to możliwe, że po tylu latach Kelhak dalej żyje? Dlaczego nie rozpoznał własnej strategii? Czy rzeczywiście, jak powiedział, była tak stara, że nie znajdowała zastosowania na jego poziomie? I czy to wszystko miało coś wspólnego z inwazją?

Był w tym jakiś wzorzec, który jeszcze w pełni się przed nią nie odsłonił. Z tyłu głowy pełgało jej nieprzyjemne wrażenie, że gdy to już nastąpi, wnioski bardzo jej się nie spodobają. Jedno wiedziała na pewno: nie uzyska żadnych odpowiedzi, leżąc w łóżku.

Zaciskając zęby z wysiłku, dźwignęła się do siadu, zrzuciła z siebie koce i spuściła stopy na zimną podłogę. Natychmiast zaczęła się pocić i zadrzała. Na stoliku przy ścianie stał dzbanek. Założyła, że w środku znajduje się woda. Upragniona zimna woda.

– No dalej, poradzisz sobie – powiedziała do siebie... i nie ruszyła się z miejsca. – Wstawaj, ty leniwa...

Umilkła, gdy otworzyły się drzwi, a do środka wszedł archiwista z pełną miską. Widząc, że Felice siedzi na brzegu łóżka, zaniepokoił się.

– Ależ nie wolno ci...

– Nie ma czasu. Zostaw mi jedzenie i zawołaj tu córkę. Potrzebne mi świeże ubranie i woda, żebym mogła się umyć.

– Na pewno chcesz wstać? Przydałoby ci się kilka dni odpoczynku. Felice pokręciła głową, oblepioną strąkami spotniałych włosów.

– Wierz mi, chętnie poszłabym spać. Ale tak się składa, że mamy miasto do uratowania.



Ukryty na dachu przeciwległego budynku Amerdan spojrział w dół, na dziedziniec siedziby Protektorów. Z łatwością przebiegł po dachach dwie aleje i wybrał dogodny punkt obserwacyjny. Skrył się w cieniu komina, pewien, że nikt go nie widział i nie zobaczy, zwłaszcza że Protektorzy na placu uwijali się jak w ukropie, zajęci jakimiś swoimi sprawami. Mimo to nasunął na twarz zdobyty niedawno kapelusz o szerokim rondzie. Caldan i ta bezużyteczna kobieta Elpidia mogliby go rozpoznać, gdyby się dobrze przyjrzeni. Mało prawdopodobne, zważywszy na odległość, ale tylko głupiec považał się na łatwe do uniknięcia ryzyko. A on głupcem nie był.

Dlatego też wyjrzał zza komina, aby się upewnić, że nikt go nie śledzi, że nikt nie próbuje się podkraść. Czysto jak zawsze, ale ten jeden raz, gdy akurat nie sprawdzisz, wystarczy, żeby skończyć z poderżniętym gardłem. Amerdan zachichotał. Zdziwiłby się, gdyby ktoś okazał się na tyle szybki, by tego dokonać.

Dzwonki w wielkim skupieniu pracowała nad jakimiś czarodziejskimi sprawami. Cokolwiek kowalotworzyła, najwyraźniej było trudne do wykonania, a wnioskując po jej pośpiechu, musiała szybko zakończyć pracę. Machnięciem ręki zbyła jego pytania o studnie i czary. Kilka razy próbowała mu je odblokować, ale jej się nie udało.

*Może wcale nie próbowała* – dobył się szept zza jego koszuli.

Wsunął tam dłoń i pogłaskał Kropkę. Podróż była dla niej bardzo trudna, wciąż była zmuszona dusić się u niego za koszulą, ale już wkrótce to się zmieni. Szybciej, niżby się wydawało.

Może. Dzwonki powiedziała mu tylko tyle, że nigdy nie widziała u nikogo podobnych studni. Niezbyt mu to pomogło.

Amerdan szpiegował stojącego na dziedzińcu Caldana, który rozmawiał z jakimś mężczyzną w czarnej szacie o srebrnych guzikach. Pewnie jakiś Protektor. Po dłuższej chwili mężczyzna położył się, a Caldan go zostawił. Żadne zagrożenie. Patrząc, jak chłopak wchodzi do budynku, Amerdana naszła ochota, by złapać za nóż.

*Powinieneś był to zrobić, gdy miałeś okazję* – utyskiwała Kropka szeptem.

Amerdan kiwał się w przód i w tył.

– Nie – odpowiedział. – Po drodze nie było okazji. W dodatku oni mają tajemnice, których nie wyjawią mi, gdy będą martwi.

Caldan może poczekać. Elpidia jest nikim, to tylko schorowana kobieta, czekająca na śmierć. Znalazła myszy, które dla niej zostawił. Uświadomiły jej, że Amerdan mógłby ją zabić, ledwie kiwając palcem. Co zrobi z tą wiedzą? – zastanawiał się. Ze świadomością, że pomimo jej bezowocnych prób odwleczenia nieuchronnej śmierci wciąż mogła ot tak zginąć z czyjejś ręki. Czy uświadomiło jej to, że jest nikim? W odróżnieniu od Caldana.

I Dzwonków.

Dzwonki była jego kluczem, a on był zamkiem. Zamkiem, który wkrótce otworzy, odblokowując swoje studnie. Potem czarodziejka umrze, a on ją wchłonie. Przekona się wtedy, czy uda mu się pozyskać i jej studnię. Uśmiechnął się na myśl o swoim nożu przy gardle czarodziejki.



Savin stanął przed niefrasobliwie rozpartym na krześle Kelhakiem. Władca siedział z jedną nogą przewieszoną przez oparcie. Cztery jego osobiści strażnicy pełnili wartę, rozstawieni po pokoju – wielcy, brutalni mężczyźni gotowi bronić Boga-Imperatora nawet za cenę życia.

Savin szydził z nich w duchu. Umieranie za władcę to głupota. O wiele korzystniej jest, gdy to on rozstaje się z życiem. Można wtedy zrobić dwie rzeczy: spróbować objąć po nim schedę lub stać się niezbędnym dla tego, kto to robi.

Kelhak bawił się trzymanym w palcach niemal pustym szklanym kielichem do wina. Tym pokrytym połową trucizny, jedynym w pomieszczeniu. Bóg-Imperator podawał gościom wino tylko w naczyniach glinianych lub drewnianych. Savin uznał to za małostkowe – demonstrować władzę w tak przyziemny sposób. Patrz, jaki jestem potężny, ja mam szkło, ty glinę, jak jakiś wieśniak. Ale Kelhak rzadko robił cokolwiek powodowany takimi pobudkami, a jego metody zwykle wymykały się pojmowaniu Savina. To był jeden z powodów, dla których Bóg-Imperator musiał zginąć.

Kelhak wiedział, gdzie w mieście kryją się zaślepieni zwolennicy Pierwszego Wybawiciela, a jednak nie kwapił się do ich zabicia, choć przecież Savin prosił go o to wiele razy. Czarodziej wiedział, że Rebecci i pozostali zeszli do podziemia i najprawdopodobniej planują go zabić. Ta wiedza nie dawała mu spokoju. Porzucił swoich ludzi, uwolnił się od tego starego głupca, snującego dla nich jakieś dziecinne plany. Robiąc to, wiedział, jak wiele ryzykuje. Ale Savin nie ośmielił się sprzeciwić rozkazom Kelhaka. Jeszcze nie teraz.

Władca wskazał mu miejsce i pochylił się naprzód.

– Twoja przyjaciółka uciekła.

Savin skrzywił brwi.

– Przyjaciółka?

– Lady Felicienne. Wyskoczyła przez okno i wpadła do rzeki. W dodatku w samym środku ciekawej partii dominionu. Cóż za brak manier.

Savin prawie już zapomniał o tej kobiecie. Gdy ujrzał głązy lecące prosto na Kelhaka, pomyślał, że władca jest zgubiony. Dopóki nie uniknął śmierci za sprawą swojej magii.

To kolejny powód, dla którego musiał zginąć.

– Kazałeś mi ją dostarczyć... mój panie – odparł. – Wykonałem rozkaz.



– A co z jej ludźmi? Przecież sama nie obsłużyłaby maszyny. Doszły mnie słuchy, że ktoś zginął w jej celi. Jakiś otyły mężczyzna, któremu – Kelhak machnął wolną ręką, tak jak macha się siekierą – ucięto nogi. Ciach, ciach.

Savin szybko pojął, że Kelhak czasem maskuje swoją inteligencję prostą mową.

– Nikt szczególny.

– Nie dość, że gruby, to jeszcze nikt szczególny... jak ten, który pokonał dwóch twoich pupili? Jak one się nazywały? Dwa na jednego, a uciekały jak szczury.

Savin przełknął ślinę. Skąd on to wiedział? To przecież niemożliwe.

– Panie... Pomyślałem, że nie warto cię tym kłopotać.

– „Pomyślałem”. Na tym twoja wypowiedź mogłaby się skończyć. Wiadomo, jak się czasem kończy twoje myślenie.

W głowie Savina rozbłysła myśl, by otworzyć studnię, ale niemal w tym samym momencie brutalnie ją zgasił. Wątpił, by zdołał pokonać Kelhaka, a nie chciał dawać mu pretekstu, żeby go zabił. Zanim złożył słowa, Kelhak podjął:

– Niewiele z tym teraz zrobimy. A ten incydent z twoimi pupilami niemal wymknął się mojej uwadze. Ale nie frasuj się tym, nic mnie to nie obchodzi.

Jeśli nie obchodziło, po co to wypominał?

– Jak wiesz, panie, moi ludzie się rozdzielili... I wtedy... – Savin zawiesił głos, widząc, że Kelhak połyka resztkę wina. Obliczył, że trucizna o takim stężeniu powinna być dość silna, by zabić dziesięciu ludzi. Mrugnął i mówił dalej: – Między dwiema frakcjami dochodzi do okazjonalnych starć. Małe potyczki, próby sił, szukanie słabych punktów.

– Jeśli dobrze pamiętam, poszło o władzę. Gazija za krótko trzymał swoich ludzi i część z nich zbuntowała się, a na czele buntowników stanęłaś ty.

– Tak – skłamał Savin. To była tylko połowa prawdy. Ale nie miał zamiaru opowiadać Kelhakowi, co się rzeczywiście stało. Że czerpali

życie z siebie nawzajem, że polegali na sobie w sprawie kontynuowania własnej egzystencji. Gazija miał rację w jednej sprawie: jeśli ktoś pozna prawdę o nich, może to doprowadzić do ich unicestwienia. – Młodzi spośród nich, tacy jak Aslaug i Vibesse, czasem są zwodzeni na manowce przez własną... młodzieńczość, a ich płomienny entuzjazm prowadzi niekiedy do pochopnych i nieprzemyślanych czynów.

– Ach, być znów młodym – rozmarzył się Kelhak. – Wtedy wszystko wydaje się prostsze. Dopiero gdy dojrzewamy, zaczynamy widzieć rzeczy takimi, jakie są. Rozumiesz?

Savin zawahał się. Czy Kelhak chce mu zasugerować, że wie, że Savin kłamie? Jeśli tak, czemu nie powie mu tego wprost?

– Tak. Tak sądzę.

– To wspaniale. – Kelhak wskazał kielichem swoich strażników. – Ci ludzie też coś tam rozumieją, ale zaledwie wycinek rzeczywistości. Tylko to, co potrzebują rozumieć. Reszta jest dla nich nieistotna.

Choć władca bredził, Savin przytaknął. Kelhak niekiedy dziwnie się zachowywał, czasem toku jego myślenia nie dało się prześledzić, ale jak dotąd nigdy się nie pomylił.

– Ci twoi młodzi... Są całkiem inteligentni, jak na swój wiek, czyż nie?

Kelhak zbił go z tropu tym pytaniem i Savin potrzebował chwili, by rozplątać myśli.

– Tak, panie. Ich rodzice byli uzdolnieni, najwyraźniej mają to po nich – wymówił w końcu.

– A jaki los spotkał ich rodziców?

– Zmarli jakiś czas temu – skłamał jak z płatka Savin. – Wyniszczyła ich choroba. Opiekujemy się nimi od tamtej chwili.

Kelhak mruknął.

– Znacznie przewyższają swoich rówieśników. Wiem o tym dobrze, sam mam kilkoro dzieci. Są prawie jak dorośli.

Savin zamarł, a potem przybrał maskę zastanowienia i poruszył się na krześle. Jego myśli gnały na złamanie karku. Odkaszlnął

i oczyścił gardło.

– W rzeczy samej, wykazują dojrzałość o wiele starszych ludzi. W związku ze śmiercią rodziców życie postawiło przed nimi próby, w wyniku których... się rozwinęli. Utracili młodość dawno temu.

– Jak my wszyscy. – Kelhak obrócił się i napełnił szkło.

Savin oderwał od niego wzrok, żeby władca nie zaczął czegoś podejrzewać.

– Wróćmy teraz do tej Felicienne – podjął Bóg-Imperator. – Chcę, żebyś znów ją odnalazł. Ale najpierw niech pokręci się po mieście przez kilka dni. Jej ludzie zostali zabici, więc będzie potrzebowała czasu, aby zebrać sojuszników. Wie lepiej niż my, do kogo może się zwrócić, i doprowadzi nas do tych ludzi.

Savin pokiwał głową.

– Tak, mój panie.

– Może wtedy dokończymy naszą zaczęłą partię. Zabiła mi ćwieka, muszę przyznać.

– Jestem pewien, że ostatecznie byś zwyciężył, panie.

Kelhak zamyślił się.

– Możliwe. Co się tyczy... twoich ludzi, jak ich zwiesz. Przez najbliższy tydzień będą musieli ograniczyć używanie magii. Niech korzystają z niej tylko w przypadku zagrożenia życia i do obrony.

– Panie, z pewnością żartujesz...

– Z pewnością nie. To nie jest prośba.

– Ale... dlaczego? – Zakaz czarowania pokrzyżuje Savinowi plany. Wciąż miał wiele do zrobienia. Przygotowania do odsunięcia Gazii od władzy nie mogły dłużej czekać. Gdyby tylko mógł jakoś przykuć uwagę Kelhaka do starca, podsunąć mu myśl, że starzec stanowi zagrożenie. Gdyby Indryallanie wysłali za nim kilku swoich czarodziejów i żołnierzy, wyprostowaliby Savinowi ścieżkę. Nawet gdyby Kelhak zginął, nie przedstawiałoby to większego problemu, gdyby tylko przedtem zdążył wprawić w ruch tę maszynę.

– Bo ja tak mówię – warknął Kelhak.

– Oczywiście. Chciałem tylko spytać, czy jest ku temu jakaś przyczyna. To chyba dość drastyczne posunięcie.

Irytacja Kelhaka w ułamku chwili zmieniła się w zamyślenie.

– Jest, a właściwie są dwie. Moja córka Dzwonki wykonuje w tej chwili zadanie, które wyznaczyłem jej przed najazdem na to obskurne miasto.

Savin wygładził cisnący się na twarz grymas, zastanawiając się nad tym osobliwym doborem słów. Z jego wiedzy wynikało, że Anasoma to jedno z najbardziej rozwiniętych miast w całym cesarstwie, świetniejsze od wielu indryallańskich metropolii. Niby dlaczego obskurne? Anasoma wypadła blado w porównaniu z miastami, które wzniesiono w ojczyźnie Savina, ale Kelhak nie mógł przecież nic o nich wiedzieć, prawda? Niby skąd?

Władca nie zauważył jego zmieszania i kontynuował:

– Ma wysłać mi dwa sygnały, znaki o szczególnej, magicznej naturze. A ponieważ jest daleko, każda magiczna emanacja w okolicy mogłaby utrudnić mi odczytanie tych znaków.

– Potrafisz, panie, wykryć czar rzucony tak daleko? Zapewne posługujesz się talizmanem.

Kelhak wyśmiał to przypuszczenie.

– Wyglądam, jakbym potrzebował kul do chodzenia? Nie, to jeden z moich talentów, rozlicznych zresztą. Drugi zaś powód jest znacznie bliżej. Ale pozwól, że wpierw powiem ci coś innego.

– Tak? – odparł niepewnie Savin, wciąż zaszokowany poleceniem Kelhaka. A więc potrafi wyczuć magię z dużej odległości bez użycia talizmanu lub rzemyśliwa... Mówiło się o podobnych talentach, ale Savin słyszał tylko o jednym człowieku, który potrafił coś takiego: Ik'zvimie, pradawnym magu, którego wiedza i moc pokonały samą śmierć. I którego perwersyjne szaleństwo zniszczyło ich świat, a wraz z nim niemal ich samych. Ale te przerażające wydarzenia rozegrały się w zamierzchłej przeszłości i lepiej było o nich zapomnieć. Zdolności Kelhaka to kolejna nieregularność tego dziwnego świata, uznał.

– Wiem, że chcesz zabić Gaziję, nie tylko pojmać go i uwięzić. I wiem też, że twoi pupile, Aslaug i Vibesse, są starsi, niż wyglądają.

Teraz być może dociera do ciebie, że przede mną nie da się nic zataić.

Savin wykręcił palce i spuścił wzrok.

– Wybacz mi, mój panie. Ja tylko...

– Dość – przerwał mu Kelhak. – Byle w końcu dotarło. A teraz spójrz na mnie.

Strwożony Savin uniósł wzrok. Bóg-Imperator Kelhak patrzył mu prosto w oczy.

– Ta druga przyczyna jest taka, że ktoś próbuje mnie zabić.

Savin nadzwyczajnym wysiłkiem woli wytrzymał jego spojrzenie. A jednak da się to znieść, pomyślał.



**W**iedząc, że aby wykonać tutaj rzemyśliwo, o które mu chodzi, musi zebrać materiały na własną rękę, Caldan zaczepił dwóch czeladników kręcących się po korytarzach i po prostu zapytał ich, czy mają jakieś zbędne rzemyśliwa na sprzedaż. Tak jak wśród kandydatów na Protektorów w Anasomie, również i tutaj funkcjonował czarny rynek studenckich rzemyśliw, a ci dwaj byli szczególnie chętni na proponowane przez Caldana dukaty. Nabył tylko te bardziej jakościowe, wykręcając się uśmiechami i ogólnikowymi odpowiedziami od pytań czeladników, którzy bardzo chcieli wiedzieć, po co mu ich dzieła. Nie naciskali, chętnie chowając dukaty do kieszeni, po czym ruszyli w swoją stronę, a on w swoją.

Opuścił siedzibę Protektorów, zapytawszy o kierunek inną grupę czeladników, by nikt nie dodał dwóch do dwóch. Żwawo kroczył

ulicą, chcąc jak najszybciej zacząć. W czasie podróży zdążył się stęsknić za rzemyśleniem i bardzo chciał kontynuować pracę rozpoczętą w Anasomie, zwłaszcza po tym, jak symulakrum i bransoleta uległy zniszczeniu. Oba przedmioty ocaliły mu życie i poczucie straty dawało mu się we znaki.

To tutaj, pomyślał Caldan, znajdując sklep. Przybytek przy targu dzieliło od siedziby Protektorów tylko kilka minut drogi. Caldan obejrzał niewyróżniające się niczym drzwi oraz wiszący nad nimi szyld przedstawiający dwa koła zębate.

Gdy pchnął drzwi, zadzwonił metalowy dzwoneczek przy framudze i Caldan znalazł się w pomieszczeniu, które skojarzyło mu się z zakładem zegarmistrzowskim w Anasomie. Tutaj także można było kupić elementy mechanizmów zegarowych, ale na tym podobieństwa się kończyły. Tutejsze artykuły były gorszej jakości i nie lśniły jak te w innych sklepach. Pewnie dlatego, że wszystko pokrywała warstewka kurzu. Na jednym spostrzegł nawet kropkę rdzy. Nie było tu czarodziejskich kul, jedynie kilka lamp, które wraz z oknami starały się wypełnić pomieszczenie dostateczną ilością światła.

Gdy zamknął za sobą drzwi, jak spod ziemi wyrosła młoda kobieta. Musiała schylać się za kontuarem, dlatego jej nie dostrzegł. Tak jak zegarmistrz w Anasomie, miała na nosie binokle ze szklami powiększającymi ułatwiającymi pracę nad małymi mechanizmami. Patrzyła na niego ponad szklami, by lepiej go widzieć.

– Witaj – odezwała się, łowiąc wzrokiem miecz przy jego pasie i talizman na palcu. – Nieczęsto goszczę tu Protektorów. Głównie przychodzą do mnie członkowie Gildii Czarodziejów. Ale oczywiście każdy jest tu mile widziany – dodała pośpiesznie. – Czy potrzebujesz pomocy z rzemyśleniem? Czy szukasz czegoś innego? Może chodzi o prezent? – spytała z błyskiem w oku.

Caldan domyślił się, że interes nie idzie najlepiej. Wskazywała na to przesadna usłużność oraz stan sklepu. To oraz fakt, że wywnioskowała z jego wyglądu, iż jest Protektorem, budziło nadzieję, że dobiją targu z korzyścią dla obu stron.

Caldan odchrząknął.

– Przepraszam, nie szukam prezentu, może innym razem. – Kobieta spuściła wzrok, a Caldanowi zrobiło się przykro. Postanowił przejść do sedna. – Mam rzemyśliwa, które może cię zainteresują – rzekł i potrząsnął torbą, grzechocząc zawartością.

– Ojej – powiedziała zawiedziona. – Niestety, obawiam się, że rzemyśliwa skupować mogę tylko od mistrzów.

Akurat cię stać, pomyślał Caldan.

– Rozumiem, ale przyszło mi do głowy, że może moglibyśmy sobie pomóc. Zwłaszcza że nie chcę wymieniać się na dukaty.

Zegarmistrzyni spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Chcę tylko, żebyś w zamian wykonała dla mnie małą robótkę, potrzeba mi pewnych drobiazgów, których nie mam czasu lub nie potrafię wykonać sam.

Odczekał chwilę, a ona zmierzyła go wzrokiem, zastanawiając się nad ofertą.

– Masz, rzuć okiem – powiedział, podając jej worek. – Wiem od innego zegarmistrza, że ci się przydadzą. Ja w tym czasie naszkicuję, czego mi trzeba. Czy mogę na kontuarze?

Machnęła ręką na znak, że owszem, a potem obok otworzyła worek i wyciągnęła jego zawartość. Caldan wyjął z kieszeni papier, ołówek, pióro i tusz i wziął się do pracy.

– Masz tu... – zająknęła się – niezłą kolekcję. Warta niemało dukatów. Nie sądzę, żeby było mnie na nie stać.

– Jak już wspomniałem, niepotrzebne mi pieniądze.

Caldan patrzył, jak kobieta nerwowo przebiera w rzemyśliwach, a potem kiwa głową. Czuł lekki wstyd, że wykorzystuje jej sytuację, ale gdyby nie była w potrzebie, i tak zwróciłby się do niej o pomoc, a przynajmniej teraz lepiej na tym wyjdzie.

– Nie mam zbyt wielu materiałów na wymianę – wyznała. – Ale powiedz, czego ci potrzeba.

Caldan kilka minut tłumaczył zegarmistrzyni swoje pomysły i wyliczał potrzebne przedmioty: elementy kolejnego symulakrum podobnego do tego pierwszego oraz kilka drobiazgów. Gdy już



dokładnie wszystko wytłumaczył, wrócił do rysowania, a ona patrzyła, okazjonalnie komentując i poprawiając schemat.

W pewnym momencie za jego plecami rozległ się dźwięk dzwonek i kolejny klient wszedł do sklepu. Obejrzawszy się, zobaczył wysoką postać kobiety w płaszczu i kapturze, domykającą drzwi. Wrócił do rysowania, a zegarmistrzyni uśmiechnęła się i sięgnęła za ladę po drewniane pudełko. Stęknęła z wysiłku i dźwignęła je na kontuar.

– Proszę – powiedziała. – Wszystko, o co prosiłaś.

Zabrzączały monety, co oznaczało, że transakcja doszła do skutku, a potem kobieta wyszła bez słowa. Znow odezwał się dzwonek, a potem drzwi zatrzasnęły się za nią.

Caldan zamarł z piórem w ręku, patrząc na czarnego kleksa, pochłaniającego coraz większy obszar kartki. Gdy kobieta weszła, dzwonek zabrzmiał zupełnie inaczej niż wtedy, gdy wychodziła. Wolno odłożył pióro i zwrócił się ku drzwiom, lustrując je bacznym spojrzeniem.

Zegarmistrzyni przeszła z powrotem za kontuar, rzucając mu zaciekawione spojrzenie.

– Kto to był? – spytał.

– Co? A, klientka. Zamówiła to, co zwykle.

– Jak ona wyglądała? Wysoka? Długie ciemne włosy?

– Tak, a co?

– Czy miała przy sobie dzwoneczki, takie małe, metalowe? Wplecione we włosy?

– Owszem, jeden czy dwa. Też pomyślałam, że to dziwne, ale...

Urwała, gdy Caldan zostawił swój schemat i rzucił się do drzwi. Szarpnął za klamkę. Ani drgnęły. Wtedy poczuł zapach cytryn. Przodkowie moi! Dzwonki rozpoznała go i zarzemyśliła drzwi, żeby się nie otworzyły.

Z walącym sercem pobiegł do tylnego wyjścia.

– Zostań tu. Zaraz wracam.

– Ejże, tam nie wolno!

Zostawił za sobą oszołomioną zegarmistrzynię, zapominając o rzemyśliwach i planach. Teraz liczyło się tylko odnalezienie Dzwonków. Drewniane pudełko, które zabrała, było ciężkie, więc nie mogła uciec daleko.

Na tyłach sklepu znajdowało się porośnięte chwastami podwórko z małym kurnikiem. Otaczał je kamienny mur, a żelazna furtka otwierała się na uliczkę, ale była zaryglowana i zabezpieczona masywną kłódką.

Przeklinając, oparł nogę na poprzeczce i przesadził furtkę, lądując niezgrabnie na bruku. Miecz zaplątał mu się między nogami. Łapiąc za rękojeść, by odzyskać nad nim kontrolę, zrozumiał, dlaczego niektórzy szermierze woleli nosić broń na plecach.

Caldan puścił się wąską alejką i skręcił w pierwszą odnogę ku głównej ulicy, wpadając w zbity tłum przelewających się przez nią przechodniów.

Gorączkowo rozejrzał się ponad ich głowami. Dlaczego akurat są w modzie płaszcze z kapturami?! Widział ich wokoło mnóstwo i żaden nie uciekał. Pod którymś z nich musiała być Dzwonki, prawda? A może przeszła na drugą stronę ulicy i już zniknęła w jakimś zaułku?

– Na przodków... – wymamrotał. – Zgubiłem ją.

Zaczarowała drzwi i to wystarczyło, by rozplynęła się w powietrzu. Musiałyby mieć wyjątkowe szczęście, żeby teraz wyłuskać ją z ciżby. A gdyby popędził za nią uliczką, to kto wie czy nie nadziałyby się na kolejną zabójczą pułapkę jak tamta w lesie.

Nie mógł uwierzyć, że była tak blisko, dosłownie dwa kroki za nim... Mogłaby wbić mu nóż w plecy i nie zorientowałyby się, dopóki klinga nie zazgrzytałaby o jego żebra.

Co rodziło kolejne pytanie: ona go rozpoznała, inaczej nie zamknęłaby drzwi. A skoro tak, to dlaczego go po prostu nie zabiła?

Powinien jak najszybciej donieść o tym Joachimowi i Protektorom. Ale musiał też dokończyć sprawunki u zegarmistrzyni. Jednak ciążyła mu też silna wewnętrzna potrzeba odzyskania jej mimo wszystko.

Bijąc się z myślami, wrócił do zakładu. W szerszej perspektywie najważniejsze są rzemyśliwa. Obejrzał drzwi od strony zewnętrznej. Nie dostrzegł żadnych widocznych śladów rzemyślenia na zamku. Chyba że... tak. Tutaj. Małe metalowe kółko u dołu drzwi. Caldan otworzył studnię i zbadał obiekt. Był podobny do papierowych rzemyśliw, którymi sam zamykał swoją izdebkę po przybyciu do Anasomy. Nie wyczuł niebezpieczeństwa, wyjął więc nóż i podważył je.

Rzemyślnicza metalowa pinezka, którą łatwo wcisnąć w drewno. Ostrożnie, żeby się nie ukłuć, pchnął drzwi, które otworzyły się bez przeszkód. Zegarmistrzynię znalazł za ladą. Wpatrywała się w niego rozeźlona, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Przepraszam – rzekł. – Ta kobieta jest kimś, kogo szukam.
- Dogoniłeś ją? I co jest nie tak z moimi drzwiami?
- Trochę się zacinają. Ale odtąd nie powinnaś mieć z nimi kłopotu.
- Widząc grymas na jej twarzy, podjął: – Co kazała dla siebie wykonać? Coś jak to, co ja planuję zrobić?
- Nie. Potrzebowała głównie materiałów.
- Metali? – Zegarmistrzyni potwierdziła. – Jakiego typu? Złoto? Srebro?

– Nie, głównie miedź i metale ziem rzadkich. Poprosiła, żebym je dla niej zamówił. Powiedziała, że nie ma czasu ani cierpliwości, żeby zrobić to samej. Zresztą dobrze zapłaciła.

Miedź? – zamyślił się Caldan. Wsunął paznokcie kciuka między zęby. To nie miało sensu. Po co zawraca sobie głowę takim nietrwałym metalem? Na miedzi ćwiczyli praktykanci, na co ona pełnoprawnej mistrzyni? Była miękka, łatwa w obróbce, topiła się w niskiej temperaturze i dawała powtórnie wykorzystać, ale nie spodziewał się, że czarodziejka tego formatu znajdzie dla niej zastosowanie.

Potrząsnął głową i wrócił do kontuaru, mierzony baczym spojrzeniem przez zegarmistrzynię. Jego zachowanie musiało być dla niej co najmniej zagadkowe.

– Przepraszam, nie kłopotz się już tym. Wracając: czy możesz wykonać dla mnie te rzeczy? – Popukał palcem w schemat.

Potwierdziła skinieniem.

– Przejrzałam je po tym, jak wybiegłeś. Wiedziałam, że wrócisz. Nikt nie zostawiłby tu tych rzemyśliw, nie chcąc czegoś w zamian. Mogę zrobić dla ciebie rzeczy, których potrzebujesz, ale zajmie mi to kilka dni, może nawet tydzień.

– Kilka dni – powiedział z naciskiem. – Czy te rzemyśliwa wystarczą za zapłatę?

– To więcej niż dosyć, jeśli mam być szczerą. – Położyła kilka na ladzie, małe metalowe kwadraciki pokryte runami. – Masz, weź te.

Caldan z uśmiechem pokręcił głową i delikatnie posunął je po blacie z powrotem do zegarmistrzyni.

– Zatrzymaj je. Powiedzmy, że to w ramach wdzięczności za dyskrecję. Ta kobieta jest niezwykle niebezpieczna i szukają jej Protektorzy.

– Nie miałam pojęcia. Była taka miła.

– Jak chce, to potrafi.

Nigdy nie poznał Dzwonków z tej strony. Trudno mu było myśleć o niej jak o zwykłej osobie.

– Wrócę za parę dni. Mogą przyjść do ciebie Protektorzy, żeby cię wypytać. Bardzo cię proszę, żebyś powiedziała im jak najmniej o tym, dlaczego do ciebie przyszedłem.

– Będę milczeć jak grób.

Te artefakty były warte sporo pieniędzy. Nie wątpił, że zegarmistrzyni czuje się wobec Caldana zobowiązana. Pokiwał głową i pożegnał się, zostawiając za sobą sklep z jedną tylko myślą w głowie: co knuje Dzwonki?

Caldan był pewien, że będzie się ukrywać, a wszystko wskazywało na to, że jednocześnie wytwarza rzemyśliwa. Teraz gdy już miała materiały, potrzebowała ustronnej kryjówki, aby pracować bez rzucania się w oczy, a nie było w Starorzeczu wielu miejsc, gdzie mogła swobodnie obrabiać metale. Od biedy do prostej roboty nada

się każdy kowal, ale wyposażenie niezbędne na późniejszych etapach pracy mieli tylko jubilerzy i złotnicy.

Z kłębiącymi się w głowie myślami wrócił do Joachima.



Arcymag zaserwował mu kolejną tyradę, a Caldan słuchał, choć w uszach mu jeszcze dzwoniło po poprzedniej. Joachim najwyraźniej spodziewał się, że w czasie jego drzemki Caldan będzie siedział na tyłku. Nie był zadowolony, że osoba, za którą odpowiadał, poszła gdzieś sobie, nie pytając go o pozwolenie. To, że Caldan przypadkiem natknął się na Dzwonki i dowiedział się, że coś knuje, najwyraźniej nie umniejszało tej przewiny.

Mistrzynie Annelie wpadła do pokoju w obstawie dwóch uzbrojonych po zęby Protektorów. Joachim uniósł brwi na ich widok, ale nie skomentował.

– Nasz Caldan właśnie natknął się w mieście na buntowniczkę – rzekł za to bezceremonialnie. – Twierdzi, że zamierza ona przysporzyć nam jeszcze więcej kłopotów za pomocą zakupionych u zegarmistrzynie rzemysłniczych materiałów.

Annelie zmarszczyła brwi, wymierzając Caldanowi karcące spojrzenie.

– Co ty robiłeś u zegarmistrzynie? – spytała, ale zaraz podniosła rękę. – Nie, stop, później mi powiesz. Gdzie jest teraz Dzwonki?

Caldan zrelacjonował całe spotkanie, podkreślając fakt, że nie uświadomił sobie, że to była Dzwonki, dopóki nie wyszła i nie zabarykadowała drzwi rzemysłiwem.

– Ona coś kombinuje – zakończył.

– Cóż, to raczej oczywiste – skwitowała Annelie. – Ale co? Jest w obcym mieście, kryje się przed naszymi grupami poszukiwawczymi, choć najwyraźniej nie powstrzymało jej to przed kręceniem się po mieście w biały dzień. No i musi wiedzieć, że

zmierzają tu cesarskie wojska. Bo każdy już wie. Co ona może zyskać, zostając w mieście?

– Bardzo dobre pytanie – powiedział Joachim. – Ale odpowiedzi nie uzyskamy, dopóki jej nie złapiemy. Możemy jednak poważnie się na pewne przypuszczenie.

– Jakże? – Annelie zmarszczyła brwi.

– Nie kryłaby się na wrogim terenie, nie mając ku temu dobrego powodu. W tej chwili mogłaby już być kawał drogi stąd w kierunku Anasomy. To mało prawdopodobne, że ma w Starorzeczu do załatwienia jakieś osobiste sprawy, więc strzelam, że jej pobyt tutaj ma coś wspólnego z Kołczanami lub nadchodzącym cesarskim wojskiem. Gdyby uderzyła w jedno lub w drugie, byłoby to korzystne dla Indryallan.

– Ale przecież zabezpieczamy się przed magią zniewalającą – wykrzyknęła Annelie. – Mistrzowie nieustannie przepatrują miasto, a ponieważ sami ograniczyliśmy czarowanie do niezbędnego minimum, raczej nie przegapią żadnej magicznej aktywności. Powiadomiliśmy Kołczany, podwoiliśmy ich patrole. Nie wiem, co mogłaby im zrobić, zwłaszcza w pojedynkę.

– A więc chodzi o armię cesarza – powiedział Caldan. – Co ma wiele sensu.

Joachim i Annelie wpili się w niego wzrokiem.

– Po ucieczce Dzwonków – mówił dalej Caldan – zastanawiałem się, czy nie grała na czas, gdy my wieźliśmy ją tam, gdzie chciała. To tylko przeczucie, ale... jeśli ktoś planuje zaatakować przeciwnika, to czy nie czeka na odpowiedni moment, żeby zadać jak największe obrażenia?

Joachim chrząknął.

– Chcesz powiedzieć, że ona zamierza zaatakować cesarza?

Caldan kiwnął głową.

– Przecież to jakieś wariactwo – skwitowała Annelie.

– Tak – odparł Caldan. – Ale tylko dla nas. Myślimy, że ona nic nam nie zrobi, bo mamy się na baczności. Tyle że ona może mieć

zupełnie inne zdanie na ten temat. A kto wie lepiej od niej samej, do czego jest zdolna?

– Słusznie – mruknął Joachim. – Musimy powiadomić cesarza. Annelie, czy masz na podorędziu posłańca? Jak najszybszego?

Kiwnęła głową.

– Morkel.

– Dobrze. I zbierz pozostałych mistrzów. Przez jakiś czas nasze siły będą rozciągnięte, ale chcę, żeby wszyscy skupili się na tej sprawie. Dopóki cesarz i arcymagowie nie zostaną powiadomieni o sytuacji, nie będą mogli wysłać posiłków i sami zadbać o siebie. Masz. – Joachim wyciągnął monetę z sakiewki. Była czarna, jakby spalona. – I dawaj tu tego Morkela.

Caldan i Annelie wymienili zdziwione spojrzenia. Arcymag spostrzegł to i pospieszył z wyjaśnieniem:

– To rzemyśliwo, które z nim zestroję. Każdy arcymag od razu pozna, że jest moje, a wtedy posłaniec w mig trafi przed radę cesarską. Bez tego przedmiotu nikt nie będzie go słuchał.

– Pójdę go poszukać – powiedziała Annelie i wybiegła z pokoju, a za nią świta.

Caldan patrzył, jak wychodzi, a potem spojrzał na Joachima.

– Dzwonki może i nie zdoła użyć na nas magii zniewalającej, skoro jesteśmy przeciwko niej zabezpieczeni, ale jej magia destruktywna bez trudu poradziła sobie z moją tarczą. Jej czary są o wiele groźniejsze od naszych, a jej rzemyśliwa to dla mnie zagadka.

– To jedna z tych rzeczy, których się obawiam – powiedział Joachim z ponurym wyrazem twarzy. – Żaden samowolny mag nie stanowi wyzwania dla Protektorów, o nas, arcymagach, nie wspominając. Lecz Indryallanie dowiedli już, że ich zdolności przewyższają nasze. Jak tego dokonali? W końcu się dowiemy. Jeśli tylko nie pozwolimy się zanadto pokiereszować.

– Ale jak my się możemy przed nimi obronić? Oni znają jakąś metodę koncentrowania magii. Gdybym nie zobaczył tego na własne

oczy, sam bym nie uwierzył, ale... płomienie na murach Anasomy... Destruktywna magia, którą skierowała na mnie Dzwonki...

– Zachowaj to wszystko dla siebie – ostrzegł go Joachim. – Jeśli znaleźli sposób na wyłonienie porządku z chaosu ich studni w formie destruktywnej magii... Nie widzieliśmy niczego podobnego od Zdruzgotania. A nie muszę ci mówić, co się wtedy stało. Na szczęście nie cała wiedza z tych czasów przepadła.

– Protektorzy.

Joachim skierował na niego beznamienne spojrzenie.

– Tak.

Jednak coś tu dalej nie gra, główkował Caldan. Bo gdyby mieli wiedzę, to byliby w tej dziedzinie bieglejsi, niż są, prawda? Ta myśl doprowadziła go do innej, mroczniejszej: czy cesarz i jego arcymagowie zawłaszczyli magię, z pomocą Protektorów broniąc dostępu do niej zwykłym ludziom? W jakiś wykolejony sposób miało to sens, a Caldan zastanawiał się, czy magia destruktywna jest aby taka zapomniana, jak się wszystkim wydaje. I jak twierdzi Joachim.

Czy on w ogóle może wierzyć w choćby jedno słowo tego człowieka?

Arcymag przyglądał mu się, a Caldan zorientował się, że marszczy czoło, zdradzając mu kierunek swoich myśli. Szybko odzyskał kontrolę nad twarzą i odpowiedział na spojrzenie Joachima. Patrzyli na siebie przez jakiś czas, a potem ku zdumieniu Caldana Joachim odezwał się pierwszy.

– A, zanim zapomnę – rzucił swobodnym tonem. – Prawie o tym zapomniałem. Czy twoi rodzice nie mieli czasem jeszcze jednego pierścienia? Wyrzeźbionego z kości?

Caldan oparł się potrzebie dotknięcia talizmanu schowanego za koszulą. Zamiast tego udał zdziwienie.

– Nie.

– Na pewno? A czy widziałeś taki kiedyś? Może ukrywali go przed tobą?

– Byłem tylko dzieckiem, kiedy... zginęli. Do swoich ostatnich dni w klasztorze nie widziałem nawet tego pierścienia tutaj – rzekł,



unosząc rękę. – Jeśli go ukryli, to wciąż jest ukryty... Albo może spłonął w pożarze, który ogarnął mój dom.

Joachim wzruszył ramionami, pozornie nieprzejęty, a Caldan nagle nabrał ochoty, żeby mu przyłożyć. Jakby wzruszał ramionami na śmierć moich rodziców, pomyślał. Sączył w duchu jadowite myśli, gdy Joachim powiedział:

– Nieważne. To było inne rzemyślenie, które wypożyczył im cesarz. Poleciał mi odzyskać również i to.

W takim razie dlaczego Joachim nie wspomniał o nim od razu?

– Nie mogę ci pomóc – odparł Caldan. – Nic nie wiem o żadnym kościanym pierścieniu.

Wtedy otworzyły się drzwi i wśród szelestu szat weszła do środka Annelie, a za nią Morkel i strażnicy. Joachim gestem przywołał do siebie gońca i pokazał mu czarną monetę.

– Nic się nie martw – powiedział uśmiechnięty. – Nie będzie bolało.



– To on – cicho powiedziała zza jego pleców Dzwonki. – To ten człowiek.

Przycupnięty na dachu Amerdan wpatrzył się we frontową bramę protektorskiej twierdzy. Przejeżdżał przez nią na gniadym koniu smukły Protektor o zaciętej twarzy, dźwigający więcej broni, niż potrzebuje kompetentny wojownik, w tym łuk. Amerdan uśmiechnął się szyderczo i dotknął noża, jedynej broni, jakiej kiedykolwiek używał i potrzebował. Praca w bezpośrednim kontakcie dawała mu więcej satysfakcji.

– To jeden z tropicieli, który zwęszył nasz ślad. Po tym, jak Caldan mnie zauważył, byłam pewna, że kogoś wyślą.

– Twój ślad – poprawił Amerdan, a Dzwonki skrzywiła się na niego.

Świerzbiła go ręka, by rozpruć ją tu i teraz, ale nie... Jeszcze nie... cierpliwości. To nie jest właściwa pora, zresztą nic jeszcze nie jest, jak być powinno, a poza tym nie było znaku. Poczuł, jak Kropka przypomina o sobie, poruszając się za jego koszulą. Dzwonki mieszała mu w głowie. Lubił swoje samotnicze życie, a teraz wszystko się zmieniło i było mu to wybitnie nie w smak. Poleganie na innych robiło z człowieka słabeusza. Czarodziejka była niegodna zaufania. Ten drugi, Caldan, lepiej się sprawi jako nauczyciel. I sam był sierotą, tak jak Pieter i Annie. I Amerdan też. Odpędził tę myśl, nim przypomniła mu więcej.

Dzwonki zamknęła oczy, a Amerdan przyjrzał jej się z bliska. Poczuł mrowienie, które oznaczało, że czarodziejka otworzyła studnię. Mentalnie podrapał się w mózg, czując wzbudzające się swędzenie. Tym razem poczuł się tak, jakby jego myśli ugrzęzły w bagnie. Uśmiechnął się szeroko. Miał ostatnimi czasy sporo powodów do śmiechu.

– Tak – wyszeptała Dzwonki. – Ma coś przy sobie.

Swędzenie ustało, a ona otworzyła oczy. Patrzyli na jeźdźca, który ruszył ulicą i zniknął za rogiem.

– Mówisz? Jakieś rzemyśliwo? – spytał Amerdan.

– Tak. Amulet albo medalion, coś małego. Ma to przy sobie w jakimś bezpiecznym miejscu.

– I to pomoże mu spotkać się z doradcami cesarza?

– Najprawdopodobniej. Na pewno z arcymagami.

– Rozumiem – wymruczał Amerdan.

– Nie mogę pójść za nim sama, bo nie zdążę na czas z rzemyśliwami. Ty będziesz musiał to zrobić.

– Tak jak obiecałem. – Amerdan obrócił się i zsunął kilka stóp z dachu. – A ty obiecujesz, że naprawisz moje studnie?

– Tak, tak. Tylko przynieś mi to rzemyśliwo. Jest bezużyteczne, jeśli z nikim niezestrojone, a w dodatku ma zabezpieczenia, na wypadek gdyby ktoś chciał przy nim gmerać.

Amerdan kiwnął głową, przewinął się przez krawędź dachu, zawisł nad aleją, a potem puścił się i opadł na ziemię, powierzając

czarodziejce obserwację Protektorów.



Amerdan ziewnął. Westchnąwszy, zmienił ułożenie ciała na konarze i podrapał się w nogę. Szorstka kora wbijała się w łydkę, przez co było mu niewygodnie. Przed oczami miał rękojeść wbitego w drzewo sztyletu. Czekał.

Wyciągnął szyję i powiódł wzrokiem po ścieżce na drugą stronę strumienia.

Protektor nie spieszył się z pojeniem konia i wypełnianiem bukłaków. Nawet zatrzymał się wysikać w wysokiej trawie.

Głupiec. Czy nie posłano go na niecierpiącą zwłoki misję? Czy nie miał czasem ostrzec cesarza? Dzwonki powiedziała, że to właśnie robią. Chyba powinien się spieszyć? Nie do końca rozumiał, dlaczego ten człowiek tak działa mu na nerwy, zwłaszcza że planował go zabić. Chyba po prostu drażniła go podobna niekompetencja.

Amerdan ogarnął wzrokiem zarośla poniżej swojej kryjówki, szukając dogodnego miejsca. Kawalek od drogi wypatrzył tylko powalone drzewo. Lepszy rydz niż nic. Wolałby mieć więcej czasu na przygotowania... ale Amerdan był zaradny i potrafił improwizować. To jedna z rzeczy, które wyróżniały go z tłumu.

Z zamyślenia wyrwało go prychnięcie konia. Na ścieżce zastukały kopyta. Dźwięk narastał. Mężczyzna, teraz już konno, znajdował się coraz bliżej.

Amerdan ujął nóż.

– Jeszcze nie teraz... – mruczał. – Już za chwilę.

Koń prychnął znowu, dokładnie pod nim, i Amerdan, wyciągnąwszy nóż z drzewa, zwiesił się z gałęzi i opadł na ziemię jak kamień.

Wylądował na końskim grzbiecie tuż za siodłem, rozłożywszy nogi, by błyskawicznie objąć nimi jeźdźca w pasie. Zacisnął mu

ramię na gardle, a potem szybko ugodził go pięć razy.

Mężczyzna zabalgotał, a koń szarpnął się w bok, wystraszony przez drugi ciężar, którego się nie spodziewał. Gdy ofiara zwiotczała, Amerdan ujął cugle i powiodł wierzchowca naprzód. Po drugiej stronie zwałonego drzewa zsunął się z siodła i zwlókł ofiarę na ziemię, gdzie zakaszlała wątle, drapiąc rękami grunt.

Bez błędnie. Jak zwykle.

Usiadł na tym czymś, unosząc nóż. Drugą ręką ujął swój okrągły talizman i ścisnął go w pięści. Spomiędzy palców dobyło się przyćmione światło. Amerdan zadygotał. Jego skóra obsypała się gęsią skórką. Włoski na przedramionach stanęły dęba.

Za koszulą poruszyła się Kropka, która chciała popatrzeć.

– Sza – powiedział do niej. – Wiem. Wiem, że od ostatniego razu upłynęło wiele czasu.

Amerdan rozpoczął swoją pracę, a powietrze wypełnił zapach krwi; metaliczny, upajający.

Spłoszone ptaki zerwały się do lotu, gdy naczynie zawyło z rozpaczy, wiedząc, że coś bezpowrotnie traci.



Dwa razy dziennie Dzwonki wyciągała jedno ze swoich rzemyśliw i przez kwadrans trzymała je w ręku z zamkniętymi oczami. Kiedy Amerdan ją wypytywał, odpowiadała, że tylko odpoczywa, regeneruje się po trudach czarodziejstwa. Widział, że jest zmęczona. Widział, jak mało śpi, nie chcąc marnować czasu, który mogła poświęcić na pracę nad rzemyśliwami, odpędzając znużenie kawą i herbatą.

Wiedział też, że go okłamuje. Potrafił to wyczuć. Fałsz i przebiegłość płynęły w żyłach wszystkich czarodziejów. Wiedział o tym doskonale.

Gdy wrócił do ich zwykłego mieszkania w zwykłym mieście, znowu „odpoczywała” z rzemyśliwem w ręku. Klitka cuchnęła jak

burdel i choć raz po raz przecierał meble i zmywał podłogę, nie mógł pozbyć się tej ohydnej woni. Ale musiał sprzątać dalej, inaczej mieszkanie tutaj wkrótce stanie się nieznośne. Zapłacił właścicielowi za tydzień z góry, ale Dzwonki przewidywała, że będą musieli zostać dłużej. Nie lubił tego zawieszenia w próżni, tej niepewności. Nie znosił też polegać na innych. Ludzie nie byli godni zaufania i ostatecznie zawsze zawodzili.

Czekając, aż czarodziejka otworzy oczy, Amerdan zajrzał do spizarki. Jej zawartość przedstawiała się mizernie: resztkę chleba, garść orzechów i suszonych owoców. Zaburczało mu w brzuchu i niemal zdecydował się wyjść, by skombinować sobie porządny posiłek. Po wchłonięciu naczynia zwykle morzył go głód i lubił roztrwonić nieco dukatów na jedzenie z prawdziwego zdarzenia oraz wino. Przypominały mu one, jak daleko zaszedł od czasów, gdy był zabiedzonym ulicznikiem.

Nieistotne. Wiedział, że czarodziejka powinna niebawem wybudzić się z transu, zaczeka więc i da jej monetę, a potem pójdzie coś zjeść. Wyjął rzemyśliwo i mu się przyjrzał.

Jak taka niepozorna rzecz może w rzeczywistości być przepustką do najwyższych kręgów władzy w cesarstwie? Ludzi obdarzonych największą mocą i władzą. Dzwonki powiedziała mu, że gdy naczynie zostanie zabite, rzemyśliwo nie będzie już z nikim zestrojone i każdy cesarski czarodziej zorientuje się, że moneta została skradziona.

Skrzypnęło drewno, kiedy czarodziejka poprawiła się na krześle. Poruszyła ustami, wypowiadając jakieś słowa, których Amerdan nie zrozumiał. Dotąd tego nie robiła. Czy ona mówiła do kogoś? Chwilę później uniosła powieki i skupiła wzrok na Amerdanie. Przetarła oczy i dłonią stłumiła ziewnięcie.

– Masz?

– Mam.

Rzucił jej czarną monetę. Dzwonki schwyciła ją zręcznie, a umysł Amerdana zaświerzbiał, gdy otworzyła studnię.

Skrzywiła się, pocierając pieniądź pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym.

– Moneta. A to ciekawe. To... – urwała i spojrzała na niego zmieszana. – Zabiłeś go, no nie?

– Tak.

– Ale ona wciąż jest zestrojona. Nie mogłeś go zabić.

– Zabiłem – powtórzył dobitnie. Nie przywykł, aby podawano jego słowa w wątpliwość, a zwłaszcza żeby robiła to czarodziejka.

– Pozwól, że sprawdzę. Coś jest nie tak.

Dzwonki wciąż wpatrywała się w monetę, marszcząc brwi, a potem zerknęła na Amerdana.

– Coś ty zrobił? – dziwiła się. – Jak ty zabiłeś tego Protektora?

Poklepał nóż przy pasie.

– Tym. Za późno mnie zauważył.

– To przecież... – Przerwała, gryząc wargę. – On wciąż jest zestrojony, tylko że z tobą. Jak to możliwe?

To pewnie przez mój talizman, uświadomił sobie Amerdan. Gdy pochłonął zawartość naczynia, połączenie z rzemyśliwem przeszło na niego. Czy to oznaczało, że moneta jest teraz dla Dzwonków bezużyteczna? Czy mógł wykorzystać ten obrót wypadków na swoją korzyść?

Wzruszył ramionami.

– Pojęcia nie mam. Chyba mam szczęście. Zdołasz jej jeszcze użyć?

Kręcąc głową, Dzwonki zmeła przekleństwo.

– Wciąż powinna zadziałać jako przepustka.

Zakłęła znowu tak, że Amerdanem aż wstrząsnęło. Wyobraził sobie, jak obcina jej ten plugawy język.

– Ale dostałaś, o co prosiłaś, więc teraz czas na rewanż.

– Muszę teraz skorygować moje plany, ale gdy tylko skończę rzemyśliwa, będę miała więcej czasu dla ciebie. Wierz mi, sama chcę się przekonać, co jest z tobą nie tak i dlaczego masz więcej niż jedną studnię.

Jego niecierpliwość wzbudziła jej irytację i Amerdan zacisnął pięści. Cudem powstrzymał się przed ukatrupieniem czarodziejki

gołymi rękami. Zamiast tego przywołał na usta uśmiech.

– Rozumiem, ale i ty zrozum, dlaczego nie mogę się już doczekać. Nigdy nie myślałem, że będę czarodziejem.

Dzwonki prychnęła w odpowiedzi.

– Nawet jeśli odblokuję obie twoje studnie, wciąż daleka droga będzie cię dzielić od tego miana. Czarodziejstwo wymaga długiego szkolenia i dyscypliny.

– Ty możesz mnie szkolić.

– Albo jakikolwiek inny czarodziej. Tak. Gdy to wszystko już się skończy i ruszymy wreszcie do Anasomy, będziemy mieli na to mnóstwo czasu. Tam powierzymy twoje szkolenie nauczycielom lepszym ode mnie. To znaczy jeśli uda mi się odblokować twoje studnie.

– Dziękuję – rzekł Amerdan. – A teraz powiedz, nie przekąsiłabyś czegoś? To był długi dzień, umieram z głodu.



**V**asil odtoczył się na bok drogi i zwrócił śniadanie. Nogi nie chciały go nieść, kolana miał jak z galarety; opadł na ziemię, wycierając usta rękawem.

– No chodź, sędzio – szydził Chalayan. – Jak będziesz mitrężył, to cię zjedzą. To wszystko, o czym musisz pamiętać.

Vasil strzelił do niego jadowitym spojrzeniem, na nic więcej nie było go stać. A czuł potrzebę dobitniejszego wyrażenia tego, co myślał o czarodzieju. Jego koń zaczął dreptać w swoją stronę, więc Vasil dzwignął się i chwycił ciągnące się po ziemi wodze. Gdyby kłacz odbiegła, po tylu dniach ucieczki przed jukarami i vormagami Vasil nie miałby sił jej gonić. Biegł, jechał, szedł i znowu jechał... Godziny zlewały się w jedną masę nierozróżnialnych nocy i dni.

Trzymając wodze tak mocno, jak tylko mógł, leżał na ziemi z załzawionymi oczami.



– Wstawaj – rozkazał Aidan, stając wysoko nad nim.

– Daj mi chwilę – wyskrzeczwał Vasil.

– Te chwilki kumulują się w jedną długą chwilę i ani się obejrzyysz, jak minie pół dnia.

– Chwila odpoczynku... błagam. – Vasil zacisnął powieki i łzy spłynęły mu po policzkach. Przeklęty pył... Zamrugał raz, drugi.

Aidan nie wydawał się zadowolony, gwizdnął jednak na Chalayana i cel Raua, którzy nie zatrzymali się, by sprawdzić, co to za przestój tam z tyłu. Vasil westchnął z ulgą, słysząc ich zbliżające się kroki. Słyszał opowieści o jukarach i o tym, co robili ze swoimi ofiarami. Bał się ich. Pośród swoich towarzyszy, zaprawionych weteranów, czuł się jak pół mężczyzny. Był pewien, że gdyby mogli, zaraz porzuciliby go tu, w tym pyle i spiekocie.

Nie, był wobec nich niesprawiedliwy. Jak dotąd traktowali go po ludzku, nawet mimo swojej żołnierskiej surowości. Silne ręce ujęły go za ramiona i podniosły do siadu.

– Dziękuję, dziękuję – wyszeptał cicho. – Nie zostawiajcie mnie tu. Odpowiedzią na to wyznanie słabości był śmiech.

– Nie zostawimy cię, póki jeszcze dychasz – rzekł Aidan. – Ale lepiej, żeby od wysiłku stanęło ci serce, niż żebyś spowolnił i naraził na śmierć nas wszystkich.

– Na konia z nim – powiedział Chalayan. Choć raz nie mówił, jakby pluł w Vasila gwoździemi.

Cel Rau zrobił grymas.

– Szkapa zaraz padnie.

– Mówią, że zwierzę upodabnia się do swojego pana – zażartował Chalayan.

– Nic nie poradzimy – powiedział Aidan. – Chyba w końcu trzeba je będzie tu zostawić. Więc to bez znaczenia, która padnie pierwsza.

Ot i żołnierska surowość, skwitował w myślach Vasil.

Podnieśli go na nogi i stękając z wysiłku, posadzili w siodle. Vasil popatrzył po nich i podziękował skinieniem. Bez słowa ruszyli naprzód wolnym, znojnym krokiem, starając się jakoś zaoszczędzić siły na wypadek pogoni. Vasil wiedział, że może przyjść taki czas,

gdy chwila galopu ocali im życie, i to wtedy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zostawią go na pastwę losu.

Siedział na końskim grzbiecie, zbierając siły, i zauważył, że całe ciało jego wierzchowca pokrywa zaschnięty pot. Od wielu dni nie mieli czasu porządnie zadbać o zwierzęta.



Z zaciśniętymi zębami zsunął się z siodła, stękając z bólu, gdy ugięły się pod nim kolana. Nawinął sobie wodze na rękę i zrobił krok naprzód, wlokąc w pyłe nogę za nogą. Tłumiąc zbolące jęki, potoczył się za trzema towarzyszami.

– Odbiliśmy dość daleko, żeby zaryzykować parę godzin odpoczynku.

Vasil nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Słowa nie przebiły się przez jego odrętwienie, dalej więc sunął naprzód ze wzrokiem wbitym w ziemię, gapiąc się tylko na kolejne miejsce do postawienia stopy.

– Vasil – warknął Aidan, ściągając go z powrotem na ziemię.

– Nie siadałem na konia – charknął sędzia.

– Wiem. Swój chłop. Poczekaj tu, my sprawdzimy jaskinię.

Aidan odszedł, a Vasil podniósł głowę i rozejrzał się. Nieopodal szemrał strumyk; Chalayan prowadził do niego trzy konie, a po jego lewej stronie Aidan i cel Rau dobyli mieczy, stojąc u wlotu wrzynającej się w skalną ścianę jaskini. Za sobą Vasil widział tylko las. Musieli opuścić kamieniste równiny jakiś czas temu. Nawet nie wiedział kiedy.

Zadrżał, gdy owionął go zimny powiew, chłodząc zlane potem ciało. Dzień miał się ku końcowi, a cienisty las był po ostatnich dniach jak błogosławieństwo. Całe ciało miał gorące, nawet jeśli przepocona, zimna koszula lepiała mu się do skóry. Czuł się na granicy omdlenia. Stopy go bolały, jakby ktoś walił w nie młotem,

a reszta nóg płonęła żywym ogniem. Odkasznął raz i drugi, a potem splunął brązową śliną. Nawdychał się pyłu.

Aidan i cel Rau zniknęli w mrocznej jaskini. Odczekał kilka chwil. Chalayan nie wydawał się zaniepokojony, więc Vasil pociągnął za wodze i ruszył do czarodzieja, który pozwolił koniom pić, sam moczając bosa nogi w chłodnej wodzie.

Klacz Vasila wyprzedziła go, również chcąc ugasić pragnienie. Puścił wodze i pozwolił jej dołączyć do pozostałych zwierząt.

Opadł na ziemię obok Chalayana i zdjął buty, obnażając napuchnięte, czerwone stopy poznaczone odciskami. Z westchnieniem bezbrzeżnej ulgi zanurzył je w strumieniu.

– Przed wyruszeniem w drogę owiń nogi materiałem, nawet zapasową koszulą. Bo inaczej nie włożysz butów z tymi odciskami i opuchlizną.

Vasil skinął głową, bojąc się dobyć głosu. To były pierwsze dobre słowa, jakie czarodziej wypowiedział do niego od dłuższego czasu. Czy może w końcu zaczynał się do Vasila przekonywać?

– Kiedy już oczyszczą jaskinię, rozłożymy się tam i odpoczniemy trochę – mówił dalej czarodziej. – Ale niedługo. Jeszcze nie możemy odpuścić. Zatrzymaliśmy się głównie po to, by odsapnęły konie. Na nic się nie przydadzą, jeśli zaraz nam tu wyzdychają. Zostawię trochę rzemyśliw, które ostrzegą nas, jeśli coś się zbliży.

Vasil milczał, zadowolony, że Chalayan wziął trudy rozmowy na siebie. Chyba musiał do kogoś pogadać, żeby się odprężyć.

Ktoś trącił Vasila w ramię.

– Co? Co jest? – mruknął sędzia, przecierając zaropiałe oczy.

– Zasnąłeś. Chodź, pomóż im urządzić się w jaskini, podczas gdy ja będę... – mag wykonał ręką nieokreślony gest – robił swoje.

Jęcząc, Vasil dźwignął się na nogi, które wciąż rwały tęnym bólem. Popatrzył na odchodzącego z końmi Chalayana, a potem sam ruszył za nim, stękając co krok. Woda pomogła uśmierzyć ból, ale teraz każdy kontakt z podłożem kosztował go wiele, nawet gdy stąpał ostrożnie po miękkiej ziemi.

W jaskini zebrał się w sobie i dołączył do Aidana i cel Raua, którzy ściągnęli do wlotu grube gałęzie, postawili je pionowo i zaczęli przeplatać mniejszymi gałązkami. Po przywleczeniu do jaskini z szermierzem szczególnie ciężkiego pnia Vasil zrobił krótką przerwę na oddech.

– Wznosimy barykadę, bo spodziewamy się kłopotów, zgadłem? – spytał.

Wojownik pokręcił głową.

– To tylko ostrożność.

– Nigdy nic nie wiadomo – powiedział Aidan. – Spodziewaj się najlepszego, ale gotuj się na najgorsze. Caitlyn zawsze... – urwał i spojrzał gdzieś w bok.

Cel Rau zerknął na Aidana, lecz zmilczał, wtykając więcej patyków między gałęzie. To jakaś ich wspólna znajoma?

– Co za Caitlyn?

– Była wspaniałą kobietą, która zbyt głęboko zajrzała w otchłań – odrzekł Aidan. – Była naszą dowódczynią.

– Ale już nie jest?

– Zginęła...

Najwyraźniej Aidan wolał zachować tę historię dla siebie. Vasil przypomniał sobie, że gdy się pierwszy raz spotkali, Aidan opowiedział Gazii o okolicznościach objęcia przez siebie dowództwa.

– Jak?

Dowódca zgromił sędziego wzrokiem. Jego nozdrza poruszały się, wciągając i wyrzucając powietrze. Patrzyli na siebie, a cel Rau pracował niezrażony.

– Niech cię szlag trafi z tym twoim talentem – syknął w końcu dowódca. – Zabiłem ją.

Vasil uniósł przepaszająco rękę.

– Wybacz. To musiało być straszne. Ale na pewno miałeś powód.

– Powody niczego nie ułatwiają.

– Czasem tak.

– A czasem nie.

Coś w jego tonie utwierdziło Vasila w przekonaniu, że Aidan nie darzył zabitej przez siebie kobiety jedynie szacunkiem. Postanowił wycofać się z rozmowy.

– Przepraszam, nie chciałem wtykać nosa w nie swoje sprawy.

– Ależ chciałeś. Od tego jesteś, no nie, sędzio?

Vasil zawahał się, a potem wolno pokiwał głową.

– Właściwie to tak. To chyba jeden z aspektów mojej klątwy. Potrzeba dokopania się do prawdy, przedarcia przez fasadę, nawet za cenę czyjegoś cierpienia. – Spojrzał gdzie indziej, wciąż łzawiąc od pyłu.

– To właśnie to odepchnęło ją ode mnie.

– Kogo?

– Nieważne. Przeszłości nie zmienisz.

Gdyby tylko nie naciskał, chcąc odkryć tajemnice tej przeszłości. Ale jak mógł odpuścić, wiedząc, że Aidan go okłamuje? Niektórych kamieni lepiej nie odwracać. Vasil rozejrzał się za patykami, ale wykorzystali już wszystkie, które przynieśli.

– Pójdę po chrust.

– Nie – zabronił Aidan. – Dziś nie palimy ogniska.

– No pewnie – westchnął Vasil.

– Rozkulbaczaj konie, ja pomogę cel Rauowi. Potem możesz odpocząć.

Vasil wolno skinął głową, wiedząc, że konie są tak samo zmordowane jak on, jeśli nie bardziej. A bez nich byli praktycznie martwi. Poza tym zdążył je polubić. Nie potrafiły kłamać.



– Uch! – Zbudzony Vasil z trudem powrócił do rzeczywistości, czując na ustach czyjąś dłoń i coś ostrego wbijającego się w żebra. Zamrugał i wtedy zmaterializował się nad nim mroczny zarys Aidana z palcem przy wargach, nakazującym ciszę.

– Ani słowa – wyszeptał dowódca na granicy słyszalności.

Vasil chciał coś powiedzieć, ale zaraz usłyszał końskie rzenie. Chwyciła go zimna trwoga. Skrzyżował spojrzenie z Aidanem i przytaknął, a dowódca odjął rękę i popędził ku wyjściu z jaskini. Cel Rau i Chalayan wyglądali przez luki w barykadzie.

Vasil stoczył się ze swojego koca na gołą ziemię i wymacał miecz, który który mu dali. Minęło tak wiele czasu, odkąd ostatni raz miał w ręku broń, że aż dziwnie leżała w dłoni. Wstał i poszedł tam, gdzie pokazał Aidan, poruszając się jak najciszej.

Chalayan posłał mu karcące spojrzenie, a potem szepnął do dowódcy:

– Coś minęło punkt na drodze, gdzie zostawiłem rzemyśliwo.

– Na pewno?

– Tak.

– Czy to mogło być zwierzę?

Mag zaprzeczył ruchem głowy.

– Jeśli tak, to wielkie. – Chalayan pocił się, choć w jaskini było chłodno. Nim podjął, osuszył spotniałe dłonie, wycierając je o spodnie. – Za nic nie wolno nam stracić koni.

– Wiesz, ilu ich tu idzie?

– Nie. Ale gdzie jest jeden, tam jest ich wielu.

Przerażone rzenie zabrzmiało w ciemności, konie zaczęły prychać i drobić w miejscu.

Aidan zaklął i dobył miecza.

Chalayan złapał go za rękę.

– Nie wiemy, jak są liczni. I czy aby nie mają ze sobą vormaga.

Przerażony Vasil pożałował, że wcześniej nie wypytał czarodzieja o vormagów, choć przecież po drodze tutaj miał na głowie co innego. Aidan strącił z siebie rękę Chalayana.

– Jak sam powiedziałaś, jeśli stracimy konie, to już po nas.

Nie wiedzieć kiedy cel Rau dobył obu swoich mieczy i teraz wiercił nimi przejście w barykadzie, chcąc przedostać się na zewnątrz.

– Ja drugi – zadeklarował Aidan. – Potem Chalayan, a potem ty, Vasil.

Gdy nogi szermierza zniknęły w dziurze, na drugą stronę zaczął przeciskać się Aidan.

– Po co w ogóle ta barykada? – syknął Vasil do czarodzieja, który właśnie jedną ręką gorączkowo przeszukiwał kieszenie, a w drugiej ścisnął swój amulet na szyi.

– To na wypadek, gdybyśmy zostali otoczeni – wyjaśnił Chalayan.

– Ale jeśli na zewnątrz jest ich aż tylu, że zagonią nas w kozi róg, to przecież jesteśmy bez szans. Tylko odwleklibyśmy nieuniknione.

Chalayan klęknął przy dziurze, gdy Aidan przeszedł już przez powiązane gałęzie.

– Nie rozumiałeś mnie. Barykada nie jest po to, żebyśmy mogli się bronić. Jest po to, żebyśmy zdążyli się zabić, zanim nas dorwą. – Z tymi słowy czarodziej zniknął w mroku.

Vasil zacisnął powieki i jęknął. Wziął kilka głębokich wdechów i zacisnął drżące dłonie. Przełknął ślinę, przerzucił miecz przez dziurę i ruszył, by dołączyć do towarzyszy. Gdy znalazł się poza jaskinią, złapał jeszcze wzrokiem cel Raua po lewej stronie oraz skrytego za krzakami po prawej Aidana. Chalayan siedział pochylony nad stertą kamieni, których powierzchnię pokrywały runy, i mruczał coś pod nosem.

Vasil szedł przy ziemi, ściskając miecz w dłoni i starając się przeniknąć wzrokiem ciemność.

Nagle konie spłoszyły się jak na komendę i szarpnęły wodze, którymi były przywiązane do drzew. Patrzyły wybałuszonymi oczami, prychając ze strachu, i skupiły się po prawej stronie. A więc zagrożenie nadchodzi z lewej.

Na przodków, jeszcze nigdy tak bardzo nie chciało mu się sikać. Gdzie są cel Rau i Aidan, kiedy są potrzebni? Z głębi nocy poniosły się ku nim odgłosy szamotaniny, a potem zabrzmiał skowyt, który urwał się nagle, zostawiając po sobie dzwoniące w ciszy echo.

Vasil mocniej chwycił miecz.

– Co ja mam robić? – powiedział cicho sam do siebie.

– Najlepiej nic – odpowiedział niespodziewanie Chalayan. – Po prostu czekaj.

Mag zerwał się z miejsca i porozrzucił po polanie swoje kamienie, potoczył jeden tam, gdzie stały konie, po czym wrócił szybko do Vasila.

– Teraz! – komenda Aidana rozdarła noc.

Chalayan wyrzucił ramiona w górę.

W ciemności zajaśniała seria oślepiających eksplozji. Vasil przysłonił oczy i zamrugał, chcąc pozbyć się spod powiek powidoków.

Zewsząd dobiegało warczenie i sędzia, choć bał się jak nigdy, zmusił się, aby spojrzeć.

Naokoło jaskini zwisały z drzew czarodziejskie kule, oświetlając las. Chalayan musiał coś zrobić, by świeciły jaśniej niż normalnie... a jeśli oślepiły Vasila, to z pewnością również to coś, co czało się na nich między pniami.

Cel Rau wydawał się nimi nie przejmować; Vasil patrzył, jak biegnie na polanę, przeskakując zwalone drzewo, które było tak wielkie, że nie zdołali dowlec go do barykady. Rozejrzał się i przycupnął nad jednym z runicznych kamieni Chalayana. Z miejsca, gdzie wyłonił się z ciemności, trzasnęły tratowane gałązki i zaszeleściły liście, a potem nad tym samym pniem przeskoczył jakiś wielki kształt.

Jukar.

Potwór zaryczał, a z jego rozdziawionej paszczy kapnęła na ziemię ślina. W ręce trzymał pordzewiały miecz, który w wielkim łąpsku wyglądał raczej jak sztylet. Mrużąc ślepią w jasnym świetle, stwór cofnął się o krok.

Cel Rau syknął na jego widok, ale nie atakował. Czekał na coś. Stwór przebiegł wzrokiem polanę, odnajdując konie, a potem Chalayana i Vasila. W jego oczach błyskała inteligencja, której Vasil nie spodziewał się tam zobaczyć.

Kolejny jukar przedarł się przez krzaki na otwartą przestrzeń. Ujrawszy cel Raua, dołączył do pierwszego potwora. Z tak bliska Vasil widział, że ich szarawa skóra jest poznaczona bliznami tworzącymi linie i symbole na kształt prymitywnych tatuaży.



Szermierz nie ruszył się z miejsca, gdy jeden stwór zrobił kilka kroków w lewo, a drugi w prawo. Zachodzili go z obu stron.

– Nie uciekniesz – zacharczał jukar gardłowym głosem.

Brzmiał osobliwie po ludzku, ale głębiej i groźniej. Cel Rau splunął w kierunku potwora.

– Nie mam zamiaru.

Obaj jukarowie prychnęli śmiechem, który nie miał w sobie nic wesołego. Vasil miał nadzieję, że nigdy więcej nie usłyszy tego dźwięku.

– Nasz pan nadchodzi, wysście szpik z waszych kości.

– Vormag – wysyczał Chalayan trwożliwym głosem za plecami Vasila.

Cel Rau obrócił głowę i skinął szybko do czarodzieja.

– Teraz – powiedział i osadził stopę na kamieniu runicznym.

Jukarowie rzucili się na szermierza i zderzyli z niebieskawą tarczą, która osłoniła go w okamgnieniu. Poniosły się echem wrzaski bólu, gdy magiczna ściana wystrzeliła z kamienia i huknęła w nich z pełną mocą.

Stwory odleciały w tył i upadły na ziemię. Jednej z bestii miecz wysunął się z palców. Tarcza zgasła i wtedy cel Rau ruszył do ataku.

Pomknął naprzód z oszalałą prędkością i wbił miecz w bok wciąż jeszcze uzbrojonego przeciwnika. Stwór zawył i zbulgotał, charknął czarną krwią. Z lasu odpowiedziało im wycie ich pobratymców.

Wojownik podbiegł do drugiego wroga, który bezskutecznie szukał swojego miecza.

Zbyt późno. Cel Rau dwa razy rąbnął go po grzbiecie, a potem poprawił raz jeszcze. Jukar zadygotał, a jego ręka zastygła o jard od zgubionego miecza. Znieruchomiał.

Vasil usłyszał, jak stojący obok czarodziej śmieje się szyderczo.

– Dwaj z głowy – podsumował. – Ale któż wie ilu ich tam jeszcze siedzi, no nie, sędzio? Lepiej mocno trzymaj miecz.

Vasilowi zaschło w ustach.

Aidan wszedł w krąg światła bijący od jednej z kul. Z jego miecza ściekała krew. Potoczył wzrokiem po rozświetlonej polanie i burknął:

– Trzech z głowy.

– Czterech – poprawił cel Rau, pokazując mu tego, którego musiał zabić wcześniej, zanim Vasil zdążył w ogóle opuścić jaskinię.

Chalayan zaklął.

– Czterech to już stado. Może ich być około dziesięciu, a do tego vormag.

– Będziesz musiał jakoś ich odeprzeć – powiedział Aidan. – Wiem, że potrafisz. Widziałem już, jak to robisz.

Chalayan wyłamał palce, oblizując usta i kręcąc głową.

– Wtedy było nas znacznie więcej, a Caitlyn...

– Nie ma jej tu i już nigdy nie będzie – uciął Aidan. – Nie nauczyłeś się od Mazoeta czegoś, co mogłoby się przydać?

– Strzępy zakłęcz, nic konkretnego. Ale pracowałem nad czymś... – Chalayan urwał i pokręcił głową. – Nie, to zbyt niebezpieczne.

– Vasilu – zwrócił się do sędziego Aidan – znajdź jeden z tarczowych kamieni Chalayana i stań na nim, ale tylko jedną nogą. Chalayan musi wiedzieć, kto ich dotyka, żeby odpowiednio pokierować magią. W przeciwnym razie wystrzelisz w powietrze jak tamci jukarowie.

Vasil kiwnął głową i odszukał jeden z kamieni, tak jak mu kazano, a potem nakrył go stopą. Rękojeść miecza ślizgała mu się w palcach i ciągle musiał wycierać dłoń o koszulę.

Cel Rau i Aidan zrobili to samo, podczas gdy Chalayan skrył się zaraz przy barykadzie.

Vasil przełknął ślinę. Wpatrując się w ciemność poza strefą światła, dostrzegł zarysy poruszających się postaci. Za jego plecami trzasnęła gałązka; okręcił się, ale to tylko Aidan korygował pozycję nad jednym z kamieni.

Westchnął z ulgą i obrócił się z powrotem. A przed nim wyłonił się z mroku wielki jukar. Szedł prosto na niego. Przewyższał o głowę dwóch pozostałych, a na jego piersi spoczywały prymitywne

medaliony. W mig skrócił dystans i zamachnął się stalowym młotem, wielkim jak dziecko.

Obuch zatoczył łuk w powietrzu, a potem zaczął opadać. Oczy Vasila zamknęły się same. Zginę... – rozbłysło mu w głowie. Raptem gorąco buchnęło pod jego nogą i zamrowiła go skóra. Świetliste rozbłyski przebiły się przez jego powieki i coś grzmotnęło gdzieś bardzo blisko.

Otworzył jedno oko i zobaczył, że otacza go rozmywające się niebieskie pole siłowe, a jukar leży na ziemi dziesięć kroków dalej, choć wciąż dzierży w ręku broń. Czarna krew ciekła mu z obitego tarczą nosa; stwór warczał i potrzasał głową, nie mogąc zebrać myśli.

– Dobij go! – wysyczał Aidan. – Szybko. Tylko uważaj!

Zbierając całą swoją odwagę, Vasil podbiegł i zamierzył się na jukara mieczem. Ten w ostatniej chwili zasłonił się ramieniem. Miecz wbił się między palce rozcapierzonej dłoni. Potwór ryknął, a potem skupił na nim spojrzenie żółtych ślepi. Vasil zadrżał, gdy jukar przetoczył się na bok.

– No zrób to! – wrzeszczał Aidan. – Zanim wstanie!

Vasil wyprowadził pchnięcie i poczuł, jak jego klinga zsuwa się po medalionie na szyi potwora. Jukar warknął przez zaciśnięte zęby i zamachnął się na Vasila. Ciężka łapa trafiła go w głowę i Vasil padł na ziemię.

Gramoląc się na nogi, jęknął, słysząc, że jukar rusza za nim. Półprzytomny, obrócił się i rzucił do leżącego najbliżej kamienia Chalayana. Gdy jego palce zacisnęły się na rzemyśliwie, szybko odszukał wzrokiem czarodzieja, modląc się, żeby nie okazało się jednorazowe. Wtem sędziego zamrowiła skóra i momentalnie okryła go połyskliwa niebieska tarcza. Vasil puścił kamień i zobaczył, że ta znowu odepchnęła potwora.

Stwór padł na kolana. Tym razem Vasil się nie zawahał i skoczył na jukara z bezgłośnym krzykiem na ustach. Wbił mu miecz głęboko w pierś. Gorąca, czarna krew chlusnęła mu na rękę. Przygwożdżony

do ziemi jukar usiłował sięgnąć go pazurami. Vasil odchylił się, unikając długich szponów.

Powalona bestia znieruchomiała.

Vasil przełknął ślinę, tłumiąc mdłości, i poprawił wściekłym kopniakiem. Potwór nie żył. Vasil jak najszybciej wyszarpnął miecz z trupa. Cofnął się, znalazł inny czarodziejski kamień i nakrył go stopą jak poprzednio.

Chalayan wybuchnął śmiechem.

– Na przodków, sędzio, czy ty nigdy nic nie zabiłeś?

Vasil spuścił wzrok na dłonie utyłane czarną krwią umierającego potwora.

– Nigdy – odparł. – Może cię to zdziwi, ale większość ludzi nie jest oswojona z zabijaniem. – Przymknął na moment oczy, ale zaraz usłyszał z lasu hałakowanie kolejnych jukarów.

Światło czarodziejskich kul wydobyło z mroku stwora o rozwartej zębatej paszczy i z dwuręcznym mieczem, którego Vasil nie zdołałby nawet podnieść. Drugi wyskoczył z ciemności i stanął obok pierwszego, a potem pojawił się trzeci.

Vasil podskoczył, gdy jakaś dłoń wylądowała na jego ramieniu. Cel Rau. Wojownik wskazał głową tarczowy kamień na ziemi.

– Te są moje, sędzio.

Lekko zawstydzony, choć nie wiedzieć z jakiego powodu, Vasil kiwnął głową i poszedł wolno do wskazanego kamienia, nie spuszczać oczu z jukarów.

Na co oni czekają?

Wtedy zza pleców Aidana dało się słyszeć warkliwy pomruk i dwaj kolejni jukarowie wyłonili się z lasu. Tak jak pozostali, ci także się zatrzymali, jakby coś ich powstrzymywało.

Aidan spojrzał nerwowo na Chalayana, który ścisnął w dłoni swój amulet i wymawiał jakieś słowa. Następny, mniejszy jukar wszedł w strefę światła, zaledwie niedorostek w porównaniu z pozostałymi. Ale zaraz, ten miał ciemniejszą skórę i szczyrzył w uśmiechu wszystkie kły. Na plecach opadały mu włosy zlepione w grube strąki. Nie miał w ręku broni, ale przy pasie zwisał mu sztylet, i był

obwieszony medalionami, na jego palcach skrzyły się pierścienie, a wszystko było pokryte czarodziejskimi runami.

Vormag.

Chalayan wstał i zrobił krok w stronę postaci z mitu, która objawiła mu się nagle w pełnej krasie, najzupełniej rzeczywista. Vormag wyszczał jakiś rozkaz i jukarowie rzucili się na nich.

Vasil przydusił nogą swój kamień, gdy niebieskie ściany otoczyły cel Raua i Aidana. Pospieszyli się. Tarcze nie odbiły atakujących jukarów, a tylko zaburzyły ich równowagę.

Chalayan wciąż wpatrywał się w jukarskiego czarnoksiężnika. Czarodziej był rozkojarzony, zaaferowany nagłym pojawieniem się przeciwnika. W tym stanie nie zdołał odpalić tarcz w odpowiednim momencie.

Pocąc się, jakby rzucił picie zaledwie wczoraj, Vasil skakał wzrokiem od wojownika do dowódcy, usiłując ocenić, kto bardziej potrzebuje pomocy.

Cel Rau walczył z trzema naraz, tańcząc między zwalistymi olbrzymami i bezbłędnie unikając ich ciosów, tak że ci nie mogli go dotknąć. Jeden jukar ścisnął ramię, w którym widniała rana sięgająca kości, a drugi cofnął się od wojownika, ocierając krew, która lała mu się z cięcia na czole i zalewała oko. Mało brakowało, a cel Rau oślepiłby go na dobre.

Vasil, nie myśląc, pobiegł w jego stronę, gdy nagle przerażony spostrzegł, jak runiczny kamień pulsuje energią, gdy stopa Aidana przez przypadek zsunęła się z niego. Tarcza huknęła w dowódcę, obalając go na ziemię niczym szmacianą lalkę. Wylądował blisko jednego z jukarów, a drugi stwór rzucił się w kierunku Vasila.

Sędzia wrzasnął i ciął go z całych sił. Jego miecz wbił się w uniesione do obrony ramię. Potwór odbił jego drugie uderzenie i Vasil zachwiał się, tracąc równowagę. Jukar dźwignął się na nogi i urósł nad jego głową, potężny jak góra, warcząc przez zaciśnięte kły. Nieludzkie ślepiea bestii wypełniły się nienawiścią, wwierciły w oczy Vasila z taką mocą, że ten zadrżał. Kątem oka spostrzegł

uginającego się pod kaskadą ciosów Aidana. Miecz wysuwał mu się z odrętwiałych palców.

Co ten Chalayan wyrabia?

Kamień potoczył się po ziemi i znieruchomiał obok Aidana. Vasil zobaczył, jak dowódca sięga po niego.

Sam natychmiast okręcił się i puścił biegiem w kierunku Aidana, a potem dał nura przed siebie, sięgając po kamień. Ręce ich obu zamknęły się na nim w momencie, gdy jukar Aidana uniósł miecz do morderczego ciosu, a Vasila ruszył na nich obu, warcząc złowróźnie.

– Chalayan! – krzyknął Aidan, gdy tarcza nie zbudziła się do życia. Przetoczył się na bok, gdy jukar spuścił miecz. Sędzia nie mógł zrobić nic więcej, jeśli nie chciał przy tym puścić kamienia. Obaj mężczyźni skręcili się, nie podnosząc się z ziemi, gdy potężna klinga z łomotem wżarła się w grunt o krok od nich.

Vasila zamrowiła skóra i z kamienia buchnęło światło, gdy ich obu nakryła tarcza. Jukar zaskomlał i odleciał do tyłu, zderzywszy się z barierą, która zaraz zamigotała i zgasła. Stwór wił się na ziemi, na wpół ogłuszony, podczas gdy Aidan pełzył w kierunku swojego miecza.

Vasil ruszył na jukara rannego w ramię. Stwór obnażył kły na jego widok. Warknął i potrząsnął głową, nie mogąc dojść do siebie po kolizji z tarczą. Vasil dał susa naprzód, lądując obunóż na piersi potwora, wyciskając mu powietrze z płuc. Stwór zakaszłał, nie mogąc złapać tchu. Vasil z rozmachu chlasnął mu po gardle. Czarna krew buchnęła z rany, rosząc sędziemu twarz. Zakrztusił się cuchnącym powietrzem. Jukar zaszamotał się pod nogami, gdy Vasil szaleńczo rąbał go trzymanym oburącz mieczem. Wreszcie z paszczy stwora dobyło się ostatnie tchnienie i cielsko zastygło. Vasil stanął nad nim, dysząc mozolnie, a krew i pot ściekały mu z twarzy.

Rozejrzał się i spostrzegł Aidana, który tulił do ciała zranioną rękę. Mimo to dowódca dźwignął się z ziemi, choć jego twarz wykrzywiało cierpienie.

– Sędzio. Cel Rau. – Aidan wskazał kamrata ruchem głowy.

Vasil całkiem zapomniał o szermierzu. Mruganiem wycisnął pot spod powiek i odtoczył się od Aidana, który sięgnął po miecz zdrową ręką.

Gdy się obejrzał, jego oczom ukazała się scena z koszmaru.

Chalayan wrzeszczał. Z jego gardła sterczały jakieś włókna. Vormag warknął i kłapnął paszczą, zbliżając się do niego. Mag był osłonięty tarczą, ale przeciwnik trzymał przed sobą dwa rzemyśliwa. Powierzchnia tarczy pękała i odkształcała się jak cienki metal pod młotem kowala. Strumienie potu ściekały z twarzy czarodzieja. Nagle zawył i nogi ugięły się pod nim. Padł na kolana pod naporem zaklęć vormaga.

A jednak osłona wciąż trzymała.

Odkąd Vasil zostawił Aidana, minęła dosłownie chwila, lecz ogrom tego, co widział, sprawił, że czas rozciągnął się jak guma. Przed nim Chalayan walczył z vormagiem, a za nim cel Rau szusował między dwoma jukarami, naznaczając ich setką cięć, poruszając się z zatrważającą prędkością. Płytkie rozcięcia pokrywały jego ramiona, a z głębokiej rany na głowie lała się na kark czerwona krew.

Trzeci jukar klęczał na ziemi. Wojownik celnym ciosem przeciął mu ścięgno w kolanie. Wyjąc i warcząc, jukar kłapał groźnie paszczą, ilekroć cel Rau znalazł się blisko niego. Choć był obezwładniony, wciąż stanowił zagrożenie, zwłaszcza że dwaj jego pobratymcy spychali szermierza w jego stronę, napierając z dwóch kierunków. Używali swojego powalonego kamrata jak żywej ściany, broniącej cel Rauowi dostępu do magicznego kamienia Chalayana, który leżał za nim.

Vasil stanął, obawiając się włączyć do walki, mając świadomość swojego braku doświadczenia. Nie chciał wytrącić z rytmu zaprawionych weteranów. A gdy tak stał, zastanawiając się, co w ogóle może zrobić, fechtmistrz zachwiał się na nogach.

Odbił mieczem potężne cięcie od góry i pośliznął się w lewo, a potem uchylił się przed kolejnym ciosem i znalazł zbyt blisko

rannego jukara. Szpony potwora wbiły się w łydkę cel Raua. Hucząc z uciechy, dwaj pozostali jukarowie patrzyli, jak szermierz obraca się, by ciąć trzymającą go łapę.

Vasil zamrugał, chcąc pozbyć się z oczu nabiegających nieustannie łez. Z sykiem wciągnął powietrze, bojąc się o cel Raua i resztę. Zaczynała docierać do niego powaga sytuacji, w jakiej się znaleźli. Powoli ogarniała go beznadzieja i uprzytomnił sobie, że zginą tutaj, na tym pustkowiu, rozszarpani przez potwory ze Zdruzgotania. Nigdy nie dowie się, kim tak naprawdę był Gazija i jakie snuł plany, nie pozna prawdziwego powodu, który przyświecał Indryallanom, gdy napadali na Anasomę. Nigdy nie stanie przed cesarzem.

Nigdy nie odkupi swoich win.

– Nie. – Powiedział to szeptem, ale słowo brzmiało w jego uszach jak ryk zagłuszający wszystkie inne dźwięki.

Zerwał się z miejsca i okrążył ucieszonego jukara. Jego palce zamknęły się na magicznym kamieniu. Musiał podejść bliżej do vormaga. Miał nadzieję, że Chalayan go zauważy. Vasil zrobił w stronę potwora kilka szybkich susów.

Z jego ręki wystrzeliło niebieskie światło. Ból zalał mu umysł, a kości ramienia trzasnęły i wykręciły się, gdy magiczna siła cisnęła nim przez polanę.

Spadła na niego ciemność, ale uniósł ją siłą woli, jakiej się po sobie nie spodziewał. Jęcząc i śliniąc się, oszołomiony przetoczył się po ziemi. Wokół niego niosły się echem wrzaski. Zawiodłem. Gdy wreszcie znalazłem odwagę, jest już za późno, pomyślał.

Podniósł wzrok na cel Raua, mordującego się z dwoma jukarami, i na myśl o tym, że wojownik ma ponieść klęskę, krwawiło mu serce.

Przepraszam...

Wtem złapał jakiś ruch kątem oka. Zerknął na wejście do jaskini i ku swojemu zdumieniu ujrzał tam stojącego na własnych nogach Chalayana. Tarcza, która uformowała się wokół kamienia, przeszkodziła vormagowi. Sytuacja się odmieniła – teraz to potwór klęczał przed czarodziejem. Szyderczy grymas spłynął z jego twarzy,



zastąpiony przez strach podszyty zaskoczeniem, gdy z tarczy Chalayana wyrosła cienka fioletowa łodyga.

Czarodziejskie włókno spenetrowało tarczę vormaga, która rozmyła się w powietrzu. Rozległ się dźwięk przypominający bzyczenie tysięcy pszczoł. Wrzask vormaga urwał się, gdy magia Chalayana rozplatała potwora na dwoje. Czarodziej natychmiast zwrócił się ku jukarom i zaczął smagać ich magiczną wstęgą jak batem, tnąc ciało i kości z taką łatwością, jakby wodził patykiem po powierzchni wody. Ich jazgotliwe wrzaski umilkły w tym samym momencie. Cel Rau zrobił unik, a polana zalała się krwią.

Vasil wodził wokoło gorączkowym wzrokiem. Czy nadchodzili kolejni jukarowie? Próbował wstać, ale wtedy odezwał się potworny ból.

Przodkowie moi! Jakaś ręka spoczęła na rannym ramieniu, ale nie miał siły krzyknąć.

– Sędzio? – wymówił cel Rau. – Nie ruszaj się. Nie powinieneś być podnosić go bez wiedzy Chalayana. Ale możliwe, że uratowałeś nam wszystkim życie.

– Wszyscy... nie żyją? – wydukał Vasil z zamkniętymi oczami.

Ale wojownika już nie było.

Otworzywszy oczy, Vasil zobaczył, że polana tonie we krwi. Wszędzie wały się odcięte części ciał jukarów. W większości nierozpoznawalne. Rękę miał jak z gumy, jakby ktoś wyjął z niej wszystkie kości. Przyciskał ją do piersi, leżąc z zamkniętymi oczami na ziemi.

Gdzieś za nim Chalayan wznosił radosne okrzyki. Recho czarodzieja niósł się nad polaną, zbryzganą posoką. Brzmiała w nim szaleńcza nuta, która przeraziła Vasila bardziej niż vormag.

– Zdziałało! – krakał czarodziej. – Sędzio! Jesteś genialny!

Vasil usłyszał zbliżające się kroki, a chwilę potem ktoś nalał mu wody do wysuszonych ust. Przełknął kilka łyków, a potem odwrócił głowę.

– Będę z tobą szczerzy, sędzio – rzekł Aidan. – Kiedy trzeba było, stanąłeś na wysokości zadania, ale... możliwe, że stracisz rękę.

Rzeczowa ocena sytuacji w wykonaniu Aidana nie zdziwiła Vasila ani trochę. Kiwnął głową.

– A co z innymi? Jak cel Rau? – wyjęczał. Nawet mówienie sprawiało mu ból.

– Ma paskudnie poszarpaną nogę, ale się wylize. Z moją ręką jest lepiej niż z twoją, ale i tak jest złamana. Sprawileś się, Vasilu. Chalayan zabił vormaga, bo go rozproszyłeś. A potem pozostałych jukarów. – W głosie dowódcy brzmiała konsternacja. Vasil zastanawiał się, skąd się tam wzięła, skoro czarodziej ich uratował.

Z odległości wciąż dobiegał śmiech Chalayana i było to ostatnie, co Vasil słyszał, nim stracił przytomność.



Gdy ją odzyskał, wciąż leżał w tym samym miejscu. Myśli mieszały mu się w głowie, jak za dawnych dni, gdy jeszcze pił. Och, jakże mu było do tego tęskno.

Ktoś wcisnął mu pod głowę nakryte złożonym płaszczem siodło. Vasil czuł nieznośną suchość w ustach.

– Wody – zaskrzeczał, usiłując otworzyć oczy.

Jakiś cień podsunął mu buklak do ust.

– Nie za dużo – powiedział skądś obok Aidan. – Masz, to lekarstwo dla ciebie. Najlepszy środek przeciwbólowy, jaki mamy przy sobie.

Ręka wcisnęła mu między zęby tabletkę. Żuł ją powoli, czując smak ziół i gorzkich lekarskich komponentów. Znowu dostał wody.

Usłyszał jakieś osobliwe bzyczenie, a potem na obrzeżu polany błysnęło światło. Aidan westchnął z irytacją.

– Co tam? – spytał Vasil. Choć z bólu ćmiło mu się przed oczami, wyczuwał, że coś jest nie tak.

– Nic – skłamał Aidan. – Odpoczywaj.

– Mnie próbujesz... kłamać?

– No tak. Zapomniałem. Już mnie to zaczyna wkurzać.

Cień uśmiechu zawitał na ustach Vasila, a potem spazm bólu wydarł mu z gardła sykliwe przekleństwo.

– To Chalayan – podjął Aidan. – Miej na niego oko, dobra? Chyba podłapał jakąś nową sztuczkę. Obawiam się, że to niedobrze. Zresztą to ty podsunąłeś mu tę myśl.

– Ale ja...

– ...nic nie wiem o magii?

Vasil pokiwał głową.

– Nie musiałeś. Zaszczepiłeś mu tylko pomysł. Eksperymentuje od kilku dni. Gdy zaatakowali jukarowie i vormag, poważzył się na ryzyko, wiedząc, że może zginąć. Ale nie zginął, a sztuczka się udała. To właśnie mnie martwi. Chalayan zaryzykował własne życie, i być może nasze, dla kolejnego wycinka wiedzy. Jeśli dalej będzie szedł tą drogą... nie skończy się to dobrze.

Vasil przełknął ślinę i dostał jeszcze łyk wody, a potem znowu ogarnęła go ciemność.



**D**zień był gorący i robił się coraz gorętszy, co było niespotykane o tej porze roku i wprawilo Protektorów w dobry nastrój. Caldan skończył pracę nad rzemyśliwami i teraz szukał Joachima, ale jak dotąd nie miał szczęścia, bo arcymag zapadł się pod ziemię. Wziął na spytke kilku czeladników i praktykantów, ale albo nie wiedzieli, gdzie jest, albo nie chcieli mu powiedzieć. Caldan zaczynał się niepokoić. Joachim wciąż pozostawał dla niego niewiadomą i choć pomógł Mirandzie, Caldanowi trudno było uwierzyć, że jego pojawienie się w Starorzeczu akurat w chwili, gdy najbardziej potrzebował kogoś o jego zdolnościach, było wyłącznie dziełem przypadku.

Dochodziło południe, gdy Caldan spostrzegł arcymaga wchodzącego bramą na dziedziniec. Joachim poszedł z Caldanem tam, gdzie niedawno uciął sobie drzemkę, a potem zaczął zasypywać

go pytaniami o jego rodzinę, o klasztor, gdzie się wychowywał, o Simmona, Anasomę i Dzwonki.

Wszystko, co mówił, brzmiało w uszach Caldana jak fałsz.

Z jakiegoś powodu Joachim wciąż nie pogrzebał tematu kościanego pierścienia. Chciał pozornie niezwiązanymi z talizmanem pytaniami skłonić Caldana do wygadania się na ten temat, jakby wiedział, że rzeczywiście go posiada. Caldan nie wiedział, czy rzeczywiście tak było, czy może to tylko wyraz desperacji, ale nie podobało mu się to, że wiecznie musiał się pilnować w rozmowie z tym człowiekiem, w dodatku dotyczącej przedmiotu, o którym sam najchętniej dowiedziałby się czegoś więcej.

Zaczął się zastanawiać nad tym, jaką nagrodę przyobiecał arcymagowi cesarz za odzyskanie kościanego talizmanu. Bo nie miał już cienia wątpliwości, że tym właśnie był pierścień – talizmanem – nawet jeśli działał inaczej od wszystkich, o jakich Caldan kiedykolwiek słyszał. Wciąż nie rozumiał, jaki jest sens tworzenia talizmanu z tak nietrwałego surowca jak kość. To wymykało się jego zrozumieniu, a jednak artefakt wytrzymał czarodziejski atak Dzwonków, gdy jego własne rzemyśliwo zawiodło.

Ta myśl nie dawała mu spokoju, gdy raz po raz odtwarzał w głowie wydarzenia, które miały miejsce w jaskiniach pod Anasomą. Znowu nie nasunęło mu się żadne rozwiązanie, choć czuł, że jakieś istnieć musi. A to, co mu umykało, musiało mieć związek z Indryallanami i ich umiejętnością koncentrowania magii destruktywnej. Załączki domysłów wzbudzały jego nadzieję, ale jak dotąd żaden nie skryształizował się w pełną myśl.

– Czy twoją rodzinę łączyły bliskie stosunki z klasztorem? – spytał Joachim już po raz drugi i Caldan zaczynał się obawiać o los mnichów, jeśli Joachim nabierze przekonania, że kościany talizman może być w ich posiadaniu.

– Nie. Z tego, co pamiętam, rodzice trzymali się na uboczu i nigdy nie odwiedzali klasztoru.

– Dziwne. Twoja matka czarodziejka miała szkołę w zasięgu ręki i nigdy nie kusilo jej, żeby pójść tam i porozmawiać z mnichami, poczytać ich księgi?

– Zrezygnowała z tej profesji. Nigdy nie widziałem, żeby czarowała.

– Nikt nie rezygnuje z magii, młodzieńcze. Kto by odrzucił tak wielką wiedzę? I umiejętność tworzenia przedmiotów o wielkiej mocy? Nie, niełatwo to porzucić. Nie znam nikogo, kto zrobiłby to z własnej woli.

Więc może zrobiła to wbrew własnej woli, pomyślał Caldan. Joachim nieopatrznie zdradził mu, jakim jest człowiekiem: takim, który za nic nie wyzbyłby się magicznej mocy.

Caldan nie wiedział, jak długo zdoła przed nim udawać, a poza tym sam musiał się w końcu dowiedzieć, dlaczego jego rodzice ukrywali pierścień przed cesarstwem.

Czas zaryzykować, postanowił.

– Joachimie, nie jestem głupcem. Wiem, że pytasz mnie o te rzeczy, bo chodzi ci o talizman. – Celowo nie doprecyzował o który. – Dlaczego jest taki ważny?

Mag umilkł i wpatrzył się w Caldana, a po dłuższej chwili odwrócił wzrok.

Chłopak niemal słyszał chrzęst zębatek obracających się w głowie arcymaga, gdy główkował nad tym, czy powiedzieć mu wszystko, czy trochę; czy skłamać, czy wyznać prawdę. Teraz należało tylko poprawnie odróżnić jedno od drugiego.

– Twoi dziadkowie – wymówił w końcu arcymag – byli złodziejami. Nie, to zbyt mocno powiedziane. Przez wiele lat wiernie służyli cesarzowi, niechaj żyje wiecznie. Zresztą jak cała twoja rodzina. Talizman przekazany przez cesarza Karrin Wraythe miał pozostać w twojej rodzinie tak długo, jak długo będzie ona mu służyć.

– Ale – wciął się Caldan – korzystać z niego może tylko Dotknięty, tak?

– Owszem, a w twojej rodzinie było ich kilku. W większości przypadków te zdolności uwidaczniają się co drugie pokolenie. Ale niektóre rody pozostają czyste, nie mieszają krwi... – Joachim zawahał się i oblizał usta. – Te są najbardziej cenione przez cesarza i najhojniej przez niego wynagradzane za służbę. A więc, jak widzisz, musieli mieć nie tylko to – wskazał pierścień na palcu Caldana – ale też drugi, kościany pierścień.

Joachim kłamał. Lub przynajmniej krążył wokół prawdy.

– Dlaczego moi rodzice mieliby ukraść kościany pierścień? Jeśli cesarz ich cenił i nagradzał, dlaczego mieliby tyle ryzykować?

Joachim chrząknął i machnął ręką.

– Jak już wspomniałem, nie pozyskali go zupełnie uczciwie. Pierścień przechodzi z pokolenia na pokolenie, stary cesarz wręcza go młodemu od Zdruzgotania. Sam w sobie nie posiada żadnej mocy.

To już była na pewno wierutna bzdura.

– Chyba nie rozumiem. Musieli wiedzieć, że cesarz upomni się o coś tak osobistego. Nie wiem, jakim cudem ukrywali się przed nim tak długo.

– Ha! A któż wie co niektórym chodzi po głowie. W dziewięciu przypadkach na dziesięć chodzi o pieniądze. Wielu moźnych zapłaciłoby fortunę, żeby zdobyć takie cacko. Jego wartość nie ma nic wspólnego z użytym surowcem, chodzi o historię. Stanowi część cesarskich insygniów, a niektórzy bogaci ignoranci mają tendencję do myślenia, że samo posiadanie tego, co cesarskie, przybliży ich do cesarza.

– Ale po co...? Zaraz, chyba nie po to, żeby obalić cesarza?

– Oczywiście. Niektórzy mają wygórowane ambicje.

– Ale... przecież nikt by za nimi nie poszedł. Rodzina cesarska dzierży tron od stuleci.

– Stan faktyczny nie powstrzymuje ludzi przed robieniem głupot.

– Głos Joachima nabrzmiał irytacją. – Ale dość już o tym. Jeśli coś sobie przypominasz, daj mi znać. A teraz mnie zostaw. Mam coś do zrobienia. Przydaj się na coś Protektorom, dowiedz się, czy ustalili w końcu, gdzie jest Dzwonki. Można by pomyśleć, że kompas

dostrojony do poszukiwanej wystarczy, aby ją odnaleźć, ale nie, to by było zbyt proste... Niektórzy ludzie są po prostu bezużyteczni.

Caldan kiwnął głową i zostawił arcymaga swoim myślom. Nie lubił słuchać rozkazów kogoś, kto go okłamuje, ale czy miał jakiś wybór? Joachim był w posiadaniu odpowiedzi, których Caldan poszukiwał od dawna, a dystansowanie się od niego lub działanie mu na nerwy nie skłoni Joachima do podzielenia się nimi.

Caldan ziewnął i potknął się, wciąż niedospany po nocy ślęczenia nad rzemyśliwem i siedzenia z Mirandą. Korzystał z wszelkich umiejętności przyswojonych od Dzwonków, by sprawdzić, czy może jakoś przyspieszyć ozdrowienie dziewczyny. Niestety, wciąż czuł się całkowicie bezradny. Joachim sprytnie przykuł go do siebie, powstrzymując rozkład umysłu Mirandy i utrzymując, że nie jest w stanie jej uleczyć. Tak twierdził, ale jak przedstawiała się prawda? Któż to wiedział.

Minął salę spotkań, gdzie mistrzyni Annelie prowadziła naradę mistrzów i kierowała poszukiwaniami Dzwonków. Niech Joachim sam się dowiadyje, co z czarodziejką, jeśli go to obchodzi. Dotąd nie przejmował się tym za bardzo. Co samo w sobie było ciekawe.

Caldan miał więc przed sobą kilka godzin do zabicia. Powinien się przespać, ale miał sporo do zrobienia. Od tych kilku dni, które spędzili u Protektorów, poczynił znaczne postępy ze swoim nowym konstruktem. Zegarmistrzyni mówiła prawdę, a jej metalowe elementy okazały się najwyższej jakości. Musiał jeszcze wykonać parę drobiazgów, a potem pokryć całość runami. Do zwieńczenia dzieła brakowało mu już tylko kilku klejnotów. Owca

Pospieszył do kowalotwórczej kuźni, gotów dokończyć jedno rzemyśliwo i złożyć mniejsze, które również zaprojektował, a które było o wiele bardziej skomplikowane niż wszystkie wytworzone przez niego dotychczas.





– Już niedługo to wszystko się skończy i Joachim sprowadzi tu innych arcymagów, którzy cię uleczą – powiedział Caldan Mirandzie, wpatrując się w jej twarz w poszukiwaniu jakichś oznak zrozumienia.

Dziewczyna mrugnęła i przechyliła głowę w kierunku światła wpadającego przez okno, ale potem znowu znieruchomiała.

Caldan westchnął. Złapał ją za rękę i ścisnął pokrzepiająco.

– Już niedługo. Obiecuję ci to. Jeśli będę musiał sam znaleźć Dzwonki i znowu ją pojmać, jeśli będę musiał oddać wszystkie swoje rzemysliwa, zrobię to bez wahania.

Elpidia wpadła do pokoju z takim impetem, że drzwi wyrznęły o ścianę. Miała wybałuszone oczy, a zsunięta z ramienia tunika świadczyła o tym, że ubrała się w pośpiechu.

– Caldan! – wydyszała, pokazując mu pustą fiolkę, którą przyniosła zapewne po to, by ją wypełnić. – Już nic nie ma. Trzeba mi więcej. Błagam.

Caldana zemdliło na myśl o tym, dlaczego jego krew tak szybko się kończy. Domyślił się, że większość wypięła.

– Nie teraz – powiedział uprzejmie. – Jutro. Jak znajdę chwilę.

Elpidia zaśmiała się krótko. Zaraz... czy to ulga?

– To działa. Moje eksperymenty... zbyt długo trwały, więc... po prostu ją wypięłam.

Caldan milczał. Wolał nic nie mówić.

– Na początku tylko kropelkę. Raz dziennie. Potem częściej. Musiałam przecież spróbować, prawda? – Rozpaplala się na dobre i chyba nie zamierzała przestać. – Doświadczenia są czasochłonne, a ja nie miałam czasu. Wiedziałam, że jeśli tak dalej pójdzie, to umrę. Musiałam spróbować, rozumiesz? Więc zażyłam jej trochę i podziałało! Zobacz! – Podwinęła koszulę, pokazując łątę czerwonej skóry pokrytej strupami.

Caldan odwrócił wzrok.

– Wygląda tak samo.

– Wcale nie. Jest lepiej. No popatrz na mnie! – zaskrzeczała, siłą obracając mu głowę. – Odrastają mi ciemniejsze włosy. Nie widzisz?

Caldan spojrział i rzeczywiście – miała rację. Choć większość włosów była siwa, ciemniał przy korzeniu, jakby Elpidia pofarbowała się na siwo, a teraz odrastał jej naturalny kolor.

Usiadł prosto.

– A może dałoby się wyleczyć Mirandę... podobnym sposobem?

Elpidia pokręciła głową.

– Wątpię. Ona ma chory umysł, a ja ciało. Nie umiem stwierdzić z całą pewnością, ale to mało prawdopodobne, żeby kuracja przyniosła u niej podobne rezultaty.

– Ale moglibyśmy spróbować.

Wolno pokiwała głową.

– Moglibyśmy, jasne. Ale może tylko sprawiłbyś sobie zawód. Poczekaj tu. Pójdę po sprzęt i pobierzemy więcej.

Jedną ręką poprawiając obsuniętą tunikę, wybiegła z pokoju zwawym, sprężystym krokiem, jakby wstąpiło w nią nowe życie.

Kto by pomyślał, moja krew, zadumał się Caldan. To pewnie dlatego, że jestem Dotkniętym. Elpidia powiedziała mu przecież, że jego nadnaturalna zdolność regeneracji ma ścisły związek ze składem jego krwi. Wrócił myślami do tego, co Joachim powiedział mu zaledwie kilka godzin temu, gdy Caldan zaczął podejrzewać, że arcymag coś przed nim ukrywa.

Wspomniał coś o rodzinach, które pozostają czyste, i o ich krwi...

Tak wielka tajemnica z pewnością prędzej czy później wyszłaby na jaw, a ci, którzy wiedzieliby, jak czerpać z tej wiedzy korzyści, zrobiliby wszystko, co w ich mocy, by nikt inny się o niej nie dowiedział, a nawet nie miał jak się dowiedzieć. To mogło tłumaczyć, dlaczego cesarz chciał mieć wszystkich Dotkniętych pod swoją kontrolą. Czy to był kolejny powód, dla którego polowano na rodzinę Caldana i zabito jego rodziców?

Zacisnął zęby i pięści, paznokcie wbiły mu się głęboko w skórę dłoni. Czy Joachim wiedział? Lub czy podejrzewał? A może to była wiedza powszechna wśród cesarskich totumfackich?

Jeśli chorobę Elpidii da się wyleczyć, jeśli jej włosy odrastają w pierwotnym kolorze, jakby młodniała... Człowiek niczego tak nie

pragnie, jak pozostać młodym i zdrowym. Czy istniała lepsza nagroda za lojalność? Czy istniał lepszy sposób na wymuszenie posłuszeństwa?

Co rusz cisnęło mu się na myśl jedno pytanie: jak wiele wiedział Joachim? Krew łatwo upozorować na niewinną alchemiczną miksturę. Wystarczy przelać ją do buteleczki i opatrzyć fałszywą etykietą. Dosypać ziół, może alkoholu, i nikt by się nie zorientował. Prawdziwe źródło cudu pozostałoby nieodkryte.

Ile by zapłacił bogaty szlachcic lub kupiec, żeby uleczyć niedomagającą żonę lub dziecko? Wysupłaby więcej dukatów, niż Caldan potrafiłby unieść – to na pewno.

Gdy Elpidia wróciła do pokoju ze swoimi przyrządami, Caldan był już zdecydowany.

– Zamknij drzwi – nakazał.

– Co? A tak, jasne. Ktoś mógłby zobaczyć...

– Elpidio, posłuchaj mnie przez chwilę. Nie możesz nikomu o tym powiedzieć.

Elpidia z ociąganiem kiwnęła głową.

– Tak myślałam, że to powiesz. Ludzie nie daliby ci spokoju. Niektórzy pewnie chcieliby osuszyć cię do cna.

Na te słowa dreszcz zbiegł Caldanowi po kręgosłupie. „Osuszyć do cna”. Czy cesarz rzeczywiście byłby do tego zdolny? Gdy tylko Caldanowi zaświtała w głowie ta myśl, wiedział, że tak. Nikt o takiej władzy i wpływach nie uchroniłby się przed taką wiedzą. Co oznaczało, że uczynili z Caldana bezwiednego współnika w swoich matactwach. Są na świecie ludzie wyzuci z moralności, dla których pozwolić Dotkniętym stanowić o sobie lub ginąć to marnotrawstwo.

Dla nich o wiele korzystniej by było, gdyby zachowali stały dostęp do odnawialnego zasobu, jakim jest ich krew. Zaschło mu w ustach.

– Dokładnie. Nikt inny nie może się o tym dowiedzieć.

– Nie martw się – zaszcebiotała Elpidia. – Zachowamy to dla siebie. Możemy zacząć produkcję mikstur leczniczych. Będziemy rozdawać je biednym za darmo, a bogatych będziemy kasować jak za zboże.

Caldan złapał ją za ramię, aż pisnęła.

– Aj! To boli!

– Elpidio, niech to dotrze do ciebie. Cesarz na pewno już o tym wie. Myślę, że Joachim też, dlatego właśnie tu przyjechał. Trzymają to w tajemnicy od stuleci, może nawet dłużej. Kto wie? To niebezpieczna wiedza. Boję się... że cię zabiją, gdy dowiedzą się, że poznałaś ich tajemnicę.

– Nie bądź śmieszny. Tylu ludzi na tym skorzysta! Będziemy mogli za pieniądze bogatych zadbać o chorych i biednych...

– Przestań! Nie słuchasz mnie. Jeśli zaczniemy leczyć chorych, jeśli ludzie zaczną młodnieć, jak ty, to ktoś się zorientuje, a to sprowadzi na wszystkich nieszczęście. Joachim nie zawaha się zabić cię, żeby utrzymać to w tajemnicy.

Elpidia umilkła. Rozejrzała się po pokoju, marszcząc brwi, a potem pokiwała głową.

– Rozumiem, że niektórzy chcieliby zachować tę wiedzę tylko dla siebie... – urwała.

– Co wiesz o arcymagach? A o możnych i doradcach z wewnętrznego kręgu cesarza?

– Znaczą... Ale o co dokładnie ci chodzi? Chcesz wiedzieć, jakie są ich funkcje, jakie wykonują zadania?

Caldan pokręcił głową.

– Nie. Czy umierają na jakieś choroby? Czy żyją dłużej niż normalnie?

– Chyba... Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś z nich umarł, chyba że śmiercią naturalną lub w walce. Ale to nie znaczy... cesarz przecież... Po co miałby...?

– Jak to po co? Co czyni go tak wyjątkowym człowiekiem, który oparłby się tak wielkiej pokusie? Mawiamy „niechaj żyje wiecznie”, ale zastanowiłaś się kiedyś, co to naprawdę oznacza?

– Zawsze zakładałam, że to magia, talizmany i rzemyśliwa przedłużają mu życie.

– Nie znam żadnej magii, która byłaby do tego zdolna. Jeśli istniał na to jakiś sposób przed Zdruzgotaniem, to przepadł... lub może to

kolejna pilnie strzeżona tajemnica. Nieważne zresztą, w każdym razie chodzi o to, że ci ludzie są gotowi zrobić wszystko, żeby zataić to przed innymi, którzy bardzo by na tym skorzystali. Kim trzeba być, żeby zrobić coś takiego?

Cała krew odpłynęła z twarzy Elpidii.

– Co my... co my powinniśmy teraz zrobić?

Caldan zakasał rękaw i podstawił jej rękę.

– Na razie pobierz mi krew. Zadbaj o siebie, upewnij się, że wszystko idzie ku lepszemu. A potem będziemy się martwić o resztę. Ale pamiętaj, ani pary z ust. Nikt tutaj nie wie, że jesteś chora, więc nie powinno być trudno zachować twoje ozdrowienie w tajemnicy. Musimy przygotować się na najgorsze i mieć nadzieję na najlepsze.



Amerdan zadbał o to, by nikt go nie dostrzegł, odczekał nawet przed wejściem do alei, gdy z tawerny wytoczył się i minął go jakiś pijak. Wtedy pospiesznie ruszył naprzód i kilka razy skręcił w lewo, aż znalazł się w tym samym punkcie, i dopiero wtedy, nieobserwowany przez nikogo, zagłębił się w aleję.

Było ciemno i pusto, wniknął więc w pogrążony w głębszym cieniu zaułek, a potem przeszedł przez drzwi. Pomknął po schodach na górę i stanął przed ich drzwiami. Zapukał cicho, nim wszedł.

Skupiona na swojej pracy Dzwonki ledwie na niego zerknęła, gdy wchodził do środka. Rzemyśliwa wzbudzały drażniące swędzenie w umyśle Amerdana. W nowych miejscach, gdzie nie mógł się podrapać. Czarodziejka nie tłumaczyła wylewnie, co właściwie robiła, ale miał przeczucie, że coś, co z pewnością nie będzie dobre dla cesarstwa i Protektorów. Prawie cały czas zajmowała jej praca, odrywała się od niej tylko po to, by uzupełnić zapasy lub złapać parę godzin snu. A gdy już w przerwach od rzemyślenia zasypiała, spała niespokojnie, rzucała się w pościeli i mruzczała coś do siebie. Kilka

razy Amerdan słyszał, jak mamrocze imię Klucza, i w tych chwilach uśmiechał się pod nosem.

Frustrację czarodziejki wzmagał fakt, że pewna liczba jej rzemyśliw psuła się lub rozpadała. Wtedy odrzucała je, klnąc w żywy kamień. Irytował ją zmarnowany czas, okupiony brakiem snu i ślęczeniem po nocach. Ktoś kryjący się na terytorium wroga nie powinien sobie na to pozwalać. Nie żeby Amerdanowi przeszkadzał ten stracony czas – właściwie uwzględnił to w swoim planie. Czuł, że czarodziejka pozbędzie się go, gdy tylko przestanie być przydatny. Tacy już byli czarodzieje. Dała mu nieco czasu, gdy ją uwolnił, ale wkrótce spróbuje go zabić.

Pomarzyć zawsze może.

Amerdan rzucił jej uśmiech, choć już na niego nie patrzyła, i położył na stole obok owiniętą materiałem paczkę.

– Masz wszystkie? – spytała.

– Tak. Sklepiarz nie chciał sprzedać towaru nieczarodziejowi, ale jakoś go przekonałem.

– Dobrze. – Dzwonki rozsunęła tkaninę. W środku znajdował się mały stosik rzadkich kryształów. Rozgarnęła je palcem, oddzielając kilka niebieskich, a potem obrzuciła Amerdana spojrzeniem. – Są tylko trzy. Powiedziałam ci: potrzebuję co najmniej pięciu.

Pięć, pomyślał Amerdan. Pamiętał dokładnie, co powiedziała, dlatego też schował dwa do kieszeni. Wzruszył ramionami w odpowiedzi, a Dzwonki zakłęła.

– Nie mogę już wychodzić na ulicę, a na pewno nie w ciągu dnia. Będziesz musiał się bardziej postarać. Nie zostało wiele czasu.

Amerdan powstrzymał pełznącą do noża rękę. Jeszcze nie teraz. Jeszcze jest mu potrzebna.

– Nie miał więcej. Spróbuję jeszcze raz jutro.

Czarodziejka przebiegła palcami po ciemnych włosach, wzbudzając dźwięk nowych dzwoneczków.

– Kolejna stracona noc – wymamrotała. – A jest już blisko. Coraz bliżej.

Nie wiedzieli dokładnie, kiedy przybędzie na miejsce cesarz i jego armia. Było jasne, że planowała go zabić, tylko że teraz nie mogła już skorzystać z czarodziejskiej monety, którą Amerdan odebrał Protektorowi. Jej plany potoczyły się innym torem, ale Amerdan nie był w nie wtajemniczony.

Czas trochę ją przycisnąć, postanowił. Im dłużej to odwleka, tym dłużej jego studnie pozostaną zablokowane. Gdy tylko czarodziejka wykona swoją misję, przestanie być użyteczna. Jeśli to ma się wydarzyć, musi wydarzyć się natychmiast... zanim będzie musiał ją zabić, aby uchronić się przed śmiercią z jej ręki.

Choć czas naglił, Amerdan zadrżał na myśl o niej w swoim ciele, a podniecenie uderzyło w niego tak wielką falą, że nieomal nie wykończył jej tam i wtedy. Lepiej ona niż jakiś obcy, przypomniał sobie. Z wysiłkiem opanował się, zrobiwszy krok w jej stronę. Schowana za koszulą Kropka zapiekliła się.

Dzwonki zauważyła, że podszedł. Zmierzyła go zaciekawionym spojrzeniem.

– Chcesz czegoś? – spytała.

Amerdan przełknął ślinę i zmusił się do zachowania spokoju.

– Owszem. Musisz dochować warunków umowy.

Zbyła go ruchem ręki.

– Potem. Wciąż mam masę pracy, zanim wszystko będzie gotowe. Musisz poczekać.

Kłamała. Będzie próbowała schwytać Amerdana, by go zbadać – albo gorzej. Już on o tym wiedział. Wkrótce będzie musiał znaleźć kogoś innego, kto go będzie uczył.

– Nie zrobisz dziś wiele bez kryształów.

Dzwonki wróciła do niego wzrokiem.

– Skąd ta myśl?

– Sama to powiedziałaś przed chwilą. A ja obserwowałem twoje postępy. Gniazda dla klejnotów są przygotowane, ale brakuje ci dwóch.

Zerknęła na niego przenikliwie.

– Spozrzegawczy jesteś. Chyba rzeczywiście przyda mi się odpoczynek.

– Uznałem raczej, że nadarza się okazja, żebyś rzuciła okiem na moje studnie.

Patrzyli na siebie w przeciągającej się ciszy. W końcu Dzwonki wzruszyła ramionami.

– Niech ci będzie. Usiądź wygodnie. Uprzedzam, że jestem skonana, więc to nie będzie pełnoprawna sesja.

– Dziękuję, dziękuję bardzo – powiedział wylewnie, uznawszy, że tak powinien zareagować wdzięczny prosty sklepikarz, który marzy o wstąpieniu w elitarne szeregi magów.

Usiadł na krześle, a ona zbliżyła się i przyłożyła mu dłonie do głowy. Po raz kolejny musiał powstrzymać się przed pchnięciem jej nożem za to, że na tyle sobie pozwala. Wyobraził ją sobie nagą na stole, a siebie na niej z talizmanem w jednej ręce i zakrwawionym nożem w drugiej.

Rozciągnął usta w uśmiechu, wdychając zapach Dzwonków, gdy jej dłonie błędziły po jego głowie, i drżał z niecierpliwości.

– W porządku – powiedziała czarodziejka uspokajająco, spoglądając mu w oczy. – To nie powinno boleć.

Ciekawe, że jej miłe słowa w połączeniu z zapachem sprawiły, że zapomniał, że chce ją uśmiercić. W mętym świetle lampy Dzwonki była wcale ładna...

Nie. To jest prosta droga do cierpienia.

*Nie zwracaj na nią uwagi* – wyszeptała Kropka.

Próbuję, odparł.

Amerdan rozparł się na krześle i zamknął oczy, skupiając się na czynnościach czarodziejki. Na ostatniej sesji wydawało mu się, że wydziela światło i że wyrastają z niej jakieś... łodygi, czy może czułki. Zacisnął pięści, gdy poczuł jej drapanie w środku głowy. Wrócił myślami do wizji – naga czarodziejka rozłożona na stole – i spłynął na niego spokój.

Ciemność. Tylko tyle widział. Mrok, ale ziarnisty, jeśli miałby go jakoś opisać. Świetlista łata zajaśniała w jego głowie. Poczul, że



wbija mu się brutalnie w umysł. Ostatni i jedyny czarodziej, który wstąpił w ciało i umysł Amerdana, okazał się nieprzygotowany na to, co stworzył, a w rezultacie Amerdan zdobył jego talizman.

Drap, drap, drap. Dzwonki kręciła się po jego umyśle, skupiając się na jakimś jego wycinku. Co to było? Jedna z jego studni, tyle wiedział, ale dlaczego różniła się od studni czarodzieja? A wszelkie inne talenty, jakie wyciągnął z talizmanu, wkrótce objawią mu się same. Ale o tej nie dowiedziałaby się, gdyby nie Dzwonki. A jest zablokowana. Frustrujące – wiedzieć, że tak wielka moc jest tak blisko, lecz nie móc z niej skorzystać.

Spazm bólu przetoczył się przez jego czaszkę.

– Aaa – mruknął, otwierając jedno oko, by łypnąć na czarodziejkę.

– Przepraszam. Jedna z tych studni jest jakaś dziwna. Wydaje się starsza, a bariera jest bardziej szorstka, jakby specjalnie opierała się usunięciu.

– Co ty właśnie zrobiłaś?

– Udało mi się precyzyjnie przycisnąć strumień przez szczelinę, co spowodowało ból. – Czarodziejka przerwała na moment, by otrzeć pot z czoła. – Ale...

– No mów.

– To tylko małe naruszenie studni, a widziałam, że zabolęło. Nie bardzo wiem, co robić... Jeśli poszerzę strumień, żeby rozepchać szczelinę, ból zwali cię z nóg. Wątpię, żebyś zdołał go znieść przez dłużej niż chwilę, a ja będę potrzebować mnóstwo czasu.

Amerdan prychnął. Dla tak wielkiej nagrody gotów był znieść wszystko. Ta starsza, surowsza blokada musiała pojawić się jeszcze w dzieciństwie, kiedy zabił czarodzieja, który więził go i okaleczył wszystkie jego siostry poza jedną... Wypuścił powietrze z płuc. Choć minęło tyle czasu, wspomnienia wciąż sprawiały mu ból. Czy kiedyś się ich pozbędzie? A może właśnie ból tego dokona?

Stężał i skinął na Dzwonki.

– Rób, co trzeba. Jestem gotów.

Popatrzyła na niego i wzruszyła ramionami.

– Na twoim miejscu pewnie powiedziałabym to samo, ale zaraz zmienisz zdanie.

Czuł ją w swoim umyśle. Ciśnienie w głowie rosło, aż poczuł, że zaraz wybuchnie. Tysiące igieł wbiły się w jego ciało. Kłuły raz po raz, ani myśląc przestać. Przełknął żółć, która podeszła mu do gardła, i zaciskając powieki, pozbył się łez z oczu.

Agonalny ból szalał w jego głowie, spływając po szyi do serca i promieniując do kości, wciskając się pod żebra i rażąc nogi. Ścisnął podłokietniki, aż zdrętwiały mu ręce. Chyba krzyknął, ale nie był pewien. Spazmy przebiegały mu po plecach, a ból ciągnął się w nieskończoność.

Wtedy zelżał nieco i Amerdan wciągnął powietrze do płuc. Kolorowe plamy tańczyły mu pod powiekami. Ból był potworny... ale oczyszczał. Zdawało mu się, że jest nieodzowny, że ma swoje miejsce w tym procesie.

Gdy agonia uderzyła ponownie, targnęły nim konwulsje. Fala ognia zatopiła jego umysł, a on bezskutecznie walczył z jej naporem, aż wszystko stało się czarne.



Gdy wrócił do zmysłów, Dzwonki trzymała jego głowę na kolanach. Głaskała go po włosach i nuciła cicho. Zdziwił się, widząc, że nie wzdryga się pod jej dotykiem.

Był osobliwy. Kojący.

Jakoś dowlokła go do łóżka, a on zaległ w wilgotnej pościeli, mokry od potu. Zamrugał w zbyt jaskrawym świetle lampy i przymknął powieki. Gdy głaskała go, śpiewając, wrócił myślami do jedyne go szczęśliwego okresu w życiu, do czasów przed przyjściem czarodzieja. Na polu bawił się z siostrami w chowanego – dziecienna gra, której nikt nigdy nie wygrywał. Matka zawołała ich, gdy słońce schowało się za wzgórzami, a oni pobiegli do domu, głodni jak wilki. I wtedy...

Wszystko się zmieniło. Nie wolno mu zapomnieć, że to zrobił czarodziej. A Dzwonki była jedną z nich. Zadrżał i obrócił się, patrząc na nią z dołu.

Uśmiechnęła się do niego. Była podobna do jego sióstr.

– Świetnie sobie poradziłeś. Pojęcia nie mam, jakim cudem tyle wytrzymałeś. Chcesz wody?

– Poproszę – wychrypiał.

Wzięła kielich ze stolika nocnego i wlała mu do ust kilka łyków, które przełknął natychmiast.

– Bardzo mi pomogłeś – powiedziała. – A twoja... wyjątkowość przysłuży się Bogu-Imperatorowi.

Amerdan pokiwał nieprzytomnie, nie bardzo wiedząc, do czego ona zmierza. Może chciała, żeby został jego poddanym? Poddanym człowieka, którego nigdy nie poznał, nawet nie zobaczył na oczy?

– Gdyby nie ty, tkwiłabym w celi albo już bym nie żyła. A kiedy zginął Klucz... mój brat... myślałam tylko o tym, żeby się zemścić, choćbym sama miała zginąć. Jednak przez ostatnie kilka dni sporo myślałam i doszłam do pewnych wniosków. Ja nie chcę umierać. A zemsta nie wypełni wyrwy, którą on po sobie zostawił.

Amerdan milczał, nie odrywając od niej oczu. Chce coś powiedzieć, tylko co? Wysłów się, kobieto. Zresztą już wiedział, że Dzwonki się myli: tylko zemsta ma moc uśmierzenia bólu, który sprawili inni. Takie jest życie: odpłaca się innym pięknym za nadobne, dzięki czemu rośnie się w siłę, a im silniejszy staje się człowiek, tym mniejsza szansa, że ktoś go skrzywdzi.

– Chyba próbuję powiedzieć, że... nie chcę, żeby śmierć Klucza uczyniła ze mnie zgorzkniałą, spotworniałą istotę i żeby trzymała mnie w kleszczach do końca życia. Potrzebne mi coś, czego mogłabym się trzymać. Rozumiesz?

Pochyliła się, a jej włosy musnęły jego twarz, gdy zetknęły się ich usta.



**F**elice wyszła na pogrążoną w mroku ulicę, niemal upadając na kolana. Kaszlnęła w dłoń, by zdusić hałas – chrypliwy, zdzierający gardło i płuca charkot. Przełknęła ślinę, wzdrygając się z bólu, i oparła się o ścianę budynku, by odzyskać równowagę.

Na przodków... Naprawdę próbowała być cicho. Jeśli dalej będzie przystawać co pięćdziesiąt kroków, nie zajdzie daleko, nim zbudzi pół miasta. Złożyła się wpół, gdy dopadł ją kolejny atak kaszlu. Czowała, jakby z jej gardła chciała się wydostać jakaś dzika bestia, drapiąca pazurami miękkie ścianki przełyku. Po kilku chwilach wyprostowała się i otarła łzy.

Wody. Potrzebowała wody. Albo gorącej herbaty.

Ale niczego tak nie potrzebowała jak lekarza, który znał się na swojej robocie, oraz tygodnia odpoczynku, tylko że nie miała czasu

na podobne luksusy. Zaśmiała się gorzko pod nosem.

Otarła spotniałe dłonie o spodnie. Ta część garderoby była prezentem od archiwisty, dorzucił nawet bieliznę, nie tak znowu wysłużoną koszulę i buty oraz uzbroił ją w nóż, który schowała za pasem na plecach. Dostała go od jego córki, składając gwarancję, że zapłaci za wypożyczenie.

Większość miasta spała. Felice odczekała do wczesnych godzin porannych i dopiero wtedy wyszła na ulicę. O tej porze w mieście widziało się tylko robotników zmianowych, pijaków, prostytutki i zaplątane na ulicach ofermi – a także tych, którzy żyli z tego, co te ofermi miały w kieszeniach.

Szła, aż budynki zaczęły rzednąć i otworzyła się przed nią pusta przestrzeń, a nasilający się od kilku minut fetor zdradził, że nieopodal płynie rzeka. Dobrze. To oznaczało, że nie ma jeszcze na tyle wysokiej gorączki, by stracić wyczucie kierunku. Choć czuła się tak, że chyba nie zorientowałyby się, nawet gdyby od godziny chodziła w kółko.

Zatrzymała się na rogu ulicy, przy ostatnim budynku, za którym toczyła już swoje wody rzeka Wywarnica. Na samą myśl o zbliżeniu się do niej brało ją na mdłości. Poczwała na ciele i posmakowała jej dość, by wystarczyć do końca życia. A nawet kilku żyć.

Próbowała przypomnieć sobie, dokąd ma teraz iść. Wiedziała, że poszukiwany przez nią dom znajdował się w Parkach, co oznaczało, że musi przekroczyć rzekę. Gdzie jest najbliższy most?

W porę ostrzegło ją szuranie butów na chodniku. Rzuciła się naprzód, okręciła i sięgnęła po nóż.

– Spokojnie, paniusiu – powiedział niski mężczyzna w ciemnym ubraniu i z drewnianą pałką w ręku. – Ulice są niebezpieczne o tej porze.

– Dla ciebie, jeśli sobie nie pójdiesz. – Felice obnażyła zęby i machnęła nożem. – No już, wynocha.

Mężczyzna podniósł rękę i zerknął w lewo i w prawo, by sprawdzić, czy nikt ich nie widzi. Ulica była pusta. Oblizwał usta

i milczał chwilę, a potem zerknął na nóż w rękach Felice i cofnął się o krok.

– A zatem dobrego dnia szanownej pani.

Felice nie opuszczała ostrza, które wciąż było wycelowane w tego niedoszłego rabusia... albo gwałciciela, albo handlarza niewolników, albo mordercę. Zagryzła zęby.

– Zaczekaj – powiedziała z niechęcią.

– No proszę, jednak chcesz się zabawić?

– Nie. Powiedz mi, gdzie jest najbliższy most.

– Idź wzdłuż rzeki w stronę portu. Mogę cię zaprowadzić, jeśli chcesz.

– Nie, dziękuję. Idź sobie już. Bo cię dźgnę, jak mi przodkowie mili.

Wskazała głową ulicę, z której oboje przed chwilą wyszli. Mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem i skłonił, a potem odwrócił się i odszedł jak gdyby nigdy nic.

Całe to przekłęte miasto wali się na naszych oczach, pomyślała. Od inwazji Anasoma schodziła na psy. Ani Kołczany, ani Indryallanie nie patrolowali już ulic, więc typy spod ciemnej gwiazdy czuły się tu bezkarne. Gdy już najeźdźcy zostaną wypchnięci z miasta, trzeba tu będzie zaprowadzić jakiś ład.

Felice potrząsnęła głową, by oczyścić myśli. To są sprawy na później, gdy już cesarz przybędzie i pozabija tych drani, którzy ośmielili się podnieść rękę na jego cesarstwo. Ale czy to nie dziwne – rzuciło jej się na myśl – że ktoś tak inteligentny jak Kelhak, czarodziej o mocy znacznie przewyższającej najsilniejszych magów w cesarstwie, zamknął się wraz ze swoimi ludźmi w Anasomie i tak siedzi jak kura na grzędzie? Na co on czeka? To przecież nie miało sensu. Chyba że...

Zważyła w myślach kawałki układanki, a wniosek, do którego doszła, odznaczył się ponurym grymasem na jej twarzy.

Anasoma była tylko przynętą. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej? Zaklęła, winiąc chorobę za przytępiony umysł, który nie pracował jak należy.

Zerknęła w ciemną ulicę, upewniając się, że rzezimieszek już sobie poszedł, a nie czekał na nią za pierwszym węglem. Nie dostrzegłszy go, chciała schować nóż, ale powstrzymała się. Lepiej zrobi, trzymając go w ręce. Po drodze do Izaka może jeszcze wpaść w kłopoty.

Obróciła broń, tak by ostrze przylegało do przedramienia i nie rzucało się w oczy przypadkowym przechodniom, po czym ruszyła na wschód po linii rzeki, aż dotarła do mostu prowadzącego do Pięciokwiatu. Po niedawnym spotkaniu miała się na baczności, chcąc uniknąć podobnych incydentów. Problem polegał na tym, że gdy już przekroczyła most, nie bardzo wiedziała, dokąd ma iść. Nie była z Izakiem na przyjacielskiej stopie i choć wiedziała, że mieszkał w Parkach, nie знаła dokładnego adresu.

Znowu się rozkaszała. Drżąc, dowlokła się do ściany pobliskiego budynku. Ogarnęła ją słabość i usiadła wprost na chodniku, oddychając z mozołem.

Na przodków, gdzie może mieszkać ten Izak? Felice z wysiłkiem zbierała myśli. Nie mogła przecież błędzić po dzielnicy przez resztę nocy w nadziei, że wpadnie na niego przypadkiem.

– Choroba to jedno, ale że nie myślisz, kochana, to drugie... – mruknęła pod nosem, gdy nasunęło jej się oczywiste rozwiązanie.

Rozejrzała się i dostrzegła nieopodal oświetlony jasno budynek. Karczma... O tej porze były to jedyne funkcjonujące legalnie przybytki i do pewnego stopnia mogła zaufać prowadzącym je ludziom – a na pewno w większym stopniu niż tym przypadkowo spotkanym na ulicy, zwłaszcza jeśli mieli przy sobie pałki. Być może barman – lub może któryś z gości – wskaże jej dom Izaka, który regularnie odwiedzał wszelkie możliwe knajpy.

Stękając z wysiłku, wstała i ruszyła w kierunku karczmy. Jak się okazało, były dwie, a zaraz obok burdel oznaczony szyldem z wyobrażonym złotym i srebrnym dukatem oraz mężczyzną i kobietą trzymającymi się za ręce.

Wysiłek przejścia tych kilkuset jardów wycisnął z Felice siódme poty. Przystanąła na chwilę, aby zebrać siły.

Do której najpierw? Jedna wyglądała znacznie lepiej od drugiej, która miała brudne okna, a ze ścian odłaziła farba. A może to tylko poza? Ludzie robili dziwne rzeczy, byle tylko interes szedł jak należy. Nie było przesady w stwierdzeniu, że szukający wrażeń bogaty szlachcic lub kupiec chętniej wybrałby pospolitą mordownię niż drogą gospodę. Choć nie bez obstawy, ma się rozumieć.

Podrapała się w głowę. W której z nich znają Izaka lepiej?

Obróciła się i ruszyła prosto do burdelu.

Zwalisty czarnoskóry mężczyzna otaksował ją wzrokiem, gdy wchodziła. Pewnie wykidajło. Nosił ciemne ubranie, jakby jego pracodawca chciał, żeby wtopił się w tło, a klienci zapomnieli, że w ogóle tam jest. Jego mięsista dłoń zacisnęła się na jej ramieniu i mężczyzna pokręcił głową. Felice przypomniała sobie, że wciąż trzyma w ręku nóż.

– A. No tak. Przepraszam.

– Oddaj go. Otrzymasz z powrotem, wychodząc.

– Oczywiście.

Podawała mu broń, która w jego wielkich łapskach wyglądała jak kozik do owoców. Skinęła mu głową, a on odwzajemnił uprzejmość i wrócił do obserwowania pomieszczenia – luksusowego wnętrza zastawionego różnymi kanapami i leżankami, z którego rozchodziły się na boki przysłonięte kotarami prywatne pokoje. Co tam się niby działo? Przecież chyba się nie... Tak na widoku...?

Zanim dokończyła tę myśl, ktoś ją zaczepił.

– Witaj, dobra kobieto. Jestem madame Jensette. Pozwól, że wezmę od ciebie tę torbę.

Felice wbiła w nią wzrok. Była... olśniewająca. Wielkie okrągłe oczy spozierały na nią spod ciasno kręconych platynowych włosów. Miała doskonale opaloną skórę i czerwone, kapryśne usta o interesującym wykroju.

– Znaczy... Nie, dziękuję. Ja tylko kogoś szukam.

Madame Jensette zaśmiała się. Melodyjnie i dźwięcznie, zupełnie nieudawanie. Felice pomyślała, że musi być świetna w swoim fachu.

– Jak my wszyscy. Jaki masz typ?



– Starszy mężczyzna, mniej więcej tego wzrostu... – Felice pokazała dłonią, ile wzrostu mógł mieć Izak, a potem zamarła, zorientowawszy się, o co pytała kobieta. Zaczerpnęła tchu. – Przepraszam. Nie wyraziłam się jasno. Nie szukam towarzystwa, tylko znajomego, który jak mi się zdaje, często tutaj gości... – Kolejny głęboki wdech. – Sir Izaka Fourie – wymówiła nieco ciszej. – Nie wiesz może, gdzie mieszka?

– O rety, czyżby Izak miał wielbicielkę?

– Proszę cię, po prostu... Muszę wiedzieć, gdzie mieszka, to wszystko.

Jensette popukała się palcem w policzek.

– A wolno spytać, po co ci ta informacja? – Na jej twarzy pojawiła się troska, gdy prześliznęła się wzrokiem po spoconej twarzy i drżących dłoniach Felice. – Czy dobrze się czujesz?

– W porządku, tylko trochę się przeziębiłam. – Może będzie bardziej skora do współpracy, jeśli pomyśli, że jestem ciężko chora. Lub może... Felice specjalnie zatrzęsała nogami i podniosła dłoń do skroni. – Może... bardziej niż trochę. Ale to nic, nie przejmuj się.

Jensette odsunęła się od niej. Nagle spoważniała.

– Jeśli jesteś chora, musisz wyjść. Nie mogę pozwolić, żebyś pozarażała moje dziewczyny.

Felice pokiwała głową z udręczoną miną.

– Może to przez dziecko. – Dotknęła brzucha. – Mogłabym dostać szklankę wody?

Na twarzy Jensette zajaśniało współczucie. Posłała kogoś po wodę i zaraz podeszła do nich kobieta z pełnym kielichem. Felice przyjęła go, markując bezbrzeżną ulgę i wdzięczność. Łyknęła wody.

– Dziękuję – wymruczała, spuszczać wzrok. – Proszę, powiedz mi, gdzie jest Izak...

O przodkowie, błagam, ona na pewno wie.

– A to drań... – wymamrotała Jensette. – Mieszka na Zimokwietnej, kilka przecznic stąd w kierunku Stryczka, nad sklepem spożywczym. Ze swojego starego domu już dawno się wyprowadził.

– Dzięki.

– Jeśli będzie próbował wymigać się od odpowiedzialności, wróć tutaj i daj mi znać. Zadbam, żeby poszedł po rozum do głowy. A teraz, jeśli wolno... – Jensette wskazała jej wyjście i Felice ruszyła w jego kierunku, pamiętając o nożu.

– Zapraszamy ponownie – zadudnił za jej plecami wyprany z emocji głos wykidajły i Felice skrzywiła się, nim dotarło do niej, że pewnie to zwyczajowa formułka na pożegnanie.

Felice wyminęła trzech pijaków, którzy wytoczyli się z przeciwległej karczmy, i nie minęło wiele czasu, a stanęła przed sklepem. Rozklekotana drewniana klatka schodowa wspinała się po bocznej ścianie budynku na piętro. Felice zmagala się z każdym stopniem, podnosząc nogi ciężkie jak z ołowiu, a potem załomotała do drzwi.

Brak odpowiedzi. Uderzyła jeszcze kilka razy.

– Izak, ty draniu wszeteczny, wyłaż mi zaraz!

Z wewnątrz dobiegł ją krzyk, a potem zgrzytnęły zasuwki i drzwi się otworzyły. Stał w nich Izak ubrany jedynie w nocną koszulę, spod której wystawały chude nogi. Wepchnęła się do środka, nie zważając na jego paplaninę.

– Lady Felicienne! Ty żyjesz!

– Tak, tak. Załóż coś na siebie, człowieku! Masz może herbatę?

– Herbatę?

– Tak. Takie coś do picia.

Izak potarł zaspane oczy, rozglądając się nieprzytomnie, jakby spodziewał się, że pełny imbryk zmaterializuje się sam.

– Hm... niestety nie. Żadnej herbaty.

– A masz cokolwiek?

– Wino?

– Niech będzie.

Patrzyła, jak krząta się po mieszkaniu. Zaledwie jeden pokój ze stojącym w rogu łóżkiem, pod które Izak wciskał właśnie nogą sterty brudnej odzieży. Po zamieszaniu związanym z błyskawicznym sprzątnięciem pomieszczenia – które tak naprawdę niewiele zmieniło

– Izak nalał Felice wina do szklanki, którą uprzednio przetarł szmatą.

– To jest, znaczy... Ta szmata jest czysta – powiedział, podając jej naczynie.

– Dziękuję. Nie masz też może łyka wody?

– Obawiam się, że nie. Ani kropelki.

Oczywiście...

Zupełnie nie spodziewała się po Izaku takich warunków. Myślała, że jest wystarczająco bogaty, by nigdy nie zniżyć się do mieszkania w podobnie obskurnym miejscu.

– Co się stało z twoim domem? Przegrałeś go w dominion?

Izak zaprzeczył.

– Nie mogłem tam wrócić po tym, co się stało. A gdyby po mnie przyszli?

– Kto? Indryallanie?

– Tak! Słyszałem, że cię porwali. Bałem się, że jestem następny.

Felice zachichotała.

– Ja znalazłam cię w pół godziny. Gdyby cię ścigali, już dawno siedziałbyś w lochu.

– Hm... a jak to zrobiłaś?

– Madame Jensette mnie pokierowała. Jeśli naprawdę chcesz się ukrywać, najlepiej zrobisz, rezygnując ze starych przyzwyczajzeń.

Izak miał na tyle przyzwoitości, by zarumienić się i odwrócić wzrok.

– No cóż – powiedział. – Teraz już będę wiedział.

– Mogę usiąść? Jest tu jakieś krzesło czy...?

– Obawiam się, że nie. Tylko łóżko. Jest... czyste, zapewniam.

Felice wzięła łyk wina, idąc w stronę łóżka, i ruchem ramienia zsunęła torbę na pościel. Wzdychając, rozmasowała kark i usiadła. Izak przeciął pokój i stanął naprzeciwko, patrząc na nią, jak mysz mogłaby patrzeć na kota, który zapędził ją w kąt.

– Potrzebna mi twoja pomoc – powiedziała Felice z całą mocą. – I nocleg.

– Mój dom jest...

– Każdy, kto cię zna, wie, gdzie mieszkałeś, a każdy, kto cię nie zna, łatwo się dowie o twoim nowym lokum. W dodatku teraz Jensette wie, że tu przyszedłem. Tutaj już nie jest bezpiecznie, Izaku.

Mężczyzna rozejrzał się, strzelając wzrokiem to tu, to tam. Jego przerażenie wydało jej się śmieszne. Może by się roześmiała, gdyby nie była tak zmordowana. Wzięła jeszcze łyk wina, a potem ze smutkiem odstawiła naczynie na stół. W tym stanie upiłaby się jedną szklanką.

– Izaku, posłuchaj mnie uważnie. Musimy się stąd wynieść. Jeszcze dzisiaj.

Szlachcic pogładził kozią bródkę i przekrzywił głowę.

– Zgoda. Jak mówisz, nie jest tu bezpiecznie. Ale dokąd pójdziemy? Też się nad tym zastanawiała.

– Do Rebeci. Poprosimy ją o schronienie.

– Rebeci zniknęła. Od naszego ostatniego spotkania nie pojawiła się w naszych kręgach. Nie mam bladego pojęcia, gdzie ona może być. Jakies inne miejsce?

Nic nie przychodziło jej do głowy, ale uznała, że lepiej nie mówić tego Izakowi.

– Spakuj się. Weź tylko to, co potrzebne.

Rozejrzała się po mieszkaniu. Było pozbawione osobistych drobiazgów. Skrzynie i drewniane pudła z rzeczami Izaka stały oparte o ścianę. Nie zawracał sobie głowy rozpakowywaniem, a może nie znalazł czasu. Siedziała, dopóki nie wcisnął kilku rzeczy do worka, a wśród nich małego pudełka na biżuterię i paru sakw z dukatami. A właśnie.

– Będą mi potrzebne pieniądze. Spokojnie, zaledwie kilka dukatów. Cokolwiek możesz mi odstąpić już teraz, na wypadek gdyby okazały się potrzebne.

Mężczyzna zawahał się, ale zaraz pokiwał głową i dał Felice parę srebrników, które schowała w kieszeni. Stał w środku pomieszczenia, obracając się, jakby próbował zdecydować, co jeszcze wziąć. Wreszcie wzruszył ramionami.

– Jestem gotowy.

– Dobrze. Wybacz mi, Izaku.

Mężczyzna przerzucił pełny wór przez plecy.

– Dokąd idziemy?

Tym razem Felice się zaśmiała. Miała wrażenie, że to pierwszy raz od dawna.

– A nie wolałbyś się przedtem ubrać?



Izak zaczął iść w kierunku Dokowiska, ale Felice nalegała, by wrócili do Zachodnich Kurhanów, gdzie znajdowała się kiedyś Gildia Czarodziejów oraz siedziba Protektorów i gdzie teraz urządzili sobie sztab Indryallanie.

Pociągnęła Izaka za ramię, a on ruszył za nią, choć jego oczy zdradzały, że nie jest przekonany. Horyzont na wschodzie zaczynał jaśnieć; Felice wiedziała, że niebawem ulice wypełnią się ludźmi. Już zaczęli mijać gdzieś błędnie się błąkające się ranne ptaszki, przeważnie praktykantów i robotników oraz kobiety w drodze do wspólnych pieców, gdzie wypiekało się chleb.

– Nie powinniśmy tędy iść – syknął Izak.

– Mam pewien pomysł, za to nie mam czasu na tłumaczenia.

– Nie masz czasu? Idziemy od godziny.

– Wiem o sprawach, o których ty nie masz pojęcia, więc proszę, zaufaj mi. Masz złotego dukata?

– Tak, ale... – Izak westchnął i wyłowił z kieszeni sakiewkę, a z niej monetę, którą zaraz jej podał.

– Otrzymasz ją z powrotem.

Jeśli Rebeci uznała, że musi się ukryć, pomyślała Felice, to dlaczego nie uciekła z resztą swojej kompanii? Nie, ona wciąż była w mieście, dalej pilnowała swoich interesów. Wystarczyło tylko pójść za płynącymi do jej kieszy dukatami. A był jeden biznes w Anasomie, którego jak dotąd nikt nie powiązał z Kompanią Pięciu Oceanów, z wyjątkiem może kilku osób – w tym Felice.

Przed budynkiem Pierwszego Banku Cesarskiego ciągnęła się aż za róg kolejka znieczepionych petentów. Kompanię zamknięto do odwołania, więc ludzie na gwałt zaczęli gromadzić się przy drugim największym banku w cesarstwie, który najwidoczniej miał teraz więcej klientów, niż potrafił przemieścić od świtu do zmierzchu. Słońce jeszcze nie wstało, a ludzie już kłębili się przy wejściu. Kilka godzin czekania i dojdzie do zamieszek.

Czterej niespecjalnie szczęśliwi strażnicy strzegli podwójnych, pokrytych miedzią drzwi, które na razie były jeszcze zamknięte i takie miały pozostać przez najbliższe kilka godzin. Bankierzy lubili się wysypiać.

– Chodź – powiedziała Felice i podeszła do najbliższego strażnika. Z niesmakiem spojrział na jej proste odzienie.

– Kolejka zaczyna się za rogiem.

– Tak, wiem. – Podniosła dukat Izaka, trzymając go między palcem wskazującym a kciukiem, po czym opromieniła wartownika uśmiechem. – Musimy zobaczyć się z tym, kto tu dzisiaj szefuje, i to jak najszybciej. – Podsunęła mężczyźnie monetę. – To bardzo ważne.

Mrugnął raz i wczepił się wzrokiem w pieniądź.

– Ważne, mówisz?

– Owszem, arcyważne.

– Sprawa życia i śmierci, nie śmiem wątpić?

– Jako żywo.

Strażnik capnął dukata i dał znać towarzyszowi, by rozsunął nieco ciężkie odrzwia.

– Szybko, zanim tłuszcza pomyśli, że już otwarte.

– Dziękuję. Naprzód, mój Izaku.

Wsunęli się do środka przez szczelinę i znaleźli w wyłożonym marmurem korytarzu. Przed nimi znajdowały się kolejne miedziane odrzwia. Przeszli nimi do sali pełnej drewnianych kontuarów. Ich kroki odbijały się echem. Schludnie ubrana kobieta ruszyła im na spotkanie.

– Przepraszam najmocniej – powiedziała władcym tonem. – Jak się tu dostaliście?

– Przekupiliśmy strażników – odparła szczerze Felice, a kobieta rozdziawiła usta. – Musimy zobaczyć się z osobą, która zarządza tym przybytkiem.

Kobieta uniosła brwi.

– To ja, ale nie wiem, jak mogłabym pomóc...

Felice pokręciła głową i pochyliła się do kobiety. Nielekko szepciem wymówiła:

– O nie, nie ty. Rebecci. To z nią musimy się zobaczyć. Powiedz jej, że przyszła lady Felicienne Shyrise i sir Izak Fourie. Przyjmie nas. Jeśli akurat wyszła, poczekamy.

Kobieta zmrużyła oczy, a potem z godnością kiwnęła głową i obróciła się na obcasie, by zaraz zniknąć w drzwiach za jednym z kontuarów.

Nie minęło wiele czasu, a wyszła i przywołała ich machnięciem ręki. Przeprowadziła ich przez drzwi, a potem korytarzem ku obszernej klatce schodowej, nią zaś do odosobnionego gabinetu.

– Zaczekajcie tu – poleciła.

Felice usiadła na jednym z dwóch ciężkich drewnianych krzeseł postawionych przed biurkiem. Skórzaną torbę złożyła na podolku i patrzyła na chodzącego w kółko Izaka.

– Nie rozumiem – wymamrotał do niej. – Dlaczego Rebecci miałyby tu być? Bank Cesarski to przecież największy rywal Pięciu Oceanów.

– Przestań krążyć i siadaj. To bardzo proste: wcale nie są rywalami. Pięć Oceanów jest właścicielem połowy Banku Cesarskiego. No, niezupełnie połowy, cesarstwo ma pakiet kontrolny, ale prawie.

Izak stanął w miejscu i obrzucił Felice spojrzeniem. Widziała, że potrzebuje chwili, by przetrwać tę nową rewelację.

– Więc to wszystko zasłona dymna? Największa biznesowa rywalizacja w cesarstwie to oszustwo?

– Tak. A Rebecci nie zaszyłyby się nigdzie, skąd nie mogłaby śledzić rozwoju wydarzeń. A więc musi być tutaj.

Izak obwisł na krześle obok niej.

– Szaleństwo. Po co komu dwa banki?

– Jak to po co? Mogą konkurować między sobą, bo wszystkie profity i tak spływają do nich, ale ponieważ teoretycznie nie kontrolują Banku Cesarzkiego, cesarz może przynajmniej sprawiać pozory, że walczy z monopolem.

Gdy skończyła mówić, do pokoju weszła Rebecci, jak zwykle wychudzona i z potarganymi siwymi włosami.

– Mówiłam, żebyście uciekali z Anasomy – powiedziała bez ogródek. – Nawet dałam wam pieniądze. Całe wory pieniędzy. A jednak... widzę was przed sobą. Ty – wskazała na Felice. – Ty jesteś skażona.

– Tak, wpadłam do rzeki i w ranki na moich ramionach wdarło się zakażenie – odpowiedziała Felice.

– Nie rozumiałaś mnie. Skażona, nie zakażona. Byłaś zbyt blisko niego.

– Kelhaka? – domyśliła się Felice.

Bez ostrzeżenia Rebecci przypadła do niej i złapała za głowę obiema rękami. Felice czuła się tak, jakby ktoś ścisnął jej głowę imadłem. Zassała z mocą powietrze, chcąc wrzeszczeć, ale z jej ust wydobył się tylko cichy pisk. Słyszała, że Izak coś krzyczy, ale brzmiał, jakby siedział pod wodą.

Raptem nacisk zelżał i znowu mogła oddychać. Spostrzegła, że Izak klęczy przy niej i ociera ślinę z jej ust.

– Miałaś szczęście – oznajmiła Rebecci. – Musiałaś uciec, zanim cię wziął.

Felice odepchnęła delikatnie Izaka.

– Dziękuję ci – powiedziała zawstydzona, a potem zwróciła się do Rebecci. – Co ty mi właśnie zrobiłaś? I co to znaczy „zanim mnie wziął”? Chyba nie... cielesnie?

– Podobno robi także i to. – Rebecci zasiadła za biurkiem i zmarszczyła się na Izaka, który otrzepał kolana, nim zajął miejsce obok Felice.

Felice dotknęła skórzanej torby na swoich kolanach, czując, jak zaczynają się obracać zębatki w jej głowie. Kompania Handlowa



Pięciu Oceanów wiedziała, że Indryallanie najadą Anasomę. To jasne jak słońce. Ale nikogo nie ostrzegli. Felice zdecydowała, że musi mieć się na baczności, dopóki nie dowie się, w co oni grają. Ale Rebeci udzieliła im także pomocy, choć wcale nie musiała.

– To ten sam Kelhak, tylko że ma sto lat – wypaliła. – Ty chyba wiesz, co tu się dzieje, prawda? Z nim jest... coś nie tak. Powiedz mi co.

Rebeci zamarła na krótką chwilę. Tak krótką, że Felice by nie zauważyła, gdyby bacznie jej nie obserwowała.

– Może właściwie postawione pytanie nie powinno brzmieć, kim on jest, tylko czym on jest? – Jest Kelhakiem, ale... to skomplikowana sprawa, a ja nie powinnam o tym mówić.

– Oczywiście, że powinnaś. Anasomie grozi wielkie niebezpieczeństwo. Może całe cesarstwo jest w tarapatkach. Indryalla nie zajęłaby miasta tylko po to, żeby czekać w nim przodkowie wiedzą na co. Chyba że mają jakiś plan. Bądź ze mną szczerą.

– Jak już powiedziałam: nie powinnam o tym mówić.

– A kto powinien? – zeżliła się Felice.

– Mieliście uciekać z Anasomy.

– Ale nie uciekliśmy. Z kim mieliśmy się spotkać? Powiedziałaś, że dołączymy do ciebie, ale ty, jak widzę, dalej tu jesteś.

Rebeci popukała paznokciami w biurko, wbijając wzrok w Felice. Po kilku chwilach powiedziała:

– Z naszym przywódcą, Gaziją. On wytłumaczyłby wam kilka spraw.

Tajemnicza jak panna na wydaniu, zakpiła w myślach Felice. Była gotowa się założyć, że ten cały Gazija też nie powiedziałby im prawdy.

Pochyliła się naprzód.

– Kim. Jest. Kelhak?

Po raz pierwszy, odkąd ją poznała, Rebeci straciła rezon. Wbiła wzrok w biurko.

– To nie jest twój poziom.

– Nie mój poziom. Może. Ale Indryallanie tkwią tutaj jak szczury w pułapce. Cesarz zabije większość z nich, a resztę zepchnie na morze i z powrotem do Indryalli. A potem...

Rebeci kręciła głową, choć usta miała zaciśnięte. Z narastającym przerażeniem Felice wymieniła spojrzenie z Izakiem.

Rebeci właśnie przekazała, że cesarz nie będzie w stanie pokonać Indryallan.



**A**ta co tu robisz? – zdziwił się Amerdan, widząc na własne oczy, jak Elpidia wkłada do koszyka świeże zioła. Uzdrowicielka podziękowała sprzedawcy, a potem przeszła do kolejnego straganu. Następny zielarz, ale jego towar nie był już tak świeży. Elpidia powąchała je i poszła dalej. Nawet ze swojego punktu obserwacyjnego po drugiej stronie ulicy Amerdan widział, że liście są obwędłe i bez życia. Elpidia się uśmiechała, co było dziwne. Nie przypominał sobie, by choć raz widział ją uśmiechniętą podczas ich wspólnej podróży. Szła jakby żwawiej, bardziej ochoczo. Sprawiała wrażenie, jakby ostatkiem sił tłumiała wybuch radosnego śmiechu.

Uświadomił sobie, że sam się szczerzy, przywołał więc na twarz wystudiowany wyraz lekkiego rozbawienia. Jakie były szanse, że

napatoczą się na siebie w tak wielkim mieście? Czy to zrządzenie losu?

Kropka poruszyła się za jego koszulą. Sięgnął tam, by ją ukoić. Rozejrzał się, by nie wpaść na żadnego przechodnia, a potem włączył się w sunący ulicą pływ ludzi. Ramiona trzymał przy ciele, żeby czasem kogoś nie dotknąć.

Wszyscy byli brudni, ohydni. Starorzecze zdawało się pod tym względem jeszcze gorsze od Anasomy. Przynajmniej nad samym morzem bryza rozwiewała fetor.

Amerdan nieustannie czuł, że oddycha powietrzem, które przeszło przez płuca wszystkich ludzi wokoło. Mdlilo go, gdy o tym pomyślał. A jednak znowu wyszedł do miasta po sprawunki dla Dzwonków. Oboje potrzebowali jedzenia, a ona sama jeszcze kilku rzeczy do swoich rzemyśliw.

Albo tak tylko mówiła. Czasem myślał, że pozbywa się go specjalnie.

Mężczyźni i kobiety roili się naokoło, nie zwracając na siebie uwagi. Jakby w ogóle się nie widzieli. Prychnął śmiechem, ściągając na siebie zaciekawione spojrzenie idącej obok kobiety. Zignorował ją i znowu łypnął na Elpidię.

Stała przy piecach, obok których rozłożył swoje stoisko piekarz. Niespiesznie obejrzała chleby i ciasta, wybrała sobie obrosniętą grubą skórką bochen i małe ciastko obsypane ziarenkami sezamu. Zapłaciła piekarzowi i włożyła wszystko do koszyka, a potem odwróciła się i spojrzała prosto na Amerdana.

Uciekł wzrokiem i pochylił głowę, zwracając się ku straganowi, który właśnie mijał. Wiedział, że nie zdążył, że go zauważyła.

Ale gdy się wyprostował, zobaczył, że Elpidia poszła dalej przed siebie, pozornie niewzruszona. Amerdan wiedział, że tylko udaje. Nic dla niego nie znaczyła, nie próbowałby jej nawet zaabsorbować. Ale ich przypadkowe spotkanie mogło się skończyć tylko w jeden sposób.

Przeszedł do kolejnego stoiska z metalowymi narzędziami, cały czas wczepiony spojrzeniem w odbicie Elpidii w witrynach sklepów.

Wybrał młotek i obłe dłuto do pracy w metalu – dwie rzeczy, których zażyczyła sobie czarodziejka.

Dostrzegł w szybie, że uzdrowicielka ukradkiem obejrzała się za siebie i zobaczyła, że Amerdan jest odwrócony do niej plecami, po czym dała nura w boczną alejkę. Chwilę później wyjrzała zza rogu, nie chcąc go zgubić.

Pomimo tej dziwnej fiksacji na punkcie Caldana głupia nie była. Musiała się domyślić, że Amerdan sprzymierzył się z Dzwonkami. Powinna była, znalazłszy myszy, które dla niej upolował. Pisk, pisk! – pomyślał Amerdan, chichocząc pod nosem.

Ona ma zamiar go śledzić. Może nawet uda jej się znaleźć ich mieszkanie i zobaczyć czarodziejkę. A potem zaraz pobiegnie do Caldana i jego koleżków Protektorów, żeby wszystko im wypaplać. Niech sobie na razie myśli, że Amerdan jest myszą, a ona kotem.

Zapłacił za zakupy i ruszył ulicą w tym samym kierunku, w którym zmierzał wcześniej, mijając ukrytą w ciemnym zaułku Elpidię. Nie kłopotząc się spoglądaniem w tył, szedł na przełaj przez targowisko, nie spiesząc się, ale i nie idąc dość wolno, by Elpidia pomyślała, że chce jeszcze coś kupić.

Gdy znalazł się pięć przecznic od miejsca, w którym wypatrzyła go uzdrowicielka, skręcił i przeszedł między dwoma straganami zawalonymi belami materiału i kapeluszami. Pamiętał, by iść żwawym krokiem. Nieprzeczuwająca niczego Elpidia szła za nim. W miarę zbliżania się do mieszkania, które dzielił z Dzwonkami, zapuszczał się coraz głębiej w coraz gorsze rejony miasta, które straszyły rozklekotanymi, wspartymi na sobie ruderami, gdzie zalegali żebracy i biegali brudni ulicznicy, wczepiający się wzrokiem w nieznanego. Skręcił w ciemną aleję, zobaczył w głębi umorusane dziecko, a potem obrócił się twarzą do jej wylotu.

Czekał.

Wkrótce na bruku zaszurały miękkie buty Elpidii, a chwilę później ona sama weszła do zaułka. Szła z pochyloną głową, zagubiona we własnych myślach, o mało na niego nie wpadając.

– Przepraszam – wybąkała. – Przepraszam bardzo.

– Witaj, Elpidio – rzekł uśmiechnięty Amerdan.

Zakrył jej usta dłonią, a drugą zacisnął na gardle. Gorączkowo drapała jego przedramiona, próbując je z siebie zrzucić, ale nie miała czego się chwycić. Amerdan trzymał uzdrowicielkę w żelaznym uścisku, był od niej o wiele silniejszy.

Przycisnął kobietę do ściany, nie odejmując ręki od gardła. Odetkał jej usta, a ona zassała głośno powietrze. Gdy ponownie podniósł rękę na wysokość oczu, trzymał w niej lśniący nóż.

– Bła... – pisnęła.

– O co ty możesz mnie błagać? – zasyczał Amerdan. – Nie jesteś warta, żeby cię wziąć.

Jego nóż załśnił w ciemności, a potem jeszcze raz. Puścił Elpidię, a ona zsunęła się po ścianie na zimny bruk.

Zajęczała, mrugając powiekami. Próbowwała zaczerpnąć tchu, ale nie mogła. Rozległ się mokry, ssący dźwięk. Amerdan wytarł nóż o jej spódnicę i zostawił ją w rynsztoku.



Caldan minął się w bramie z oddziałem Protektorów. Trzeci raz dzisiaj szukał Elpidii na dziedzińcu. Miał nadzieję, że lada chwila wejdzie bramą, ale już dwa razy się zawiódł, myląc ją z kimś innym.

Gdy wodził wzrokiem po placu, wypatrzył mistrzów Annelie i Molda, którzy szli w kierunku innego oddziału zmęczonych Protektorów. Jeden z nich kręcił przecząco głową, wręczając coś Annelie. To był kompas Caldana, który jeśli dobrze liczył, niedługo się wypali. A więc wciąż nie mogą znaleźć Dzwonków, a kompas wydawał się bezużyteczny.

Na przodków, gdzie się podziewa ta Elpidia? Rano poszła na targ; mówiła coś, że potrzebuje więcej ziół i że ma ochotę wyrwać się na chwilę z siedziby Protektorów. Niemal z dnia na dzień stała się inną osobą, odmienioną, uśmiechniętą i zdecydowanie mniej marudną.

Chyba wyleczenie z bolesnej i śmiertelnej choroby każdemu poprawiłoby nastrój.

Tylko że nie było jej już cały dzień i Caldan zaczynał się martwić. Starorzecze było bezpiecznym miastem pod kontrolą Kołczanów, ale rozboje się przecież zdarzały. Surowe kary za przestępstwa wystarczyły, by zniechęcić wszystkich poza najgłupszymi i najsprytniejszymi zbirami. Trudno mu było wyobrazić sobie, aby ktoś ryzykował życie, żeby napaść Elpidię, co oznaczało, że zatrzymało ją coś innego.

A tym „czymś innym” mogła być na przykład Dzwonki.

– Przodkowie... – zaklął pod nosem.

Nie będzie dłużej czekał.

Pospieszył z powrotem do ich pokoi i przeszukał rzeczy uzdrowicielki. Znalazł jej szczotkę i wyjął z niej kilka włosów, a potem wrócił do swojej kwatery i rozłożył na biurku arkusz papieru.

Byle szybciej złożył drugi kompas, zaczynając od wypisania run. Było to trudne, gdyż nie miał do dyspozycji półszlachetnych kamieni, lecz rzemyśliwo powinno przetrwać kilka dni ze względu na niewielkie natężenie krążącej po nim magii. Najwięcej kłopotów sprawiło Caldanowi nadanie mu kształtu. Przez chwilę patrzył na arkusz, czekając, aż wyschnie atrament. Ostatecznie zdecydował się na ptaka. Jeśli postawi go stabilnie na dłoni, dziób wskaże drogę do Elpidii.

Chwilę później skończył, zamykając w rzemyśliwie włosy uzdrowicielki.

Wyrzwał przez okno i schował do kieszeni kilka czarodziejskich kul. Co jeszcze? Obawiając się najgorszego, przypasał miecz. Broń może zwrócić uwagę Kołczanów, a ci zechcą go zatrzymać i wypytać... chyba że zabierze ze sobą mistrza Molda.

Zbiegł po schodach, ignorując zaskoczone spojrzenia praktykantów i czeladników. Molda nie było już na dziedzińcu. Caldan nie chciał marnować czasu, by szukać i jego.

Wypatrzył Joachima w zwyczajowym miejscu. Choć pił coś z kubka i patrzył w innym kierunku, Caldan czuł na sobie ciężar jego uwagi. Zgadywał, że niewiele umyka temu człowiekowi. Cesarz nie czynił arcymagiem byle idioty. Joachimowi nie można ufać, ale to nie znaczy, że nie jest użyteczny.

Caldan podszedł do niego.

– Potrzebna mi twoja pomoc – oznajmił bez ogródek.

– Bardziej, niż ci się zdaje – odparł Joachim. – A w czym dokładnie, jeśli wolno spytać? Powiedziałem ci już, że nie mogę zrobić nic więcej dla Mirandy.

– Tym razem chodzi o Elpidię. Wyszła dziś rano i słuch po niej zaginął.

– Uważasz... – głos Joachima zawisł w powietrzu.

– Myślę, że mogła nadzieć się na Dzwonki. Jest bezradna wobec niej i takie spotkanie nie skończyłoby się dla niej dobrze. Mogła zostać porwana. Albo gorzej.

– Twój kompas jak dotąd nie zdał się na wiele. Ale zakładam, że jestem ci potrzebny, bo wolisz nie ryzykować spotkania z nią sam na sam?

Caldan kiwnął głową. Kropelka potu ściekła mu po czole. Czas uciekał.

– Jeśli połączymy siły, nie pokona nas. Zrobiłem kolejny kompas z włosami ze szczotki Elpidii. – Pokazał mu papierowego ptaka na dłoni. Choć nie było wiatru, rzemyśliwo drgnęło w kierunku północno-zachodnim.

Joachim uśmiechnął się.

– To może być przełom, na który czekaliśmy.

– Nie jeśli coś złego stało się Elpidii.

Arcymag zbył troskę Caldana machnięciem ręki.

– Tak, jasne, oczywiście. – Opróżnił kubek i wstał, poprawiając pas. – Na co czekamy?

Razem opuścili siedzibę Protektorów, kierując się tam, gdzie wskazał kompas.





Joachim szedł krok za Caldaniem. Denerwowało to chłopaka, ale uświadomił sobie, że tylko przenosi swoją nieufność do tego człowieka do nowej sytuacji, w której się znalazł. Potrząsnął głową i skupił się na Elpidii. Niezależnie od ukrytych motywów Joachima wobec Caldana i jego talizmanów młodzieniec czuł, że w tej akurat sprawie może mu zaufać. Joachim poszedł z nim, by odszukać jego zaginioną przyjaciółkę, nawet jeśli przede wszystkim chciał dorwać zbiegłą czarodziejkę.

A przynajmniej taką miał nadzieję.

– Coś nie tak? – spytał Joachim.

– Nie, ja tylko... Czasem się zamyślam. Mam nadzieję, że Elpidii nic nie jest.

– Jeśli masz rację i rzeczywiście została porwana, doprowadzi nas prosto do Dzwonków. Ale na pewno nic jej nie jest. To wielkie miasto, może po prostu się zgubiła.

Ale Caldán pojął, że tak naprawdę arcymag miał nadzieję, że została porwana, i przypomniał sobie po raz setny, że Joachim nie jest dobrym człowiekiem.

Papierowy ptak prowadził ich prosto na północny zachód. Światło dnia gasło, pogrążając ulice w mroku. Główne arterie wciąż były zatłoczone, ale boczne uliczki i alejki opróżniły się z ludzi, którzy wrócili do domu na wieczorny posiłek. Kilku ciekawskich gapiów pociągnęło za nimi wzrokiem, gdy przechodzili obok. Nie wiedząc, sam pewnie zwróciłby uwagę na człowieka z papierowym ptakiem na otwartej dłoni.

Ptak zaprowadził ich na opustoszały targ, gdzie większość straganów już zdążyła zwinąć się na noc. Ostało się tylko kilka, na których sprzedawano jedzenie – od chleba po gotowe do spożycia posiłki.

Ptak okręcił się na ręce Caldana i skierował dziób w lewo. Taka zdecydowana korekta kursu oznaczała, że Elpidia musi być gdzieś

blisko. Caldan zatrzymał się, Joachim stanął obok niego.

– W lewo – wyjaśnił młodzieniec, wskazując boczną ulicę. – Tędy.

Nie czekał na reakcję arcymaga, od razu zerwał się do biegu, uważając, by nie upuścić kompasu. Gdy mijał kolejne zakręty, ptak okręcał się wyraźnie na jego ręce.

Elpidia musiała być gdzieś bardzo blisko.

Przyspieszył, słysząc za sobą niosące się echem po ciemnych uliczkach kroki Joachima.

Kolejne skrzyżowanie.

I zobaczył trzy Kołczany stojące nad zaległą na ulicy stertą ubrań.

Przodkowie, nie...

To było nieruchome ciało. Trup w kałuży krwi.

– Elpidia – jęknął Caldan i pognał naprzód.

Widząc go, Kołczany zastąpiły mu drogę.

– Cofnąć się! Nie ma na co patrzeć.

– Przepuście mnie – powiedział Caldan. – Muszę wiedzieć na pewno...

– Dajcie mu przejść – nakazał Joachim dźwięcznym, żołnierskim tonem.

Starszy spośród Kołczanów syknął na jego widok.

– Chłopcy, to jest arcymag. Róbcie, co mówi.

Dwa Kołczany niechętnie wykonały polecenie. Caldan natychmiast podbiegł do ciała. To była Elpidia. Jej pierś pokryta była krwią, która wypłynęła z dwóch ran.

– Nie, nie, nie – szepnął. Łzy pociekły mu z oczu, gdy przyłożył dłoń do policzka martwej kobiety. Słyszał za sobą głosy Joachima i Kołczanów, ale słowa nie zapisywały się w jego głowie.

To niesprawiedliwe. Tak długo szukała lekarstwa, a gdy je w końcu znalazła, zginęła. Przez ostatnie dni była tak pełna życia, rozpierała ją nowo odnaleziona nadzieja, a teraz leżała tutaj, martwa, porzucona na ulicy jak śmieć.

– Była... – zaczął, ale zaraz urwał.

– Co? – spytał Joachim.

Była już prawie zdrowa, chciał powiedzieć.

Tłumiąc szloch, Caldan odgarnął jej włosy z twarzy. Wstał i zwrócił się ku Kołczanom:

– Nie powinna tak tu leżeć.

Jeden ze strażników, brodaty, odpowiedział:

– Czekamy na wóz. Wkrótce przyjedzie, wtedy zabierzemy ją do najbliższego uzdrowiciela.

– Uzdrowiciela? A po co?

– Ciało przez kilka dni poczeka w chłodni, aż je zidentyfikujemy. Potem zdecydujemy, co robić dalej.

Caldan chciał brodaczowi odpowiedzieć, ale słowa nie przeszły mu przez ściśnięte gardło.

Do rozmowy włączył się Joachim:

– Nie ma potrzeby. To uzdrowicielka z Anasomy. Podróżowała z tym człowiekiem. On szkoli się na Protektora i poprosił mnie o pomoc w poszukiwaniach, gdy jego przyjaciółka długo nie wracała. Wiemy, kto to jest, i to wam powinno wystarczyć.

Kołczan zapisał coś w małym notesie.

– Skoro tak... Musimy go w takim razie przesłuchać. – Zwrócił się do Caldana: – Czy ofiara miała jakichś wrogów? Kogoś, kto źle by jej życzył? Takie zbrodnie nie zdarzają się tu często.

Zanim Caldan otworzył usta, odezwał się Joachim:

– Nie wiemy o nikim takim. Możliwe, że nieopatrznie pokazała na targu, że ma pieniądze, i ściągnęła na siebie typów spod ciemnej gwiazdy. Wygląda na to, że gdy podjęli próbę obrabowania jej, doszło do szamotaniny i napastnicy spanikowali.

Kołczan zawahał się, zerkając na ciało Elpidii, a potem wracając spojrzeniem do arcymaga. Caldan zauważył uniesioną brew Joachima. Kołczan nerwowo przełknął ślinę.

– Racja. Wyciągnąłem podobne wnioski. Zamieszczę to wszystko w raporcie.

– Dobrze. Dopilnuj tego, mój dobry człowieku. – Joachim przeniósł wzrok na Caldana i złapał go za ramię. – Chodźmy. Panowie mają pełne ręce roboty, a my im przeszkadzamy.

Caldan wykręcił się z uścisku arcymaga.

- Nie zostawię jej na ulicy.
  - Zajmą się nią. W niczym jej już nie pomożemy.
- Caldan ściągnął na siebie spojrzenie strażnika.
- Kiedy zostanie pochowana? I gdzie?

Mężczyzna zahaczył wzrokiem o Joachima, nim odpowiedział. Jakby spodziewał się od arcymaga instrukcji.

- Ponieważ ciało znaleziono w tej części miasta, miejscem pochówku będzie cmentarz miejski. Znajduje się kawałek za miejską bramą. Możemy... zaaranżować pogrzeb na jutro, jeśli chcecie. Jeśli życzy sobie tego... – skinął na Joachima – przesuniemy ją na przód kolejki.

Joachim poklepał Caldana po plecach.

- Doskonale. Przyjdziemy na pogrzeb, czyż nie, Caldanie? Aby dopilnować, żeby wszystko przebiegło jak należy i... z szacunkiem dla majestatu śmierci.

Otępiały Caldán pokiwał głową, a gdy Joachim i Kołczany wymienili pozdrowienia, odwrócił się plecami do Elpidii i ruszył ulicą. Nie widział niczego wokoło, po prostu włókł się naprzód noga za nogą, nie sięgając myślą dalej niż kolejny krok. Dopiero teraz zauważył krew rozmazaną na spodniach i koszuli. Elpidia. Spojrzał pustym wzrokiem na swoje umorusane czerwienią ręce i potarł je razem, jakby mył je pod wodą, co oczywiście w niczym nie pomogło.

Przemierzał ulice i mijał ludzi jak katatonik. Dopiero przed bramą domu Protektorów dotarło do niego, że Joachim szedł obok. Żal momentalnie spłynął z Caldana, a w jego miejscu zawiercił gniew. I zmieszanie.

- Dzwonki nie użyłyby noża – powiedział. – Nie miałyby takiej potrzeby. To zrobił ktoś inny.

- Absolutnie. I to ktoś biegły w walce na noże. Ktoś, kto potrafi... dokonać takiego czynu niepostrzeżenie w biały dzień. Gdyby włókł ją boczną ulicą, zobaczyłoby go pół miasta. To oznacza, że Elpidia musiała natknąć się na kogoś, kogo znała.

Serce Caldana ścisnęło się w piersi. Jeśli to nie Dzwonki zabiła Elpidię, to jedyną znaną jej osobą w całym mieście, poza Caldaniem,

Mirandą, arcymagiem i Protektorami, mógł być tylko Amerdan. Pamiętał noże w rękach sklepikarza i to, co zrobiły Mahsonnowi.

Pytanie brzmiało: dlaczego miałyby zabijać Elpidię? To nie miało sensu.

Chyba że... działał w porozumieniu z Dzwonkami.

– Amerdan.

Joachim przeprowadził go bramą na dziedziniec.

– Z ust mi to wyjąłeś. Czy Elpidia i Amerdan znali się wcześniej?

– Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Sądzę, że poznali się dopiero podczas inwazji na Anasomę. Krótko przed naszą ucieczką.

Joachim mruknął pod nosem.

– No cóż, nie jestem pewien, dlaczego ją zabił, ale jeśli miałbym zgadywać, to pewnie Elpidia rozpoznała go na ulicy.. Może była z nim wtedy Dzwonki? Zabili ją więc, żeby nam o tym nie powiedziała. Choć przecież sama śmierć Elpidii jest na to dowodem. Niezależnie od powodu, jaki im przyświecał, ten Amerdan to niewątpliwie niebezpieczny typ. – Mag wpił się spojrzeniem w Caldana, popatrzył na jego zakrwawione ręce i koszulę. – Idź się umyć i przebrać. Zjedz coś, napij się. Odpocznij.

Caldan słyszał jego słowa, ale nie składały mu się w głowie w koherentną całość.

– Teraz gdy Elpidii już nie ma – powiedział – sam będę musiał zająć się Mirandą.

– Każę Protektorom wyznaczyć kogoś do pomocy.

– Dziękuję. Zostanę z nią mimo to. Musi mieć przy sobie kogoś znajomego.

Joachim przyzwolił na to skinieniem i ujął Caldana mocno za oba ramiona.

– Znajdziemy tego Amerdana. Dowiemy się, czy to jego sprawka.

W głosie arcymaga Caldana dosłyszał pilność, która wydała mu się wybitnie w złym tonie. Był pewien, że zapał Joachima nie ma nic wspólnego z samą Elpidią. Podejrzewał, że schwywanie Amerdana zajmowało wysoką pozycję na liście jego priorytetów, odkąd tylko sam wspomniał mu o zdolnościach sklepikarza. Jeśli chodził po

świecie jakiś Dotknięty, o którym arcymagowie nie wiedzieli, tym bardziej pragnęli wziąć go na smycz. A jeśli miałyby się okazać, że nie mogą... na pewno nie skończyłoby się to dobrze dla Dotkniętego. Przed oczami stanęła mu wizja: leżał przywiązany do stołu z przewodami wychodzącymi z ciała, przez które jego krew ściekała do buteleczek i fiolek. Nad nim górował uśmiechnięty Joachim. Na tę chwilę zupełnie nie wiedział, jak uchronić się przed takim scenariuszem.



Dźwignął się z łóżka przed świtem, nie zmrużywszy oka. Dowlókł się, opuchnięty, do miednicy z wodą, umył się i ubrał, powierzając potrzeby Mirandy dziewczętom, które przydzielono mu do pomocy.

Joachim dołączył do niego na placu, by towarzyszyć mu w drodze na cmentarz. I pewnie po to, by mieć Caldana na oku i łowić uchem jego słowa, na wypadek gdyby wygadał się o talizmanach lub nabrał ochoty na bunt.

Niech sobie słucha. Prędzej szczepnę, niż ułatwię mu zadanie, zresztą nie mam teraz do tego głowy.

Ulice Starorzecza przemierzał jak we śnie. Ocknął się, dopiero gdy dotarli na cmentarz. Przed bramą dostrzegł starą kwiaciarkę. Kupił od niej bukiet kwiatów i złapał ostrożnie za ściśnięte łodygi, jakby się bał, że zmiażdży je silniejszy dotyk.

Tak jak się spodziewał – było to miejsce wyjątkowo ponure. Ubite ziemiste ścieżki wiły się między grobami, a zimny wiatr wzbijał w powietrze chmury pyłu, omiatające sterczące z porośniętej chwastami ziemi nieruchome nagrobki. Caldan dostrzegł zalegające między nimi kości i skrzywił się z niesmakiem. W dużych miastach przestrzeń była na wagę złota, podejrzewał więc, że działki zmieniały właścicieli po odpowiednio długim okresie lub niekiedy przed nim, jeśli nie ostał się w mieście nikt, kto mógłby się upomnieć o mogiłę krewnego.

Joachim zniknął na chwilę, żeby rozmówić się z grabarzami. Wrócił z dwoma ludźmi, z których jeden pchał przed sobą drewnianą taczkę. Znajdowało się w niej ciasno owinięte całunem ciało.

Poszli za grabarzami, znajdując drogę wśród grobów i krypt wszelkich kształtów i rozmiarów, wykonanych z wszelkich możliwych surowców – z marmuru, pozbijanych gwoździami i wbitych w ziemię desek i polnych kamieni, aż zatrzymali się przy świeżo wykopanej dziurze zawierającej podobnie oporządzone zwłoki.

– Zaraz – powiedział Caldan. – Wrzucą ją do masowego grobu? Mam dość dukatów, żeby zapłacić za osobny.

– To będzie jeden srebrnik.

Caldan podał grabarzowi monetę, nie podnosząc wzroku. Dwaj mężczyźni popchnęli taczkę do innej części cmentarza, gdzie widniały rzędy mniejszych jam.

Zatrzymali się przy pierwszej z brzegu i poderwali taczkę, a ciało Elpidii z głuchym łoskotem wpadło do grobu. Nie czekając, grabarze odeszli zając się swoimi sprawami. Z hałdy ziemi sterczały dwie łopaty, ale mężczyzn już nie było.

Caldan gapił się na ciało Elpidii, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć lub zrobić.

Gdy usłyszał za sobą niecierpliwe kroki Joachima, w końcu wrzucił kwiaty do grobu i złapał za łopatę.



**Z**magający się z wycieńczeniem i ranami odniesionymi w walce Aidan postanowił zaryzykować odpalenie czarodziejskiej kuli, by móc choć trochę polegać na zmyśle wzroku. Żywił przeświadczenie, że pokonana przez nich grupa jukarów była jedyną w okolicy, nawet jeśli to tylko zwiadowcy znacznie większego stada.

Potrzebowali czasu, by wylizać się z ran, odpoczywali więc, ile się dało, choć żaden z nich nie zmrużył oka. W niewyraźnym blasku przedświt polana wyglądała upiornie.

Zszyli i obandażowali rany, a potem Aidan nakazał im ją przeszukać.

– Może znajdziecie coś, co będzie tłumaczyło, skąd ich tu tyłu.

Butem rozgarnął usypany po walce stosik przedmiotów, które miały przy sobie bestie. Nie dawał posłuchu protestom Chalayana



i Vasila, którzy utyskiwali, że marnują tu cenny czas, a powinni uciekać.

Podskórnice Aidan czuł, że jukarowie przynieśli ze sobą odpowiedzi, których oni nie powinni ignorować. Zwłaszcza gdy wracają w tak wielkiej liczbie, dowodzeni przez swoich pradawnych władców. I są coraz bliżej, im dłużej Aidan każe im mitrzyć na tej nieszczęsnej polanie. Powinni uwinąć się jak najszybciej i ruszać w drogę.

Kucający z boku cel Rau trącił palcem jeden z przedmiotów i wskazał go ruchem głowy.

Aidan poruszył się zbyt raptownie i syknął, gdy zaboląła go ręka. Ale nie miał na co narzekać, bo wyszedł z walki bez większego szwanku, zwłaszcza w porównaniu z Vasilem.

Zerknął na sędziego, który siedział oparty o drzewo. Był blady i pocił się z niehumanicznego bólu, jaki niechybnie cierpiał. Unieruchomili i obandażowali mu ramię jak umieli najlepiej, ale dowódca obawiał się, że będzie trzeba je amputować, jeśli szybko nie zajmie się nim kompetentny uzdrowiciel. Jego własna rana także była już dawno opatrzona, ale ani tak poważna, ani tak bolesna, choć to marne pocieszenie.

Chalayan parzył Vasilowi zioła nad ogniskiem, które rozpałił nie wiedzieć kiedy. I uśmiechał się, od walki nieprzerwanie się uśmiechał. W dodatku Aidan wiedział dlaczego. Myślał, że nieodparte pragnienie wiedzy czarodzieja zacznie w końcu krzyżować mu plany. Chalayan stał już na progu, po którego przekroczeniu stanie się nieodróżnialny od tego, co Aidan i jego ludzie przysięgli zwalczać. Kroczył teraz bardzo niebezpieczną drogą, z jakiej mało kto wracał. Aidan powinien z nim o tym pogadać, żeby mag nie stoczył się jak wielu przed nim. Kto wie, może już jest za późno?

Ale Chalayanem zajmie się kiedy indziej. W tej chwili Aidan musiał skupić się na tym, co udało się odebrać jukarom i vormagowi. Usypana w stos broń była porządnie wykonana i niewykluczone, że znaleźliby się kolekcjonerzy chętni wysupłać na

nią dukaty, ale zbyt ciężka, by mógł nią władać zwykły człowiek. Będą więc musieli zostawić ją tu razem z ciałami.

Za to rzemyśliwa vormaga mogły okazać się bardzo przydatne. Aidan uklęknął, by pomóc szermierzowi odsiać je ze stosu pozornie tylko przydatnych śmieci. Nie było ich wiele, ale więcej, niż powinien mieć przy sobie jeden vormag. Może ten przepych o niczym nie świadczył, jednak z drugiej strony... Potworny czarodziej nie dawał Aidanowi spokoju. Ten pokonany i tamten, którego widzieli kilka dni wcześniej, gdy pierwszy raz zetknęli się z jukarami – to razem dwóch, a dwóch to o dwóch za dużo. Nie miał wątpliwości, że z dala od czujnych oczu cesarza, gdzieś w zacienionym kącie jego domeny vormagowie plenili się jak szczury. Skręciło go w żołądku na myśl o tym, jak wielkiego zła mogą dokonać. Lady Caitlyn twierdziła, że wszystkie potwory zrodzone w czasie Zdruzgotania powinny zostać wyeliminowane, że są wybrykiem natury, którego istnienia nie wolno tolerować, i Aidan od zawsze podzielał ten pogląd.

Cel Rau wskazał na cienką, oprawioną w skórę księgę, a Aidan skinął głową. Zobaczył ją już wcześniej. Nie chciał jej dotykać, ale to chyba było nieuniknione. Widział w życiu jeszcze jednego vormaga, który został zabity krótko po tym, jak Aidan dołączył do Caitlyn, i on także miał przy sobie podobny grymuar. Aidan nie zdążył mu się przyjrzeć, gdyż dowódczyni natychmiast go spaliła. Gdy dotarło do niego, że te kreatury mają swój własny język, wzięło go na mdłości, a ich zwyrodniała magia była jeszcze gorsza. Nie mieli prawa przeżyć Zdruzgotania. Powinni byli zginąć wraz ze swoimi stwórcami.

Ale kto wie, może dowie się z tej księgi czegoś istotnego o tych potworach? Obawiał się podążać tą drogą. Caitlyn, która zbyt dobrze poznała ich wrogów, z czasem stała się taka jak oni, co doprowadziło do sytuacji, w której przyparty do muru Aidan musiał ją zabić. Nie znał jednak innego sposobu, by dowiedzieć się, dlaczego vormagowie i jukarowie gromadzili się w tak wielkiej liczbie.

Zaczerpnął tchu i sięgnął po książkę. Palce go zamrowiły po zetknięciu z okładką. Pewnie zwykła skóra cielęca lub kozła, ale... nie zdziwiłby się, gdyby używali ludzkiej.

Przewrócił kilka stron pokrytych nieczytelnym, kanciastym pismem. Gdzieś akapity były przedzielone zagadkowym diagramem. Westchnął. Tak jak podejrzewał, na tę chwilę księga na nic im się nie przyda, wsunął ją więc za koszulę.

– Zbierzcie rzemyśliwa. Wrzucimy je do pierwszego jeziora, jakie zobaczymy. Lepiej, żeby nikt ich nie znalazł. Na przykład jukarowie.

Cel Rau skinął na tak.

– Czas najwyższy się stąd zmywać.

– Tak. Ruszemy, gdy tylko Vasil wypije miksturę Chalayana. Ja chyba też łyknę. – Aidan spuścił wzrok na obandażowaną łydkę cel Raua. – I ty też powinienes.

Wojownik zaśmiał się chrapliwie.

– Prędeż wypiję gorzałę z końskich szczyn – powiedział, ale zaraz strzelił wzrokiem do kociołka nad ogniem. Sam też przecież cierpiał ból.

Tylko Chalayan wyszedł z bitwy nietknięty, lecz Aidan obawiał się, że wróg naznaczył go w inny, znacznie gorszy sposób. Patrzył na maga, który mieszał miksturę miarowymi ruchami. Choć Aidan bardziej martwił się Mazoetem i resztą magów skupionych wokół Pierwszego Wybawiciela, musiał też mieć baczenie na Chalayana. Aidanowi nie sprawiłoby to przyjemności, ale nie pierwszy raz zabiłby jednego ze swoich. Chalayan nie był ani pierwszym, ani ostatnim czarodziejem, który marzył o zdobyciu mocy sprzed Zdruzgotania.

Aidan zmrużył oczy i pozwolił sobie na uśmiezek. Ten nowo odkryty przez Chalayana odprysk pradawnej wiedzy uwierał Aidana jak cierń w boku, ale może uda się obrócić go na ich korzyść. Będzie to zależec, w jakim zakresie i na ile udatnie Chalayan zacznie z niego korzystać.

Zebranie rzeczy jukarów Aidan powierzył cel Rauowi, a sam podszedł do przykucniętego nad ogniskiem Chalayana.

– Jeszcze chwila – rzucił mag. – Kilka minut, żeby przestygło.

Aidan stał nad nim chwilę, a potem westchnął pod nosem. Bał się, że jeśli zacznie go naciskać, tylko przyspieszy nieuniknione. Nie umiał przewidzieć, co się stanie, ale teraz potrzebował pomocy czarodzieja. Kucnął przy ogniu z dala od dymu.

– Chalayanie – powiedział, mając nadzieję, że uda mu się skłonić czarodzieja do opuszczenia gardy – dokonałeś dzisiaj czegoś niesamowitego. Tylko zachodzę w głowę jak.

Mag łypnął na niego, a potem wrócił spojrzeniem do zawartości kociołka.

– Nie jestem pewien... Przed bitwą trochę eksperymentowałem, a gdy pojawił się vormag, to w akcie desperacji... postanowiłem czegoś spróbować. Straciłem nad tym kontrolę i niemal mnie to zabiło. – Zaśmiał się półgębkiem. – Ale zanim doszło do najgorszego, zdążyłem jeszcze zamknąć studnię. Rozpracowanie tego zajmie lata. Nie mam pojęcia, jak czaruje Mazoet. Prawdopodobnie ma dostęp do jakiejś tajnej wiedzy gromadzonej przez stulecia, może odbył też jakąś specjalną praktykę. Wiem tylko tyle, że moje rzemyśliwa nie nadają się do magii, którą on władał. – Potrząsnął głową. – To jest zupełnie inne podejście do czarownictwa, do studni. Niemal oczywiste, jak o tym pomyśleć, ale kto by pomyślał?

Aidanowi nie spodobała się myśl, jakoby Mazoet, a być może także Lumphildern Quiss i sam Gazija byli czarodziejami wyszkolonymi w destruktywnej magii, która zdaniem Chalayana wymagała setek lat praktyki. To mogło oznaczać, że istnieje jakaś sekretna organizacja czarodziejów, którzy gromadzą zakazaną wiedzę od czasów Zdruzgotania i kryją się w świetle dnia. Musiał mieć się przed nimi na baczności, nawet jeśli na dziś jego głównym zmartwieniem był Chalayan. Doszedł do wniosku, że w rozmowie z nim najlepiej zrobi, waląc prosto z mostu.

– Nie podoba mi się, jak to pachnie.

– Wciąż postrzegasz to tylko w czerni i bieli – zaprotestował czarodziej. – Dokładnie jak Caitlyn.

Aidan poczuł ścisk w piersi na dźwięk jej imienia.

– Ile zła uczynię ja, a ile wróg? – argumentował Chalayan.

Wybiela się, pomyślał od razu Aidan. Albo nie dostrzega, albo udaje, że nie dostrzega zagrożenia w tym, co robi. Dowódca tego się właśnie obawiał – twardej, uniemożliwiającej rozmowę defensywy. A jednak czarodziej miał dużo racji: nieugiętość Caitlyn ostatecznie doprowadziła ją do szaleństwa.

– Chcesz powiedzieć, że jeśli wdrożysz się w tej magii – rzekł Aidan – to stanie się ona kolejną bronią w naszym arsenale?

Chalayan z zapalem pokiwał głową.

– Pomyśl, ile dobra zrobimy dla innych, jeśli przeżyjemy dzięki tej magii. Czego dokonamy, zwracając taką potęgę przeciw siłom zła.

Nie my, tylko ty. To ty zawładniesz tą mocą, przemknęło Aidanowi przez myśl. Rzeczywiście, gdyby nie rzucony przez niego czar, nie wyszliby z tego cało. Ale czy nie stanie się niewolnikiem tej rosnącej potęgi? Jak daleko to zajdzie?

– Spotkajmy się w pół drogi – zaproponował Aidan. – Czy możesz stworzyć rzemyśliwo, które spowolni pogoń?

– Może... pewnie tak. Rzemyśliwo nie wystarczy na długo, ale może się uda.

– Dobrze. Zaczynaj, ja tu skończę za ciebie. Ale najpierw chciałbym się dowiedzieć czegoś o tej nowej magii. Wyjaśnij mi to tak, żebym zrozumiał. Pewnego dnia, może zupełnie niedługo, może zależeć od tego nasze życie.

Chalayan podrapał się za uchem i myślał przez chwilę.

– Z nią jest mniej więcej tak, jak powiedział Vasil, kiedy ostatnio o niej rozmawialiśmy. Machnąłem wówczas ręką, ale sens jego słów nie dawał mi spokoju. Zacząłem w kółko o niej myśleć, w drodze, w nocy, ciągle. Widzisz, rzemyśliwa są tylko tak dobre jak materiały, z których są zrobione, i czarodziej, który je wytwarza...

– To wie każdy.

– Daj mi skończyć. Bo to nie są jedyne czynniki. Umiejętności i talent czarodzieja również grają rolę, więc dwa rzemyśliwa wykonane z tych samych materiałów mogą mieć różną moc. Magia destruktywna wywraca do góry nogami wszystko, czego mnie

uczono. I wszystko, czego uczono każdego innego czarodzieja. Najłatwiej wytłumaczyć to w taki sposób: to jest sztuczka, za pomocą której można obejść rzemyślenie, ale rzemyślenie jest bardzo istotnym jej elementem.

Aidan powstrzymał go uniesieniem ręki.

– Czekaj. To nie ma sensu.

Chalayan oblizał usta; zaczął coś mówić, ale zaraz umilkł. Potem podjął:

– Jak kontrolować siłę, która jest zbyt wielka, żeby przepuścić ją przez metalowe rzemyśliwo?

– Nie wiem – odparł Aidan, gapiąc się na niego.

– Najprostsza odpowiedź brzmi: nie da się. A przynajmniej nie przy tradycyjnym rzemyśleniu. Tworzysz rzemyśliwo, które ma swój własny zasób mocy, za pomocą którego kontroluje tę moc. Rozumiesz?

Aidan wolno pokiwał głową. Zaczynał pojmować.

– Jak twoje tarcze?

– Tak! No niezupełnie. Ale podobnie. Magia destruktywna nie płynie przez materiał, tylko przez kanały stworzone przez rzemyśliwo. Dzięki temu materiał nie musi wytrzymać przepływu, ponieważ to nie przez niego płynie moc.

– A więc rzemyśliwo z drewna mogłoby stworzyć tyle samo magii destruktywnej, co najlepsze rzemyśliwo z metalu wytworzone w Gildii Czarodziejów?

– Tak. Innymi słowy, mógłby go użyć każdy czarodziej i byłby tą drogą tak potężny jak czarodzieje, którzy spowodowali Zdruzgotanie. Znaczący... po długim i forsownym szkoleniu, w dodatku musieliby w ogóle umieć tworzyć takie rzemyśliwa, ale... – Chalayan zerknął na Aidana i zaraz odbiegł wzrokiem. – Chyba...

– Jak zdołałeś wytworzyć rzemyśliwa, dzięki którym udało ci się sprawdzić twoje pomysły, jeśli przedtem, zanim Vasil nieumyślnie naprowadził cię na właściwe tory, nie miałeś pojęcia, jak magia destruktywna działa?

Chalayan wzruszył ramionami.

– To było proste odwrócenie tarczy, choć wydaje mi się, że niewielu czarodziejów dopasowałoby do tego właściwe runy. Tarcze pomyślane są w taki sposób, żeby nie wpuścić niczego do środka, a magia destruktywna musi mieć coś w środku.

Czy to nie czyniło ich tym samym? Aidan pokiwał głową, choć nie miało to dla niego sensu. Wskazał palcem napar Chalayana.

– Chyba już gotowy? Należę trochę Vasilowi i cel Rauowi, sam też się napiję. Ty wracaj do pracy nad rzemyśliwami. Chcę, żeby goniących nas jukarów spotkało kilka wrednych niespodzianek.

Mimo że na twarzy czarodzieja zagościł wyraz zwątpienia, Chalayan pokiwał głową.

– Zrobię, co będę mógł, ale nie mogę nic obiecać. Jak już wspomniałem, muszę przeprowadzać doświadczenia, żeby ułożyć tę magię jak należy.

– Rzecz w tym, że nie mamy wiele czasu. Zrób, co w twojej mocy. – Aidan spojrzał na wschód. Już niedługo zrobi się zupełnie jasno. Ostatecznie nie było tak źle, zmarnowali tylko pół dnia, choć byli mocno pokiereszowani. O Vasilu martwił się najbardziej. Kolejne dni forsownej drogi nie przysłużą się jego ramieniu.

– Wyruszamy za godzinę – mówił dalej Aidan. – No, bierz się do roboty.

Chalayan zaklął i skrzywił się, ale wiedział, że nie ma sensu się spierać. Cokolwiek zrobi, lepsze to niż nic, a wszyscy potrzebowali dodatkowego odpoczynku.

Aidan znalazł w ich rzeczach trzy kubki i odmierzył do każdego równą ilość naparu, a potem dolał kilka łyków Vasilowi. Przetrzęsnał własne torby, aż znalazł zawiniętą w materiał zieloną buteleczkę z silnym środkiem przeciwbólowym, mieszankę skoncentrowanego oleju makowego i kilku innych ekstraktów. Nie było już sensu oszczędzać ich na później. Przygotował je właśnie na chwilę taką jak ta.

Ostrożnie wlał Vasilowi do kubka pięć kropel, zastanowił się, a potem dodał jeszcze dwie. Przed nimi trudne dni, sędzia będzie

potrzebował wszelkiej dostępnej pomocy, jeśli ma żywy dotrzcę do Starorzecza.



Luphildern Quiss szedł za Gaziją w kierunku morza. Pierwszy Wybawiciel odrzucił jego propozycję pomocy, choć ten krótki spacer do łatwych nie należał. Często ciągnął swoją laskę za sobą, jakby nie mógł jej unieść. Quissem wstrząsała rozpacz, gdy widział starca w tym stanie, choć rozumiał jego potrzebę wskazania innym drogi. Proste drogi często prowadzą do złego, pomyślał Quiss. Wszyscy o tym wiedzieli, ale niektórzy zapomnieli. Potrząsnął głową zniechęcony. Nie był w stanie pojąć, jak mogli zapomnieć po tym wszystkim, co ich spotkało, lecz z drugiej strony starał się rozumieć, że cierpienie związane z ich istnieniem każdy mógł przeżywać po swojemu.

Szedł wolno za Gaziją, trzymając się dość blisko, by w razie czego móc go złapać. Ku jego uldze starzec nie upadł i dotarli w końcu na klif wyglądający na zatokę, gdzie stał zacumowany ich statek.

Zimny południowy wiatr szarpał ich ubranie i ciął aż do kości. Luphildern wciąż nie przyzwyczał się do tego miejsca i do obcych krajobrazów. Jasnopomarańczowe chmury przysłoniły zachodzące słońce i zalały morze ciepłym światłem, które kłóciło się z zimnym wiatrem. Na południu pęczniały ciemne chmury.

– Dobrze – rzekł Gazija łamiącym się głosem. Starzec oczyścił gardło, nim odezwał się ponownie: – Wiatr przyspieszy przybycie naszych przyjaciół.

– Nie są naszymi przyjaciółmi. Bynajmniej. Tylko najemnikami.  
Gazija odchrząknął.

– Każdy, kto czyni po twojej myśli, może być uznany za przyjaciela.

Quiss milczał. To miejsce zmieniło ich wszystkich. Gaziją także. Choć wszyscy pamiętali go przede wszystkim jako zbawcę, Quiss



dostrzegł, że przywódca stał się bardziej cyniczny, odkąd wylądowali w tym obcym świecie. Stracili niemal nadzieję, a trudy ich położenia zaczynały odciskać się w ich duszach.

– Przetrywamy to – powiedział. – Savin i pozostali w końcu przejrzą na oczy. Przetrywamy, jak zawsze.

– Ja nie chcę tylko przetrwać – warknął Gazija. Stał nieruchomo, ściskając swoją laskę, nie odrywając wzroku od oceanu.

Długo tak trwali, znosząc podmuchy potężniejącego wiatru. Od południa sunął ku nim zbity masyw ciemnych chmur, który pochłonął już pół nieboskłonu. Czarne kłęby podświetlały od środka huczące błyskawice.

Gazija odwrócił się i zaczął iść w stronę obozu.

– Wracajmy już. Idzie burza.



**A**merdan wśliznął się do mieszkania, a pochylona nad rzemyśliwami Dzwonki podniosła na niego wzrok. Odgarnęła ciemne włosy za ucho, nim wróciła do pracy. Urzekął go ten drobny gest i to właśnie burzyło jego spokój.

Wiedział, że czarodziejka wykorzystuje jego ciało, żeby odreagować, i co rusz przypominał sobie, że Dzwonki jest wyłącznie narzędziem do realizacji jego własnych celów. Pewnie myślała, że okręciła go sobie wokół palca, że są dla siebie czymś więcej, ale Amerdan wiedział, jak myślą czarodzieje, a wszyscy myśleli tak samo. Podszedł do niej i wymruczał do ucha słodkie słówko. Lepiej, żeby tak myślała. Była dla niego użyteczna, a ten nowy wątek posłuży do przyspieszenia toku wydarzeń. Po drugiej stronie pokoju na dnie skórzanego plecaka, który kupił i wypełnił zapasowym

ubranie i ekwipunkiem, wyczuł poruszającą się z irytacją i niecierpliwością Kropkę.

Dzwonki przelotnie dotknęła jego ręki.

– Masz narzędzia, o które prosiłam?

– Tak. – Sięgnął do kosza i podał jej młotek i dłuto.

– Dziękuję. – Czarodziejka wróciła do stołu i położyła narzędzia na blacie. – Czy ktoś cię widział?

– Nie. Kupiłem też trochę chleba i ciastko, jeśli jesteś głodna. – Czuł rozbawienie, karmiąc Dzwonki jedzeniem, które zabrał martwej Elpidii.

– Jestem głodna, ale... – Niechętnie wróciła wzrokiem do rzemyśliw, a potem spojrzała na Amerdana. – Niech będzie, skończę, jak zjemy. Obawiam się, że mamy do tego tylko ser.

– Ser będzie w sam raz. Pomyślałem, że po jedzeniu mogłabyś znowu spróbować otworzyć moje studnie.

– Oczywiście. Choć bardzo nie chcę sprawiać ci bólu. Nie wiem, jak ty to znosisz.

Amerdan postawił kosz na stole i wyjął z niego bochenek chleba. Wyciągnął nóż i obejrzał ostrze, żeby się upewnić, że dokładnie wyczyścił je z krwi uzdrowicielki. Zadowolony, pokroił chleb. Irytował go bałagan na stole i w mieszkaniu, ale zmusił się, by zachować spokój.

Zaczął się zastanawiać nad czymś, co można by powiedzieć w sytuacji takiej jak ta.

– Jeśli dzięki temu zostanę czarodziejem, zniosę to.

– Jestem pewna, że niedługo przełamie jedną z blokad. Sam się przekonasz. Bóg-Imperator będzie pod wrażeniem, gdy zobaczy, że masz dwie studnie. I zostaniesz sownie wynagrodzony za swoją lojalność.

Nikt mnie już nigdy nie zniewoli, odpowiedział w myślach.

Zadrżała mu ręka, którą trzymał nóż. Ostatkiem sił powstrzymał się przed poderżnięciem Dzwonkom gardła. Spokój, nakazał sobie. Jeszcze nie teraz. Jest mi potrzebna.

Kiedy powinien to zrobić? Zastanawiał się nad tym, odkąd powiedziała mu, że będzie potrafiła odblokować jego studnie. Jeśli uda jej się z pierwszą, powinien czekać, aż skończy z drugą, czy może już wtedy przestanie być użyteczna? Bo jeśli nie ona, będzie musiał znaleźć do pomocy kogoś innego. A może wcale nie będzie to konieczne? Skoro będzie już wtedy czarodziejem, może poradzi sobie sam? Nie, wątpliwe. Potrzeba mu szkolenia. I to była kolejna rzecz, którą mógł uzyskać od niej. Wiedza i doświadczenie, którymi była gotowa się podzielić z własnej woli i bez ograniczeń.

Grzebanie Dzwonków w jego głowie i to, co działo się w łóżku, było utrapieniem, które na dziś po prostu musiał znosić.

Pokroił ser w plastry i ułożył je na kromce chleba. Zjedli razem. Wygłuszył w umyśle większość jej paplaniny, gdy rozprawiała o Indryalli i o jej splendorze, ale odkrył, że z zainteresowaniem słucha o tym jej Bogu-Imperatorze, z którym była, jak twierdziła, spokrewniona, tak jak zresztą większość tamtejszych czarodziejów. Zwłaszcza ta ostatnia część go zaintrygowała.

– Przepraszam, możesz powtórzyć? Jak jeden człowiek może mieć tak wiele dzieci i wnuków?

Dzwonki zaśmiała się dźwięcznie, co podziałało mu na nerwy.

– Jest w końcu Bogiem. Jest nieśmiertelny i pobłogosławił swój lud licznym potomstwem. Mężczyzn nazywa swoimi synami, a nas, kobiety, córkami, choć tak naprawdę jestem jego praprawnuczką.

Ciekawe.

– Jak to się dzieje, że żyje tak długo?

– Mówiłam już, jest bogiem. Ma moc uzdrawiania. Wszystko zawdzięczamy jemu. To dzięki Bogu-Imperatorowi nasza magia jest tak zaawansowana, że tutejsi czarodzieje nie mogą się z nami równać. Chętnie dzieli się wiedzą i jest dla nas dobry.

Opowiadała o nim z czcią i Amerdan wiedział, że musi uważnie dobierać słowa. Nie chciał psuć nowego układu, który powstał między nimi.

– Nie mogę się doczekać, aż będę mógł... mu służyć – wymówił z fałszywą dumą.

– To dzięki jego życzliwości najechaliśmy Anasomę. Cesarstwo to zło wcielone. Sam widziałeś, jak ono traktuje swoich poddanych. Cesarz to tyran i krwiopijca. Podatki, więcej podatków, nieprzebrane sumy zmarnotrawione na wznoszenie pomników i gmachów, których jedynym zadaniem jest sławić cesarza. To się musi skończyć. Bóg-Imperator chce dać wszystkim wolność.

Amerdan pokiwał głową, choć uważał, że cesarstwo niczym się od imperium nie różni i że to bez znaczenia, kto zasiada na tronie. Zastąpienie cesarza Bogiem-Imperatorem nie wydawało mu się korzystne. Właściwie była to zamiana siekierki na kijek, która musiała doprowadzić do jeszcze większej niewoli i tyranii, w dodatku ugruntowanych przez nieśmiertelnego władcę.

– Zajmijmy się blokadami – zmienił temat. – Im szybciej je przezwyciężymy, tym szybciej będę mógł przydać się na coś zarówno tobie... jak i Bogu-Imperatorowi.

Dzwonki wstała i ujęła Amerdana za rękę, a potem zaprowadziła do łóżka.

– Miną lata, zanim staniesz się mistrzem czarodziejstwa. Ale jestem pewna, że to w końcu nastąpi. A teraz lepiej się połóż. Na pewno zemdlejesz, tak jak ostatnio.

Amerdan usłuchał i spojrzał z dołu na twarz Dzwonków. Była ładna, ale nie tego potrzebował, tylko jej magicznego talentu i studni.

– Zamknij oczy, ukochany. Chciałabym, żeby to tak nie bolało, ale...

– W porządku – zapewnił ją. – Ufam ci.

Zamknął oczy i ścisnął swój umysł w małą, ciasno ubitą kulę, przygotowując się na uderzenie bólu. Zniesie wszystko, byle tylko zostać czarodziejem. Będzie pierwszym magiem władającym wieloma studniami, najpotężniejszym ze wszystkich.

Może silniejszym nawet od Boga-Imperatora.



Amerdan się ocknął. Wciąż leżał w łóżku. Dzwonki otarła mu krew spod nosa mokrą szmatką, nucąc jakąś melodię. Pod jej dotykiem poczuł, że spływa na niego spokój. Co jakiś czas zanurzała szmatkę w miednicy z ciepłą wodą. Jej troskliwość lała mu miód na serce, dlatego właśnie czuł się z nią nieswojo, ale z jakiego powodu – tego nie wiedział.

– Jak się czujesz? – spytała przyciszonym głosem.

Głowę miał ciężką jak z ołowiu i obolałą. Obrócił ją, by spojrzeć na Dzwonki, krzywiąc się, gdy ten drobny ruch wywołał spazm bólu.

– Do wytrzymania... – odparł.

Znowu zamoczyła szmatkę, tym razem ocierając mu czoło i resztę twarzy.

– Bardzo się spocileś. Gdy już będziesz mógł wstać, weź kąpiel.

Amerdan wolał nie kiwać głową. Dzwonki złożyła szmatkę i położyła na stoliku nocnym. Ostrożnie ujęła jego głowę w dłonie.

– A... – Zassał powietrze.

– Przepraszam. Ból wkrótce minie. Czujesz coś?

Skrzyżował z nią spojrzenia.

– Czy ty...?

Potwierdziła skinieniem, zagryzając dolną wargę.

Ignorując pulsujący ból, Amerdan zamknął oczy i sięgnął zmysłami do studni, szukając... właściwie czego? Przedtem ledwo był w stanie je wyczuć. Ale teraz... coś było inaczej.

W miejscu, gdzie Dzwonki spędziła wiele godzin, drążąc i badając jego umysł, teraz brakowało czegoś, co było tam wcześniej. Wyczuł tylko cienki woal. A za nim kłębiła się dzika, chaotyczna energia. Natychmiast się wycofał.

– Poczuleś? – spytała z mocą czarodziejka.

– Tak.

– Udało się. Jedna studnia jest prawie całkowicie odblokowana. Będziesz musiał się z nią oswoić, a ja będę musiała nauczyć cię rzemyślenia. Minie trochę czasu, zanim wykonasz swoje własne, ale to nastąpi prędzej czy później. Kiedy wrócisz do sprawności, zajmiemy się drugą studnią, choć z tą będzie trudniej. Ta blokada

jest mocniejsza, bardziej gładka. Sprawia wrażenie, jakby nałożono ją niedawno... jeśli to ma jakiś sens.

– Nie jestem pewien, ale wierzę ci na słowo. – Skłamał, jej słowa miały całe mnóstwo sensu. Wewnętrznie Amerdan uśmiechał się od ucha do ucha. Satysfakcja, jaką czuł na myśl o tym, że stał się czarodziejem, była przyćmiona jedynie przez jego nienawiść do całej tej kasty. Lecz teraz był jednym z nich. Co to właściwie oznaczało? Nie mógł przecież znienawidzić sam siebie. Nie, musiał być jakiś powód, dla którego to go spotkało.

Spojrzał na rękojeść noża przy pasie, a potem przeniósł wzrok na Dzwonki.

Jeszcze nie teraz. Miała robotę do odwalenia. Dziewczyna pożyje, dopóki Amerdan nie nabierze pewności, że Caldan będzie kontynuował jej dzieło.



– Joachim i jego kłamstwa – syknął Caldan pod nosem.

Elpidia nie żyła, a logika kazała sądzić jemu i Joachimowi, że mógł ją zabić Amerdan. Kolejny kłamca. I Dzwonki także go okłamała.

Caldan chodził w kółko przed siedzącą na łóżku Mirandą. Jej twarz nabrała koloru, ale jego znowu dręczyły wątpliwości, czy Joachim aby nie kłamał również w sprawie jej uleczenia.

Kłamstwo na kłamstwie i kłamstwem pogania.

Każdy myślał tylko o sobie, nie przejmując się konsekwencjami, no chyba że tymi, które miały spotkać jego samego. A najbardziej drażniło Caldana to, że on okazał się taki sam. Bo pozwolił czarodziejce uciec właśnie przez to, że postanowił nie oddawać jej w ręce Protektorów, bo chciał, żeby pomogła mu uzdrowić Mirandę. A teraz, jeśli się nie mylił, ona planowała uderzyć, gdy w Starorzeczu pojawi się cesarz z armią. Caldan nie wiedział, czy chce dokonać zamachu na jego życie, czy może zdziesiątkować cesarskie wojsko,

ale wiedział, że nie istniał żaden inny powód, dla którego siedziałyby w mieście tak długo.

A teraz przez wybory, których on dokonał, Elpidia została zabita. Choć Joachim powstrzymał degenerację jej umysłu, Miranda wcale nie była bliższa ozdrowienia, Caldan zaś związał się z arcymagiem, którego motywy wydawały się cokolwiek podejrzane, bo gdyby poszedł swoją drogą, straciłby jedyną szansę na pełne wyleczenie przyjaciółki. Caldan podejrzewał, że Joachimowi chodzi wyłącznie o kościany talizman, który miał dostarczyć cesarzowi, by ten wyeksploatował go do cna, gdy nie będzie już dłużej użyteczny.

Cesarz zmierzał ku Starorzeczu wraz ze swoją armią i Caldan wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Bo gdy tylko przybędą wraz z cesarskimi arcymagami, skala możliwości Caldana gwałtownie się skurczy. Sęk w tym, że nie bardzo widział wyjście z sytuacji, w jakiej się znalazł. Arcymagowie mieli go w garści i już nie puszczą, a gdyby nawet jakimś cudem wymknął im się z rąk, nigdy nie przestaną szukać. Będzie czuł ich oddech na karku, dopóki nie umrze.

Lub dopóki oni nie uznają go za martwego.

Caldan obracał tę myśl w głowie i bardzo nie spodobały mu się konkluzje, do których doszedł. Czy człowieka takiego jak Joachim w ogóle da się oszukać? Pozostawała jeszcze kwestia kościanego talizmanu, z powodu którego Joachim w ogóle za nim węszył. Nigdy nie będzie mógł go założyć. Odepchnął tę myśl na tył głowy. Może z czasem wykrystalizuje mu się jakiś plan, ale na razie sprawa była zbyt trudna i zbyt ryzykowna.

Caldan musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Joachim powiedział, że Protektorzy nie wiedzą prawie nic o magii zniewalającej, ale przecież coś wiedzieć musieli, bo inaczej nie byliby przygotowani do jej kontrowania. Caldan podejrzewał, że Joachim umniejszał zasób ich wiedzy po to właśnie, by ściślej uzależnić od siebie Caldana. To najlepszy sposób: przekonać go, że Joachim jest dla Mirandy jedyną nadzieją.

W tej sytuacji należało się dowiedzieć, co dokładnie wiedzą Protektorzy o magii zniewalającej. Najlepiej chyba zrobi, zaczynając



od ksiąg, o których wspomniała Annelie. Ukrytych tomów zawierających wszelkie dostępne informacje na ten temat. Gdyby okazało się to możliwe, Caldan powinien także znaleźć jakiś sposób na to, by nauczyć się kontrować tę magię i może nawet poczynić jakieś kroki mające na celu uleczenie Mirandy. Jeśli mu się powiedzie, z Joachimem nie będzie go wiązać zupełnie nic. Choć miał przemożne uczucie, że arcymag nie pozwoli mu tak po prostu odejść.

Ale najpierw rzeczy pierwsze. Wszelkie magiczne księgi mogły znajdować się tylko w mistrzowskiej bibliotece, a wszelkie księgi o magii zniewalającej tam właśnie musiały być ukryte. Nie podobało mu się to, co zamierzał zrobić – było to wbrew wszystkiemu, czego go uczono – ale był zdesperowany i innego wyjścia nie widział.

A więc niech tak będzie – zrobi to dzisiaj w nocy. Resztę dnia będzie pracował nad swoim nowym konstruktem, a potem zobaczy, czego uda mu się dowiedzieć.

Podejmował pewne ryzyko, ale gra była warta świeczki.



Caldan nie napotkał nikogo w korytarzu. Nic dziwnego, było już bardzo późno. Śpiew świerszczy wlewał się do korytarza przez widoczne po prawej stronie okno, które wychodziło z drugiego piętra na ogród. W powietrzu czuć było nadchodzącą burzę.

Deska podłogowa zaskrzypiała pod jego nogą i Caldan stłumił przekleństwo, przesuwając się bliżej ściany, gdzie rząd powbijanych w podłogę gwoździ zdradzał obecność belki. Jeśli pójdzie wzdłuż tej linii, nic nie powinno skrzypieć.

Założył dopasowaną czarną koszulę i spodnie, które kupił wieczorem. Musiałby się gęsto tłumaczyć, gdyby ktoś przyłapał go tutaj, przykucniętego w cieniu obok portretu jakiegoś zmarłego mistrza. Mężczyzna mierzył go z góry surowym wejrzeniem. Caldan

nie przejmował się tym wyrazem dezaprobaty. Są rzeczy, które po prostu trzeba zrobić, niezależnie od konsekwencji.

Poruszając się bezszelestnie ciemnymi korytarzami, czuł osobliwą, cichą ekscytację. Wysunął z kieszeni papierowego lwa, otworzył studnię i podłączył się do niego. Powierzchnię rzemyśliwa pokrywały runy, a pazurzaste łapy potrafiły wczepić się w każdą chropowatą powierzchnię. To będzie jego czujka. Lwa zasilala tylko niewielka ilość magii, więc sprawdzający miasto pod kątem jej zużycia Protektorzy nie powinni nawet zauważyć, że ktoś czaruje w samej ich siedzibie. Symbole zapłonęły w ciemności, nim przygasły do jednostajnego lśnienia. Gdyby ktoś jednak wyszedł na korytarz, z pewnością teraz zauważyłby rzemyśliwo od razu, ale to najlepsze, co Caldan zdołał przygotować w tak krótkim czasie.

Podpełzł do zamkniętych drzwi, naprzeciwko których wisiał kolejny portret jakiegoś dawnego mistrza. Umieścił lwa na szczycie ramy, ustawiając go łbem ku drzwiom po przeciwnej stronie.

Lew ostrzeże go, gdy ktoś tędy przejdzie lub zbliży się do drzwi.

Caldan przemknął korytarzem tak cicho, jak tylko potrafił. Drzwi wyglądały zwyczajnie. Nie wyczuł od nich żadnej wibracji, drewno nie emanowało magią. Zamek musiał być delikatny i skomplikowany. Zresztą nie dziwota, z pewnością wykonał go jakiś mistrz. Potarł zziębnięte dłonie, a potem przyłożył prawą do drzwi. Przez chwilę klęczał nieruchomo, rozpościerając zmysły, szukając śladu aktywnego rzemyśliwa. Nic nie wyczuł.

Wyjął z kieszeni kredę i szybko narysował na zamku te same runy, z których skorzystał, by wejść z Mirandą do Gildii Czarodziejów.

Skoncentrował swoją studnię i nie minęła chwila, a zamek kliknął i drzwi się otworzyły. To stawało się coraz łatwiejsze. Podniósł się, wszedł szybko i zamknął je za sobą.

Choć jego wzrok zdążył przyzwyczaić się do półmroku korytarza, tutaj Caldan nie widział dalej niż czubek nosa. Stał nieruchomo, słysząc jedynie własny oddech.

Złapał okiem błysk światła. Przez szczelinę okiennic nieco z przodu i po lewej mignął księżyc. Nie ośmielił się ich otworzyć, bojąc się, że ktoś zauważy albo usłyszy skrzypienie drewna, ale wiedział, że wcale nie musi. Pokój już wydawał się jaśniejszy. Jego oczy oswoiły się z mrokiem, tak jak wtedy w tunelach pod Anasomą. Ale nie na tyle, by zdołał coś przeczytać.

Powinna tu być... A, tu jest. Ze stołu obok drzwi podniósł małą szklaną kulę. Obrócił ją w palcach, otwierając studnię, i podłączył się do kotwicy. Wewnątrz zbudziło się przygaszone światło, a potem zyskało na sile. Ograniczył przepływ energii i przyćmił jej blask.

Z czoła kapał mu pot. Węszył po sztobie Protektorów, włamał się do mistrzowskiej biblioteki, by kraść księgi – gdy wchodził na pokład „Loretty”, nie wyobrażał sobie nawet, dokąd zawiedzie go los.

Blask wydobył z ciemności wokoło kształty stołów i krzeseł. Pokój wyglądał dokładnie tak samo jak biblioteka praktykantów, choć stoły były lepszej jakości i nie tak zaśmiecone. Przy kałamarzach leżały drewniane pióra ze stalówkami, a na blacie w rogu piętrzyła się przyzma cienkiego papieru, zapewne przeznaczonego do notowania.

Nic nadzwyczajnego, pomyślał, choć nie był pewien, czego właściwie się spodziewał. Podniósł wyżej kulę na otwartej dłoni, chcąc rzucić więcej światła na pomieszczenie. Wychodziły z niego jeszcze jedne drzwi, te w przeciwległej ścianie, pozbawione klamki i zamka. Uśmiechnął się w półmroku. Czeladnik, którego wypytał o mistrzowską bibliotekę, powiedział, że wśród młodych Protektorów krążą plotki o jeszcze jednej, ukrytej bibliotece, do której prowadziły osobliwe drzwi, dające się otworzyć jedynie ręką mistrza. Pogłoski okazały się prawdziwe.

To właśnie tam powinny znajdować się księgi, które mistrzowie chcieli schować za zamkiem nie tylko fizycznym, ale i rzemyslniczym. Teraz musiał je tylko otworzyć.

Stał przy drzwiach i przesunął po nich palcem. Opuszka zamrowiła, a z drewna poniosła się wibracja. Powęszył i wyczuł zapach cytryny, ale bardzo słaby.

Zamknął oczy i powiódł zmysłami po wzorach drzwi. Od razu odrzucił ziarnistą powierzchnię drewna oraz klej otaczający drewniane kołki, którymi je wzmocniono, a potem także metalowe zawiasy, które wyczuł, nie widząc ich. Zostało tylko rzemyśliwo po drugiej stronie – metalowy zamek, który trudno będzie otworzyć na żywioł.

Sięgnął głębiej do studni i wypróbował kilka sposobów, które sam opracował, ćwicząc otwieranie czarodziejskich zamków. Żaden nie zadziałał. Caldan przerwał, żeby zebrać myśli. Gdyby tylko mógł zobaczyć to rzemyśliwo... Zamek skonstruowany został z myślą o mistrzach, nie o uczniach. A jedną z kilku rzeczy, które odróżniały mistrzów od pozostałych czarodziejów, była umiejętność wyprowadzania ze studni wielu strumieni.

Raz jeszcze wysondował zamek zmysłami. Trzy... nie, cztery... nie, jednak pięć części zamka, które były jakieś dziwne, bo przypominały raczej luki, jakie należy wypełnić. Czy to mogą być runy połączenia? Sprawiały takie wrażenie.

A więc musi wyprowadzić pięć strumieni... Wykonalne, ale będzie się musiał wysilić.

Podzielił studnię na trzy i przytrzymał wszystkie w umyśle. Następnie wyprowadził kolejny i odczekał, aż pewniej złapie wszystkie cztery. Wysilek przyprawił go o ból głowy. Strumienie wiły się w jego uścisku, jak usiłujące się uwolnić żyjące istoty. Wziął głęboki wdech i otarł wilgotne czoło. Utrzymując pełne skupienie, wyszczególnił ze studni kolejny strumień, ale ten wysliznął mu się z rąk, więc Caldan przerwał. Syknął przez zęby, gdy fala bólu przetoczyła się przez jego umysł.

Wysiłkiem woli wyciągnął strumień z powrotem i choć ten szamotał się w uścisku jego woli, Caldan zdołał podczepić go do łączników w rzemyśliwie... Metalowy zamek otworzył się i Caldan odetchnął z ulgą. Drżał na całym ciele, mokry od potu. Umysł miał wymęczony, ale na jego ustach kwitł uśmiech.

Pchnął drzwi i omyło go stęchłe powietrze. Znalazł się w kwadratowym pokoju o boku dwudziestu jardów, którego ściany

zastawione były regałami, dźwigającymi liczne księgi i zwoje.

Wtedy poczuł drżenie, gdy coś poruszyło papierowym lwem. Caldan zamarł w bezruchu. Słyszał tylko, jak sam łapie łapczywie powietrze. Cisza aż dzwoniła w uszach. Poczuł, że lew się porusza. Że opada na podłogę. Spadł z ramy obrazu, jakby coś go strąciło. Caldan przełknął ślinę, nie śmiąc oddychać. Stał przykucnięty obok otwartych drzwi i czekał.

Wciąż miał kontakt z rzemyśliwem. Lwu nic więcej się nie przytrafiło, po prostu spadł i leżał do góry nogami na korytarzu. Caldan nie wychwycił już żadnego ruchu. Odczekał jeszcze chwilę. Nie. To pewnie wiatr.

Na powrót skupił całą uwagę na tajnej bibliotece. Szybko powiódł wzrokiem po grzbietach ksiąg, chcąc opuścić to miejsce jak najszybciej.

Księgi poukładano w nieskazitelnym porządku, dzieląc je na sekcje w zależności od dziedziny. Przeczytał kilka tytułów, kręcąc głową na żywotną potrzebę akademików, by komplikować je, jak tylko się da.

– Na przodków... – zaklął chwilę później. Nie było tu żadnych ksiąg ani o magii zniewalającej, ani o destruktywnej. Nie przeszukał jeszcze tylko małej skrzyni wciśniętej pod stół w kącie pokoju. Była wyposażona w solidny żelazny zamek i na ile potrafił stwierdzić na pierwszy rzut oka, nie była zabezpieczona rzemyśliwem. Ponownie chwycił za kredę i wyrysował kilka run, a potem otworzył skrzynię.

Wewnątrz znalazł kilka oprawnych w skórę tomów, przy czym jedne wyglądały na stosunkowo nowe w porównaniu z rozpadającymi się księgami, między które je włożono. Podniósł jeden, otworzył, przewrócił kilka stron. Tak, tego właśnie szukał. Zabranie tylko jednej z tych ksiąg już wiązało się z wielkim ryzykiem. Poważając się na nie, musiał wybrać najwłaściwszą. Taką, która wydawała się najbardziej obiecująca dla jego celów. Odłożył księgę i zaczął czytać pozostałe tytuły. Ciepło, coraz cieplej.

Wreszcie wybrał tom opisujący zaawansowaną magię zniewalającą. Miał nawet cały rozdział poświęcony konsekwencjom

zerwanego połączenia.

Będzie musiał wkrótce zwrócić księgę, ale może istniał jakiś sposób, aby...

Postanowił zabrać też tę pierwszą księgę, opisującą podstawy. Starł kredę, nie chcąc zostawiać śladów, a potem wsunął skrzynię z powrotem pod stół. Wyszedł z biblioteki z obiema księgami pod pachą, zamknąwszy skrzynię i drzwi. Podzielenie studni na pięć strumieni było nieco prostsze za drugim razem.

Rozwarł drzwi do biblioteki i przez szczelinę wyjrzał na korytarz. Słyszał cykanie świerszczy i szum zwiastującego burzę wiatru, ale nic więcej.

Po drugiej stronie korytarza leżał na podłodze jego papierowy lew. Drgał i przesunął się, gdy dotknął go podmuch wiatru. Oczywiście. Tak jak sądził, ten sam wiatr zwał go z obrazu. W końcu to tylko papier.

Zamknął za sobą drzwi i schował lwa do kieszeni, a potem wrócił do swojego pokoju. Księgi poczekają do jutra. Był zmordowany po całym tym skradaniu się i dzieleniu studni. Ale i podekscytowany, i nie tylko dlatego, że może w końcu uda mu się pomóc Mirandzie. Wpadł na pomysł, który może mu bardzo ułatwić studiowanie obu tekstów.

Już nie mógł się doczekać, aż zacznie.



Gdy Caldan się obudził, było już jasno. Upierał się, żeby sypiać w pokoju Mirandy, i nic go nie obchodziło, że może to wyglądać nieobyczajnie. Elpidii już nie było, stanowił więc jedyną bliską Mirandzie osobę i chciał być przy niej, na wypadek gdyby czegoś potrzebowała. Okna zostawił szeroko otwarte i łóżko przestawił tak, by poranne słońce opromieniało mu twarz. Jak zwykle pierwsza jego myśl po przebudzeniu zaraz pomknęła do Mirandy. Wstał, by sprawdzić, czy jest jakaś poprawa. Niestety, bez zmian. Tyle dobrego,

że przynajmniej spała. Gdy tak siedziała i patrzyła przed siebie, prawie nie mógł na nią patrzeć.

Pocałował ją w czoło. Poruszyła się, ale nie obudziła.

Zostawił ją, a sam usiadł na łóżku i przyjrzał się księgom, które zdobył minionej nocy. Pożyczył, przypomniał sobie.

Miał co prawda dość ograniczoną wiedzę w dziedzinie, ale przynajmniej na ile potrafił ocenić, wyglądały obiecująco. Pierwsza omawiała podstawy magii zniewalającej, wraz z runami i wzorami potrzebnymi do tworzenia prostych rzemyśliw. Druga rozwijała wszystkie zagadnienia, poszczególne rozdziały opisywały techniki usuwania wspomnień lub zmuszania ofiar do wykonywania czynności wbrew ich woli. To okropne, ile zła można wyrządzić za pomocą magii. Caldan nie dziwił się, że Protektorzy bronili dostępu do tej wiedzy.

Zamknął księgi i schował je w swojej torbie, przykrywając zapasowymi koszulami, na wypadek gdyby ktoś chciał do niej zajrzeć. Podebrawszy dwie zakazane księgi z biblioteki mistrzów, czuł, że zaczyna popadać w paranoję, i dręczyło go poczucie winy. Choć wątpił, by ktoś ich lada moment potrzebował, chciał jak najszybciej odłożyć je na miejsce.

W tym miał mu pomóc pewien zamysł.

Opuścił siedzibę Protektorów i ruszył do Gildii Skrybów. Kończyły mu się dukaty i nie wymyślił jeszcze, jak dopełnić sakiewkę. W czasie podróży do miasta wydawał je na jedzenie, a potem, już w Starorzeczu, wykosztował się na składniki do rzemyśliw. W tym tempie zaraz wypłucze się z resztki pieniędzy.

Dotarwszy do gildii, spytał o ceny i skrzywił się na ich zawrotną wysokość. Zaprowadzono go do bocznego pomieszczenia, gdzie pracował tak zwany ślepy kopista – młodzieniec, który widział, ale nie potrafił czytać. On będzie w stanie skopiować obie księgi, nie poznając ich treści.

Caldan wręczył mu żadaną kwotę oraz oba pożyczone tomy. Ślepy kopista tani nie był, w dodatku Caldan niechętnie powierzał obcej osobie tak rzadkie i niebezpieczne księgi, ale gildia szczyła się

swoją dyskrecją, a to było najważniejsze. Upewniwszy się, że za tę kwotę drugi ślepy kopista zajmie się drugą księgą w tym samym czasie, Caldan odetchnął z ulgą.

Kopie miały być gotowe za parę dni, oba woluminy nie były wcale tak opasłe, jak z początku się wydawało. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za kilka nocy zwróci je, a mistrzowie o niczym się nie dowiedzą. A potem będzie mógł studiować magię zniewalającą, kiedy tylko przyjdzie mu ochota, przy odrobinie szczęścia uleczy Mirandę i... może nawet pozbędzie się kuli u nogi, jaką był mu Joachim.





**F**elice obudziło chrapanie Izaka i niesmak w ustach. Obróciła się na bok. To spowodowało atak kaszlu i napływ do ust gęstej flegmy. Ułożony po drugiej stronie pokoju Izak spał w najlepsze, a pusta butelka obok łóżka powiedziała Felice, że jeszcze chwilę pośni.

Teraz sobie przypomniała. Bolała ją ręka. Knykcie miała posiniaczone i pokryte strupami po tym, jak uderzyła w ścianę. Izak i Rebeci uspokoili ją, podsuwając kolejne wypełnione po brzegi kielichy, które miały uśmierzyć jej ból – zarówno ten promieniujący z pokaleczonej ręki, jak i z pokiereszowanego umysłu.

Zrzuciła z siebie cienki koc i schyliła się po własną butelkę, wypluwając do niej flegmę i odstawiając gdzieś na bok. Minionej nocy nie była sobą. Anasomę zabarykadowano na głucho, Felice nie miała więc jak wysłać wiadomości do cesarza lub któregośkolwiek

z jego przybocznych. Zresztą co ona miała za informacje? To raczej przecucie, nic więcej. I właściwie nie jej, tylko Rebecci.

Potrząsnęła głową i syknęła z bólu. Była całkiem pewna, że cesarz poradzi sobie ze wszystkim, co mogą na niego rzucić Indryallanie. Bała się wyłącznie o jego armię.

Najeźdźca nie przeprowadziłby tak szeroko zakrojonej operacji i nie poważyłby się na tak wielkie ryzyko, gdyby nie był pewny sukcesu. Felice była gotowa się założyć, że gdy już uderzą w cesarstwo, zginą setki, jeśli nie tysiące ludzi.

Obok jej łóżka leżała porządnie złożona odzież oraz para butów – prezent od Rebecci, sfinansowany przez kompanię. Felice musiała się również dowiedzieć, co knuje Pięć Oceanów – ale wszystko w swoim czasie. Skoro nie mogła ostrzec cesarza, może udałoby się chociaż pokrzyżować Kelhakowi plany w samej Anasomie. A tego nie dokona bez pomocy kompanii.

Problem polegał na tym, że jej poprzednie próby podkopywania pozycji Indryallan w mieście wydały jej się teraz błahe. Bo choć miała na koncie kilka sukcesów, w szerszej perspektywie niewiele one znaczyły. Wróg ledwie potykał się o kłody, które rzucała mu pod nogi, chcąc go obalić.

Musiała poszerzyć swoje horyzonty. Musiała mieć na uwadze pełny obraz spraw, nie tylko wycinki. Jej pomysł, by zatopić okręt pociskami z trebusza, był krokiem w dobrym kierunku – a jednak akcja się nie powiodła. Kelhak ocalił swoją jednostkę za pomocą magii i w tym właśnie Felice upatrywała główną przeszkodę. Musiała wymyślić, jak im dopiec, żeby nie byli w stanie – lub nie zdążyli – obronić się czarami.

Zerknęła na pochrapującego Izaka, po czym zdjęła brudne ubranie i włożyła koszulę oraz spódnicę. Wolałaby spodnie, ale niech już będzie. Wsunęła buty, zawiązała je, po czym wyszła. Musiała pomyśleć, ułożyć jakiś plan.

I przede wszystkim zjeść śniadanie.



Kilka godzin później Felice wciąż siedziała w jadłodajni, gdzie spałaszowała jajka w miodzie i kiełbaski na podpieczonym chlebie. Przed nią stał w połowie opróżniony imbryk, drugi, który zamówiła, stygł beczynnie, podczas gdy ona patrzyła przez okno na ruchliwą ulicę. Jadłodajnia znajdowała się w porcie, nieopodal Gościńca, ale nie dość blisko, by Felice ryzykowała zauważenie przez indryallańskich żołnierzy. Ci trzymali się głównych ulic, obawiając się patrolować mniejsze uliczki i alejki lub też w ogóle się tym nie kłopotując. Była całkiem pewna, że tutaj jest bezpieczna, choć wiedziała, że Savin, jeśli zechce, dorwie ją choćby pod ziemią.

Przejechała palcami po włosach i pomasowała blizny po ospie na policzkach. Był to stary nawyk, z którym kiedyś chciała zerwać, dopóki nie postanowiła traktować go jako przypomnienia o tym, jak daleko zaszła dzięki swojej odwadze, bystrości i ciężkiej pracy.

Wróciła myślami do chwili, gdy jej mistrzyni próbowała przed cesarskimi arcymagami zebrać pochwały za wykonaną przez Felice pracę, a ona sama odważyła się zabrać głos. Ku jej przerażeniu kobieta tego samego dnia trafiła do lochu. Nie przez wybuch Felice, choć to on sprawił, że ludzie cesarza odkryli popełnione przez nią zbrodnie. Wszystko dlatego, że chlapnęła coś w złości. Felice nauczyła się tego dnia, jak wielka jest moc słów i informacji. To wytyczyło kurs jej życia na najbliższe lata. I doprowadziło tutaj... do Anasomy, miasta niemal wyciętego z żyjącej tkanki cesarstwa, gdzie siedziała w portowej jadłodajni z pełnym herbaty pęcherzem, zastanawiając się, co może zrobić, by uchronić to cesarstwo przed unicestwieniem.

Kelhak był kluczem do rozwiązania zagadki, co do tego nie miała wątpliwości. Ale jak go dorwać...?

Felice patrzyła na przechodzących za oknem obywateli Anasomy, zajętych swoim życiem i niemyślących wcale o tym, że ich miasto

było okupowane. Dla nich niewiele się właściwie zmieniło. Wszystko wróciło do normalności.

Do normalności... To, co odróżniało Indryallan i Kelhaka od pierwszej lepszej bandy zbójów, to ich magia. Płomienie spowijające miejskie mury, tarcza, którą potrafił wyczarować do obrony Kelhak, a która była dość silna, by osłonić cały okręt przed trebuszem miotającym alchemiczne pociski.

Ale czarodziej był tylko tak silny jak jego rzemyśliwa i talizmany. Czy istniał sposób, by mu je zniszczyć? Nie, to niewykonalne.

Wtedy coś sobie przypominała. Coś, co przyszło jej na myśl w chwili żalu i strachu, gdy pierwszy raz spotkała Kelhaka. Patrzyła na mural, myśląc o Savinie, i... przypominała sobie, jak bardzo chciałyby dostać go w swoje ręce na oczyszczonych ziemiach! Gdyby jakimś sposobem zdołała zwabić Kelhaka do tego okrągłego wycinka gruntu w Parkach, gdzie nie działała magia i jego studnia byłaby bezużyteczna, wtedy może zdołałyby znacząco przysłużyć się sprawie cesarstwa.

Ale... niby jak miałyby zwabić go dokądkolwiek? Teraz przynajmniej miała do pomocy Izaka i, kto wie, może nawet Rebecci. Jednak stopień zaangażowania oraz motywy Rebecci były dla Felice dosyć niejasne. Na pewno sporo wiedziała... lecz niechętnie się tym dzieliła. Felice zaobserwowała podobne zachowanie zarówno u ludzi, którzy mieli sporo do ukrycia, jak i u tych, którzy nie wiedzieli nic, ale bardzo się bali. A na spotkaniu, które czarodziejka odbyła z nią i Avigdorem, nie dała się poznać jako osoba strachliwa.

Serce Felice ścisnęło się na myśl o Avigdorze leżącym nieruchomo w kałuży krwi wyciekającej z obciętych nóg. Otarła łzy i zaczerpnęła tchu.

Może i Kelhak rozpętał tę wojnę, ale to ten drugi czarodziej, Savin, zamordował Avigdora. Musiała sprawdzić swoją hipotezę, a jeśli po drodze zmusi Savina, by zapłacił za swoje winy, tym lepiej.

Felice pokręciła głową. Gdy była młodsza i dopiero co zaczęła się na cesarskim dworze, poznając dogłębnie jego intrygi,

poprzysięgła, że nigdy nie dopuści się przemocy, by osiągać swoje cele. Ale...

Nie minęło wiele czasu, a bardzo ją znieubiła jedna z walczących o wpływy frakcji. Jej członkowie usiłowali zdjąć Felice ze sceny, posuwając się do próby skrytobójstwa. Przeżyła spotkanie z nożownikiem, ale ledwo, i wówczas poprzysięgła co innego: przeżyć za wszelką cenę i chronić tych, którzy są wobec niej lojalni.

Savin zabił Avigdora. I za to musiał zginąć. Felice nie obchodziło, jakie stosunki łączą go z Kelhakiem, a jego motywy były dla niej jak pył na wietrze. Przypomniała sobie, że potrafił znaleźć ją po natarciu trebuszem, kiedy myślała, że jest bezpieczna. Może zdoła obrócić to na swoją korzyść.

Musiała tylko wymyślić jak. A jeśli ten drań Savin zginie po drodze, to trudno, snu z powiek jej to nie spędzi.

Za Avigdora, pomyślała, i za cesarza, niechaj żyje wiecznie. Zemsta nadchodzi.



Rozciągał się przed nią nudny, czarny krajobraz oczyszczonej ziemi. Felice zadrżała. Nie wiedziała, co za wynaturzona magia zrodziła tak upiorne miejsce, ale dobrze, że wiedza o niej zaginęła w czasie Zdruzgotania.

Mogłaby je opisać jako gładkie, z tym że pokrywał je pył i hałdy ziemi oraz liście, które wiatr przywiał z Parków. Co za martwota.

Jakby jakaś niewyobrażalna moc wyssała z tej ziemi całe życie, pozostawiając po sobie jezioro roztopionej skały, które ostygło i skrzepło. Wiedziała, że pod zwałami ziemi i pyłu kryje się płaskie szklane koło. Odkąd powstało, nic na nim nie wyrosło. Nawet chwasty nie potrafiły się tu zakorzenić. I jakie ono było ogromne! Lata temu badacze potwierdzili, że jest to niemal idealny okrąg o średnicy kilkuset jardów.

Przyjrzała się niskiemu murowi, którym otoczono oczyszczoną ziemię. Rozciągał się w lewo i w prawo poza zasięg jej wzroku. Przed nią znajdowało się jedno z niewielu przejść w ogrodzeniu. Ludzie wciąż przychodzili tu, by na nie popatrzeć. Matki i ojcowie pokazywali je dzieciom. Przybysze z innych krajów oglądali tę pamiątkę po wojnie, która tysiące lat temu niemal zniszczyła cały świat. Takich miejsc nie było w cesarstwie za wiele. To największe przy Anasomie stało się z czasem atrakcją turystyczną.

Felice przez kilka godzin badała różne obszary koła i wybrała dogodnie miejsce. Nawet przepytowała kilka osób, które zarabiały na życie, oprowadzając innych po oczyszczonej ziemi, napychając im głowy bzdurnymi spekulacjami o tym, co tu naprawdę zaszło. W większości podobnych opowieści magowie ginęli tu setkami w okropny sposób, ale Felice nie interesowały bajki. Chciała znać ułożenie terenu na obrzeżu koła i wybrać taki jego punkt, który będzie gwarantował powodzenie jej planu.

Oderwała wzrok od martwego krajobrazu i kiwnęła głową do Izaka. Czekał na nią, cały w nerwach, głębiej w alei za jej plecami, chodząc w kółko i rozglądając się niepewnie, jakby spodziewał się, że lada moment zmaterializuje się przy nim Savin.

Bo i nic nie stało na przeszkodzie, by to zrobił, przyznała w myślach. Ale istniała o wiele większa szansa, że pojawi się, gdy ona zastawi na niego przynętę. Wiadomość, którą mu wysłała, powinna już do niego dotrzeć, a była pewna, że czarodziej nie przegapi okazji do tego, żeby złapać ją ponownie i dostarczyć Kelhakowi przewiązaną wstążką jak prezent.

– Zrób to teraz – powiedziała do opartego o ścianę przysadzistego mężczyzny.

Ten skinął głową i wskazał trzech swoich znajomków. Rebecce nie pytała Felice, co zamierza, ale chętnie użyczyła jej na cały dzień czterech swoich ludzi.

Czterema wozami zablokowali ulicę po obu stronach przejścia w murze, ale w dostatecznej odległości, by nie zauważył ich nikt idący w tym kierunku aleją. Gdy wozy znalazły się na miejscu, za

pomocą przywiezionych nimi skrzynek i beczek załatali luki w barykadzie, całkowicie odgradzając obszar. Ulica zwykle nie była zatłoczona, ale Felice wołała dmuchać na zimne. Ludzie przechodzący przez pułapkę mogliby pokrzyżować jej plany. No i nie chciała, żeby coś się stało przypadkowym przechodniom. Cokolwiek się tu dzisiaj wydarzy, na pewno poleje się krew. Jej albo Savina.

Izak podszedł do Felice, ciągnąc konia za uzdę. Zwykła chabeta, ale się nada. Miała do odegrania krótką, acz kluczową rolę.

Przejęła od niego wodze i zaprowadziła konia do przejścia w murze, gdzie miała dla niego siano. Puściła wodze i pozwoliła zwierzęciu się paść. Siano było po to, żeby koń gdzieś sobie nie poszedł. Wtedy wzięła linę z jednego z wozów i przytroczyła ją do siodła. Resztę zostawiła na ziemi, zawiązując na drugim końcu pętlę.

Felice rozejrzała się uważnie. Izaka i dwóch pomocników nie było. Dobrze. Irytowało ją, kiedy ludzie potrzebowali nieustannych poleceń, gdy już powiedziano im, co mają robić i czego się spodziewać.

Wkroczyła do alei i usiadła na schodach prowadzących do osadzonych głęboko drzwi. Od zawsze nienawidziła czekania, nawet jeśli ciężko pracowała nad stwarzaniem pozorów osoby cierplivej. Zawsze było coś do zrobienia. Jak to w ogóle możliwe: siedzieć i nic nie robić?

Felice odkaszlnęła w pięść i podrapała porośnięte strupami ranki na przedramionach. Będzie miała co opowiadać wnukom, jeśli znajdzie kiedyś czas – lub ochotę – na zamążpójście.

„A teraz opowiem wam o tym, jak wasza babcia rzuciła się z pięciu pięter do rzeki przez zamknięte okno”. Prychnęła rozbawiona.

Czekała, sam na sam z myślami. Słyszało się protesty niezadowolonych z blokady mieszczan, ale tych powierzyła czterem pomagierom. Słońce opadało ku horyzontowi, a cienie zaczynały się wydłużać. Przeniosła ciężar z nogi na nogę, by ulżyć zdrętwiałym pośladkom. Cierpliwości, mówiła sobie. Savin w końcu przyjdzie. Jak mogłby się oprzeć?

Zaalarmował ją cichy dźwięk dochodzący z głębi alei. Złapała okiem jakiś ruch.

Ciemne aleje sprzyjały tym, którzy nie chcieli być widziani. Tak myślała, że właśnie tę drogę wybierze. A oto i on.

– Lady Felicienne – powiedział Savin, zatrzymując się dziesięć kroków od niej.

Ależ przystojny drań, rzuciło jej się na myśl. Wielka szkoda.

– Ptaszek ćwierknął mi do ucha, że tu będziesz. Zwykle jestem podejrzliwy wobec tak fortunnego dla mnie ułożenia gwiazd... ale na szczęście szybko potwierdziłem tę informację.

– Ach – szepnęła. – Nikomu już dzisiaj nie można ufać. – Felice wstrząsnął kolejny atak kaszlu i Savin spojrział na nią z troską.

– Kelhaka rozbawiła twoja ucieczka. Mnie zirytowała. Ale jestem pewien, że to się już nie powtórzy. Już ja zadbam, żebyś chodziła na króciutkiej smyczy. – Czarodziej rozejrzał się po alei. – Jesteś sama. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

Felice pokręciła głową.

– Zabiłeś wszystkich ludzi, na których mogłam polegać. Nic mnie już tu nie trzyma. Robiłam, co mogłam, ale nie wyszło.

– Ależ nie bądź dla siebie taka surowa. Jak miałabyś wygrać ze mną? Albo z Kelhakiem, skoro już przy tym jesteśmy?

Uznała to za ciekawe, że tego Kelhaka dodał na końcu. Musiała przyznać, że miał ambicję.

Szkoda, że nigdy jej nie urzeczywistni.

– Mnie też odrąbiesz nogi?

Savin zaśmiał się.

– No skąd. To była tylko demonstracja. I ostrzeżenie. Widzę jednak, że nie dotarło, muszę więc wyciągnąć konsekwencje.

Felice zdawało się, że usłyszała smutną nutę w jego głosie. Dlaczego miałoby go to smucić? Zebrała się w sobie. Nieistotne. Wstała i rozmasowała kark.

Wysoko ponad Savinem, na dachu budynku po drugiej stronie alei, Izak i ludzie Rebeci poruszyli się ostrożnie. Ku ziemi pomknęły cienie.



Felice odskoczyła głębiej do wnęki z drzwiami i zwinęła się w kłębek.

Uderzyła w nią fala gorąca. W wąskiej uliczce huknęły gromy, aż zatrzęsły się okoliczne budynki. Tak jak wtedy, gdy strzelali nią z trebusza, alchemiczna mikstura wybuchła z oszalamiającą mocą. Felice błysnęła uśmiechem. Swąd jej własnych nadpalonych włosów uniósł się wokoło, ale nie dbała teraz o to. Buchnęło w nią zimne powietrze i Felice się wyprostowała. Alchemiczna reakcja była silna, ale krótka, a potworne gorąco zaraz rozwiął wiatr.

Dym zaszczytał ją w oczy i nagrzał płuca, gdy na chwiejnych nogach zeszła po stopniach.

Mury wokoło były czarne od sadzy. Savin leżał nieruchomo pod przeciwległą ścianą. Co dziwne, jego ubranie nie było spalone, choć on sam ewidentnie odniósł obrażenia. Gdy ona ukryła się we wnęcie, on stał w samym środku alei, a teraz leżał dziesięć kroków dalej. Dobrze.

Felice pobiegła do złożonej na bruku liny. Uśmiech zakwitł na jej twarzy, a serce łomotało jak szalone. Musi zrobić to szybko, zanim Savin się ocknie. Nie miała nawet chwili, by pozbawić go rzemyśliw. Izak i czterej pomocnicy już pewnie mkną na parter, ale uznała, że nie ma na co czekać. A poza tym nienawidziła czekać.

Wyhamowała ze ślizgiem i złapała za linę, przeklinając konieczność zostawienia konia tak daleko, by nie zwrócił uwagi Savina.

Dziesięć uderzeń serca później stała przy ogłuszonym czarodzieju, zawiązawszy mu pętlę na nogach. Zacisnęła ją mocno. Savin zajęczał i poruszył się.

– Do kroćset... – wycedziła. – Izak! Na koń!

Savin zwrócił ku Felice twarz. A ona z całej siły trafiła go między oczy. Atak kaszlu pozbawił ją tchu i przygiął do ziemi. Ręka maga zacisnęła się na jej ramieniu. Otworzył oczy i wyszczerzył się do niej zakrwawionymi ustami.

– Będiesz tego bardzo żałować.

– Izaaak! – wrzasnęła, usiłując się uwolnić.

Złapała za nóż i zamachnęła się na Savina. Rozmigotana czarodziejska tarcza otoczyła go zaraz przy ciele, niczym druga skóra, akurat na czas, by klinga odbiła się od jego brzucha.

A w głowie Felice eksplodowała agonía. Rozgrzane do białości igły wbiły się w jej umysł. Targnęły nią konwulsje i padła na ziemię. Znowu wrzasnęła, tym razem z bólu. Po kilku chwilach atak ustąpił i Felice jęknęła z ulgą. Zacisnęła powieki, by wypędzić łzy z oczu.

Savin usiadł i wlepił w nią wzrok.

– To tylko przedsmak. Pożałujesz, że się w ogóle urodziłaś.

Coś szarpnęło leżącą obok liną i Felice rzuciła się na Savina, godząc na oślepe nożem, by przykuć do siebie jego uwagę. Jeśli będzie zbyt zaaferowany nią, by zrozumieć, co się dzieje, to może wciąż jest szansa...

Siedząc okrakiem na czarodzieju, uderzała nożem w jego tarczę. Śmiech Savina wwierał jej się w uszy. Spod noża tryskały fioletowe iskry. Miała wrażenie, że ostrze ześlizguje się ze stalowego posągu. Savin mógłby równie dobrze mieć na sobie płytową zbroję.

Mag okręcił się i zaczął powoli pełznąć ku oczyszczonej ziemi.

– Co...? – zająknął się zdziwiony. Tarcza tłumiała jego głos.

Felice ścisnęła go udami, jakby jechała na oklep. Owinęła ramieniem jego głowę, by zasłonić mu oczy, a nożem cięła go po szyi. Aleja wokoło zaczęła się rozmazywać, gdy pomknęli w tył, a tarcza Savina zmieniła kolor na czerwono-fioletowy. Posypały się z niej iskry, gdy zaczęli szusować po bruku, a potem nagle aleja się skończyła i wyjechali na ulicę.

Felice wrzasnęła i przywarła do czarodzieja, gdy on okładał ją pięściami. Barwne iskry sypały im się do oczu. Wiatr szumiał w uszach Felice, a pęd rzucał jej włosy na twarz. Nic nie widziała.

Błagam, niech to się uda.

Po obu jej stronach sunęły w dzikim pędzie rozmazane ściany i frontony domów. Wkrótce zjechali z bruku na ziemię. Zostawiali za sobą chmurę pyłu i pas gruntu zdartego z poczerniałej skały.

Oczyszczona ziemia.

Tarcza Savina pyknęła i rozproszyła się. Tak przenikliwie zawył z bólu i zdumienia, że Felice prawie zapomniała go dźgnąć, a potem z mocą wbiła mu nóż pod żebro. Krew bryzgnęła na jej rękę.

Savin zaszamotał się pod nią. Obalił ją na plecy. Strzęp materiału oberwał się z szaty Felice i przeszorowała nagim ciałem po gruncie. Odczuwała to, jakby wbijały się w nią maleńkie sztylety, gdy mknęła dalej po skalistym podłożu.

Ignorując ból, pchnęła nożem, ale Savin odbił jej cios ramieniem. Wpił rękę we włosy Felice i przyłożył jej głowę o skałę. Usiłowała wysunąć się spod niego, ale był dla niej za silny.

Nagle się zatrzymali. Izak przeciął linę, domyśliła się.

Czarodziej siedział na niej z wymalowanym na twarzy morderczym uśmiechem. Bił w nią nienawistnym spojrzeniem, jakiego nigdy jeszcze u nikogo nie widziała. Grzmotnął ją pięścią w twarz, aż oczy Felice zaszyły białą mgłą. Poczula, że nóż wysuwa jej się z palców.

Nie.

Potrząsnęła głową, przepędzając mgłę. Savin miał jej broń w rękę i pochylał się teraz nad rozłożoną na ziemi Felice.

Ale coś było nie tak. Nie patrzył na nią. Wzrok utkwiał gdzieś powyżej. Powoli uniósł ramiona i wbił spojrzenie w swoje roztrzęsione dłonie.

– Nie – wyszeptał głosem nabiegłym trwogą.

Felice zachłysnęła się powietrzem, widząc, jak Savin ręką ściskającą nóż wymierzył cios we własne gardło. Ledwie zdążył powstrzymać ją drugą.

Odpełzła do tyłu, gdy Savin rzucał się na ziemi, walcząc na śmierć i życie z samym sobą.

Co się z nim działo?

Jego twarz skrzywiła się jednocześnie w grymasie nienawiści i przerażenia. Znalazł wzrokiem Felice.

– Zawładnął mną – wycharczał Savin. – Zabij mnie, błagam. – A potem zawył: – Neeee!

Felice patrzyła na niego, odrętwiała z bólu i osłupienia. Oddychając chrapliwie, Savin dźwignął się na nogi i odtoczył od niej.

– Błagam – powtarzał Savin, idąc coraz szybciej. – Zabij mnie. Zabij mnie.

Jego postać otoczyło światło, ale tym razem nie była to tarcza. Lekkie białe światło emanowało z jego ciała, skupione wokół głowy. Powlókł się ku przejściu w murze otaczającym oczyszczoną ziemię.

Felice z trudem dźwigała się na nogi, które za nic nie chciały jej słuchać. Wylądowała na czworakach i zaczęła mozolnie pełznąć ku Savinowi. Krew z jej rozoranych pleców kapłała na podłoże.

Izak przemknął obok niej, biegnąc do Savina. W ręce szlachcica mignął sztylet.

Tylko że coś było bardzo nie tak. Czuła to w kościach. Savin próbował się zabić. Prosił ją, by zrobiła to za niego. Jednocześnie uciekając.

Zupełnie jakby był dwoma różnymi ludźmi. Tak jak Kelhak.

Drapała grunt rozcapierzonymi dłońmi, prąc naprzód, bezskutecznie próbując wstać. Myśli kłębiły jej się w głowie. Kelhak. Ale nie Kelhak. Savin. Ale jakby nie Savin. Oczyszczona ziemia, miejsce, gdzie umiera magia.

– Izak, nie!

Savin zachwiał się i zatrzymał kilka jardów od przejścia. Zrobił rozdygotany krok naprzód, ciągnąc za sobą sparaliżowaną nogę. Jasność przebijająca spod jego skóry wzmogła się. Unosiły się z niej drobne płomyki, rozpadające się na mniejsze i rozmywające w powietrzu.

Izak wrzasnął i rzucił się na czarodzieja. Obaj padli na ziemię... i wytoczyli się z oczyszczonej ziemi na ulicę.

Jeden z pomocników Felice natychmiast przypadł do Savina i wykręcił mu rękę, a następnie stanął na niej całym ciężarem zwalistego ciała, łamiąc ją w łokciu.

Savin zawył. A połyskliwe czarodziejskie światła uformowały klosz wokół jego głowy, który zdawał się pulsować w jednym rytmie

z rozłomotanym sercem Felice. Zabzyczały wokół Izaka niczym rój rozwścieczonych pszczoł.

Nadeszła ciemność i pole widzenia Felice zwęziło się do wąskiego tunelu. Głowa opadła jej na pierś i kobieta wbiła wzrok w ziemię. Zbierając ostatnie resztki woli, odepchnęła mrok. Nie wolno jej teraz zemdleć.

Serce ścisnęło jej się w piersi. Minęły długie chwile, nim zdołała zmusić się do kolejnego ruchu, ale zanim tego dokonała, gdzieś obok niej zaszurały po ziemi czyjeś kroki. Uniosła wzrok i zauważyła jednego z ludzi Rebecci.

– Już po wszystkim.

– Izak... – wyszeptała. – Savin... nasz cel... Co się stało?

Mężczyzna otulił ją płaszczem i wziął na ręce.

– Czarodziej nie żyje. Twój koleżka Izak go wykończył. Dźgnął go w pierś i drań wykrwawił się na ulicy. Ale...

Drab zawahał się. Felice wyczuła, że to nie wszystko.

– Mów dalej.

Pomagier kroczył susami ku Savinowi i Izakowi. Obróciła głowę i zobaczyła skulone na ziemi ciało Savina oraz stojącego nad nim Izaka. Dłonie szlachcica były zbryzgane krwią, a nóż leżał na ziemi. Patrzył na nich ten z pomocników, który złamał Savinowi rękę.

Dźwigający Felice mężczyzna warknął gdzieś nad jej uchem:

– Tylko że ciało czarodzieja... przemieniło się. Sama zobaczysz.

Opuścili oczyszczoną ziemię i wyszli na ulicę. Felice spojrzała na Savina. Wydawał się obkurczony, jakby było go mniej niż jeszcze przed chwilą. Skórę miał suchą i opiętą na ciele, całkowicie odsączoną z płynów.

– Co tu się stało? – chciała wiedzieć.

– Zabiłem go – odparł Izak. – I wtedy się przemienił. Myślę, że w momencie śmierci opuściła go cała magia.

Spojrzała Izakowi w oczy. Był spokojny. O wiele spokojniejszy, niż powinien po tym, czego właśnie dokonał. Kiwnęła głową. Dołączyli do nich pozostali.

– Co mamy zrobić z ciałem? – spytał któryś.

Felice skrzywiła się, gdy niosący ją mężczyzna przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Jej krew wsiąkała w jego płaszcz.

– Wrzućcie go na wóz, a potem do rzeki.

– Powinniśmy zachować jego rzemyśliwa – dodał Izak. – Mogą... się przydać.

Felice osadziła na nim nieruchomy wzrok.

– Tak. Dobra myśl.

– Ja je zbiorę.

– Pani – odezwał się głos nad jej głową – potrzebny ci lekarz. Znam jednego w okolicy. A potem będziemy musieli złożyć raport Rebeci.

Felice przyjrzała się bacznie jednemu z nich, a potem dotarło do niej, że się gapi, i odwróciła wzrok. To był ten, którego widziała przy Savinie w momencie, gdy mag zginął.

Przyjrzała się obwiedłemu ciału czarodzieja. Wyglądało, jakby coś wyszło z niego wszystkie siły życiowe.

– Tak – powiedziała. – Zobaczymy się z nią później. Ale teraz to ja potrzebuję pomocy. Połóżcie mnie obok ciała i niech nikt się nie zbliża. Był czarodziejem, jego rzemyśliwa mogą być niebezpieczne. – Kłamstwo grubymi nićmi szyte, ale w tym stanie lepszego nie zdążyła wymyślić. – Zabiorę mu je i zabezpieczę.

Siedząc na zimnym bruku, przeszukała kieszenie Savina, odbierając wszelkie znalezione przedmioty. Oklepała mu jeszcze ubranie, a potem skinęła na jednego z ludzi Rebeci.

– Pozbądź się ciała. Rzeka jest niedaleko. A potem wracaj. Ty. – Wskazała tego, który pomógł Izakowi zabić Savina. – Zostań tu, bo może nam się przydać ochrona.

– Tak jest.

Dwa dryblaszy wrzuciły trupa na wóz, gdzie wylądował z bezceremonialnym głuchym huknięciem. Felice skrzywiła się na ten dźwięk i pozwoliła sobie przyozdobić twarz cieniem uśmiechu.

– Nigdy nic nie może pójść jak po maśle – wymamrotała pod nosem.

– Słucham? – spytał Izak.

– Nic, nic. Ruszamy, gdy tylko wrócą nasi koledzy.

Izak spojrział jej w oczy.

– Ciekawie się potoczył ten dzień – stwierdził. – Ale przynajmniej wiemy, że działa. Teraz musimy tylko zaciągnąć tam Kelhaka.

Tak, ale musimy być ostrożni. Jeśli miała rację, to stąpała po lodzie cienkim i ostrym jak żyłka.



**C**aldan przewertował obie księgi, trzymając w ręku rzemyśliwo Dzwonków do magii zniewalającej. Zbyt się bał próbować czegoś na Mirandzie, ale przeciwiczył kilka technik w swojej głowie wedle wskazówek, które wyczytał w tekście. Niepokoiło go to, że zaczynał dostrzegać w magii zniewalającej swoiste piękno, złożoną symetrię, której nie umiał sobie wytłumaczyć, póki nie porównał jej do dominionu. Zwykle rzemyślenie wymagało od czarodzieja przestrzegania skomplikowanych reguł i znajomości struktur, ale magia zniewalająca była nieporównanie trudniejsza. To, co działało na jedną osobę, nie musiało zadziałać na drugą, a rzemyśliwo sprzężone z magią zniewalającą należało wytworzyć w taki sposób, żeby poradziło sobie z kilkoma możliwymi scenariuszami, zupełnie jakby miało samo podejmować decyzje i załączyć przygotowany



uprzednio zapasowy wzorzec, gdyby coś spowodowało zmianę jednego scenariusza na inny. W tym sensie ta sztuka bardzo przypominała grę w dominion – była to tocząca się na wielu poziomach jednocześnie rozgrywka, której celem było uzyskanie przewagi nad przeciwnikiem. Struktury należało umieścić w odpowiednich miejscach, tak aby mogły poradzić sobie z tymi zmianami.

Caldan musiał tylko nauczyć się grać.



Jego trzecia pokonana przeciwniczka wręczyła mu sakiewkę wypełnioną dukatami. Caldan przyjął pieniądze i podziękował skinieniem. Dziewczyna zatrzepotała rzęsami i zabierając rękę, przesunęła palcami po jego palcach. Młodziutka szlachcianka z jednego ze znamienitszych rodów w Starorzeczu, imieniem Adelfine podeszła do niego po zakończeniu drugiej partii, w której pokonał z kretesem przechwalającego się pyszałka, synalka jakiegoś kupca. Powiedziała mu, że wkrótce będzie wracać do domu ze względu na późną godzinę. Caldan wyłapał ukrytą za tymi słowami śmiałą aluzję. Przebył daleką drogę od chwili, gdy pierwszy raz pojawił się w Anasomie, nieprzygotowany na trudy prawdziwego świata i niewyznający się w skomplikowanej materii słów. Nie tak dawno temu, a jednak miał wrażenie, że minęły lata.

Myśli Caldana pobiegły ku Mirandzie i „Loretcie”, na której pokładzie spotkał ją po raz pierwszy, po czym grzecznie skłamał Adelfine, że ma jeszcze kilka partii do rozegrania.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno, widocznie rozczarowana, lecz wyszła bez słowa.

Caldan rozejrzał się po zadymionej sali, również rozczarowany, ale z innego powodu – mianowicie takiego, że dotarło do niego, że już sobie dzisiaj nie pogra. Znalazł nieodległą od siedziby Protektorów gospodę, gdzie zaznał chwilowego spokoju, zatracając

się w dominionie, nawet jeśli głównie po to, żeby zarobić kilka dukatów. Znajome plansze i figury, ich kojący dotyk, przyjacielskie przekomarzanki w czasie rozgrywki oraz przyjemny dla intelektu wysiłek sprawiły, że cofnął się do klasztornych czasów, gdy wszystko wydawało się takie proste. Na krótką chwilę zapomniał o Anasomie, Dzwonkach i – choć wstydził się to przyznać – Mirandzie i Elpidii. Ale dzięki temu ujrzał świat w jaśniejszych barwach. Przystawianie figur na planszach i gromadzenie bierek odwróciło jego uwagę od napaści, śmierci, kłamstw i oszczędnego dawkowania prawdy, które od kłamstwa niczym się nie różniło. Przypominając jednocześnie, że istnieją małe, proste radości, w których czasem dobrze jest się zatracić.

Wsypał nowo pozyskane dukaty do tych, które już przyjemnie dzwoniły w sakiewce, oceniwszy, że tyle wystarczy mu na dłuższy czas. Wyciągnął pewną sumę z zakładów, które postawiono na jego dwie pierwsze gry, ale później nikt już nie chciał stawiać przeciwko niemu. Popełnił ten błąd, że dwóch pierwszych przeciwników zmiażdżył bez litości, choć powinien był rozegrać ich powoli. Właściwie jedynym powodem, dla którego Adelfine usiadła z nim do stołu, był ten inny, ukryty. Przynajmniej Caldan dostał to, o co mu chodziło.

Opuścił przybytek, by wrócić do Protektorów. Minął wrota do siedziby w głębokim zamyśleniu. Do pokoju Mirandy dotarł bezwiednie, pozwalając nogom, żeby niosły go same. Spała, za co był wdzięczny. Podziękował za pomoc opiekującej się nią praktykantce, którą odesłał na nocny spoczynek. Nie czuł się komfortowo, musząc spełniać niektóre z potrzeb Mirandy, ale wiedział, że praktykantka wróci rano.

Zamknął drzwi, otworzył sakwę i wyjął z niej księgi, które zwinął z biblioteki, oraz kopie, które odebrał kilka godzin wcześniej. Nie chciał zostawiać woluminów w pokoju, ale nie miał gdzie ich schować. Uznał, że nikt nie będzie szperał w jego rzeczach przy Mirandzie i praktykantce, powążył się więc na to ryzyko. Na szczęście oryginały zwróci dziś.

Wyjął czarodziejską kulę i usiadł na krześle z kopiami na kolanach. Miał jeszcze parę godzin, postanowił więc wykorzystać ten czas. Otworzył księgę i zaczął czytać, życząc sobie, by obie znalazły się w bibliotece jak najszybciej.

Dziś, przypomniał sam sobie.

Późno w nocy włożył czarne ubranie, które miał na sobie tamtej nocy, i rzuciwszy jeszcze okiem na Mirandę, wyśliznął się z pokoju z księgami pod pachą.

Korytarz był o tej porze pogrążony w ciszy, zupełnie jak wtedy. Oczy Caldana szybko przyzwyczały się do ciemności. Ruszył w mrok, przemykając cicho od jednego cienia do drugiego. Przez szczeliny wokół drzwi świeciło światło, ale nie sądził, by ktoś usłyszał, że tamtędy przechodzi. Wkrótce znalazł się przed mistrzowską biblioteką.

Chcąc uwinąć się z zadaniem jak najszybciej, postanowił nie składać papierowego lwa, którego przygotował poprzednim razem. Szybko, lecz ostrożnie otworzył drzwi za pomocą rysunku kredą i wszedł do środka, po czym stanął przed drugimi drzwiami i sięgnął do studni. Wyprowadził z niej pięć strumieni i drugi zamek również się otworzył. Tym razem było łatwiej – strumienie wciąż wierciły się w uścisku jego woli, ale nauka nie poszła w las i kontrolował je coraz lepiej.

Wszedł do mniejszego pomieszczenia i za pomocą kredy otworzył skrzynię, żeby włożyć do niej księgi. Gdy to zrobił, starł kredę i cofnął się, walcząc z impulsem, by choć rzucić okiem na pozostałe pozycje z zakresu magii zniewalającej. Dość już zaryzykował, by zdobyć tylko te dwie. Lepiej nie łapać kolejnych srok za ogony.

Domknął drzwi i za pomocą pięciu strumieni zamknął rzemyślniczy zamek. Już prawie załatwione. Wzdychając z ulgą, obrócił się...

A biblioteka eksplodowała światłem.

Caldan syknął i osłonił oczy, mrugając, aż przyzwyczały się do blasku. Gdy uniósł głowę, zobaczył przed sobą mistrzynię Annelie w asyście dwóch uzbrojonych Protektorów, którzy wycelowali

w niego rzemyślnicze miecze. Annelie sama miała przy pasie broń. Nie dobyła jej, ale wspierała dłoń na prostej, poobijanej rękojeści. Caldan skrzywił się, rozpoznawszy miecz Simmona. Dotarło do niego, że Annelie wie, jak on działa. Bo gdyby nie wiedziała, nie wzięłaby go, żeby przyłapać Caldana na gorącym uczynku. Nie sądził, aby miała dość siły, żeby sprawnie nim władać, a więc walka wręcz nie była głównym przeznaczeniem tej broni.

Otaksowała Caldana wzrokiem, w którym wyczytała rozczarowanie, ale i ciekawość. Natychmiast rozejrzał się po pomieszczeniu, szukając drogi ucieczki.

– Myślałam, że znajdę tu Joachima – oznajmiła mistrzyni. – Który lubi wtykać nos w nie swoje sprawy. Ale ty...? Przyznaję, że jestem zaskoczona. Nawet czeladnik nie otworzyłby zamków, a co dopiero praktykant.

Caldan rozłożył ramiona.

– Mogę wyjaśnić...

– Nie wątpię, że masz cały wachlarz wyjaśnień i wymówek. Ale czy przekonają one mnie i innych mistrzów? To już zupełnie inna sprawa. A szczerze mówiąc, nie mam już żadnego powodu, żeby nie obejść się z tobą tak, jak na to zasługujesz. To, co zrobiłeś, jest niewybaczalne.

Caldan zwiesił głowę. Mimo najlepszych chęci znowu zawiódł Mirandę.

– Zrobiłem to dla niej – wyszeptał. – Dla Mirandy. Joachim coś ukrywa... Twierdzi, że nie potrafi jej wyleczyć, ale... Nie mam jak tego udowodnić, ale wiem, że potrafi. On kłamie.

Annelie wciągnęła powietrze przez nos.

– Będziemy mieć dość czasu, żeby się tym zająć, a na razie idziesz ze mną.

Dwaj Protektorzy złapali go za ramiona, a Annelie nakazała wszystkim, by nie robili hałasu. Najwyraźniej nie chciała, aby ktokolwiek dowiedział się, co tu zaszło.

Caldan zmarszczył brwi, gdy uświadomił sobie, że nie odebrali mu jego rzemyśliw. A potem skonstatował z zaskoczeniem, że nie

może sięgnąć do studni. Wyczuwał, że obłożono ją jakąś gładką barierą, która uniemożliwiała mu zaczerpnięcie mocy.

– Owszem – powiedziała Annelie na widok jego miny. – Istnieje więcej niż jeden sposób, żeby unieszkodliwić czarnoksiężnika.

– Nie jestem czarnoksiężnikiem.

– Wszyscy tak mówią. Wszyscy mają swoje powody, usprawiedliwienia, ale my nie możemy dopuścić do drugiego Zdruzgotania. Wszystkie powody i usprawiedliwienia błędą przy tej prostej prawdzie.

Caldan nie miał na to odpowiedzi. Wiedział, że Annelie ma rację. Ale przecież... Caldan nie był buntownikiem. Nie był jak Dzwonki i Indryallanie. Musiał tylko wymyślić, jak ją o tym przekonać.

Milczał, gdy prowadzili go korytarzem do bocznej klatki schodowej. A potem ku jego zdumieniu wsadzili go na odkryty wóz i związali liną. Wkrótce powieźli Caldana ulicami Starorzecza do jakiegoś nieznanego mu miejsca. Jeden z Protektorów powoził, drugi wraz z Annelie pilnował go na pace.

Caldan zwrócił się do mistrzyni.

– Zadbasz, żeby dalej opiekowali się Mirandą? Denerwuje się, gdy siedzi z nią ktoś obcy. Elpidia nie żyje, a ja... Gdyby tylko ta sama praktykantka mogła dalej się nią opiekować, byłbym wdzięczny.

Annelie wpiła się w niego mroźnym spojrzeniem, ale potem zajaśniało w nim współczucie.

– Nie możemy trzymać jej u nas wiecznie, ale dopóki nie znajdziemy jej jakiegoś innego schronienia, zrobię, co będę mogła. W końcu ona nic złego nie zrobiła.

– Dziękuję. A mogę spytać, dokąd mnie zabierasz? I dlaczego w ogóle opuściliśmy siedzibę Protektorów?

– Do bezpiecznego miejsca. Takiego, z którego nam nie znikniesz.

– Ty też nie ufasz Joachimowi.

– Swoje domysły zachowaj dla siebie. Nie masz bladego pojęcia, co się dzieje, więc najlepiej zrobisz, jak zamilkniesz. Muszę pomyśleć.

Annelie odwróciła się od niego i wbiła wzrok w mijane budynki. Miecz Simmona tuliła do piersi jak małe dziecko.

Czy to ten talizman odciął Caldanowi dostęp do studni? Annelie wyjawiała, że spodziewała się przyłapać w bibliotece Joachima. Była przygotowana do schwytania arcymaga. Bez dostępu do studni Caldan nie umiał stwierdzić, czy Annelie jest w jakiś sposób podłączona do talizmanu, ale coś mu mówiło, że to miecz odebrał mu moc.

A ona potrafiła się nim posługiwać. Miał tylko nadzieję, że to wystarczy.

– Joachim będzie mnie szukał – powiedział Caldan. – Nie spocznie, dopóki mnie nie znajdzie.

Annelie milczała, a Caldan postanowił zrobić to samo. Nie chciał jej denerwować, czuł bowiem, że jego los w dużej mierze zależy od jej stosunku do niego. Nie wątpił, że jego kara będzie surowa, ale Annelie wiedziała, że cokolwiek zrobił, zrobił to dla Mirandy, a to przecież nie jest bez znaczenia. Prawda?

Wóz toczył się brukowaną ulicą gdzieś na zachód. Caldan nie znał miasta zbyt dobrze, zauważył jednak, że mijali coraz bardziej zadbane budynki, co oznaczało, że wjeżdżali do bogatej dzielnicy.

Coś gwizdnęło i załomotało. Protektor na koźle zgiął się wpół i upadł na ulicę. Z jego piersi sterczała strzała. Grot przebił się czysto przez rzemyślniczy pancerz i zagłębił w ciele.

Caldan spojrział na drugiego Protektora, który przewracał się z ławki z drugą strzałą w boku. Przerażona Annelie popatrzyła po swoich zabitych podwładnych, a Caldan rzucił się do burty odkrytego wozu.

Mistrzyni zdusiła krzyk, gdy otoczyła ją tarcza. Chwilę później ze wszystkich stron uderzyły w nią strzały. Magiczna osłona eksplodowała fioletowymi iskrami światła, które niemal przysłoniły całą jej postać. Ale żaden z pocisków nie spenetrował osłony.

A jednak Caldan wyczuł, że coś jest nie tak. Jego uszu dobiegł przenikliwy jęk, gdy rzemyślnicza tarcza Annelie zmagiała się z ostrzałem. Swoista anomalia, bo tych kilka strzał nie powinno tak mocno nadwyrężyć mistrzowskiej osłony.

Annelie wzdrygnęła się pod naporem pocisków, a Caldan mógł tylko trzymać głowę nisko, gdy świszczały mu nad uchem. Kilka opadło na pakę wozu i spostrzegł ze zdumieniem, że to rzemyśliwa. Wzdłuż promieni biegingy sekwencje wypisanych czarnym atramentem run, które naniesiono także na stalowe groty.

Tarcza Annelie wydała z siebie jazgotliwy protest, gdy pociski nieomal ją zmogły.

Caldan bezskutecznie szarpał się z blokadą na tarczy, odbijając się umysłem od gładkiej, lustrzanej powierzchni.

– Annelie, uwolnij mnie! – wrzasnął.

Zignorowała go. Następne strzały naparły na tarczę, a każda kolejna wzbudzała świetliste wybuchy. Annelie zaszlochała, gdy osłona w końcu się rozproszyła. Caldan uświadomił sobie, że musiała przerwać połączenie w obawie przed wybuchem nadwyreżonego rzemyśliwa.

Stanąła nieruchomo, walcząc o oddech. Po dachach wznoszących się nad nimi budynków przemykały cienie.

– Czego wy chcecie? – krzyknęła. – Kim jesteście?

Strzała trafiła ją w lewe oko i z mocą odrzuciła głowę do tyłu. Annelie upadła, a ze zrujnowanego oczodołu trysnęła krew i rozlała się po drewnianej podłodze, przeciekając przez szczeliny. Caldan odwrócił głowę. Usłyszał przytłumione euforyczne szepty.

Sięgnął do studni. Nadal była zablokowana, ale czuł, że bariera się rozpuszcza. Miecz Simmona wciąż tkwił w uścisku Annelie. Musiał go wziąć. Nie skorzysta z niego w charakterze talizmanu, ale miecz to zawsze miecz.

Kłopot w tym, że ręce miał związane za plecami.

Gdy posłyszał kroki, Caldan popęzł ku Annelie. Sięgnął do talizmanu nogą, ale nie trafił. Za drugim razem stopa zetknęła się z mieczem i ten wysunął się z martwych palców mistrzyni. Caldan otworzył studnię w momencie, w którym jakaś mroczna postać przelazła przez burtę wozu i zamajaczyła wysoko nad nim. Gdy blokada jego studni wreszcie całkiem się rozmyła, załączył tarczowe rzemyśliwo Dzwonków, ale nie dość szybko. Coś rozmazało się

w prędkim ruchu i runęło wprost na niego. Ogłuszony opadł na podłogę, a wtedy ktoś nałożył mu worek na głowę i silne ręce docisnęły go do podłogi.



Caldan był przerażony, ale żywy. Z niezakrytego okna wlewało się do pomieszczenia światło i Caldan zamrugał, odwracając głowę. Łupało mu w skroniach i miał sucho w ustach. Gdziekolwiek się znajdował, miejsce pachniało kurzem i niosła się w nim nuta jakichś alchemicznych odczynników.

Póллеżał oparty o coś twardego. Próbował się podnieść, ale nie mógł. W miejscu przytrzymał go skórzany pasek. Kolejne krępowwały mu ramiona i nogi. Uniósłszy głowę, zorientował się, że są one przytwierdzone do drewnianego stołu.

Rozejrzał się, coraz bardziej wystraszony. Znajdował się w małym pokoju, w ścianie po jego lewej widniało brudne okno, a przed nim drzwi zamknięte na metalowy zamek. Ktokolwiek zabił Annelie i Protektorów, musiał być gdzieś za tymi drzwiami. Zakładał, że niebawem do niego przyjdzie.

Martwiło go to, że ten ktoś zadał sobie trud, żeby go tu zabrać. Czegokolwiek chciał i kimkolwiek był, świetnie się do tego przygotował. Dwaj uzbrojeni Protektorzy oraz mistrzyni czarodziejstwa to nie są łatwe cele, a jednak zostali zabici bez większego trudu, co oznaczało, że napastnik był sprytny i zaradny. I bezlitosny. Caldan zgadywał, że to nie pierwsza taka akcja w jego wykonaniu. Raczej robota profesjonalisty.

To, że sam Caldan nie został zabity, tylko uwięziony, kazało przypuszczać, że to o niego chodziło atakującym. A miał tylko dwie rzeczy, za które ktoś mógłby chcieć go zabić: jego talizmany i jego krew. A był pewien, że porywacze nie wiedzieli o kościanym pierścieniu, który utrzymał w ukryciu nawet przed Joachimem.

Co się zaś tyczy krwi...



Poza Elpidią – przyjmijcie ją, przodkowie, na swoje łono – tylko Amerdan zdawał sobie sprawę, że Caldan różni się od innych ludzi, i nawet jeśli domyślił się, że to przez krew, Caldan powątpiewał, czy zdołałby zorganizować taką akcję w tak krótkim czasie. Może z pomocą Dzwonków...

Myślał i myślał, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. Przypomniawszy sobie, że jeden z mistrzów w klasztorze powiedział mu kiedyś, że sekret, o którym wiedzą dwie osoby, to już nie sekret, a ponieważ o tym, że Caldan jest Dotkniętym, wiedziało więcej niż dwie osoby, jego porywaczem mógł być ktokolwiek.

A skoro tak, to nie ma sensu zastanawiać się nad tym, kto to i o co mu chodzi – liczyło się tylko to, że Caldan tkwi zamknięty w celi i przywiązany do stołu przez kogoś, kto bynajmniej nie życzy mu dobrze.

Wyciągnął szyję, chcąc wyrzucić przez okno. Znajdował się wyżej nad ziemią, zapewne na piętrze jakiegoś budynku. Widział z góry umazane i popękane dachówki obrośnięte chwastami. Na granicy słuchu brzmiał cichy pomruk tłumu, ale zbyt przyćmiony przez odległość, aby Caldan mógł coś zrozumieć, a więc zapewne i jego nikt tu nie usłyszy, choćby krzyczał.

Wtedy wzrok Caldana padł na plamki krwi na podłodze i wokół stołu, smugi i rój przyschniętych kropelek. Za nic nie chciał, by jego własna krew dołączyła do tej kolekcji.

Ignorując pulsujący ból w głowie, zaszamotał się w więzach, jęcząc z wysiłku. Tylko się zmachał. Łapał haustami powietrze, mokry od potu. Pasy były zaciśnięte tak mocno, że niemal odcinały dopływ krwi.

Z zewnątrz dobiegł go chrapliwy śmiech. Zabrzmiał męski głos, ale słowa były niezrozumiałe, a potem umilkły zupełnie.

Rzucił się w więzach w lewo i w prawo, stękając z wysiłku i usiłując jak najdokładniej obejrzeć celę. Stół pod nim trzeszczał i skrzypiał. Ale pasy za nic nie chciały puścić. Nie miał jak choćby spróbować ich poluzować. Mruganiem wycisnął z oczu zalewający je pot, a potem oparł potylicę na twardej powierzchni i oblizał usta,

czując na języku słony smak. Spróbował oczyścić głowę ze zbędnych myśli. Nie uwolni się, szamocząc się w więzach. Potrzebny mu był jakiś plan.

Kłopot polegał na tym, że... żaden nie przychodził mu do głowy. Z daleka zajaśniała myśl, że może to już koniec.

Spojrzał na dłoń, by upewnić się, że nie ma na niej swojego pierścienia. Nie czuł go na palcu, ale się łudził. Poruszył ramionami i nie wyczuł także kościanego pierścienia pod koszulą. Zabrali oba.

Otworzył studnię i obszukał kieszenie. Jego rzemyśliwa też wzięli.

Tyle dobrego, że znowu miał pełny dostęp do studni. Nie mogli jej zatkać, jak zrobiła to Annelie, co oznaczało, że nie potrafili używać miecza. Musiał więc tylko wziąć do ręki rzemyśliwo, by uciec. Ale jak to zrobić? Tego nie wiedział.

Wtedy znowu usłyszał jakiś dźwięk. Odgłos ciągniętego po podłodze drewna. Za drzwiami znów odezwały się głosy. Szuranie, a potem zgrzyt. Ktoś zdjął rygiel. Metal zadzwonił o metal i kliknął zamek.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna. Niski i szczupły, o schludnie przystrzyżonej brodzie i z wymalowanym na twarzy uśmieszkiem. Był dobrze ubrany i miał przy sobie rzemyślniczą kuszę, z której celował Caldanowi w brzuch, a także kwadratową skórzaną torbę, taką jak Elpidia, musiał więc być uzdrowicielem. Drzwi zamknęły się za nim. Ale mężczyzna nie podchodził do Caldana, stał tylko i patrzył na niego.

– Coś ty za jeden? – odezwał się Caldan.

Uzdrowiciel przyjrzał się więzom, najwyraźniej szukając jakiejś oznaki zużycia. Uznawszy, że więzień się nie wyrwie, odłożył kuszę na podłogę przy drzwiach.

– Nieważne, kim jestem – odezwał się, podchodząc do Caldana i stawiając torbę przy stole. Otworzył ją i zaczął wyjmować z niej przedmioty na rozłożony uprzednio materiał. Niektóre były boleśnie znajome: puste fiołki i wydrążone igły, ale też wielki słoć. A fiołki były o wiele większe od tych, których używała Elpidia.

Uzdrowiciel zwilżył czymś materiał – sądząc po zapachu, był to destylowany alkohol – i wytarł igłę. Ukradnie mi krew, ale miło, że chociaż sterylizuje przyrządy, pomyślał Caldan. To dało mu nieco nadziei, że może – przynajmniej przez jakiś czas – utrzymają go przy życiu.

Nieznajomy pracował dalej. Wlał do słoika przezroczysty płyn. Do tego dodał biały proszek z saszetki. Zamieszał w słoiku metalową łyżką, aż proszek się rozpuścił.

Zanim Caldan zdołał zareagować, uzdrowiciel ścisnął mu nos kciukiem i palcem wskazującym, po czym wlał mu roztwór do otwartych ust. Chłopak wykaszał tyle słodkiego płynu, ile zdołał, ale wbrew sobie połknął kilka łyków.

Uzdrowiciel zrobił krok w tył i powiedział:

– To rozrzedzi ci krew i przez jakiś czas podtrzyma funkcje życiowe.

Caldan potrząsnął głową, jakby chciał dobudzić się z koszmarne go snu, i zamknął oczy. Elpidia nie żyła, a Miranda zostanie sama jak palec. Skoro Annelie została zabita, to kto się nią teraz zaopiekuje?

Jego serce ścisnęło się z żalu i zagryzł zęby, by jakoś znieść napływ gwałtownych emocji. Jakiś dźwięk sprowadził go z powrotem na ziemię. Uzdrowiciel nucił coś pod nosem. Caldan otworzył oczy w chwili, w której igła wpiła się w jego ramię. Zaszamotał się, by nie trafiła w żyłę, ale pasy skutecznie go unieruchamiały.

Uzdrowiciel spoglądał z niezmaconym spokojem na wiercącego się pacjenta. W końcu Caldan dał za wygraną, a na twarz mężczyzny wypłynął ściśnięty uśmiech.

– No, wreszcie – mruknął z zadowoleniem. – Najlepiej zrobisz, nie opierając się. – Włożył koniec igły do pustej fiolki i patrzył, jak ta wolno wypełnia się krwią. Gdy niemal się dopełniła, zmienił fiolkę na pustą i powtórzył całą procedurę.

Zrozpaczony Caldan patrzył, czując, że od mdłości skręca mu się żołądek.

– Już, już. Zaraz będzie po wszystkim – powiedział mężczyzna, kontrolując poziom płynu w buteleczce.

– Jesteś uzdrowicielem – stwierdził Caldan.

Mężczyzna zerknął na niego, a potem wrócił spojrzeniem do naczynia.

– Tak.

– Masz pomagać ludziom, uzdrawiać ich. – Słowa Caldana były podszyte oburzeniem.

Uzdrowiciel zdawał się myśleć nad tym, co Caldan powiedział, a potem wzruszył ramionami.

– Pomagam.

– To mnie też pomóż – prosił Caldan.

– Tobie nie mogę. Wiele lat temu życie zmusiło mnie, żebym rozważył, czy warto trzymać z nielicznymi, czy z licznymi. Wybrałem licznych.

– A złoto, którym ci płacą, nie ma z tym nic wspólnego, nie?

– To, że wielu z nich płaci twardymi dukatami, to wisienka na torcie. Nie zrozumiesz, dlaczego to robię. Twój umysł tego nie pojmie. Ale gdybyś znalazł się w moich butach, robiłbyś to samo co ja.

– Z własnej woli oddałbyś komuś swoją krew? Wątpię.

Mężczyzna nic nie odpowiedział, odstawił tylko drugą fiolkę i podstawił trzecią.

– Wyjmij tę igłę z mojego ciała i przyprowadź tego, kto tu rządzi.

– Obawiam się, że nie uda ci się go przekonać, żeby cię puścił. Ale przynajmniej jedno twoje życzenie wkrótce się spełni, bo niebawem sam cię odwiedzi.

Gdy czwarta fiolka była wypełniona, uzdrowiciel zacisnął wszystkie korkami. W miejscu, gdzie widniało ukłucie, owinął rękę Caldana paskiem materiału.

– Co wy chcecie ze mną zrobić?

– Te buteleczki to tylko początek. Wiesz, są ludzie, którzy z utęsknieniem czekają na twoją krew. A nie lubią czekać, bo są niezwykle ważni.

Mężczyzna spakował utensylia, zawiesił torbę na ramię i złapał za kuszę. Przystanął przy drzwiach.

– To potrwa parę dni. Najlepiej pogódź się ze sobą. Dzięki temu łatwiej ci będzie to znieść. – Z tymi słowy wyszedł, po czym zamknął i zarygłował drzwi po drugiej stronie, zostawiając Caldana, by samotnie nurzał się w gniewie i rozpacz.



**C**aldan niemal natychmiast wyczuł kogoś po drugiej stronie drzwi. Poczuł na skórze mrowienie wywołane rzemyśliwami i talizmanami, a włoski na przedramionach stanęły mu dęba. Czarodziej, a najprawdopodobniej czarnoksiężnik.

Z każdą godziną topniały jego szanse na ucieczkę. Nie wiedział, jak długo go tu trzymali. Mąciło mu się w głowie, odkąd uzdrowiciel wytoczył z niego cztery fiołki krwi, ale zachował dość przytomności, aby się domyślać, że chcą pozostawić go przy życiu. Żeby doić go jak krowę.

Zaschło mu w ustach i dręczyło go nieznośne pragnienie. Za oknem robiło się szaro, a po dachach pełzyły cienie – znak, że słońce chyliło się ku zachodowi. Skóra wokół nakłucia zaczęła swędzieć.

Napiął mięśnie, słysząc, jak ktoś zdejmuje rygiel, a w zamku zgrzyta klucz. Drzwi otworzyły się i zdumiony Caldan wbił spojrzenie w Joachima.

– Przykro mi, że musiało do tego dojść – powiedział arcyomag ze zboląłą miną. Caldan dostrzegł w jego ręce kolejny okazały słoż.

Czy skrucha Joachima była szczerą, czy udawaną, nic go to nie obchodziło. Obnażył zaciśnięte we wściekłym grymasie zęby.

– To wszystko, czym jestem dla cesarza? – wycedził. – Kimś, kogo można wykorzystać, a potem wyrzucić na śmietnik?

Joachim odpowiedział uśmiechem.

– Oczywiście, że tak. W końcu jest cesarzem. Ale nie wie nic o tym, co dzieje się tutaj. Nikt nie zauważa, gdy co kilka lat jeden z was po prostu znika. Najlepiej jest wtedy, gdy nawet nie dowie się o odszukaniu kolejnego Dotkniętego, dlatego właśnie tak się cieszyłem, że cię znalazłem. Ryzyko, że zostanę przyłapany, jest minimalne.

Caldan znowu szarpnął się w więzach. Ach, gdyby tylko mógł się wyzwolić i zacisnąć ręce na gardle Joachima. Przez kilka chwil nie potrafił myśleć o niczym innym i nie pragnął niczego innego. Wreszcie oklapł na stole, wstydząc się swoich morderczych zapędów.

– Tak lepiej – pochwalił go Joachim. – Będzie o wiele prościej, kiedy już zaakceptujesz swój los.

– To samo powiedział uzdrowiciel.

– Mądry człowiek.

– Jak na mordercę.

Joachim wzruszył ramionami.

– On tylko chce pomóc chorym.

– A ty? Co ty z tego będziesz miał?

– Poza udziałem w zyskach? Rzemyśliwa. Czy ty masz pojęcie, ile udało mi się zebrać przez te wszystkie lata? Wierz mi, tanie nie są. Dużo kosztują. Czasem bardzo dużo.

– Zwłaszcza gdy walutą jest czyjeś człowieczeństwo.

– Wierz, w co chcesz, Caldanie. Nic mnie to nie obchodzi.

– A gdy kazałeś zabić Annelie, też nic cię to nie obchodziło? Nie zasłużyła na śmierć, tamci dwaj Protektorzy też nie.

– Tutaj możemy się pięknie różnić. Annelie zaczęła węszyć gdzie nie trzeba. Okazuje się, że od dawna była na naszym tropie. Oczywiście nie miała pojęcia, że ja jestem w ten proceder zaangażowany. Dlatego właśnie chciała wywieźć cię do kryjówki. Zupełnie jakby istniało jakieś miejsce, gdzie mógłbyś się przede mną schować.

Caldan potrząsnął głową. Przez utratę krwi i odwodnienie myśli mu się kotłowały, ale jeśli chciał opuścić ten pokój inaczej niż nogami do przodu, to musiał się skupić.

– Więc nie, nie żałuję, że musiałem ich zabić. A co się tyczy ciebie... Różnisz się od innych Dotkniętych, których zwykle łapiemy. Jesteś czarodziejem. Rzadki okaz... Poszukiwany przez cesarza i jego doradców. Marnotrawstwo, ale teraz, gdy już zaczęliśmy proces, nie ma odwrotu. Jesteś zbyt niebezpieczny, żeby pobierać ci krew zwykłą metodą, w przeciwnym razie trzymalibyśmy cię tu tygodniami, może nawet miesiącami. Więc nie, to byłoby zbyt ryzykowne. Ktoś mógłby w końcu popełnić błąd, który pozwoliłby ci wyrwać się na wolność. Przykro mi, naprawdę mi przykro, ale twoje dni są policzone.

Joachim nie mówił jak ktoś, komu jest przykro. W jego głosie brzmiało raczej poirytowanie faktem, że nie będzie mógł trzymać tu Caldana tak długo, jak by chciał, aby móc czerpać z niego jak ze studni. Caldan bał się, opuszczając klasztor i wędrując w szeroki świat, ale nigdy by nie pomyślał, że skończy osuszony na stole operacyjnym.

Świat poza tymi murami jest dziwny... – przypomniała mu się własna konstatacja.

Oblizal spierzchnięte usta. Głowa zaczynała mu ciążyć.

– A może... – wydukał, zaskoczony, że łamie mu się głos. – A może mógłbym przydać się na coś jeszcze?

Joachim uniósł brwi.



– Na to już za późno. Kiedyś, na samym początku, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, pomyślałem, że może istnieje taka możliwość. Ale teraz... Przede wszystkim wiem już, że jesteś kłamcą.

Caldan zamrugał oczami, zmagając się z plątaniną myśli. Oczywiście nakłamał Joachimowi, ale nie czuł się z tego powodu winny. Żałował za to, że nie był bardziej szczery z Annelie. Jednak teraz już na to za późno.

– Miałeś przy sobie kilka interesujących rzemyśliw. Ale też coś jeszcze. – Joachim przybliżył się do twarzy Caldana, aż ten poczuł na policzku jego ciepły oddech. – Twój pierścień-talizman powinno udać mi się sprzedać, choć nikt nie będzie w stanie z niego skorzystać. Nie mogę zaryzykować zwrócenia go cesarzowi, bo posypią się pytania. A ja wolę unikać pytań. Miałeś też ten kościany pierścień. Ten, o który spytałem wprost, a ty udawałeś, że nie wiesz, o co chodzi.

Pokonany Caldan zamknął oczy i kiwnął głową. Nie było już sensu kłamać. Joachim odebrał Caldانowi wszystko, co cenne, a teraz odbierze mu także i życie. Arcymag sięgnął za stół i podsunął mu wodę. Więzień przełknął z ulgą, ale strumień szybko się urwał. Chciwie zgarnął językiem resztki z warg.

– Zostawię cię tu na chwilę – podjął Joachim, odstawiając dzban. – A ty dobrze się zastanów, czy nie wolałbyś wyznać mi prawdy. Bo prawda może nieco wydłużyć twoje życie, a kłamstwo nieco je skrócić. Pomyśl o kościanym pierścieniu. Co o nim wiesz? Dlaczego cesarz tak bardzo chce go odnaleźć? Skąd się wziął? Niektóre odpowiedzi na te pytania znasz, innych pewnie nie. Ale ja potrzebuję wszystkich informacji, jakie możesz mi dać.

– A co ja z tego będę miał? Kilka dodatkowych godzin życia, zanim zarzniesz mnie jak świnie? Nie powiedziałem ci prawdy, bo ci nie ufałem. Coś mi się widzi, że miałem rację, nie uważasz? Więc zamilcz. Przodkowie odpłacą ci za twoje łotrostwa.

– Ależ hardy. Gotowy na śmierć. Ale jestem pewien, że wkrótce przejrzysz na oczy. O tak, będziesz błagał o śmierć. Obiecuję ci, że nie spodoba ci się twój pobyt tutaj. Czasem okazuje się, że czas jest

wszystkim, co mamy, niekiedy wręcz wydaje się najcenniejszą rzeczą na świecie... I bywa, że to zupełnie nie o nasz czas chodzi. Czekał, jak ona miała? A, Miranda...

To powiedziawszy, wyszedł.



W snach Caldana Anasoma płonęła. Błękitne płomienie spłynęły z murów i w okamgnieniu podpaliły przyległe budynki. Mężczyźni, kobiety i dzieci – wszyscy uciekali w popłochu tylko po to, by zginąć ogarnięci wielką rozżarzoną falą, zmieniającą ludzi w czarne cienie.

Na szczycie wieży jakiś potwór zamachał skrzydłami, gdy gorące powietrze uniosło się w nieboskłon. Czuł satysfakcję, jakby całe to zniszczenie było jego dziełem.

Dlaczego Caldan sprowadził zagładę na Anasome?

W przystani tłoczyły się dziesiątki indryallańskich okrętów, po burty wypełnionych żołnierzami. Patrzyli, jak magiczny ogień wypala wrzód, jakim było Cesarstwo Mahruzańskie.

Wrzód? Dlaczego tak o tym pomyślał?

Bestia skoczyła w górę i wzbija się na fali gorącego powietrza w zasnute dymem niebo. Indryallanie podnieśli wiwat...

Caldan zerwał się ze snu z rozkołatanym sercem. Śnił w delirium. Wypędził z głowy koszmarnie wizje, choć te mocno wryły mu się w pamięć.

Był zmęczony. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem czuł się tak skonany jak teraz. Miał wrażenie, że się postarzał, jakby ostatnie godziny wysały z niego wszystkie siły. Łapał powietrze haustami, nie mogąc spowolnić własnego oddechu.

Wody, na przodków. Inaczej długo nie pociągnie. Pewnie to właśnie zaplanował Joachim. Po co brudzić sobie ręce, skoro odwodnienie i utrata krwi odwalą robotę za niego? Zastanawiał się, jak długo to jeszcze potrwa.

W pokoju panował półmrok. Zapadła noc, a oni nie dali mu żadnej lampy. Dobrze, że za oknem świecił księżyc. Światło rozlewało się po podłodze.

Przepraszam cię, Mirando.

Caldan zamknął oczy. Tylko na chwileczkę, obiecał sobie.

Wyprawiona skóra zaszurała o drewno. Po jego lewej stronie zabrzmiał sykliwy głos.

– Czuję krew...

Caldan usiłował otworzyć oczy, ale powieki miał ciężkie jak ołów.

– Pomóż... – wyskrzeczwał do tego kogoś.

Tajemniczy gość obszedł go w drodze do drzwi. Caldana omył ruch powietrza.

– Wody... błagam...

Przez długą chwilę nikt się nie poruszał. Chłopak słyszał tylko dobiegający skądś daleko gwar.

Ten ktoś znowu się poruszył. Kimkolwiek był, stał teraz obok Caldana. Spryskał mu twarz wodą. Caldan aż się poderwał zaskoczony. Pospiesznie wystawił język, by zebrać trochę drogocennej wilgoci. Cienka strużka wpłynęła mu do ust i Caldan przełknął. Gdy urwała się zbyt szybko, znowu ktoś bryznął mu wodą na twarz, tym razem w oczy. Otworzył je, zamrugał.

I zamarł.

– Proszę, proszę. A to ciekawe – powiedział Amerdan.

Caldan wpił się wzrokiem w sklepikarza. Myśli pełzły mu w wymęczonej głowie i chłopak nie potrafił zrozumieć, co on tu robi. Ale niezaprzeczalnie stał właśnie przed nim on – człowiek, który zabił Elpidię. Caldan łypnął na sztylety Amerdana. Owładnęły nim strach i złość. Chciał rzucić się na niego, ale nie mógł. Z dwóch powodów: po pierwsze, był związany, po drugie, Amerdan był jego jedyną szansą na ucieczkę.

– Amerdanie, przodkom niech będą dzięki. Uwolnij mnie. Na zewnątrz pewnie ktoś jest, więc bądź cicho.

Amerdan taksował go wzrokiem. Jakby czegoś szukał? Czego on chciał? Wydawał się zakłopotany. Caldan przypomniał sobie

pierwsze spotkanie ze sklepikarzem, czerwony odcień jego skóry i smród gnijącego mięsa. Teraz wydawało mu się, że jest taki sam jak wtedy. Tak jak wówczas, obie te rzeczy zniknęły, nim zdołał dłużej skupić na nich zmysły.

– Dlaczego jesteś związany? – spytał Amerdan beznamiętnym tonem.

– Nie wiem... – wybąkał Caldan. Choć sądził, że Amerdan również jest Dotkniętym, nie mógł przecież wyjawić mu prawdy. Nie mógł mówić szczerze z zabójcą Elpidii. – Chyba chcą ukraść moje rzemyśliwa. Błagam, musisz mi pomóc.

– Muszę?

– Tak. My jesteśmy... podobni. Ty i ja. Sam wiesz, że to prawda.

Amerdan niemal niedostrzegalnie wzruszył ramionami, jakby nie robiło mu to różnicy.

– Ale dlaczego? – przemówił wreszcie. – Dlaczego ktoś miałby cię więzić?

– Powiedziałem ci, chcą moich rzemyśliw...

– Po co trzymają cię tu żywego? Mogliby po prostu cię zabić i wtedy je zabrać. Nie. Oni chcą twojej krwi. Pytanie brzmi: kto?

Caldan nie miał siły dłużej kłamać, postanowił więc powiedzieć prawdę i później martwić się konsekwencjami... jeśli w ogóle miało być jakieś później.

– Joachim.

– Joachim? Kto to?

– Arcymag. Odpowiadający tylko przed cesarzem. Zabił kilku Protektorów, w tym jedną mistrzynię. I wypytywał mnie o ciebie. Interesuje go nasza krew.

Amerdan nie przejął się tym, wzruszył niedbale ramionami. Caldan zerknął na drzwi. Choć rozmawiali szeptem, w każdej chwili ktoś mógł wejść do celi. Skręciło go w żołądku na myśl o Joachimie znajdującym tu Amerdana.

Niezależnie od tego, jak bardzo wstrętne była mu myśl, że jest zależny od Amerdana, to fakt pozostawał faktem, że sklepikarz był teraz jego jedyną szansą na ucieczkę. A pomimo jego rozlicznych

talentów – tych, które Caldan sam miał okazję zaobserwować, nie wspominając już o tym, że jakimś sposobem zdołał się tu dostać – był pewien, że Amerdan nie stanowił wyzwania dla władającego potężną magią Joachima. Jeśli arcymag go tu znajdzie, to już po nim. Albo od razu go zabije, albo wydrenuje z krwi jak Caldana. Trudno powiedzieć, żeby sobie na to nie zasłużył, ale Caldanowi nic by z tego nie przyszło.

A przynajmniej na tę chwilę.

– Musisz mnie uwolnić. Nie mamy wiele czasu.

– Dzieją się tu rzeczy, których nie rozumiem. Spraw, żebym zrozumiał.

– Joachim może wrócić lada moment. – Caldan musiał przekonać Amerdana, że grozi mu niebezpieczeństwo. – Jest arcymagiem. Wiele wie i wiele może. Korzysta z licznych rzemyśliw i talizmanów, które dodatkowo zwiększają jego i tak już potężną moc.

Amerdan zmrużył oczy, wężąc w powietrzu.

– Potężny arcymag, mówisz. – Przyjrzał się z zaciekawieniem skórzanym pasom. Jego ręka powędrowała do jednego z noży.

– Właśnie tak – wyszeptał z naciskiem Caldan. – Przetnij je.

Druga ręka Amerdana popęzła za koszulę i ścisnęła coś, co nosił na szyi. Zmarszczył brwi na Caldana, poruszając ustami, jakby mówił do siebie.

– Teraz? – szepnął na granicy słyszalności, tak że Caldan ledwo rozróżnił słowa. – Nie. To nie jest odpowiedni moment. Może później? A co z nią?

Caldana zaczęło martwić zachowanie sklepikarza. Czemu się wahał? Czego nie rozumiał? Zdusił kiełkujący mu w sercu strach. Los podarował mu szansę, którą wahający się Amerdan mógł zaprzepaścić. Raz jeszcze nerwowo rzucił okiem na drzwi. Zanim zdołał coś powiedzieć, Amerdan doszedł najwyraźniej do jakiejś konkluzji i przepiłował nożem skórzane pasy.

Nie mogąc się powstrzymać, Caldan krzyknął z bólu, gdy krew napłynęła do nadgarstków, klatki piersiowej i stóp.

Odpowiedziały mu zdziwione głosy po drugiej stronie drzwi.

– Teraz się zacznij – stwierdził Amerdan.

Caldan rozmasował bolące nadgarstki.

– Może nie wejdą. Są pewni, że nie mam jak uciec.

Na przodków, był słaby jak dziecko, ale postanowił zrobić, co w jego mocy, by się stąd wydostać. Odszedł od stołu na parę kroków, chwiejąc się na nogach, ledwie mogąc ustać.

Wtem rozległ się stukot zdejmowanego rygla.

Caldan zmarszczył brwi. Skoro drzwi były zablokowane, jakim cudem Amerdan się tu dostał? Dopiero wtedy zauważył, że okno jest otwarte. Sklepiarz musiał jakimś sposobem wspiąć się po pionowej ścianie.

Złapał kątem oka Amerdana podkradającego się do drzwi od strony zawiasów. Gdy te się otworzą, wchodzący zobaczy tylko Caldana. Amerdan dobył obu noży.

W zamku zachrząścił klucz, a potem rozległo się kliknięcie. Do środka wlało się światło, opromieniając pusty stół z przeciętymi pasami i plamą szkarłatu na podłodze obok słoja. Wtedy plamę światła przecięły dwa cienie.

– Co tu się...?

Amerdan wyskoczył zza drzwi i wykonał precyzyjny sztych. Z gardła uzdrowiciela buchnęła krew, a na jego twarzy zarysował się wyraz całkowitego zdumienia. Sklepiarz wyrwał nóż z jego szyi i pchnął ponownie, drugą ręką łapiąc go za włosy. Wciągnął mężczyznę do celi, a ten zwiotczał w jego uścisku i zwałił się na ziemię. Drapał szyję palcami unurzany w krwi, a z jego ust dobywał się odrażający bulgot.

Amerdan przemknął przez drzwi, a Caldán pobiegł za nim, na ile potrafił. Sam był zdumiony tym, jak szybko wracają mu siły.

Teraz rozumiał, dlaczego jego krew była taka cenna. Dziękował przodkom, że jeszcze trochę jej zostało.

Dwaj siedzący przy stole mężczyźni rzucili ściskane w dłoniach karty i rozdziawili usta na widok Amerdana. Ten błyskawicznie skoczył w ich kierunku, gdy sięgnęli po miecze. Zbyt późno. Rozjuszony Amerdan spadł na nich jak dzikie zwierzę, obalając stół.

Nim blat gruchnął o podłogę, sztylet Amerdana utkwiał w sercu strażnika po jego lewej stronie.

Caldan zachwiał się na nogach i cofnął pod ścianę. Chciał ruszyć Amerdanowi z pomocą, ale nagle osłabł i osunął się na kolana. Chyba nie był jeszcze tak silny, jak mu się zdawało. Zza jego pleców poniósł się echem krzyk. Chłopak poderwał głowę i zobaczył, jak Amerdan cofa się od drugiego strażnika, który klapnął z powrotem na krzesło. W jego gardle widniała głęboka wyrwa, męczyzna kaszlała i krztusił się własną krwią.

Wyszczierzony Amerdan zabrał się do przeszukiwania obu mężczyzn. Caldan rozejrzał się po korytarzu i zerknął przez otwarte na oścież drzwi na leżącego na podłodze uzdrowiciela. Raptem targnęły nim drgawki i dopadły mdłości. W jego gardle narosła gęstwa, którą z wysiłkiem przełknął.

W szafce z boku wypatrzył bochenek chleba i gomółkę sera, a obok kilka dzbanków z piwem i wodą. Przeplukał usta wodą, by pozbyć się posmaku żółci, a następnie wypluł i łyknął potężnie z dzbanka. Nie było to łatwe, bo drżały mu ręce i czuł się słaby, na granicy omdlenia. Ugasiwszy pragnienie, poczuł zapach jedzenia i nagle zaburczało mu w brzuchu, oderwał więc kawałek sera i pochłonął go szybko, zagryzając chlebem. Wyposzczony żołądek mścił się na nim okrutnie, ale na razie ten skromny posiłek będzie musiał mu wystarczyć. Nie miał już ani chwili do stracenia.

Mógł tylko żywić nadzieję, że wystarczy mu sił, by uciec.

W zasięgu jego wzroku znajdowały się schody na niższe piętro, ale jeszcze nie mógł nimi podążyć.

– Poczekaj – rzucił do Amerdana.

Sprawdził, czy dwaj zabici strażnicy nie mieli przy sobie jego rzemyśliw, ale niestety. Oklepał też kieszenie uzdrowiciela, lecz rezultat był ten sam, choć męczyzna wciąż miał przy sobie dwie fiołki z krwią Caldana. A gdzie dwie pozostałe?

Caldan podszedł do okna w celi i wyrzucił obie. Roztrzaskały się o widniejące poniżej dachy.

Amerdan czekał na niego cierpliwie. Nic w jego zachowaniu nie wskazywało, żeby był poruszony ich sytuacją albo tym, że przed chwilą zabił trzech ludzi.

Caldanowi zaświtała w głowie pewna myśl.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

Sklepiarz wzruszył ramionami.

– Zobaczyłem cię na wozie z Protektorami, a potem tych, którzy was zaatakowali. Śledziłem ich aż tutaj, a potem czekałem i obserwowałem.

Dlaczego Amerdan go szukał? Caldan wiedział, że sklepiarz działa w zмовie z Dzwonkami. Czy przyszedł go zabić, ale zmienił zdanie? Pytanie uporczywie cisnęło się Caldanowi na usta: dlaczego? Amerdan był niebezpiecznym człowiekiem i Caldan nie ośmielił się mu zaufać w żadnej, choćby najdrobniejszej sprawie. Myśli przelewały się w jego skołowanej głowie. Przecież on zabił Elpidię! Nawet ślepiec rozpoznałby jego robotę! Poza tym skumał się z Dzwonkami, a więc to on musiał ją uwolnić, gdy Caldan poszedł do Protektorów.

Caldan był rozdarty między wdzięcznością i pragnieniem zemsty. Usiłował panować nad sobą, uspokoić rozedrgane ręce, aż w końcu zebrał się w sobie i zdecydował, że zaczeka z pytaniami. Rozejrzał się po pokoju, szukając swoich rzemyśliw i talizmanów, znowu bez powodzenia. Wytarł dłonie w spodnie i wziął głęboki wdech, żeby się uspokoić.

– Uratowałeś mnie dwa razy – powiedział do Amerdana. – Mam nadzieję, że trzeciego nie będzie.

Amerdan posłał mu nierozumiejące spojrzenie.

– Najpierw posokowiec, teraz Joachim. To dwa razy. Jestem twoim dłużnikiem, ale mam nadzieję, że trzeciego razu nie będzie.

– Tak. Już prawie – odparł tajemniczo Amerdan.

– Musimy stąd uciec, tylko najpierw muszę znaleźć moje talizmany. Są wszystkim, co zostało mi po rodzinie.

Wyraz udręki przemknął przez twarz Amerdana, tak przelotny, że Caldanowi niemal wydało się, że go sobie wyobraził.



– Rodzina jest ważna – powiedział sklepikarz. – Zgaduję, że chciałbyś też znaleźć tego arcymaga... Joachima?

Caldan przełknął ślinę. Tak. Chciał go znaleźć i... i co wtedy? Sprawić, żeby pożałował? Przysporzyć mu cierpienia? Owszem, najchętniej urznąłby draniowi łeb. Chciał odzyskać swoje talizmany i zadbać o bezpieczeństwo Mirandy. Wtedy mógłby powiadomić Protektorów o tym, co się stało, mając nadzieję, że mu uwierzą. Oczywiście wybiegał myślami daleko naprzód. Joachim był niezwykle potężny, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa to właśnie on miał jego talizmany. Bez których Caldan nie może liczyć na pokonanie go. Och, przodkowie...

– Na razie zejdzmy na parter – powiedział do Amerdana – i zobaczymy, czy gdzieś tam nie ma moich talizmanów.

Przy schodach zobaczył oparte o ścianę dwa łuki oraz kołczany pełne strzał. Caldan wyciągnął jedną i przyjrzał się grotowi oraz promieniowi. Było, jak myślał: rzemyśliwa. I to wcale nieźle wykonane. Musi je potem przestudiować, by dowiedzieć się, czy czasem nie nauczy się czegoś ciekawego z wyrysowanych na nich run. W tym celu postanowił je zabrać. Łucznik był z niego żaden, ale posłużą za dowód, w razie gdyby Protektorzy nie uwierzyli w to, co ma im do powiedzenia o Joachimie.

Odłożył strzałę z powrotem do kołczana i przewiesił sobie oba ukośnie przez pierś. Następnie chwycił za łuk i z nim zrobił to samo. Potem wrócił do dwóch zabitych i jednemu zabrał miecz.

– Wynośmy się stąd – powiedział do Amerdana, a ten kiwnął głową.

Wzięli po lampie i bezszelestnie zeszli po drewnianych schodach, trzymając się bocznych krawędzi stopni, żeby nie skrzypiały.

Schody opadały po spirali i tam, gdzie Caldan spodziewał się kolejnego piętra, napotkał tylko dalszą część klatki schodowej. Nie wiedział, co to mogło być za miejsce, ale jego porywacze z całą pewnością postarali się o jakąś ustronną lokację dla swoich łotrostw. Był pewien, że żadne dźwięki z wysokich pięter nie docierały do

mieszkańców okolicznych budynków. Kto wie, może walka ze strażnikami nie ściągnęła niczyjej uwagi?

Wreszcie dotarli do przysadzistych drzwi. Caldan ocenił, że znaleźli się na parterze. W zamku tkwił klucz. Caldan zamknął drzwi i wyjął go, by spojrzeć przez dziurkę.

Dalej znajdował się szeroki korytarz oświetlony dwiema zwisającymi z sufitu czarodziejskimi kulami. Ta ekstrawagancja musiała oznaczać, że to miejsce było centrum dowodzenia porywaczy, a nie jakąś z rzadka używaną kryjówką.

Po prawej stronie widniał rząd trojga drzwi, a w głębi korytarza kolejne, nieco większe i zabezpieczone dwoma największymi zamkami, jakie Caldan widział w życiu. To musiało być wyjście na ulicę.

Zwrócił się do Amerdana.

– Mówisz, że obserwowałeś budynek przez jakiś czas, zanim zobaczyłeś, że mnie porywają?

– Tak.

– A widziałeś Joachima? Błady, krótko ścięty, czarne ubranie?

– Tak. To on zaatakował twój wóz wraz z sześcioma innymi ludźmi. Zajechali nim na dziedziniec, a potem wciągnęli trupy do środka. Potem czterech z nich gdzieś sobie poszło, a na końcu pojawił się uzdrowiciel, którego na górze zabiłem jako pierwszego.

Caldan syknął pod nosem.

– Więc poza tymi trzema u góry został już tylko Joachim?

– Tak... to całkiem możliwe. Bo nie widziałem, żeby wychodził.

Co oznacza, że może siedzieć za którymiś drzwiami. Co powinni teraz zrobić? Wyjście z budynku znajdowało się tak blisko, ale przecież nie mógł go opuścić bez swoich rzeczy. Gdyby to zrobił i poszedł do Protektorów, Joachim mógłby odkryć, że więzień zniknął, a potem samemu się ulotnić. Caldan musiałby wtedy cały czas mieć się na baczności, bo arcymag z całą pewnością polowałby na niego i w końcu zabił – miał dość jego krwi, by stworzyć tyle rzemyślniczych kompasów, ile dusza zapagnie. Caldan byłby dla

Joachima niedokończoną sprawą, którą ten chciałby jak najszybciej odhaczyć.

Musiał więc zabić arcymaga, zanim on zabije jego. Wcale nie był pewien, czy zdoła tego dokonać, ale nie miał innego wyjścia.

– Musimy go dorwać, Amerdanie. Jeśli tylko zdołamy go zaskoczyć... To może...

– Pomogę ci. Ale mam ku temu swoje własne powody. Ja nie potrzebuję twojej pomocy. Sam świetnie sobie radzę.

Razem mogli mieć szansę. Niewielką, ale lepsza taka niż żadna. Caldan objaśnił Amerdanowi swój plan.

– Gdy podłączę się do rzemyślniczych strzał, będę mógł zaburzyć ich działanie. Trudno będzie zgrać to w czasie, ale jeśli odwrócimy uwagę Joachima, powinno mi się udać go zaskoczyć. Marne szanse, żebyśmy przebili się przez jego tarczę, ale możemy spróbować wytrącić go z równowagi i tym sposobem uzyskać przewagę. Jeśli powalimy Joachima, jeśli zaburzymy działanie jego tarczy i zmącimy jego koncentrację, to może uda nam się go pokonać. Zaczekaj tutaj.

Caldan zdmuchnął dwie lampy i klatka schodowa zatoneła w ciemności. Otworzył drzwi na grubość palca, zerkając przez szczelinę, aby upewnić się, że korytarz przed nimi jest wciąż pusty. Wziął kilka rzemyślniczych strzał, przykucnął i popęłzył wzdłuż ściany do pierwszych drzwi. Gdy już tam dotarł, otworzył swoją studnię i podłączył się do strzały. Czuł drzenie ściskanego w dłoni rzemyśliwa i mógł tylko mieć nadzieję, że Joachim nie wyczuje tej odrobiny magii, którą wsącał do przedmiotu pojedynczym strumieniem. Ostrożnie ułożył strzałę przy drzwiach.

Ruszył dalej i zrobił to samo przy drugich i trzecich, wypuszczając ze studni dwa kolejne strumienie. Przy trzecich drzwiach przystanął, chcąc zrobić to samo z główną bramą, kiedy wpadł mu do głowy pewien pomysł.

Ukradkiem wrócił do Amerdana, zamknął drzwi na klatkę i otarł pot z czoła. Nie było go wiele – Caldan wciąż był poważnie odwodniony – ale dobrze było doświadczyć normalnych funkcji organizmu. Jego strumienie rozciągnęły się jak guma, zwłaszcza ten

podłączony do najdalszej strzały, ale jakoś wytrzyma. Czuł, że zdoła utrzymać je w stabilności przez jakiś czas.

– Co robisz? – zaciekawiał się Amerdan.

Caldan wyjął z kołczana jeszcze jedną strzałę i chwycił za łuk.

– Nie wiemy, za którymi drzwiami jest Joachim, a w ten sposób mogę mieć baczenie na wszystkie.

– Więc chcesz go teraz zlokalizować, a potem zastrzelić? Myślałem, że masz jakiś inny plan.

– Bo mam. Ale musimy jakoś zwabić go na korytarz. Sprawić, żeby myślał, że to miejsce ktoś zaatakował.

– To wydaje się proste, a proste rozwiązania są zwykle najlepsze.

Caldan znowu zerknął przez dziurkę od klucza. Zadowolony otworzył drzwi, nałożył strzałę na cięciwę i napiął łuk. Wyprowadził ze studni czwarty strumień, podłączył go do tej ostatniej strzały i strzelił.

Pocisk świsnął w powietrzu i z głośnym stukotem wbił się w drzwi do budynku, kilka cali od środka. Może być. Caldan szybko schował się z powrotem za drzwiami i zamknął je, a następnie spojrzał przez dziurkę od klucza.

Wstrzymał oddech i czekał. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Czyżby Joachim nie usłyszał? A może jednak go tu nie ma? Na przodków, mógł nawet spać.

Caldan uspokoił się kilkoma głębokimi oddechami. Już miał odpuścić i wyjść na korytarz, gdy raptem jego uwagę zwrócił jakiś ruch przy środkowych drzwiach. Otworzyły się i Joachim wystawił głowę. Arcymag spojrzał na drzwi, za którymi Caldan krył się wraz z Amerdanem, a gdy upewnił się, że są zamknięte, rzucił okiem na wejściowe.

A wtedy Caldan natychmiast pchnął strumieniem tyle energii, ile się zmieściło, i zerwał kotwicę. Huknęło, gdy moc z jego studni zdetonowała strzałę, rozwalając główne drzwi. Buchnęło światło, a na podłogę posypały się odłamki drewna i drzazgi. Pomieszczenie wypełniło się dymem.

Joachim zaklął i cofnął się do pokoju, ale nie było go tylko chwilę. Caldan złapał zapach cytryn i wyczuł, że czarodziej sięga do studni. Arcymag ponownie pokazał się w wejściu, tym razem okryty tarczą. Nie zawahał się. Stał na środku korytarza z rozłożonymi ramionami, gotowy podjąć walkę z tym, kto ośmielił się naruszyć jego terytorium.

Caldan wybałuszył oczy w podziw, gdy Joachim zaczerpnął ze studni. Wibracje na obrzeżach jego świadomości, wydzielane przez rzemyśliwa i talizmany, nasiliły się dziesięciokrotnie. Tarcza arcymaga stała się ciemnoniebieska, prawie granatowa, i ciemniała dalej, aż prawie całkowicie go przysłoniła.

Włoski na przedramionach Caldana stanęły dęba. Jego skóra znowu oblała się żarem, a krew zagotowała się w żyłach. Czuł w kościach, że dzisiaj zginie. Ale musiał spróbować, dla siebie i dla Mirandy, dla Annelie i Protektorów.

I żeby po wszystkim wymierzyć Amerdanowi sprawiedliwość.

Zebrał resztki sił. Pchnął drzwi i razem z Amerdanem ruszyli do ataku.

Caldan dobył miecza, a Amerdan wysforował się naprzód. Joachim wciąż jeszcze stał do nich plecami. Gdyby tylko chwilę później zorientował się w sytuacji... Niestety, usłyszał ich kroki i obrócił się ku nim w podskoku. Uśmiech rozświetlił mu twarz na widok nieosłoniętego tarczą Caldana oraz jego towarzysza.

Na ułamek chwili przed tym, jak Amerdan wpadł na Joachima, sklepikarza spowiała błękitna osłona. Strzeliły fioletowe iskry, gdy z impetem wbił się w maga, wyrzucając go w powietrze. Arcymag upadł na podłogę, krzycząc z bólu, i przetoczył się ku następnym drzwiom. Jego tarczę oplotła fioletowa siatka pęknięć, ale osłona wytrzymała. Dźwignął się na jedno kolano, trzęsąc głową – zaledwie kilka jardów przed trzecią rzemyślniczą strzałą.

Wtedy Caldan zerwał jej kotwicę.

Wybuch magicznej energii uderzył w plecy Joachima i pchnął go w ich kierunku. Jego wrzask bólu przeszedł w ryk nienawiści. Nie wierząc własnym oczom, Caldan patrzył, jak arcymag wstał na nogi,

a jego nadwyręzona tarcza zmieniła kolor na fioletowy, nim wróciła do zwyczajowego błękitu.

Arcymag stanął pewnie i obrzucił obu przeciwników spojrzeniem wypełnionym furją. Caldan odruchowo sięgnął do kieszeni po tarczę... ale nic w niej nie znalazł.

Rzucił się więc do biegu, momentalnie rozwijając nadludzką prędkość. Twarz Joachima skrzywił szok. Chłopak runął na niego, mierząc mieczem w pierś i przygotowując się na nieuchronne uderzenie bólu.

W tej samej chwili Amerdan wbił w tarczę arcymaga trzymane w dłoni strzały. Trysnęły iskry. Magiczna osłona znowu przeszła w fiolet, a potem znikła.

Przerażony Joachim patrzył, jak miecz Caldana wnika w jego serce. Arcymag zachwiał się na nogach. Jego ręce zacisnęły się na ostrzu, a spomiędzy palców poląła się krew.

Zaległa cisza; nieznośne wibracje ustały jak ucięte nożem. Joachim upadł na podłogę, a Caldan puścił miecz. Z rany lała się posoka, arcymag otworzył usta, by coś powiedzieć... a potem znieruchomiał, wpatrzony w nich niewidzącymi oczami.

– To było prostsze, niż myślałem – oznajmił Amerdan. – Okazuje się, że nie tak trudno zabić czarodzieja.

Raptem wszystkie siły wyparowały z Caldana, który drżąc, osunął się na ziemię. Zacisnął zęby z bólu, gdy złapał go skurcz w obu nogach. Amerdan milczał, stojąc obok, gdy chłopak rozmasowywał wymęczone mięśnie.

Gdy ból nieco zelżał, Caldan oderwał spojrzenie od martwego arcymaga i otaksował wzrokiem wciąż okrytego tarczą Amerdana. Uświadomił sobie, że ma rozdziawione usta, więc je zamknął. To, czego właśnie dokonał Amerdan, było... niemożliwe.

– Czy ty jesteś czarodziejem? Nie, musisz mieć przy sobie talizman. Wcześniej nie miałeś studni, więc...

Sklepikarz patrzył na niego przez chwilę, a potem mrugnął.

– Późno się o tym dowiedziałem i późno zacząłem pobierać nauki.

Dzwonki, domyślił się Caldan. Oczywiście, że to ona uczyła Amerdana. Ale to nie tłumaczyło, skąd nagle u niego studnia. Przecież ona mu jej nie dała. W każdym razie Caldan już wiedział, jak przekonała Amerdana, by ją uwolnił. Caldanowi obiecała, że będzie go uczyć...

Chłopak omiół sklepikarza zmysłami i zaraz wyczuł to, czego nie dało się pomylić z niczym innym – studnię. Albo przegapił ją, gdy badał Amerdana poprzednio, albo przydarzyło mu się coś nadzwyczajnego po ich ucieczce. Im więcej dowiadywał się o Amerdanie, tym większą był on dla niego zagadką. Ale nie miał teraz czasu, by się w to wszystko zagłębiać.

– Miejmy nadzieję, że Joachim był jedynym arcymagiem zaangażowanym w krwiopijstwo. Bo jeśli było ich więcej, to możemy mieć kłopot.

Amerdan wzruszył ramionami, pochylony nad Joachimem. Przeszukiwał mu kieszenie.

– Co będzie, to będzie. Poszukajmy tych twoich rzemyśliw.



Pomieszczenia poniżej były wykwintnie udekorowane i zawierały więcej bogactw, niż Caldan ujrzał przez całe dotychczasowe życie. Podłogi wyścielały kosztowne dywany, a ze ścian zwieszały się obrazy i gobeliny. Wnętrza zastawiały rzemyślnicze łoża, kanapy, fotele, krzesła i biurka. W każdym kolejnym pokoju znajdowali skrzynie z dukatami i drogimi kamieniami, ozdobną bronią i wyrobami jubilerskimi, a w szczególnie wystawnym gabinecie odkryli skarb wszystkich skarbów – szkatułę z talizmanami. Ku swojej wielkiej uldze Caldan znalazł w nim zarówno swój srebrny, jak i kościany pierścień.

Pierwszy wsunął na palec, drugi schował za koszulą. Obok na blacie leżały rzemyśliwa Dzwonków, które szybko włożył do kieszeni.

Amerdan poszedł przeszukać drugi gabinet i przyniósł z niego skrzynkę pełną dukatów.

– Weź trochę – powiedział. – Zasłużyłeś. I zabierz też wszystkie rzemysliwa i talizmany, na jakie masz ochotę. Protektorzy przecież nie dowiedzą się, jeśli coś stąd zniknie. – Puścił Caldanowi wąski uśmiezek i sam zaczął szperać w szufladach.

Caldan nie kwapił się kraść. Większość znalezionych tu pieniędzy zarobiono pewnie na sprzedaży krwi Dotkniętych, co oznaczało, że bogactwo Joachima i jego zauszników było okupione życiem niewinnych ludzi. Talizmany kupiono pewnie za słony grosz.

Ale może z tych okropności, które spotkały innych Dotkniętych, da się wyciągnąć choć trochę dobra. Mógłby sprzedać ich rzeczy, a pieniądze rozdać biednym – i upamiętnić w ten sposób Elpidię, która właśnie im chciała pomagać.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że nigdzie nie ma talizmanowego miecza, który przyniósł z Anasomy. Biegał z pokoju do pokoju, chcąc go odnaleźć, ale jego wysiłki spełzły na niczym.

Z narastającą paniką przeszukał papiery rozrzucone po biurku Joachima, żeby znaleźć coś, co zdradzi mu położenie talizmanu. Na szczęście arcymag prowadził szczegółowy rejestr, w którym znajdowały się adresy zakupionych nieruchomości oraz przejętych zakładów i manufaktur w całym Starorzeczu. Caldanowi przyszło do głowy, że Joachim mógł nie ufać swoim ludziom na tyle, by powierzyć im coś tak cennego.

A przynajmniej taką miał nadzieję. Wziął więc to, co znalazł, i dał temu spokój. Miał mnóstwo pytań do Amerdana i ani krztyny cierpliwości, by dłużej to odkładać.

– Co się stało wtedy w obozie? Elpidia straciła przytomność, a kiedy ją odzyskała, Dzwonków nigdzie nie było. Ciebie nikt nie widział aż do teraz. Czy zobaczyłeś, jak ktoś ją uwalnia, i śledziłeś ją do miasta?

Amerdan przekrzywił głowę, chwilę nic nie mówiąc.

– Nie – powiedział wreszcie. – Nie widziałem tego, kto ją uwolnił. Gdy wróciłem do obozu, Dzwonków już nie było. Sprawdziłem, co



z Elpidią, ale była tylko ogłuszona, a ja... po prostu chciałem zostawić to wszystko za sobą. Zachowałem się samolubnie.

Słabe wyjaśnienie. Caldan złapał jego spojrzenie i chciał indagować dalej, lecz powstrzymał go groźny błysk.

Niebezpieczeństwo, powiedziało coś z tyłu jego głowy. Wyczuł, że jeśli zaczniesz naciskać na Amerdana, kto wie do czego tamten się posunie.

Dowody winy sklepikarza mnożyły się w oczach, ale w tej chwili Caldan musiał przedłożyć dogodność nad pragnienie zemsty. Może udałoby mu się zaciągnąć Amerdana ze sobą do Protektorów i dopiero tam go zdemaskować.

– Chodźmy – powiedział. – Protektorzy muszą się dowiedzieć o tym miejscu. I chcę powiedzieć im, co się stało z Annelie i tamtymi dwoma.

Amerdan przerwał to, co robił, i stanął krok przed Caldanem.

– W porządku. Idź im powiedzieć.

– A ty nie idziesz ze mną?

– Nie. Oni nie mogą się dowiedzieć, że jestem czarodziejem. Zresztą nawet jeśli się o tym nie dowiedzą, to jeśli powiesz im, że tu byłem i widziałem na własne oczy zakazaną magię, mogą zechcieć mnie uciszyć.

– Przecież oni nigdy by...

– Pewnie robili to w przeszłości nie raz, więc dlaczego nie mieliby zrobić tego znowu. Nie jestem w gildii, więc w ich oczach jestem czarnoksiężnikiem. A wiesz, co z nimi robią. Wtedy musiałbym... podjąć kroki w tej sprawie.

Caldan nie mógł odmówić sensu słowom Amerdana. Dosłyszał też drżącą w nich groźbę. Za nic nie chciał kłamać Protektorom... poza tym, co już nakłamał. Ale nie zamierzał spierać się z Amerdanem, by ten nie nabrał podejrzeń. Ostatecznie kiwnął głową na znak zgody.

Sklepikarz potoczył wzrokiem po skrzącym się wokoło bogactwie i wzruszył ramionami.

– Sam wezmę garść dukatów. Mam pewne zobowiązania. Ale wkrótce cię znajdę. Byłoby... szkoda, gdybyśmy się już nie spotkali. Wyczuwam w tobie wielki potencjał.

To powiedziawszy, Amerdan zostawił Caldana samego wśród dukatów, drogich kamieni, rzemyśliw i talizmanów.

– Zaczekaj... – zawołał chłopak, ale sklepikarz zignorował go i dalej szedł ku bramie. Caldan pobiegł w jego stronę.

Na zewnątrz znajdował się dziedziniec, z którego prowadziły na ulicę żelazne wrota. Pomiedzy ich kratami widzieli przechodniów, a gdy Caldan wychynął z budynku, jeden mężczyzna wskazał go palcem. Hałas musiał jednak wyrwać ze snu sąsiadów, a ci wyszli na ulicę, by sprawdzić, co się dzieje.

Amerdan otworzył bramę i przepchnął się między zgromadzonymi ludźmi, puszczając ich pytania mimo uszu, po czym zniknął w ciemności nocy.

– Będę musiał przestać myśleć o nim: „sklepikarz” – wymamrotał Caldan pod nosem.

Nie mógł pójść za nim i zostawić tego miejsca niepilnowanego. Nim zdążyłby opowiedzieć o nim Protektorom, pewnie zostałyby doszczętnie splądrowane.

– Ty – zwrócił się do jakiegoś chłopca, a gdy wręczył mu złoty dukat, oczy malca zajaśniały zdumieniem. – Biegnij do Protektorów – nakazał mu. – Poproś o mistrza Molda. Obudź go, jeśli będzie trzeba. Powiedz mu, że Caldan go potrzebuje. Każ mu zabrać ze sobą czterech czeladników i przyprowadź ich wszystkich tutaj. Powiedz mu, że chodzi o Annelie... i o miecz. Zapamiętasz?

Chłopak wciąż wpijał się wzrokiem w dukat, ale najwyraźniej słyszał jego słowa, bo pokiwał głową.

– Dobrze. Jeśli to zrobisz, po powrocie dostaniesz drugą taką samą monetę.

To powinno zagwarantować wykonanie zadania. Caldan nakazał mu powtórzyć polecenie, a potem zadowolony posłał go w drogę.

Zwrócił się do tłumu, który w tej krótkiej chwili, gdy instruował chłopca, niemal się podwoił.

– Ludzie, słuchajcie! – krzyknął. – Niech nikt nie wchodzi ani na dziedziniec, ani do środka. Wkrótce przybędą tu Protektorzy. Ktokolwiek złamie ten zakaz, zostanie ukarany.

– Czy to najeźdźcy? – domagała się odpowiedzi kobieta na tyłach. Jej pytanie wzbudziło falę pomruków.

– Na pewno, kto inny? – odkrzyknął ktoś.

– Przecież dalej tu siedzą!

– A tyś co za jeden? Może jeden z nich, hę?

Podniosły się głosy aprobaty i tłum postąpił kilka kroków w jego stronę.

Caldan podłączył się do tarczy Dzwonków i otoczyło go wielokolorowe pole ochronne. Ktoś krzyknął i wszyscy cofnęli się z wyrazem przestachu na twarzach. Aktywacja tarczy uciszyła wszelkie pytania.

Caldan przystanął, wodząc wzrokiem po przerażonych obliczach. Za pomocą magii zawładnął tymi, którzy jej nie rozumieli... drżeli teraz przed nim, a on czuł się silny. Wrócił myślami do Joachima leżącego w kałuży krwi. Dobrze mu tak.

Ale on nie był jak Joachim. W sytuacjach takich jak ta trzeba czasem dokonywać trudnych wyborów i postępować brutalnie. Nie potrzebował przecież używać swojej mocy, by poskromić rozwścieczony tłum...



**M**ost unosił się nad rzeką gładkim łukiem z ciemnego kamienia. Był dość szeroki, by minęły się na nim dwa wozy, i osadzony na brzegach w wielkich kamiennych blokach, wpuszczonych głęboko w ziemię.

Aidan widział w życiu kilka podobnych mostów, które przetrwały Zdruzgotanie, ale tak imponującego jeszcze nigdy. Jak niemal wszystkie większe miasta, Starorzecze wzniesiono na ruinach tego, które znajdowało się tu przed kataklizmem. Większość kamienia, który posłużył za budulec, miała tysiące lat. Dwa filary po obu stronach rzeki były pokryte głęboko wyrzeźbionymi runami. Jeśli wierzyć legendzie, most przekroczyć mogli tylko ludzie i zwierzęta, że dla niehumanoidalnych ras zrodzonych w czasie Zdruzgotania, jukarów i vormagów, stanowił nieprzebytą przeszkodę.

A za mostem widział brązową chmurę spowijającą odcinek horyzontu. Starorzecze.

Aidan otarł rozpalone czoło i kaszlnął. Chyba w końcu przekonają się, czy legenda mówiła prawdę. Z wioski po drugiej stronie mostu leniwie wznosił się w popołudniowe niebo dym. Osłonił oczy przed słońcem i dopiero teraz wyłuskał z rozmazanego tła figury rozmawiających na ulicy ludzi, bawiących się roześmianych dzieci. Aidan i jego towarzysze opuścili swoje leśne schronienie kilka godzin wcześniej, torując sobie drogę przez trawiaste równiny, które wkrótce przekształciły się w pola. Gospodarstwa pstrzyły krajobraz po obu stronach drogi, ale drużyna bała się zatrzymać, nawet po to, by ostrzec mieszkańców. Niewielkie opóźnienie mogło spowodować na Starorzecze katastrofę... Aidan tak naprawdę nie wierzył, że most może powstrzymać jukarów. Legendy to tylko legendy.

Ale zdołają ostrzec mieszkańców wioski przed nimi, a przy odrobinie szczęścia wieśniacy wezmą ich słowa na poważnie i zgodzą się opuścić swoje domy, żeby ratować życie. Bo jeśli zaczną się pakować, ładować na wozy cały swój dobytek, mogą nie zdążyć. Tylko że niełatwo im będzie przekonać ludzi, że idzie na nich horda potworów sprzed Zdruzgotania.

– Naprzód – zarządził Aidan i popędzili wykończone konie w stronę mostu.

Po drugiej stronie zaciekawieni mieszkańcy taksowali wzrokiem ich umorusane, wychudzone postacie, a niektórzy spośród nich odwrócili spojrzenia, jakby nie chcieli kusić licha. Aidan zaczepił jednego z tych ciekawskich – zarośniętego starego wygę o nosie i policzkach pokrytych czerwonymi żyłkami.

– Kto jest naczelnikiem wioski? – spytał. – Macie jakiegoś wójta czy radę starszych?

– Wójta – odparł mężczyzna, czochrając brodę. – Prowadzi gospodę.

Aidan rozejrzał się i znalazł budynek, który nie mógł być niczym innym – trzypiętrowy, świeżo pomalowany gmaszek zaraz przy głównej drodze.

– Lepiej stąd uciekajcie – powiedział Aidan. – Nadchodzą jukarowie. A oni nie biorą jeńców. Powiedz wszystkim. Zabierajcie dzieciaki i jak najszybciej jedźcie do Starorzecza.

Starzec splunął na ziemię.

– Co to za głupie żarty? Nie wiem, czego wy chcecie, ale bujać to my, a nie nas. Poszli stąd.

Aidan się zachnął. Wiedział, że tylko na taką odpowiedź może tu liczyć. A jednak musiał ich jakoś przekonać. Najlepiej zrobi, dogadując się z wójtem. Jeśli kogoś posłuchają, to tylko jednego ze swoich. Miejmy nadzieję, że zrobili go wójtem, bo ma łeb na karku, pomyślał.

Aidan kiwnął na Chalayana i cel Raua. Vasil wciąż wisiał na koniu, otumaniony lekarstwem.

Gospoda była świetnie utrzymana, umeblowana solidnymi ławami i stolikami, których zapewne nawet najbardziej krewki opój nie zdołałby wykorzystać w charakterze broni podczas którejś z karczemnych awantur. Aidan dostrzegł tylko kilku bywalców. Potoczył po nich wzrokiem z przyzwyczajenia, by ocenić potencjalne zagrożenie. Para zbrojnych, którzy musieli zatrzymać się w mieście z jakąś karawaną kupiecką. Mieli przy sobie miecze i mniejszą broń. Starzec po kilku głębszych, wsparty o brudny stół i memlający coś pod nosem. Kobieta w średnim wieku i z mocnym makijażem, siedząca na uboczu w ciemnym kącie sali. Za barem stał poważny z wejrzenia mężczyzna po trzydziestce, który zmierzył ich wzrokiem i nalał cztery kufle piwa.

– Na koszt firmy – oznajmił, gdy podeszli do baru.

Aidan pokręcił głową.

– Nie mamy czasu na picie. Szukamy wójta.

– Ja jestem wójtem. Skąd ten pośpiech, jeśli wolno spytać?

Aidan zmierzył go wzrokiem.

– Jesteś nieco młodszy, niż się spodziewałem.

– Nie każdy starzec jest mędrce.

– Święta racja.

Mężczyzna podał mu dłoń.

– Jestem Reidun, wójt Kwaśnicy. Ale ręczę, że piwo mam smaczne. Zaśmiał się, a Aidan uściśnął mu rękę.

– Nie wątpię. Pozwól, wójcie, że przejdę do rzeczy. W tej chwili w stronę waszego miasteczka idzie horda jukarów. Jeśli nie zarządzisz ewakuacji, wszyscy zginą.

Reidun zamrugał na niego.

– Żartujesz...?

– Nie. Jesteśmy ranni, bo z nimi walczyliśmy. Ich celem jest Starorzecze, więc kiedy już tam dotrzecie, będziecie musieli powiadomić Kołczany i Protektorów.

Chalayan jak na komendę otoczył się magiczną tarczą. Reidun wybałuszył oczy i zachłysnął się powietrzem.

– Ledwie uszliśmy z życiem. A jak widzisz, nieco trudniej nas zabić niż pierwszego lepszego wędrowca.

– Na przodków – wydyszał Reidun. – Ty mówisz poważnie.

– Śmiertelnie poważnie. Pomożemy ci zebrać ludzi. Widzieliśmy w okolicy chaty i farmy, ale nie zdążymy ostrzec wszystkich. Nie mamy wiele czasu. Zabierzcie, ile zdołacie, byle nie za dużo. I spiescie się.

Reidun przełknął ślinę.

– Zaraz za wsią jest wielka stajnia. Zatrzymują się tam kupcy i handlarze. Powiedzcie masztalerzowi, że Reidun was przysłał. Chłop jest rozumny i można mu ufać. Niech da mieszkańcom konie i wozy. Pójdę i znajdę kilku bardziej roztargniętych ludzi, żeby powiadomili resztę. Ale są tu i tacy, którzy nawet mnie nie uwierzą. Będą chcieli zostać.

Aidan pokiwał głową.

– Zrób, co w twojej mocy. Ktokolwiek zostanie... później ich opłaczecie, najlepiej za murami Starorzecza.

Reidun wybiegł z gospody, zostawiając ich samych z klientami.

– Słuchajcie, ludzie! – krzyknął Aidan i głowy obróciły się w jego stronę. – Niebawem napadną was jukarowie. Jeśli zostaniecie, zginiecie. Zbierzcie rzeczy i pomóżcie swoim ludziom.

– A zamilczże, chłystku – wymamrotał dziad przy brudnym stole.

Aidan podszedł, wytrącił mu z rąk kubek z winem, ucałił go za koszulę i wywlókł przez drzwi na dwór. Starzec zaległ na drodze, krztusząc się pyłem, a dowódca wrócił do środka. Dwaj strażnicy już byli na nogach, a kobieta w tle rżała ze śmiechu.

– Nie mam na to czasu. Wy zresztą też nie. Uciekajcie albo zginiecie.

Chwilę później w siole zawrzało jak w kotle. Ludzie pospiesznie pakowali się i kierowali ku stajniom. Ale znaleźli się też niedowiarkowie, którzy zbywali śmiechem przestrogi Aidana i jego drużyny, niekiedy odpowiadając otwartą agresją. Cel Rau musiał odpędzić kilku śmiazków gotowych do bitki, przekonanych, że przybysze sobie z nich dworują. Cofnęli się, gdy szermierz upuścił pierwszemu kapkę krwi.

Reidun uwijał się jak w ukropie. Wspiął się na ustawiony na środku ulicy wóz i przekrzykiwał paniczny gwar, ale szybko zdarł sobie gardło. Jedynym pożytkiem z zamieszania było to, że ściągnął do siebie wszystkich mieszkańców. Matki o przerażonych minach tuliły do piersi dzieci. Gdzieś w tłumie jakiś chłopiec zaczął płakać, a chwilę później wyły już wszystkie. Mężczyźni ściskali w krzepkich rękach prowizoryczną broń – widły, długie noże, gdzieś tam dało się nawet dostrzec pordzewiałą miecz, wyciągnięty zapewne z dna jakiegoś kufra. Próbowali nadrabiać miną, ale wyglądali niemal tak groźnie jak gromadka dzieci.

– Nie będzie łatwo – ocenił Chalayan.

Ktoś od tyłu złapał Aidana za ramię. Obrócił się i zobaczył kobietę z okutym w koc niemowlęciem na rękach.

– Weź ją! Zabierzcie ją w bezpieczne miejsce! – krzyczała histerycznie.

– Na przodków, kobieto! – zaklął Aidan. – Nie mogę!

Gdy wyrzucił ręce nad głowę, przycisnęła mu dziecko do piersi.

– Ma na imię Izobelle. Błagam. Zabierz ją do Starorzecza.

– Sama ją zabierz! Po to cały ten ambaras. Żebyś mogła zabrać dziecko do miasta!



Ale kobieta wydawała się nie rozumieć, co Aidan do niej mówi. Zaczęła płakać, tuląc córeczkę do piersi. Podszedł do niej starszy mężczyzna z pordzewiałym mieczem.

– Już dobrze, Halie – pocieszał ją. – Zostaw panów. Chodź ze mną, mam miejsce na wozie.

Otoczył kobietę ramieniem i poszli.

– Musimy popędzić spóźnialskich – powiedział Aidan, dosiadając konia. – Szybko, ilu się da.

Cel Rau i Chalayan, prowadzący za uzdę klacz Vasila, rozjechali się w różne strony. Z wysokości końskiego grzbietu Aidan obejrzał się za siebie i zmrużył oczy. Szukał śledzących ich jukarów w nadziei – choć tak naprawdę nadziei nie miał – że żadnych nie wypatrzy.

Złapał wzrokiem jakiś ruch. Drobną postać hen daleko. I kolejną. I następne, mnożące się w oczach, zalewające czernią zielone pola. Poruszały się zatrważająco szybko. O wiele szybciej, niż mieli prawo. Za nimi rosła ciemna chmura pyłu. Aidan zaklął. Czary vormaga. Był tego pewien. Jak tak dalej pójdzie, wyrzną w pień całą wioskę. Potrzebowali więcej czasu na ucieczkę.

– Cel Rau! Chalayan! – zawył Aidan.

Ci wryli konie i obejrzelili się za siebie.

Czarodziej zaklął w rodzimym narzeczu, a cel Rau splunął na ziemię. Vasil gapił się oniemiały na rosnącą w oczach hałastrę. Ludzie podążyli za jego spojrzeniem i również ją zobaczyli. Wokół poniosły się krzyki i w tłumie wybuchła panika. Przez gwar podniesionych głosów przebił się płacz dzieci. Młoda kobieta upadła i nie zdążyła się podnieść, bo stratowała ją biegnąca ciżba.

Aidan podjechał bliżej do Chalayana i cel Raua, a zaraz obok niego przystanął Vasil.

– Szybko! Zbierzcie tyle ludzi, ile zdołacie. Resztę zostawcie. Powiedzcie, żeby wzięli tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Jeśli zanadto się obładują, dopadną ich stwory. Znajdźcie mnie później i ruszajcie do Starorzecza. Jeśli ktoś będzie się opierał, pokażcie mu palcem jukarów. No, jazda!

Podkomendni ruszyli wykonać rozkaz.



Nim Aidan dotarł do najwyższego punktu mostu, który znajdował się dokładnie w połowie drogi między słupami, wioska pogrążyła się w chaosie. Aidan widział ludzi, którzy już ją opuszczali, niektórzy konno, inni pieszo. Załadowywano wozy dobytkiem i pasażerami. Dobrze. Kilku wysforowanych jeźdźców galopowało już w stronę Starorzecza, zainteresowanych przede wszystkim własną skórą.

Może będą pamiętali, żeby ostrzec miasto. Aidan liczył na to, ale nie przywiązywał się do tej nadziei.

Zatrzymał konia i zsiadł, przerzucając wodze za kulę siodła. Okręcił wierzchowca łbem do wioski i chlasnął po zadzie otwartą dłonią. Zwierzę pomknęło z powrotem do Kwaśnicy. Na pewno się komuś przyda.

To Aidan doprowadził jukarów do tej wioski i prędeej szczeźnie, nim pozwoli potworom przetoczyć się przez nią jak morowa zaraza. Chalayan wiedział, co ma robić, i cel Rau też. Ale czy szermierz powściągnie swoją pogardę dla magii destruktywnej i pozwoli Chalayanowi działać? Cesarz gwarantował im dużą swobodę, jednak każdy z żołnierzy dołączył do Caitlyn z własnych powodów i Aidan dowiedział się od samej dowódczyni, że motywy cel Raua były mroczne jak bezksiężycowa noc.

Jukarowie tratowali już pewnie zieloną trawę obmierzłymi łapami i plugawili ją odchodami. Na przodków, ilu ich jest...

Wpił się wzrokiem w nadciągającą czarną falę i odepchnął te myśli na bok. Nie było na to czasu. Zresztą w ogóle nie było już na nic czasu. Aidan zerknął przez ramię.

Ich konie były na skraju wytrzymałości, ale Starorzecze nie znajdowało się daleko, oni zaś musieli tylko spowolnić jukarów na moście, by kupić uciekinierom trochę czasu. Łatwizna.

Słońce paliło Aidana w kark, gdy stał i czekał na towarzyszy. Chalayan i cel Rau zeskoczyli na ziemię obok niego.

Czarodziej wyjął garść swoich przygotowanych zawczasu rzemyślniczych kamieni i podszedł do barierki mostu, gdzie zaczął je rozkładać.

– To są tarcze – objaśnił. – Ta walka będzie wyglądać inaczej od tej przy jaskini, bo będę zbyt daleko, żeby widzieć, co się dzieje. Nie bardzo wiem... jak my chcemy w takich warunkach skoordynować działania.

Aidan przyjął rzemyśliwa od Chalayana i rozrzucił je po moście w kierunku jukarów.

– Nie damy rady. Po prostu rób, co możesz, a kiedy zobaczysz, że zaraz mnie dorwą... Wtedy odpal.

Chalayan i cel Rau wymienili ponure spojrzenia.

Aidan zignorował ich, a potem dopił ostatnie kropelki ze swojej zielonej fiołki. Gdyby szyjka była szersza, pewnie wylizałby ją od środka. Trudno, może tak jest lepiej. Musiał się skupić.

Czarodziej przeszedł na drugą stronę i rozłożył więcej kamieni. Aidan odpiął pas z mieczem, mozoląc się jedną ręką, a potem dobył broni i odrzucił pochwę. Tylko by przeszkadzała, a ponieważ miał sprawne jedno ramię, nie potrzebował rozpraszaczy.

– To już wszystkie – powiadomił towarzyszy Chalayan. – Paskudne niespodzianki dla naszych jukarskich koleżków. Jeśli dopisze nam szczęście, może i vormag dostanie po łbie. Nie stawajcie między rzemyśliwami, trzymajcie się bliżej wioski. Zrobię z drugiej strony, co będę mógł, ale strumienie mam rozciągnięte, a poza tym będę daleko, więc...

– Po prostu rób, co mówiłem. Nie zdołamy zatrzymać jukarów, możemy ich tylko spowolnić.

– Jesteś pewien, że...?

– Tak. To jedyny sposób.

Musiał to zrobić, jeśli nie po to, żeby ocalić wieśniaków, to może po to, żeby jakoś usprawiedliwić we własnym sercu zabicie Caitlyn. Mamy bronić ludzi przed złem, Cait. Od tego jesteśmy, pamiętasz?

Chalayan nie patrzył na Aidana, wpatrywał się w most.

– A zatem powodzenia.

Odwrócił się i dosiadł konia, a potem truchtem wrócił do miasta.

– On nigdy nie wybaczył ci Caitlyn – rzekł mu cel Rau.

Co ty powiesz... – pomyślał Aidan i wbił wzrok w plecy odjeżdżającego czarodzieja.

– Wiem. A ta nowa magia, której się nauczył... Widzę, że się w niej rozsmakował, i obawiam się najgorszego. Taką już ma naturę. Caitlyn to rozumiała... dopóki nie zapomniała. A ty, przyjacielu?

Cel Rau pociągnął nosem i skinął krótko głową. Aidan ujął jego ramię.

– Dobrze. Miej oczy szeroko otwarte. I nigdy nie zapominaj o naszej prawdziwej misji. Jeśli przyjdzie co do czego, wiesz, co masz robić.

Szermierz dosiadł konia i obrócił się, by jeszcze raz zerknąć na most, a potem podniósł wzrok na nadciągającą horde. Ścisnął cugle, aż zbielały mu kostki palców, ale zaraz się opanował i zwrócił do dowódcy.

– Zgiń dobrą śmiercią – pozdrowił go i popędził konia z powrotem do wioski, nie oglądając się za siebie.

Na Aidana spłynął spokój. Nie wiedział czemu, ale powitał go z ulgą. To nie efekt oszołomienia zawartością flaszki, bo myśli miał jasne. Tak klarowne już dawno nie były.

To nie leki, domyślił się. To czyste sumienie. Tutaj będę mógł spowolnić jukarów i vormagów tak długo, jak tylko mi się uda. W ten sposób ocalę wieśniaków i – mam nadzieję – odpokutuję za swoje grzechy.

Stał pośrodku pradawnego mostu, wpatrzony w postępującą czarną falę. Chłodny wiatr prześliznął się po tafli rzeki i buchnął w niego, rozwiewając mu ubranie. Aidan upewnił się, że temblak jest porządnie zawiązany i że nie będzie przeszkadzał mu w walce.

Małe, ciemne postacie rosły w oczach. Jukarowie kroczyli naprzód w rozproszonych formacjach, zbici ciasniej na ścieżce wiodącej do mostu.

Aidan obejrzał się szybko, by sprawdzić, czy Chalayan i cel Rau są na pozycjach. Obaj czekali na głównej ulicy wioski, skąd mogli

obserwować most, tak jak było ustalone. Przydaliby mu się tutaj, jednak Aidan musiał na pierwszym miejscu postawić Starorzecze, a w dalszej perspektywie – całe cesarstwo. Przesłanie Gazii. Wszystko to było o wiele ważniejsze od Aidana. Jednak dobrze jest w coś wierzyć.

Jego uszu dobiegło gardłowe szczekanie i pohukiwanie. Jukarowie byli coraz bliżej. Zbliżywszy się, zwolnili, przypatrując się ciekawie temu samotnemu człowiekowi na moście. Trzeba im przyznać, tym stworom ze Zdruzgotania, że nie były aż takie głupie. I dlatego właśnie tak bardzo niebezpieczne – bo po ludzku rozumne. I z tego samego powodu okrutne.

Przed samym wejściem pochód się zatrzymał, a stwory zaczęły się rozglądać. Może to sam most wzbudził w nich jakieś odległe wspomnienie. Nieistotne. To potwory, na które jest tylko jeden sposób.

Gdy patrzył na kłębiącą się horde, z tłumu wyszło kilku vormagów. Jeszcze gorsze potwory. Musieli obawiać się resztek mocy, które zostały się w moście, inaczej z miejsca unicestwiliby go za pomocą czarów.

Aidan czuł na sobie ciężar ich taksujących, kalkulujących spojrzeń. Ktoś wyskrzeczwał rozkaz i mniejszy jukar wyszedł mu na spotkanie. Zawahał się, a potem niepewnie wkroczył między słupy.

Nic się nie stało.

Jeszcze jeden krok. I następny. A potem jukar zaryczał i zerwał się do biegu. Mknął prosto na Aidana, a wraz z nim kilku jego pobratymców, łasych na ludzkie mięso.

Jak to dobrze, że nie polegaliśmy na magii z legend, tylko na naszej własnej, skostatował Aidan.

Usiłował przełknąć ślinę, ale usta i gardło miał suche jak pieprz. Szybkie, nerwowe zerknięcie powiedziało mu, że Chalayan i cel Rau wciąż patrzą. Wiedział, że tak będzie, ale jakoś nie mógł się powstrzymać.

Odczekał do momentu, aż pierwszy jukar wdrapie się po pochyłości mostu jeszcze na kilka kroków. Skarlały stwór dzierzył

w łapie tylko sztylet, ale niemal tak wielki jak miecz w dłoni Aidana. Biegł w stronę dowódcy, warcząc i rycząc, a z jego niehumanicznej twarzy szczyrzyły się potężne zęby. Za nim kolejni rozochoceni jukarowie wlewali się na most na rozkaz vormagów.

Aidana oblał zimny pot, żołądek przyssał mu się do kręgosłupa, a serce ścisnęło się w piersi. Był śmiertelnie przerażony. Ale dokonał wyboru i teraz nie da się pokonać strachowi.

– To dla ciebie, Caitlyn... – Odetchnął.

Wpijały się w niego dziesiątki czarnych, morderczych oczu. Stal wykuta w jukarskich kuźniach wzniosła się pod niebo. Aidan odskoczył w bok, gdy olbrzymi miecz spadł tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał. Cios był niedbały, wykonany ręką nowicjusza, i Aidan o mało się nie roześmiał. Uniknął go z łatwością i z taką samą łatwością wbił ostrze głęboko w kark przeciwnika. Gdy je wydobyl, z rany buchnęła krew, a jukar zrobił jeszcze dwa kroki i stanął.

Wtedy Aidan okręcił się w miejscu, nie zważając już na śmiertelnie rannego jukara. Teraz musiał się martwić resztą.

Mknęła na niego zbita hałastrą potworów. Szaroskórych, o oczach czarnych, żółtych lub pomarańczowych, zdziczałych i przez to właśnie okrutniejszych, niż rozumnych, tak jak ludzkie. Wrzaski i ryki zwiastowały ich tłumne nadejście. Aidan odetchnął głęboko i schwycił mocniej miecz, gotowy do walki. Choć właściwie nie taki był plan.

Skąd to opóźnienie? Co ten Chalayan robi?

Pierwsi jukarowie już prawie zetknęli się z nim, gdy dwie z tarcz Chalayana wreszcie się aktywowały i błysnęły niebieskim światłem, jedna po jego lewej, a druga po prawej ręce. Dzięki tej obustronnej blokadzie jukarowie nie zdołają wziąć go w kleszcze. Niestety, te dwie osłony okazały się za małe, by pokryć całą szerokość starego mostu. W szczelinie przed nim zmieściły się dwa potwory, które dalej parły niestrudzenie w jego stronę.

Gdy zmieszani jukarowie przy tarczach kręcili się niespokojnie, jeden dał susa przez szczelinę, zamachując się olbrzymim dwuręcznym mieczem.

Aidan umknął przed nim i zaklął, gdy jego cięcie zjechało po rzemyślniczym napierśniku stwora. Jukar zamierzył się na Aidana ponownie – i to ze znacznie większą finezją niż ten pierwszy. Aidan zwinął się, ledwie unikając ciężkiego brzeszczotu, który grzmotnął w bruk zaraz obok niego, posyłając w powietrze odpryski kamienia i wzbudzając drżenie na całej długości ostrza.

Po raz pierwszy zwrócił uwagę, jak dopasowany jest pancerz potwora. Napierśnik, osłona przedramion, nawet kolczuga pod spodem – wszystko na wymiar. Ktoś się bardzo postarał.

Aidan ciął szaleńczo raczej po to, żeby odpędzić, a nie trafić przeciwnika. Powietrze wypełniło się gwałtownym pomrukiem, jakby gdzieś nad jego uchem wyroiły się z ula pszczoły. Z głębi mostu dało się słyszeć charkliwe, gardłowe krzyki. Zaryzykował prędkie zerknięcie i dostrzegł srebrne odpryski... czegoś... jakiejś mocy... światła emanującego z kilku rzemyśliw pozostawionych na moście przez Chalayana. Strumienie światła unosiły się na wietrze, wiły w przód i w tył.

Tak jak Aidan i Chalayan widzieli na polanie przed jaskinią.

Sieć pulsujących, połyskliwych włókien przecinała ciało i kość, jakby nie napotykały oporu. Jukarowie padali na bruk, pozbawieni kończyn. Ciemna krew bryzgała na kamień. Powietrze rozdzierały bolesne skowyty. Stopy ślizgały się na zlanym posoką bruku.

Przeciwnik Aidana warknął i cofnął się, wybałuszając na niego ślepią, gdy zobaczył, jaki los spotkał jego pobratymców. Tam, gdzie świetliste bicze omiatały zachlapaną juchą przestrzeń, szarża jukarów wytraciła tempo. Dwaj vormagowie przepchnęli się na czoło swojej armii.

Zwalisty potwór skrzyżował spojrzenie z Aidanem. Zamach, mordercze cięcie i zwód, który zmienił się w pchnięcie, niemal wrywające Aidanowi miecz z ręki, gdy je parował. Na przodków, ależ ta bestia była szybka. Machała tym olbrzymim mieczem, jakby nic nie ważył. Aidan wrzasnął, mając nadzieję rozproszyć jego uwagę. Nie wiedział, czy vormag zdoła skontrolować magię Chalayana, ale nie miał zamiaru czekać, żeby się o tym przekonać.

Zaciskając zęby przez ból, który ogarnął jego złamaną rękę, Aidan raz po raz uskakiwał przed kolejnymi cięciami jukara. Jedno przemknęło pod jego mieczem, choć rozpaczliwie próbował się zasłonić, i trafiło go w udo. Ból poraził zmysły Aidana, a gorąca, lepka krew zwilżyła materiał spodni. Noga ugięła się pod nim.

Przez kilka uderzeń serca odpędzał wiszącą nad nim śmierć, desperacko blokując i odbijając ciosy, którymi zasypywał go rozjuszony jukar. Uderzenie po uderzeniu, parada po uniku, wykorzystywał swoją mikrą w stosunku do przeciwnika posturę, aż w końcu masywna klinga wybiła mu miecz z odrętwiałych palców. Tknięty rozpaczą, poderwał wzrok na górującego nad nim potwora.



Vasil w przerażeniu patrzył na most, widząc, jak maleńka postać Aidana zмага się z niemal dwukrotnie przewyższającym go jukarem. Ledwie oddychał, jakby ogarnął go trans. Po prostu nie mógł oderwać wzroku. Pośród jukarów stłoczonych za dwiema tarczami śmignęła jakaś ciemna smuga, zbyt mała z tej odległości, aby mógł dokładnie zobaczyć, co to jest.

Chwilę później dobiegły ich agonalne krzyki. Siedzący w siodle Chalayan aż podskoczył i wrzasnął coś w swoim plemiennym języku. Uśmiechał się jak dziecko, choć jego podkrążone oczy płonęły niczym w gorączce. Vasil wiedział o magii dość, by rozumieć, że czarowanie na taką odległość jest potwornie męczące, choć Chalayan wyglądał, jakby świetnie się bawił i czerpał z wyzwania masę satysfakcji.

Rozumiał tę ekscytację Chalayana: właśnie zatrzymał horde jukarów w środku mostu, a jego magia okazała się tak skuteczna, jak gdyby odgrodził od nich wioskę kamiennym murem. Pierwsze szeregi jukarów najpierw pęczniały od nowo przybyłych żołnierzy, a potem zaczęły rzędnąć, a nawet się cofać. Cokolwiek zrobił



Chalayan, z całą pewnością jego biegłość w magii destruktywnej postępowała naprzód w tempie skokowym.

A jednak... Aidan wciąż stał na tym moście, wciąż walczył o życie.

Do zwycięstwa jeszcze daleko.

Cel Rau oderwał spojrzenie od dowódcy i ogarnął beznamiętnym wzrokiem Chalayana. Vasil złapał jego spojrzenie, ale żadna z myśli, które musiały kłębić się w głowie szermierza, nie odznaczyła się w jego rysach. Wojownik na powrót utkwiał spojrzenie w walczącym Aidanie.

Vasil wciągnął powietrze przez zęby, gdy Aidan padł na jedno kolano. Jukar okładał go mieczem, ale dowódca jakimś cudem odbijał wszystkie uderzenia – poza jednym. Miecz Aidana zadzwonił o kamienie. Jukar zrobił krok naprzód i zamajaczył nad nim jak walące się drzewo.

Widząc, że Aidan zaraz zginie, cel Rau zakomenderował:

– Teraz, czarodzieju.

– Co się dzieje? – syknął Vasil.

Mag roześmiał się z widoczną uciechą.

– Robię, co zrobić trzeba. Jukarską hordę można zastopować na linii mostu... Najprościej po prostu wysadzić go w powietrze. Ale to za chwilę, teraz patrz i podziwiał.

Jukar wznosił potworny miecz ponad głowę, a w tej samej chwili jaśniejące srebrne włókna zaszamotały się na moście. Jedno z nich cięło potwora w ramię i potężny cios z góry chybił Aidana o włos.

– Streszczaj się, Chalayan – ponaglił go cel Rau. – Wolę, żebyśmy to my zrobili, a nie oni.

Mag pokiwał głową z twarzą zastygłą w grymasie koncentracji. Uniósł ramiona i strzepnął krótko dłońmi.

Włókna strzeliły w niebo i błysnęły jak pioruny. A jukarowie zaczęli umierać. Rozpłatanе cielska opadły na bruk. Niektóre stwory przywarły do ziemi, by uniknąć morderczych cięć, inne okręciły się na pięcie i uciekły. Jedno włókno przeszło przez szyję vormaga, błyskawicznie oddzielając głowę od ciała. Czerwone tarcze otoczyły jego pobratymców, a Chalayan zaklął z pasją, gdy jego świetliste

bicze odbiły się od magicznych osłon. Aidan rzucił się w bok i zaległ na bruku, zakrywając się przedramionami.

Serce ścisnęło się Vasilowi w piersi. Niebieskie tarcze na moście zbudziły się do życia za plecami jukarów, odcinając im drogę ucieczki.

– Czarodzieju – warknął cel Rau.

Vasil uświadomił sobie, że Chalayan o wiele za dobrze się bawi. W sytuacji, gdy Aidanowi groziła śmierć, Chalayan czarował sobie w najlepsze, chichocząc jak dziecko.

Wtem po moście przetoczył się grom. W jednej chwili przestrzeń między włóknami pociemniała. Vasila zemdliło na ten widok. Miał ochotę odwrócić wzrok. Było w tym coś... obrzydliwego.

– Tak jest! – radował się Chalayan.

Cielska jukarów buchały płomieniem, a most tonął w potężniejącej chmurze dymu.

– A teraz... – podjął czarodziej, a Vasil zachwiał się, gdy spadł na niego wielki ciężar.

Czuł, jakby nagle zaczął ważyć dwa lub trzy razy więcej niż zwykle. Dym spowijający hordę skręcił się w spiralę i uformował nad mostem olbrzymie tornado. Z jego środka strzeliło wielokolorowe światło i uderzyło w most, zostawiając po sobie rozległe poczerniałe łaty.

Kolejny grzmot. Powietrze poruszyło się, gdy od kładki poniosła się fala ciśnienia. Naparła na Vasila, Chalayana i cel Raua, obaliła ich na ziemię, potoczyła po ulicy.

– Załatwione – podsumował Chalayan. – Teraz już nie przekroczą mostu. Szkoda było go zniszczyć, ale...

– Przecież stoi – zauważył cel Rau.

– Co? – Szok w głosie maga odbił się w niedowierzającym wyrazie twarzy.

Bo cel Rau miał rację. Pomimo rozpętanej przez Chalayana czarodziejskiej burzy most, jak stał od Zdruzgotania, tak stał i teraz. Kładka zavalona była trupami potworów. Aidana nigdzie nie było widać.

Grupa żyjących jeszcze vormagów powoli wchodziła na most. Byli otoczeni tarczami i każdy miał uniesione jedno ramię. Magiczne włókna wypływały z ich rąk i sunęły wzdłuż mostu. Coś nie pozwoliło magii Chalayana zniszczyć budowli, a Vasil był gotów się założyć, że to vormagowie. Pięciu z nich trzymało się za ręce i poruszało ustami, wypowiadając te same słowa. Najwyraźniej wciąż podtrzymywali czar, którym skontrolowali niszczycielską magię Chalayana.

Gdy ta myśl pojawiła się w głowie Vasila, ciemnofioletowa kula zmaterializowała się nad głowami vormagów i wystrzeliła w powietrze. Potem kolejna, potem jeszcze jedna. Dwie pomknęły w kierunku wioski, a ostatnia... leciała prosto na nich.

– Chalayan! – krzyknął Vasil.

Czarodziej otoczył się tarczą, a potem rozpiął ją na całą trójkę. Skóra Vasila zamrowiała, jakby oblażyła ją mrówki.

Kula vormagów rozprysnęła się o osłonę, jakby była ulepiona z wody. Fioletowe strugi spłynęły po niej, a Chalayan zarechotał na ten widok. Najwyraźniej nie przejmował się już tym, że nie udało mu się zniszczyć mostu.

Vasil obejrzał się na wioskę w chwili, w której dwa pozostałe pociski zetknęły się z ziemią. Drewniane budynki natychmiast stanęły w ogniu, a bryzgi jadowitej magii zostawiły po sobie szlaki płomieni.

Po drugiej stronie kładki wciąż stał gotowy do bitki tron jukarskiej armii. Nie przechodzili na drugą stronę, ale to tylko kwestia czasu, nim vormagowie wydadzą rozkazy.

Vasil zadrżał z przerażenia, widząc skalę ich potęgi.

– Jeśli Zdruzgotanie nie wystarczyło, żeby zniszczyć ten most – powiedział do Chalayana – to nie wiem, skąd pomysł, że tobie się to uda.

Chalayan spojrzał na niego wzrokiem wypełnionym... nienawiścią?

– A jednak to ty naprowadziłeś mnie na trop tej magii, sędzio. Popatrz! Popatrz, czego dokonałem! A to dopiero początek.

– Trudno powiedzieć, żebyś w ogóle zaczął zgłębiać tę nową magię.

Chalayan zbył jego słowa machnięciem ręki, jakby gadał bzdury.

– Moc należy do mnie. Dajcie mi kilka miesięcy na eksperymenty, a stanę się dziesięć razy silniejszy! Wyobraźcie sobie, do czego wówczas będę zdolny!

Vasil przełknął ślinę i cofnął się od maga. Pijany mocą, nurzający się we krwi czarodziej obrzucił go szaleńczym spojrzeniem.

– Tego się obawiam. Bo w ten właśnie sposób – zaobserwował Vasil – doszło do Zdruzgotania.

Chalayan tylko się roześmiał.

– Aidan i ja też tak uważamy – powiedział cel Rau ze smutkiem w głosie.

Błysnęło ostrze.

W jednej chwili wciąż spoczywało w pochwie, a w drugiej wojownik stał nieruchomo z uniesionym ramieniem i mieczem w dłoni, tworzącymi jedną prostą linię. Zupełnie jakby ostrze zmaterializowało się w jego ręce, nie musząc pokonywać drogi w tradycyjny sposób. Dwa cale klingi, licząc od czubka, pokrywała krew.

Chalayan złapał się za rozorane gardło, bezskutecznie usiłując zatamować chlustającą krew. Z jego ust wydobyło się bulgotliwe westchnienie. Źrenice uciekły mu w głąb czaszki i czarodziej zwałił się na ziemię.

Przerażony Vasil patrzył na targane drgawkami ciało i wsiąkającą w ziemię krew.

– Nie obawiaj się, sędzio. To Aidan wydał rozkaz. Czarodziej przez długi czas był użyteczny, ale teraz pogromiły go jego własne żądze. Był słaby. Obaj to dostrzegliśmy.

Być może, ale to on podtrzymał naszą tarczę! Vasil nie powiedział tego na głos. Na co mogły zdać się teraz jego protesty? Szaleni. Ci ludzie są szaleni.

Zesztywniały i otepiały, mógł tylko kiwnąć głową, nawet gdy cel Rau na jego oczach odbierał martwemu Chalayanowi wszystkie jego

rzemyśliwa i talizmany.

– Chodźmy – powiedział wojownik. – Kupiliśmy nieco czasu, ale trzeba się spieszyć.

Vasil poszedł za nim i dosiadł konia. Okręcili wierzchowce i skierowali się ku wielkiej chmurze pyłu znaczącej trasę uciekających wieśniaków.

Gdy jechali, Vasil myślał o tych trzech dziwnych typach. Jeden z nich jechał obok niego – spowity ciszą dzikus. Chalayan był potężny, ale za bardzo dał się opętać swojej mocy. No i był jeszcze Aidan...

Na ile Vasil potrafił stwierdzić, Aidan ani razu go nie okłamał. Ginący gatunek. Dobry człowiek. Zginął dla tych, którym nawet nie przyjdzie do głowy, by mu podziękować.

– Będzie nam ciebie brakować, Aidanie – wyszeptał Vasil. – Niech przodkowie przyjmą cię na swoje łono.



**C**aldan stanął z boku, by nie przeszkadzać Moldowi, który nakazał Protektorom otoczyć budynek. Mistrz zniknął w środku, a chwilę później w bramie pojawił się Protektor z pękiem kluczy i zamknął ją, żeby do wewnątrz nie dostał się nikt nieproszony.

Przed budynkiem stanęli dwaj uzbrojeni czeladnicy oraz dwa Kołczany. Mistrz Mold błyskawicznie zjawił się we wskazanym przez posłańca miejscu, a wraz z nim mały oddział zgarniętych po drodze żołnierzy.

Caldan potarł oczy i ziewnął, a potem przeczesał włosy dłonią. Wciąż czuł się słaby, a jego żołądek drążyło ssanie, przypominające mu, że dopóki czegoś nie zje, nie wróca mu siły. Ale Mold kazał mu czekać, czekał zatem. Co najmniej przez kilka minut, aż nie mógł już

ustać, postanowił więc wejść do środka, by znaleźć coś na ząb. Odkrył z Amerdanem małą kuchnię na tyłach i tam się skierował.

Opił się wody za wszystkie czasy, a potem odkorkował przyuważoną butelkę cydru. Chwilę szukał szklanki, a potem machnął ręką. Po tym, co tu przeżył i widział, przyda mu się cała flaszka.

Kuchnia była porządnie zaopatrzona, ale tak wykwinnym jedzeniem, że stracił apetyt. Świerszcze w miodzie? Kałamarnica w owocowym sosie? Owinięta brązowym papierem cegła... nie, kostka z mięsa wędzonych rozgwiżd?

Żołądek wywrócił mu się na drugą stronę na samą myśl.

Zajrzawszy głębiej do spiżarni, zdołał przygotować sobie coś porządnego – znalazł suszone owoce, jeszcze trochę chleba i sera oraz kilka plastrów niezbyt świeżej szynki.

W połowie posiłku do kuchni zajrzała ponura twarz Molda. Mistrz przysunął sobie krzesło i usiadł obok Caldana. Za nim weszli dwaj Protektorzy, starsi czeladnicy, i zajęli pozycje po obu stronach drzwi. Nie pytając o pozwolenie, Mold łyknął cydru, a potem jeszcze raz, długo nie odrywając ust od butelki. Oczy miał zaczerwienione, a szczęki zaciśnięte.

– Jest coś mocniejszego?

Caldan kiwnął głową.

– Widziałem kilka flaszek w... w pierwszym pomieszczeniu. Chyba jakieś drogie wina lub brandy. Nie szczydzili dukatów, żeby wygodnie się tu urządzić.

– W wozie na zewnątrz znaleźliśmy mistrzynię Annelie i dwóch pozostałych Protektorów zakrytych całunami. Pojęcia nie mam, co chcieli zrobić z ciałami. Pewnie wrzuciliby je do rzeki albo zakopali gdzieś pod lasem.

Caldan przytaknął, milcząc. Widział, że Mold nie może się pogodzić z tym, co działo się od dawna pod samym jego nosem. Chyba byli blisko z Annelie.

– Gdy mistrzyni nie wróciła, wysłałem kogoś, żeby sprawdził, co się dzieje. Gdy dowiedziałem się, że kryjówka jest pusta,

spodziewałem się najgorszego. – Osadził wzrok na Caldanie. – Myślałem, że to ty ich zabiłeś. Że się uwolniłeś i jakimś cudem pokonałeś mistrzynię i dwóch czeladników. Wiadomość od ciebie tchnęła we mnie nową nadzieję... że Annelie wciąż żyje.

– Przepraszam. Gdy nas zaatakowali, byłem związany. Pewnie mógłbym jakoś się przydać, ale...

– Nie ma potrzeby przeproszać. Wciąż masz kłopoty, ale muszę się dowiedzieć, co masz do powiedzenia. No to opowiadaj: co się stało?

Ostrożnie dobierając słowa, Caldan wyjaśnił, że zostali napadnięci na ulicy. Zanim zdążyli się zorientować, co się dzieje, obaj czeladnicy zginęli od strzał. Mistrzynie Annelie zdołała jeszcze otworzyć studnię i postawić tarczę, ale... tamci strzelali rzemyślniczymi strzałami, które w jakiś sposób przebiły jej osłonę. Napastnicy uwinęli się gładko, jakby robili to już wcześniej.

Mold pokiwał głową.

– W ostatnich latach zginęło nam kilku Protektorów i czarodziejów. Nikt nie potrafił dociec, co się z nimi stało. Ale mów dalej.

Caldan zawahał się. Dlaczego Joachim miałby zabijać nie-Dotkniętych? Musiał polować na ich talizmany. Może to na ten trop wpadła Annelie?

Zmagał się z potrzebą powiedzenia Moldowi prawdy, ostatecznie jednak postanowił dochować obietnicy złożonej Amerdanowi. Czuł, że tylko on sam, Caldan, miał prawo wymierzyć temu łotrowi sprawiedliwość.

– Zostałem ogłuszony – podjął – a potem obudziłem się w celi na piętrze. Zdołałem się uwolnić i zabić dwóch strażników, którzy otworzyli drzwi. Potem zająłem się ich kamratami. Byli rozkojarzeni i udało mi się ich zaskoczyć. Chyba pili. Na górze znalazłem kołczan rzemyślniczych strzał i wziąłem sobie garść. Wtedy zbiegłem po schodach i natknąłem się na Joachima, który aktywował swoją tarczę, ale udało mi się przebić ją strzałami. I wtedy...

– Wtedy go zabiłeś.

– Tak.



Mold wypuścił z ust długie westchnienie.

– Gdybym na własne oczy nie zobaczył tego bałaganu, tobym nie uwierzył.

– Ja sam nie wiem, czy w to wierzę. Sądząc po luksusach, które tu zgromadzili, Joachim i jego ludzie musieli od lat zabijać ludzi dla talizmanów.

– A co z tą celą, w której byłeś zamknięty? Stół ze skórzanymi pasami, plamki krwi na podłodze? Masz jakieś podejrzenia, dlaczego akurat ciebie zostawili przy życiu?

Caldan zmusił się do spokojnego, miarowego oddechu, a potem spojrzał Moldowi w oczy.

– Nie mam pojęcia.

– Nie? Czy Joachim nie przejawiał jakiegoś szczególnego zainteresowania twoją osobą? O czym rozmawialiście w siedzibie, hm?

– O niczym szczególnym. Nie umiem powiedzieć, czemu mnie nie zabili.

Mold warknął pod nosem, łyknął jeszcze cydru i oddał butelkę Caldanowi.

– Myśl. Wiem, co knułeś i dlaczego Annelie chciała cię uwięzić. Nie... – Mold uniósł rękę, widząc, że Caldan ma ochotę zaprotestować i zasypać go wymówkami. – Wiem, co chcesz powiedzieć: że zrobiłeś to w słusznej sprawie, tylko po to, żeby wyleczyć swoją Mirandę, ale musisz wiedzieć, że mistrzowie od stuleci działają wedle pewnych sztywnych reguł i że są powody, dla których nigdy ich nie łamią. To, co tu odkryłeś, oraz to, że postanowiłeś zostać i nam o tym donieść, dopisały do twojego rachunku kilka mocnych punktów. Ale... mnie też obowiązują te reguły.

– Rozumiem. – Bo Caldan rzeczywiście rozumiał, zwłaszcza że był pewien, że nikt się nie zorientował, iż zdążył skopiować księgi. Jeśli w pojęciu mistrzów jego jedyną przewiną jest kradzież, to jest spora szansa, że zniszczenie morderczego złodziejskiego talizmanu Joachima pomoże mu znacznie złagodzić karę. A przynajmniej taką miał nadzieję...

– Pamiętaj, mistrzu – podjął Caldan – że gdyby nie ja, Joachim dalej by mordował i kradł. Za zabicie Annelie i dwóch czeladników nie spotkałaby go żadna kara. Uciekłby, a mistrzowie nie mieliby pojęcia, że to on stał za całym procederem. A Annelie i dwaj czeladnicy pływaliby teraz w rzece. Na przodków, powinienem był milczeć i po prostu zagarnąć ich siedzibę dla siebie. Tyle dukatów, tyle talizmanów... – Caldan rozmarzył się i potrząsnął głową. – Mógłbym żyć tu wygodnie do końca swoich dni i o tym też nikt by się nigdy nie dowiedział. Ale ja taki nie jestem. Miranda potrzebuje mojej pomocy, jestem użyteczny dla Protektorów, a Dzwonki wciąż jest na wolności. No więc... rozmawiamy.

Mold gapił się na niego, a Caldan pilnował się, by nie odbiec wzrokiem, nie wzdrygnąć się, nie ugiąć pod tym stalowym spojrzeniem. Wreszcie wyraz twarzy mistrza złagodniał.

– Zdemaskowałeś wielkie zło, ale za resztę ktoś będzie musiał zapłacić.

Caldan ponuro pokiwał głową.

– Za to uchybienie zostaniesz postawiony przed sądem – mówił dalej Mold. – Mówię: uchybienie, ale obaj wiemy, że to mało powiedziane. Że ująłem to najdelikatniej, jak się da, choć może niepotrzebnie.

– Ale przecież wiesz, że zrobiłem to dla Mirandy.

– Caldan, pozwól, że powiem to tak klarownie, że bardziej się nie da: nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłeś. Wiedziałeś, że postępujesz źle, ale zrobiłeś to mimo wszystko. A ponieważ to zrobiłeś, zginęły trzy osoby, w tym Annelie. – Mold gestem zdusił cisnące się Caldanowi na usta tłumaczenia. – Owszem, może Joachim wziąłby ich na cel mimo wszystko. Tego nigdy się już nie dowiemy. Ale do tego właśnie doprowadziło twoje pragnienie zakazanej wiedzy.

Caldan utkwiał w nim wzrok, który nie był ani wystraszony, ani butny.

– Czyli co teraz?

Mold przywołał gestem dwóch czeladników.

– Nic nie mogę zrobić. Najprościej mówiąc, za dużo wiesz. Są reguły, których w pewnych okolicznościach po prostu nie możemy nie przestrzegać. Nawet Protektorzy przed kimś odpowiadają.

– A przed kim odpowiadają Protektorzy? – spytał Caldan, obawiając się odpowiedzi.

– Przed cesarskimi arcymagami, ma się rozumieć. Będziesz musiał przedstawić im dowody zbrodni Joachima. Na proces poczekaś w zamknięciu. Najprawdopodobniej odbędzie się on, gdy arcymagowie dotrą tutaj wraz z cesarskim wojskiem.

Czy ma się dobrowolnie poddać karze, którą go obłożą, czy może okaże się dość silny, aby się przed nią uchronić? Caldan z przestachem przypomniawszy sobie słowa Avigdora, które ten wymówił przy ich pierwszym spotkaniu: nie występuje się z szeregu Protektorów.

Mold mógł nie zdawać sobie sprawy, że wydaje Caldana na śmierć. I nie za to, że próbował dowiedzieć się czegoś o magii zniewalającej, ale za to, że był tym, kim był.

Kościany talizman wydał się Caldanowi nagle ciężki jak żeliwo, parzyło go miejsce, gdzie stykał się z ciałem. Powstrzymał odruch, by dotknąć pierścienia. Jego rodzina zginęła za ten sekret. Nie mógł pozwolić arcymagom go zabrać.

Głos Molda sprowadził go z powrotem na ziemię.

– ...gdzie będziemy mieli na ciebie oko. Joachim mógł mieć współników, a jeśli jedyny świadek został wyeliminowany, to znaczy, że nie ma dowodów na jego winę.

On mówi, że nie chcą, żebym przysporzył im kolejnych kłopotów przed przybyciem arcymagów, domyślił się Caldan.

I mógł tylko z ciężkim sercem pokiwać głową. Rozumiał stanowisko Molda. Choć prawdę mówiąc, wciąż nie był pewien, czy zgadza się z jego osądem.

Mold kazał swoim dwóm czeladnikom pilnować Caldana, a sam pokierował śledztwem, które wszczęto w siedzibie Joachima, a które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miało zająć sporo czasu. Caldana wyprowadzono na ulicę, a on w kilka minut wymyślił

i odrzucił tuzin planów ucieczki. Każdy z nich wiązał się z jakimś ryzykiem i koniecznością użycia magii, co oznaczało, że w trakcie ich realizacji ucierpi wielu postronnych, a Protektorzy na zawsze wpiszą go na czarną listę. Ponadto potwierdzi ich podejrzenia, że nie mogą mu ufać w kwestii magii destruktywnej i zniewalającej. Jeśli ruszy tą drogą, odwrotu nie będzie. I najprawdopodobniej skończy się tak, że złączą na niego polować i w końcu go zabiją. Znaczą się jeśli zdołają go pokonać... W końcu jego umiejętności rosły, i to szybko. Czy może zwiększyć swoją moc do tego stopnia, żeby nie musieć się martwić Protektorami? Joachim powiedział mu przecież, że Dotknięty czarodziej to rzadkie połączenie. Do czego będzie zdolny przy tak wielkim przyroście mocy? A gdyby zademonstrował ją Protektorom, utarł im nosa – lub nawet posunął się nieco dalej i kazał im zostawić się w spokoju?

Nie, trochę się zapędził. Potrzebny mu dobry plan, ot co. Bo prawda jawiła mu się jasno: musi uciec, i to w taki sposób, by zapewnić sobie przynajmniej godzinę przewagi. Dzięki niej zdoła uciec dość daleko, żeby... właściwie co? Co niby zrobi? Stanie się poszukiwanym zbrodniarzem i wszyscy Protektorzy oraz arcymagowie będą na niego polować. Jakkolwiek by patrzył, nie ma za wielu możliwości. Ratować się ucieczką i ostatecznie dać się złapać lub pozwolić się zamknąć w lochu na resztę życia, ewentualnie dać się osuszyć do ostatniej kropli cesarzowi i jego arcymagom. Z kolei życie w ukryciu to żadne życie. Nieustannie oglądać się za siebie, zastanawiając się, czy to dziś znajdą go i zabiją – nieszczęśliwie zachęcająca perspektywa. Czy to takie właśnie życie wiedli jego rodzice, zanim zginęli?

No i była jeszcze Miranda. Która znalazła się w tym stanie przez niego, dlatego miał wobec niej dług i musiał zrobić, co w jego mocy, by ją wyleczyć.

Do siedziby Protektorów miał wszystkiego kilka minut – musiał się na coś zdecydować, i to szybko.

– O rety, muszę pilnie pogadać z mistrzem Moldem – oświadczył, oglądając się na czeladników. Pchnęli go naprzód, a on potknął się

na bruku i zgromił ich spojrzeniem.

– Idziemy – nakazał ten starszy.

Dotąd nieczęsto się odzywał i Caldan wzdrygnął się, słysząc jego głos. Zanim nad sobą zapanował, Caldan powędrował wzrokiem do sakiewki przy pasie Protektora. To tam były jego rzemyśliwa i talizmany. Wiedzieli, że bez nich niewiele może zrobić, i myśleli, że nie sprawi im kłopotów obsztorcowany przez Molda, pozbawiony zarówno rzemyśliw, jak i broni, o drodze ucieczki nie wspominając.

Ulicą zbliżał się do nich powóz, a w głowie Caldana kłuł się pewien pomysł.

– Mold popełnia wielki błąd – rzekł z przekonaniem. – Nie powiedziałem mu o kilku sprawach. Musicie zabrać mnie z powrotem, muszę natychmiast z nim porozmawiać.

Caldan poczuł, że starszy Protektor sięga do studni, uniósł więc ramiona w poddańczym geście. Musiał wywrzeć na nich mocniejszy nacisk, skłonić ich do myślenia, że rzeczywiście musi pilnie skontaktować się z Moldem, ale jeśli stracą cierpliwość i go obezwładnią, jego plan się nie powiedzie.

– Przepraszam – powiedział Caldan. – Już będę cicho.

– Tak lepiej. Uwaga, powóz jedzie. Prawa wolna.

Caldan usłuchał, nie odejmując oczu od zapienionych koni.

Czekaj, nakazał sobie. Jeszcze nie teraz.

Wziął głęboki wdech, okręcił się w miejscu i grzotnął starszego Protektora w szczękę, natychmiast sięgając do jego pasa. Oczy mężczyzny zasłyły mgłą i upadł na ziemię, a Caldan szarpnięciem rozerwał zaciskający sakwę sznurek.

– Ejże! – krzyknął drugi Protektor.

Caldan skoczył na ulicę tuż przed nadjeżdżającym powozem. Konie spłoszyły się, zarżały, robiąc nogami w miejscu, ale Caldan już przemknął obok nich i rzucił się do bocznej uliczki.

– Stój!

Przeskoczył stos śmieci i skręcił na najbliższym skrzyżowaniu, o mało nie wpadając na kobietę z dwójką dzieci. Poczuł za sobą napływ mocy ze studni. To ten drugi Protektor aktywował tarczę.

Zza pleców Caldana poniósł się kolejny krzyk, gdy skręcił ostro w prawo, jakby rzeczywiście chciał spotkać się z Moldem.

Następnie pomknął w lewo – w kierunku siedziby Protektorów. Na następnym skrzyżowaniu przystanął, dysząc i zerkając za róg. Nigdzie ani śladu Protektorów. Jeśli miał fart, pobiegli szukać go u Molda. Dobrze.

Caldan zerwał się do biegu.

Powrót do siedziby Protektorów nie zajął mu wiele czasu. Przy murze zatrzymał się, żeby złapać oddech. Gdyby wpadł na dziedziniec zmachany i zdyszany, zaraz ściągnąłby na siebie uwagę. Musiał zachowywać się naturalnie, jakby znalazł się wśród swoich, choć wiedział, że tak nigdy nie będzie.

Wyprostował się, przywołując na twarz neutralny wyraz. Po chwili minął główną bramę i wszedł do budynku, skinąwszy głową kilku mijanym Protektorom.

Najpierw zaszedł do swojego pokoju po sakwę, upewniając się, że skopiowane księgi i rzemyśliwa wciąż są schowane – na szczęście były. Tak jak podejrzewał, nikt z przebywających w siedzibie Protektorów nie wiedział jeszcze, co wydarzyło się w mieście, nie mieli więc powodu, żeby go zatrzymać. Przypasał miecz i poszedł do pokoju Mirandy, by spakować jej rzeczy. Pełny plecak zarzucił na plecy.

Caldan owinął dziewczynę kocem i wziął ją na rękę. Na przodków, ależ lekka... Wyszedł z pokoju i zszedł na parter.

Na dziedzińcu ściągnął na siebie pytające spojrzenie Protektorki.

– Zabieram ją do uzdrowiciela – tłumaczył Caldán. Co właściwie nie było kłamstwem.

Kobieta kiwnęła głową i dała mu spokój.

Chłopak westchnął z ulgą i wyszedł bramą, po czym wniknął w przelewający się ulicami tłum.



Nim znalazł pokój, niemal wstało już słońce. Musiał nieść Mirandę przez całą drogę do jednej z miejskich bram, gdzie gospody i karczmy dla podróżnych były otwarte dzień i noc. Kwatera nie należała do tanich, znajdowała się w końcu w jednej z wykwintniejszych gospód, ale pomyślał, że to lepsze miejsce, żeby zostawić Mirandę na chwilę samą, nim znajdzie dla niej jakieś miejsce na stałe. Zasługiwała na więcej, niż mógł jej zapewnić, a Protektorzy i Joachim udowodnili, że nie potrafią jej pomóc.

Był wykończony. Oczy same mu się zamykały i potykał się na schodach, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi. Jak najdelikatniej ułożył Mirandę na jednym z łóżek. Podciągnął jej koc pod szyję, na wypadek gdyby zsunął się w nocy. Widział ruch jej oczu pod zamkniętymi powiekami, słyszał jej ciche jęki. Czy powodował je koszmar, czy gorąco, nie umiał stwierdzić. Powietrze w pokoju było zastale, otworzył więc okno.

Zaklął pod nosem. Skóra Mirandy wciąż była blada. Ten bezruch nie mógł być dla niej dobry. Przyjrzał się i stwierdził, że z całą pewnością jest chudsza, niż kiedy się poznali. Musiał powierzyć opiekę nad nią komuś bardziej wykwalifikowanemu niż protektorski czeladnik. Choć miał podejrzenia graniczące z pewnością, że już nim nie był, zwłaszcza że uciekł przed czekającym go procesem.

Zmrużył oczy i przetaił je palcami, mając nadzieję, że to pomoże. Nie pomogło. Nieważne. Złapie parę godzin snu, zanim wyjdzie. Nie miał siły się myć, rozebrał się tylko z brudnych ubrań i rzucił na łóżko. Miał sporo rzeczy do zrobienia, więc ten krótki odpoczynek będzie musiał mu wystarczyć. Trzeba załatwić Mirandzie opiekę, a potem brać się do rzemyśliw.

Trudno mu było się rozluźnić. Jego myśli nieustannie krążyły wokół zakazanych ksiąg, które miał w sakwie. Musi jakoś wygospodarować czas, żeby dalej je studiować. Jutro... nie, już dzisiaj, poprawił się, czeka mnie kolejny długi dzień.



Pokój wokół niego wypełniał się światłem, ale Caldan z rozmysłem ignorował nadchodzący dzień jeszcze przez godzinę, nim wreszcie zwlókł się z łóżka. Przygotował się do wyjścia, wymacał pod koszulą pierścień na szyi i ten na palcu. Oba na miejscu. Przypasał miecz, wiedząc, że nie może teraz ryzykować ponownego schwytania, a potem sprawdził, jak się czuje Miranda. Najpierw musiał zająć się nią i miał już nawet pomysł, jak zapewnić jej dobrą opiekę.

Gdy podawał dziewczynie wodę, dotarło do niego, że nawet w tym otepieniu to ona kieruje wszystkimi jego czynami. Wszystko, co robił, robił dla niej, a teraz krył się przed Protektorami, mając nadzieję, że zanim dojdzie do ponownego spotkania z nimi, będzie miał przy sobie dość rzemyśliw i na tyle podszkoli się w magii, by wyjść z tego spotkania obronną ręką. Wiedział bowiem, że na pewno do takiego spotkania dojdzie.

Zdziwił się, gdy uświadomił sobie, że nic go to nie obchodzi. Protektorzy pokazali, że są niekompetentni – bronili dostępu do wiedzy, bo tak im rozkazano, a gdy wydarzyło się coś, czemu powinni umieć zaradzić, nie robili tego.

Nie dlatego, że nie chcieli, tylko dlatego, że nie umieli.

Westchnął i dopilnował, by Miranda wypła całą wodę. Powoli opróżniła kubek małymi łyčzkami. Gdy zacisnęła usta na znak, że już ma dość, ułożył ją wygodnie na łóżku i wyszedł z pokoju, zamykając drzwi narysowanymi kredą runami.

Popytał na mieście i złożył wizytę w gabinecie uzdrowicielki. Gdy wyjaśnił przypadłość Mirandy, pomijając sprawy związane z magią zniewalającą, kobieta chętnie zgodziła się zaopiekować dziewczyną w ciągu dnia. Dał jej adres, zapłacił za dwa dni z góry i obiecał kolejne wypłaty. Dziękując wylewnie, zaczął szukać surowców do rzemyślenia.

Złożywszy wizytę u zegarmistrzyni, Caldan znalazł w mieście srebrnika i już miał niemal wszystko, czego potrzebował, łącznie



z kilkoma metalami ziem rzadkich. Po namyśle zapłacił także za możliwość skorzystania z małej kuźni, którą kobieta urządziła na podwórzu. Zastrzegła, że będzie dostępna dopiero jutro, ale nawet mu to odpowiadało. Potrzebował jeszcze nieco czasu, nim będzie mógł zająć się realizacją swojego projektu i rozpocząć pracę nad łącznikami, kotwicami, buforami i runami aktywującymi. Dokonał pobieżnych oględzin sprzętu na wyposażeniu kuźni, żeby się upewnić, że w decydującym momencie nie zabraknie mu narzędzi.

Do południa uwinął się ze wszystkim i wrócił do gospody. Uzdrowicielka niebawem przyjdzie. Usiadł obok Mirandy. Chciał, by dziewczyna wróciła do siebie. Chciał nie być w tak wielkich kłopotach. I przede wszystkim chciał zrewanżować się Mirandzie za obiad w Węgorzowych Włościach Camilda. Włosy znów spadły jej na twarz. Caldan odgarnął je na bok.

Usiadł przy stole i zaczął szkicować plany rzemyśliw, obliczając proporcje stopów i konfigurując wzory runiczne.

Gdy przyszła uzdrowicielka, zostawił ją samą z Mirandą i zszedł, szukając jakiejś odosobnionej ławy na wewnętrznym dziedzińcu gospody. Usiadł i zaczął rozrabiać w palcach kulę wosku. Wciąż nie postanowił, co właściwie będzie jutro kowalotworzył, ale musiał wkrótce podjąć decyzję. Chciał jak najszybciej przygotować się na potencjalne spotkanie z Protektorami. Upewniwszy się, że nikt nie kręci się w pobliżu, Caldan wyjął z kieszeni pokryty drobniutkimi runami metalowy grot, jedyny przedmiot poza jego własnymi, który zabrał z kryjówki Joachima. Z początku myślał, że te runy to tylko rysunek, ale zaraz dostrzegł i wyczuł, że są wypukłe, jakby naniesione na powierzchnię grotu ciekłym metalem i zastygnięte. Pierwszy raz spotkał się z tak naniesionymi runami i nie bardzo wiedział, co to za metoda.

Strzały były skomplikowanymi rzemyśliwami. Nie rozpoznawał nawet połowy znaków. Każdy miał zwykły pojedynczy łącznik i kotwicę wraz z buforem, ale Caldan nie potrafił zgłębić, jakie są ich funkcje. A właściwie wiedział, co robią, ale nie wiedział jak.

Wrócił myślami do nocnej akcji z Simmonem i Jazinthą, kiedy zabił samowolnego czarnoksiężnika. Jego miecz jakimś sposobem przeniknął przez tarczę. W tamtej chwili uznał, że zrobił to dzięki wzmożeniu szybkości i siły.

Wodząc palcami po powierzchni pierścienia-talizmanu, wyczuł pod opuszką splotowy wzór i stylizowanego lwa. Może z czasem Joachim by go tego nauczył, kto wie. Ale teraz wszystko, co mówił arcyomag, wydawało mu się podejrzane. Caldan musiał polegać na własnej intuicji i przenikliwości.

Na dziedziniec zeszła schodami uzdrowicielka i na widok Caldana podeszła, by zapewnić go, że Miranda jest zaopiekowana jak należy. Zapowiedziała, że zajrzy jeszcze wieczorem.

Gdy Caldan wrócił do pokoju, Miranda poruszyła się na łóżku, przerywając tok jego myśli. Wierciła się i miała przyspieszony oddech. Caldan pogłaskał ją po czole i po włosach, dopóki się nie uspokoiła. Nie mógł już patrzeć na nią w tym stanie. Zerknął na sakwę z dwiema księgami. Niemal słyszał ich wołanie. Rzemyślenie poczeka do jutra. Gdyby wszystko inne zawiodło, zrobi sobie drugą bransoletę-tarczę. W tej chwili miał ważniejsze sprawy, którymi musiał się zająć.

Wyjął księgi i czarodziejską kulę, którą umieścił w takiej pozycji, aby wygodnie mu się czytało w wieczornej szarówce. Z dreszczem podniecenia otworzył pierwszą księgę. Ponieważ Protektorzy nie pomogli Mirandzie, musi nauczyć się sam, ile zdoła. A jeśli nauczy się czegoś, co pomoże mu w starciu z Protektorami – tym lepiej.



Kilka godzin później usłyszał pukanie do drzwi. Przetarł oczy. Na przodków, ależ był zmęczony. Zajęczał, poruszył się i przebiegł językiem po suchych wargach. Przy nauce czas szybko mu zleciał i zapomniał o jedzeniu i picciu. Zerknął za okno – była ciemna noc. Wstał i zachwiał się, bo zdrętwiała mu noga.

Szybko schował księgi w sakwie i otworzył drzwi.

Oczywiście uzdrowicielka. Uśmiechnął się i wymienił z nią uprzejmości, gdy weszła i zajęła się Mirandą. Przystanęła i uniosła na niego brew. Zorientował się, że gapi się jak ciele, i zaraz wydukał przeprosiny. Spytał, czy będzie mogła zostać z Mirandą na jakiś czas, a potem wziął sakwę i opuścił pokój.

Burczało mu w brzuchu. Ciało dopominało się jedzenia. Czuł się skołowany i nie dziwota – w końcu stracił sporo krwi. Potrzebował uzupełnić braki w żołądku i w krwiobiegu.

Nieopodal karczmy, gdzie grywał w dominion, nocą rozstawiał się mały targ, a w okolicy roiło się od restauracji. Krótki spacer i znalazł sobie ustronną knajpkę, gdzie nikt mu nie będzie przeszkadzał. Wkrótce postawiono przed nim talerz smażonej wołowiny z ziemniakami i wielką miską zieleniny. Biorąc się do jedzenia, wrócił myślami do rzemyślenia i magii zniewalającej.

Księgi były niezwykle pouczające. Tak jak podejrzewał, tłumaczenia Dzwonków, że jest to magia wymagająca, były poważnym niedopowiedzeniem. Ale z opisów i diagramów w księdze potrafił już wywnioskować, wedle jakich prawideł działa ta magia. Była skomplikowana – nie miał co do tego wątpliwości – ale nie bardziej skomplikowana niż partia dominionu z wprawnym przeciwnikiem. Zaczynał sobie uświadamiać, że najtrudniejsze do przyswojenia aspekty tej magii to tylko kwestia praktyki. Efekt w prostej mierze zależał od tego, ile strumieni czarodziej wyprowadzi ze studni i jak dobrze będzie potrafił je kontrolować. Istniały wyjątki – był nim na przykład posokowiec Mahsonn – ale ostatecznie wszystko sprowadzało się do talentu.

Pierwsza lekcja z tworzenia tarcz, jaką odebrał jeszcze w Anasomie, pomyślana została tak, by oddzielić tych, którzy potrafią wyprowadzać strumienie, od tych, którzy tego nie potrafią. Na tym etapie wymagano tylko dwóch, ale już to mówiło mistrzom, kto ma potencjał, a kto nie. A jak przekonał się przy otwieraniu rzemyślniczych zamków w mistrzowskiej bibliotece, większość czeladników nigdy nie wyszła poza cztery.

Caldanowi przypomniały się słowa Dzwonków, która opowiadała mu o dzieleniu strumieni. Mówiła, że magia zniewalająca wymaga utworzenia co najmniej siedmiu oraz mistrzowskiego posługiwania się nimi jednocześnie.

To miało sens w świetle tego, co sam wyczytał z zakazanych ksiąg. Niemal zaklął, gdy dotarło do niego, że zdradził się przed mistrzami, że potrafi utrzymać pięć strumieni. Lepiej zrobi, jeśli odtąd będzie krył się ze swoimi umiejętnościami, przynajmniej dopóki nie dowie się więcej.

Teraz musiał wykorzystać swoją wiedzę do tworzenia rzemyśliw o większej mocy niż wszystkie poprzednie. Prawie już ukończył projekty dwóch nowych konstruktów i z całą pewnością były to projekty oryginalne, ale nie sądził, by zdały się na wiele w walce, która go czeka.

Rozprawie z Protektorami.

Magiczno-mechaniczne hybrydy były znane historii, ale nie występowały często. Niewielu czarodziejów potrafiło takie skonstruować, a jak dotąd nikt nie znalazł dla nich praktycznego zastosowania. Ale Caldan miał pewien pomysł i wydawało mu się, że to dobry pomysł na następne rzemyśliwo.

Podjąwszy decyzję, wrócił do pokoju Mirandy. Uzdrowicielka już wyszła. No i dobrze, nie płacił jej przecież za beczynne siedzenie. Pewnie zrobiła, co miała do zrobienia, i poszła zająć się własnymi sprawami. Choć było już późno, a Caldan wiedział, że będzie miał następnego dnia pełne ręce roboty, postanowił jeszcze przed snem sięgnąć do swoich planów. Wprowadził drobne modyfikacje do schematów, które obmyślił jeszcze w restauracji, i uśmiechnął się pod nosem.

Rzemyśliwa Dzwonków oraz jego własne hipotezy sprawiły, że robił postępy w skokowym tempie.



Uzdrowicielka wróciła wcześniej rano, żeby zadbać o Mirandę, zanim otworzy tego dnia gabinet dla dzisiejszych pacjentów. Obserwował, jak kobieta wyjmuje ze skórzanej torby, takiej samej jak ta Elpidii, swój sprzęt – małe fiołki oraz rozmaite lekarskie utensylia. Zamrugął raptownie. Elpidia. Zacisnął pięści, aż zaboląły go kostki palców. Amerdan słono zapłacił za to, co zrobił.

Gdy uzdrowicielka skończyła się rozpakowywać, Caldan pojął, że jeśli dojdzie do najgorszego, Miranda zostanie sama i nikt już nie będzie się nią zajmował. Martwiło go, że coraz więcej spała w ciągu dnia – kuracja Joachima najwyraźniej nie powstrzymała na długo degeneracji umysłu dziewczyny. Może arcymag planował to od początku: najpierw sprawić, by Caldan myślał, że stan Mirandy jest ustabilizowany i że w toku kolejnych kuracji będzie z nią coraz lepiej, podczas gdy w rzeczywistości nic się nie zmieniło.

Gdyby Protektorzy go uwięzili, Miranda umarłaby z głodu w ciągu tygodnia lub nawet zaopiekowana wędłaby powoli jak drzewo bez korzeni. Co za potworna myśl.

Zwrócił się ku uzdrowicielce, sięgając po sakiewkę.

– Przepraszam. Zastanawiałem się, czy może nie mogłabyś poszukać jakiegoś lepszego miejsca dla Mirandy. To chyba nie sprzyja jej powrotowi do zdrowia. Może jest w mieście jakieś dobre hospicjum? A może sama masz wolny pokój?

– Jest w mieście kilka hospicjów, jedno lepsze, inne gorsze. Niestety, jakość opieki zależy od zawartości sakiewki.

Caldan zaprezentował garść złotych i srebrnych dukatów, patrząc uzdrowicielce w oczy.

– To nie problem. Jak najszybciej, poproszę.

Dogadali szczegóły, a potem Caldan pozwolił kobiecie wziąć się do pracy, postanowiwszy samemu wziąć się do rzemyślenia.



Caldan odłożył dłuto do wosku na ławkę i rozmasował zastały nadgarstek. Do kuźni niósł się z ulicy gwar ludzkich pokrzykiwań i turkot wozów, ale nie rozpraszały go te odgłosy. Było to przyjemne dla ucha tło dla znajomych dźwięków i zapachów kuźni, za którymi zdążył się stęsknić.

Otarł pot z czoła, uważając, by nie zamoczyć papierowych schematów, i łyknął wody z kubka. Włożył narzędzia z powrotem do skórzanego pokrowca i zeskrobał z ławy zaschnięty wosk. Przez kilka chwil wpatrywał się w medalion, a potem z zadowoleniem pokiwał głową. Dobra robota.

Czas dobrać ekwipunek pod kolejny etap prac. Potrzebował dwóch woskowych prętów na przewody oraz formy, by pokryć medalion alchemiczną gliną. Kiedy zrobił sobie przerwę, by odpoczęły palce i ręka, ostrożnie zważył przygotowane metale, których potrzebował do stopu, nim umieścił je w palenisku. Zerknął, żeby sprawdzić, czy łączenie składników przebiega jak należy. Wziął cienki metalowy pręt i zamieszał stop raz jeszcze, pilnując, by ani kropla nie wylała się z formy.

Dokładnie tak samo, jak kiedy wytwarzał bransoletę-tarczę, przygotował woskową formę i otoczył medalion alchemicznym gipsem. Gdy mikstura zaczęła oddawać ciepło, rozluźnił się i odczekał, aż w wyniku reakcji chemicznej forma stwardnieje.

Gdy to nastąpiło, za pomocą szczypiec umieścił formę przy palenisku. Kiedy gips stwardniał, a wosk się stopił, Caldan wlał wosk do paleniska, gdzie zbulgotał i spłonął.

Wrócił myślami do chwili, gdy nie tak dawno temu stworzył swoją pierwszą rzemysłniczą tarczę. Pokręcił głową. Jakby to było całe życie temu. Ponownie otworzył studnię i wlał lśniący stop do formy. Gdy strumień roztopionego metalu wypełnił pusty szablon wraz z runami i wzorami, które w nim wytrawił, Caldan wniknął w swoje dzieło czarodziejskimi zmysłami, sprawdzając kotwice, bufory i glyfy kontrolne. Zlizując pot z warg, przesłał strumień do pierwszego połączenia, potem do drugiego, wypełniając płynny medalion mocą. Potem wydzielił trzeci i czwarty strumień, podłączając je do

wolnych run łącznikowych. Oparł swój projekt na tarczowym rzemyśliwie Dzwonków, które było o wiele bardziej skomplikowane niż pierwsze dzieło Caldana. Jego bransoleta była rzemyśliwem, któremu nie mogłyby dorównać nawet dzieła najzdolniejszych czeladników. A ten medalion będzie znacznie bardziej zaawansowany.

Teraz musiał już tylko czekać, utrzymując cztery strumienie, które miały wprowadzać moc do wzorów, aż medalion skrzepnie. Wyjął formę z paleniska i osadził ją na metalowym stelażu na ławie, nie chcąc nadpalić drewnianego blatu.

Mijały minuty. Krzywił się z wysiłku, czując nadchodzący ból głowy. Wcześniej wyprowadził ze studni pięć strumieni, ale tylko na krótko. Utrzymywanie czterech miało być łatwiejsze od utrzymywania pięciu, ale z każdą minutą stawało się to coraz bardziej uciążliwe. Caldán już się zmęczył. Zacisnął zęby i pozwolił sobie na cichy jęk, a potem zebrał się w sobie. Nie miał zamiaru spartolić rzemyśliwa. Musiał dobrze je wykonać, by móc się bronić przed Protektorami.

I żeby móc uleczyć Mirandę. I znaleźć Dzwonki oraz Amerdana, aby pomścić śmierć Simmona i Elpidii.

Skupiwszy się na utrzymaniu przepływu energii, zaczął tracić poczucie czasu. Odgłosy zewnętrznego świata przekształciły się w jednolity szum w tle.

Nagle poczuł, jak strumienie wymykają mu się z mentalnego uścisku. Zasyczał, łapiąc je byle szybciej. Ale był zbyt zmęczony i nie miał już siły. Jeden mu się wymknął. A potem kolejny. Gdy oba cofnęły się do studni, łatwiej mu było utrzymać dwa pozostałe, ale teraz nie miało to już sensu. Zamknął studnię. Czy przepływ trwał dość długo, by rzemyśliwo się nasyciło?

Osuszył kubek i odczekał kilka chwil, aż zbierze nieco siły. Chwycił formę szczypcami i zaniósł do beczki z wodą. Zanurzył ją z sykiem, wyjął i po chwili rozłukł formę, a potem wydobył medalion. Nie mógł już dłużej czekać. Pomimo wycieńczenia

wyprowadził ze studni cztery strumienie i podłączył je do nowego rzemyśliwa.

Skóra opięła mu się mocniej na ciele, gdy otoczyła go tarcza. Do jego nozdrzy wdarł się zapach cytryny i rozgrzanego metalu. Wyciągnął rękę i przypatrzył się wielokolorowej magicznej powłoce, którą była otoczona. Lśniła jak rybie łuski. Druga skóra, taka jak ta generowana przez rzemyśliwo Dzwonków. Wprowadził elementy jej rzemyśliwa do swojego projektu, ale lekko je zmodyfikował. Gdy szkicował plany, kunszt tarczy odsłaniał się przed nim coraz pełniej. Runy i połączenia, na jakie sam nigdy by nie wpadł, początkowo nie chciały pomieścić mu się w głowie. A potem wszystkie elementy układanki wskoczyły na miejsce, niczym zmierzająca do finału dominionowa strategia. Gdy przystawił do tego swoje pierwsze rzemyśliwa, te wydały mu się prymitywne.

Zbadał tarczę zmysłami i wyczuł, że jest o wiele gęstsza, bardziej zbita. Wymagała nie tyle strumienia, co całej rzeki energii. Czarodzieja, który nie tylko utrzyma cztery strumienie, ale też wytrzyma tak wielki przepust mocy.

Caldan uznał, że będzie potrafił się nią posługiwać. Zamknął studnię, przerywając wszystkie cztery strumienie, a wielokolorowa osłona zgasła.

Odwalił kawał dobrej roboty. Mógł być z siebie dumny.

Jego wiedza magiczna już znacznie wykraczała poza to, co przyswoił w klasztorze, a w teorii może wiedział już nawet więcej niż wielu tamtejszych mistrzów. Jeśli odnajdą go Protektorzy lub jakieś zbiry pokroju Joachima, będą mieli twarde orzech do zgryzienia.

Musiał umieć o siebie zadbać, bo jeśli chciał pomóc Mirandzie, to tylko mocą własnych umiejętności – niczyich innych.





**S**kąd ta nagle zmiana planów? – dziwił się Izak. Felice wertowała w głowie kilka możliwych odpowiedzi na to pytanie. Właściwie to sama nie była pewna, czy to aby najlepsza z możliwości, ale na pewno lepsza niż powrót do Rebeci. Musi stąpać bardzo, ale to bardzo ostrożnie. Ścieżka przed nią była wąska, a po obu stronach ziała przepaść. Jeśli omsknie jej się noga...

– Ty – rzuciła do pomocnika, który złamał Savinowi rękę, dzięki czemu Izak zdołał go wykończyć. – Jak ci na imię?

Mężczyzna zawahał się, zerkając na kamratów, którzy byli poza zasięgiem słuchu.

– Rebeci powiedziała: żadnych imion. Żeby nie kusić losu.

Felice popukała palcem w policzek.

– A więc pozostaniesz bezimienny. Chcę, żebyś strzegł Izaka. Wykazałeś inicjatywę, bardzo to doceniam. Sądzę, że to jeszcze nie koniec.

– Że co proszę? – wyszeptał Izak. – Co ty knujesz?

– Ja? Nic. Zabiliśmy jednego z ich najlepszych czarodziejów, który, pozwól, że dodam, jest jakoś powiązany z Rebecci i tą jej kompanią. Gdy się o tym dowiedzą, to Kelhak i jego Indryallanie będą chcieli wziąć odwet. Musimy przygotować się na taką ewentualność... I wymyślić, jak powtórzyć to, czego dokonaliśmy.

– Ale...

– Izaku, jak pragnę zdrowia – syknęła. – Daj mi pomyśleć.

Ściągnęła na siebie uwagę pozostałych ludzi Rebecci i przywołała ich do siebie.

– Jeszcze przez jakiś czas będą mi potrzebne wasze usługi. Wiem, że mieliście odejść po wykonaniu zadania, ale jestem pewna, że Rebecci sowicie was wynagrodzi.

Ich przywódca wzruszył ramionami.

– Pewnie. Co mamy zrobić?

– Na razie zadbajcie, proszę, o nasze bezpieczeństwo. Musimy znaleźć bezpieczną kryjówkę i wysłać wiadomość do Rebecci, żeby się z nami spotkała. Mamy kilka spraw do omówienia.

– Dlaczego nie spotkacie się od razu? – spytał ten, który pomógł Izakowi.

– Bo to może być niebezpieczne. Mogą nas śledzić lub może znajomkowie tamtego czarodzieja dowiedzieli się już o jego śmierci i idą po nas.

Izak się skrzywił.

– Niby jak miałiby się o tym dowiedzieć?

– Bo to czarodzieje? – Felice machnęła na niego, żeby był cicho. – Kto wie, co potrafią?

– Ty. Informacja to twoja działka.

– Prawda, ale życie każdego potrafi zaskoczyć. Nawet mędrzec nie wie wszystkiego, a gdy ktoś twierdzi, że wie wszystko, zwykle nie wie nic.

Izak pokręcił głową.

– Zaraz, dobrze rozumiem? Gdy wiesz wszystko na jakiś temat, to powinnaś założyć, że nie wiesz nic?

– A przynajmniej nie wszystko. Czy teraz mogę się już zastanowić?

Zostawiła mężczyzn i przeszła ulicą do najbliższego ganku, na którym przysiadła. Im dłużej tu pozostawali, przy oczyszczonej ziemi, gdzie właśnie z powodzeniem zamordowali człowieka, tym bardziej byli wystawieni na atak, ale Felice nie chciała nigdzie iść, dopóki nie sformułuje jakiegoś planu.

Myśl! – nakazała sobie. Jaka jest najlepsza rzecz, którą mogłabyś teraz zrobić? Chlubisz się swoimi umiejętnościami w dominionie, a jednak nie wiesz, co robić, siedzisz jak sparaliżowana, bojąc się kolejnego ruchu.

Izak chodził w kółko przed Felice, a ona odrzucała scenariusz po scenariuszu – bo zbyt ryzykowne, a potem jeszcze dwa – bo zbyt głupie. Właściwie miała tylko jeden wybór, a więc właściwie żadnego.

Wstała na nogi.

– Dobra. Czas wysłać wiadomość do Rebecci.

– Ja ją przekażę – zaoferował się jeden z mężczyzn, ten tupiący niecierpliwie nogą. – Powiedz mi tylko, dokąd iść i co przekazać.

– Nie. Lepiej napiszę list. I nie wiem, gdzie ona może być. Najlepiej będzie zaaranżować spotkanie. A więc... Potrzebne mi papier i pióro.

– Patrzyła chwilę na oddział dryblasów, a oni odpowiedzieli bezradnymi spojrzeniami. – Zaraz jakieś znajdziemy. Dobrze, że jesteśmy w Parkach. Ktoś z tych miłych szlachciców na pewno chętnie nas wesprze. Lub może któryś służący.

Niedługo później Felice opuściła rezydencję szlachecką drzwiami dla służby. Kilka trafnie ulokowanych dukatów wystarczyło, by posługaczka podkradła swemu panu parę arkuszy papieru, pióro i atrament.

Zerknęła na księżyc spod przymrużonych oczu i dołączyła do Izaka oraz pozostałych, którzy czekali na nią po drugiej stronie ulicy.

– Izaku, pochyl się, z łaski swojej.

- Co?
- Po prostu się pochyl. Potrzebne mi biurko.
- Jak sobie życzysz.

Felice ustawiła go w takiej pozycji, by światło księżyca padało na jego plecy, i szybko skreśliła krótką wiadomość. Zaraz zdybała któregoś małego ulicznika, aby dostarczył notkę do Banku Cesarskiego, gdzie rezydowała teraz Rebeci. Zmarszczyła brwi na chłopaczka, odprowadzając go wzrokiem, gdy popędził ulicą w kierunku doków. Nawet w tak bogatej dzielnicy jak ta żyły bezdomne dzieci. Nigdy dotąd nie uświadomiła sobie, jak cienko przędą niektóre rodziny. Dostarczenie wiadomości Felice było pewnie najbardziej opłacalną rzeczą, jaką chłopiec dotąd zrobił.

Felice pokręciła głową. Cesarstwo Mahruzańskie miało liczne zalety, ale nie było doskonałe. Wolą nie wiedzieć, co muszą robić niektóre dziewczyny, żeby tu przeżyć. Obiecała sobie, że gdy już upora się z Indryallanami, wprowadzi w tym mieście pewne zmiany.

Wraz z pozostałymi Felice ruszyła w tym samym kierunku co chłopiec. Wkrótce obsadzone drzewami ulice Parków ustąpiły miejsca węższym alejom Pięciokwiatu. Mieszkańcy tej części miasta lubili się bawić, więc nawet o tej późnej porze ulice tętniły życiem. Wzdłuż nich ciągnęły się rzędy straganów, a na skrzyżowaniach nie było rogu wolnego od karczem i gospód. Woń pieczonego mięsiwa i ziół tłumiała permanentnie wiszący w powietrzu zapach miasta, więc w dzielnicy nie cuchnęło tak jak w Dokowisku i na Popielnym Wzgórzu.

W bocznej alejce Felice znalazła restaurację, gdzie podjęła wszystkich posiłkiem i wykosztowała się nawet na dzbanek piwa. Pili z radością, pochłaniając znaczne ilości chleba i mięsa nieznanego pochodzenia, mocno zaprawionego czosnkiem i ostrą czerwoną pastą. Może baranina? Felice chciała przede wszystkim, by zniknęli z ulicy, żeby nikt ich tu nie wypatrzył. Potrzebowała też zabić nieco czasu.

Prawie nie rozmawiali, pochłaniając posiłek. Jeden z podręcznych nalał wszystkim po kubku piwa, a Felice i Izak dołączyli się do

toastu.

Felice zmrużyła oczy na towarzysza, który pił na równi z drabami. Robiła, co mogła, by panować nad twarzą.

– Izaku, myślałam, że nie lubisz piwa. O ile pamiętam, preferowałeś modniejsze i mocniejsze trunki.

– Ale jakże odmówić toastu za słuszną sprawę?

Odpowiedziała uśmiechem.

– Właśnie, jakże? Ale nie pij za dużo, wciąż mamy coś do zrobienia.

– Jak sobie życzysz.

Zostawiła ich, by świętowali po swojemu, a sama potoczyła podejrzliwym wzrokiem po bywalcach. Czy tamten facet w czerwonym płaszczu nie popatrywał na nich? Specjalnie odwróciła wzrok, obserwując delikwenta kątem oka. Jasnowłosa kobieta podeszła do niego i usiadła mu na kolanach, po czym oboje roześmiali się jak starzy przyjaciele. Nie, chyba jednak ich nie szpiegował. A tamta grupa kobiet? Felice zakłęła pod nosem. Czy to zaczątki paranoi? Nie żeby nie miała powodów do podejrzliwości. Albo żeby miała zamiar przestać szukać wokoło szpiegów, zdrajców i skrytobójców.

Przeskoczyła myślami do Rebeci. Co, jeśli nie dotrze na spotkanie? Co, jeśli w ogóle nie dotarła do niej wysłana przez Felice wiadomość? Czy ludzie Savina wytropią ich, tak jak zrobił to ich pryncypał? Potrzebowała jakiegoś planu awaryjnego.

Kiwnęła na posługaczkę, by przyniosła kolejny dzbanek piwa, którym obczęstowała współbiesiadników.

– Ostatnia kolejka – oświadczyła. – Potem idziemy do kryjówki i tam czekamy na Rebeci.

Izak starł pianę z bródki i przychylił się do Felice.

– Do kryjówki, znaczy dokąd?

– Z powrotem na Cmentarz.

Izak zmarszczył brwi.

– Czy Rebeci nas tam znajdzie?

– O, nie mam żadnych wątpliwości. Już tam kiedyś była.

– Nie mówiłaś mi o tym.

Felice przyjrzała się jego twarzy, a potem zerknęła na gadających nad kuflami drabów. W jej myślach wciąż przewijała się lista pomysłów i konsekwencji. Musiała mieć się na baczności.

– Bo i na nic ci ta wiedza. A teraz dokończ piwo, żebyśmy mogli już stąd iść. – Odkasznęła, nakrywając usta dłonią. Choroba wciąż nie chciała opuścić jej ciała, ale Felice była wdzięczna losowi, że w ogóle żyje. Avigdor nie mógł powiedzieć tego samego. Zapłacać mi za wszystko, postanowiła. Choćbym miała własnymi rękami poderżnąć Kelhakowi gardło.

Wyprowadziła grupę z restauracji i przepchnęła się zatłoczoną ulicą, niemal nie rejestrując wzrokiem barwnych straganów i twarzy przechodniów. Pięciokwiat ustąpił miejsca dzielnicy o dźwięcznej nazwie Kapuścisko, gdzie ulice robiły się węższe. Z obu stron napierały na nich wysokie budynki. Dobrze oświetlone jeszcze przed chwilą ulice stopniowo zatapiały się w mroku i wkrótce jedynym źródłem światła był już tylko księżyc i to, co prześwitywało przez szczeliny drzwi i okien.

Felice gnała Izaka i pomagierów jak tylko mogła, utrzymując, że ryzyko jest największe, gdy się przemieszczają, i że najbardziej wystawieni na atak są, przemierzając ulice miasta. Wiedziała jednak, że to nieprawda. Największe ryzyko było wtedy, gdy przeciwnik był o krok przed, a człowiek nie wiedział, czego się spodziewać. Przy odrobinie szczęścia uda jej się go nadgonić, a nawet wyprzedzić o tenże właśnie jeden kluczowy krok.

Skręciła na północ i szła, aż zetknęła się z linią Wywarnicy, która na rogu dzielnicy portowej łączyła się z rzeką Modderą i dopływała do Pomyjnicy, nim w końcu wpadała do zatoki. Nawet w nocy smród brudnej wody przemocą wdzierał się do nozdrzy. Szli wzdłuż rzeki, a potem przekroczyli ją po rozklekotanym moście, o którym wiedziała, że nie został zatwierdzony przez władze miasta.

Kiedyś, jeszcze nie tak dawno temu, martwiłby ją ten most. Uosabiał element nieporządku, który nieuchronnie musi się znaleźć nawet w najbardziej uporządkowanym społeczeństwie.

Zanieczyszczona rzeka jawiła jej się z kolei jako jedna z wielu oznak rozpanoszonej cywilizacji, a zarazem zło konieczne, efekt uboczny postępu. Nieproszone, przyszyły jej na myśl te odezwy, które Indryallanie głosili podczas najazdu. Twierdzili, że Cesarstwo Mahruzańskie jest zepsute do szpiku kości, że bogaci bogacą się kosztem słabych. Bo tak właśnie mówili o biednych: że są dyskryminowani, nieuprzywilejowani i przez to słabsi. Choć w głębi serca przyznawała Indryallanom rację, wiedziała przecież, że najeźdźcy nie leży na sercu dobro Mahruzan, że to wichrzyciele głoszący korzystną dla siebie propagandę. Napaść i mord z pewnością nie były lekarstwem na choroby toczące cesarstwo.

Gdy już znaleźli się w porcie, Izak próbował ją zagadywać, ale Felice nie była w nastroju do pogaduszek. Nie mogła się teraz rozpraszać. Sfrustrowany szlachcic rzucił jej poirytowane spojrzenie, ale na szczęście zmilczał.

Przeszli przez doki nieniepokojeni i skierowali się w stronę Cmentarza.

Prowadziła ich nabrzeżem, aż dotarli na miejsce. Z gnijących wraków prowadziły na ulice improwizowane mosty i trapy. Sklecono je z tego, co było pod ręką, zwykle części samych okrętów, i powiązano kawałkami starych, rozplecionych cum.

Felice zaśmiała się, wypełniając płuca tutejszym powietrzem, gdy szli trzeszczącą kładką na pokład starego statku handlowego o płytkim i szeroko rozpiętym jak w barce kadłubie. Zawsze rozweselała ją myśl o tym, że jedno z najgorszych miejsc w Anasomie, te dryfujące dzielnice biedy, może się poszczycić najczystszym powietrzem w całym mieście.

Statki niemal nie poruszały się na wodzie, przywiązane do przynajmniej trzech czy czterech innych porzuconych wraków. Unosiły się i opadały w jednym rytmie, przez co o wiele łatwiej było chodzić po nich niż po statkach luźno przycumowanych z przystani lub pływających swobodnie po morzu. Nie minęło wiele czasu, a dotarli do tego, który Felice przysposobiła sobie na kryjówkę.

Syknęła, widząc przemykające po pokładzie szczury, ale te nie zlekły się i bezwstydnie patrzyły na nią, gdy je mijała. Zeszli pod pokład i tam Felice zaklęła, stanąwszy przed zamkniętymi drzwiami. Nie miała klucza.

– Wyważyć – rozkazała, cofając się od przejścia. Jeden z dryblasów potrzebował aż siedmiu tęgich kopniaków, by dostać się do środka.

Gdy weszli, zapaliła jedną z lamp, a Izakowi wskazała drugą. Serce niemal podeszło jej do gardła, gdy światło odpędziło ciemność i zmaterializował się przed nią jej stary pokój. Znalazła kawałek papieru, atrament i pióro, po czym zasiadła w fotelu z jedną nogą przewieszoną przez podłokietnik.

– Co teraz? – spytał Izak, a pozostali skupili na niej wyczekujący wzrok.

– Rozgoście się i czekajcie. Ja tymczasem napiszę list. – Zostawiła ich i zaczęła spisywać wszystkie swoje podejrzenia. Uwinęła się w pół chwili.

To musiał być któryś z pomagierów... choć obawiała się, że coś poplątała i jednak skończy się na Izaku. Podmuchała na schnący atrament i westchnęła wycieńczona. Miała za sobą kilka ciężkich dni oraz pełną wrażeń noc. Jeśli zmęczenie przyćmiło jej osąd, sprawy tylko się skomplikują. Ale Felice wszystkie swoje pomyłki mogła policzyć na palcach jednej ręki.

Podskoczyła, słysząc pukanie do drzwi. Krzesła zaszurały o podłogę, gdy ludzie Rebeci jak na komendę zerwali się na nogi. Siedzący na krześle po jej prawej Izak nie poruszył się, a zauważyła, że trzy draby złapały za noże.

Przetarła oczy palcami i kaszlnęła. Ręka podążyła do wiadomości, którą złożyła na cztery. Wciąż była, gdzie ją schowała. Dobrze.

– Proszę – powiedziała, a potem rzuciła do podręcznych: – Nie próbujcie niczego, bo pożałujecie.

Pisnęły zawiasy i drzwi otworzyły się, a do pokoju weszła Rebeci, chuda jak tyka i z włosami w stanie daleko idącego rozgardiaszu. Spojrzała prosto na Felice i pokiwała głową.



– Lady Felicienne. – Przeniosła spojrzenie na Izaka. – I sir Izak.  
Szlachcic wstał i skłonił się w pas.

Felice zauważyła ten gest i wydeła usta, kiwając głową. Miała nadzieję, że odgadła dobrze, bo inaczej wkrótce umrze.

– Lady Rebecci, pozwól, że...

– Ależ proszę, jaka tam ze mnie lady.

– A więc... Rebecci.

– Widzę, że zachowałeś moich ludzi przy życiu. A po twoim wyglądzie wnioskuję, że masz historię do opowiedzenia.

Czarodziejka wyglądała na zdenerwowaną. Strzelała wzrokiem w lewo i w prawo, zawiesiła spojrzenie na Izaku, przy czym oblizwała usta i zaraz spuściła wzrok na podłogę. Okropna aktorka, pomyślała Felice. Miała pełno czasu, żeby się przygotować, i tylko na tyle ją stać?

Rebecci trzymała dłonie splecione za plecami i ścisnęła w nich jakiś przedmiot. Pewnie rzemyśliwo. Felice miała nadzieję, że wie, co robi. Ale przecież nie byłoby jej tutaj, gdyby wątpiła w siebie.

Podeszła do czarodziejki i wręczyła jej kartkę. Gdy Rebecci ją przyjęła, Felice cofnęła się o krok.

– Przeczytaj. Ja tymczasem się napiję.

Zostawiła Rebecci, by spokojnie rozwinęła arkusz przed zmieszonym Izakiem, a sama przeszła za ścianę utworzoną z czterech pomocników, gdzie znalazła szklankę, którą przetarła połą koszuli. Odkorkowała butelkę i powąchała, po czym zmarszczyła nos. Wzruszyła ramionami i naląła sobie czerwonego wina. Gdy się obróciła, trzymając w ręku szklankę i butelkę, Rebecci wwiercała się w nią wzrokiem.

– Czy rozumiesz? – spytała czarodziejkę.

Odwzajemniwszy krótkie skinienie, Rebecci przełknęła ślinę.

– To dobrze – powiedziała Felice, żywiąc nadzieję, że wydedukowała słusznie. A następnie roztrzaskała butelkę na głowie pomagiera przed nią, tego, który podbiegł do Izaka, by wspomóc go w walce z Savinem. Tego, który zaoferował się dostarczyć wiadomość Rebecci. Tego, który ciągle tupał nogą.

Odpryski szkła i krople czerwonego wina rozbryznęły się wokoło.  
To za Avigdora.

Mężczyzna opadł na podłogę jak pusta koszula, a jego kompani krzyknęli zaskoczeni. Izak odskoczył w tył i rozdziawił usta.

Rebeci okryła wielokolorowa poświata i kobieta ruszyła naprzód, deptając odłamki szkła i mamrocząc pod nosem. Była blada i roztrzęsiona.

Reszta w jej rękach, pomyślała Felice. Drab jęczał pośród tłuczonego szkła, a czarodziejka pokazała to, co miała dotąd schowane za plecami. Diament wielkości kurzego jaja w cienkiej srebrnej klatce pokrytej runami. Rebeci umieściła rzemyśliwo na karku rozłożonego na podłodze mężczyzny. Ten zeszywniał i przestał się ruszać. Wydał z siebie zduszony jęk.

– Na przodków! – wykrzyknął dowodzący ludźmi Rebeci. – Co jest grane?

Izak zamknął usta i wydukał:

– No... no właśnie, Felice... co tu się dzieje, u licha?

– Cisza! Rebeci właśnie uratowała nam życie.

Czarodziejka rzuciła jej pospieszne przepełnione wdzięcznością spojrzenie, choć na jej twarzy widniało napięcie.

– Czy on ma jakieś rzemyśliwa?

– Nie – odparła Felice. – Zabrałam wszystkie. Nikt ich później nie dotykał.

– Doskonale. – Rebeci wróciła spojrzeniem do leżącego mężczyzny i przycisnęła mu diament do szyi.

Jego skóra zaskwierczała i z nadpalonych włosów poniósł się dym. Gryzący swąd wypełnił pomieszczenie. Pod skórą mężczyzny rozblęły wokół diamentu świetliste włókna, wnikając głębiej w jego ciało. Na oczach Felice dwa wżarły się w jego potylicę.

– Spytałem jeszcze raz: o co chodzi? – Dowódca skierował swój nóż na Felice.

– Oj, cicho tam – fuknęła na niego. – Ten człowiek nie był tym, kim się wydawał.

Podręczny się strapił.

– Jak to?

Rebeci posłała jej ostrzegawcze spojrzenie, ale zaraz wróciła wzrokiem do oporzędzanego mężczyzny.

– Wydaje mi się, że czarodziej, którego się pozbyliśmy, mógł jakoś na niego wpłynąć. Rebeci zaraz potwierdzi, czy tak jest w istocie i czy jesteśmy bezpieczni.

Drab nie wydawał się przekonany, ale nic nie powiedział. Łypnąwszy na ogłuszonego podwładnego i na pochyloną nad nim otarczowaną Rebeci, schował nóż do pochwy.

– Musisz nam to wyjaśnić.

Felice uśmiechnęła się, lecz ten uśmiech nie sięgał jej zaciętych oczu.

– Nie sądzę. Zostaniecie opłaceni za swoje usługi, a potem ruszycie w swoją stronę, nie mówiąc nikomu ani słowem, co się dzisiaj wydarzyło. Nic nie słyszeliście, nic nie widzieliście. Czy to jasne?

Dwaj mężczyźni zawahali się, ale ich dowódca pokiwał głową. Widząc, że on się zgodził, pozostali zaraz poszli w jego ślady.

– Właściwie – dodała po chwili Felice – możecie iść od razu.

Podeszła do biurka i z tylnej szuflady wyjęła sakiewkę z pieniędzmi. Nie najlepsza skrytka, ale większość jej funduszy spoczywała teraz w zamkniętej skrzyni na dnie morza. Wysypała kilka dukatów na dłoń, zawiesiła nad nimi wyciągnięty palec, a potem podzieliła je po równo. Wręczając odliczone kwoty pomagierom, raz jeszcze ich poinstruowała:

– I pamiętajcie, ani pary z gęby. Jeśli dowiemy się, że ktoś wygadał, źle się to dla was skończy.

– Tak, pani. To więcej, niż zwykle dostajemy, więc nie wahaj się odszukać nas, jeśli znów będziemy potrzebni.

– Zapamiętam. Szerokiej drogi.

Podążyli pytającym wzrokiem do Rebeci, a czarodziejka kiwnęła głową i mężczyźni wyszli.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Felice odetchnęła z ulgą.

– Izaku, przestań się gapić, jakbyś ujrzał duchy przodków, i znajdź lepiej kolejną butelkę wina. Myślę, że wszyscy chętnie się napijemy.

Izak okrążył rozłożonego na podłodze mężczyznę szerokim łukiem i ruszył do barku. Felice tymczasem przychyliła się do Rebeci.

– Czyli miałam rację?

Czarodziejka otarła spocone czoło, nie odejmując oczu od diamentowego rzemyśliwa, które wydzielalo teraz rozproszone, mdląco zielone światło.

– Tak. Ale nie mam pojęcia, jak zgadłaś...

– Savin tupał nogą przy naszym pierwszym spotkaniu. Robił to bezwiednie, może z nerwów, a może to nawyk. Po tym, jak go zabiliśmy albo jak myśleliśmy, że go zabiliśmy, zauważyłam, że jeden z twoich ludzi robi to samo. A wcześniej tego nie robił. Wtedy zaczęłam podejrzewać, że... nie jest już sobą. A wolno spytać, co robisz teraz?

– Zniewalam go. Na jakiś czas.

– Savina?

Rebeci przytaknęła.

– Niechętnie to robię... – Pokręciła głową. – Ale tak będzie najlepiej. Mam nadzieję, że Pierwszy Wybawiciel mi wybaczy. Zwykle to on podejmuje takie decyzje.

– Na pewno nie będzie miał o to do ciebie pretensji – zapewniła ją Felice, zastanawiając się, czy ten „Wybawiciel” to ten sam człowiek, o którym Rebeci mówiła w banku. Ten cały Gazija. – A więc możesz go tylko zniewolić, ale nie zlikwidować?

– Co się odwlecze...

W głosie Rebeci dało się słyszeć napięcie i Felice zaczynała się martwić. Nie miała pojęcia, co tak naprawdę robi czarodziejka i w jakim stopniu ją to wycieńczało. Gdyby coś poszło nie tak...

– Twoi ludzie już są w drodze?

– Tak – odparła Rebeci. – Uznaliśmy, że jeśli przyjdzie nas zbyt wielu, Savin może zwęszyć kłopoty. Przybyłam więc sama w nadziei, że opuści gardę. Ale ty początkowo podejrzewałaś Izaka.

– Tak, ale zmieniłam zdanie.

– Dlaczego?

Felice wzruszyła ramionami.

– Przeczucie. A skoro nie Izak, to musiał być on.

Nie chciała mówić na głos, że zbyt dobrze poznała Izaka wraz z jego irytującymi nawykami. Podniosła wzrok na towarzysza, podchodzącego do niej z butelką w ręku.

– Obawiam się, że zostały tylko wysokie procenty.

– To nawet lepiej. Nalej wszystkim od serca. Przyda mi się coś mocniejszego, nerwy mam napięte jak postronki. – Posłała Izakowi uśmiech, ale nie dlatego, że sama była zdenerwowana, lecz dlatego, że on był.

– No... dobrze. Niezły pomysł. – Izak wydobył skądś kilka małych szklanek i nalał do pełna. Felice przyjęła podsunięte naczynie.

Nagle zza drzwi usłyszeli na korytarzu tupanie butów. To ludzie Rebecci.

Felice uniosła szklanę w toaście.

– Za sekrety – powiedziała i opróżniła ją jednym haustem.



**S**iedząc ze skrzyżowanymi nogami na łóżku Mirandy, Caldan czuł jeszcze ciepło promieniujące z miejsca, gdzie wcześniej leżała. Już za nią tęsknił. Uzdrowicielka i jej pomocnicy dopiero co wyszli. Zabrali Mirandę na noszach do wybranego przez Caldana hospicjum. Żałował, że w Anasomie nie spędził z nią więcej czasu. Zbyt późno zorientował się, że była dla niego kimś więcej niż tylko przyjaciółką.

Przybytek znajdował się przy Południowej Bramie. Caldan postanowił odwiedzić Mirandę przy pierwszej okazji. Może będzie mógł znowu jej poczytać. To uspokajało ją, gdy się denerwowała.

Przez szczeliny w oknie wpadały do środka promienie słońca. Skądś dobiegło Caldana pianie koguta i słyszał, jak pod jego oknem spiera się dwóch mężczyzn. Wstał, ziewnął i otworzył okiennice, by wypełnić płuca powietrzem Starorzecza, nasyconym wonią

niedomytych ciał, dymu i ścieków. Osobliwie podobne do tego w Anasomie, a jednak subtelnie się od niego różniące.

Cofnął się do łóżka i wyjął komponenty do rzemyślenia. Te na nic mu się nie przydadzą. Były za małe, by pomieścić runy, a kuźnia u srebrnika i tak nie miała odpowiednich przyrządów. Po nie będzie musiał zgłosić się do zegarmistrzyni. Co oznaczało, że znaki będzie musiał wyryć na powierzchni rzemyśliw czymś ostrym lub napisać piórem. Lecz ponieważ rycie nie zapewniało kontroli, o jaką mu chodziło, a skrobanie w metalu również wydawało się problematyczne, chyba jednak skończy się na piórze i atramencie.

Podzielił wszystko na dwa stosiki. Gdy wykonał swój pierwszy działający konstrukt, młodzieńcza buta kazała mu sądzić, że jego wiedza z zakresu rzemyślenia jest rozległa i dogłębna. Dopiero po starciach z Indryallanami i analizie rzemyśliw Dzwonków dotarło do niego, że nie zanurkował, a jedynie zamoczył nogi. A destruktywna i zniewalająca magia były tylko elementami o wiele bardziej rozrośniętej całości. Gromadząc wiedzę i szlifując umiejętności, zaczynał dostrzegać we własnych rzemyśliwach potencjał, z którego kilka miesięcy wcześniej nie zdawał sobie jeszcze sprawy.

Caldan wziął do ręki kawałek metalu i przebiegł palcem po powierzchni. Wykonanie było nieskazitelne, tak jak spodziewał się po zegarmistrzyni. Ale żeby ożył, trzeba mu ręki czarodzieja.

Zadumał się, obracając w głowie tę myśl. Czy to rzeczywiście możliwe? Najbardziej skomplikowane symulakra wciąż wymagały bezpośredniej kontroli czarodzieja, który nie mógł pozwolić sobie nawet na chwilowe rozproszenie uwagi. Skoro magia zniewalająca manipulowała umysłem, to może... konstrukt mógłby posłużyć za sztuczny umysł? Zaintrygowała go ta myśl, ale zaraz odsunął ją na bok. Już i tak miał za dużo na głowie. Wszystkie wysiłki musiał teraz skoncentrować na Mirandzie.

Wrócił do swoich mechanicznych części, przygotował pióro i sprawdził, czy lepkość atramentu jest odpowiednia. Niełatwo się nim pisało i musiał być wyrabiany w małych ilościach. Obecny

w nim alchemiczny odczynnik powodował nie tyle wysychanie, co stwardnienie substancji w reakcji z powietrzem, dzięki czemu mocno spajała się ona z metalową powierzchnią. Raz nałożona, nie ścierała się i nie odpękała. Ale wymagała przez to nakładania wieloma piórami, które po stwardnieniu nadawały się tylko do wyrzucenia, oraz pewnej ręki, która wyrysuje runy szybko i bezbłędnie.

Caldan padał z nóg po długim dniu, ale teraz poczuł przypływ energii. Zakończony sukcesem proces kowalotwórstwa tchnął w niego nowe siły i czuł się teraz gotów do realizacji drugiego projektu.

Tłumiąc ziewnięcie, wylał trochę atramentu na drewnianą łyżkę i dodał kilka kropli odczynnika. Zanurzył w nim pióro, zamieszał, otworzył studnię i wziął się do pracy.



Kilka godzin później odchylił się na krześle i zmarszczył brwi. O mały włos nie zabrakło mu piór, ale praca była skończona. Głowa bolała go po tak długim trzymaniu strumieni. Było to jednak niezbędne, by nasycić rzemyśliwo magią, dokładnie tak jak w przypadku medalionu. Każdy segment był jak osobne rzemyśliwo, a wszystkie musiały być ze sobą zsynchronizowane. Na tym etapie większość czarodziejów wykladała się w pracy nad konstruktami.

Caldan niemal zaśmiał się na głos, porównując stopień skomplikowania swojego psiego symulakrum z tym, który właśnie wytworzył. Te dwa rozgrzebane, nad którymi dopiero pracował, były nieporównanie bardziej skomplikowane, niż jeszcze niedawno potrafił sobie wyobrazić.

Jeśli minione miesiące czegoś go nauczyły, to tego, że zawsze powinien mieć się na baczności.

Odsunął na bok stosik komponentów i zaczął składać drugie rzemyśliwo, klikając szepianymi ze sobą ruchomymi częściami.



Niektóre z nich były szczególnie delikatne i giętkie, wtedy pomagał sobie szczypcami. Złożenie konstruktów zajęło mu godzinę.

Metalowy żuk mieścił się na jego dłoni.

Mosiądz, z którego Caldan wykonał tułów i skrzydła, był tak cienki, że owad sprawiał wrażenie kruchego. Zrobił go tą samą metodą, co ptaka, którego pewien zegarmistrz pokazał mu jeszcze w Anasomie. Ale dzieło Caldana różniło się od niego, pokrywały je drobniutkie runy, najmniejsze, jakie zdołał wykonać za pomocą lupy i cienkiego ołówka, które otrzymał od zegarmistrzyni.

Caldan wykorzystał wiedzę przyswojoną od obu zegarmistrzów, wyciągniętą z badań nad rzemyśliwami Dzwonków, oraz swoją własną. Efekt spoczywał teraz przed nim na biurku. Caldan wykonał oczy żuka z dwóch okrągłych kamieni księżycowych – najlepszego minerału, na jaki było go stać, ale nie tak dobrego jak ten, który najlepiej by się nadał. Mimo to nie miał zamiaru wybrzydzać. Projekt okazał się przesadnie skomplikowany, ale dzięki temu niewielu czarodziejów zdoła przejąć nad nim kontrolę, a jeśli nawet będą próbować, Caldan zdąży skontrolować ich wysiłki. Gdy dopracowywał schemat swojego mosiężnego żuka, przypomniał sobie, jak kreślił i dłubał przy połączeniu podczas ucieczki z Anasomy. Dzwonki albo Klucz – już dobrze nie pamiętał – próbowali wypchnąć go z symulakrum, żeby nim zawładnąć. Wyprowadziwszy ze studni pięć strumieni, będzie miał niewielką tolerancję na zabiegi rozprasające, ale w razie czego będzie mógł liczyć na to, że czarodziej na niższym poziomie niż mistrzowski pogubi się w tak skomplikowanej konstrukcji i nie zdoła go przejąć. A jeśli Caldanowi przyjdzie stanąć w szranki z kimś na tym poziomie, to będzie miał poważniejszy problem niż utrata kontroli nad symulakrum.

Caldan ukrywał się przed Protektorami, Dzwonki wciąż pozostawała na wolności, podobnie zresztą jak Amerdan – człowiek, który najwyraźniej, tak jak Caldan, był Dotkniętym i miał odpowiedzi na dręczące go pytania, a zarazem morderca Elpidii,

który musi odpowiedzieć za swoje czyny. Caldan musiał ich tylko odnaleźć.

Wsunął żuka do swojej torby i zaczął pracę nad drugim rzemysliwem. Bolały go oczy i palce, ale był tak bliski ukończenia go, że nie mógł teraz przerwać.

Zesztywniał, gdy ostatni element wskoczył na miejsce. Dobra robota. Będzie musiał znowu podziękować zegarmistrzyni. Spojrzał za okno i zdumiał się, widząc, że robi się już jasno. Ziewnął przeciągle. Jego ręce i nogi były ciężkie, niczym odlane z ołowiu, ale Caldan czuł radość. A może raczej satysfakcję. Wiedział, że nie poczuje się prawdziwie szczęśliwy, dopóki Miranda znów nie będzie sobą.

Jego najnowsze rzemysliwo stało na stole, wyglądając niewinnie jak nakręcane zabawki zegarmistrzyni. Tylko że bynajmniej nie była to zabawka i przedmiot w niczym nie przypominał psiego symulakrum. Miał kształt człowieka i oczy wykonane z maleńkich granatów. Postać miała dwie dłonie długości i cała była zapisana rzemyslniczymi runami. Pies nie został tak gęsto pokryty znakami, ale w przypadku humanoida Caldan chciał wykorzystać każdy wolny kawałek powierzchni. Nie zrobił tego jednak po to, by zwiększyć jego wytrzymałość – postanowił też nie wyposażać go w tym celu w tarczę – lecz żeby uzyskać większą płynność ruchu. Chciał, by ten niby-człek poruszał się z niespieszną gracją prawdziwego człowieka. Każda część składowa była zintegrowana i zsynchronizowana z pozostałymi jak tylko Caldan mógł najdokładniej. Był to najlepszy i najbardziej skomplikowany konstrukt, jaki potrafił zbudować z obecnym zasobem wiedzy i umiejętności. Zasilany magią zegarowy mechanizm poruszający się jak żywa istota.

Ciekaw był, co by powiedzieli na to arcymagowie.



**A**idan wyczołgiwał się z rzeki i błota na jednej ręce. Lepka maź nie chciała się od niego odczepić i cuchnęła jak coś zabitego dawno temu.

Odpychał się nogami na śliskim podłożu, aż zostawił za sobą wodę i wtoczył się między szuwary. Jego ramiona i twarz pokrywała sieć drobnych ranek, a nad jego uszami bzyczały komary.

Słyszał huczących i wyjących jukarów, którzy przechodzili przez most i plądrowali wioskę po drugiej stronie. Ktokolwiek w niej pozostał, prawdopodobnie zostanie zabity i zjedzony. Aidan miał nadzieję, że nikt nie okazał się na tyle głupi, wiedział jednak, że zawsze znajduje się ktoś taki.

Charknął brązową od mułu flegmą i zakaszał. Drżał z zimna, cały przemoczony, a jego złamana ręka bolała, jakby gniła od środka. Most znajdował się niżej na rzece względem miasta i woda była tu

obrzydliwa. Tylko głupiec rzuciłby się do niej z własnej woli, lecz Aidan nie miał wyjścia.

Przetoczył się na plecy i wbił wzrok w niebo. Odsapnij chwilę, nakazał sobie w myślach. Poczekaj, aż wrócą ci siły.

Jego miecz leżał gdzieś na dnie. Został mu tylko sztylet. Ta broń na nic mu się nie przyda, jeśli zdybią go jukarowie.

Gdy rzemyśliwa Chalayana zaczęły brzęczeć, wiedział, że zaraz coś się wydarzy. Bzyczały coraz głośniej i głośniej, aż w końcu dźwięk zaczął razić go w uszy, a gdy jukarowie zaczęli wyć i kręcić się niespokojnie, Aidan uznał, że lepiej uciekać z mostu. Rzucił się więc do rzeki, zresztą w samą porę. W uszach wciąż mu dzwoniło po magicznej eksplozji, a w tafłę wody zaraz obok niego, na chwilę przed tym, jak wynurzył się na powierzchnię, uderzył łuk światła.

Z mostu wciąż unosił się dym. Aidan nie wiedział, co dokładnie zrobił Chalayan. I wolał nie wiedzieć. To niebezpieczna wiedza, zmora rodzaju ludzkiego. Cel Rau na pewno zrobił, co było trzeba. Rozmawiali o Chalayanie i o sytuacji takiej jak ta, która prędzej czy później musiała nastąpić. Niektóre tajemnice powinny na zawsze zostać pogrzebane, nawet jeśli wraz z nimi do tego samego grobu trzeba będzie wrzucić parę trupów.

Aidan pełzł przez szuwary, aż znalazł się na twardym gruncie. Chwiejnie podniósł się na nogi, cały utyłany błotem, ale to w końcu wyschnie i odpadnie. Osłonił oczy przed słońcem i obejrzał się na most. Stał nieco dalej, niż sądził. Prąd musiał nieść go przez kilkadziesiąt jardów, nim Aidan w końcu wygrzebał się na brzeg. Większość jukarów już przeszła na drugą stronę. Wioska płonęła.

Przekłęte potwory.

Widział w dali Starorzecze, zaledwie wybrzuszenie na płaskiej linii horyzontu, ale nie mógł podążać w tym kierunku. Jeśli skończy kiedyś w kotle jukarów, to na pewno nie dzisiaj. A więc na północ, przynajmniej dopóki nie nabierze pewności, że nie natknie się na żaden jukarski patrol. Potem już prościutko do Starorzecza.

Dowódca westchnął, tuląc do ciała pogruchotaną rękę, i powlókł się naprzód, noga za nogą. Najpierw jedna, potem druga. Krok po

kroku.



– To już postanowione. Nie ma o czym mówić – oświadczył cel Rau beznamiętnym tonem.

Vasil westchnął i utkwiał wzrok w płynących po niebie chmurach. Na przodków, co za uparciuch.

– Ale dlaczego? Nie możemy ochronić tych ludzi. Nie mogą iść szybciej?

– Oni myślą, że Kołczany przybędą im na pomoc. Inna możliwość nie mieści im się w głowie.

– Ale nie widzieliśmy żadnego Kołczana od wielu dni.

– I nie zobaczymy, póki nie znajdziemy się w mieście.

– Więc pokładają wiarę w cesarza... który nie kiwnie palcem, żeby im pomóc. Dobrze rozumiem?

– Nie. Po prostu jeśli Kołczany mają trochę oleju w głowie, nie wyściubią nosa poza mury Starorzecza. – Vasil szarpnął wodze i zatrzymał konia. Wierzchowiec był wykończony. Podobnie jak pozostałe. – Więc mamy zostawić ich wszystkich na śmierć? Przecież jukarowie wybiją ich do nogi. W życiu nie dotrą na czas do miasta.

– Nie dotrą.

Vasil potoczył wzrokiem po kmieciach. Wraz z szermierzem prędko dogonili tłum uciekinierów po tym, kiedy cel Rau... zarznął swojego przyjaciela Chalayana, jak rzeźnik zarzyna wieprza. Mechanicznie, bez zastanowienia, bo tak brzmiało polecenie.

Sędzia zacisnął powieki, gdy nasza go straszna myśl. Machnięciem ręki dał wojownikowi znać, że nic mu nie jest, i przywołał na usta sztywny uśmiech. To w końcu Aidan naprowadził Chalayana na trop, który ostatecznie przywiódł go do destruktywnej magii, a w rezultacie do śmierci. A jeśli Vasil jest następny w kolejce? Czy cel Rau jego także uzna za zagrożenie? Czy tylko obecność Aidana chroniła go dotąd przed mieczami cel Raua?

– Musimy ochronić tych ludzi – powiedział nagle wojownik.

Vasil wlepił w niego wzrok.

– Przed jukarami? Przed setkami, jeśli nie tysiącami potworów zdążających naszym śladem? Co my... jak niby chcemy tego dokonać?

– Zabijemy jukarów. I vormagów też. Nie dogonią nas.

– Czyś ty zwariował? – wysyczał Vasil i natychmiast tego pożałował.

– Nie. – Cel Rau skrzywił się na niego wymownie. – Nie wydaje mi się. Teraz ludzie nie idą zbyt szybko, ale gdy zobaczą za sobą postępującą horde i żadnych Kołczanów, większość przyspieszy. Tych, którzy nie będą mogli iść szybciej, nie zdołamy wtedy ocalić. Tych zbyt powolnych lub zbyt słabych.

– A więc wtedy cofniemy się na tyły pochodu, żeby mimo wszystko spróbować ocalić, ilu się da, jednocześnie cały czas utrzymując dystans dzielący nas od czoła hordy, tak by nie zwalili się na nas całą masą i nie wykorzystali przewagi liczebnej. I będziemy to robić aż do Starorzecza. – Vasil wbił wzrok w smugę na horyzoncie, tam gdzie czekało na nich miasto. – Czyli jak długo? Dzień drogi?

Cel Rau wzruszył ramionami.

– Mniej więcej. A to ma jakieś znaczenie?

– Nie. Dotrzemy, jak dotrzemy. – Vasil pokiwał głową. – Postaram się im pomóc. Nie radzę sobie z mieczem tak dobrze jak ty, ale zrobię, ile zdołam.

– To wszystko, o co mogę cię prosić. Drobną pomoc jest lepsza niż żadna.

– Uważasz, że mamy szansę?

Wojownik splunął w bok.

– Kołczany na pewno, bo chowają się za murami. Większość wieśniaków powalczy o swoje szanse, gdy już poczuje na karku oddech jukarów. Moim zdaniem mamy, lecz z drugiej strony nigdy nie miałem się za mędrca.

Jeśli zginę w trakcie tego manewru, nasunęło się Vasilowi na myśl, to problem cel Raua sam się rozwiąże, a on nawet nie zabrudzi sobie rąk.



Vasila wyrwał z zamyślenia ból jego własnej zaciśniętej na wodzach dłoni. Za plecami sędziego cel Rau z właściwym sobie polotem rozprawiał się z kolejnym jukarem. Następnie wskoczył na siodło i dogonił Vasila, ignorując lawinę serdecznych podziękowań ocalonej rodziny – nędznie odzianej w łachy z samodziału pary z dwójką dzieci.

Wojownik kazał Vasilowi wstrzymać konia i zaczęli razem, aż minie ich zlana łzami dziatwa. Spojrzawszy w kierunku mostu, którego bronił Aidan, ujrzeli rojących się jak mrówki jukarów. Tylko kilku z nich oderwało się od tej skłębionej masy, by próbować łapać uciekinierów, ale jeszcze więcej zaczynało rozbiegać się w różnych kierunkach. Jakieś sto jardów dalej dwaj kolejni szaroskórzy jukarowie mknęli już w ich stronę, dzierżąc miecze, wyglądające w ich łapskach jak sztylety.

– Nie przeżyją – ocenił cel Rau.

– Kto? Ta rodzina?

Wojownik potwierdził skinieniem.

– Są za wolni. Dzieci ich spowalniają.

Vasil przełknął kulę, która pęczniała mu w gardle. Słoneczny żar lał mu się na głowę i potrzebował się napić. Łyknął z bukłaka. Tyle będzie musiało mu wystarczyć.

– Musimy więc jakoś spowolnić jukarów.

Cel Rau puścił mu oko.

– To rozumiem. Będą jak fale rozbijające się o niewzruszone klify.

Raczej jak stado mrówek pożerające bezbronno świerszcza, skorygował w myślach Vasil. Mimo to odwzajemnił uśmiech cel Raua, na ile zdołał się zmusić.

– Uważaj, idą na nas dwaj kolejni.

– Zawsze uważam, sędzio. Zło nie śpi.

Gdy monstra zbliżyły się do nich, Vasil podjechał bliżej do towarzysza. Tymczasem wojownik znowu zsiadł z konia.

– Lepiej mi się walczy na nogach – odpowiedział, widząc pytające spojrzenie Vasila.

Mnie nie, pomyślał Vasil, który wolał walczyć z końskiego grzbietu. Cel Rau był jego jedyną szansą na przeżycie, a jeśli on padnie... Sędzia na taką ewentualność wolał jednak być w siodle, żeby nie musieć uciekać na własnych nogach. Rwał się do walki i chciał dać z siebie wszystko, ale nie miał złudzeń co do swojej sprawności bojowej.

Jukarowie byli coraz bliżej; wypatrzył pośród nich zwalistego potwora o lśniącej, niby pokrytej śluzem jak u ślimaka skórze oznaczonej ciemnymi pręgami.

– Dryblasz biorę na siebie – oświadczył cel Rau, dobywając obu mieczy.

– Ja zajmę się tymi mniejszymi – odpowiedział Vasil.

Cel Rau wyszczerzył się.

– Zuch. Wstrzymaj ich tylko, dopóki nie przyjdę. Wodze zawiąż na kuli siodła, a koniem kieruj udami. W czasie naszej podróży miałeś dość czasu, żeby to przećwiczyć – powiedział i ruszył drogą w kierunku nacierających stworów.

Vasil popędził wierzchowca. Śliskie od potu ręce bolały go od ściskania cugli. Powietrze pachniało kurzem, końmi i stałą, niósł się w nim także gryzący fetor jukarów. Jego klacz chciała uciekać, ale Vasil jej nie pozwolił. Tak jak doradził cel Rau, zarzucił wodze na kuli siodła, by mu nie przeszkadzały, a potem wyciągnął miecz.

Cel Rau wpadł na jukarów, kreśląc mieczami w powietrzu skomplikowane wzory. Mniejszy potwór odskoczył na bok, unikając rozpedzonego ostrza, które rozorałoby mu brzuch. Wojownik rzucił się do kolejnego, tamtego powierzając Vasilowi. Szermierz pewnie tak to sobie zamyślił już na początku.



Vasil wbił piętę w końskie boki i ciął szeroko mieczem... chybiając uskakującego błyskawicznie potwora. Jukar błysnął w uśmiechu wszystkimi kłami, gdy jego szponiasta łapa drapnęła sędziego w udo. Uderzenie bólu niemal wyrzuciło go z siodła. Z rany połała się krew. Vasil uniósł miecz nad głowę, a potem staranował koniem potwora, wybijając go z równowagi. Stwór wyprowadził cięcie od góry, sparowane przez Vasila potężnym rąbnięciem z boku. Klacz wspięła się na zadnie nogi, przerażona zapachem krwi i smrodem jukara. Vasil uczeplił się wierzgającego zwierzęcia, wypuszczając miecz ze zdrowej ręki, którą jednocześnie próbował trzymać się siodła. Koń spadł na jukara, druzgocząc mu kopytami pierś i głowę. Rozległ się trzask łamanych kości. Potwór zwinął się na ziemi, zanosząc się agonalnym skowytym. Wierzchowiec znów stanął dęba i zmiażdżył jukara, na zawsze uciszając jego żalosne wycie, a potem odskoczył od jego stratowanego truchła.

Vasil zsunął się z siodła i poszukał na ziemi swojego miecza. Zaryzykował rzut oka wstecz i zobaczył, że cel Rau ma swojego przeciwnika pod kontrolą. Jukar krwawił z ran na nogach, rękach i twarzy.

Vasil podszedł do swojego powalonego przeciwnika i dobił go ciosem w serce. Monstrum krztusiło się krwią i śliną, wlepiając w niego wściekłe spojrzenie żółtych ślepi. Ciemny płyn wyciekał jukarowi z paszczy, gdy ten syczał na Vasila zza przegniłych zębów. Sędzia wyciągnął miecz i znowu zatopił go w szarym cielsku, a potem znów i jeszcze raz, dopóki stwór nie znieruchomiał.

Walcząc o oddech, Vasil zwrócił się do cel Raua. Szermierz spostrzegł, że sędzia skończył pojedynek, po czym wszedł w zasięg długich ramion potwora. Wskoczył na zgięte kolano rozgromionego jukara i wybił się w górę. Jednym gładkim ruchem wraził potworowi miecz w miejsce pod pachą i dopchnął ostrze aż do serca.

Jukar zajęczał i drapnęła bezradnie łapskiem, a potem osunął się na ziemię, gubiąc krew. Cel Rau zostawił go tam i wrócił do Vasila.

– Cztery do jednego dla mnie, sędzio. Musisz zacząć nadganiać.

Vasil nie zdołał powstrzymać uśmiechu.



**C**aldan przyglądał się smukłej blondynce o gładkiej skórze, która przyjmowała zakłady i miała oko na toczące się partie dominionu. Nie odstępował jej na krok chłopiec i dziewczynka, oboje sięgający jej do ramienia. Oboje nosili zawieszane na szyjach drewniane blaty, na których znajdowały się powbijane na sterzące szpikulce kwadratowe karteczki oraz małe buteleczki atramentu o cienkich szyjkach. Na tych karteczkach notowane były zakłady. Następnie pomocnicy blondynki zanosili je do któregoś z dwóch kasjerów przy wejściu, każdego strzeżonego przez dwóch olbrzymich i skwaszonych mężczyzn najeżonych sztyletami. Nie był to doskonały system i Caldan widział przynajmniej kilka sposobów na to, by uniknąć płacenia w przypadku przegranej, ale chyba działał dość dobrze, by zbiednieli tylko ci, co mieli zbiednieć.

Jak dotąd Caldan trzymał się z boku sali, tam gdzie zalegały utrudniające wypatrzenie go cienie. Grupki bywalców – czasem pary, czasem liczące nawet pięć czy sześć osób – również podpierały ściany. Przeważnie szlachcice i kupcy, pogrążeni w szeptanych konwersacjach i strzelający wokoło nieufnymi spojrzeniami. Niektórzy gromili się nienawistnym wzrokiem, ale antypatie na tym się kończyły. Caldan uznał, że ten klub dominionowy był zarazem miejscem spotkań dla ludzi szukających partnerów w interesach i informacji o konkurentach – neutralnym polem wymiany informacji. Minęła go grupa wykwintnie ubranych możnych oraz kupców, bezceremonialnie taksując wzrokiem jego ubranie i postawę. Cieszył się, że wygląda na tyle zwyczajnie, że nie zainteresowali się nim na dłużej.

Przyszedł tutaj, bo kończyły mu się dukaty. Obstawił tylko jedną grę – toczoną na uboczu rozgrywkę między dwojgiem szlachciców. Uznał, że kobieta nie może tej partii przegrać. Kwit w kieszeni Caldana opiewał na wszystkie jego pieniądze. Wielu innych bywalców uznało podobnie, więc nie wygrał wiele – tylko kilka srebrnych dukatów – ale musiał przecież od czegoś zacząć. Jak tak dalej pójdzie, będzie musiał wracać tu codziennie przez kilka tygodni, żeby zebrać, ile potrzebuje. Irytowało go to i coraz częściej przychodziło mu na myśl, żeby samemu rozegrać kilka partii, wiedział jednak, że to ryzykowna sprawa. Zresztą i tak nie miał zbyt wielu dukatów, by porządnie obstawić mecz. Szkoda zachodu. To nie był dobry moment na asekurantwo – potrzebował pieniędzy, a tym sposobem będzie ciułał je do końca świata. Musiał więc znaleźć odpowiednią grę i zaryzykować.

Zwrócił baczniejszą uwagę na toczącą się właśnie rozgrywkę. Gra wchodziła w drugą fazę i na planszach malował się czysty chaos. Nie sposób było stwierdzić, kto wyjdzie z niej zwycięsko. Jednak dostrzegł pewną metodę w ustawieniu figur jednego z graczy, wątlego, bladego człowieczka, który bynajmniej nie miał aparycji zwycięzcy. Każdy jego ruch miał znaczenie, z kolei przeciwnik grał na oślep i marnował turę za turą. W oczach niedoświadczonego

obserwatora grał nieźle, okopując się mocniej na pozycjach i konsolidując linię obrony, lecz Caldan wiedział, że w ostatecznym rozrachunku ta strategia obróci się przeciwko niemu. Ten błady zawodnik stosował wycinki ofensywnych i defensywnych zagrywek ze słynnych partii, które Caldan kiedyś pilnie studiował. Definitywnie wiedział, co robi. I rzeczywiście – dowiódł tego kilka ruchów później, choć Caldan wątpił, by ktoś ze skupionych wokół plansz gapiów potrafił przewidzieć jego rychłe zwycięstwo.

Blondwłosa dziewczyna oraz dwójka jej asystentów przystanęli obok, by wymienić uprzejmości z jakimś starszym mężczyzną, który jak przypuszczał Caldan, był stałym bywalcem o opatrzonej przez nich twarzy. Postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję i podszedł do całej czwórki.

– Przepraszam najmocniej – wszedł kobiecie w zdanie. – Chciałbym obstawić tę grę.

Kobieta zerknęła na niego, nim wróciła spojrzeniem do rozmówcy.

– Proszę mi na moment wybaczyć.

– Ależ oczywiście.

Starzec odstąpił i utkwiał wzrok w planszach, a kobieta opromieniła go spojrzeniem i sama przez kilka chwil przyglądała się rozgrywce, nim w końcu odezwała się do Caldana.

– Trzy do dwóch, obaj zawodnicy – oświadczyła i wyduła usta, czekając na jego decyzję.

Caldan przebierał palcami w sakwie, a potem potarł kciukiem swój talizman na palcu.

Czy poważy się na takie ryzyko? Ufał swojej ocenie toczonej obok rozgrywki, ale... jeśli przegra, straci znacznie więcej niż tylko pieniądze. Nie. Pierścień był zbyt cenny, żeby ryzykować zakład.

– Chciałbym postawić nie pieniądze, tylko przedmiot o znacznej wartości. – I wyjął z kieszeni swojego rzemyslniczego żuka, którego postawił na przenośnym blacie jednego z asystentów. Metalowy pancerz owada lśnił nawet z dala od oświetlających stoliki lamp, podkreślając rysunek maleńkich run. – To rzemysliwo.

– Naprawdę? – odpowiedziała kobieta, przeciągając sylaby. – Całkiem ładny, ale widziałam już mechaniczne podróbki podobne do niego. Wyceniłabym go na... powiedzmy, jeden złoty dukat.

Caldan prychnął. Był wart trzykrotnie więcej, nawet gdyby był tylko nakręcaną zabawką.

– Doskonale zdajesz sobie sprawę, że to ułamek jego wartości.

Otworzył swoją studnię i podłączył do żuka kilka strumieni, każąc mu pełzać po drewnianym blacie. Trzymająca go dziewczynka zachłysnęła się powietrzem, a jasnowłosa kobieta wybałuszyła oczy na metalowego owada. Caldan aktywował na chwilę jego tarczę, ale w niewielkim natężeniu – tylko na tyle, by na moment otoczyła go wielokolorowa powłoka.

– Co to było? – wykrzyknęła kobieta.

– Magia. Mówiłem: to rzemyśliwo.

– Dobrze. A zatem dwa złote dukaty. – Oblizwała usta, nie odrywając wzroku od żuka.

Caldan zacisnął usta, by się nie roześmiać, a potem dotarło do niego, że ona nie żartuje. Zresztą niby dlaczego nie miałyby się potargować? To on zawraca jej głowę o zakład, nie mając przy sobie dość pieniędzy. W jej oczach był desperatem, a desperaci robili głupoty – sam przekonał się o tym nie raz.

– Zgoda – powiedział z ociąganiem. – Na tego bladego zawodnika. Uważam, że wygra.

– Lorda Loubstera, chcesz powiedzieć – poprawiła go z naciskiem, skinąwszy na dziewczynkę, która natychmiast zaczęła pisać na kwadratowej karteczce.

– Przepraszam, ale to moje – wykrzyknął Caldan, gdy kobieta wzięła żuka do ręki.

– W sytuacjach takich jak ta klub przechowuje zabezpieczenie zakładu do momentu zakończenia rozgrywki.

No tak, to miało sens.

– A co, jeśli przegram? – Wydawało mu się, że dobrze zrobi, zadając to pytanie.

– Wtedy będziesz miał jeden dzień, żeby wpłacić dwa złote dukaty, które przegrałeś. Wówczas zabezpieczenie zostanie zwrócone. W przeciwnym razie przejdzie na własność klubu niezależnie od rynkowej wartości.

Caldan kiwnął głową. Miał ograniczone pole manewru. Dziewczynka wręczyła mu kawałek papieru, a kobieta posłała mu szeroki uśmiech.

– Do zobaczenia później.

Cała trójka przeszła do kolejnego bywalca, który niecierpliwie czekał na zakład.

Caldan odtąd obserwował grę z odnowionym zainteresowaniem i niemałym napięciem. Niedługo później złapał wzrokiem młodą asystentkę rozmawiającą z lordem Loubsterem.

Szlachcic nerwowo rozejrzał się po sali, a potem na powrót poświęcił uwagę grze. Caldán zrobił się podejrzliwy, bo od tej chwili błady mężczyzna zaczął grać gorzej. Popełnił serię ewidentnych błędów, ściągając na siebie gromy ze strony komentujących mecz bywalców, ale zbył ich pretensje niegrzecznym komentarzem.

Caldana skręciło w żołądku, gdy Loubster wykonał dwa kolejne ruchy, które były tak piramidalnie głupie, że aż na swój sposób genialne. Jego ruchy nosiły pozory taktyki obronnej, lecz tak naprawdę wprowadzały zamieszanie w jego własnych szeregach. Wątpił, by ktoś inny się zorientował, ale Caldán wiedział, że lord Loubster właśnie naumyślnie przegrał wygrany mecz. Gdy mężczyzna wstał od stołu, czerwony na twarzy i przyznający się do porażki, wszyscy tylko machnęli ręką. Wszyscy poza Caldánem. Zacisnął pięści, aż paznokcie wpiły mu się w skórę dłoni. Wystrychnęli go na dudka. Kobieta przyjmująca od niego zakład była w zмовie z lordem Loubsterem, który przegrał specjalnie. Rzemyślniczny żuk musiał być wart więcej, niż Caldán przypuszczał.

Chłopak podszedł do jasnowłosej kobiety, przywołując na usta strapiony uśmiech.

– Masz pecha – powiedziała do niego tonem ociekającym współczuciem.

– Niestety. – Caldan musiał wziąć głęboki wdech. Wyczuwał żuka w sakwie przy jej pasie. Nie wykradnie go, choćby się nawet podłączył. A jeśli zrobi scenę w takim tłumie, zaraz ktoś go zauważy, a przede wszystkim chciał zachować anonimowość. – Mówisz, że mam jeden dzień, żeby wrócić z dukatami?

– Właśnie tak. Będę tu jutro wieczorem. Przyjdź z pieniędzmi.

Doskonale wiedziała, że Caldan nie ma przy sobie żadnych dukatów ani sposobu na to, żeby je zarobić do jutra.

– A zatem do zobaczenia – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Wyszedł z budynku, czując, jak krew gotuje mu się w żyłach. Było już późno i nie miał żadnego pomysłu, jak wybrnąć z tej sytuacji, nie posuwając się do czynów, których będzie później żałował.

Nie chciał tego, ale chyba nie miał wyjścia. Przecież nie pozwoli, by kradzież jego rzemyśliwa uszła tej oszustce na sucho. Przyszedł tu, żeby się wzbogacić, nie żeby zbiednieć.

Musiał postawić wszystko na jedną kartę... Ale nie w tej grze, tylko w innej.



Ruszył tylnymi uliczkami i alejami do budynku, gdzie uwięził go Joachim. Protektorzy pilnowali żelaznej bramy, ale wewnątrz nie paliło się światło. Ten budynek był zbyt ważny, by pozwolić komuś się tu wałęsać. Trafnie odgadł, że Protektorzy będą usiłowali go sprzedać lub uczynią z niego jeden z rozsianych po mieście posterunków. A jeśli taki mieli zamiar, to może zostawili w środku zgromadzone przez arcymaga skarby. Na przykład dukaty. Jeśli miał fart, to tak właśnie było. Tylko że noc nie należała do fartownych.

Okrzyknął zaciemiony mur i dał nura do bocznej uliczki, a następnie uniósł wzrok. Szczyt znajdował się o jard wyżej, niż sięgały jego wyciągnięte ramiona. Gdyby tak rozpędził się i skoczył...

Udało się. Podciągnął się, przesadził wierzchołek i zawisł po drugiej stronie, a potem cicho opuścił się na ziemię. Kucnął przy

samym bruku, tocząc wzrokiem po dziedzińcu. Ale nie, nikt go nie zobaczył. Nikt nie krzyczał, nie podnosił alarmu, a Protektorzy przy bramie tylko tłumili ziewnięcia.

Caldan zakradł się do bocznych drzwi i za pomocą magii i wyrysowanych kredą run otworzył zamek. W środku było tak ciemno, że bał się, że wpadnie na jakiś stołek i narobi hałasu. Czekał cierpliwie, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności, i wtedy dojrzał zarysy mebli. Jak tylko potrafił najciszej zakradł się do pokoju Joachima.

Na przodków! – zaklął w duchu.

Gabinet został splądrowany. Zabrano stąd wszystkie kosztowności, zostawiając tylko meble, dywany, parę krzeseł, biurko, regały i szafkę. Wyglądały na puste i rzeczywiście, dokładniejsze oględziny potwierdziły podejrzenia Caldana. Bez wątpienia dowództwo aranżowało teraz wywóz mebli, które również nie należały do tanich. Protektorzy nie mieli chyba zamiaru urządzić tu kolejnego przyczółku, ale czym prędzej zbyć budynek.

Ale może nie zdążyli jeszcze ogołocić innych komnat? Nie wierzył w to, ale się łudził. Już miał wyjść, gdy coś zwróciło jego uwagę. Zaledwie cień wrażenia, którego nawet by nie zauważył, gdyby ciemność nie zmusiła go do polegania na magicznych zmysłach. Rzemyśliwo, niemal niewyczuwalna wibracja na obrzeżu świadomości Caldana.

Gdzie ono jest? Zamknął oczy, by wzmóc koncentrację. Zrobił dwa kroki naprzód, a potem jeden w lewo. Było... pod nim?

Pod dywanem.

Szybko zwinął go, odkrywając klapę w podłodze, wyposażoną w uchwyty po obu stronach. Znajdująca się pod spodem skrytka nie była dość duża, by pomieścić wiele bogactw, ale ktoś ewidentnie zadał sobie trud, żeby ukryć klapę i zapieczętować ją rzemyślniczym zamkiem.

Caldan miał już pewną praktykę w ich otwieraniu, sięgnął więc do studni i roztoczył swój magiczny zmysł. Wciągnął powietrze do płuc. Proste zamki miały jeden, najwyżej dwa łączniki do podczepienia



strumieni. Zamek w mistrzowskiej bibliotece wymagał pięciu. A ten – siedmiu. Był pewien, że to Joachim go opracował. Najpewniej znajdowały się tam jego najcenniejsze skarby.

Ale siedem strumieni... Nigdy dotąd nie wyprowadził ze studni więcej niż pięciu. Już na samą myśl zakręciło mu się w głowie, a jego umysł cofnął się przed nią jak sparzona ręka. A jednak było to możliwe, tylko – jak wszystko – wymagało praktyki. Gdyby teraz miał wycisnąć z siebie aż siedem strumieni... No cóż, nie dowie się, póki nie spróbuje.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na zamkniętej klapie. Zaczął głęboko oddychać, skupiając się na rozszerzających się i kurczących płucach, tak jak nauczył się w klasztorze.

Zaczął po kolei wygaszać swoje zmysły, oddzielając się od bodźców z zewnątrz. Nie czuł pod sobą twardych drewnianych dech. Miał wrażenie, że unosi się w powietrzu. Zamknął uszy na hałas, zostawiając w obrębie słuchu tylko odgłosy wdechów i wydechów oraz miarowe bicie serca.

Wyciszał myśli, pozwalając procesowi zajść samoistnie, podłączył się do studni i wyprowadził z niej trzy strumienie. Kolejny oddech – czwarty strumień. Kolejny oddech – piąty.

Trzymał je teraz niemal bez wysiłku. Podłączył wszystkie do run łącznikowych po drugiej stronie klapy. Choć były ukryte, i tak czuł, gdzie się znajdują.

Samoistnie, niemal bez udziału myśli, wyprowadził ze studni szósty strumień. Jego oddech ustał, gdy ze wszystkich stron napařło na jego umysł silne ciśnienie. Musiał zmusić się do wznowienia oddechu, ale gdy mu się to udało, zaczął dyszeć. Szósty strumień wił się w jego uścisku, gdy próbował poddać go swojej woli.

Spokojnie, napomniał się. Ból zelżeje. Skup się na studni. Przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, walcząc o odzyskanie równowagi i uparcie ignorując ból głowy. Wreszcie jego oddech się wyrównał.

Z grzbietu nosa spływała mu kropelka potu. Otarł ją ręką, by nie łaskotała. Pomimo to strumienie nie zerwały się i wciąż trzymał je

pewnie. Spędził nieco czasu, ugruntowując kontrolę nad nimi. Teraz nie mógł już zwlekać. Czuł, jak szybko opuszczają go siły.

Zebrał się w sobie i z pieczołowitą ostrożnością wyprowadził ze studni siódmy strumień. Syknął, gdy igły bólu poraziły jego umysł. Wypuścił z ust warkliwy jęk, zmagając się z utrzymaniem pierwszych sześciu strumieni, które nagle stały się śliskie jak ławica węgorzy.

Ból stale narastał... Nie uda mu się...

Chwycił mocniej siedem strumieni, odmawiając im prawa do wyśliźnięcia się z jego uścisku. Z trudem łapiąc powietrze, zmusił szósty strumień do podłączenia się do zamka. A potem, wyciskając z siebie ostatnie poty, resztką sił podłączył siódmy. Powietrze wypełniło się cytrynową wonią i zamek kliknął.

Caldan natychmiast pozwolił wszystkim strumieniom wrócić do studni, a gdy nacisk na jego umysł zelżał, padł wykończony na podłogę.

Ale dokonał tego. Siedem strumieni. Głowa bolała go tak, jakby oberwał obuchem. Coś ciepłego i mokrego polało się z jego nosa. Usiadł i otarł to coś. Krew.

Kłapa przed nim odstawała od podłogi na grubość palca. W komorze poniżej znajdowało się drewniane pudełko, dość małe, by zmieściło się na jego dłoni. A obok sakiewka z pieniędzmi. Caldan spojrział do środka – przynajmniej trzydzieści dukatów. Pewnie zaskórniaki Joachima. Schowane tu, na wypadek gdyby trzeba było prędko się ulotnić. Wtedy pochwycił spojrzeniem jakiś błysk na dnie sakiewki. Pomacał ją od dołu i wyczuł między monetami jakieś inne kształty. Wysypał pieniądze na podłogę, a za nimi z woreczka wypadły ciemnozielone kamienie. Szmaragdy. Cóż za niespodziewane dobrodziejstwo. To dość, by w razie potrzeby zapewnić Mirandzie dobrą opiekę na długi czas.

Wsypał pieniądze i klejnoty z powrotem do woreczka i przeniósł wzrok na pudełko. Przypominało szkatułkę na biżuterię, w jakich jubilerzy wystawiali w swoich sklepach pierścienie i broszki.

Caldan otworzył ją i zamarł. Tak jak sobie tego życzył, w środku znajdował się talizman. Pierścień na palcu odciętym przy trzecim knykciu. I to niedawno, wnioskując z wczesnego stadium rozkładu. Ze wstrętem zsunął pierścień z palca. Poczerniała skóra odeszła od ciała i w nozdrza Caldana uderzył zapach rozkładu.

Zostawił palec w środku i zamknął pudełko, włożył je z powrotem do skrytki i położył klapę. Zakrył ją dywanem, nie kłopotując się blokowaniem zamka. Głowa wciąż bolała go po jego otwarciu i wiedział, że minie nieco czasu, nim znowu wycisnie ze swojej studni aż siedem strumieni.

Włożył talizman do kieszeni. Skoro znajdował się u Joachima, to mógł należeć do zabitego przez niego Protektora, a zatem to Protektorzy byli jego prawowitymi właścicielami. I pomimo że ich opuścił – choć do rozbratu nastąpiło z ich inicjatywy – poczuł się winny, przywłaszczając sobie ich pierścień. Z drugiej jednak strony pozostawienie go tu nie miało sensu i Caldan wiedział, że najprawdopodobniej znajdzie dla niego jakieś zastosowanie. Przypomniawszy sobie jednak, że obce talizmany bywały niebezpieczne i że dobrze zrobi, zachowując należyłą ostrożność. Później go zbada, żeby spróbować odkryć jego funkcję. Zawsze mógł też po prostu sprzedać talizman. Nieważne, później się nad tym zastanowi.

Zauważył, że krew, która pociekła mu z nosa, plamiła teraz jego rękę. Wytarł je o spodnie – w końcu stać go na nowe ubranie – i opuścił pokój. Chwilę później przeskoczył przez mur i zniknął w mrokach nocy.



**A**merdan wyszedł ze stertki brudnych ubrań, które zsunął na podłogę, i podał pracownicy łaźni kwit, który wcześniej opłacił. Odwróciła wzrok, ale przedtem rzuciła mu ulotne taksujące spojrzenie.

Wchłonięte przez niego talenty pomogły mu rozwinąć muskulaturę, którą zwykle skrywał pod ubraniem. Był to efekt uboczny, który z początku znalazł niepokojącym, lecz z czasem się z nim oswoił.

– Jutro będą wyprane i gotowe, proszę pana.

Pociągnął nosem.

– Nie ma potrzeby. Mam nowe ubranie, to już się nieco złachało. Zrób z nim, co chcesz.

Młoda kobieta spojrzała na nie z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

– Mankiety się trochę wystrzępiły i ubranie jest pogniecione, ale poza tym zupełnie dobre. Może bym...

– Powiedziałem: zabierz je. Jest dla mnie bezużyteczne.

Zamilkła i kiwnęła głową.

Inni ludzie, ta masa przygłupów, których ona była godną reprezentantką, przeszkadzali mu bardziej niż brud i pot. Zateśknił za swoim sklepem w Anasomie, który mógł utrzymać w czystości. Oaza spokoju w ohydnej dziczy, w której nurzały się te bydłeta. Tutaj nie mógł się doczyścić i wiecznie czuł się brudny. I cały cuchnął Dzwonkami.

Już niedługo, powtarzał sobie.

Zostawił kobietę jej sprawom, a sam udał się do pomieszczenia łaźniowego, stawiając kosz ze świeżym ubraniem tak, by mieć go w zasięgu wzroku. Zadbał o to, by nawet nie musnąć czystego ubrania brudnymi rękami. Dziewczyna zostawiła mu na stołku ręcznik, a na nim mydło i grzebień.

– Przynieś więcej wiader z gorącą wodą.

Amerdan odczekał, aż wyjdzie, żeby za pomocą chochli zwilżyć ciało, a potem natrzeć się mydłem. Umył się, ale nie poszedł do basenu z gorącą wodą. Na samą myśl, by wejść do jednego zbiornika z kilkunastoma innymi osobami, niemal zwrócił ostatni posiłek. Wystarczyło mu, że na kilka godzin zmył z siebie fetor tego miasta.

Wróciła dziewczyna z dwoma kolejnymi wiadrami, z których unosiła się para. Postawiła je obok pierwszego wiadra i stała, czekając na polecenia.

– Jeszcze dwa.

Wyszła, a on zaczął się szorować.

Dzwonki czeka na niego w domu. Uśmiechnął się pod nosem na tę myśl. Czarodziejka okazała się bardzo użyteczna, ale wciąż nie zdołał dociec, nad czym właściwie pracuje. Tego ranka wydała mu się jakaś roztargniona.

Wiedział tyle, że złożyła kilka rzemyśliw. Słyszał, jak klikają dopasowywane metalowe elementy. Nowe umiejętności pomogły mu oszacować, że to, co wytwarzała, było wyposażone w siedem run

łącznikowych. On sam nie zdołał jeszcze opanować tyłu strumieni. Z pomocą czarodziejki wyprowadził dwa, ale utrzymał je tylko przez moment. Irytowało go, że ta umiejętność wymagała wytężonej pracy, ale... była to praca, która się opłaci. Zrodzi owoce, o jakich jeszcze niedawno mógł tylko marzyć.

Dziewczyna wróciła z dwoma kolejnymi wiadrami.

– Pięć wystarczy. To wszystko.

Posłała mu nieśmiały uśmiech i skinęła głową. Stała z boku. Czekala. Amerdan ruchem głowy wygonił ją z pomieszczenia, a ona umknęła. Słono zapłacił za jedną z najlepszych łaźni w mieście i miał pełną świadomość, jakie oferuje się w niej usługi. Nie miał zamiaru skorzystać z tej jednej. Moźni i kupcy odwiedzający ten przybytek niewiele się różnili od zwierząt parzących się po krzakach.

Wreszcie, wyszorowany aż do całkowitej satysfakcji, osuszył się ręcznikiem. Ubrał się i z dna kosza wyjął swoją przyjaciółkę. Kropka mrugnęła do niego, a on skinął jej głową i włożył za koszulę.

– Chodźmy. Zobaczmy, co porabia Dzwonki.



Caldan z odległości obserwował wartowników, którzy bacznie przyglądali się ludziom przechodzącym przez bramę. Kilku podróżnych wzięli na bok, by ich przepytac, a jednego nawet przeszukali. Nie sądził, żeby ci ludzie zwrócili ich szczególną uwagę, żołnierze raczej robili to z nudów.

Niebo pojaśniało i słońce coraz wyżej pięło się na niebo. W czasie, który Caldan spędził oparty o mur, kolejka do miasta wydłużyła się, aż w końcu ludzi było tyle, że nie potrafił ich zliczyć. Gdy słońce wreszcie wyjrzało ponad linię wzgórz i do Kołczanów przy bramie dołączył jeszcze jeden oddział, otworzono drugie skrzydło bramy, aby zwiększyć przepływ podróżnych i wpuścić do miasta także bydło i wozy.

Po wewnętrznej stronie murów też ustawiła się kolejka do wyjścia, ale tę żołnierze ignorowali, Caldan ukradkiem dołączył więc do grupki ośmiu kobiet i mężczyzn. Nie minęło wiele czasu, a przeszedł przez bramę bez przeszkód.

Za murami stały prowizoryczne chaty i rozpadające się szałas, tu i ówdzie skupione gęściej, tworzące małe wioski. Caldan odłączył się od grupy, która sprawdziła się jako przykrywka, i pospieszył brukowaną drogą, jak daleko się odważył.

Tylko spokojnie, nakazał sobie. Nie oglądaj się.

Ukrytej w kieszeni ręki nie odejmował od pierścienia-tarczy. Postanowił jednak, że skorzysta z niego tylko w ostateczności.

Caldan szedł dalej drogą, a potem skręcił w pierwszą jako tako udeptaną ścieżkę, jaką napotkał. Była szeroka i poryta kołami wozów, co oznaczało, że musi prowadzić do jakiejś wioski lub może dużego gospodarstwa. Teraz gdy stracił z oczu główny trakt, wyjął z kieszeni swojego żuka i kazał mu polecieć na zwiad. Dostroił owada tak, by informował go o nadchodzących z naprzeciwka podróżnych, a szczególnie tych ze studniami.

Jasnowłosa kobieta, która przyjęła zakład Caldana, bynajmniej nie ucieszyła się na jego widok, a mina zwiędła jej zupełnie, gdy ujrzała dwa złote dukaty w jego dłoni. Uśmiechnęła się do niego przez zaciśnięte zęby, zaznaczając spleacony dług krzyżykiem i oddając mu konstrukt. Zrobił głupotę, zakładając się w nieznanym miejscu. Powinien być wdzięczny losowi, że udało mu się odzyskać rzemyśliwo. Życzył kobiecie miłego dnia i wyszedł, zostawiając ją wzburzoną jak sztormowe morze.

Caldan co rusz przystawał, by sięgnąć myślami do żuka i rozejrzeć się po okolicy jego oczami. Ostrożności nigdy za wiele. Na ile potrafił stwierdzić, kościany talizman był jego jedynym atutem, a gdyby znaleziono go teraz przy Caldanie, straciłby całą przewagę.

Wkrótce później zobaczył w dali to, czego szukał: domy skupione wokół wspólnej studni, obudowanej szarym kamieniem i nakrytej drewnianą pokrywą, która nie wpuszczała do środka liści.

Caldan wyjął z torby kamień wielkości pięści, z przywiązanym do niego kościanym talizmanem, po wielokroć owiniętym rzemieniem. Caldan przystanął na moment, a potem wyjął jeszcze z torby dwie chusty. Najlepiej upewnić się, że się nie zniszczy. Owinął kamień jedną chustą, a drugą podłożył pod pierścień jak poduszkę.

Rozejrzał się, by się upewnić, że nikt go nie widzi, a potem poprawił torbę na ramieniu i ruszył ku domom, które stały pogrążone w ciszy. Oby tam też nikogo nie było, pomyślał.

Na pomysł wpadł, gdy uświadomił sobie, że pewnego dnia będzie musiał stawić czoła cesarskim arcymagom. Wówczas przypomniał sobie, ile starań mistrz Simmon włożył w ukrycie miecza-talizmanu. Caldan sam rozejrzał się więc za idealnym schowkiem, wiedząc, że nie znajdzie takiego w Starorzeczu. Pomyślał o akweduktach doprowadzających do miasta wodę, ale nurt był w nich za silny. Może udałoby mu się schować tam coś cięższego, na przykład miecz-talizman, ale lżejsze przedmioty w końcu spłynęłyby z nurtem. A więc może studnia?

Caldan za pomocą dźwigni wyciągnął z dołu wiadro pełne wody, udając, że myje twarz i pije po długiej tułaczce. Jednocześnie kazał symulakrum latać w kółko nad wioską, a potem poszerzyć krąg o przyległości. Wokół cisza jak makiem zasiał, żadnych oznak życia, nie gdakały kury, nie czekały psy. Tyleż osobliwe, co wyjątkowo dla niego korzystne.

Caldan niespiesznie wykonywał kolejne zamyślane czynności, nieustannie skanując zmysłami otoczenie. Po dokładniejszych oględzinach stwierdził, że wioska musiała niedawno zostać opuszczona. Jakby z dnia na dzień wszyscy spakowali się i gdzieś odjechali.

Wzruszył ramionami i wrzucił swój otoczek do studni, celując w sam środek. Chwilę później usłyszał plusk, po czym zadowolony skierował się do wyjścia z wioski. Opuszczał sioło pogrążone w takiej samej ciszy, w jakiej go powitało.





Zwolnił kroku, zbliżając się do bramy miejskiej. Za ledwie godzinę wcześniej kolejka była prostą, uporządkowaną linią. Teraz do miasta waliły dzikie tłumy. Ktoś spierał się z wartownikami i gestykulował na wschód, gdzie Caldan po raz pierwszy zauważył kreślące się na niebie smugi dymu.

Chłopi, kupcy, woźnice i handlarze przepychali się w drodze za mury. Między nogami oberwanych i pokrytych pyłem dorosłych plątały się umorusane, zapłakane dzieci. Chyba znalazł mieszkańców wyludnionych wiosek, takich jak sioło ze studnią. Na razie ludzie jeszcze się zachowywali, ale było jasne, że jeśli napięcie szybko się nie rozładuje, wybuchnie chaos. Czymkolwiek tak przejmowali się zgromadzeni, Kołczany najwyraźniej nie bardzo wiedziały, co z nimi począć. Wokół roило się od podróżnych obwieszonych dobytkiem, toczyły się wozy załadowane meblami, skrzyniami i jedzeniem, a wiszące nad horyzontem chmury kurzu mówiły, że tłum będzie tylko gęstniał.

Caldan powiódł wzrokiem po przerażonych twarzach i po skołowanych, nerwowych wartownikach. O przodkowie! – zaklął w duchu. Coś było bardzo, ale to bardzo nie tak. Wysnuł tylko jedną konkluzję: w końcu nadchodzą Indryallanie.

Popukał w ramię przysadzistego kmiecia przed sobą. Zwróciła się ku niemu rozeźlona twarz.

– Czego? – charknął mężczyzna przez zółknące zęby.

– Co tu się dzieje? Indryallanie nadchodzą?

– Gorzej. Na wschodzie widziano horde jukarów. Całe wsie i miasta palą do gołej ziemi! A wiesz, co robią z ludźmi, co ich łapią?

– Chłop zadrzał i przychylił się do niego. – Żrą.

Jukarowie? I to cała horda? Caldan przypomniał sobie, że czytał o nich w księgach opisujących Zdruzgotanie i następujące po nim stulecia. Jeśli dobrze sobie przypominał, rzadko widziano je

w parach lub trójkach, i nigdy tak blisko ludzkich miast. A już na pewno nie tak głęboko w granicach cesarstwa.

– To potwierdzona informacja?

Kmieć obrzucił go spojrzeniem.

– Nie wiem, ale też nie czekał żem, coby zobaczyć, nie?

Gdzieś obok odezwał się cichy głos:

– Ja ich widziałam.

Caldan skupił wzrok na kobiecie idącej pod rękę z wysokim mężczyzną. Oboje byli szczupli i nosili znoszone skórzane ubrania. Widniejące za ich plecami konie załadowane futrami wskazywały, że to myśliwi.

– Gdzie? – chciał wiedzieć Caldan. – Ilu?

Kobieta zerknęła na partnera, który kiwnął głową. Spuściła wzrok i zaczęła dłubać w ziemi czubkiem buta.

– Raptem dwa dni temu. Rano. Jechaliśmy do miasta z naszymi skórami. Wyprawialiśmy je tygodniami. Miłe miasteczko... dopóki stało – poprawiła się. – Zbudowane w dolinie. Szliśmy pagórkami, a gdy stanęliśmy na ostatnim, zobaczyliśmy, że jest spalone. To musiało wydarzyć się w nocy, inaczej widzielibyśmy dym. Jukarów zobaczyliśmy co najmniej setkę. Odrażające szare ohydztwa. Gromadzili się w grupach, jedli... Nie wiem, co jedli, ale... – Łzy nabiegły jej do oczu.

Towarzyszący kobiecie mężczyzna otoczył ją ramieniem.

– Ciii. Kołczany się nimi zajmą.

Tylko kiwnęła głową, krótko, sztywno.

– Uciekliśmy. Gdy napotkaliśmy kogoś na szlaku, ostrzegaliśmy go przed potworami. Nie przemierzaliśmy się szybko, ale mijali nas inni, którzy już wiedzieli o zagrożeniu i widzieli okropne, potworne rzeczy. Uciekinierzy spływają tu ze wszystkich stron. – Zatoczyła ramieniem krąg. – A więc nie sądzę, żeby atakowała nas tylko jedna banda jukarów.

Caldan był zdania, że kobieta ma rację. Chyba cała prowincja garnęła się pod skrzydła Starorzecza.

– Dlaczego Kołczany nie powiadomiły nikogo w mieście? Przecież muszą się przygotować.

Żółtozębny prychnął.

– I po co, żeby wszyscy dostali kręćka? Zresztą popatrz tylko na nich. Akurat wiedzą, co robić.

Kolejka drgnęła i ruszyła naprzód, a oni za nią, krok za krokiem. Ku ich zaskoczeniu nie zatrzymała się, tylko popłynęła wartko ku otwartej bramie. Strażnicy postanowili chyba odpuścić swoje zwyczajowe inspekcje i przesłuchania, by nie dopuścić do zamieszek. Mądre posunięcie.

Caldan skinął myśliwym z wdzięcznością, skłonił się kmieciowi i przeszedł przez bramę. Wartownicy stanęli z boku i patrzyli na wchodzący do miasta tłum. Wyglądali na zaniepokojonych. Zły znak. Nie przydali się na wiele podczas napaści na Anasomę. Jak więc mieliby dać odpór armii koszmarów ze Zdruzgotania? Przy odrobinie szczęścia horda rozbije się o mury, lecz jeśli się przedrze...

Caldan westchnął z wysiłkiem. Nie mógł uciec ze Starorzecza, a możliwe, że Protektorzy już byli w drodze na blanki. A dopiero co im uciekł.

Caldan wmieszał się w tłum na murach i patrzył z wysokości baszt na kłębiących się przy bramie uchodźców, których liczba wzrosła dziesięciokrotnie. Za ich plecami rosły w oddali niebosiężne słupy dymu.

Ludzie spieszący do bramy rzucali za siebie nerwowe spojrzenia i wydawali się znacznie bardziej wystraszeni od tych uciekinierów, z którymi rozmawiał wcześniej. Jukarowie musieli deptać im po piętach.

Caldan przedarł się przez tłum z pochyloną głową, przeszedł na tyły i oparł się o ząb blanki. Wśród mieszczan mnożyły się plotki, a w ich zachowaniu i głosach słyszało się nuty paniki.

Nagle po prawej Caldana oddział Kołczanów wdarł się na szeroką kamienną rampę wiodącą na obwarowanie, mijając potężną katapultę osadzoną na baszcie przy bramie. Rozpychani mieszczanie protestowali, ale żołnierze nie przejmowali się nimi. Wówczas

Caldan wypatrzył w tłumie mistrza Molda, a za nimi dwóch uzbrojonych po zęby Protektorów.

Wreszcie, pomyślał, upewniając się, że oddziela go od mistrza skłębiona ciżba. Wyglądało na to, że niepotrzebnie się martwił. Mold i Protektorzy patrzyli tylko na gromadzących się na ulicach uciekinierów i goniące ich drobne czarne punkty na horyzoncie. Caldan zauważył prostą rękojeść broni przy pasie mistrza – miecz Simmona.

Mold wdał się z Protektorami w ożywioną dyskusję. Niemal stykali się głowami i obficie gestykulowali rękami. Mold w końcu przytaknął i odwrócił się, by znowu spojrzeć za mury. Wyłamywał palce, ale po chwili się zreflektował i opuścił lewą dłoń na rękojeść miecza.

Caldan poszukał wzrokiem innego zejścia z murów, lecz znajdował się zbyt blisko bramy. Z tego miejsca jedyną drogą na ulicę była rampa, na której stał mistrz. Na pewno nie zostanie tu długo, przypuszczał Caldan. Mold nie wyglądał, jakby miał zamiar pomóc. Caldan zastanawiał się dlaczego. Jukarowie zwołali najlichnieszą armię od czasów Zdruzgotania i zaszli daleko w głąb imperium. Coś tu było nie tak... Czy Mold nie powinien zbierać Protektorów do pomocy?

Kołczany powinny stać przy bramie i ochraniać wlewające się do miasta tłumy. Protektorzy także. Gdyby wyjechali za bramę, mogliby sami potwierdzić nadejście jukarów, oszacować ich siły, ocenić odległość i pomóc uchodźcom przedostać się do miasta. Jeśli tego nie zrobią, prędzej czy później ludzie zaczną ginąć. Całe mnóstwo ludzi.

Zamiast tego zarówno Protektorzy, jak i Kołczany chowali się za murami.

Czując narastającą frustrację, Caldan pokręcił głową i zerknął z blank na uciekinierów. Po co komu magia, jeśli nie można za jej pomocą chronić ludzi?

Edykt Protektorów stanowił, że organizacja zajmuje się tylko nielegalną magią. W oczach Caldana była to kpina i stek bzdur. Mógł teraz myśleć tylko o tym, jak tak konserwatywne podejście

przywiedzie do śmierci całą rzeszę niewinnych ludzi. Raz jeszcze utwierdził się w przekonaniu, że dobrze zrobił, odchodząc od nich.

Nie założą mi kagańca... i nie powstrzymają od niesienia pomocy, postanowił.

Teraz jednak musiał odczekać, aż Mold sobie pójdzie, i obserwować to, co dzieje się na traktach do miasta.

Przez następne kilka godzin przy bramie pojawiło się w sumie kilkudziesięciu Protektorów. Mimo niewielkiej liczby robili wrażenie – wszyscy mieli na sobie rzemysłnicze pancerze, a w garściach miecze i tarcze. Takie nagromadzenie rzemysłliw, o okazjonalnych talizmanach nie wspominając, wprawiało Caldana w drżenie. Niektóre zbroje wyglądały na świeżo wykute, inne nosiły oznaki długich lat użytkowania. Jedna zbroja płytowa była czarna, wykuta metodą, której mógł się tylko domyślać. Rzemysłnicze runy pokrywające jej powierzchnię były tak stare, że wręcz przedwieczne, i mocno stylizowane, nigdy nie widział takich w użyciu.

Mold pogrupował ludzi w mniejsze oddziały i obstawił nimi różne odcinki muru. Teraz rozmawiał z wszystkimi grupami po kolei.

Niech sobie gadają, pomyślał Caldan. Na co komu magia, jeśli trzeba było ją reglamentować w obawie... właściwie przed czym? Że niby jakiś kміeć, który zobaczy, jak Protektor za pomocą magii destruktywnej obroni go przed jukarem, zaraz podłapie tę magię, wpadnie w szal i wywoła drugie Zdruzgotanie?

O nie, ten edykt nie zrodził się ze strachu przed mocą, która wymknie się spod kontroli, ale ze strachu przed utraceniem kontroli nad tą mocą. Komu było na rękę ograniczenie ludziom dostępu do magii destruktywnej i zniewalającej? Kto posługiwał się Protektorami, kto ukrywał przed wszystkimi zakazaną magię, sam posługując się nią wedle życzenia i bez żadnego nadzoru? Arcymagowie, oczywiście. Tacy jak Joachim. A w ostatecznym rozrachunku sam cesarz.

Czy istniał lepszy sposób na zawłaszczenie całej magii niż jej zakazanie? Kto rozliczy cesarza łamiącego ustanowione przez siebie

prawo? Caldan zaczynał się zastanawiać, jakie jeszcze zastosowanie znalazł władca dla Protektorów. Na pewno nie obronę ludzi przed nadciągającą armią jukarów... bo jak dotąd Mold i jego ludzie palcem nie kiwnęli w tej sprawie. Caldan nie mógł się nadziwić tej bezczynności. Wydawała mu się strasznie, potwornie nie na miejscu. Czy nie chcieli przynajmniej stwarzać pozorów użyteczności?

Sama myśl zakrawała na zdradę stanu, ale Caldan zaczynał się zastanawiać, czy jest winny posłuszeństwo człowiekowi, który rzucał własnych ludzi na pewną śmierć, byle zachować swoje tajemnice.

Ciemny dym buchał w niebo z siół i wiosek coraz bliżej miasta, a pęczniące w dali chmury kurzu były coraz większe. Ziemie na wschodzie spowił cień, znaczący czarną, rozciągniętą smugą granicę pola widzenia Caldana. Chłopak skrzywił się, mrużąc oczy na bezchmurne niebo. To nie był żaden cień.

Oślonił oczy dłonią. Druga sama złapała za rękojeść miecza. Cień wolno pełzył w jego stronę, aż w końcu Caldan dostrzegł w nim pojedyncze czarne postacie: jukarowie. To musieli być oni. I było ich znacznie więcej niż te kilka band, o których wspomnieli myśliwi. Ta armia liczyła tysiące żołnierzy.

Przed nią biegły inne, mniejsze postacie – ludzie uciekający przed jukarami. Caldan mógł tylko patrzeć w przerażeniu, jak wielki cień połykał umykające przed nim drobinki.

Wbił spojrzenie w Molda. Na twarzy mistrza chmurniał ponury wyraz, ale Mold zaraz odwrócił się, by powiedzieć coś swoim Protektorom.

Kilka grup odłączyło się od czoła jukarskiej armii i rozeszło na wschód i zachód ścieżkami odbiegającymi od głównego traktu, podczas gdy trzon armii parł naprzód ku Starorzeczu, pochłaniając coraz więcej ofiar. Chłopi, handlarze, myśliwi, kupcy. Ojcowie, matki i ich dzieci. Jukarowie nie dyskryminowali nikogo. A Protektorzy patrzyli na to i robili wielkie, okrągłe nic.

Niemal słyszał ich usprawiedliwienia. Jeśli świat pozna zakazaną magię, czarodzieje o słabej woli wykorzystają ją dla własnej

korzyści. Nie wolno nam zaryzykować kolejnego Zdruzgotania. Musimy robić, ile się da, ale w ukryciu. Zawsze tak było. I tak być musi.

– Nie – wyszeptał Caldan pod nosem. – Wcale nie musi.

Rozluźnił zaciśnięte na zębach blanki dłonie i zatarł je. Tak mocno ścisnął kamień, że o mało go nie skruszył. Kiedyś, jeszcze w Anasomie, myślał, że znalazł swoje miejsce wśród Protektorów... ale teraz wiedział, że to były mrzonki. Jeśli pozostali arcymagowie byli tacy jak Joachim, jeśli ukrywali magiczną wiedzę, żeby samym czerpać z niej korzyści, to Caldan gotów był przypuścić, że również i jego dobro nie leżało im na sercu. Tak jak nie obchodziło ich całe cesarstwo poza własną zamkniętą kliką. Co oznaczało, że byli dokładnie tym, z czym mieli walczyć Protektorzy. Tymczasem cała ta skorumpowana organizacja służyła jako ich zbrojne ramię.

– Mistrzu! – wykrzyknął Protektor stojący na murze dwadzieścia jardów od Caldana. Utkwił palec gdzieś na równinie. – Tam! Ktoś z nimi walczy!

Caldan, tak jak Mold, zwrócił uwagę na masę maleńkich postaci. Zmrużył oczy, próbując dostrzec to, co pokazywał mistrzowi Protektor.

– Tam, na drodze – dodał mężczyzna. – Jacyś dwaj ludzie zabijają jukarów, którzy wybiegli przed hordę.

Tam... rzeczywiście. Caldan wciągnął powietrze przez zęby. Z tej odległości byli prawie niewidoczni, lecz rzeczywiście, dwaj ludzie jechali w przerwie między hordą a uciekinierami, zabijając pojedynczych wrogów. Jeden jechał konno, prowadząc drugiego wierzchowca za uzdę, a jego towarzysz poruszał się pieszo. Wyglądało na to, że kupują czas uciekającym. Na oczach Caldana jeden z jukarów zaatakował pieszego mężczyznę. Nawet z tej odległości Caldan widział, że stwór nad nim góruje. Ale jakimś sposobem wojownik utrzymał się na nogach, a stwór upadł na ziemię. Obaj mężczyźni popędzili od powalonej bestii w kierunku Starorzecza, dalej zachowując pozycję między masą ludzi a masą potworów.

Odpierali rozczłonkowane natarcie monstrów, robiąc ile tylko mogli w obliczu przewyższającego ich liczebnie przeciwnika. Caldan zerknął na Molda, który pozostał niewzruszony. A Protektorzy patrzyli przed siebie, nie zdając sobie nawet sprawy, jaką plamą na ich honorze jest ta bezczynność.

– Na przodków! – zaklął Caldan cicho, odwracając się plecami do jukarów. – Nie mogę na to patrzeć.

Wbił spojrzenie w Molda. Nie mógł już dłużej stać i nic nie robić. Ruszył do rampy, mijając trzech żołnierzy, którzy ładowali na katapulty wielkie gązdy.

Wskoczył na blanki i ruszył naprzód po zębach, by nie wpadać na stłoczonych na obwarowaniach ludzi, a zwłaszcza na Molda. Pchał go naprzód nieliczący się z konsekwencjami gniew. Nie dbał już o to, czy ktoś go zobaczy. Musiał coś zrobić, żeby powstrzymać tę rzeź.

Mentalnie sprawdził, czy całe wyposażenie ma na miejscu. Pierścień-talizman jest, rzemyśliwa są, prosty, lecz solidny miecz jest. Będzie musiało wystarczyć.

– Caldan!

Skrzywił się, słysząc głos Molda, ale sunął dalej naprzód. Skrzyżował z nim spojrzenie. Mistrz był czerwony na twarzy i pokazywał Caldana palcem. Lecz było już za późno. Chłopak pobiegł dalej i już mknął po rampie, rozpychając ludzi łokciami.

Zerknął szybko za siebie i potwierdził, że gonią go grzęznący w tłumie Protektorzy.

Zbiegłszy z rampy, rzucił się do wciąż otwartej bramy, szukając w tłumie tego, co było mu teraz potrzebne. Tam! Protektor siedział na przysadzistym gniadoszu.

Caldan ucapił go za ramię.

– Ejże!

– Wybacz. – Szarpnął, zwalając mężczyznę z siodła, a ten z hukiem uderzył o bruk.

Caldan w mgnieniu oka znalazł się na końskim grzbiecie i pognął wierzchowca naprzód, torując sobie drogę przez przepychającą się bramą ciżbę.



– Przejście! – wołał. – Z drogi!

Usłyszał za sobą rozzłoszczone głosy sprzeciwu, ale wystarczyło kilka chwil, by ciżba rozstąpiła się przed rozpędzającym się zwierzęciem. Tłum opływał je jak woda, otwierając Caldanowi przejście i zamykając je za końskim zadem. Protektorzy próbowali go dosięgnąć, ale spowalniała ich gęstwina rozemocjonowanych uciekinierów. Nie mieli szans się przedrzeć. Ludzie chcieli dostać się do miasta, a nie je opuścić, a Protektorzy nie mogli przecież z nimi walczyć.

Caldana zaświerzbilo miejsce między łopatkami i natychmiast przywarł do końskiego grzbietu. Jeśli Mold zechce powstrzymać go magią, zrobi to właśnie teraz...

Caldan otworzył studnię i podłączył się do nowej tarczy, czując, jak skóra obciąga mu się na ciele otoczonym wielokolorową powłoką. Wciągnął powietrze i zebrał się w sobie, czerpiąc potężne hausty energii. Nigdy jeszcze nie wpuścił do siebie tak potężnej fali. Włosy stanęły mu dęba, a powietrze wokoło zdawało się wibrować. Jego uszy wypełniło natarczywe bzyczenie, a zapach gorącego metalu i cytryny niemal obezwładniał.

Raptem coś zatkało jego studnię. Jego umysł odwinął się, rażony uderzeniem, gdy potężna fala zniknęła jak ucięta nożem. Caldan czuł się tak, jakby ktoś wrzucił go do lodowatej wody; drżał na całym ciele, a w głowie odezwał się tępy ból. Poleciał naprzód, uderzając ciałem o koński kark, niemal wymiotując, gdy skreśliło go w żołądku. Zaczął oddychać szybkimi zrywaniami jak zdyszany pies.

Zerknął przez ramię i zobaczył, że Mold celuje w niego mieczem-talizmanem.

Na przodków, czy to miecz ma moc zatykania studni? A więc to tak działa! A on nie miał jak się przed nim obronić. Wtedy przejechał przez bramę i odwiódł konia na stronę, z dala od kolumny uchodźców. Skierował go bokiem drogi prosto na nadciągającą horde.

Mężczyźni, kobiety i dzieci obrzucali Caldana zdumionymi spojrzzeniami, gdy mijał ich ze świstem. Niektórzy krzyczeli, że jedzie

w złą stronę, inni wznosili wiwaty, chcąc zagrzać go do walki – jakby mógł cokolwiek wskórać przeciwko takiej chmarze potworów.

Zwłaszcza bez studni.

Sięgnął zmysłami i ostrożnie ją zbadał. Wciąż była zablokowana, ale bariera nie była już tak gęsta. Najwidoczniej im dalej znajdował się Caldan od talizmanu Simmona, tym mocniej erodowała.

Pognał konia do cwału. Nie zmoże armii, ale może uratować kilka istnień i to właśnie ma zamiar zrobić. Wtem poczuł, że coś w nim pęka, a rysa ciągnie się przez całe jego jestestwo, że rozsadza go ucieczka z Anasomy, mord na Protektorach, zniknięcie Dzwonków, zdrada Joachima i odkrycie prawdziwych intencji Protektorów, a nade wszystko zniszczony umysł Mirandy, którego nie potrafił uleczyć. Musiał coś przedsięwziąć. Wszystkie trudy i znoje, wszystkie decyzje, które miały obrócić sprawy na lepsze, zostawiły go z niczym.

Po pierwszych stu jardach tłum uciekinierów mocno się przerzedził. Ci, których teraz mijał, mieli odcisnięty na twarzach wyraz śmiertelnej desperacji – dzikie oczy i żałośnie skrzywione usta, jakby dotarło do nich, że zostaną zaszlachtowani pod samymi murami Starorzecza.

Nagle skumulowana moc z jego studni znów uderzyła w niego zwartą falą i Caldan się zaśmiał. Teraz mógł w końcu coś zrobić.

Popędził konia naprzód. Gdzieś tam przed nim dwaj mężczyźni odwalali robotę za Protektorów, a on miał zamiar im pomóc, maksymalnie zwiększyć liczbę uciekinierów, którzy dotrą do miasta bezpiecznie.

Tam. Facet na koniu z zakrwawionym mieczem w garści. W przelocie zasłonił przed Caldanem swojego towarzysza, wiodąc zlanego potem konia ku grupie przerażonych mężczyzn i kobiet, gestem popędzając ich do bardziej wyęźzonego biegu. I wówczas ukazał mu się drugi mężczyzna. Zbryzgany od stóp do głów czarną posoką jukarów i błotem, wyglądał jak dzikus ze Stepów na wojennej ścieżce, ściskający w rękach dwa zakrzywione miecze.

Caldan oderwał od nich wzrok i spojrział na zmierzającą ku nim grupkę ujadających jukarów. Jednemu lub dwóm mogli stawić czoła, ale rozproszona forpoczta armii skupiła się w większą bandę, która właśnie ich doganiała. Sześć monstrów. Nie mieli szans, a jednak plemieniec szedł spokojnym krokiem w ich stronę, a jego towarzysz dwa kroki za nim.

To był pierwszy raz, gdy Caldan ujrzał jukara na własne oczy. Wyglądał dokładnie tak jak na rycinach w księdze, którą czytał w klasztorze. Szaroskóre, zwaliste monstrum przewyższające dorosłego mężczyznę o dwie głowy, o twarzy skrzywionej szerokim, najeżonym zębami uśmiechem.

Wojownik z krzykiem wpadł na pierwszego jukara, wyrysowując mieczami w powietrzu dwie zabójcze linie. Z rozciętego ciała bluznęła krew, a potwór zaryczał nieludzko. Mężczyzna na koniu podniósł się w strzemionach, waląc po łbie potwora zachodzącego jego kamrata z boku. Ten drugi nie był tak wprawny w walce. Wtedy Caldan zauważył, że jedną rękę ma na temblaku. Z całą pewnością robił, co mógł.

Caldan przemknął obok mijających go uchodźców, nie poświęcając im nawet spojrzenia.

– Uciekajcie! – wrzasnął do nich, jakby potrzebowali ponaglenia. Nie wiedział, co innego mógłby im powiedzieć.

Kątem oka dostrzegł trzech kolejnych jukarów, wielkimi susami doganiających ludzi, od których dzieliło Caldana raptem kilkanaście jardów.

Zaraz ich dopadną. Krew zapłonęła Caldanowi w żyłach, a jego twarz zlała się potem.

Wbił dłoń w kieszeń i wyjął swój konstrukt, który zaraz wyrzucił w powietrze. Jedną myślą wyprowadził ze studni pięć strumieni i podłączył wszystkie do żuka. Lśniące brązowe skrzydła otworzyły się i mosiężny owad pofrunął ku trzem jukarom, którzy biegli na nich z lewej strony.

Wrócił spojrzeniem do plemieńca, który – jakkolwiek niewiarygodne się to wydawało – trzymał w szachu aż pięć

potworów. Gardłowe ryki poraziły uszy Caldana, a przez nie przebiły się bojowe okrzyki dwóch wojowników, gdy powietrze wypełniło się odrażającym fetorem jukarów i ich krwi.

Koń wizgnął, gdy masywne ostrze wżarło się w jego łopatkę. Mężczyzna w siodle w ostatniej chwili uciekł przed jukarskim mieczem. Wierzchowiec zatańczył i zrzucił jeźdźca z grzbietu, a ten ryknął z bólu, lądując na rannej ręce. Jego kompan zaczynał się uginać przed naporem ciężkich jukarskich mieczy.

Caldan rzucił w bok desperackim spojrzeniem i wydał żukowi sekwencję rozkazów, po czym dobył miecza i pognał konia prosto na piątkę monstrów. Agonalny ból uderzył w jego umysł, gdy siłą wycisnął ze studni jeszcze dwa strumienie. Natychmiast okryła go wielokolorowa tarcza, a Caldán krótką myślą objął nią także i konia.

Ułamek chwili później zaszarżował na pierwszego jukara i posłał go w powietrze. Wierzchowiec zarżał z przerażenia, ale tarcza wzięła na siebie większość uderzenia, tryskając purpurowymi iskrami. Ledwie wytrącony z pędu Caldán rąbnął mieczem i rozplątał jukarowi łeb. Stwór zatoczył się w tył i padł martwy na ziemię. Caldán uniósł miecz, wlokąc za sobą smugę czarnej krwi, i spuścił go na kolejnego potwora. Stal zadzwoniła o stal, gdy stwór zablokował cięcie własną klingą. Chłopak wrzasnął, czując, jakby miał zaraz stanąć w płomieniach, i rąbnął ponownie. Miecz jukara pękł na dwoje. Ostrze Caldana wpiło się w jego ramię i stwór zawył głośno jak sto koszmarów. Chłopak z łatwością odbił jego potrzaskany miecz, gdy monstrum próbowało dźgnąć go kikutem klingi. Kolejne cięcie rozorało potworowi gardło. Wtedy Caldán przebił się przez bandę i znalazł za jej plecami. Trzej jukarowie, którzy jeszcze żyli, przystanęli, dając mu czas, by rozprawił się z drugą grupą.

Jego żuk wylądował na ziemi i otworzył płyty pancerza, spomiędzy których wytoczyła się czarodziejska kula. Caldán dobrze przyswoił swoją pierwszą lekcję posługiwania się konstruktami, którą odebrał w podziemiach Anasomy. Nic nie zyska, niszcząc to, co z takim trudem i tak wielkim nakładem kosztów zbudował, kiedy

może posłużyć się mniejszym rzemysliwem. Żuk zabzyczał i wrócił do niego. Caldan zerknął pospiesznie na plemieńca, który wycofywał się do swojego towarzysza, leżącego plackiem na ziemi.

Nowa banda – trzech jukarów – zbliżała się powolnym krokiem, warcząc i hałakując, rozdziawiając szeroko paszcze. Zbliżali się do magicznej kuli Caldana. Chłopak czuł się tak, jakby jego głowa miała zaraz wybuchnąć. Trzymał zbyt wiele strumieni naraz. To ponad jego siły. Musiał zdecydować, które trzymać dalej, a które puścić, inaczej wymkną mu się wszystkie. Jego tarcza zgasła, a on natychmiast przekierował strumienie do czarodziejskiej kuli i wcisnął do niej tyle mocy, ile zdołała pomieścić. Leżący na ziemi przedmiot buchnął światłem, oślepiając i zaskakując napastników.

Caldan zerwał kotwicę, a kula wybuchła i po polu bitwy potoczył się huk gromu, gdy impet detonacji rozrzucił potwory na wszystkie strony. Świetliste płomienie wbiły się w ich ciała, a skóra wokół ran natychmiast poczerniała i buchnęła dymem. Caldan ściągnął strumienie z powrotem do tarczy, kiedy fala uderzeniowa omyła jego i wierzchowca. Zacisnął zęby, gdy z jego tarczy posypały się fioletowe iskry, ale nie puścił strumieni. Omyły go świetliste włókna, skwiercząc od nadmiaru energii. Tarcza z łatwością zniosła uderzenie. Caldan otarł pot z czoła, martwiąc się teraz jedynie zbyt dużą liczbą strumieni. Bał się, że któryś mu się wysmyknie w decydującym momencie. Mieszkaniec Stepów i jego przyjaciel byli zbyt daleko, by zdołał ich ochronić.

Caldan ruszył na trzech pozostałych jukarów, widząc, jak szermierz wykańcza jednego serią gładkich cięć wymierzonych w uda i brzuch. Stwór zaskamlał i zwalił się na ziemię, usiłując utrzymać swoje jelita wewnątrz ciała.

Dwa pozostałe monstra uciekły. Fechtmistrz poderwał wzrok i rzucił się w pogoń, ale zaraz zrezygnował. Caldan wbił się wzrokiem w plecy uciekających potworów, ale wojownik miał rację: nie było sensu ich gonić, gdy zamiast tego mogli wycofać się z powrotem do miasta. Nie było czasu do stracenia.

Popędził konia w kierunku wojownika, który ruszył teraz z pomocą przyjacielowi, i zsunął się z siodła. Mężczyzna na ziemi zajęczał, blady na twarzy. Mocno zaciskał zęby z bólu. Kawalek dalej jego klacz leżała w kałuży krwi. Jeszcze żyła, ale targały nią drgawki.

Nieopodal kręcił się koń szermierza.

– Posadźmy go w siodle – powiedział Caldan. – Wtedy będzie miał jakąś szansę.

Wojownik ze Stepów pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Podniósł towarzysza do siadu, a ten wrzasnął i złapał się za obandażowane ramię. Chwilę później Caldan pochwycił konia wojownika i przyciągnął go do dwóch nieznanymych. Wspólnymi siłami wsadzili rannego na siodło, gdzie obwisł w niewygodnej pozycji, z głową kiwającą się na ramionach. Owinęli mu wodze na sprawnej ręce.

Szermierz wciągnął powietrze przez nos.

– Ty bierz mojego.

Caldan spotkał się z nim spojrzeniem.

– A ty? Musisz odsapnąć po tym, co przeszliście.

– Ja czuję się nieźle. Jedź z nim.

Wojownik z obrzydzeniem na twarzy przyglądał się pozabijanym jukarom, a obie jego ręce mocno ścisnęły rękojeści schowanych w pochwach mieczy, jakby lada chwila spodziewał się znów znaleźć dla nich zajęcie.

– Dzięki za pomoc.

– Jestem Anshul cel Rau, a to Vasil.

Jego towarzysz nie wyglądał, jakby go słyszał. Ledwie trzymał się siodła i najwyraźniej również przytomności.

– Caldan. Żałuję, że nie spotkaliśmy się w lepszych okolicznościach.

Anshul prychnął śmiechem.

– Zabijanie jukarów to całkiem dobre okoliczności. Jesteś czarodziejem – stwierdził, nie spytał, mierząc chłopaka nieufnym spojrzeniem, nim odwrócił głowę.

– Coś w tym guście. Zobaczyłem was i uznałem, że ktoś powinien wam pomóc.

Anshul ważył słowa Caldana, a po chwili skinął z namysłem.

– Wśród jukarów są vormagowie. Także są czarodziejami, ale to tchórze i nie tak biegle w czarowstwie jak ty. Przez jakiś czas będą trzymać się z tyłu, ale w końcu zbiorą się na odwagę i nadejdą. Dość gadania. W drogę.

Vormagowie... Caldán wydobyl to słowo z głębin pamięci. Czytał o nich lata temu w pradawnych księgach o Zdruzgotaniu. Vormagowie byli stworzeniami zrodzonymi z magii, ale teksty nie mówiły o nich nic więcej. Powtarzały tylko przymiotniki takie jak „wynaturzony”.

Caldan podążył za spojrzeniem Anshula do postępującej jukarskiej hordy. Dwa potwory, które wyrwały się przed szereg, przystanęły i czekały, aż dołączy do nich więcej ich pobratymców. Caldán nie potrzebował dodatkowej zachęty.

– Jedźmy razem, Anshul – powiedział, wskazując wojownikowi jego konia, a sam pociągnął wierzchowca z Vasilem w stronę miasta.

Czuł się... zaskakująco dobrze. Po raz pierwszy od dawna użył magii w szczytnym celu. Żadnego skradania się, żadnych odcieni szarości. Ocalił kilka żyć i zabił parę potworów – chyba istniało na świecie miejsce również dla takiej magii, skoro można za jej pomocą działać tyle dobrego? Ale odpowiedzi na to pytanie poszuka kiedy indziej. Teraz musiał skupić się na tym, by wrócić do Starorzecza. Biegając truchtem ku drodze i bacząc, by mężczyzna imieniem Vasil nie zwałił się z siodła, widział, jak Anshul z zaciekawieniem przygląda się poczerniałemu kołu na trawie, gdzie dymiły nadpalone truchła trzech jukarów.

Pewnie nigdy jeszcze nie widział magii na oczy.

Szermierz rzucił mu puste spojrzenie, którego Caldán nie mógł odczytać, a potem zwrócił konia i zrównał z wierzchowcem Vasila, by móc przytrzymać go w siodle.



Amerdan zastanawiał się, czy Dzwonki choć podejrzewa, kim on naprawdę jest. Pewnie nie, wywnioskował. Dla czarodziejki już samo to, że ktoś ma więcej niż jedną studnię, było czymś tak niesamowitym, że wystarczyło, aby opuściła gardę. Amerdan był teraz dla niej kimś, kogo należało strzec... hołubić. I najwyraźniej wręczyć swojemu Bogu-Imperatorowi jak prezent.

Nie zdawali sobie sprawy, że to oni dadzą mu prezent – swoje talenty. Amerdan przyglądał się Dzwonkom, gdy ta składała swoje rzemyśliwa: metaliczne przedmioty pokryte runami i symbolami wytrawionymi za pomocą kwasu. Rozpoznawał tylko kilka z nich.

Musiał oddać jej sprawiedliwość: wszystkiego, co wiedział, nauczył się od niej. Gdy nie była pochłonięta rzemyśleniem, chętnie dzieliła się z nim wiedzą.

Raz czy dwa próbował mocniej ją przycisnąć, żeby szybciej zaspokoić całą swoją ciekawość i szybciej rozprawić się z tą irytującą babą. Ale powiedziała mu, że jeśli dowie się zbyt dużo zbyt szybko, spowolni to jego postępy czy tam okaże się szkodliwe dla nieukształtowanego jeszcze umysłu albo coś w tym guście. A jednak brakowało mu doświadczenia, by móc wyrobić sobie zdanie na ten temat, więc na razie postanowił stąpać ostrożnie.

Gdyby nie ta pałaca potrzeba... Czasem, gdy czarodziejka siedziała plecami do niego, wyobrażał sobie, jak jego nóż penetruje miejsce pod jej lewym zębem. Wówczas musiał zaciskać powieki i dokładać starań, by go tam nie umieścić. Nawet teraz toczył bój sam ze sobą, pytając się w myślach, czy rzeczywiście jest mu tak potrzebna do rozwinięcia jego czarodziejskich umiejętności, jak mu się wydaje.

Wkrótce, obiecał sobie po raz kolejny.

– Co to robi? – spytał ją znowu.

– Mówiłam ci już, że to dla ciebie zbyt skomplikowane.

Palce Amerdana już szukały noża. Szmaciana lalka poruszyła się za jego koszulą.



– Tak, słyszałem. Ale ja nie pytam, jak to działa. Tylko co robi.

Dzwonki przerwała pracę. W ręce trzymała płaski metalowy dysk z dziurą w środku, jeden z kilkunastu, które zaczęła nanizywać na stalowy pręt przytwierdzony do cienkiej kamiennej podstawy. Gdy już wszystkie znalazły się na osi, całość wyglądała jak tort złożony z wielu warstw, każda wykuta z innego rzemysłniczego metalu.

– To rodzaj przekaźnika. Pozwoli czarodziejowi znajdującemu się daleko ode mnie przekazać mi swoją moc na odległość.

Amerdan wbił w nią spojrzenie. Jej dłonie przesuwają się po metalowych dyskach z osobliwą czułością. Rzadko czuł niepokój, a jednak teraz zrobił się nerwowy.

Dlaczego Dzwonki chciała zdradzić swoje położenie innemu czarodziejowi? I do czego była jej potrzebna taka nadwyżka energii? Może jednak nie była dość silna, żeby samej stawić czoła cesarzowi? Chyba że... Z tego, co wiedział, jej magia powinna dalece wykraczać poza tę, którą cesarz potrafi przywołać, by się obronić. Obracał w palcach zestrojoną z sobą monetę, dzięki której zbliżył się do władcy.

– Ale potrzebujesz, żebym zaniósł to do cesarza. A gdzie ty wtedy będziesz?

Dzwonki uśmiechnęła się do niego.

– To już nieaktualne. Dostałam nowe rozkazy. Musimy tylko podejść do cesarza jak najbliżej, wmieszać się w jego wojsko. Reszta to już nie nasza sprawa.

– Co? A nie mieliśmy zabić cesarza?

Wciąż uśmiechnięta Dzwonki utkwiała wzrok w dali.

– Nie, cel misji uległ zmianie. Bóg-Imperator niedługo zjawi się tu we własnej osobie. Przybędzie tutaj dzięki naszym wysiłkom. A gdy już się tu znajdzie, cała ta bezsensowna wojna się skończy. Nie mogę się doczekać, aż go poznasz.



Siedziały w ulewie.  
Na przodków, zakłęła w duchu Felice. Co z nimi jest nie tak?  
Nie padało, gdy Rebecci wysłała swoich pozostałych ludzi, by zabrali nowe ciało Savina do siedziby Pięciu Oceanów. Gdy czarodziejka gestem nakazała Felice iść ze sobą na nabrzeże, które wdzierało się w wody zatoki, ona sama kazała Izakowi ruszyć z pozostałymi. Nic wówczas nie powiedział, ale wyraz ulgi na jego twarzy mówił wszystko.  
Dogoniła Rebecci na końcu pomostu i zasypała ją pytaniami, które kobieta zignorowała. Sfrustrowana Felice usiadła obok czarodziejki i zaczęła majtać przewieszonymi za krawędź mola nogami, gapiąc się na ocean. Wkrótce potem z ciemnych chmur nad ich głowami lunął deszcz, który bynajmniej nie poprawił jej nastroju.

Zadygotała z zimna i schowała ręce do kieszeni. Nie całkiem jeszcze wyzdrowiała i bała się, że chłodny deszcz pogorszy jej stan. Przeklęci czarodzieje.

Raz jeszcze szturchnęła Rebecci noskiem buta.

– Co robisz?

Wreszcie kobieta odwróciła się do niej. Teraz gdy przemoczone ubranie przywarło do jej ciała, wydawała się Felice jeszcze szczuplejsza. Nawet jej dzikie zwykle włosy oklapły i przykleiły się do czaszki. Felice zdusiła śmiech. Wygląd kobiety skojarzył jej się z kotem wyłowionym z rzeki. I to takim, który od dawna nie jadł. Aż dziwne, że wiatr nie zwiął chudej jak tyka Rebecci do morza. Może to dlatego, że obciążała ją cała ta woda, którą nasiąkło jej ubranie.

– Myślę. Porozumiewam się z Pierwszym Wybawicielem.

Rebecci odjęła od Felice wzrok i utkwiała go przed sobą. Patrząc na nią pod tym kątem, Felice widziała, że lekko porusza ustami, jakby mówiła, choć nie opuszczał ich żaden dźwięk. Dłonie czarodziejki spoczywały na kolanach i ścisnęły jakiś przedmiot. Rzemyslniczy diament w klatce z metalowego drutu. Zielonkawe światło przesączało się między jej palcami.

Nie wątpiła, że Rebecci jest zajęta, ale Felice przejadło się już siedzenie w ulewie. Skoro już zdołała wycisnąć z niej kilka słów, poszła za ciosem.

– Czy to Gazija jest Pierwszym Wybawicielem?

Czarodziejka zawahała się, ale w końcu skinęła na tak. Uzyskawszy to drobne potwierdzenie, Felice poczuła się, jakby wygrała na loterii. Tylko że ta odpowiedź rodziła kolejne pytania, jak choćby to o naturę tego przydomka. Wybawiciel? Od czego?

– Od unicestwienia – odpowiedziała Rebecci, nim Felice wypowiedziała pytanie na głos.

Niebywałe. Robiła się nerwowa przy tej dziwnej kobiecie.

– I co on mówi?

Rebecci milczała.

Felice zgarbiła się i wcisnęła głowę w ramiona, na próżno usiłując schować się przed lejącymi jej się na głowę grubymi kroplami

deszczu. Przycupnięta na palu mewa zaskrzeczała i obrzuciła ją spojrzeniem żółtych, paciorkowatych oczu. Felice miała serdecznie dość tych ludzi i ich tajemnic.

– Rebecci, może zejdziemy z tego deszczu? Po co my tu mokniemy?

Rebecci wstała, a klejnot błysnął, nim schowała go do kieszeni.

– Pomaga zamaskować moją magię.

Felice mrugnęła, a potem przełknęła ślinę. Powątpiewała w jej słowa.

– Przed kim?

Na ustach Rebecci zarysował się cień uśmiechu, a potem wskazała kogoś za plecami Felice.

– Przed nimi.

W ich kierunku szły dwie postacie, niemal tak wychudłe jak sama czarodziejka. Mały chłopiec i dziewczynka. Szli pomostem z pewnością siebie wykraczającą daleko poza ich młody wiek. A ich ubrania... Felice nigdy nie widziała dzieci odzianych w tak pięknie utkany materiał. Ani z tyłoma rzemyśliwami na szyjach i palcach.

Zatrzymały się dziesięć jardów przed nimi i tak stały, milcząc. Przez długą chwilę słyhać było tylko łomotanie deszczu o deski nabrzeża. Gdzieś obok Felice znowu krzyknęła mewa.

– Powiesz mi, proszę, co tu jest grane? – spytała Felice.

Chuda dziewczynka wydała z siebie dźwięk podejrzenia podobny do chichotu.

– Rebecci – zawołała wysokim głosem. – Oddaj nam Savina.

– Nie zrobię tego. Pierwszy Wybawiciel już go osądził.

– Twój Wybawiciel to wątył starzec, który żyje przeszłością.

– To bohater, który nas wszystkich ocalił, was także.

Dziecko skrzywiło usta w pogardliwym uśmiešku.

– Stare dzieje.

– Dzięki niemu żyjesz dzisiaj. – Rebecci zrobiła krok naprzód i w bok, zasłaniając Felice połową ciała. – Zawróćcie z waszej ścieżki – wymówiła donioślejszym tonem – albo podzielicie los Savina.

Dzieci popatrzyły po sobie i wymieniły szeptem kilka słów. Chłopiec wzruszył ramionami i obrócił się na pięcie, by skierować się na ląd. Dziewczynka nie ruszyła się z miejsca. Wbijała w Rebecci spojrzenie, które stopiłoby skałę.

– Pilnuj się – poradziła jej dziewczynka. – Przyjdziemy po ciebie.

– Zawsze się pilnuję. A teraz idźcie, zanim rozprawię się z wami tu i teraz.

Dziewczynka syknęła przez zaciśnięte zęby, nim ruszyła w ślad za chłopcem. Felice byłaby spokojniejsza, gdyby nie odeszli tak swobodnym krokiem. Obie kobiety patrzyły za nimi, aż zniknęli za rogiem ulicy.

– To jacyś mali czarodzieje? – spytała Felice. – Nie, to wcale nie są dzieci, prawda?

Czarodziejka potwierdziła skinieniem. Wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle.

– To absolutnie nie są dzieci. – Zawahała się. – Pierwszy Wybawiciel dziękuje ci za twoją pomoc. Prosi, żebym wyjaśniła ci kilka spraw.

Felice spojrzała na sunące po niebie chmury. Deszcz obmył jej twarz.

– Wydaje mi się, że sama już wszystko rozumiem.



Gazija był jednym z doradców wielkiego króla. Dzierżył stanowisko przez dwa pokolenia, nim jego świat został zdruzgotany. Nawet na samym początku, gdy wszystko szło nie tak, Gazija wiedział, że zdoła uratować swój lud. Przez lata walczyli utwardzoną stalą i morderczą magią, aż wreszcie przeciwnik przyparł ich do muru. Postawiono przed nimi wybór: służyć lub zginąć. Ale on znalazł trzecie wyjście. Pokładając wiarę w swoich magicznych zdolnościach, postanowił ocalić swoich ludzi. A oni obdarzyli go zaufaniem. Złożyli swoje drobne życia w jego rękach.

A Gazija ich zawiódł.

Siły, które przypuściły na niego atak z głębi jego własnej studni, okazały się zbyt potężne, by zdołał nad nimi zapanować. Ostatecznie nawałnica ognia zerwała ciało z jego kości, a potem pochłonęła także i je.

Ale zanim to nastąpiło, zrozpaczony i umierający Gazija stworzył rzemyśliwo, jakiego nigdy dotąd nie obmyślił. Utrzymując symbole wiążące w swoim umyśle, splótł ze sobą czary destruktywne i zniewalające, po czym umieścił je w pewnym naczyniu, rzemyślniczym przedmiocie utworzonym z czystej, uporządkowanej energii, którą trzymała w ryzach jedynie siła woli, i to właśnie naczynie zdołało pomieścić jego esencję, jego świadomość.

I Gazija przeżył. W pewnym sensie.

Znalazł się w dziwnym nowym świecie, niemal doprowadzony do szaleństwa przez cierpienie. Ale przeżył. Jego ludzie ufali mu, poszli więc w kierunku, który im wskazał. Trzecia ich część nie przeżyła.

A ci, którym się to udało...

Ocalił ich, lecz skazał na wieczność cierpienia i udręki. Egzystencję toczącą się poza materialnym ciałem, która zmusiła ich do karmienia się niewinnymi istotami, bez czego nie mogli przeżyć. Stali się pasożytami.

Przez sto lat poszukiwań Gazija nie odkrył sposobu na wyzwolenie ich od tej ohydnej egzystencji. Z czasem następna trzecia część jego ludzi popadła w rozpacz i po prostu... wyparowała lub dała się zniewolić nieożywionym rzemyśliwom.

To przejęło go największym wstydem.

A jednak wciąż oddawali mu cześć.



– Gazijo? Słyszysz mnie?

Obrócił się, słysząc czyjś głos, oparty na swojej lasce. To ciało prawie już się wyczerpało, ale on nie miał jeszcze zamiaru pójść na

łatwiznę i zastąpić go nowym. Musiał dać innym przykład.

– Tak, Lughildernie, co się dzieje?

– Dowódcy najemników się niecierpliwią. Mamy szczęście, że rzeka rozwidła się przed Anasomą i mogliśmy popłynąć południową odnogą. Ale oni nie płynęli jeszcze tędy i chcą wiedzieć, czego mogą się na niej spodziewać. I co się wydarzy, gdy już dotrzemy na miejsce.

– Co im powiedziałaś?

– To, co zwykle. Ale to dla nich za mało. Obawiam się, że długie tygodnie ścisku na okrętach zaczynają dawać im się we znaki.

– Bez żartów. Tyle im płacimy, że powinni milczeć i podziwiać widoki.

– Wydaje mi się, że w tym właśnie kłopot. Płacimy im krocie, a jak dotąd nie zrobili dla nas zupełnie nic. Niektórzy robią się podejrzliwi.

– Można by pomyśleć, że powinni się cieszyć, skoro zapłacono im krocie za robotę, która im się nie naprzykrza.

– Część dowódców chce wiedzieć, z czym będą walczyć, kiedy już dotrzemy na miejsce. Wiedzą, że płyniemy w głąb Cesarstwa Mahruzańskiego, i myślą, że stoczą bitwę z Kołczanami. Obawiają się, że zostaną uwięzieni w obcym kraju bez drogi ucieczki.

Gazija się skrzywił.

– Pogadam z nimi. Zbierz tych niecierpliwców i niedowiarków. Chyba już czas, żeby ich uświadomić. To może być ich pierwsze starcie z jukarami i vormagami i lepiej będzie, jeśli dowiedzą się czegoś o przeciwniku. Zapewne także pierwszy raz zostaną bohaterami, jeśli tylko cesarz wybaczy im wdarcie się do jego cesarstwa.

Lughildern pokręcił głową.

– Co opętało ich czarodziejów, że poszli tą drogą? Że stworzyli takie monstra?

– Desperacja – odparł Gazija, sam znając to uczucie aż nazbyt dobrze. – Albo po prostu szaleństwo.

O tym również wiedział to i owo.



Aidan włókł się z mozołem, byle dalej od mostu. Wędrował już od kilku godzin, ale w swojej głowie wciąż raczej oddalał się od mostu, niż zbliżał do Starorzecza, bo i prawda była taka, że wcale daleko nie odszedł.

Powiedzieć, że był wykończony, to jak nic nie powiedzieć. Ręka bolała go, jakby ktoś powbijał w nią rozżarzone igły. Cierpiał tak bardzo, że nie mógł myśleć. Dwa razy zorientował się, że po prostu stoi, nie robiąc naprzód kolejnego kroku i zmagając się z atakiem rozdzierającej agonii. Chwilami nie potrafił ocenić, jak długo już tak stoi. Gdy zebrał siły, by znowu ruszyć naprzód, nad głową zabzyczała mu chmura komarów, która poderwała się z jego ciała, przerywając picie. Dotarło do niego, jak bardzo sam jest spragniony. Nie pamiętał, kiedy ostatnio zakosztował wody.

Natknął się na szlak wydeptanej trawy, wiodący na północny wschód. Niezupełnie w tym kierunku chciał iść, ale niech już będzie. Przez wysoką trawę trudno się szło. Jeśli może oszczędzić nieco siły, lepiej, żeby to zrobił. Potykając się o nierówności gruntu, ryjąc stopami w zielonożółtym szlaku, Aidan po raz pierwszy pomyślał, że przydałaby mu się pomoc i że może nie zdoła dotrzeć do miasta o własnych siłach. I w chwili gdy ta myśl rozbłysła mu w głowie, ujrzał w dali przed sobą jakieś postacie. Jedne idące pieszo, inne jadące konno lub na wozach. Zamrugał suchymi oczami i przełknął ślinę, na ile pozwalało palące gardło. Uniósł rękę w przyjaznym geście, nim ta opadła mu do boku, a on uświadomił sobie, że znowu sterczy, zamiast iść. Nie zaczekają na niego. Lepiej zrobi, ruszając w końcu przed siebie. Aidan zassał powietrze do płuc i skrzywił się, gdy jego połamana ręka przesunęła się na temblaku.

W polu jego widzenia pojawiła się brukowana droga. Zatrzymał się z obiema stopami na twardych kamieniach. Podniósł głowę i potrząsnął nią. Tak był skupiony na posuwaniu się naprzód, że nawet nie zobaczył przed sobą traktu.



Ktoś przemknął obok niego, prowadząc za wodze obładowanego konia.

– Przepraszam... – zacharczał Aidan.

Mężczyzna nie zwrócił na niego uwagi, poszedł dalej. Najwidoczniej się spieszył – co było zresztą zrozumiałe, zważywszy na jukarów.

Aidan potoczył wzrokiem po drodze. Na zachodzie kolumna uchodźców i zwierząt przemieszczała się w tę samą stronę co on – ku Starorzeczu.

Z miejsca, w którym stał, nie widział ani jednej osoby zmierzającej w przeciwnym kierunku. Ze wschodu szli kolejni uciekinierzy, a kilkaset jardów dalej zarysował się oddział Kołczanów w czystych zbrojach, wyglądający, jakby nigdy nie zasmakował bitwy. Nawet ich konie lśniły, jakby dopiero co je wyszczotkowali, nie mając nic lepszego do roboty.

Aidan zdusił kolejne westchnienie. Starorzecze było w tarapatach, jeśli miało tylko takich obrońców.

Gdy żołnierze podjechali bliżej, Aidan wyciągnął ze spodni małą sakwę, zawierającą najcenniejsze posiadane przez niego przedmioty. Pogrzebał w niej i wyjął pokryty grawerunkiem metalowy dysk. Jego glejt – a właściwie glejt Caitlyn – przyznany przez samego cesarza. Dowód pełnomocnictwa, za pomocą którego dowódczyni wybroniła się z tyłu popełnionych przez siebie zbrodni i który pozwalał im korzystać z zawartości spiżarni i zbrojowni w dowolnej placówce cesarskiego wojska. Zamrowiła go ręka, jakby glejt był żywą istotą. Nigdy nie przepadał za tym przedmiotem, wyraźnie nasączonym magiczną energią, ale był bezcenny i za nic nie zamierzał się z nim rozstawać. Powierzyła mu go sama Caitlyn, która również nie lubiła mieć go przy sobie.

Gdy Kołczany zbliżyły się na dziesięć jardów, Aidan charknął i splunął przez zdrętwiałe wargi. Uniósł wysoko dysk, rozpoznawalny w całym kraju znak cesarskiej władzy, którego nikt nie ośmieliłby się podrobić lub sobie przywłaszczyć.

– W imieniu cesarza, stać.

Skupiły się na nim zaskoczone spojrzenia, które natychmiast przeszły na przedmiot w ręce Aidana. Jeden z Kołczanów podjechał do niego. Wydawał się rozeźlony. Mężczyzna długo i dokładnie przyglądał się glejtowi, mrużąc oczy. Wreszcie wciągnął powietrze przez nos i przekrzywił głowę.

– Co możemy dla ciebie zrobić? Jechaliśmy tutaj co koń wyskoczy i bardzo się spieszymy. Wróg najechał Anasomę i krążą pogłoski o magicznych potworach ze Zdruzgotania, które niepokoją okoliczne wsie.

Aidan ogarnął wzrokiem ich miękkie dłonie i nieskazitelne mundury. Prawie ich wyśmiał, nim w porę się powstrzymał. Oto kto stał pomiędzy jukarami i Starorzeczem.



**T**eraz! – ryknął Caldan, rzucając się do przydrożnego rowu i zatykając uszy.

Cel Rau wylądował dwa jardy od niego, a wtedy Caldan zerwał połączenie z podrzuconym rzemyśliwem. Huknęło i nad ich głowami przetoczyła się fala uderzeniowa, wciskając ich mocniej w wilgotną ziemię i rozrzucając oddziały jukarów, jak wiatr rozrzuca suche liście. Na obrzeżu rowu błysnęły pioruny, ale Caldan dobrze oszacował zasięg eksplozji. Wciąż osłaniał siebie i Anshulę tarczą, ale nie chciał jej nadwyrezać, wiedząc, że może bardziej się przydać później.

Zdetonował łącznie cztery rzemyśliwa i potrafił już całkiem nieźle określić pole rażenia w zależności od mocy danego przedmiotu. Zostały mu już tylko papierowe, ale wystarczą.

Wstał na nogi i rzucił okiem na Vasila. Dobrze, wciąż w siodle. Jego koń trzymał się z dala od niebezpieczeństwa, idąc swobodnym tempem za wierzchowcem Caldana, dzięki czemu on i Anshul mogli dawać odpór nadciągającym grupkom jukarów.

Droga zaścieliła się nowymi poczerniałymi truchłami. Poza nadpalonym czarnym kołem ostał się jeden potwór, który zawarczał na nich, łowiąc wzrokiem trupy pobratymców, i ostrożnie okrężał epicentrum, ewidentnie biorąc ich na cel.

Caldan krzyknął i rzucił się na potwora. W okamgnieniu przebył dzielącą ich odległość i jego ostrze wpiło się głęboko między głowę i ramię stwora. Trysnęła czarna i lepka krew. Stwór zaskomlał i zaległ na ziemi. Caldán mruganiem wycisnął pot z oczu, łapiąc haustami powietrze. Wcześniej te nagłe przypiływy sił szybko mijały, ale ten utrzymywał się długo. Choć natężenie siły się zmieniało, nigdy nie rozpraszała się zupełnie, jakby wiedziała, że będzie niebawem potrzebna. Talizman na jego palcu płonął żywym ogniem i robił się ciężki, jakby obrastał w masę, nie zmieniając rozmiarów.

Detonowanie rzemyśliw było najbardziej prymitywną, ale i jedyną znaną mu jak na razie formą magii destruktywnej. Dawało im przewagę w starciach z większymi bandami, jeśli tylko Caldán i Anshul w porę umykali poza zasięg wybuchu. Caldán po raz kolejny zapragnął wiedzieć więcej o magii – zarówno zakazanej, jak i dozwolonej. W sytuacjach takich jak ta bardzo by mu się ta wiedza przydała. Zazdrościł Dzwonkom, która na życzenie sięgała po niedostępną mu moc. Nie tylko użyteczną, ale niekiedy wręcz niezbędną.

Cel Rau podbiegł do niego i otarł miecz o oberwane ubranie jukara.

– Ubiłeś już jedenastu – powiadomił go szermierz. – Przegoniłeś Vasila, ale sporo masz jeszcze do nadrobienia.

Caldán ponuro kiwnął głową.

– Miejmy nadzieję, że mi się to nie uda. Bo jeśli zostaniemy tu na tak długo, prawdopodobnie dopadnie nas armia, a wtedy punkty nie będą już miały znaczenia.

Malejące za nimi na drodze czarne koła pokazywały, ile razy musieli się posunąć do skorzystania z magii destruktywnej. Truchła w tych najbliższej jeszcze dymiły. Cel Rau był znakomitym szermierzem, najlepszym, z jakim Caldan miał styczność, ale nie przetrwałiby tutaj, gdyby to on nie detonował rzemyśliw i nie osłaniał ich tarczą przed wybuchami i bronią jukarów. Przeładowywanie rzemyśliw energią w celu detonacji miał za marnotrawstwo, ale jeśli chciał wyjść z tych potyczek cało, było to konieczne.

– Gotuj się! – powiedział cel Rau. – Idą następni.

Caldan poderwał głowę. Zmierzały ku nim dwie kolejne bandy. Zerknął szybko ponad plecami Vasila tam, gdzie biegła drogą pięcioosobowa rodzina. Już tak niewiele brakuje im do miasta. Zdawało mu się, że widzi mistrza Molda na szczycie muru przy bramie.

Przejechał dłonią po włosach i rozmasował kark. Z wysiłkiem wyrzucił powietrze z płuc.

Wojownik klepnął go w ramię.

– Zrobimy, co w naszej mocy. Bo tylko tyle możemy zrobić.

Caldan ruszył w ślad za nim. Między starciami zwiększali tempo i gnali na złamanie karku w stronę miasta. Między nimi a jukarami nie było już żadnych uciekinierów, wszyscy już dawno wyprzedzili Vasila.

Przynajmniej kupiliśmy im nieco czasu, pomyślał Caldan.

Niestety, najwyraźniej swoim własnym kosztem, bo gdy obaj dogonili ранego Vasila, cel Rau wycedził kilka chropawych słów w nieznanym Caldanowi narzeczu, po czym wskazał w lewo i w prawo.

– Przodkowie... – wymamrotał Caldan.

Dwie osobne grupy jukarów wysforowały się przed nich, biegnąc po obu stronach drogi. Musieli tego dokonać, gdy Caldan i Anshul walczyli z ich pobratymcami. Byli tak daleko, że Caldan domyślił się, że znacznie nadłożyli drogi, ale wysiłek się opłacił. Może stanowili część innych jukarskich grup ciągnących na Starorzecze lub może

z rozmysłem wyminęli Caldana i cel Raua, by złowić łatwiejszą zdobycz. A za nimi szli trzej vormagowie. Władające magią potwory były otoczone tarczami. Nagle zatrzymały się i złapały za ręce. Z ich ust dobył się upiorny zaśpiew, a trawa wokoło zaczęła więdnąć i czernieć, po czym stanęła w płomieniach. Gdy vormagowie skandowali jednym głosem, dwie linie płomieni odbiły od nich w lewo i w prawo.

Czarodziejska bariera, uświadomił sobie Caldan. Podobna do tej, którą rozpostarli Indryallanie wokół Anasomy. Vormagowie zagrozdziili uciekinierom drogę do miasta.

Caldan wysondował barierę i cofnął się przed skłębioną furią vormagowych studni. Zdały mu się poszarpanymi wyrwami w czasoprzestrzeni, zasadniczo różniącymi się od studni, do których był przyzwyczajony. W chwili gdy miał wycofać zmysły, coś je zaatakowało i Caldan wrzasnął z bólu, gdy mentalne haki wczepiły się głęboko w jego jestestwo. Poczul, jak jego umysł i studnia są ściągane w kierunku potwornych czarodziejów. Wyraźnie czuł ich głód i gniew. Rozpaczliwie zamknął studnię, stając się bezbronnym w zwarciu z vormagami. Ale przynajmniej ich uścisk zelżał, gdy już nie mieli czego się złapać.

Nie wiedział, co jeszcze chcieli mu zgotować vormagowie, ale nie miał zamiaru czekać, żeby się dowiedzieć. Jeśli nie zaczną działać, zabiją tamtą rodzinę, zanim schroni się w Starorzeczu.

Krew zagotowała się Caldanowi w żyłach. Talizman zapiekł go w palec, jakby wyrosły mu ciernie. Gestem nakazał Anshulowi biec do wolnego konia.

– Bierz wierzchowca. Zadbaj o Vasila. Ja zajmę się tymi tutaj. Trzymaj się między tamtymi ludźmi a jukarami.

– A ty?

– Będę szybszy pieszo.

Nie czekając na odpowiedź, Caldan puścił się naprzód, ze wszystkich sił odpychając grunt stopami. Droga i drzewa zaszumiały rozmazane w dzikim pędzie.

Ojciec rodziny biegł, oglądając się za siebie z wyraźną ulgą na twarzy. Ewidentnie nie widział ani biorących ich w kleszcze jukarów, ani ognistej bariery stawianej przez vormagów. Do bramy Starorzecza brakowało im stu jardów. Nie miał pojęcia, że wiedzie rodzinę prosto w łapy wroga.

Caldan postanowił je odrąbać. Jeszcze zwiększył szybkość, jego buty o mało nie miażdżyły kamieni bruku. Usłyszał pisk i wrzask, gdy trzy córki spostrzegły barierę. Zatrzymały się, a ojciec przygarnął je do siebie, z żoną uczeponą ramienia.

– Biegnijcie dalej – wyszeptał pod nosem Caldan, wiedząc, że rodzina popełniła błąd.

Wypuścił w powietrze swojego żuka i nasłał go na vormagów. Miał przy sobie jeszcze tylko jedną czarodziejską kulę, ale gdyby sprawy przybrały zły obrót, zawsze będzie mógł zdetonować konstrukt. Przeskoczył rów melioracyjny i popędził ku grupce jukarów, celując w miejsce między nimi a uchodźcami.

– Biegnijcie dalej! Już! – wrzasnął do uciekinierów.

Obrzucili go przerażonymi spojrzeniami. I zaraz rodzice na wpół ponieśli, na wpół powlekli płaczące dzieci naprzód. Widząc, że usłuchali, Caldan skorygował kierunek, żeby wziąć na siebie sposobiące się do ataku potwory, po czym na pół chwili przeniósł świadomość do żuka i spojrział na scenę z góry. Ośmiu vormagów, a jukarów szóstka. Trudno, nie miał wyboru.

Zacisnął zęby, przygotowując się do zniszczenia żuka, gdy nagle z nieba runął grad strzał, szpikując walących się na ziemię jukarów. Obejrzał się i spostrzegł, że również banda z drugiej flanki ugięła się pod atakiem. Niedługo później były tam już tylko truchła najeżone strzałami jak poduszczeni krawca. Wreszcie znaleźli się dość blisko Starorzecza, żeby Kołczany pofatygowały się z pomocą, ale to wciąż nie rozwiązywało problemu vormagów. Bariera nadal stała, rodzina była więc uwięziona, lecz Caldan wiedział, że vormagowie to zbyt potężny przeciwnik, by mierzyć się z nim w pojedynkę. Może uda mu się obalić postawioną przez nich ścianę.

Caldan odleciał żukiem, wypuścił swoją ostatnią kulę, podłączył się do niej i natychmiast zerwał kotwicę.

Vormagów spowiła chmura dymu i pyłu. Caldan zobaczył, jak bariera migocze i znika, zostawiając po sobie tylko nadpaloną linię na ziemi. Wrzasnął tryumfalnie, a wtedy dmuchnął wiatr i porwał ze sobą chmurę, odsłaniając wciąż stojących na nogach potwornych czarodziejów. Byli okryci tarczami, a jeden, przygięty do ziemi, trzymał się za rozciętą nogę.

Caldan czuł na sobie ich wściekłe spojrzenia.

Zawył, gdy kły ostre jak brzytwy zaczęły szarpać jego studnię. Padł na kolana, trzymając się za głowę. Już prawie wdarli się do środka. Tłumiąc krzyk, Caldan zaczerpnął ze studni, ile zdołał, usiłując nie dopuścić, by wróg się do niej podczepił. Pchnięciem jeden z magów wdarł się do środka, ale zaraz uciekł, napotkawszy gotującą się w środku moc.

Ból ustał. Caldan klęczał, podpierając się rękami. Czołem niemal dotykał ziemi i dyszał ciężko. Pot kapał mu z nosa. Dźwignął się na nogi.

Od strony Starorzecza sypały się na otarczowanych vormagów strzały, niemal całe spowite iskrami. Ziemia wokół nich była już zasłana pociskami, a Kołczany nie przerywały ataku. Zanosząc się upiornymi wrzaskami, vormagowie obrócili się na pięcie i uciekli, gnani przez kolejne fale strzał.

Gdyby nie Kołczany, rozdarliby mnie na strzepy, dotarło do Caldana.

Uniósł miecz w salucie Kołczanom, słysząc dobiegające z murów wiwaty. Rodzina już biegła w kierunku bramy. Bezpieczna i nieniekajona. Uda im się. A jak cel Rau i Vasil?

Ruszył pędem. Kilkanaście jardów za dwoma mężczyznami biegła już na nich banda hałakujących, zaślinionych jukarów. Deptały im po piętach.

Caldan przemknął obok nich. Tak jak poprzednio, nie wiedział, jak długo potrwa jego zryw, ale póki trwał, Caldan rozkoszował się zwiększoną prędkością i siłą. Aktywował tarczę i wbił się z impetem



w pierwszą bestią, kreśląc klingą morderczy zygzak. Jego miecz poruszał się, jakby żył własnym życiem, rozpędzona stal rozmazała się od dzikiej szybkości, siejąc śmierć w szeregach wroga. Caldan rozrąbał jednego potwora od ramienia do biodra. Następnie przeszedł do jukara po lewej i ciął potężnie od dołu. Bryznęła czarna krew. Chłopak okręcił się w pędzie. Jego miecz ciął z zatrważającą prędkością. Jukarowie ledwie mieli czas na reakcję, jakby brodzili w głębokiej wodzie, zamachiwali się na niego niezgrabnymi, powolnymi łapami. Caldan spuścił miecz, który wszedł w udo potwora jak w masło, i stwór zawył. Ale chłopak już wirował w obrocie i ciął na odlew od ramienia. Kamienie robiły się śliskie od krwi. Ostateczny cios, kolejny jukar twarzą do dołu w pyłe.

Caldan stanął nieruchomo, dotykając bruku czubkiem miecza, z którego ściekała czarna jucha. Dookoła leżeli martwi i umierający jukarowie, a w zagłębieniach między kamieniami zbierała się czarna maź. Krople deszczu spływające po ciele Caldana mieszały się z potem. Fala za falą omywał go chłód i jego rozpalone ciało stygło. Pierścień-talizman już go nie parzył. Wypełniająca niedawno magia rozproszyła się.

Otumaniony Caldan patrzył na stosy trupów. Czy to jest jego droga? Zrozumieć działanie talizmanu, kontrolować przyływy mocy? Ta myśl przyprawiła go o zawrót głowy. Taką mocą łatwo było się upić.

Raptem poczuł, że magiczna siła opuszcza jego nogi, i musiał zrobić kilka chwiejnych kroków, by się nie przewrócić. Kim on był, żeby władać taką potęgą? I czy to naprawdę on będzie nią władał, czy może ona nim? Czy na stałe zwiąże go z cesarzem, któremu będzie musiał pod groźbą śmierci służyć jak niewolnik? Caldan sądził, że umie odróżnić dobro od zła i że powinien wykorzystywać swoje umiejętności, by pomagać innym. Ale obawiał się, że wybory będzie za niego podejmował ktoś inny.

Wzdłuż drogi i na przestrzeni setek jardów w obu kierunkach od niej biegły nieprzeliczone zastępy jukarów. To za wiele nawet dla człowieka o jego talentach. Caldan patrzył, jak suną w jego stronę,

wrzeszcząc o... właściwie o co? Czego one chcą? – myślał, gdy niehumaniczne wycie wprawiało w drżenie powietrze nad równiną. Chcą zabijać, ale właściwie po co? Jaka jest ich motywacja? Po stuleciach ukrywania się, nie licząc okazjonalnych potyczek lub spotkań z przedstawicielami rodzaju ludzkiego, coś skonsolidowało ich szeregi i sprawiło, że tak wielka armia wwierciła się głęboko w nieosłonięte ciało cesarstwa.

Rój strzał zaszumiał nad jego głową i przetrzebił awangardę jukarskiej hordy. Wrzaski, skomlenie i krzyki bólu wyrwały się z paszcz rannych i umierających potworów. Te, które wciąż mogły poruszać się o własnych siłach, odskoczyły poza zasięg pocisków i odciągnęły rannych kamratów.

Caldan otrząsnął się, odwrócił plecami do spustoszenia, jakie poczynił, i ruszył w kierunku miasta. Przed sobą widział, że Vasil i Anshul prawie już są na miejscu. Ucieszył się na ten widok. On sam włókł się powoli, wykończony walką, ale wreszcie zobaczył przed sobą bramę. W miarę zbliżania się do niej słyszał coraz wyraźniej szaleńczy gwar. Kołczany na murach wznosiły wiwaty, unosząc łuki i miecze w pozdrowieniu. Nie świętowali własnych celnych salw, ale dziękowali swoim wybawicielom.

Po lewej stronie na blankach chłopak dostrzegł mistrza Molda, który spoglądał na niego z wysokości z podziwem w oczach. Caldan przywołał do siebie żuka i schował go w kieszeni. Z każdy krokiem w kierunku bramy hałas narastał. Była zamknięta i zabarykadowana w obawie przed rychłym natarciem wroga, Kołczany opuściły im więc liny. Caldan pomógł cel Rauowi obwiązać nimi Vasila, którego następnie wciągnięto bezpiecznie na blanki. Konie, niestety, musieli zostawić swojemu losowi. Zanim żołnierze zaczęli wciągać Caldana na górę, patrzył, jak zwierzęta umykają spod murów. Miał nadzieję, że nic im nie będzie.

Anshul ujął ramię Caldana w potężnym uścisku.

– Twój sekret jest z nami bezpieczny – oświadczył szeptem.

Caldan zajrzał głęboko w ciemne oczy wojownika. Nie umiał stwierdzić, co w nich pełga.

– O czym ty...?

– Nie udawaj głupca. Wiemy o magii więcej, niż myślisz. Kiedy już będzie po wszystkim, musimy się rozmówić.

Caldan przełknął ślinę i skłonił mu się z szacunkiem.

Cel Rau obwiązał się liną i pozwolił się wciągnąć na górę w ślad za towarzyszem.

Caldan uświadomił sobie, że wciąż dusi rękojeść utyłanego tą samą krwią prostego miecza i raz jeszcze potoczył wzrokiem po równinie. Martwi i umierający jukarowie leżeli rozrzuconi po drodze jak szmaciane lalki, plamiąc ją kałużami ciemnej juchy. Rzuciło mu się na myśl, jak bardzo brzydzi go ten widok. Nienawidził tego, że los zmusza go do niszczenia i zabijania. I tego, w jaką euforię go to wprowadzało. Nie chciał zabijać i wiedział, że zmusiła go do tego wyższa konieczność. Ale co popchnie go do zabijania jutro? A pojutrze? Dręczyło go to, że nie sposób tego przewidzieć. Jego przyszłość malowała się w niepewnych barwach. Miranda wciąż była chora. Amerdan pozostawał na wolności. Dzwonki i Indryallanie nadal panoszyli się na nie swojej ziemi, podobnie jak jukarowie. A najgorsze było to, że on sam czuł się wykorzeniony ze wszystkiego, co mógłby nazwać domem. Zakiełkowała mu w głowie uciążliwa myśl o tym, że arcymagowie i Protektorzy nie pozwolą mu stąd odejść i że on nigdy nie ukorzeni się w miejscu, które dla niego wyznaczają. Sam, oczywiście, nie planował ot tak oddać się w ich ręce. Nie jeśli oznaczało to więcej kłamstw, poddaństwo i zaprzedenie duszy.

I krew, i śmierć. Spoglądając w przyszłość, czuł się tak, jakby usiłował przeniknąć wzrokiem tafelę mętnego stawu i im dłużej o niej myślał, tym bardziej jawiła mu się wykuta w kamieniu.

Musi istnieć dla niego jakaś inna droga.

Pozwolił mieczowi wysunąć się z palców i opaść na ziemię z głuchym brzękiem. Złapał mocniej za linę i dał się wciągnąć na mur, gdzie tłoczyła się już ciżba wiwatujących Kołczanów, klepiących go po plecach i ramionach, lecz Caldan nie był w nastroju do świętowania.



**R**ebecci była w wisielczym nastroju. Choć niełatwo było odczytać jej myśli, Felice mogłaby przysiąc, że rozpoznała uczucia toczące bój na skrzywionej zagadkowo twarzy czarodziejki, a żadnego z nich nie dało się opisać jako pozytywne. Sęk w tym, że Felice nie potrafiła zrozumieć, skąd u niej ta rozpacz. Przecież uwięziła Savina, misja zakończyła się powodzeniem. W skrzywieniu brwi i warg Rebecci wyczytała też strach, ale strach przed czym? Albo o co?

Felice wtopiła się w wygodny fotel i wzięła z opasłego kielicha kolejny łyk śliwkowego wina. Rozejrzała się po pokoju. Rzucił jej się w oczy miękki, tulący stopy dywan i wykwintne, zawile rzeźbione meble. Na parapecie dostrzegła kolekcję szklanych figuzynek, każda w kształcie zwierzęcia trzymającego coś w łapkach. Lew dzierżący księgę, ptak z berłem w dziobie. Skojarzyły jej się z dominionowymi

figurami, choć nigdy podobnych nie widziała. Niepokryte kurzem, a zatem ktoś o nie dbał.

– Czy one należą do ciebie? – spytała Felice.

Rebeci skinęła głową, myśląc o czymś innym. Wpatrywała się intensywnie w diament w srebrnej klatce, odkąd znalazły się w pomieszczeniu. Leżał teraz na biurku między nimi. Zgniłozielony blask przygasł do tłącego się zaledwie ognika.

– Rebeci, jest czas na tajemnice i na odpowiedzi.

Słowa Felice zawisły w powietrzu. Rebeci zerknęła na nią, nim wróciła wzrokiem do klejnotu. Wystarczyło, by na pół chwili skrzyżowały spojrzenia.

– Powinnam cię zabić – odezwała się czarodziejka. – Wiesz zdecydowanie zbyt dużo.

Felice zeszywniała, a potem rozluźniła się i pokręciła głową.

– Gdybyś rzeczywiście chciała to zrobić, to już dawno bym nie żyła. Nie... Nie zabijesz mnie. Najwyraźniej jestem ci do czegoś potrzebna.

– Szczur wylazł z nory, jak to mówią. A raczej mówili tam, skąd pochodzę.

– Czyli skąd?

– Na pewno nigdy nie słyszałaś o tym miejscu.

– Słyszałam o wielu różnych miejscach. Ale pewnie masz rację. O tym, z którego pochodzisz, nie mogłam słyszeć, bo nie ma go na tym świecie, prawda?

Rebeci odchyliła się na krześle i przymknęła oczy. Wyglądała na wykończoną. Wycieńczoną jak człowiek, który przez bardzo długi czas dźwigał bardzo ciężkie brzemie.

– Mogę ci pomóc – podjęła Felice.

Czarodziejka oderwała wzrok od zielonkawego diamentu i osadziła go na rozmówczyni. Wstała, drżąc, i oparła się o biurko.

– Pierwszy Wybawiciel ostrzegł nas, że ten czas nadejdzie, i rzeczywiście nadszedł. Jesteśmy tym, co pozostało z niedobitków. I obawiam się, że zadanie, które sobie wyznaczaliśmy, jest ponad nasze siły. Ale to chyba dlatego Pierwszy Wybawiciel spróbuje

przekonać waszego cesarza o zagrożeniu. I zdobyć jego zaufanie. Czy mu się uda czy nie, ofiarę poniesiemy my.

Felice zmrużyła oczy na dźwięk słowa „ofiara”. Rebecci najwyraźniej uważała, że niezależnie od obrotu spraw była zgubiona. Ale Felice nigdy nie była jedną z tych osób, które godziły się na jedno jedyne wyjście z sytuacji. Jeśli wyciągnęła jakąś lekcję z gry w dominion, to tę, że nie ma czegoś takiego jak sytuacja beznadziejna.

– Cokolwiek by się wydarzyło, musimy próbować. A jeśli mam ci pomóc, to potrzebne mi są odpowiedzi. Nigdy nie wiadomo, może znajdę dla ciebie jakieś wyjście. Dla was, dla twojego ludu.

Przez twarz Rebecci przemknął smutek wpadający w żalobę.

– Mam nadzieję – odpowiedziała bez przekonania.

– Chcę, żebyś opowiedziała mi o Kelhaku, lub raczej o tym, co obecnie nazywamy Kelhakiem, bo nie jest nim naprawdę. Nie jest też jednym z was.

– Na pewno ma ciało Kelhaka. To akurat się zgadza.

– Ciało, mówisz? A kto je kontroluje? Kim... czym on właściwie jest? Czymś niebezpiecznym. W tym szkopuł, prawda?

– Zaufaj mi: nie chcesz wiedzieć, czym on jest.

– I tu się mylisz. Ja muszę wiedzieć. Jeśli cesarstwo, jeśli cały świat jest w niebezpieczeństwie, to muszę coś w tej sprawie przedsięwziąć.

– Pierwszy Wybawiciel ma plan, ale nikt z nas nie poznał go w całości, wyjawiał nam tylko fragmenty.

Felice pokiwała głową. Gazija, ten czarodziej, którego czczą Rebecci i jej towarzysze. Człowiek, z którym miała się spotkać poza murami miasta. Próbował powstrzymać Kelhaka, ale z jakiegoś innego miejsca, bo do Anasomy się nie pofatygował... Dlatego właśnie jest tu Rebecci. I dlatego właśnie potrzebna jej Felice. Ci przybysze z innego świata mieli jakiś plan, a czarodziejka była przekonana, że zginie w trakcie jego realizacji.

Szloch, który wydostał się z ust Rebecci, sprowadził Felice z powrotem na ziemię.

Czarodziejka jeszcze pobladła i wyraźnie drżała.

– Rebecci... – powiedziała Felice, czując, jak chłód rozchodzi się po jej ciele. – Co ci jest?

Kobieta jęknęła cicho i otarła łzę.

– Jest wcielonym złem. Zniszczył, spustoszył nasz świat. I przyszedł za nami aż tutaj.

– Muszę więc pomówić z Gaziją. To chyba da się zaaranżować?

– Może. Jeśli uznam cię za osobę godną takiego zaufania.

Felice rozrzuciła ramiona.

– A masz kogoś innego?

Rebecci nie wyglądała na zadowoloną, ale pokręciła głową.

– Muszę ci coś powiedzieć – rzekła. – Gazija ma dla mnie zadanie. Jest dosyć ryzykowne. Ale jeśli je wykonam, może uda się zakończyć tę wojnę szybciej.

Nie trzeba było geniusza, żeby się domyślić, co zatrzymałoby indryallańską inwazję.

– Skrytobójstwo – powiedziała na głos Felice, a słowo zostawiło niesmak w jej ustach.

– Skontaktowałam się z pewnymi ludźmi. Oni nam pomogą. Wyjaśniłam wszystko w swoich notatkach... Są schowane w szufladzie mojego biurka.

– Po co mi to mówisz?

Jej dolna warga zadrżała i Rebecci otoczyła się ramionami. Uśmiechnęła się wątle, ale i ten cień uśmiechu zaraz spelzł z jej ust.

– Bo się boję.

Felice pokiwała głową. No jasne.

– Boisz się, że najpierw dorwą cię.



**C**aldan pozwolił wsadzić się na wóz i usiadł obok rozłożonego na podłodze Vasila. Cel Rau łypnął na niego pozbawionym wyrazu wzrokiem, zanim wrócił do opatrywania ran towarzysza.

Gdy tylko usiadł, nagle opadło go mordercze zmęczenie. Za nim na pakę weszło czterech żołnierzy i wóz potoczył się naprzód.

Kiedy już Caldan wdrapał się na blanki, żołnierze traktowali go jak bohatera. Ale wiedział przecież, że Mold znowu będzie próbował go usidlić, a na to nie mógł pozwolić. Na szczęście teraz nie dość, że znajdował się po bezpiecznej stronie murów, to na dodatek zostawił za sobą mistrza i Protektorów.

Po napływie uchodźców ulice były jak nigdy zapchane tłumem. Caldan przekonywał Kołczany, że powinny szybko pozwolić jemu, Vasilowi i Anshulowi zejść rampą, gdyż mieli do przekazania ich



dowódcy cenne informacje. Żołnierze z radością spełnili jego życzenie. Caldan nie chciał nawet myśleć o tym, co by mu zrobili, gdyby go złapali. To przedstawienie na równinie było wbrew wszystkiemu, co wyznawali. Mogli nawet obwołać go czarnoksiężnikiem.

Wóz drgnął i zakolebał się na kołach, ruszając naprzód, a wkrótce powożący Kołczan smagnął konie po zadach, rozwijając znaczną prędkość. Drogę przed nimi oczyszczali żołnierze wierzchem.

Caldan ścisnął grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym. Ze środka jego głowy emanował potężny ból, pokłosie zmagania się z tyloma strumieniami naraz. Właściwie nie pamiętał już, iloma dokładnie zawładnął. Przynajmniej dziewięcioma. Chyba niemożliwe, by wycisnął z siebie więcej. Pięciu potrzebował do konstruktu, a do zasilenia tarczy dalszych czterech. W tym zamieszaniu i panice nie mógł mieć pewności, ale to się chyba zgadzało. Ach, jeszcze jeden podczepiał do czarodziejskich kul. A więc dziesięć? Jak to w ogóle możliwe?

Zwrócił się do najbliższego Kołczana.

– Możemy jechać szybciej?

Na twarzach żołnierzy widniał podziw, a przynajmniej szacunek. Najstarszy z nich oczyścił gardło.

– Nasz dowódca zechce usłyszeć o tym, co zrobiłeś ty i twoi towarzysze. I na pewno zechce też rozmówić się z wami osobiście.

Usłyszał z boku warknięcie cel Raua.

– Czemu nie ma go na murach?

Kołczan obrzucił szermierza nierozumiejącym spojrzeniem.

– Na murach? On przecież dowodzi obroną całego miasta. Musi być w sztabie.

– A więc nawet nie widział jukarów?

– Nie sądzę.

Anshul zaśmiał się pod nosem i przystawił Vasilowi bukłak do ust. Caldanowi wydawało się, że większość wody spłynęła na podłogę. Skrzywił się, również nie rozumiejąc postawy dowódcy. Dlaczego nie kierował żołnierzami z murów?

– Co teraz robicie w sprawie jukarów? – spytał Caldan.

– Obsadzamy mury. Bronimy mieszkańców.

Cel Rau znów prychnął śmiechem.

– I to wszystko? – indagował Caldan.

– Mamy bronić miasta. Cesarz już do nas jedzie, jego wojsko zmiażdży jukarów.

– I kiedy to nastąpi?

– Znaczący... niebawem. Jutro, może pojutrze.

– A co by się stało, gdyby cesarz był daleko?

Kołczan stężał, a Caldan zorientował się, że powiedział za dużo. Ci żołnierze tylko wykonywali rozkazy. To ich dowódcy zasłużyli na gorzką reprimendę. Nie wysłali ani jednego żołnierza, żeby bronił uciekających przed hordą uchodźców. Ilekroć Caldan o tym pomyślał, w jego sercu na nowo rozpałał się ogień. Protektorzy stali na murach i nie kiwnęli palcem, podczas gdy na równinie umierali ludzie. Poza Caldanem tylko Anshul i Vasil pomyśleli o tym, by pomóc jak największej liczbie ludzi bezpiecznie schronić się za murami Starorzecza.

Vasil jęknął, gdy wóz podskoczył na wyboju. Caldan skrzyżował spojrzenia z cel Rauem.

– Nic mu nie będzie – zapewnił wojownik. – Ale musimy zawieźć go do lekarza. Ostatnio ciągle obrywa.

Caldan kiwnął głową, rad, że Vasil przeżyje. Tego dnia tyle się napatrzył na śmierć, że miał jej dość na resztę życia. Zbyt wielu ludzi zginęło dziś pod murami Starorzecza. Bezsensowna rzeź.

Za turkoczącym na drodze wozem jechali konno dwaj kolejni Protektorzy. Nie odezwali się słowem, tylko umiejscowili za wozem i podążali za nim przez rozstępujący się tłum. Zapewne wysłano ich w charakterze ostrzeżenia oraz aby zadbali o to, żeby Caldan znowu nie uciekł. Jechali w dyskretnej odległości, ale Caldan czuł, że są dość blisko, by w porę zareagować. Może właśnie o to chodziło? Po raz kolejny zajaśniała mu w głowie myśl, że do śmierci nie uwolni się od Protektorów.

Pomruk na skraju jego świadomości oraz ulotna woń cytryny zdradziły mu, że przynajmniej jeden z nich ma przy sobie rzemyśliwo. Caldan otworzył studnię i postawił się w stan gotowości. Mold pewnie uznał go za niewygodnego, będzie więc musiał się strzec. Ale był też całkiem pewien, że dopóki wokoło było tylu żołnierzy, którzy traktowali go jak bohatera, Protektorzy mieli związane ręce. Nie wątpił jednak, że szybko przekonaliby dowódcę Kołczanów, żeby przekazał go pod ich „opiekę”.

Rozpostarł swoje zmysły, aby oszacować ich studnie. Obie wąskie i obkurczone, chropawe na obrzeżach. Mogli władać imponującymi talentami, ale z takim zasobem mocy nie zdołają długo utrzymać pojedynczej rzemyślniczej tarczy. Od Dzwonków i posokowca nauczył się o mnogości talentów, jakimi mogą być obdarzeni czarodzieje, oraz że wąska studnia nie przesądza o tym, czy czarodziej jest niebezpieczny, czy nie. Caldan trzymał studnię otwartą, gotowy podłączyć się do niej przy pierwszych oznakach niebezpieczeństwa.

Jeden z Kołczanów przerwał tok jego myśli, zwracając się do wszystkich obecnych.

– Wybaczcie, chciałem tylko powiedzieć, że my wszyscy jesteśmy wam wdzięczni za to, czego dokonaliście. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Stawiliście czoła jukarom i pomogliście wielu ludziom bezpiecznie dotrzeć do Starorzecza.

Na oblicze cel Raua wystąpił ponury wyraz.

– Ale wielu nie dotarło.

Caldan w mig odczytał aluzję: nie dotarło, bo oni siedzieli za murami. Ale żołnierz jej nie wyłapał i ciągnął dalej:

– Gdy zobaczyliśmy twoją tarczę, od razu wiedzieliśmy, że jesteś czarodziejem. To pewnie dzięki niej uniknąłeś ran. Ale... widzieliśmy też błyski światła i słyszeliśmy wybuchy. Czy ty... czy ty władasz też magią sprzed Zdruzgotania?

Wszyscy żołnierze wwiercali się w Caldana spojrzeniami, a na ich twarzach podziw zmagął się ze strachem. Cel Rau także zatrzymał na nim nieruchomy wzrok.

– Ależ skąd – skłamał Caldan jak z nut. – Detonowałem alchemiczne mikstury, które bardzo szybko się spalają. Nie ma w tym ani krztyny magii.

Cel Rau odwrócił od niego wzrok i pochylił się nad Vasilem. Kołczany wyglądały na zawiedzionych.

Jakiś czas toczyli się ulicą w ciszy. Wieści o ich eskapadzie musiały się roznieść, bo kilku ludzi podbiegło do wozu, by im podziękować. Młode kobiety wręczały Anshulowi wieńce kwiatów, a na jego zwykle niewzruszonej twarzy pojawił się uśmiech. Kołczany rozstawione na rogach ulic salutowały im, przykładając pięści do piersi. Za wozem ciągnął się warkocz małych dzieci, które plątały się pod końskimi nogami.

Gdy na Caldana naparła intensywna woń cytryny, krew zamarzła mu w żyłach. Na wpół stając, rozpostarł swoje zmysły, smakując powietrze.

Fala nadpłynęła z północnego zachodu. Pulsująca magia. Bardzo silna i bardzo niebezpieczna. Choćby do cna osuszył swoją studnię z energii, ledwie by jej wystarczyło, żeby stawić czoła takiej mocy. Raptem zniknęła, a Caldan zamarł, myśląc przez chwilę, że to jakieś omamy. Ale nie, gdzieś blisko, wewnątrz miejskich murów, aktywowano właśnie potężne rzemyśliwo.

– Co jest? – zasyczał cel Rau.

Caldan uświadomił sobie, że szuka ręką miecza, którego nie ma przy boku. Zmusił się do zachowania spokoju i pozwolił, by spłynęły po nim zaciekawione spojrzenia Kołczanów.

Nachylił się do Anshula i powiedział:

– Magia. I to potężna.

– Gdzie?

– Nie wiem dokładnie. Gdzieś na północnym zachodzie.

Cel Rau zerknął na jadących za nimi Protektorów.

– Ci nie wydają się zaniepokojeni.

– Nie sądzę, żeby mieli na tyle wyostrzone zmysły, aby ją wyczuć.

– W każdym dużym mieście są czarodzieje. Twierdzisz, że mamy powód do zmartwień?

Caldan zagryzł paznokcie kciuka. Ile cel Rau rzeczywiście wiedział o magii? Czy jeśli podzieli się z nim wiedzą, szermierz także znajdzie się na celowniku Protektorów? Na tę chwilę nie miał wielu możliwości, a przekonał się już, że wojownik nie waha się rzucić na szalę własnego życia, by pomóc potrzebującym. Na razie to musiało Caldanowi wystarczyć.

– Większość Protektorów jest na murach, skąd obserwują jukarów. O ile mi wiadomo, cesarz jeszcze nie nadszedł, więc to nie jego arcyomagowie. A tak wielki wybuch magii nie mógł być dziełem pierwszego lepszego czarodzieja. Poznałem kilku takich, ale mógłbym policzyć ich na palcach jednej ręki.

Dzwonki. To musi być ona.

– Wykrztuś to z siebie – powiedział Anshul, widząc, że Caldan się waha.

– Strzelam, że to pewna czarodziejka, którą śledziliśmy. Indryallanka. Jest gdzieś w mieście. To na pewno jej dzieło. A cokolwiek knuje... knuje po to, żeby zaszkodzić cesarstwu.

– A czemu jada za tobą ci dwaj Protektorzy?

Caldan rozdziawił usta i zaraz je zamknął. Spostrzegawcza bestia. Zanim zdążył odpowiedzieć, Anshul podjął:

– Wiem, kim są Protektorzy i co robią. Wiem, czemu mają na ciebie oko po twoich... popisach. Jeśli o mnie chodzi, twoje czyny mówią dla mnie więcej niż ich czyny. A więc... Jestem z tobą. Vasilowi nic nie będzie, Kołczany się nim zaopiekują. – W słowach cel Raua było coś więcej niż tylko deklaracja wsparcia. I Caldan zgadzał się z nim całym sercem. W jego głowie krystalizował się pewien plan.

– Musimy dowiedzieć się, co knuje Dzwonki...

– Dzwonki?

– Tak ma na imię. Trzeba ją powstrzymać. Protektorzy szukali jej, ale nie znaleźli.

– A ty myślisz, że znajdziesz?

– Możliwe, jeśli zdołamy blisko podejść. Jej rzemyśliwo jest potężne, a ja mam dryg do znajdowania czarodziejów.

– Najwyraźniej. Jeśli masz rację w sprawie tej czarodziejki...

– Mam na pewno. Jakie jest prawdopodobieństwo, że w mieście jest więcej magów o takiej mocy?

Cel Rau prychnął pod nosem.

– Zdziwiłbyś się. – Zerknął na śledzących ich Protektorów. – Będziemy musieli zgubić tych dwóch.

Protektorzy będą im przeszkadzać, a Caldan nie miał zamiaru angażować ich w swoje dążenia, jeśli tylko mógł jakoś tego uniknąć. Nie wspominając już o tym, że dowiedli, że do niczego się nie nadają. Lepiej po prostu się ich pozbyć.

– Idziemy – zarządził.

Cel Rau wstał i pochylił się do woźnicy.

– Musimy już lecieć – powiedział do zaskoczonego żołnierza. – Zaopiekujcie się moim towarzyszem. Wkrótce się po niego zgłosimy. – Przeniósł wzrok na Caldana. – Teraz?

Tłum był tu gęstszy, Protektorzy nie przedrą się przez niego.

– Teraz – zgodził się Caldan i razem zeskoczyli z wozu.



Amerdan pławił się w upajającej mocy swojej studni. Opromieniała go purpurowym blaskiem. Na długie chwile tylko na tym skupiały się jego myśli. Świadomość Amerdana była ożywiona, jak po długiej kąpieli. Skrzylenie magicznej energii brzmiało mu w uszach niczym wołanie. Była to słodycz, o jakiej nie wiedział dotąd, jak bardzo można jej pragnąć.

Zamknięcie studni niemal sprawiało mu ból. Wiedział jednak, że musi, bo inaczej ryzykował odkrycie przez jakiegoś czarodzieja lub Protektora, który rozeznałby się w jego umiejętnościach.

Ale już wkrótce, już wkrótce stanie się tak potężny, że nie będzie musiał się tym przejmować. Dzwonki zaczęła już kruszyć barierę blokującą jego drugą studnię, a Amerdan nie mógł się już doczekać, aż ta bariera przestanie istnieć.

Stojąca przy stole czarodziejka marszczyła na niego brwi. Uśmiechnął się do niej, tak jak uśmiechali się kochankowie. Założył, że... tego właśnie w takiej sytuacji chciałaby od mężczyzny kobieta.

– Zbijasz bąki, a ja potrzebuję pomocy – obsztorcowała go. – Już skończyłam i gdy sprawdzę działanie, będę cię potrzebowała. Nie udźwignę tego ustrojstwa sama. Będziemy musieli razem znieść je ze schodów i włożyć na wóz.

– Oczywiście, moja miła – zamruczał jak kot. – Dobrze rozumiem, że będziemy musieli zanieść to tam, gdzie będą stacjonować wojska cesarza?

Czas najwyższy, żeby w końcu ruszyć z tą sprawą. Gdy już nie będzie jej potrzebował, to...

Narosła w nim pałająca potrzeba, która groziła przełamaniem jego postanowienia. Już tyle czasu minęło. Zebrał się w sobie i zdusił impuls.

Potem podszedł do Dzwonków i pogłaskał ją po włosach. Będzie musiał nieco zachować, by zrobić figurkę na przyszłoroczne Święto Duchów.

Dzwonki wysunęła mu się spod ręki i odwzajemniła uśmiech.

– Obserwuj mnie, kochany. Sprawdzenie rzemyśliwa będzie wymagało znacznych pokładów mocy z mojej studni. Potrwa to tylko chwilę, ale jest taka możliwość, że stracę przytomność.

– A więc jak je uruchomisz, gdy przyjdzie odpowiednia pora?

– Mam teraz ciebie do pomocy. Wcześniej musiałam ryzykować i trzymać się nadziei, że się uda. Ty nie jesteś jeszcze całkiem gotów do pomocy przy czarach. Jest kilka rzeczy, których muszę cię przedtem nauczyć.

– A co pomiędzy?

– No, właściwie sam niewiele będziesz miał do roboty. Ja będę kontrolowała cały przepływ energii, wszystkie strumienie. Pożyczę tylko moc z twojej studni. Z twoją pomocą to będzie znacznie łatwiejsze.

Sięgnęła do jego dłoni i ścisnęła. Amerdan zmusił się do zniesienia jej dotyku. Zwykle rozpoznawał moment, kiedy się do tego

sposobiła, miał więc chwilę, aby się przygotować, lecz ostatnimi czasami weszło jej w nawyk dotykanie go bez ostrzeżenia. Rozstrajało go to.

– To nie zajmie dużo czasu. Nie martw się tak. Nic mi nie będzie.

Dzwonki wróciła do rzemyśliwa, a Amerdan wyczuł, że otwiera studnię. Metalowy artefakt, nad którym tak się trudziła, był wreszcie gotowy, choć szczerze mówiąc, nie wyglądał imponująco. Ot, stos metalowych dysków pokrytych runami i symbolami. Amerdan przestudiował każdy z nich, gdy Dzwonki go ukończyła, i zapisał w pamięci wszystkie znaki. Musiał dopiero odkryć ich znaczenie, ale uznał, że to kwestia czasu.

Zamrowiła go skóra, gdy wyczuł, że czarodziejka wyciąga energię ze swojej studni. Spoglądał na nią z zazdrością, gdy dzieliła ją na wiele strumieni: cztery, potem sześć, potem osiem, a na końcu jeszcze jedna – łącznie dziewięć. Niezła sztuczka. Kolejna, którą dopiero będzie musiał przyswoić. Ilekroć próbował wyjąć ze swojej własnej studni więcej niż dwa strumienie, głowa bolała go tak, jakby miała zaraz pęknąć, a żołądek wyczyniał ewolucje.

Na jego oczach najniżej usytuowany dysk zaczął wydzielać fioletowawe światło. Z początku słabe, potem coraz silniejsze. Gdy już buchnął pełną mocą, do pierwszego dysku dołączył drugi. Potem trzeci i czwarty. Amerdan głuchł od zmieniającego się ciśnienia i raptem pokój wydał mu się mniejszy, jakby ściśnięty, a on i Dzwonki wraz z nim.

Chwilę później świeciły już wszystkie dyski, opromieniając pomieszczenie blaskiem stu czarodziejskich kul. Amerdan zmrużył porażone oczy. Wtedy niespodziewanie światło zgasło. Wyczuł, że Dzwonki zamyka studnię, a potem osuwa się na krzesło.

Siedziała przez chwilę, oddychając z trudem.

– Dobra jest – powiedziała. – Daj mi chwilę na odpoczynek, a potem do wozu. Gdy już będziemy w drodze, a ja odzyskam siły, powiem, z czym będziesz mi musiał później pomóc.

– Mówisz o zaczerpnięciu mocy z mojej studni do zasilenia rzemyśliwa?



Czarodziejka niepewnie kiwnęła głową, ale widział po jej minie, że jest zadowolona.

– A potem dołączy do nas Bóg-Imperator.



**D**zielnic takich jak ta lepiej nie odwiedzać nocą – powiedział cel Rau. – O mieszkaniu tutaj nie wspomnę.

Caldan potoczył wzrokiem po rozklekotanych budynkach po obu stronach ulicy i stosach odpadków zalegających w alei. Trudno się nie zgodzić. Hałdy śmieci były oblezione przez karaluchy, które najwyraźniej nie przejmowały się światłem dnia i mijającymi je tłumami. W jednej stercie grzebało jakieś dziecko. Brudny, obszarpany, usmarkany chłopiec.

– W Anasomie były podobne rejony. Gdy pierwszy raz się tam znalazłem, nie sądziłem, że tak będzie wyglądać stolica cesarstwa. Spodziewałem się czegoś... Jak by to ująć, świetniejszego? – Caldanowi było żal ludzi gnieźdzących się w takich miejscach. Ich życie było ponure i mieli niewielkie szanse na inne. Pomimo potęgi i postępu, którymi chlubiło się cesarstwo, niestety, nie było ono

pozbawione wad. A najbardziej rzucało się w oczy to, jak traktuje swoich najbiedniejszych mieszkańców.

Cel Rau splunął na chodnik.

– W każdym mieście mieszkają jacyś nędzarze. A im większe miasto, tym gorzej się w nim żyje.

Caldanowi wydawało się, że szermierz powie coś jeszcze, ale ten zamilkł. Rzadko wypowiadał więcej niż kilka zdań na raz. Oto człowiek, który zna wartość słów. Caldan bardzo to szanował.

Zamknął oczy i aktywował studnię. Zasilił tarczę słabym strumykiem energii i na krótką chwilę rozmazał się w drżącym powietrzu. Poczuł, że cel Rau zbliża się do niego.

– Wciąż to czujesz? Wiesz, gdzie tego szukać?

– Mniej więcej – odparł Caldan wymijająco. Pływ mocy dobiegł gdzieś stąd, tyle wiedział na pewno.

Ale szybko się urwał i chłopak nie miał pojęcia, gdzie szukać jego źródła, chyba że się powtórzy. Jednak Dzwonki nie jest głupia i na pewno tego nie robi.

– Tędy – powiedział do cel Raua i ruszył w kierunku północnym.

Wąskie ulice tworzyły prawdziwy labirynt. Kilka razy musieli wycofywać się ze ślepego zaułka. Caldan prawie już pogrzebał myśl o odnalezieniu czarodziejki, ale postanowił jeszcze pokręcić się po okolicy, na wypadek gdyby jednak dało się wyczuć jeszcze jeden wybuch energii. Trafnie ocenił czarodziejkę – była na to zdecydowanie za mądra.

Skręcili w szerszą ulicę kamienic czynszowych, którą doszli do głównej arterii miasta. Znaleźli się kilkaset jardów na południe od głównej bramy.

Caldan przepchnął się przez grupę ludzi skupionych wokół oddziału Kołczanów, którzy zasypywali ich pytaniami o jukarów. Ich twarze zdradzały, że nie są zadowoleni z odpowiedzi. Ulica przed nimi była zakorkowana; przed wrotami tłoczyły się zaprzężone w konie wozy wszelkich kształtów i rozmiarów. W odróżnieniu od sytuacji przy wschodniej bramie, którą wdzierał się do miasta

wartki potok uchodźców, przy tej bramie skupili się ci, którzy chcieli uciekać z miasta.

Gdy przedzierali się przez ciżbę aż do samego muru, Caldan zorientował się, że ludźmi uciekającymi ze Starorzecza byli w większości kupcy i handlarze oraz ich bardzo wystraszone rodziny. Rozumiał ich. Ratowali się ucieczką, na wypadek gdyby miasto upadło. Widzieli Kołczany na murach i nie wierzyli, że ich obronią. Dotarło do niego, że kupcy zapewne chcieli dostać się tam, gdzie znajdowało się obecnie cesarskie wojsko. Maszerująca armia potrzebuje całej masy rzeczy i w całą pewnością były tam pieniądze do zarobienia.

– Głupcy – skomentował cel Rau.

Caldan podążył za jego spojrzeniem i zobaczył szeroko rozwarte wrota. Ze wschodu nadchodziła jukarska horda, jakiej nie widziano na świecie od setek lat. Miasto powinno więc być zamknięte na głucho. Przecież jukarowie mogą je okrążyć. Tymczasem Kołczany jak gdyby nigdy nic przepuszczały sunący ulicą tłum. Caldan zgadzał się z wojownikiem w całej rozciągłości.

Wtem zeszywniał, gdy wyczuł blisko czyjąś studnię. Osobliwe, pulsujące uczucie. Jakby ten, kto ją otwierał, coś sprawdzał. Było to wrażenie, jakie dobrze pamiętał z początków swojej magicznej edukacji w klasztorze. Przypominało rozciąganie mięśni, o których człowiek dotąd nie wiedział, że je ma. Dobiegło gdzieś z północnego zachodu... zza bramy.

Caldan wyprowadził z własnej studni wąski strumyk mocy i sięgnął zmysłami poza linię murów. I znalazł nie tylko czarodzieja sondującego studnię, ale i rzemyśliwo rezonujące ze zużytą mocą. To musiało być to, które wyczuł wcześniej.

A to oznaczało, że Dzwonki opuściła miasto i również wyszła naprzeciw cesarskiej armii.

– Na przodków... – zaklął Caldan pod nosem.

– Co jest? – spytał Anshul.

– Rzemyśliwo, które wcześniej wyczułem, znajduje się teraz poza miastem i jedzie w kierunku nadciągającej armii cesarza. Dzwonki

też musi tam być, a w dodatku ma teraz ze sobą jakiegoś innego czarodzieja. Ktokolwiek to jest, nie włada wielką mocą, ale tak czy inaczej, mamy dwóch magów jadących ku cesarskiej armii z potężnym rzemysliwem. To nie może oznaczać nic dobrego.

– Nie może.

– Musimy jechać za nimi.

Cel Rau przyglądał mu się niespiesznie. A potem skinął krótko głową.

– Naprzód.



– Przestań się sprawdzać. Później będzie na to mnóstwo czasu.

– Tak, już wspominałaś.

Amerdan starał się, by złość nie przedostała się do jego głosu. Dzwonki uśmiechnęła się do niego i oparła dłoń na jego kolanie. Zamknął studnię i popędził konia. Wkrótce wjechali na wyboistą drogę, mijając wolniejsze wozy, załadowane po brzegi jedzeniem, piwem i mocniejszymi alkoholami, jak również wszelkiej maści towarami, na które żołnierze cesarscy chętnie wysupłają dukaty. Mieszczan cechowała głupia naiwność... To ich przekonanie, że nikt nie zdoła pokonać ich potężnego cesarza. Uważali chyba, że ich cesarz rozgromi jukarów już samym pojawieniem się na polu bitwy.

Sięgnął wzrokiem ponad końskim łbem i powiódł nim po horyzoncie. Widział w dali zbliżającą się masę ludzi. To musiała być cesarska armia. Są już tak blisko. Amerdan poprawił się na koźle powozu i mocniej ścisnął wodze, wyobrażając sobie, że trzyma w rękach gardło Dzwonków.



Tysiące żołnierzy rozbijało obóz i wznosiło fortyfikacje. Wszędzie wokoło Caldan widział zacięte twarze weteranów w znoszonych bitewnych pancerzach. Widać było, że nie przyjechali tu na defiladę. O nie, to byli najlepsi cesarscy żołnierze, zaprawieni nieustanną walką z plemieńcami ze Stepów, wojskami Sotharlańskiej Unii Miast oraz jukarami zamieszkującymi dzicz. Konni żołnierze, uzbrojeni w puklerze i sejmitary o szerokich ostrzach, patrolowali okolice obozu. Łypali na nich groźnymi spojrzeniami i Caldan czuł się nieswojo, idąc z cel Rauem przez prowizoryczne miasto, które rozłożyli nieopodal obozu cesarskiego kupcy i handlarze ze Starorzecza. Wzdłuż drogi ustawiono stragany i stoiska, z których stopniowo znikwały wystawione na sprzedaż towary. Obszar zastawiony małymi namiotami już ściągnął całą kolejkę żołnierzy. Skąpo odziane kobiety o głowach obwiązanych chustami wyłaniały się z nich, by zaraz zniknąć w środku z kolejnym żołnierzem, mijając się w przejściu z poprzednim, który jeszcze zapinał spodnie i wkładał w nie koszulę.

Poza obrębem obozu robotnicy kopali długie rzędy dziur, a na oczach Caldana jakiś Kołczan bez skrępowania kucnął nad jednym z nich, jakby nikogo w okolicy nie było. Caldan odwrócił wzrok.

– Wojsko ma swoje potrzeby – powiedział cel Rau, widząc, jak Caldan wodzi wzrokiem po prostytutkach i latrynach.

Przed nimi znajdował się punkt, w którym Kołczany zatrzymywały ludzi przed wejściem do właściwej części obozu. Kilku żołnierzy o urzędniczych spojrzeniach zapisywało na przyzmach papieru wwożone do środka towary. Wozy zawierały głównie jedzenie, beczki z wodą i rozwodnione piwo. Sporządziwszy listy, żołnierze kierowali pojazdy do poszczególnych punktów obozowiska. Caldan podejrzewał, że zarówno rzemyśliwo, jak i osoba eksperymentująca ze studnią znajdowały się gdzieś w jego głębi.

Gdy podeszli do punktu kontrolnego, z murów Starorzecza huknęły rogi, a głęboki ton poniósł się echem po równinie otaczającej miasto. Caldan i cel Rau obejrzel się za siebie,

zastanawiając się, co to za poruszenie, i wtedy zobaczyli zastępy Kołczanów wychodzące z miasta przez północną bramę. Na ich czele jechali konni żołnierze z powiewającymi na wietrze chorągwiami. Z tej odległości Caldan nie widział, czy byli wśród nich jacyś Protektorzy, ale uznał to za wysoce prawdopodobne. Kołczany zbliżały się do nich miarowym tempem.

– Kolejni głupcy – stwierdził cel Rau.

– Czemu tak twierdzisz?

Szermierz splunął na ziemię.

– Cesarz przyprowadził ze sobą dość żołnierzy, żeby poradzić sobie z jukarami, a potem ruszyć na Anasomę.

Caldan chyba już rozumiał, czemu Anshul uważa ich za głupców.

– A więc Kołczany z miasta dołączają do nich, żeby... zdobyć doświadczenie... i mieć swój udział w chwale zwycięzców, zostawiając miasto praktycznie bez obrony.

Cel Rau potwierdził skinieniem.

– Cesarz już tu jest, więc miasto nie jest zagrożone, ale tak czy owak, to strategia głupców. Po prostu opuszczają swoje stanowiska. – Wojownik wzruszył ramionami. – Ale to nie nasz problem.

– Racja. Naprzód.

Kolejka do punktu była długa, a robiła się coraz dłuższa. Żołnierze przetrzepywali gruntownie każdy wóz. Zanosilo się na długie oczekiwanie, nim wreszcie będzie im dane wejść do obozu. Cel Rau wskazał na zachód, gdzie kolumna ludzi opuszczała rozłożone na pustkowiu targowisko. Żołnierze i mieszczanie mijali się na drodze łączącej je z obozem żołnierzy, gdzie nikt nie sprawdzał, kto do niego wchodzi.

Caldan pojął, co miał na myśli Anshul, i razem ruszyli do niestrzeżonego wejścia.

Trawa pod ich stopami była już solidnie udeptana. Kawalek dalej, w obozie, rozchodziły się ze skrzyżowania trzy ścieżki. Dalej widzieli szczyty namiotów dowódczych, na których powiewały kolorowe flagi i sztandary. Wokół nich żołnierze stawiali swoje. Mniej okazałe, oberwane i połatane czym popadło, ale wciąż funkcjonalne

i prezentujące się wcale nieźle, ustawione w równiutkich żołnierskich rzędach. Co dziesięć namiotów widniała łąta pustej przestrzeni, gdzie żołnierze zbierali się, by czyścić sprzęt i ekwipunek oraz zjeść zimne racje żywnościowe. Brudni, nieogoleni mężczyźni o donośnych głosach. Gdzieś po ich lewej wybuchła bójka, a walczących zagrzewały do boju głośne okrzyki.

Caldan i Anshul stanęli z boku, by nie wadzić nikomu na drodze, i zaczęli się naradzać.

– Dokąd teraz? – spytał cel Rau.

Caldan wskazał szlak wiodący mniej więcej ku większym namiotom.

– Myślę, że tam jest cesarz, a więc to tam zmierza Dzwonki. Musimy się spieszyć.

Uświadomił sobie, że jedyną osobą, której wcześniej powiedział o zamiarach Dzwonków, była Annelie. Która już nie żyła. Czy on chwycił się brzytwy? Myślał o tym, co innego mógłby zrobić, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy, a od kiedy wyczuł moc rzemyśliwa, jego podejrzenia tylko się pogłębiły.

Poszedł wydeptaną ścieżką, gestem ciągnąc za sobą cel Raua. Nawet w otoczeniu całej armii wojownik wyglądał na gotowego do akcji. Jego prawa dłoń wisiała na kciuku zatkniętym za pas obok rękojeści miecza przy lewym biodrze, jakby w każdej chwili spodziewał się, że będzie musiał go dobyć. Caldan oblizał usta, przypomniawszy sobie, że on sam porzucił swój miecz przed bramą i że nie miał teraz przy sobie żadnej broni. Tylko mały nożyk, który nie nadawał się do walki. Gdyby przyszło co do czego, wątpił, by miecz zdał mu się na wiele w walce z czarodziejką, a jednak dziwnie się czuł z pustymi rękami.

Gdy szli w kierunku namiotów, które jak sądził, musiały być namiotami dowódców, zarośnięte draby z obrzeży obozu ustąpiły miejsca zadbanym żołnierzom. Poplamionych, złachanych płacht także nie było już widać, te były nowe i znacznie wprawniej reperowane. Po ich prawej stronie stały długie rzędy uwiązanych w dużych odstępach koni. Młodzi chłopcy i dziewczynki zbierali



odchody łopatami i wywozili je na taczkach. Przed Caldanem i Anshulem wyrósł nagle największy namiot w całym obozowisku, otoczony wieloma podobnymi, ale znacznie mniejszymi. To musiała być kwatery cesarza, uznał Caldan. Spostrzegł, że ponieważ byli teraz jedynymi nieżołnierzami na wydeptanej ścieżce, zaczęli ściągać na siebie zaciekawione spojrzenia. Kilka razy minęli ich szczupli i szybcy mężczyźni ściskający w rękach skórzane teczki. Zapewne posłańcy z rozkazami.

Drogę przed nimi blokował oddział wartowników. Gładko ogoleni i w wypolerowanych pancerzach, trzymali włócznie w pozycji „prezentuj broń”. Dowódca oddziału, jedyny wojak z mieczem zamiast włóczni, dokonywał inspekcji. Wtem jakiś mężczyzna o udręczonej minie spostrzegł Caldana i Anshula i przywołał ich do siebie gestem. Siedział na rozpadającym się krześle za stołem, na którym wznosiła się przyzma papierów przygniecionych kamieniem. Po swojej lewej miał kałamarz i kilka piór.

– Ej, wy! – powiedział głośniej. – Podejdźcie tu!

Caldan wymienił spojrzenie z cel Rauem i razem podszli do stolika.

– Imiona, rangi i w jakiej sprawie? Pewnie chcecie zobaczyć się z dowództwem, ale... nie wyglądacie jak reprezentanci Starorzecza, których się spodziewaliśmy. Zupełnie nie. – Zmrużył na nich oczy. – Coście za jedni?

– Ja jestem Caldan, jestem Protektorem. Mamy cenne informacje dla cesarza.

Cel Rau uniósł brwi i Caldanowi nie umknęło, że zdusił uśmiech.

– Cenne informacje, powiadasz... – Mężczyzna przeciągał sylaby. – Już lecę przerwać mu obiad. Będzie szczęśliwy, mogąc was przyjąć.

Żołnierz za ich plecami zarechotał.

Mężczyzna westchnął i potrząsnął głową. Złapał za pióro i zamoczył je w atramencie.

– Co to za informacje? Zadbam, żeby je otrzymał.

– Musimy natychmiast porozmawiać z dowódcą. To ważne.

– Ja tu jestem dowódcą. Słucham. Gadajcie albo ci mili panowie was wyproszą.

– Nie wiem, czego się spodziewałeś – powiedział cel Rau.

– Joachim nas przysłał – spróbował Caldan. – Jest arcymagiem. To on przekazał nam tę informację i musi ona jak najszybciej trafić do adresata. – Miał nadzieję, że fortel podziała. Nie wiedział, czy znają tutaj arcymagów z imienia, ale powołanie się na któregoś musiało zrobić wrażenie.

– W takim razie pokażcie znak, który wam dał.

Caldan zmarszczył brwi, czując zawiązujący się na żołądku supeł.

– Znak? Nie dał mi...

– Jasne, że nie dał. Bo to nie on was przysłał. Jesteście najbardziej niekompetentnymi szpiegami, jakich widziałem.

– Co? Nie jesteśmy żadnymi szpiegami!

Kilku wartowników broniących dostępu do dużych namiotów opuściło włócznie i wymierzyło je w Caldana i Anshula.

– Dokładnie to bym powiedział, gdybym to ja był szpiegiem.

Gdy żołnierze zrobili krok naprzód, Caldan otworzył studnię i przygotował się na najgorsze.

Wtedy cel Rau upuścił na stół srebrny dysk wielkości paznokcia.

– No proszę – powiedział mężczyzna. Podniósł go i przyjrzał się uważnie.

Caldan nawet przy zamkniętej studni odczułby promieniujące od niego wibracje, a ponieważ była otwarta, z miejsca rozpoznał rzemysliwo. Ale... czy rzeczywiście nim było? Skrzywił się. Moc przepływała przez przedmiot cienkim strumyczkiem, ale była tam. Caldan roztoczył zmysły, by sprawdzić, czy cel Rau czasem nie ma studni. Nie. Zresztą nikt wokoło jej nie miał. A więc kto był do niej podłączony i kto ją zasilał? Wysondował dysk i wciągnął powietrze przez zęby. Nie znalazł żadnych run łącznikowych. A jedynymi czarodziejskimi przedmiotami, które ich nie potrzebowały, były talizmany, lecz...

Czy to możliwe? Przedmiot nie został odlany z tego samego nieznanego stopu, z którego wykonane były inne talizmany – poza

jego kościanym pierścieniem – a jednak ponad wszelką wątpliwość był to talizman. Małeńki strumień łączył dysk z głową cel Raua.

To przecież musiała być magia zniewalająca.

Dowódca podał wojownikowi talizman, a ten umieścił go w sakwie przy pasie.

– Zgadza się, dostrojony do ciebie. Półglejt, ale prawdziwy. A gdzie pełny glejt?

– Albo zmierza już do nas, albo leży na dnie rzeki, albo ma go jakiś jukar – odparł szermierz.

– Patrzcie państwo. No cóż, z tym trafisz do arcymagów, ale nie dalej. Ich spróbuj przekonać, żeby puścili cię do cesarza.

– Dzięki.

Caldan przełknął ślinę i utkwiał w Anshulu badawcze spojrzenie. Wydawał się zupełnie spokojny, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego. Jak tak o tym pomyślał, to jeszcze ani razu nie widział Anshula zdenerwowanego. Zaraz, skoro posiadał glejt, to czy nie oznacza to, że pracuje dla arcymagów? Caldan nagle zwątpił w to, czy może mu ufać.

Wartownicy unieśli włócznie i rozstąpili się przed nimi.

– Jeden z chłopaków odeskortuje was do kwater arcymagów, żebyście się czasem nie zgubili – powiedział dowódca za stołem. – To kawałek na zachód.

Dla Caldana odstęp między uzbrojonymi żołnierzami był jak granica obcego kraju, której wolał nie przekraczać. Cel Rau dostrzegł, że się waha.

– Co jest?

– Znaczą...

W tej chwili od strony namiotów dowódczych dobiegła go fala magii. Taka sama jak od rzemyśliwa, które wyczuł w mieście. Dzwonki była tutaj. Nagły powiew wiatru szarpnął chorągwiemi i flagami, wzbił chmury kurzu i zmusił żołnierzy do osłonięcia oczu.

Coś huknęło i wysoko nad ziemią rozpostarła się nad środkowymi namiotami magiczna kopuła. Za ledwie pięćdziesiąt kroków od miejsca, w którym stali. Kolejny pływ energii buchnął w nich jak

tajfun. Kopuła emanowała mocą. Zmieniła kolor na głęboką czerń, a Caldan wyczuł magicznym zmysłem, że jest gęsta i zbita jak hartowana stal. Ktokolwiek znajdował się w środku, był zarówno osłonięty, jak i zasłonięty przez najmocniejszą czarodziejską tarczę, jaką Caldan widział w życiu.

Czuł, że w jej wnętrzu znajduje się bardzo silne rzemyśliwo. Było tak blisko, że jego świadomość zjeżyła się jak kot, a powietrze wokół niego spieniło się niczym sztormowe morze. Miał wrażenie, że zęby zadrżały mu w dziąsłach, gdy magiczny przedmiot pod kopułą zassał kolejną partię mocy.

Wokół nich krzyczeli żołnierze, którzy dziesiątkami biegli do kopuły, by okładać ją mieczami. Trafiło też w nią kilka strzał, ale odbiły się od czarnej powierzchni.

– Znaczy jesteście za późno? – przekrzyczał hałas Anshul.

– Możliwe. Ja nie mogę się mierzyć z tym czymś. Może arcymagowie...

Zanim skończył zdanie, z zachodu pomknęły po niebie żółte, świetliste kule. Cesarscy czarodzieje najwyraźniej uznali, że sytuacja jest rozpaczliwa, inaczej nie użyliby magii destruktywnej w biały dzień. Świetliste sfery z trzaskiem rozbiły się o czarną tarczę, buchając jasnymi iskrami. Odpryski magii spadły jak deszcz na stojących niżej żołnierzy, a ci krzyczeli z bólu i przerażenia, padając na ziemię, gdy ich skóra zaczęła się topić i dymić. Kilku, którzy oberwali najmniej, odtoczyło się poza krąg morderczej magii, ściskając ranne ramiona i nogi, unosząc ręce do poparzonych twarzy. Po przejściu paru kroków oni także popadali na ziemię, targani drgawkami, nim nieruchomieli. Wrzeszczący i krzyczący ocaleńcy cofnęli się byle dalej od epicentrum.

– Na przodków... – dyszał Caldan.

Wokół rozpętał się chaos. Nikt nie dowodził, nikt nie miał pojęcia, co robić. Dzwonki odbiła ataki arcymagów, jakby to były natrętne muchy, a Caldan nie wiedział, jak zadziałać. Kiedy zwierzył się z tego cel Rauowi, wcale nie przesadzał. Ale musiał spróbować.

Przypomni  sobie o strza ach Joachima, lecz w tpi , aby okaza y si  do c mocne, by cho  wyszczerbi  magiczn  tarcz .

Rozejrza  si  nerwowo. Przecie  musi tu by  co , czego b dzie m g  u y . Zatrzyma  wzrok na papierze i pi rach na stole dow dcy.

– Co ty robisz? – krzykn  cel Rau, gdy Caldan pobieg  do sto u.

– Co . Cokolwiek.

Nie by  czasu do stracenia. Pot ne rzemy liwo Dzwonk w zasysa  moc z otoczenia, i to w takich ilo ciach,  e ogarnia  go strach. Spojrza  w g r  i zobaczy  kolejne kule energii, tym razem czerwone i zielone, rozbryzguj ce si  o g adk  powierzchni  tarczy. Powietrzem wstrz sn  huk gromu, a Caldan sykn , gdy od ha asu zabol y go uszy.  o nierzy wok l kopu y odepchn a z moc  niewidzialn  si . Wszyscy padli martwi na ziemi  w r d swoich poparzonych towarzyszy. Czy Dzwonki zaplanowa a r wnie  i to? Czy to wszystko cz c  jej planu? Czy przewidzia a,  e kontratakuj cy arcyomagowie zabij  za ni  swoich w snych  o nierzy?

Nie mia  teraz czasu, by si  nad tym zastanawia . Posun  po blacie cztery arkusze papieru i z pa  za pi ro. Podejrzewa ,  e tarcza Dzwonk w oka e si  o wiele trudniejsza do zniszczenia ni  tarcze Annelie i Joachima, ale mo e uda si  cho  zrobi  wy om. Przyda yby mu si  strza y znalezione u Joachima, ale skoro nie ma ich pod r k , robi co  podobnego z papieru i atramentu.

Zanurzy  pi ro w ka amarzu i zaczą  pisa  jak szalony.



Amerdana szczeg lnie interesowa a rozpostarta nad nimi czarna kopu a. Dzwonki wyja ni a mu,  e z zewn trz nikt nie widzi, co znajduje si  w  rodku, ale nie wierzy  jej, dop ki sam nie popatrzy  ze  rodka na  o nierzy. Wyczu  si y, kt re czarodziejka przywo ywa a ze swojej studni, by podtrzyma  tarcz , i czu ,  e m g by zrobi  to samo, gdyby si  bardzo postara . Ale czar, kt ry wzni s  barier , by  – przynajmniej na razie – poza jego zasi giem.

Gdy już będzie po wszystkim, będzie musiał odebrać rzemyśliwo Dzwonkom. Co ciekawe, kopuła również tłumiała dźwięk. Ziemia dookoła była zbryzgana krwią żołnierzy i zasypana fragmentami ich ciał. Usta tych, którzy przeżyli magiczny deszcz, były rozwarte w niemym krzyku. Amerdan wyobraził sobie ich wrzaski. Czuł się tak, jakby podziwiał ruchomy obraz.

Dzwonki trzymała tarczowe rzemyśliwo w jednej ręce, a drugą dotykała metalowych dysków ustawionych na wozie.

– Tak – mruknęła głosem nabiegłym głębokim uczuciem.

Czy to była... tęsknota?

Czuł, jak jej kark drży pod jego dłonią. Musiał utrzymać kontakt fizyczny, by mogła czerpać z jego studni energię potrzebną do zasilenia dysków. Zacisnął zęby, gdy kolejny chropowaty odłamek tamy zatykającej jego studnię odłamał się i zniknął. Ponieważ Dzwonki wyciągała coraz więcej i więcej energii jego studni, bariera zaczęła erodować. Niespodziewany, ale szczęśliwy efekt uboczny. Jedna studnia była w całości otwarta, a druga znacznie się poszerzyła. Wkrótce obie będą wolne. I wtedy będzie miał dostęp do studni dwóch czarodziejów. Wówczas, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wchłonie też studnie Dzwonków i Caldana. Cztery studnie.

A do tego cała wiedza, którą wyciągnął od Dzwonków, oraz jej rzemyśliwa. Amerdan będzie jak... jak bóg. Będzie musiał mieć się na baczności, skoro zmierza ku nim Bóg-Imperator Indryalli, lecz Amerdan był całkiem pewien, że on także wkrótce znajdzie się pod jego nożem, a jego studnia dołączy do tych, które już pozyskał. Wtedy będzie mógł...

Co? Właściwie czego tak naprawdę pragnął? Jaki miał cel? Ta myśl wstrząsnęła nim do żywego. Nie zadowalało go już wędrowanie od miejsca do miejsca i zabijanie naczyń, które akurat znalazł na swojej drodze.

Z ust Dzwonków wydostał się jęk, który ściągnął go z powrotem na ziemię.

– Co się stało? – spytał ze spokojem.

– Może to nic, ale... Sama nie wiem. To rzemyśliwo to nie mój poziom, więc...

– Więc nie wiesz, co dokładnie robi?

– Powiedziano mi, co robi, a jednak... coś jest nie tak – odpowiedziała głosem, spod którego przebijała obawa. Więcej niż obawa: narastająca panika.

– Czy twój Bóg-Imperator nie powinien już tu być?

– Nie wiem. Rzemyśliwo gromadzi więcej mocy, niż powinno potrzebować. Rozbiegło się, ciągnie więcej i więcej. Ja już... – urwała i zachłysnęła się powietrzem, a Amerdan poczuł pod ręką drzenie, które wstrząsnęło jej ciałem.

Fioletowe strumienie, wijące się jak stado węży, zaczęły po kolei odpadać od rzemyśliwa, a potem zafalowały i zaczęły rosnać, wydłużać się, piąć w górę, jakby czegoś szukały.

– Nie! – wystękała czarodziejka, gdy ugięły się pod nią nogi i uklękła.

Amerdan przykucnął przy niej, nie puszczając jej karku.

– Powiedz mi, co się dzieje.

Gdy to mówił, strumienie zetknęły się z czarnym sklepieniem i przeszły na drugą stronę. A gdy to nastąpiło, Amerdan poczuł bijący od rzemyśliwa puls energii, a jego skóra zamrowiała, jakby oblażyły go mrówki. Włókna wydostały się spod bariery i nie przestawały rosnać. Jeden jard. Dwa. Potem trzy. Falowały i wykręcały się, jakby szarpał je wiatr. Z tym że rozchodziły się każde w innym kierunku.



Caldan opadł na kolana, gdy jego umysł zaczął wywijać się na drugą stronę. Walczył, by nie zemdlec, ściskając w ręku dopiero co ukończone cztery papierowe rzemyśliwa.

Cel Rau leżał na ziemi obok niego. Oczy miał szeroko otwarte, a jego źrenice zmniejszyły się do rozmiarów główki od szpilki.

Z jednego ucha ciekła mu krew i Caldan zobaczył, że zanim zemdleł, zdążył jeszcze dobyć obu mieczy.

Świat wokół stał się chropowaty pod dotykiem jego zmysłów. Sylwetki żołnierzy wykrzywiły się przed jego oczami, gdy przeszły przez nich drgania czarnej kopuły. Fale wzbudzały się na jej powierzchni i wyciągały ku niemu, jakby go szukały. Każda, która przeszła przez Caldana, porażała jego umysł niemożliwym do zniesienia energetycznym impulsem. Ludzie wokół zaczęli krzyczeć. Sama rzeczywistość ulegała jakiemuś skrzywieniu, na jego oczach jakaś siła lepiała z niej coś zupełnie obcego.

Dookoła niosło się piskliwe zawodzenie, a z rzemyśliwa rosły fioletowe łodygi. Wędrowały, kreśląc dziwne łuki i kąty, przecinając ciało i kość, tak jak rozgrzany nóż przecina świecę.

Caldan schylił się i złapał wolną ręką kępę trawy. Spazm szarpnął jego mięśniami i Caldan zadrżał, porażony agonialnym bólem. Wartownicy najbliższej kopuły wariowali z przerażenia. Zaprawieni weterani i zieloni rekruci uciekali we wszystkie strony, krzycząc i drapiąc własne głowy rozcapierzonymi palcami. Ale w czasie Caldana ból szybko zelżał, a gdy poderwał wzrok, ujrzał stojącego na nogi Anshula.

Caldan i cel Rau wydawali się w mniejszym stopniu podatni na działanie tego, co owładnęło żołnierzami. Caldan nie wiedział, czy to dlatego, że jest czarodziejem, a już zupełnie nie rozumiał, dlaczego Anshul nie podzielił ich losu, ale postanowił zostawić tę zagadkę na inny dzień. Jeśli jakiś nadejdzie.

Zabójcze czarodziejskie włókna wiły się, płynąc w ich stronę, jakby przyciągała je żywa tkanka. Caldan mógł wreszcie aktywować swoją tarczę i złapać cel Raura za ramię, by otoczyć nią także jego. Wielokolorowe iskry strzeliły w miejscu, gdzie sunące nad nimi strumienie zetknęły się z powłoką ich tarczy. Wytrzymała, ale ledwo. Zajęczała przeciągle jak żywa, zrobiła się gorąca i zassała niesamowitą ilość energii ze studni Caldana. Wypuścił z niej tylko cztery strumienie, by podtrzymać osłonę, ale głowa już go bolała z wysiłku.



Strumienie przeleciały nad nim i pomknęły w swoją stronę, jakby zdecydowały się poszukać łatwiejszej ofiary. Caldan nie mógł być pewien, ale te, które wyciągnęły się na zachód, wyglądały na grubsze i bardziej żywe, rozrastały się w znacznie szybszym tempie niż pozostałe. To na zachodzie powinni być arcymagowie, to stamtąd wystrzeliły kule energii.

Po ich prawej stronie zrozpaczony żołnierz znalazł się w pułapce dwóch fioletowych strumieni. Chciał schylić się pod jednym z nich, ale ten zwinął się jak bicz i przeszedł przez niego.

Żołnierz bez słowa zwałił się na ziemię w kawałkach, jeden z setek leżących nieruchomo dookoła. Odrastając dalej od czarnej kopuły, mordercze włókna zaczynały się rozdzielać niczym korzenie żyjącej rośliny. Pojedyncze gałązki odrywały się od nabrzmiałych konarów i zaczynały szukać własnych ścieżek, sięgając poza obozowisko.

Przepływ energii ze studni Caldana zelżał, gdy strumienie przeszły nad nimi i pomknęły w swoją stronę. Potrzebował kilku chwil, by dojść do siebie. Pot spływał mu po ciele, a ciasna magiczna powłoka zaczynała go dusić. Dźwignął się na nogi i stanął pośród martwych i umierających żołnierzy cesarskiej armii. Obok niego Anshul również się podniósł.

Skierował na Caldana spojrzenie tryskające furją.

– Trzeba powstrzymać to okropieństwo.

Caldan wciąż trzymał wojownika za ramię.

– Chodźmy. Musimy przedostać się do środka kopuły.

Potoczyli się w jej kierunku, unikając kałuż szybko stygnącej krwi i rozkawałkowanych ciał, ale zanim zbliżyli się do ciemnej misy, ich buty utyłyły się czerwienią i zostawiali za sobą krwawe ślady.

Caldan wygładził cztery papierowe rzemyśliwa, które pospiesznie rozpiął, i przyłożył dłoń do tarczy. Była twarda i zbita, jak wielka, wypolerowana na połysk bryła onyksu. Próbował przyczepić do niej jedno rzemyśliwo w miejscu nad swoim prawym ramieniem. Odpadło.

– Przodkowie! – zaklął.

– Co jest?

– Potrzebuję rozmieścić cztery, zanim się podłączę i połączę je ze sobą. Ale nie chcą się przykleić. Ależ ze mnie dureń. Powinienem był wcześniej o tym pomyśleć.

– Daj mi jedno. Mam pomysł.

Caldan podał mu arkusz, a szermierz podszedł do martwego żołnierza. Caldan patrzył w przerażeniu, jak cel Rau przesuwając papierem po kałuży krzepnącej krwi. Z rozmachem piasnął rzemyśliwem o tarczę, a kiedy odjął rękę, to zawisło na niej, przyklejone.

– Tak może być? – spytał.

Strużka krwi wyłoniła się spod kartki i spłynęła po czarnej powierzchni. Caldan przełknął ślinę.

– Tak. Teraz pozostałe. Muszę umieścić je w rogach kwadratu dość dużego, żebyśmy zdołali przez niego przejść, więc te dwa będą przy ziemi.

Ze ściśniętym żołądkiem Caldan poszedł w ślady Anshula i wysmarował trzy kartki krwią, po czym przykleił je do kopuły. Nad ich głowami wciąż wyrastały z niej fioletowe strumienie, a między nimi rysowały się kanciaste kreski błyskawic.

– Pilnuj tarczy! – krzyknął cel Rau.

Caldan poderwał głowę i zobaczył kolejne kule energii spadające w kierunku kopuły. I w ich kierunku. Zaklął i naładował tarczę energią, rozszerzając ją również na przyklejone rzemyśliwa.

Świetliste sfery pomknęły w ich stronę. Caldan i cel Rau przypadli do ziemi, gdy pociski złączyły się z celem. Żrąca magia chlusnęła na jego tarczę, a rzemyśliwo ponownie zrobiło się ciepłe, a potem gorące, usiłując rozproszyć destruktywną magię. Jęk rzemyśliwa przeszedł we wrzask, który szybko się urwał, gdy magia rozplynęła się w powietrzu. Caldan ocenił, że ta salwa nie była tak niszcząca jak pierwsza. Może arcymagowie bronili się przed grubszymi włóknami, które powędrowały na zachód.

Caldan odepchnął na bok przygniatające do ziemi zmęczenie i podłączył się do papierowych rzemyśliw. Dobrze by było, gdyby

zadziały, bo jeśli nie, to nie miał żadnych innych pomysłów.



– Nie rozumiesz? – zawodziła Dzwonki. – Bóg-Imperator rozkazał zniszczyć cesarskie wojsko. Mamy się poświęcić. Nie ma dla nas ucieczki. Musimy pogodzić się z naszym losem.

Amerdan syknął ze złością. My? Ta suka chce go zabić.

– Jeszcze nie przeszli. Wciąż możemy uciec. Będą próbowali unieszkodliwić twoje rzemyśliwo. Odwrócę ich uwagę.

Dzwonki spuściła głowę i ciemne włosy spłynęły jej na twarz. Drżała z emocji.

– Nie. Jeśli Bóg-Imperator każe mi umrzeć, to muszę umrzeć. Chce, żebym podtrzymała połączenie z rzemyśliwem. I będę to robić do ostatniej chwili.

– Możesz podtrzymać je z daleka, czerpiąc z moich studni.

– Ja... Ja nie wiem.

Dzwonki spojrzała mu w oczy. Amerdan widział, że czarodziejka była zrezygnowana. Co oznaczało, że nie da się przekonać do ucieczki, a on nie będzie mógł zaabsorbować jej talentów. Warknął i spojrzał na zewnątrz. Niby się zdziwił, ale niezupełnie, widząc Caldana i jakiegoś drugiego mężczyznę przy tarczy. Patrzył na nich, gdy przyczepiali zakrwawione kartki do bariery. Co oni robią?

– Przepraszam – stękała Dzwonki.

Przepraszam? Co mi po jej „przepraszam”? Takie „przepraszam” potrafi zabić.

– Daj mi swoje rzemyśliwo. To, które wzniosło kopułę. Żołnierze nie żyją, więc możesz teraz używać tego zwykłego.

– Zostawisz mnie samą? – Dzwonki powiodła do niego smutnym wzrokiem, a potem pokiwała głową. – Słusznie. Nie myślałam, że tak to się skończy.

Amerdan wyczuł, że strumienie z jej studni podpinają się do nowej tarczy, którą zrobiła wraz z innymi rzemyśliwami. Łypnął na

Caldana i jego towarzysza, którzy zdążyli w tym czasie przyczepić kolejne dwie kartki. Nie mógł mieć pewności, ale przypuszczał, że chcą przedrzeć się przez barierę. Bo niby co innego?

Kropka zawierciła się pod jego koszulą. *Uciekaj* – wrzeszczała do niego.

Ale wtedy zmarnują się zarówno talenty Dzwonków, jak i Caldana, nie wspominając o tych Boga-Imperatora, który jednak postanowił do nich nie dołączać. Na samą myśl o utraceniu takiej okazji Amerdan zapłonął gniewem. Ale będą inne naczynia. I inni czarodzieje.

Wyjął talizman zza kołnierza. Musnął palcem Kropkę, która szamotała się pod jego koszulą. Mocno ścisnął rzemyśliwo, nie wiedząc, co właściwie robić.

Powinien uciekać.

Ale... nie mógł. Nie mógł zmarnować szansy na wchłonięcie tak wielkiej mocy. Dzwonki potrzebuje jeszcze trochę czasu...

– Ja przejmę tarczę. Wtedy chwilę odpoczniesz i odzyskasz siły, zanim się przedrą.

Czarodziejka pokiwała głową.

– Opóźnię ich, ile będę mogła, ale obawiam się, że na niewiele wystarczy mi sił.

Amerdan przyłożył czarodziejce do karku ciepły metalowy talizman, dotykając palcami jej skóry. Sięgnął ręką w dół i tak, żeby nie dostrzegła, wyjął nóż.

Czarna kopuła ledwie zamigotała, gdy Dzwonki oderwała od niej swoje strumienie i zasiliły ją studnie Amerdana. Dziewczyna westchnęła i oklapła.

– Obiecuj mi, że jak uciekniesz, zaprezentujesz się Bogu-Imperatorowi. Musi dowiedzieć się o twoich studniach. Powiedz mu... że mu wybaczam. Naprawdę mam na imię Sorche. Powiedz to otaczającym go urzędnikom i czarodziejom. – Sięgnęła ręką, by ścisnąć dłoń Amerdana na swoim karku. – Obiecuj mi.

Amerdan wciągnął do płuc zapach jej włosów, przesiąknięty potem i krwią martwych, bezużytecznych żołnierzy. Zaprosił go do

swojego ciała, rozsmakował się w nim. Dreszcz zbiegł mu po plecach, a w sercu zapłonęło łaknienie.

– Obiecuję.

Wraził nóż w gardło naczynia, a ono zabułgotało, uczepiło się go rozcapierzonymi rękami, zadrapało paznokciami skórę ramion, które mocno je otoczyły. Wyrywała się, tak jak one wszystkie. Bezskutecznie. Talizman w ręku Amerdana zalśnił jasnym, gorącym światłem. To światło spotężniało i splotło się w cienkie włókno, które wniknęło w ranę w szyi naczynia.

Wówczas ono zaniosło się pozbawionym słów szlochem, w którym brzmiało poczucie straty.

– Ciii – wyszeptał mu do ucha. – Już po wszystkim. Już dobrze.

Amerdan czuł, jak Caldan usiłuje przebić barierę za pomocą magii, ledwie utrzymując strumienie podłączone do rzemyśliwa. Chłopak był silny, ale nie dorównywał Amerdanowi, który miał dwie – a zaraz trzy – studnie. Tarcza wytrzymała.

Amerdan zadrżał agonalnie, gdy skóra naczynia straciła kolor i wpadła w szarość. Zasłonił usta dłonią, by nie krzyknąć, gdy świetliste włókno rozpląnęło się w powietrzu. Zwalił się na ziemię, dysząc chrapliwie, wciąż trzymając opróżnione naczynie.

Kolejny atak na kopułę odparł resztką sił. Cokolwiek Caldan robił, radził sobie z tarczami lepiej i wiedział o nich więcej od Amerdana. Wynałazł jakiś sposób na przedarcie się przez barierę. Teraz to była tylko kwestia czasu.



Caldan jęknął rozpaczliwie i otarł pot z czoła, opierając się chęci rozwalenia tarczy gołą pięścią. Przed chwilą tak mało brakowało, bariera prawie pękła. Jej struktura była dla Caldana czymś nowym; jakimś sposobem nieustannie odnawiała uszkodzone warstwy.

Cel Rau przyglądał mu się przez chwilę, nim się odezwał:

– Cokolwiek robisz, rób to szybciej. Te macki wciąż zabijają żołnierzy. Odkąd zetknęliśmy się z barierą, umarły setki.

Caldan zerknął na szczyt kopuły i raptem poczuł, jak górująca nad nim magiczna konstrukcja tłamsi go niczym natrętnego owada. W następnej próbie przebicia się na drugą stronę wydobył już ze swojej studni, ile mógł.

– To nasza ostatnia szansa – wycharczał. – Jeśli tym razem mi się nie uda, to koniec.

Cel Rau tylko kiwnął głową.

– Więc lepiej niech ci się uda.

Caldan podłączył się do papierowych rzemyśliw, ale zamiast podjąć kolejną próbę przedarcia się przez barierę, spróbował zestroić je ze swoją mocą. Moc Dzwonków potrzebowała ominąć przestrzeń w jego rzemyśliwach, a nie zmagać się z nieobecnością, którą chciał stworzyć. I Caldán czuł, że to działa. Wewnątrz kwadratowej przestrzeni czerń pojaśniała do szarości. Twarda bariera poruszyła się, jakby moc wciągała ją do papierowych rzemyśliw, zostawiając przejrzysty kwadrat w ciemnej ścianie kopuły.

Stojący przy nim cel Rau uniósł swoje miecze, ale zanim weszli do środka, cała kopuła zniknęła. Rozgrzane do czerwoności igły bólu eksplodowały w umyśle Caldana, który zaabsorbował odrzut będący efektem jego przełamanej magii. Gdy padał na ziemię, słyszał, jak cel Rau rusza naprzód. Gdy Caldán rozwarł powieki, zobaczył jeszcze wóz, gdzie stało dziwne rzemyśliwo, z którego unosiły się fioletowe włókna.

Na pace obok leżały przewieszane przez burtę wysuszone zwłoki. Miały długie, ciemne włosy ozdobione rzemyślniczymi dzwoneczkami. Szkarłatna krew sączyła się ze świeżej rany na szyi.

Cel Rau szarżował na mężczyznę po drugiej stronie wozu. Caldán rozdziawił usta, rozpoznawszy Amerdana. W momencie gdy Anshul zamierzył się na niego oboma mieczami, sklepikarz obrócił się i jego ciało okryła magiczna tarcza. Ostrza zsunęły się po niej, wzbudzając deszcz białych iskier, które zaraz wchłonęła. Amerdan uderzył w cel

Raua całym ciałem, a ten wpadł na burtę wozu i stracił przytomność. Miecze wysunęły się z jego palców.

Onyksowa figura zrobiła krok w stronę Caldana, który natychmiast podłączył się do swojej tarczy.

Amerdan przechylił głowę w bok, gdy skupił uwagę na czymś, czego szukał po zachodniej stronie. Caldán usłyszał jego rozpaczliwy syk, a potem wrócił do niego wzrokiem. Amerdan już biegł między trupami w kierunku wschodnim.

Uciekał... ale rzemyśliwo tworzące macki wciąż działało. I należało je unieszkodliwić.

Przodkowie! Amerdan będzie musiał poczekać. Im dłużej Caldán zwlekał, tym więcej ginęło niewinnych żołnierzy. Spojrzał na zachód, skąd nadbiegało kilkudziesięciu ludzi – mężczyzn i kobiet w różnym wieku. Byli otoczeni wielokolorowymi tarczami, które lśniły w słońcu niczym rybie łuski. Powietrze wokół nich skrzyło się od czarodziejskiej energii. Caldán czuł, jak podrywają się włoski na jego przedramionach. Wyczuł magicznym zmysłem, że mają przy sobie potężne rzemyśliwa i talizmany. To musieli być arcymagowie. Oni na pewno będą wiedzieć, jak rozmontować to przekłete ustrojstwo.

Chłopak skrzywił się, widząc, że łapią się za ręce i puszczają w jego stronę kule destruktywnej magii. Nie mieli zamiaru rozmontowywać urządzenia, chcieli je zniszczyć, korzystając z tego, że już nie było osłonięte kopułą. Caldán czuł się wykończony. Tak zmęczony, że nie mógł myśleć. Ale cel Rau nie przeżyje takiego natarcia, on zresztą też nie, chyba że zbierze się do kupy. Lecz już wtedy, gdy ta myśl przemykała przez jego głowę, widział, że dzieli go od wojownika zbyt duża odległość. Gdyby tylko...

Z wysiłkiem wyciągnął rękę w kierunku Anshula i jakimś sposobem rozszerzył swoją tarczę tak, by objęła nieprzytomnego wojownika.

Gdzieś z tyłu jego głowy zapalało zdumienie, gdy zobaczył coś, co uznawał dotąd za niemożliwe – bo jakim niby sposobem udało mu

się okryć tarczą kogoś, kogo nie dotykał? – ale nie miał teraz czasu na samozachwyty.

Dzwonki... jej ciało należało jakoś zabezpieczyć, żeby arcyomagowie mogli je zbadać, wywnioskować, co jej zrobiono. Bo cokolwiek się tu stało, nie było normalne.

Caldan spróbował roztoczyć osłonę również na obkurczonego trupa Dzwonków, ale naparła na niego fala wycieńczenia i jego wysiłki spełzły na niczym. Truchło znajdowało się zbyt daleko. Gdy czuł już na swoim ciele żar magicznych kul, poddał się, skupiając się na obronie cel Raua i siebie.

Moc naparła na niego jak toczący się walec. Mocna, zbita, efekt całkowitego skupienia potężnych czarodziejów. Nie było to uderzenie surowej mocy świeżo wydobytej z czyjejs studni, tak jak on usiłował to robić. Coś ją... konsolidowało, wzmacniało i kierowało we właściwą stronę.

Gdy zatrzęsała się ziemia, a żrąca magia podpaliła wóz, wyczuł, że arcyomagowie wylewają ze swoich studni olbrzymie ilości mocy i przekierowują ją do rzemyśliwa. Przywiodło mu to na myśl powiew wiatru rzucający płomykiem świecy na wszystkie strony, lub może płomyk rozdmuchiwany wachlarzem, tak by zajęło się serce ogniska. Pośród hekatombi poczynionej przez rzemyśliwo Dzwonków i magię arcyomagów na Caldana spłynęło objawienie: wiedział, jak kierować magią destruktywną!

Papier, drewno, glina, kamień i metal były zbyt słabe, by pomieścić wzmocnioną do tego stopnia magię. W charakterze substytutu użyto czegoś innego: czarodziejskiej bariery podobnej do tarczy, która sama mogła pomieścić destruktywną magię i która opierała się erozji oraz żrącym czarom.

Jego tarcza zaabsorbowała wyrzut mocy arcyomagów i rzemyśliwo na wozie zaczęło się topić. Wóz rozpadł się, gdy przepaliło się przez niego rozgrzane urządzenie. Metalowe dyski spłynęły na ziemię i rozlały się po niej, tworząc wielką kałużę. Caldan nigdy się już nie dowie, jakich run użyła czarodziejka.



Spleciony wspólnymi siłami czar rozmył się, zostawiając przed oczami Caldana tylko wibrujące powidoki. Głowa bolała go od nadludzkiego wysiłku. Ale zarówno on, jak i cel Rau żyli. Dzwonków nigdzie nie widział; jej ciało i rzemyśliwa pochłonęła magia arcymagów. Mordercze konary rozpadły się i obwiedły, gdy podcięto im korzenie. Odłamały się od półkulistej powierzchni i zawisły w powietrzu. I choć zostały odłączone od źródła, wciąż się rozrastały, zagarniając coraz większą przestrzeń.

Caldan wstał i sprawdził, co z Anshulem. Mężczyzna oddychał słabo. Wokół niego odbijały się echem krzyki i Caldán zmusił się, by spojrzeć na dzieło Dzwonków.

We wszystkie strony rozpełzały się fioletowe czarodziejskie macki, goniąc za uciekającymi żołnierzami i mordując ich na potęgę. Niektórzy wili się na ziemi, usiłując zakryć się swoimi powalonymi kompanami w złudnej nadziei, że magia zadowolili się trupem, miast szukać żyjącego ciała. Choć rzemyśliwo zostało zniszczone, włókna kiwały się na wszystkie strony, jakby żyły własnym życiem. Wokół roztaczało się morze śmierci: trupy pokryte krzepnącymi czerwonymi bryzgami, stosy odciętych kończyn, poszatkowane i zmielone magiczną siłą ciała żołnierzy, służących, handlarzy, kucharzy i kobiet. Magia wszystkich traktowała na równi. Metalowe pancerze topiły się w zetknięciu z destruktywną magią, nie stanowiąc dla niej żadnej przeszkody. Miecze, którymi rąbano macki, kończyły stopione i roztrzaskane, jakby były z wosku lub łyka. Ostatecznie jedyny ratunek należało upatrywać w ucieczce. Ludzie umykali więc w popłochu, tratując zaścielające ziemię trupy i tych, którzy upadli i w porę nie zdołali się podnieść.

Wojsko cesarza zostało zdziesiątkowane. Unicestwione, zanim zetknęło się z wrogiem. Caldán swoje wiedział o Dzwonkach, lecz wciąż nie mógł uwierzyć, że była zdolna rozpętać takie piekło. W Anasomie dopuszczała się karygodnych czynów, ale wykonywała rozkazy w przekonaniu, że zabicie kilku osób pomoże ocalić tysiące. Ale to? Musiała nie wiedzieć, co robi. Czy to Amerdan ją

zmanipulował? Czy może on także był narzędziem w czyichś rękach?

Usłyszał za sobą kroki. Był otoczony przez arcymagów, którzy patrzyli na niego z nieudolnie ukrywaną furią.

– Przedarliśmy się – wydyszał Caldan. – Ale jeden z nich uciekł. Pobiegnął na wschód.

– Milczeć! – ryknęła kobieta o pomarszczonej, opalonej twarzy.

Caldan zjeżył się na jej ton.

– Nie możecie tego powstrzymać? Rozproszyc jakoś tych przeklętych włókien?

Kobieta gromiła go wzrokiem, nie odpowiadając. Zrobił to za nią młodzieniec o gładkiej twarzy.

– Nie. Muszą same się rozpuścić.

Tak jak pozostali arcymagowie, był ubrany w kosztowne czarne spodnie, koszulę i płaszcz, a arcymaginie dodatkowo owijały szyję szalami. Na tle czarnego materiału koszul odznaczały się srebrne guziki w kształcie kwiatów o wielu płatkach, takie same jak te, jakie zauważył u Joachima. Tylko zakrwawione buty wskazywały na to, że znajdowali się pośród zdziesiątkowanej armii.

– Zanim to nastąpi, zabiją jeszcze setki ludzi.

Młodzieniec ledwie wzruszył ramionami.

– Raczej tysiące. Ale my przeżyliśmy, przeżył również cesarz.

Jego obojętny ton zmroził Caldanowi krew w żyłach. Pokręcił głową, nie wierząc własnym uszom, ale...

Wiedział przecież, co z nim zrobią arcymagowie. Znali magię zniewalającą i niewątpliwie wykorzystają ją, żeby jak najszybciej dowiedzieć się, kto odpowiada za tę katastrofę. Wydrą mu tę informację z głowy, nie troszcząc się o konsekwencje.

Coś zaskrobało o jego świadomość, a Caldan zrywem podłączył się do zniewalającego rzemyśliwa Dzwonków i wzniósł gładką barierę, broniącą arcymagom dostępu do jego umysłu. Nauczył się kilku rzeczy z ksiąg zwędzonych mistrzom. Przynajmniej tyle, by się jakoś obronić. Żałował teraz, że niewiele ponadto. Skrobanie nasiliło się, a wkrótce przerodziło się w mentalny odpowiednik walenia

pięściami do drzwi. Trzymał je zamknięte, czekając, aż natarcie ustanie.

Młodzieniec na czele prychnął śmiechem, wyraźnie rozbawiony.

– Zdaje się, że cię nie doceniliśmy.

– Joachim kazał mi was znaleźć.

– Ten przekłety... – wymusnęło się pomarszczonej kobiecie.

– Panuj nad sobą, Thenno – warknął na nią młodzieniec i kobieta spokorniała. Choć był od niej młodszy, to najwyraźniej starszy rangą.

– Byłem Protektorem, dopóki nie znalazł mnie Joachim. Ale on teraz... on nie żyje.

– I dobrze.

– Thenno, proszę cię. Był w końcu jednym z nas. – Młodzieniec skupił całą uwagę na chłopaku. – Jak się nazywasz i dlaczego nasz brat kazał ci nas odnaleźć?

– Jestem Caldan, a szczerze mówiąc, wcale nie kazał.

– Mów prawdę albo przebiję się przez tę twoją śmieszoną barierę i własnoręcznie wydobędę odpowiedzi wprost z twojego umysłu. Wierz mi, że posunę się do tego, jeśli będę musiał.

Caldan usiłował przełknąć ślinę, ale gardło miał suche jak pieprz. Rozważył kierunki, w jakich może pójść ta rozmowa, nim wreszcie powiedział:

– Jestem Dotkniętym. I jak widzicie, jestem również czarodziejem. Joachim z jakiegoś powodu usiłował mnie zabić, ale udało mi się go pokonać. Protektorzy uważają, że on i jego wspólnicy mordowali ludzi dla ich talizmanów. – Podniósł rękę, by pokazać im swój pierścień. – Ten odziedziczyłem po rodzicach, którzy zginęli, gdy byłem mały.

Niech to sobie przemyślą.

Młodzieniec wymienił spojrzenia ze swoimi pobratymcami. Wydał usta, głęboko zamyślony.

– Devenishu, wiedzieliśmy przecież, że on coś knuje. Nie wmówisz mi, że...

– Thenno, milcz. Trzeci raz nie poproszę.

Młodzieniec nazwany Devenishem namyślał się jakiś czas.

– Dobrze. Prawda nam nie umknie. Odkryjemy ją prędzej czy później. Póki co nie odchodź daleko. Zdecydujemy, co z tobą począć. Wciąż mamy hordę jukarów do pokonania i miasto do obrony. W nadchodzących dniach będziesz miał mnóstwo okazji, żeby pokazać, co jesteś wart.

Caldan uświadomił sobie, że arcyomagowie się martwią. I to bynajmniej nie o niego. Ich armia została zniszczona. Jukarowie mogą mieć znaczną przewagę nad niedobitkami. A Starorzecze wysłało im do pomocy oddziały Kołczanów, znacznie uszczuplając własną obronę.

– To nie przypadek. Ten atak jukarów.

– Ciekawostka, prawda? – odparł Devenish. – Gdybym miał żyłkę hazardzisty, gotów byłbym założyć się, że stanowią element większego planu.

– Tak. Tylko czemu nie zaatakowali cesarskiej armii od razu? Mieli mnóstwo czasu, żeby na nią uderzyć, ale tego nie zrobili. Zupełnie jakby coś ich przed tym powstrzymywało. Pewnie vormagowie im zabronili.

– Ale o czym to niby świadczy? Ta magia ich także by zabiła, gdyby wciąż walczyli z armią cesarza. Mieli szczęście, że uciekli.

– Nie, nie rozumiesz. Oni wiedzieli, że mają uciec. Tylko skąd?

– O czym ty mówisz? – zaciekawiał się Devenish.

– Nie mogli wiedzieć o tym, że nastąpi tu magiczny atak, ale wszystko wskazuje na to, że jednak wiedzieli. Wycofali się od Starorzecza, żeby nie znaleźć się w zasięgu macek. A więc wiedzieli nie tylko to, że atak nastąpi, ale także znali jego zasięg. Mogli nawet wiedzieć, o której godzinie się rozpocznie.

Devenish utkwiał w Caldanie kalkulujące spojrzenie, a potem skinął głową.

– Masz rację, oczywiście. Widzę, że głowę masz nie tylko do noszenia kapelusza. To jasne, że jukarowie i vormagowie działają ręką w rękę z Indryallanami. Przed nami niełatwa przeprawa. Musieli w jakiś sposób roztoczyć kontrolę nad tymi potworami i zjednoczyć rozproszone bandy w jedną, skonsolidowaną armię.

Obawiam się tego całego Boga-Imperatora. On chce rzucić cesarstwo na kolana, a my nie wiemy nawet dlaczego.

– Devenishu! – krzyknął inny arcymag. – Rzeką nadpływają jakieś okręty. Cała flota.

Caldan spojrział na południe, gdzie toczyła swe wody rzeka, i rzeczywiście – płynęło nią kilkanaście okrętów. Wszystkie pełnomorskie – transportowce o szerokich kadłubach i dwóch masztach oraz cztery trójmasztowe karaki.

Dobiegł ich grzmot bitewnych bębnow, który odbił się echem ponad polem bitwy. Jakby dochodził ze wszystkich stron. Od wschodu mknęła ku resztkom cesarskiej armii horda nieludzkich postaci, jak ciemna plama, która rozlała się po równinie, połykając czarne pręgi pozostałe po destruktywnych mackach.

Nadchodzili jukarowie.

Biegli wprost na nich, zanosząc się wyciem. Pośród hałastry potworów błysnęły świetliste wstęgi i pobiegły od jednej postaci do drugiej.

Caldan niemal krzyknął z ulgi... ale zaraz zorientował się, że nie były to czary rzucone przez arcymagów. To vormagowie otoczyli się tarczami.

Thenna ogarnęła horde bojaźliwym spojrzeniem. Ujęła rękami głowę i zaczęła kołysać się w przód i w tył.

– Vormagowie... – wydyszała. – Dziesiątki vormagów. Skąd oni się wzięli?

– Nieważne – orzekł Devenish. – Weź się w garść, Thenna. Co by pomyślał cesarz?

Gdy ją obsztorcował, Thenna przełknęła ślinę i spuściła wzrok.

– Okręty będą musiały poczekać – podjął młody arcymag. Podniósł głos, by przekrzyczeć bitewną wrzawę. – Arcymagowie, otworzyć studnie! Tanio skóry nie sprzedamy. – Poderwał wysoko rękę i dał sygnał Kołczanom. Ci, którzy jeszcze ostali się przy życiu, uformowali szyk przed konnymi dowódcami wydającymi rozkazy, przekazywane dalej huknięciami trąb. Jeden z generałów

w odpowiedzi wzniosł opancerzone ramię, a arcymag wskazał swoim armię jukarów.

Zrezygnowana Thenna oraz wyraźnie nadrabiający miną Devenish wprawili Caldana w stan bliski przerażeniu. Czy naprawdę nie mogli zrobić nic więcej, jak tylko zginąć w walce? Czuł dookoła pootwierane studnie i moc płynącą przez rzemyśliwa, gdy cesarscy magowie przygotowywali się do ataku.

Pierwsza fala nacierających jukarów wbiła się w linię tarcz Kołczanów z ogłuszającym trzaskiem i łoskotem. Płatanina magicznych włókien szalała ponad głowami vormagów i jukarów, mieszając w powietrzu jak w kotle. Wyłoniła się z niej spotężniała, napuchnięta macka i uderzyła w szereg żołnierzy, błyskając roziskrzoną jasnością. Mężczyźni i kobiety rozsypali się na kawałki, jakby ktoś poszatkował ich nożem. Z ich wnętrzości buchnął ogień i rozbryztał się na wszystkie strony.

Żołnierze popadali na ziemię jak marionetki o przeciętych sznurkach. Niektórzy spośród tych, co utrzymali się na nogach, rzucili się do ucieczki, wrzeszcząc wniebogłosy, ale inni dalej trzymali szyk. Płomienie pochłaniające martwe Kołczany szybko rozwiały się na wietrze, gdy włókna vormagów odwinęły się do tyłu, niczym węże sposobiące się do kolejnego ataku.

– O przodkowie... – odetchnęła Thenna.

– Do mnie, arcymagowie! – zawołał Devenish. – Wszyscy do mnie!

Powietrze rozdarł dziki huk, jakby coś druzgotało całą stal na świecie. Woń cytryny i gorącego metalu napała na nozdrza Caldana niewidzialną chmurą, a rzeczywistość naokoło zawirowała mu przed oczami i złożyła się niczym targany wiatrem arkusz papieru. Jego żołądek szarpnął się pod wpływem tego wrażenia, a Caldan zachwiał się i padł na kolano.

Erupcja oślepiającego światła poraziła mu oczy i odruchowo osłonił je dłonią. Zrobiło się przeraźliwie cicho. Powietrze zatrzeszczało, jakby wyrzut magicznej siły miał rozbić je na cząsteczki. Ziemia szarpnęła się pod jego stopami.

A potem poczuł gdzieś blisko kolejne otwarte studnie. Przynajmniej tuzin, jedne szersze od innych, niektóre chropawe i wąskie, ale ze wszystkich czerpano moc. Caldan zachłysnął się powietrzem, nie wierząc własnym zmysłom. Wszystkie znajdowały się w tym samym miejscu. W jednej osobie.

Dłonie Caldana samoistnie odszukały wszystkie jego rzemyśliwa. Nie wiedział, kiedy upadł na ziemię, w poczerniałą trawę. Uniósł rękę.

I zobaczył przed sobą stojącego w dymiącym czarnym kole mężczyznę.

Był ubrany w najwykwintniejszy pancerz, jaki Caldan widział w życiu, złożony z wielu kowalostworzonych elementów inkrustowanych jakimiś rudawymi stopami, tworzącymi szaleńcze, zadziwiające wzory akcentowane drogimi kamieniami. Platynowe włosy sięgały za ramiona, a skóra była blada. Caldan uznał, że mężczyzna musi być w średnim wieku, dopóki nie spostrzegł wyrazu jego oczu. Były fioletowe i lśniły wewnętrznym blaskiem, jakby podpalala je od środka moc zawarta we wszystkich jego studniach. Szum aktywowanych rzemyśliw i talizmanów szczelnie wypełniał powietrze, które zrobiło się gęste jak smoła i opływało ciało Caldana, podnosząc włoski na jego przedramionach.

Ten człowiek miał ponad dwadzieścia studni. Jak to możliwe?

Arcymagowie uklękli na jedno kolano, wodząc zmieszanyimi spojrzeniami od szarżującego tłumu potworów do cesarza.

Bo nie mógł to być nikt inny jak tylko Zerach-Sangur, władca Cesarstwa Mahruzańskiego, który przybył na pole bitwy, aby stawić czoła jukarom.

– Powstańcie, moi poddani – rzekł cesarz niewzruszenie pomimo dramatycznej sytuacji. Jego słowa odbiły się głębokim i czystym echem w duchu Caldana, jakby to chór przemawiał jednym głosem.

Chłopak wbił się wzrokiem w szarżującą hałastrę, która z każdą chwilą była coraz bliżej. Widział już cętkowaną szarawą skórę i żółte ślepie jukarów. Wyli w swoim niezrozumiałym języku hukami wielu głosów zlanych w jeden nieludzki jazgot, a chmura odrażającego

fetoru, którą pchali przed sobą, wdarła się Caldanowi do nosa i ust. Wrócił spojrzeniem do cesarza i arcymagów. Na co oni czekają?

Magowie położyli się płasko na ziemi, wszyscy poza Devenishem. Ten trzymał się prosto na nogach, a na jego twarzy zmagaly się zawiść i duma. Caldan również opadł na jedno kolano.

– Mój panie – powiedział Devenish. – Vormagowie...

– Wiem, czym oni są. Dzisiaj zapłaczą za swoimi stworzycielami.

Żuchwa Devenisha poruszała się bezdźwięcznie, jakby coś odsączyło głos z jego słów, ale kiwnął głową, a później zerknął bojaźliwym spojrzeniem na nadciągającą horde.

Cesarza otoczyła kulista bariera, ciemna jak zimowa noc, a potem zafalowała i rozmyła się, zostawiając po sobie ledwie dostrzegalny zarys magicznej tarczy. Przytępiła magiczny zmysł Caldana. Nigdy wcześniej nie doświadczył czegoś podobnego. Nie wiedział, jaka była natura tej osłony, ale przyćmiła nawet czarną kopułę Dzwonków.

Lecz pomimo stłumionego zmysłu Caldan wciąż czuł narastającą moc. Jego własne kości drżały od tej niewyobrażalnej potęgi, a skóra na całym ciele mrowiła, jakby oblaży ją owady.

Cesarz odpowiedział na czarodziejski atak vormagów własnymi niszczycielskimi włóknami. Splótł ich mrowie w wiele grubych lin. Caldan wyczuwał coraz wyraźniej koncentrację potęgi, jaka nie miała prawa pomieścić się w ciele jednego człowieka.

Owe liny wspięły się wysoko w niebo. A gdy znalazły się na pułapie stu jardów, rozprysły się na tysiące łodyg, z których błysnęło oślepiające światło, a ku zastępom jukarów i vormagów pomknęły kule energii jasne jak tysiące maleńkich słońc.

Fala ognia opadła na pędzące monstra niczym płonący całun. Rozległo się skwierczenie, jakby na rozżarzony metal trysnęła zimna woda. Potężna siła zdmuchnęła ciało z jukarskich gnatów, odsłaniając połyskliwe wnętrza.

Spaliła czarodziejskie tarcze vormagów. Fragmenty szarych cielsk buchały w powietrzu wielokolorowym płomieniem. Wijące się kształty zaryły o ziemię. Rozdzierająca tkanek nawałnica światła pochłonęła zarówno jukarów, jak i ich władających magią



dowódców. Forpoczta nacierającej, pozornie niepowstrzymanej hordy została przemieniona w dymiący pas śmierci.

Pozostałe przy życiu Kołczany salwa za salwą zasypywały niedobitków strzałami. Widząc cesarza na polu walki, wielu żołnierzy otrząsnęło się z przerażenia. Potęga jego czarów dodała im odwagi.

Jukarowie i vormagowie zostali zmasakrowani. Cesarz zaśmiał się, a ton tego śmiechu przejął Caldana do głębi. Devenish patrzył na władcę z nieskrywaną zawiścią.

Caldan był wstrząśnięty mocą cesarza. Drżał na całym ciele. Ciężar tego, co przed chwilą widział na własne oczy, powalił go na kolana. Pragnął stąd uciec, oddzielić się jak największą połacią lądu od tych ludzi, ale nogi nie chciały go słuchać. To nie na jego siły. Nie miał nic do roboty między osobami zdolnymi władać taką potęgą.

Rozproszeni wśród hekatombi jukarscy ocalańcy umykali z pola bitwy. Pędzili, potykając się o krwawe ochłapy, i biadolili we własnym chrapliwym narzeczu, wycofując się do ocalałego z pożogi trzonu armii, który wciąż potężniał, zasilany jukarami z ciągnącej do walki ariergardy.

Rozcapierzone łapska ścisnęły rany. Pazurzaste stopy ślizgały się w morzu krwi. Czarna fala monstrów cofnęła się. Powalonych jukarów i vormagów pozostawiono własnemu losowi. W ślad za uciekającymi mknęły strzały, niektóre znajdowały odsłonięte fragmenty ciała, zwiększając sumę pokonanych, inne pociski opadały na ziemię, gdy stwory odbiegły poza zasięg łuków. Choć natarcie cesarza budziło przestach, większość jukarów i vormagów uciekła z pola bitwy bez szwanku. Z dali napływało coraz więcej potworów, dopełniając przetrzebione magią szeregi, odnawiając drapieżną hordę...

Cesarz wzniósł opancerzone ramiona, które załśniły czarodziejskim światłem. Kolejne liny podniosły się w powietrze, podświetlając od dołu brzuszyska sunących nad równiną wielkich burzowych chmur.

Chmur? – zreflektował się Caldan. Skąd one się wzięły? Jeszcze przed chwilą niebo było czyste.

Bez żadnego widocznego sygnału odwrót jukarów zmienił się w bezładną ucieczkę – ich zwierzęce wycie przycichło, nabrało strachliwych tonów, przygasło, jakby nie chciały prowokować kolejnego ataku. Ale ten popłoch nie był spowodowany niczym, co robiły Kołczany. Nie wynikał też z obawy przed czarem splatanym przez cesarza. Caldan zaobserwował, że monstra z obawą spoglądają na ciemniejące niebo.

Czarne, skłębione chmurzyska wirowały po spirali, opadając ku ziemi wyciągniętymi rogami, niczym bąki kręczone ręką olbrzymiego dziecka.

Przez twarz cesarza przemknęła trwoga, lecz zaraz potem znowu nakryła ją maska spokoju. On też to zauważył. Zobaczył to, co tak przeraziło jukarów. I na ułamek chwili nawet na jego twarzy zagościła panika.

Czarodziejskie cumy władcy skurczyły się, a moc wróciła do niego. Wtedy z chmur runęły na skotłowaną ziemię potoki surowej magii. Przeorały spalony grunt. Impet wzbił w niebo chmurę kurzu i trawy. Same kości ziemi zatrzęśły się od tego uderzenia.

Chmurzaste spirale wytraciły tempo, a potem zadrżały, wpijając się w niebo jak pijawki. Lśniące języki magii owinęły się wokół nich, wpierw nieśmiałe, potem coraz mocniejsze.

Cesarz wydał z siebie pierwotny, zwierzęcy ryk, który wzbudził się w samej głębi jego jestestwa.

Z jednej spirali runął ku ziemi piorun i z mocą wrył się w grunt, topiąc równinę w blasku wrzącego światła, rozpędzając wszystkie cienie. Ziemia zapłonęła na pomarańczowo, potem buchnęła dymem, by zaraz wydzielić falę zabójczego ciepła, gdy zaczęła się topić. Przez kilka uderzeń serca Caldan mógł tylko gapić się na topniejące połacie ziemi, które odnajdowały w gruncie koryta i płynęły nimi jak rzeki.

– Arcymagowie! – ryknął cesarz. – Aktywować tarcze i rozproszyć się! Ściągnę tę magię na siebie!

Czarodzieje rozpiezchli się we wszystkie strony, potykając się na nierównym gruncie.

Oślonięty tarczą cesarz wyprostował się na całą wysokość, jakby nie robił na nim wrażenia rozpętujący się na jego oczach chaos. Ale Caldanowi dobrze zapadł w pamięć ten moment paniki. Otworzył własną studnię i podłączył się do swojej tarczy, cofając się, na wypadek gdyby cesarz jednak się pomylił.

Zamruczała płynąca magiczna energia i Caldanowi wydało się, że studnie cesarza zniknęły, jakby w ogóle nigdy nie istniały. A w tej samej chwili wirujące chmury zwolniły. Spirale znów falowały leniwie w powietrzu niczym węże omotane fujarką fakira.

Jeden z olbrzymich lejów opadł ku ziemi z wirującej chmury, uderzając tam, gdzie stał jeden z arcymagów. Huk przypominał zwielokrotniony trzask pękającego w ognisku drewna. A studnia czarodzieja zniknęła, zdmuchnięta jak świeca. Chmurzasta spirala wycofała się, zostawiając po sobie tylko dymiące, zwęglone zwłoki.

Kilka sekund później uderzyła kolejna spirala i następny arcymag stracił życie.

Nad głową Caldana też wirowały obłoki i tworzył się lej. Ciśnienie rosło i coś zaiskrzyło w powietrzu.

Studnie, pojął Caldan. One biorą na cel studnie. To dlatego cesarz zamknął swoje.

Caldanem owładnął strach, ale zacisnął zęby i zamknął także własną. Jego tarcza zgasła. Był teraz całkowicie bezbronny. Wstrzymał oddech i czekał. Spirala nad jego głową nie poruszyła się. Ale wciąż przeszukiwała, sondowała grunt poniżej.

Jego wzrok powędrował samoistnie do cesarza, który wciąż stał nieporuszony, jakby najmniejszy ruch mógł ściągnąć na niego magiczne uderzenie, którego nie będzie w stanie odbić. Dla arcymagów, którzy uważali magię władcy za najpotężniejszą, musiał wyglądać jak ostatni bastion rzucający wyzwanie całemu złu tego świata.

Serce Caldana zatłukło się w piersi. Kilku arcymagów struchlało ze strachu, widząc, że magia w chmurach wciąż się kumuluje.

Spotężniała do tego stopnia, że Caldan poczuł, jak rezonuje z nią jego własna studnia, która przecież pozostawała zamknięta. Jakby wołała do niej moc, której ogromu nie sposób sobie wyobrazić.

Wokół niego arcyomagowie poddali się desperacji; jedni wydawali z siebie rozpaczliwe krzyki, inni padali na kolana ze szlochaniem na ustach.

Chłopak poczuł, jak ogarnia go beznadzieja. Jak on ma z tym walczyć? Zagryzł zęby i zebrał się w sobie. Nie będzie wył i płaszczył się jak oni. Gdzieś tam kryła się odpowiedź na pytanie o to, co tu się dzieje. Cała ta wojna... Indryallanie... Kelhak... Wszystko to sięgało o wiele dalej, niż mu się wydawało. Ale cesarz ewidentnie wiedział, o co w tym chodzi.

Nagle spirale na powrót skryły się w skotłowanych chmurach, a te w kilka chwil rozproszyły się i magiczna nawałnica zniknęła. Na pole bitwy spłynęło światło słońca, a ostatnie łodygi cienia rozwiały się na wietrze.

Nie ostał się nawet ślad magii, która przeraziła samego cesarza.

– Dosyć! – zawołał władca. – Ocaliłem was i pokonałem jukarów. Zamknijcie studnie i opatrzcie rannych. Niech Kołczany odepchną jukarów od Starorzecza. – A potem zwrócił się do Devenisha, który trzymał się blisko władcy, i do niego przemówił przyciszonym głosem: – Przyrowadź do mnie pięcioro Potomków. Jeszcze dzisiaj.

Cesarz odwrócił się plecami do jukarów i ruszył do namiotu, wpatrując się w czarne od dymu niebo. Jakiegokolwiek magii użył, żeby się tu pojawić, najwidoczniej odejść wołał na własnych nogach.

Szybkie spojrzenie potwierdziło, że okręty wciąż płynęły rzeką. Caldan chciał wiedzieć, skąd się tu wzięły i po co. To nie mógł być przypadek.

Horda niknęła w oddali, wciąż stwarzając zagrożenie, ale nie kwapiąc się do ataku. Do nozdrzy Caldana dobiegł zwierzęcy fetor, skowyt jukarów i szczęk ich broni. Jazgot potwornej hordy znowu potoczył się po równinie. Było ich zbyt wiele i gdyby teraz ruszyli do ataku, nie byłoby siły zdolnej dać im odpór... Ta walka źle by się skończyła dla Kołczanów i arcymagów.

Może obawiali się magii cesarza? Ale przecież Caldan pamiętał wyraz popłochu na twarzy władcy oraz moment, w którym zamknęły się jego studnie. Cesarz nie rozproszył wirów. Zgubiły jego trop, gdy zamknął swoje studnie... Ten drań wykorzystał arcymagów... Byli tylko przynętą. Pchnął ich prosto w paszczę wroga, żeby ratować własną skórę.

Cesarz chciał wyjść na zbawcę, ale w rzeczywistości zasłonił się swoimi najwierniejszymi sługami.

Caldan potoczył wzrokiem po rojącej się hordzie. Nawet z tej odległości czuł ich zwierzęcą dzikość i widział niehumaniczne, drapieżne spojrzenia. Jeśli vormagowie doszli do tego samego wniosku – że cesarz napotkał wroga spoza swojej ligi i że nie śmie skorzystać z magii, obawiając się tego, co mogłaby przyciągnąć...

Nie byli przecież głupcami. Prędzej czy później się zorientują. A gdy to nastąpi, nic już tej hordy nie powstrzyma.



**V**asil obudził się w świecie pełnym bólu i natychmiast osłonił przewrażliwione oczy przed światłem lampy. Zamrugał i łzy spłynęły mu po policzkach, a gdzieś obok siebie usłyszał kroki.

– Sędzio – powiedział Aidan – cieszę się, że wyszedłeś z tego cało.

– Myślałem... że nie żyjesz – zaskrzeczał Vasil.

– Jeszcze dycham. Gdzie cel Rau i Chalayan?

– Nie wiem, gdzie jest cel Rau. Przed miastem spotkaliśmy jakiegoś czarodzieja. Zakładam, że z nim został. A jeśli chodzi o Chalayana... Cel Rau zabił go po starciu na moście. Powiedział mi, że obaj doszliście do wniosku, że Chalayan stał się zbyt silny.

Aidan tylko kiwnął głową.



Stojący na pokładzie jednego z okrętów dokujących w przystani Gazija pociągnął wzrokiem ponad Starorzeczem i okolicznymi wsiami. Z olbrzymich splachci spalonej trawy rosły w niebo słupy dymu, a pole pokrywały łaty zrytej ziemi. Po niebie kołowały kruki, czasem z chmur czarnych ptaków odrywały się pojedyncze skrzydlate cienie i kracząc, lądowały na wyrzeźbionych w gruncie bliznach, dziobiąc i pożerając to, co tam znalazły, aż wypełnione do granic żołądki niemal uniemożliwiały im ponowne wzbicie się w powietrze.

– Stało się, jak przewidziałeś – odezwał się Quiss za jego plecami.

Gazija odwrócił się wolno i spojrzał na niego.

– To było niezbędne. – Puknął Lumphilderna w nogę swoją laską. – Musimy wycisnąć z tej sytuacji, ile tylko się da, i przekonać do siebie cesarza i jego arcymagów. Chodźmy. Zaczęło się.

## Koniec tomu II







MAPA MIASTA  
ANASOMA



# Do czytelnika

Nic tak nie motywuje pisarza do pisania jak czytelnicy niemogący doczekać się kolejnego tomu lub nowego cyklu jego autorstwa.

Dopisz się do listy i dowiaduj się na bieżąco o nowych książkach! Jeśli lubisz czytać moje powieści, tak jak ja lubię je pisać, dopisz się do mojej listy mailingowej, o tutaj: <http://eepurl.com/BTefL>. Obiecuję dawać znać tylko wtedy, gdy będę wydawał nową powieść. Przysięgam, żadnego spamu!

Podziel się wrażeniami! Byłbym zobowiązany, gdybyś zechciał napisać recenzję. Pomagają one nowym czytelnikom odnaleźć moje powieści i zdecydować, czy jest to coś dla nich. Za ich pomocą możesz także dać mi znać, co Ci się podobało, a co nie, dzięki czemu będę mógł w przyszłości pisać lepiej.

Zamieść ją tam, gdzie kupiłeś książkę, lub po prostu zajrzyj na moją stronę internetową: <http://www.mitchellhogan.com>.

W internecie znajdziesz też inne strony, takie jak Goodreads, gdzie użytkownicy dyskutują o przeczytanych książkach, o tych, które chcieliby przeczytać, oraz polecają sobie nawzajem lubiane przez siebie tytuły.

Napisz, co myślisz. Uwielbiam czytać maile od swoich czytelników. Odpowiadam na wszystkie. Jeśli chcesz zwrócić moją uwagę na błędy lub literówki, czy też po prostu podzielić się opinią, pisz na: [mitchhoganauthor@gmail.com](mailto:mitchhoganauthor@gmail.com).

Dzięki za wsparcie! Sprawdź inne moje książki!

Z poważaniem,  
Mitchell Hogan

# Podziękowania

Powieść tę dedykuję Angeli i Isabelle.

Chciałbym też podziękować:

Derekowi Priorowi, bez którego redakcyjnej roboty i mnóstwa dobrych rad nie byłbym tu, gdzie jestem teraz.

Michaelowi J. Sullivanowi oraz jego żonie Robin, którzy służyli mi dobrą radą i poświęcili mnóstwo swojego cennego czasu, by odpowiadać na moje niekończące się pytania.

Rayowi Nicholsonowi za jego nieocenione opinie i czytelniczą przenikliwość. I za wyłapanie małych (a także tych kardynalnych) błędów, które mnie jakoś umknęły.

Ale przede wszystkim chciałbym podziękować swoim czytelnikom, ludziom, którzy dali szansę nieznanemu autorowi i kupili „Tygiel dusz”. Bez Was pisałbym obecną książkę o wiele dłużej. Teraz wreszcie mogę zająć się wyłącznie pisaniem. Spełniam swoje marzenia. I za to będę Wam wdzięczny już zawsze.

# O autorze

W wieku jedenastu lat Mitchell Hogan przeczytał „Hobbita” i „Władcę pierścieni”, co dało początek jego trwającej do dziś miłości do gatunku fantasy. Następne dziesięć lat życia spędził, czytając, turlając kośćmi i grając w gry komputerowe, gdzieś pomiędzy znajdując czas na studia.

Na przestrzeni lat zgromadził całe pudła książek fantasy i science-fiction, które nie chcą przestać się mnożyć. Marzenie o rozpoczęciu kariery pisarza odkładał przez dziesięć lat, a potem rzucił pracę, żeby napisać „Tygiel dusz”. Teraz jest pełnoetatowym pisarzem, pałającym wieczystą wdzięcznością wobec czytelników, którzy dali szansę nieznanemu twórcy. Mitchell mieszka w Sydney w Australii z żoną Angelą i córkami Isabelle i Charlotte.



**PROBLEMEM, JAKI NASTRĘCZA ŻYCIE W SPOŁECZEŃSTWIE  
DAJĄCYM CI WOLNOŚĆ, JEST TO, ŻE DAJE TEŻ ONO WOLNOŚĆ WSZYSTKIM INNYM.**

Życie Bena Ashwooda z osady Widoki miało swój rytm i porządek: warzenie czterech beczek piwa tygodniowo, wysłuchiwanie opowieści w gospodzie Pod Baranim Rogiem i doroczne walki na kije na festynie z okazji Święta Wiosny. Nawet pojawienie się w okolicy krwiożerczego demona nie wprowadziło istotnych zmian w jego życiu. Co innego pojawienie się mistrza mieczy i wyjątkowo irytującej czarodziejki. To wyrzuciło życie młodego Bena do góry nogami. I chociaż przygody, kiedy już jakaś rzeczywistość się zaczyna, wydają się znacznie bardziej przerażające niż w opowieściach, Ben postanowił wykorzystać swoją szansę i ruszyć na ich spotkanie. Przecież wróci, prawda? Wróci do swojego browaru, przyjaciół i ciepłego zapiecka.

Być może, gdyby Ben wiedział, gdzie zawiedzie go ciekawość i żądza przygód, strach nie pozwoliłby mu uczynić pierwszego kroku. Na szczęście nie wiedział.

# CYKL BENIAMIN ASHWOOD

*Ben jest taką osobą, z którą  
mogłoby się trzymać sztamę.  
Który byłby fajnym kumplem.*

**KAROLINA MICHTA**  
(Made by Caroline)

*Benek skradł moje serce już  
w pierwszym tomie, a drugi  
tylko pogłębił to uczucie.*

**ALEKSANDRA STASIEŃKO**  
(Brave.Book)

*Zaspokoi spragnionych  
przygody miłośników fantastyki  
spod znaku walki i magii.*

**AGATA SZOPA**  
(Artemiabook)

*Beniamin Ashwood to cykl, który ma ambicje aspirować  
do bycia w świecie literackiej fantastyki czymś wyjątkowym.*

**TOMASZ PIETROSZYN (Coś na Półce)**



COPYRIGHT © Mitchell Hogan 2016  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

Tytuł oryginału: Blood of Innocents

WYDANIE I  
ISBN 978-83-7964-950-1

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski  
Robert Łakuta

TŁUMACZENIE  
Maciej Pawlak

GRAFIKA OKŁADKOWA ORAZ PROJEKT

Piotr Cieśliński

ILUSTRACJE  
Paweł Zaręba

MAPY  
Maxime Plasse

REDAKCJA  
Karolina Kacprzak

KOREKTA  
Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ  
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
www.dressler.com.pl  
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO  
Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
www.fabrykaslow.com.pl  
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl  
www.facebook.com/fabryka  
instagram.com/fabrykaslow

HIERARCHIA  
MAGII

2  
TOM

MITCHELL  
HOGAN

# KREW NIEWINNYCH



NISZCZENIE NIE POWINNO  
BYĆ TAKIE ŁATWE. A JEDNAK BYŁO  
I NIC TEGO NIE ZMIENI.

Wyzwoliciele przybyli, by uwolnić uciśniony lud Cesarstwa Mahruzańskiego. Najpierw zabili wszystkich Protektorów i czarodziejów. Teraz czekają. Na co? Na kogo? To pytanie zadają sobie wszyscy, którzy przeżyli masakrę.

Caldan nie tylko przeżył, ale też zdołał wyprowadzić z miasta kilkoro ludzi.

Ucieczka wydaje się jednak tylko odroczeniem egzekucji. Za ratunek i ocalenie niewinnych ktoś będzie musiał zapłacić. A krew Caldana może okazać się zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem, przy którym inwazja Indryallan będzie tylko dziecinną igraszką.



fabryka słów®  
WYDAWICTWO



/fabryka



/fabrykaslow

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)